

Stephen I.

Carter

Biała
Nowa
Anglia
New England White

Z języka angielskiego przełożył

Witold Kurylak



Dla Annette Windom

*Dlaczego wszyscy się czepiają ekonomistów? Przecież bezbłędnie
przewidzieli trzynaście z ostatnich pięciu recesji!*

Studencki dowcip

Prolog

Landing latem

Plotki ciągną się za zmarłymi jak muchy, a my gonimy za nimi, zadzierając swoje pruderyjne nosy. Chociaż sami nie rozpuszczamy plotek, uwielbiamy wysłuchiwać tych, którzy tym się zajmują. Jeśli zatem zdarzyłoby się wam przejeżdżać przez miasteczko Tyler's Landing w pierwszych kilku tygodniach po ostatecznym zamknięciu śledztwa, kiedy już wszyscy reporterzy rozjechali się do domów, i zajrzelibyście do cukierni Cookie's Place przy Main Street, żeby kupić tamtejszy specjał, rodzyнки w czekoladzie, mielibyście okazję posłuchać pyzatej Very Brightwood, snującej opowieści o tym, czyja to była wina i czyja nie była, a czyja nigdy być nie mogła.

Zgodnie z tym, co utrzymuje sama Vera, całe zamieszanie bynajmniej nie zaczęło się w listopadzie, z chwilą zamordowania tego kolorowego profesora, ale dziewięć miesięcy wcześniej - powiedzmy w lutym - w niespodziewanie duszny zimowy wieczór, kiedy śliczna Vanessa Carlyle, szesnastolatka zachowująca się jak kobieta pięćdziesięcioletnia, tak przynajmniej o niej mówią, podpaliła ojcowskiego granatowego mercedesa na Town Green. Tak, zgadza się - mówi Vera - od tego Carlyle'a, tego samego, do którego, jeśli wierzyć słowom pracującego na poczcie Joego Vauxa, przychodzi korespondencja ze słówkiem „Szacowny” przed nazwiskiem - to wprost niewiarygodne, jakie w dzisiejszych czasach ludzie potrafią mieć o sobie wyobrażenie. Uśmiechasz się i słuchasz, ciesząc się widocznym za szeroką witryną sklepu jasnym letnim dniem w Nowej Anglii. Vera Brightwood przywołuje na myśl słowo „gadatliwy”. Bez trudu zmienia temat biadolonia, gładko przechodząc z jednego tematu na inny, a zaraz potem gorąco zapewnia, że ona nie ma nic przeciw rodzinie Carlyle'ów, chociaż już od sześciu lat rozpowiada wszystkim, a teraz także i tobie, że miasto nie powinno było pozwolić im na zbudowanie na parceli Pattersona tego gigantycznego domu. I znowu powraca do tego pożaru. Zgoda, ona faktycznie w kilku szczegółach się myli. Na przykład tamtej nocy Vanessa z pewnością nie rozmawiała z profesorem, to akurat zostało udowodnione ponad wszelką wątpliwość, chociaż oboje, o czym Vera skwapliwie przypomina, i ona, i on, byli kolorowi. Ale Vera taka już jest. Dla niej opowieści są jak słodczyce - muszą być bardziej atrakcyjne niż te u sąsiada, bo w przeciwnym

razie traci się klientelę. Jej wypróbowana metoda polega na tym, żeby tu subtelnie rozdmuchać jeden szczegół, tam dołożyć troszkę więcej plotki i - proszę bardzo! - już mamy specjał wart wszelkich upiększeń. Vera może nie zawsze ma rację, ale nudna nie jest nigdy.

W końcu, posłuchać nie zaszkodzi, prawda?

Cukiernia Cookie's Place stanowi lokalny odpowiednik paryskiej Café de la Régence, i to, co się mówi o tym drugim lokalu, często okazuje prawdą w odniesieniu do tego pierwszego: prędzej czy później każdy, kto cokolwiek znaczy, musi tu zaglądnąć. O Cookie's słyszało nie tylko te trzy tysiące mieszkańców samego miasteczka, ale przynajmniej połowa populacji stanu. Podobno dawno temu Woody Allen nakręcił wewnątrz cukierni do jakiegoś swojego filmu, ale Vera tego nie potwierdza, więc pewnie nie jest to prawda. Chociaż powinna być. Błaty są z białego marmuru przetykanego zielonymi żyłkami. Jasnoczerwony znak Coca-Coli ma już pół wieku. Choć w rzeczywistości to jedno pomieszczenie nie ma więcej jak sześć metrów na dziewięć, zdaje się ciągnąć w nieskończoność, a to dzięki sztuczce z lustrami. Wszystkie słodczyce znajdują się w szklanych gablotach i słoikach, różnokolorowe miętowe pałeczki, lizaki z długimi czerwonymi zawijaszami, setki odmian żelków, truflie, drażetek, paluszków, karmelków, malutkie skrzynki na listy, statuy wolności, samochody ford T, w których można znaleźć miętusy, cukierki w papierkach, cukierki na patykach i cukierki w kształcie zwierzątek, osiem smaków krówek i wszystkie czekolady, jakich tylko może zapragnąć ich amator, łącznie z elegancką, niszczącą wszelkie diety, własną mieszanką Very, zwaną czekoladą żurawinową.

Tu zawsze piecze się coś nowego. Unoszące się słodkie zapachy mogą doprowadzić człowieka do szaleństwa, zgodnie z zamierzeniami. I czy lubisz słodczyce, czy nie, ślinka ci cieknie, kiedy ogarnia cię pragnienie grzesznej rozkoszy, i zanim się zorientujesz, zamawiasz wszystko w tym sklepie. Vera, osoba potwornie tłusta, z różowitkami, pyzatymi policzkami i upiętymi schludnie w dwa koczki siwymi włosami, odmierza na oko pół kilograma rodzynek w czekoladzie i mówi nieprzerwanie, chropawym od papierosów głosem, wyjaśniając problemy z domem Carlyle'ów. A ty wysłuchujesz opowieści, bo bardzo zależy ci na tych rodzynekach.

Ona wciąż opowiada o tym domu. Vera dysponuje poważnymi i trudnymi do zbitcia argumentami, dlaczego nie powinni byli pozwolić Carlyle'om go postawić. Bo powinni zostawić łąkę w spokoju, żeby dzieciaki mogły grać tam w softball. Bo dom zasłania widok z drogi na dolinę. A do tego ten cały dom jest i tak za wielki i zbyt pretensjonalny, te wszystkie ostre kąty i szklane ściany, które tylko niepotrzebnie łapią promienie słoneczne, i kiedy się obok niego przejeżdża, ten dom zdaje się mrugać do ciebie, zwłaszcza jeśli akurat się na

niego popatrzy, co Vera, mieszkająca po drugiej stronie zbiornika wodnego na tyle długo, żeby sprzeciwiać się budowie każdego domu w promieniu wielu mil, robi dużo częściej, niż chce się przyznawać. Och, Vera jest w poważnej rozterce, a pod powierzchnią tej delikatnej porcelanowej skóry jarzy się żar wściekłości.

Dochodzisz do wniosku, że ta kobieta jest szalona, zaczynasz więc powoli przesuwać się w stronę drzwi, ściskając w dłoniach rodzynki w czekoladzie, ale wystarczy, że Vera rzuci jedno słowo, a już stajesz w miejscu.

- A ten samochód? - pyta, a ty przypominasz sobie, co ona mówiła o tej dziewczynie - jak ona miała na imię? - Vanessa. - Chce się pan dowiedzieć o samochodzie? - pyta Vera.

- Jasne - odpowiadasz.

Vera chętnie ci o tym opowie, ale czy nie chciałbyś do tego trochę krówek? Kolejną specjalnością cukierni Cookie's są maślano-rumowe krówki z orzechami włoskimi lub bez. Obwiązuje jasnozielone pudełko zieloną wstążką, stanowiącą jej znak firmowy - Vera nie używa żadnych taśm celofanowych, och nie, proszę pana - nic z tych rzeczy! - mówi, a tak przy okazji, chyba zapomniała wspomnieć, że kiedy ten samochód płonął, śliczna Vanessa próbowała otworzyć sobie żyły, używając do tego nożyka modelarskiego.

I kiedy już wysłuchasz Very, być może nadal nie masz pewności, co o tym wszystkim myśleć, przepaja cię jedynie współczucie dla Vanessy, nie mówiąc już o jej rodzicach, siostrze i dwóch braciach. W głowie ci się kręci od nieprzerwanego potoku słów Very, ale w końcu widzisz to wszystko dokładnie, jak naoczny świadek, bo Vera Brightwood ma ten dar, ma go od zawsze, że potrafi ożywić historię - lśniący granatowy mercedes, nowiutki, zaledwie trzy miesiące wcześniej wzięty w leasing, tylko trzy tysiące kilometrów na liczniku, w półmroku zimowego zmierzchu obrócony w huczący stos pogrzebowy na betonowym podjeździe ratusza z czerwonej cegły, a gdzieś z boku ta długa, chuda, ciemnoskóra dziewczyna, połowa jej ujmującej twarzyczki skryta za misternie splecionymi warkoczami, siedzi spokojnie na ławce z listew i walczy z tym nożem, piłując skórę, która nie chce pęknąć.

- Biedne dziecko, kończy Vera, ze łzą w pocziwym oku.

Trudno się z nią nie zgodzić.

- A musisz pan wiedzieć - dodaje Vera półgłosem, starając się nakłonić cię do zakupu żelków, które dobrze pasują do rodzynków - że chociaż ci wszyscy ludzie z uniwersytetu wykupują ziemię, bo dochodzą do wniosku, że teraz modnie jest przebudowywać wiejskie domy, w tym miasteczku jest tylko pięć kolorowych rodzin.

Zaskoczony, pytasz, czy w miasteczku prowadzone są takie statystyki.

Ona pyta, o jakie statystyki ci chodzi.

Ostrożnie formułujesz swoje obiekcje. Chodzi o liczbę mieszkających tu czarnoskórych Amerykanów, tłumaczysz. Naprawdę prowadzicie statystyki?

- Niektórzy z nas prowadzą - odpowiada Vera.

Po co?

Vera nachyla się bardziej, żeby szepnąć, czujesz jej przesłodzony oddech, jakby w środku fermentowała, spojrzenie jej pozółkłych oczu unosi się do drzwi, na wypadek gdyby miał się w nich pojawić któryś z tych liberałów. Pieniądze - mówi. - Prowadzimy statystyki ze względu na pieniądze. My nie mamy nic przeciw kolorowym, rozumiesz pan, ale tutejszy rynek nieruchomości ostatnio jest raczej w zastoju, a jeszcze nie słyszałam, żeby gdziekolwiek towarzystwo kolorowych sąsiadów doprowadziło do wzrostu cen. Pokaż mi pan chociaż jedno takie miejsce, a od razu poprę ten cały pomysł wolnego obrotu nieruchomościami, bez żadnej dyskryminacji. A poza tym tę Vanessę powinni zamknąć w więzieniu, kiedy spaliła ten samochód - Vera ma już dość tego ciągłego rozpieszczania kolorowych.

Zbulwersowany, próbujesz coś powiedzieć, ale Vera nie poczuwa się do winy. Mówi, że jesteś w błędzie, ona nie ma nic przeciw kolorowym i nigdy nie miała, nawet w przeszłości, kiedy wszystko wokół palili, dopóki Lyndon Johnson, niech spoczywa w pokoju, nie wezwał Gwardii Narodowej, żeby ich powstrzymała, ją tylko denerwuje ten głupi dom. Ptasie mózdzki, syczy, ale trudno powiedzieć, kogo dokładnie ma na myśli.

Dochodzisz do wniosku, że czas iść.

Zostawiasz Verę i skołowaciały stajesz w olśniewającym letnim świetle słonecznym, po twojej głowie wciąż jeszcze tłucze się jej tyrada i wiesz tylko, że chcesz jak najszybciej opuścić Landing i jak najdalej stąd odjechać. Odnajdujesz swój samochód, przez chwilę intensywnie mrugasz, dopóki nie przejrzysz wyraźnie na oczy, i z rykiem silnika wyrывasz z miasteczka, nie ma co się przejmować ograniczeniem prędkości, przecież ta kobieta to wariatka. Przez głowę przechodzi ci myśl, że gdzieś za billboardem czai się jakiś gliniarz, ale postanawiasz zaryzykować, ponieważ po tej opowieści Very czujesz się podenerwowany i na nic już nie zważasz. I może ci się nawet uda, gdyż tutejsza policja nie jest taka drażliwa jak kilka miesięcy temu. Jest prawie tak spokojnie jak w listopadzie zeszłego roku, w czasie zamrożonego bezkrólewia, kiedy dokonane przez Vanessę podpalenie należało już do przeszłości, a zabójstwa dopiero czekały w przyszłości, zanim czas się odwrócił, a do Landing wkroczyła żądna zemsty historia; w drugim tygodniu listopada, kiedy w radosnym białym miasteczku Tyler's Landing wszyscy czuli się bezpiecznie.

Po raz ostatni, przynajmniej na jakiś czas.

CZEŚĆ I

MAKSYMALIZACJA UŻYTECZNOŚCI

Funkcja użyteczności - w ekonomii miara preferencji konsumenta wyrażana stopniem zadowolenia, jakie uzyskuje on z konsumpcji danego zestawu pożądaných towarów lub usług. Teoria ekonomiczna zakłada, że ludzie podejmują racjonalne wysiłki, aby zmaksymalizować użyteczność. Czasami użyteczność jednego konsumenta jest zależna od użyteczności innego konsumenta.

Rozdział 1

Skrót

I

W piątek zaginął kot, zadzwonił Biały Dom, a gorączka Jeannie - jak powiedziała jej opiekunka, kiedy Julia zadzwoniła do niej z rozbrzmiewającego echem marmurowego holu Lombard Hall, gdzie wraz z mężem fetowała ukończenie studiów przez tajemniczych absolwentów, których jedyną zaletą były góry pieniędzy, a na kilku już teraz czekały zarzuty prokuratorskie - osiągnęła trzydzieści dziewięć stopni i pięć kresiek. A potem było już tylko gorzej, jak powiadała jej babcia, chociaż ten właściwy dla Harlemu sposób wyrażania się babci Vee, ukształtowany stosownie do epoki, w której ich rasa wykazywała jeszcze to eleganckie poczucie humoru wobec samej siebie, nie zostałyby dobrze przyjęty w Landing, i Julia Carlyle długo uczyła się go unikać.

Z kotem problem był najmniejszy, chociaż jak się później okazało, był to zły omen. Rainbow Coalition¹, ulubieniec dzieci, śmierdzący kot przybłąda, już wcześniej gdzieś się gubił i z reguły powracał, ale od czasu do czasu znikał na dobre, a w jego miejsce pojawiało się kolejne okropne stworzenie o tym samym imieniu. Co innego Biały Dom. Współlokator Lemastera z czasów studenckich, obecnie zajmujący Gabinet Ovalny, telefonował do nich przynajmniej raz w miesiącu, zazwyczaj żeby poplotkować, co wprawiało w zdumienie Julię, której nigdy wcześniej nie przeszłoby przez myśl, że prezydent Stanów Zjednoczonych może coś takiego robić. A jeśli chodzi o Jeannie, no cóż, dziecko od ośmiu pełnych lat zmagало się z gorączkowym okresem dzieciństwa, jako najmłodsza z czwórki, i matka wiedziała już, że nie trzeba gnać do domu, kiedy tylko podskoczy temperatura. Jak na razie paracetamol i zimny okład pokonały wszystkie wirusy, które ośmieliły się zaatakować jej dziecko, więc z tym też sobie poradzą. Julia wydała dyspozycje opiekunce i powróciła do niekończącej się kolacji dokładnie w chwili, kiedy Lemaster kończył opowiadanie dowcipów. Było za jedenaście dziesiąta, w drugi piątek listopada roku pańskiego 2003. Za murami Lombard Hall

¹ Dosłownie „Tęczowa Koalicja”, nazwa koalicji dyskryminowanych mniejszości popierających pastora

pojawił się pierwszy śnieg, na ziemi leżało już pięć centymetrów, a zapowiadano dalsze opady. Zgodnie z późniejszą rekonstrukcją zdarzeń, w tym momencie profesor Kellen Zant już nie żył i podązał w swoim samochodzie do miasteczka.

II

Po pewnym czasie.

Z nieba wciąż padały wielkie, miękkie płatki. Julia i Lemaster sunęli Four Mile Road swoim wyposażonym we wszystkie dodatki cadillakiem escalade, w stosownym czarnym kolorze, jak przystało najszlachetniejszej parze na tej afroamerykańskiej samotnej placówce w Harbor County. A przynajmniej tak ich Julia postrzegała, nawet po sześciu latach od przeprowadzki rodziny do, jak to nazywał mądry Lemaster, „jądra bieli”. Przez przeważającą część swego małżeństwa mieszkali w Elm Harbor, największym mieście hrabstwa, siedzibie uniwersytetu, któremu przewodził obecnie jej mąż. Powinni już się przeprowadzić z powrotem, ale w pełnej przeciągów starej rezydencji, udostępnianej rektorowi przez uczelnię, wciąż jeszcze trwał remont, którego zażądał Lemaster obejmując stanowisko. Zarząd uczelni martwił się, jak zostanie odebrany fakt, że tyle pieniędzy wydaje się na rezydencję, podczas gdy trudno znaleźć fundusze na remont sal wykładowych, ale Lemaster był jednocześnie rozważny i stanowczy, jak zresztą zawsze wobec ludzi ze swojego otoczenia. „Ludzie cenią cię wyżej - tłumaczył swojej żonie - jeśli muszą zapłacić za ciebie więcej, niż zakładali”.

- Albo cię za to nienawidzą - sprzeciwiła się Julia, ale Lemaster był niewzruszony, ponieważ to on w rodzinie był typowym Antylczykiem, a w związku z tym musiał być przynajmniej stanowczy.

Jechali pośród ogromnych płatków śniegu, wirujących i uderzających w przednią szybę samochodu, tych miękkich i grubych, które wszystkim mieszkańcom Nowej Anglii sygnalizują, że powoli nadciąga burza i najgorsze jeszcze przed nimi. Nadąsana i wtulona w ciemną skórę fotela Julia płonęła ze wstydu po tym, jak podczas rozmowy z dwoma absolwentami pomyliła ich imiona i przez pół wieczoru do kobiety o imieniu Carlotta mówiła Charlotte, a następnie musiała wysłuchiwać, jak ta kobieta pociesza ją, wyrażając się w ten charakterystyczny dla zamożnych mieszkańców Nowej Anglii sposób, że nie ma się co tym martwić, kochana, to typowa pomyłka. Lemaster, któremu nigdy w życiu nie zdarzyło się zapomnieć czyjegoś imienia, użył swojego uroku osobistego i wszyscy się roześmieli, ale jak dobrze wie o tym każdy, kto chociaż raz próbował przeprowadzić zbiórkę pieniędzy wśród

bogaczy, najdrobniejsza uraza może okroić potencjalną darowiznę przynajmniej o połowę, a w tym towarzystwie połowa mogła oznaczać liczbę ośmiocyfrową.

- Vanessa skończyła już z podpalaniem - odezwała się Julia. - Vanessa, licealistka, była drugim z czwórki ich dzieci. Dwaj ich synowie, pierwsze i trzecie dziecko, wyjechali już do szkół z internatem.

- Dziękuję ci za dzisiejszy wieczór - odparł jej mąż.

- Słyszałaś, co mówiłam?

- Oczywiście, kochanie. - Słowa wypowiedane szybko i sceptycznie, pełne przekory, z niezupełnie brytyjską intonacją. - Słyszałaś, co ja mówiłem? - Delikatnym, ale zarazem szybkim ruchem skręcił kierownicą, aby ominąć przebiegające zwierzę. - Wiem, jak bardzo nie cierpisz takich spotkań. Obiecuję, postaram się zaledwie cię nimi nie obciążać.

- Och, Lemmie, daj spokój. Zachowywałam się okropnie. Zbierzesz więcej pieniędzy, jeśli nie będziesz mnie ze sobą zabierał.

- Mylisz się, Jules. Cameronowi Knowlandowi tak spodobało się twoje towarzystwo, że zwiększył swoje wsparcie finansowe o pięć milionów.

Julia była w złym humorze i, czego jak czego, ale z pewnością nie życzyła sobie teraz żadnych słów otuchy. Śnieżycy w listopadzie należała raczej do rzadkości. Julia zastanawiała się, co to może zwiastować. Zmysłny wiatr zawijał śniegiem, tworząc w świetle reflektorów koncentryczne kręgi bieli. Zdawało się, że jakiś lej wciąga potężny samochód. Four Mile Road nie była najkrótszą trasą z miasta do ich domu, ale państwo Carlyle planowali pojechać okrężną drogą, żeby zabrać z multipleksu swoje drugie dziecko, które wybrało się na pierwszą od pewnego czasu randkę ze swoim chłopakiem, „tym Caseyem”, jak nazywał go Lemaster. Zgodnie ze wskazaniem umieszczonego na desce rozdzielczej GPS-u, znajdowali się daleko od jakiegokolwiek szosy, co jedynie oznaczało, że komputer nigdy nie słyszał o Four Mile Road, oficjalnie nieistniejącej. Lemaster nie mógł odmówić sobie jednak jazdy ulubionym skrótem, nawet przy zamieci, on wręcz uwielbiał nieoznaczone na mapach, wiejskie drogi.

- Cameron Knowland - powiedziała wyraźnie Julia - to Świnia. - Jej mąż się nie odzywał, czekając na dalsze słowa. - Cieszę się, że interesują się nim ludzie z Komisji Papierów Wartościowych i Giełd. Mam nadzieję, że trafi do więzienia.

- To nie chodzi o Camerona, Jules, tylko o jego firmę. - Mówił tym swoim lekkim profesorskim tonem, którym tak lubił wszystkich poprawiać i który ona kiedyś, dawno temu, uwielbiała. - Mogą najwyżej wymierzyć mu karę grzywny.

- Ja tylko wiem, że ciągle zaglądał mi za sukienkę.

- Trzeba było go spoliczkować. - Odwróciła się zaskoczona, ale też z lekkim uczuciem

wdzięczności. Lemaster się roześmiał. - Cameron wycofałby swoją darowiznę, ale Carlotta podwoiłaby swoją.

Zapanowała małżeńska cisza, podczas której Julia z bólem zdała sobie sprawę, że dzisiejszego wieczoru zupełnie nie trafiła ze swoją delikatną, lekko kokieterijną niefrasobliwością, która niegdyś, ćwierć wieku temu, zapewniała jej status najpopularniejszej dziewczyny w szkole w New Hampshire. Podobnie jak mąż, była wzrostu nieco niższego niż średni. Miała skórę o wiele odcieni jaśniejszą od jego głębokiej czerni, ponieważ jej nieznanego ojciec, jak Lemaster nieodmiennie powtarzał, należał do rasy białej. Szare oczy były nieproporcjonalnie wielkie jak na kobietę tak drobnej postury. Uroczy dołeczek łagodził lekko wystającą szczękę. Wargi miała czarująco wykrzywione. Kiedy się uśmiechała, lewa strona szerokich ust unosiła się troszkę wyżej niż prawa, wysyłając sygnał, jak lubił mawiać jej mąż, umiarkowanie liberalnych przekonań. Uchodziła za osobę, którą łatwo polubić. Ale zdarzały się takie dni, kiedy to wszystko wydawało się nieprawdziwe, jakby wymuszone. To pobyt na kampusie tak na nią wpłynął. Już od trzech lat piastowała funkcję prodziekana w wyższej szkole teologicznej, zanim Lemaster został tu ściągnięty z Waszyngtonu, aby objąć stanowisko rektora, a ten jego awans tylko pogłębił dręczące ją uczucie, że tu nie jest jej miejsce. Julia wraz z dziećmi pozostała w Landing, kiedy jej mąż przez półtora roku pełnił funkcję doradcy przy Białym Domu. Lemaster spędzał w domu tyle weekendów, ile tylko mu się udało. Ludzie wymyślali rozkoszne plotki, które miały tłumaczyć jego nieobecność, i w żadnej z nich nie było krztyny prawda, ale - jak powiadała babcia Vee - prawda liczy się tylko wtedy, kiedy chcemy, żeby się liczyła.

- Głupi jesteś - stwierdziła, chociaż tego z pewnością nie można było o jej mężu powiedzieć, i nieraz zresztą nad tym bolała. Wyjrzała przez okno, za którym migwały efektownie pobielone, w większości iglaste drzewa. Jeszcze za wcześnie na śnieg, jeszcze nie nadeszła zima, ani trochę, naprawdę, dopiero trwała długa pora chłódów poprzedzających Święto Dziękczynienia w Nowej Anglii, kiedy w sklepach przekonują nas, że już zaczął się okres bożonarodzeniowy, ale wszyscy wiedzą, że na razie jest tylko zimno. Większą część dzieciństwa Julia spędziła w Hanoverze, w stanie New Hampshire, gdzie jej matka wykładała na uniwersytecie Dartmouth, i nie dziwiły jej wczesne opady śniegu, ale to zakrawało już na absurd. Odezwała się do męża: - Czy moglibyśmy porozmawiać o Vanessie?

- Co masz na myśli?

- Te podpalenia. Z tym już koniec, Lemmie.

Przerwa. Lemaster był zajęty nastawianiem radia satelitarnego, nie pytając nawet, przełączał z jej ulubionych melodii broadwayowskich - lubiła je babcia Vee, więc również

Julia się w nich zakochała - na swój sekretnie ulubiony rodzaj muzyki, na tę bardziej zbuntowaną, podekscytowaną i mniej komercyjną odmianę hip-hopu. Świecące się na ekranie zielone literki informowały ją, że atakujący ją z dziewięciu głośników szaleńczo seksualny i pretensjonalny hałas nazywa się Goodie Mobb. - A skąd wiesz, że z tym już koniec? - zapytał.

- Po pierwsze, już od roku nic takiego nie zrobiła. A po drugie, doktor Brady tak mówi.

- Od dziewięciu miesięcy - sprecyzował Lemaster. - A poza tym, ona nie jest córką Vincenta Brady'ego - dodał, jednocześnie zaciskając szczupłe palce na kierownicy, ale tylko z ostrożności, nie z gniewu, ponieważ pogoda zdążyła się już zmienić ze wstrętnej na okropną. Spojrzała w jego stronę, ścisząc przy tym dudniącą muzykę, na wypadek gdyby, dla odmiany, on chciał porozmawiać, ale Lemaster siedział wychylony do przodu, wytężając wzrok na drogę, ponieważ ciężkie płatki śniegu uderzały tak szybko, że wycieraczki nie nadążały z ich zbieraniem. Na nosie miał okulary w stalowych oprawkach. Kozią bródkę i wąsy miał tak doskonale przystrzyżone, że byłyby zupełnie niewidoczne na gładkiej hebanowej skórze, gdyby nie tysiące siwych drobinek, których kształt zmieniał się wraz z ruchem szczęk, kiedy Lemaster coś mówił. - Co za pomyłka - rzekł, a Julia dopiero po chwili domyśliła się, że jej mąż mówi o psychiatrze, a nie o jednym z wielu wrogów, których lekko i niespodziewanie narobił sobie przez pół roku kierowania uniwersytetem.

Julia była zaszokowana, kiedy sędzia orzekł intensywną terapię z możliwością zamiany na karę więzienia. Vanessa z radością przyjęła pomysł odsiadki - „Chyba przyznacie, że na to zasłużyłam” - ale Julia, która wcześniej pracowała w mieście jako ochotniczka w izbie zatrzymań dla młodocianych przestępców, wiedziała, czym to pachnie. Nie wyobrażała sobie nawet, że jej roztargniona, bystra, artystycznie uzdolniona córka mogłaby przetrwać dwa dni wśród nastoletnich twardzielek, pozbieranych z rogów ulic. Jak powiadała jej babcia, czarni dzielą się na swoich oraz innych - a Julia przez całe życie w to wierzyła. Dlatego też Lemaster wybrał Brady'ego, profesora z wydziału medycyny, podobno jednego z najlepszych w kraju psychiatrów dla młodzieży, a Julia, która wolałaby, podobnie jak i sama Vanessa, żeby zajmowała się nią kobieta, albo przynajmniej ktoś z ciemniejszej nacji, nic nie powiedziała. Dwadzieścia lat wcześniej nie przyszłoby jej do głowy, że może zostać taką żoną.

Wówczas wiele rzeczy nie przyszłoby jej do głowy.

- Cameron powiedział mi coś ciekawego - odezwał się Lemaster, kiedy doszedł do wniosku, że jego żona dostatecznie długo już cierpiała. Minęli dwa siwe konie, które stały na padoku przykryte tylko derkami, w żaden inny sposób niechronione przed tą pogodą, i

błyszczącymi oczami przyglądały się sporadycznemu ruchowi na drodze. - Kilka tygodni temu odebrał niesamowicie dziwny telefon. - I ten jego pewny siebie śmiech, co to ja nie potrafię, ręka oderwana od kierownicy dla podkreślenia słów, radosne spojrzenie w stronę Julii. Lemaster uwielbiał dominować nad wszystkimi w okolicy, nie wyłączając swojej żony. - Prawdę mówiąc, to dzwonił do niego twój stary znajomy. Wygląda na to, że...

- Lemmie, uważaj! Uważaj!

Za późno.

III

Wszyscy mieszkańcy Nowej Anglii wiedzą, że zaśnieżone lasy są w nocy hałaśliwe. Świergoczące, przemykające zwierzęta, dokuczliwy wiatr, trzaskające, skrzypiące gałęzie - wiele tu można usłyszeć, chyba że wasz escalade znajduje się w rowie, silnik syczy i krztusi się, a z dziewięciu głośników wciąż wyje Goodie Mobb. Julia wygramoliła się zza poduszki powietrznej i dostrzegła wyciągniętą w jej stronę pomocną rękę męża. Drżąc na całym ciele, spojrzała w jedną i drugą stronę wgłębienia w śniegu, oznaczającego Four Mile Road. Lemaster dotknął dłońmi jej twarzy. Zupełnie zdezorientowana, odepchnęła je, ale on cierpliwie odwrócił jej twarz z powrotem w swoją stronę. Uzmysłowała sobie, że mąż pyta, czy nic jej się nie stało. Na jego czole, a także na ustach, widać było krew, dużo krwi. Teraz ona powinna zapytać, jak on się czuje, a on powinien ją uspokoić.

Telefony komórkowe nie miały tu zasięgu, sprawdzili to oboje.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Julia, dygocząc na całym ciele z kilku poważnych powodów. Jeszcze nie wiedziała, czy powinna być na niego zła, że odwrócił wzrok od drogi tuż przed ostrym zakrętem, który przez sześć lat, odkąd tu mieszkają, ani trochę się nie zmienił.

- Poczekamy, aż nadjedzie następny samochód.

- Oprócz ciebie nikt tą drogą nie jeździ.

Lemaster wyszedł już z rowu i stał na drodze.

- Jechaliśmy dziesięć minut i w tym czasie mijały nas dwa samochody. Za chwilę nadjedzie kolejny. - Przerwał, a ona przez koszmarną chwilę obawiała się, że zaczął obliczać, kiedy dokładnie powinien pojawić się następny samochód. - Zostawimy włączone reflektory. Nadjeżdżający kierowca nas zobaczy i zwolni. - Mówił głosem spokojnym, tak spokojnym, jak tego dnia, kiedy prezydent poprosił go, żeby przyjechał do Waszyngtonu i jako ostoja prawości uporządkował najnowszy bałagan w Białym Domu. Tak spokojnym, jak tej nocy

dwadzieścia lat temu, kiedy Julia powiedziała mu, że jest w ciąży, a on, zupełnie bez żadnych emocji czy wyrzutów, odparł, że muszą się pobrać. W moralnym życiu, często powtarzał Lemaster, bardziej potrzeba rozsądku niż namiętności. Może i ma rację, ale człowiek może zbzikować, jeśli przesadzi z rozsądkiem. - Powinnaś zaczekać w samochodzie. Tu jest zimno.

- A co z Vanessą? Ona na nas czeka.

- To poczeka.

Nie do końca przekonana, Julia posłuchała rady męża. Był osiem lat od niej starszy i ta różnica w przeszłości dawała jej pewne poczucie bezpieczeństwa. W ostatnich latach coraz częściej jednak odnosiła wrażenie, że on traktuje ją jak dziecko. Babcia Vee powiadała, że jeśli wyjdiesz za mężczyznę, bo chcesz, żeby się tobą zaopiekował, ryzykujesz, że tak rzeczywiście się stanie. Już miała zanurzyć się w ciepłym wnętrzu samochodu, kiedy w świetle księżycy zauważyła jakiś bezkształtny tobołek leżący w rowie kilka metrów dalej. Kiedy zrobiła pół kroku w tamtym kierunku, para dzikich stworzeń o błyszczących oczach oderwała futrzaste łby od swojego posiłku i czmychnęła między drzewa. Ten ciemny kopczyk w większości przykryty śniegiem to musi być jeleń, stwierdziła, prawdopodobnie potrącony przez samochód i wrzucony do rowu, gdzie stał się kolacją dla tych zwierząt, które nie chciały zapaść w sen zimowy. Drżąc na całym ciele, pozapinała guziki płaszcza i odwróciła się w stronę samochodu. Zupełnie nie miała chęci z bliska oglądać jakiegoś pokrwawionego zwierzaka, pozbawionego najbardziej soczystych partii ciała. Dopiero kiedy chwyciła za klamkę drzwi, zatrzymała się.

Uświadomiła sobie, że jelenie rzadko noszą buty.

Z trudem przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło.

- Lemmie?

Ale jej zdeterminowany mąż stał na drodze i spokojnie czekał na chwilę, kiedy nadarzy się okazja machnąć na następny samochód, i mógłby tam stać choćby do wiosny.

- Lemmie!

Momentalnie znalazł się przy niej. On potrafił robić takie rzeczy. Jak mawiała jej przyjaciółka Tessa Kenner, Lemaster był szaleńczo zakochany w swojej własnej niezawodności. On mnie zmusił, żebym się w nim zakochała, tłumaczyła Julia swojej niezadowolonej matce, która uważała, że Julia powinna znaleźć sobie męża w którejś ze starych rodzin, a nie mężczyznę z jednej z wysp - nie miałam wyjścia.

- Co się stało, Jules?

- Myślałam, że to jeleń, ale... tam leży jakieś ciało.

Pokazała kierunek. Ruszył tam i przekroczył rów, by przyjrzeć się z bliska.

- Nie dotykaj! - krzyknęła, widząc, że on już przyklęknął i oczyszcza twarz ze śniegu, najprawdopodobniej niszcząc ślady zbrodni, przynajmniej z tego, co wiedziała z serialu *Kryminalne zagadki Las Vegas*, który namiętnie oglądała. Czekala, przysiadłszy w samochodzie z otwartymi drzwiami, napompowana poduszka powietrzna nie pozwalała jej sięgnąć do radia, a tak bardzo chciała je wyłączyć.

Lemaster wrócił do niej z ponurym wyrazem swojej wąskiej twarzy.

- To nie jest jeleń - powiedział nieomal pocieszającym tonem, kładąc jej swoją drobną, silną dłoń na ramieniu. - To człowiek. A zwierzęta już... no wiesz. - Julia czekała, odczytując z jego twarzy, że tak naprawdę nie to chciał jej powiedzieć. W końcu westchnął ciężko. - Jules, my go znamy.

Rozdział 2

Teriery

I

Oficerowie śledczy byli reprezentacyjni, biali i bardzo uprzejmi, albo tacy już byli z natury, albo z szacunku dla Lemastera, piastującego funkcję rektora uniwersytetu, stanowiącą, jak komentował to z żoną, choć tylko w cztery oczy, a wszyscy inni brali to za pewnik, jedynie kolejny szczebel do bardziej eksponowanego stanowiska. Do domu na szczycie drogi Hunter's Meadow oficerowie dotarli w sobotę tuż przed dziesiątą, w towarzystwie niespokojnego policjanta z maleńkiej obsady w Tyler's Landing, kluchowatego faceta o nazwisku Nilsson, którego kluchowaty syn cztery lata temu uczęszczał na prowadzone przez Julię wykłady z nauk podstawowych - było to w tym samym roku, w którym ona została zwolniona, czy też sama się zwolniła, zależy, jak na to patrzeć - dwa gorliwe teriery z policji stanowej o tak identycznych cichych głosach i krótko ostrzyżonej fryzurze, że mogliby uchodzić za bliźniaków. Tym swoim posępnym i grzecznym profesjonalizmem przypomnieli jej o oficerach marynarki, którzy pojawili się w domu przy ulicy North Balch w Hanoverze, w stanie New Hampshire, w ten październikowy dzień za prezydentury Reagana, i poinformowali matkę oraz ówczesnego tymczasowego ojczyzna Julii, że Jay, jej brat bliźniak, żołnierz piechoty morskiej, zginął w Granadzie. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności Julia, świeża małżonka, a również świeża matka, była akurat w domu, ponieważ dzień wcześniej Mona Veazie obchodziła pięćdziesiąte trzecie urodziny, spędzając je na zabawie ze swoim wnuczkim, Prestonem, który otrzymał imię po ojcu Mony, architekcie. Dlatego też jej córka miała sposobność siedzieć w saloniku i patrzeć, jak częściowo umiera również jej matka.

Zanim oficerowie śledczy zapukali do drzwi domu zwanego Hunter's Heights - bo tutaj każde domostwo miało swoją nazwę - niespodziewany śnieg już przestał padać, a pan Huebner z miasteczka zdążył przejechać pługiem po długim, wijącym się podejździe nie raz, ale nawet dwa razy. Jasne słońce poranka wybuchło z połyskującej bieli z taką energią, że aż oczy od tego bolały. Ale może ten ból miał bardziej zasadniczą przyczynę - chociaż Julia chwilowo przestała płakać, malutka Jeannie, pociągając nosem z przeziębienia, przyłapała

mamusię, jak wścieka się na samą siebie, patrząc w łazienkowe lustro, w którym jej wcześniejsze, szczęśliwsze ja smutno się do niej uśmiechało. Coś takiego nie miało prawa się zdarzyć, mówiła Julia do siebie. A jednak się wydarzyło. Oficerowie śledczy pojawili się jak przypomnienie szarego oblicza tej trudnej prawdy, że każdy kiedyś umrze. Kiedy więc Lemaster ją zawołał, Julia obmyła twarz, poprawiła makijaż i zeszła do nich, aby dowiedzieć się, czego sobie życzą. W czasie tych zaledwie kilku godzin, które minęły od znalezienia ciała, zebrali już sporo informacji. Teraz chodzi tylko o kilka szczegółów, powiedzieli. Parę pytań, drodzy państwo, przepraszamy, że nachodzimy was o tak wczesnej porze, ale jest to śledztwo w sprawie morderstwa. Chyba sami rozumiecie.

Państwo Carlyle, oczywiście, to rozumieci.

Wszyscy usiedli w salonie, w którym Lemaster rozpałił ogień w palenisku, nad którym wisiała przeciętna akwarela przedstawiająca pełnych powagi ludzi na atlantyckiej plaży na Barbadosie, ale panowie śledczy grzecznie podziękowali, nie, niczego nie chcieli się napić. Julia, która pomimo wczesnej pory łąknęła kieliszka wina, poszła za trzeźwym przykładem męża i zadowolona się wodą. Flew, asystent specjalny Lemastera, wspierający swojego szefa w chwili kryzysu, przygotował obfity półmisek z tego, co zdołał znaleźć w domu, jakieś krakersy, zimne przystawki, ser brie - ale poza Julią nikt się nie częstował. Czuli się jak żarłok, obnażony i dręczony wstrzemięźliwością swojego męża. Jeannie, która teraz powinna odpoczywać, najprawdopodobniej siedziała na schodach i podsłuchiwała. Elegancki i kompetentny Flew pewnie też podsłuchiwał, być może z pokoju kredensowego, chyba że właśnie szorował kuchnię, ponieważ nie znosił bałaganu w żadnej postaci, a w szczególności w takiej, która zagrażała życiu jego szefa - za każdym razem kiedy Flew wkraczał do domu na Hunter's Meadow i zaczynał się rozglądać, Julia czuła się zupełnie bezradna, a jednocześnie osądzana. Vanessa siedziała w swoim pokoju, za szczelnie zamkniętymi drzwiami, być może spała, ale równie dobrze mogła też siedzieć przy komputerze, bo opracowała już swoje własne metody grzebania bólu i mąk doczesnych doświadczeń. Podobnie jak powściągliwy Lemaster. Na kominku stała rodzinna Biblia, wysoka na trzydzieści centymetrów, kremowa i natrętna. Obok niej stał Modlitewnik Powszechny, wersja z roku 1928, ponieważ Lemaster Carlyle prowadził tradycyjny anglikański dom i czerpał perwersyjną przyjemność z tego, że zupełnie go nie obchodzi, czy ktoś o tym wie, czy też nie.

Bliźniaki teriery powiedziały, że zdają sobie sprawę, jakie to musi być trudne, ale te ich identyczne oczy mówiły coś zupełnie przeciwnego. Usiedli jeden obok drugiego na importowanej z Włoch, nubukowej sofie, której Lemaster wręcz nie znosił ze względu na jej pretensjonalność, ponieważ sam należał do typowych oszczędnych imigrantów. Kluchowaty

Nilsson przycupnął samotnie na misternym fotelu z oparciem z listewek, jednej z niewielu ruchomości, które Julia zatrzymała z domu Mony w New Hampshire. Podobnie jak stojący we frontowym holu sekretarzyk w stylu Ludwika XV, ten przestarzały fotel pierwotnie pochodził ze słynnej rezydencji jej babci w Harlemlie. Swego czasu, jak twierdziła Mona, przez salon Amarettys Veazie przewijali się wszyscy, którzy coś znaczyli w ciemniejszej nacji a to oznaczało wszystkich aspirujących do stanowisk w tak zwanym Klanie, którego mocno ufortyfikowane granice raz na jakiś czas babcia Vee i jej podobni skrupulatnie patrolowali, żeby złe czarnuchy nie przedostały się do środka.

Julia czasami próbowała wytłumaczyć swoim białym znajomym, czym jest Klan, ale jakoś nie potrafili zrozumieć. Nie dziwiło jej to jednak słysząc, że w jej rodzinie od siedmiu pokoleń dorastali architekci, nawet najczarniejsi ludzie patrzyli na nią ze współczuciem, jakby zagalopowała się, opowiadając o swoich przodkach stawiających własne budy. A przecież naprawdę, jeszcze w dziewiętnastym wieku Veazie & Elden należało do pięciu największych biur architektonicznych na Manhattanie.

Teriery nie wyglądały na zainteresowane historią społeczną środowiska. Ich drobiazgowe pytania padały w tak wolnym tempie, że już samo ich wysłuchiwanie było męczarnią. Wiele czasu zajmowało im przerzucanie kartek notesów. Julia pragnęła ich udusić, a nawet zazwyczaj łagodny Lemaster pod maską uprzejmości zdawał się poirytowany, ale spotkania czarnoskórych Amerykanów i białych policjantów zawsze odbywają się w nieomal wyczuwalnej atmosferze nieuchronnie zbliżającej się tragedii, i nic nie znaczą tu nawet najlepsze intencje obu stron. Julia nie była bynajmniej przekonana o najlepszych intencjach rozmówców, ale w tym momencie jej myśli pędziły w dwustu różnych kierunkach. A oni naciskali. Wciąż pytali, dlaczego małżeństwo Carlyle'ów wybrało tę właśnie powrotną drogę do domu, jakby wątpili w całą historyjkę o córce w kinie. Vanessa, jak zwrócił uwagę chudszy z terierów, została odwieziona do domu samochodem przez swojego chłopaka. Julia tłumaczyła, że ta decyzja nastolatki była sprzeczna z zarządzeniem jej ojca. Lemaster wybaczył jej to wykroczenie, ponieważ rozumiał, że Vanessa martwiła się spóźnieniem rodziców. Ta historyjka nawet Julii wydawała się dosyć wydumana, a śledczy musieli się chyba z tym zgadzać, ponieważ przerywali, wspominając, że Four Mile Road to stary trakt zwózki drewna, biegnący przez teren należący do przedsiębiorstwa wodociągowego i oznakowany zakazem wjazdu.

- Wszyscy jeżdżą tą drogą - odezwała się niepewnie Julia, zanim Lemaster zdążył ją powstrzymać.

- Ale nie wszyscy znaleźli tam ciało - odparł ten chudy.

Nie, ale ktoś to musiał zrobić, już miała z siebie wyrzucić, czując się jak niegdysiejsza studentka teologii, dyskutująca o błędach logicznych synchronii.

- I właśnie dlatego tu wszyscy jesteśmy - rzekł z werwą Lemaster.

Chwila przerwy, podczas której wkroczył mały Flew, świński blondyn pokryty piegami, i przyniósł na tacy po filiżance gorącej czekolady dla wszystkich. Julia przez uprzejmość wzięła podaną filiżankę, ale śledczy podziękowali. Odprowadzili go wzrokiem do drzwi.

Pytali o samochody, które jechały przed nimi, i o samochody, które jechały za nimi, pytali, czy telefony komórkowe nigdy w tym miejscu nie działały, pytali o ślady stóp i ślady opon, pytali, czy państwo Carlyle kogoś widzieli, pytali, dlaczego Lemaster odwrócił wzrok od drogi, pytali, dlaczego dotykał ciała - jako były prokurator z pewnością wiedział...

Na każde pytanie Lemaster udzielał odpowiedzi tonem cichym i pewnym.

Siedząc w tym przeładowanym dekoracjami pokoju, w otoczeniu tej całej pretensjonalności, z której niegdyś słyszał Klan, i dręczona wieloma wspomnieniami, Julia bardzo chętnie pozwoliła mężowi wziąć sprawy w swoje ręce. W tej chwili trudno byłoby jej polegać na własnych myślach. Umykały jej całe fragmenty rozmowy. Chociaż siedziała, miała wrażenie, że chwieje się na nogach. Tej nocy prawie w ogóle nie spała. Dzwoniła do obu chłopców - do Aarona w Phillips Exeter Academy i do Prestona w Massachusetts Institute of Technology - i do tej pory zdążyła już odebrać z ponad dwadzieścia telefonów. Dziennikarzy odsyłała do Flew, który przyjechał bladym świtem i doskonale sobie radził z traktowaniem ludzi z góry. Większość pozostałych telefonów pochodziła od członkiń jej klubu, Biedronki, które, stosownie do nazwy, jak podekscytowane biedronki z trzepotem skrzydeł ściągały na miejsce katastrofy, a każda z Siostrzanych Dam, jakby czytając ze scenariusza, mówiła „przepraszam, że cię budzę”, ale „słyszałam, co się stało” i „chciałam dowiedzieć się, jak się trzymasz” - w rzeczywistości jednak starała się uzyskać informacje z pierwszej ręki, żeby potem porównać je z plotkami, które zaczęły już krążyć po niewielkiej społeczności mieszkających w hrabstwie czarnoskórych Amerykanów należących do klasy średniej i wyższej. W ten właśnie sposób członkinie klubu się nazywały, Siostrzane Damy, podkreślając tym zarówno zażyłość łączących je stosunków, jak i swoją krańcową odmienność. Aby się dostać do ich grona, trzeba było być kimś, jak lubiły mawiać starsze członkinie, choć głównie już tylko wspominając dawne czasy, ponieważ obecnie czarna kobieta mogła zostać kimś w jednym pokoleniu - zupełnie inaczej niż w przeszłości.

Dużo później, gdy nastawała ponura i przerażająca zima, Julia przypominała sobie właśnie tę chwilę - kiedy siedziała w salonie i spoglądała na świeży śnieg, oficerowie śledczy

brnęli przez swoje pytania, a w jej umyśle rodziły się dziwne myśli, myśli o Biedronkach, myśli o babci Vee, myśli o wysłuchiwanym przez całe życie historiach o dawnych czasach w Harlemie, kiedy Klan wciąż jeszcze miał duże znaczenie, nawet dla czarnych ludzi, którzy do niego nie należeli. Julia Carlyle miała wrażenie, że już w ten okropny ranek po odnalezieniu ciała Kellena Zanta wiedziała, że rozwiązanie tej tajemnicy, która wkrótce miała spowić jej całą zranioną rodzinę, leży w pograżonej w mrokach przeszłości ciemniejszej nacji.

II

Przy migoczących na palenisku płomieniach, teriery przeszły do pytań o Kellena Zanta. Państwo Carlyle, oczywiście, wiedzieli, kim był, i od razu to potwierdzili - znali go nie tylko z uniwersytetu, ale również przelotnie, jak się znali prawie wszyscy członkowie Klanu, ponieważ stale widywali się z tymi samymi ludźmi, ciemnoskóry z ciemnoskórym, w niekończącej się karuzeli przyjęć, imprez połączonych ze zbiórką pieniędzy, klubowych potańcówek, klubów książki - chociaż trzeba przyznać, że Kellen Zant, jako biedny chłopaki z Południa, o nieznanym pochodzeniu, nie należał od urodzenia do Klanu i przez całe lata musiał walczyć, żeby się do niego dostać.

- Czy często się państwo z nim widywali? - zapytał jeden z terierów.

- Nieczęsto - odparł Lemaster, zanim jeszcze Julia zdążyła się nad tym zastanowić.

- Ale spotykaliście się na gruncie towarzyskim?

Ponownie odezwał się Lemaster, tym razem wykrętnie:

- To zależy, co pan rozumie pod pojęciem spotkania się.

I z powrotem do swoich notesów, zupełnie nierozbawieni jego odpowiedzią.

- To ważna osoba - odezwali się, w zasadzie nie zadając pytania.

- Był po prostu ekonomistą - odparł Lemaster, dawny mistrz niewypowiedzianych uniwersyteckich przytyków, bynajmniej nie sugerując, że ekonomia nie jest czymś poważnym, ale że Kellen nie był człowiekiem poważnym, bo chociaż cieszył się rozgłosem w tej dziedzinie, w ostatnich latach niewiele pracował naukowo, woląc zarabiać pieniądze na doradztwie dla dużych firm.

- Czy był dobry w swojej pracy? - zapytały bliźniaki teriery, na co Lemaster obdarzył ich swoim najbardziej czarującym uśmiechem i odparł:

- Otrzymał profesurę Tysonów w ekonomii. Jest to jedno z naszych najbardziej prestiżowych fundowanych stanowisk. Nie rozdajemy ich za dobre zachowanie.

Nie chwytając, prawdopodobnie umyślnie, ironii, śledczy zapytali, czy profesor Zant

zawinił złym zachowaniem.

Lemaster miał zwyczaj unosić swoje gęste, nieuporządkowane brwi, dając w ten sposób znać, kto tutaj jest mądrzejszy. Tak też zrobił teraz. Julia nie umiała stwierdzić, czy śledczy na to zareagowali.

- Całej naszej społeczności uniwersyteckiej będzie bardzo brakowało jego mądrości i inteligencji - rzekł, jakby przygotowując mowę pogrzebową albo oświadczenie dla prasy, ponieważ tej nocy cztery razy dzwonił już dyrektor działu informacji kampusu.

Oficerowie śledczy zapisali coś w swoich notatnikach, prawdopodobnie o mądrości Kellena, a może o jego inteligencji, i dalej naciskali. Zapytali, czy miał jakichś wrogów. Państwo Carlyle o niczym nie wiedzieli. Pytali o przypadki skandali czy korupcji. Państwo Carlyle o niczym nie wiedzieli, ale Julia musiała ukryć tajemniczy skurcz mięśni. Pytali o niedawne kłótnie, dyskusje i urazy, pytali o jego relacje z kolegami w pracy, studentami, sąsiadami i znajomymi. Aha, i skoro już o tym mowa, czy przypadkiem profesor Carlyle i profesor Zant nie wdali się ostatnio w publiczny spór?

Julia usiadła wyprostowana, podobnie jak i śledczy, jedynie policjant Nilsson miał tyle przyzwoitości, żeby okazać zakłopotanie. Lemaster zacisnął dłoń na ręce żony, nawet niezdarzącej sobie sprawy z tego, że on ją trzyma, ale z jego zrównoważonego głosu odgadła, że to właśnie ją chce uspokoić.

- Nie. To były tylko głupie wymysły mediów, polujących na historie, które w złym świetle przedstawiałyby Afroamerykanów.

Zapytali czy mógłby im powiedzieć, co tak naprawdę się stało.

- Tej wiosny, przyjmąwszy propozycję pracy, ale jeszcze przed przejściem obowiązków, przeprowadzałem szereg prywatnych spotkań z główną kadrami uczelni. Podczas pogawędki z Kellenem dałem mu do zrozumienia, że tak wybitny ekonomista mógłby bardziej przyczynić się do poprawy świata, gdyby mniej energii zużywał na prywatnych klientów, a więcej na sprawy naukowe. - Zdeprymowany uśmiech. Inteligentne oczy Lemastera były jednak bardziej skupione na błyszczącym fortepianie koncertowym niż na uważnych twarzach terierów. - Kellen powiedział, że się nad tym zastanowi. To wszystko.

Chudszy z oficerów, mężczyzna o nazwisku Chrebet, okazał zainteresowanie.

- Trafiłem na doniesienia, że łączyły panów nie najlepsze stosunki. Chodziło chyba o jakieś prywatne sprawy.

- To bzdury.

- Czytałem w gazecie, że profesor Zant był do tego stopnia rozwścieczony, że rozważał możliwość odejścia z uniwersytetu.

Lemaster odpowiedział swoim starym powiedzonkiem:

- Przedkładam fakty nad wiadomości.

Nikt się nie uśmiechnął.

- To spotkanie miało charakter prywatny?

- Odbyło się w cztery oczy.

- W takim razie jak media się o tym dowiedziały?

Ale Lemaster zdecydował się potraktować to pytanie jako retoryczne. Zerknął na zegarek, upewniwszy się wcześniej, czy policjanci patrzą na niego.

Jeszcze tylko parę pytań, obiecali. Profesor Zant otrzymywał sporo pieniędzy, prawda? Od tych jego prywatnych klientów? Tym razem pytania skierowane były raczej do Julii, która spuściła wzrok i zaczęła bacznie obserwować dość misterny, choć niezbyt wyszukany wzór niezupełnie perskiego dywanu. Wzruszyła ramionami. I z powrotem do Lemastera - Zant wymyślił jakiś wzór czy coś takiego, prawda? To była lepsza metoda analizowania dawnych notowań giełdowych, uwzględniająca rozwój hipotetycznych wydarzeń - odparł Lemaster, jeszcze raz starając się uzyskać nad nimi psychologiczną przewagę. Działo się to jeszcze podczas studiów doktoranckich. Czekali. Lemaster wypełnił powstałą lukę. Równanie Zanta-Feldmana, rzekł, to jedno z największych osiągnięć teorii finansów w ciągu ostatniego półwiecza. Może jednak teriery słyszały o czymś jeszcze większym, ponieważ, zupełnie niewzruszone, tylko sprawdziły coś w swoich notatnikach i dalej zadawały pytania. Nie był żonaty? A może miał jakąś dziewczynę, czy wiedzą coś państwo na ten temat? A może chłopaka? Nie? Czy podejrzewają państwo, kto mógłby chcieć jego śmierci? Państwo Carlyle niezmiennie wyglądali na zdumionych.

- Słyszeli państwo, że znaleźliśmy jego samochód? - zapytał Chrebet.

- Widzieliśmy w wiadomościach - odparł Lemaster.

- W strefie przemysłowej przy drodze numer czterdzieści osiem. Wygląda na to, że zabito go w samochodzie dwoma strzałami w głowę i pozostawiono przy drodze, a następnie zabójca odjechał do strefy przemysłowej i tam porzucił samochód.

- I nikogo nie podejrzewacie?

- Jeszcze nie. - Julia była pod wrażeniem, jak elegancko jej mąż przejął kontrolę nad rozmową, ale on zawsze tak robił. Zaledwie kilka tygodni po przeprowadzce do Landing wybrał się na tłumne zebranie rady osiedla, gdzie zajął miejsce z tyłu sali, samotny przedstawiciel ciemniejszej nacji, jak samo siebie nazywało jego środowisko, i nie minęła godzina, a on już wszystkimi rządził.

- Czy coś zginęło?

- Jego portfel. Klucze. Być może coś jeszcze.

- Napad rabunkowy?

- Możliwe, że to napad rabunkowy. A może tylko upozorowano napad rabunkowy.

Julię ponownie ogarnął niepokój. Na podstawie tego, co widziała w telewizji, spodziewała się, że teraz śledczy zaczną ich wypytywać, gdzie każde z nich było zeszłego wieczoru między ósmą a dziesiątą. Ale zamiast tego pojawiły się zdjęcia. Chrebet wyjął dwie fotografie z plastikowej teczki. Podsunął pierwszą Lemasterowi, który tylko szybko rzucił na nią okiem i przekazał ją swojej żonie, czekając na następną. Julia spojrzała i odwróciła wzrok. Złote audi tt, z którego Kellen był tak dumny, twierdząc, że jest wyposażone we wszystkie luksusy głupców kupujących drogie samochody sportowe, ale jego mniej kosztowało, miało mniejszy przebieg i było bardziej niezawodne. Skórzane fotele miały kolor kremowy, ale na zdjęciu fotel pasażera był czarny od krwi.

- Został zastrzelony w innym miejscu i przywieziony na Four Mile Road - powiedział Chrebet, odwracając stronę notatnika. Przez, pewien czas krwawił.

Dwie kule, pomyślała Julia. Z pewnością wystarczyłaby tylko jedna.

Lemaster więcej czasu poświęcił drugiej fotografii, ponieważ śledczy zapytali, czy przychodzi im na myśl coś, cokolwiek, co wskazywałoby, kto uczyniłby coś tak strasznego.

Chwilę później i ona dostała to drugie zdjęcie, ale teraz już zupełnie nie rozumiała powodu ich pokazywania, chyba że chodziło jedynie o zaszokowanie. Zbliżenie twarzy Kellena, zrobione najprawdopodobniej w kostnicy. Tak, to był on, o ile była w stanie rozróżnić na podstawie tych niewielu nietkniętych części twarzy. Oczy Kellena, zazwyczaj roześmiane i ciemnobrązowe, były zamknięte. Jeszcze z seminarium na uczelni pamiętała, że nie ma takiego odruchu. Kiedy człowiek umiera powoli, wtedy owszem, oczy się zamykają, jak we śnie. Ale w przypadku nagłego, gwałtownego urazu powinny pozostać otwarte. Zmarszczyła brwi. Czy koronerzy zamknęli mu oczy? A może zrobił to zabójca, z uprzejmości. Ale istniała też możliwość, że to ją samą zawodzi pamięć.

- Nie - odparł Lemaster, a Julia zauważyła, że fotografie powędrowały z powrotem do teczki. - Ani moja żona, ani ja nie mamy najmniejszego pojęcia, kto by zrobił coś takiego - powiedział, z lekka przedrzeźniając ich intonację.

Julia znowu czekała na pytanie, gdzie państwo Carlyle byli wczorajszego wieczoru, kiedy doszło do tego wydarzenia.

Ale Chrebet zapytał tylko o przedmiot pracy ekonomisty. Lemaster odrzekł, że jeśli chodzi im o jego pracę naukową, powinni zapytać jego kolegów z wydziału. Śledczy czekali na ciąg dalszy. Dodał więc, że on sam nic o tym nie wie, i spojrział na żonę, która jak echo

powtórzyła to samo. Zapytali, nad czym profesor Zant mógł jeszcze pracować poza działalnością naukową, i ponownie państwo Carlyle nie umieli im pomóc, jak stwierdził Lemaster w imieniu swoim i żony.

Śledczy wymienili między sobą jakiś sygnał: - Ach, bylibyśmy zapomnieli, jest jeszcze jedna rzecz. Pani Carlyle, czy mogłaby pani scharakteryzować swój związek ze zmarłym?

- Związek?

- Czyż w przeszłości nie byli państwo bliskimi przyjaciółmi?

Chwila absolutnej ciszy, podczas której jedynie śledczy nie unikali spojrzeń pozostałych osób w pokoju. Historia spiętrzyła się za nią, gęsta i mocna. Julia przypomniała sobie tę uwodzicielko radosną twarz i skrzący się zachwyty skupiony wyłącznie na niej samej.

- Tak, przez krótki okres. Ale to było, jeszcze zanim wyszłam za mąż.

- Czy może pani powiedzieć nam, kiedy po raz ostatni rozmawialiście ze sobą?

Nie wierzyli jej, to nie ulegało wątpliwości.

- Panowie, czeka nas ciężki dzień - odezwał się Lemaster, a Julia poczuła, jak jej uznanie dla niego rośnie, przybierając kształt miłości.

Przepraszając i dziękując, teriery udały się do wyjścia.

Rozdział 3

Kepler

I

- To miasto to beczka prochu - z satysfakcją w głosie odezwał się Boris Gibbs. - W każdej chwili może eksplodować.

Julia, która jadąc dzisiejszego ranka na wydział teologiczny, nie zauważyła żadnych protestów ani policyjnych oddziałów prewencji, uprzejmie skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Mówiąc „miasto”, Boris miał na myśli Elm Harbor, gdzie znajdował się uniwersytet i gdzie teraz wraz z Borisem jedli lunch, a nie Landing, odległe o prawie pół godziny jazdy samochodem. Landing, w którym oboje mieszkali, oczywiście prawie w stu procentach było białe, miasto natomiast... miasto nie.

- Słuchałem tego radiowca, tego Kwame, czy jak mu tam. On, co prawda, nieco przesadza, ale ma masę słuchaczy, Julio. Masę słuchaczy. Chłoną każde jego słowo, a on, możesz mi wierzyć, potrafi rozgrzać ich do białości.

- Boris chyba liczył na to, że coś się wydarzy. W tych czasach wielu białych liberałów myślało w taki sposób, nie mogli się doczekać, kiedy Afroamerykanie ponownie się obudzą i wyprowadzą lewicę z niebytu. Ale Boris Gibbs nie był liberałem. Trudno było dostrzec, żeby w ogóle miał jakieś przekonania polityczne, czy też uczucia, z wyjątkiem może jednego - intensywnego poczucia samozadowolenia. Rozbieranie na kawałki wydarzeń, ideałów albo psychiki innych ludzi, żeby w nich pogrzebać - to był sens jego życia. Przyciśnięty do muru, przyznałby, że pragnienia bezwzględnej krytyki bliźniego jest grzeszne. Sam mawiał, że było mu to solą w oku. Zdawał się zachwycony, że ma taką przywarę.

- Wierzę ci.

- Pamiętasz tego czarnego profesora, którego kilka lat temu pobili gliniarze z kampusu? A tego nieuzbrojonego dzieciaka zastrzelonego podczas pościgu samochodowego? I do tego te wszystkie typowe codzienne bzdury. Ta sprawa z Kellenem przebrała miarę, wspomnisz moje słowa. Rasizm, z którym w dzisiejszych czasach muszą mierzyć się wasi ludzie, jest naprawdę przygnębiający.

„Wasi ludzie”. Spodobało jej się to sformułowanie, prawie tak samo, jak określenie zabójstwa mianem „tej sprawy z Kellenem”.

- Czytam gazety, Borisie - odparła spokojnym głosem. To był napad z bronią w ręku, a nie zbrodnia nienawiści.

Boris tylko pokiwał głową na jej naiwność, po czym odgryzł wielki i brzydki kęs ze swojego wielkiego i brzydkiego hamburgera. We własnej ocenie był człowiekiem wielkim i brzydkim, miał nalaną różową twarz i wykrzywione, nieszczęśliwe oblicze, świadczące o nieszczęśliwym losie, choć w rzeczywistości był jednym z najszcześniejszych znanych jej ludzi - zawsze mówił, co myśli, dzięki czemu unikał stresu związanego ze skrywaniem uczuć. I Julia, i Boris, pełnili funkcje prodziekanów w Czworoboku Keplera, jak powszechnie nazywano wydział teologiczny, chociaż Boris, jako ktoś w rodzaju uczelnianego historyka, od razu sprostowałby, że Kepler to nazwa budynku, a nie wydziału. Kiedy nie zajmował się zrządzeniem, od czasu do czasu wykladał, ale przede wszystkim zarządzał budżetem wydziału teologicznego, wykazując się w tym zadaniu prawdziwym talentem, jednak rozważna pani dziekan nie wystawiała go na widok publiczny.

- Tak przynajmniej utrzymuje policja - uśmiechnął się znacząco.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, Julio, że jesteś dorosła. Sama musisz zdecydować, w co masz wierzyć.

Julia przełknęła tę ostrą ripostę, choć stanęła jej ością w gardle. Był wtorek i zmęczyły ją już te wszystkie spekulacje na temat Kellena Zanta. Ale cały kampus o niczym innym nie mówił. Niewielu uczelni z Ivy League doświadczyło zastrzelenia profesora, a już na pewno tak popularnego, jak Kellen. W ciągu dwóch dni uniwersytecka gazetka już sześć razy zdążyła wspomnieć, że rektor znalazł ciało swego - jak to konsekwentnie go nazywano - dyżurnego adwersarza. Nawet Kepler nie oparł się temu szaleństwu. Mała Iris Feynman, trzecia prodziekan w ich niedowartościowanym finansowo administracyjnym triumwiracie - do jej obowiązków należało prowadzenie „spraw zewnętrznych”, czyli kontakty z uniwersytetem, z nielicznymi absolwentami, którzy mieli pieniądze, a więc mogliby się nimi podzielić, i jakimś reporterem, który trafiłby tu przypadkiem w poszukiwaniu, powiedzmy, wydziału ekonomicznego - przyszła dzisiaj do biura Julii z plotką, że zrobił to jakiś niezadowolony słuchacz studiów magisterskich. Pewniakiem jednak - przynajmniej zdaniem specjalisty od Nowego Testamentu, starego Claya Maxwella, którego Julia spotkała, idąc pełnym przeciągów wydziałowym korytarzem, żeby napełnić swój kubek do kawy ohydny naparem, stanowiącym szczyt możliwości finansowych Keplera - pewniakiem był zazdrosny

mąż.

- Czy moglibyśmy powrócić do budżetu? - zapytała Julia, ponieważ taki właśnie temat mieli omawiać przy lunchu w jednej z wielu nijakich knajpek w pobliżu wydziału teologicznego. Ich dziekan, Claire Alvarez, zgodnie z poleceniem administratora uczelni zażądała przedstawienia propozycji pięcioprocentowych cięć budżetowych i niczym Scrooge chciała, by dostarczyli te swoje memoranda jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia. Wszyscy w Keplerze wiedzieli, że nadciągają złe wieści. W pobliskim boksie siedziała grupka studentów, niespokojnie spoglądając na dwójkę dziekanów i martwiąc się, który z ich ulubionych kursów padnie ofiarą cięć. W tej chwili dużo więcej energii poświęcano w kampusie szukaniu winnych niż szukaniu rozwiązań problemów i widać było, kto tą winą zostanie obarczony. Julia piastowała funkcję prodziekana do spraw studenckich i jednocześnie pełniła obowiązki prodziekana do spraw rekrutacji - budżet nie przewidywał już odrębnych stanowisk - a za swoją pracę na dwóch pełnych etatach otrzymywała jedną pensję półetatową. Zdążyła już, choć nie bez żalu, przygotować trzy propozycje redukcji na swoim odcinku - pierwsza skonfliktowałaby ją z zagranicznymi studentami, druga oburzyłaby kobiety, a trzecia przekonałaby mniejszości, że Julia, niczym kakaowa markiza Oreo z kremem waniliowym, jest czarna na zewnątrz, a biała w środku. Zresztą i tak w college'u przeżywano ją właśnie w ten sposób.

- Do budżetu? - Boris się roześmiał. - Znowu go obcinają. Jedną ręką gestykulował, w drugiej trzymał hamburgera. Niebo na dworze przybrało barwę sinoblękitną. Julia dostatecznie długo mieszkała w Nowej Anglii, żeby właściwie ten kolor zinterpretować - nadciągały kolejne opady śniegu. To samo zresztą mówili w prognozie pogody. Patrzyła na Borisa wymachującego wypchanym wszelkimi dodatkami świata hamburgerem, który przeciekał. Dookoła skapywały paćkowate sosy. Goście w restauracji odwrócili od nich wzrok. Obok stolika pojawiła się kelnerka, żeby powycierać największy brud i podać Borisowi kolejną puszkę Dr. Peppera. Boris, jak zawsze, zignorował ją, ale słychać z zostawiania dużych napiwków. Zlizął musztardę z grubych palców. Dwie żony odeszły od Borisa Gibbsa. Nietrudno było domyślić się, dlaczego. - Oni zawsze będą nam obcinać budżet. A to dlatego, że nie jesteśmy ani naukowcami, ani kapitalistami, Julio. Nie dzielimy genów ani nie piszemy oprogramowania. Nie budujemy wielkich fortun. My się zajmujemy Bogiem, więc jesteśmy nieistotni.

- Ja jestem naukowcem - odparła z wymuszonym uśmiechem i rzeczywiście była to prawda. Licencjat zrobiła z biologii, a potem przez szereg lat uczyła przedmiotów ścisłych w szkole średniej.

Boris uniósł schodzące mu się nad nosem brwi, jak diabelskie skrzydła. Oczy wylazły mu z orbit, ale tak było zawsze. Chwyciwszy brudną serwetkę, wytarł sobie usta, nawet przy tej prostej czynności głośno siorbiąc. Czasami Julia podejrzewała, że to całe jego zachowanie „jaki to ja jestem obrzydliwy” jest tylko pozą, która ma nie tyle trzymać świat na dystans, co uczynić intrygującym coś, co w przeciwnym razie byłoby nudne. W przeciwieństwie do Julii, Boris w każdym semestrze prowadził również zajęcia i należał do ulubieńców studentów, chociaż wykładał teologię systematyczną, prawdziwą kobyłę, stanowiącą swoisty rytuał przejścia, wprawiający w drżenie przyszłych pastorów. Julia i Boris nie byli przyjaciółmi, ale ta jego uporczywa gburowatość stanowiła dla niej źródło niewyczerpanej fascynacji, dokładnie tak samo, jak jeszcze na studiach fascynowała się pewnym gatunkiem chrząszcza, który zjadał swoje rodzeństwo.

- Dobra, niech będzie. Skoro jesteś naukowcem, pozbieraj to sobie wszystko do kupy. Gdyby to był rabunek, dlaczego zostawiliby samochód? Takie audi jest chyba coś warte, prawda? Prawda? - Na zajęciach w podobny sposób zmuszał do odpowiedzi swoich studentów: „Mówisz o chrystologii czy o soteriologii? No? Czy ty w ogóle widzisz różnicę?” - I po co wywoziliby go na przedmieścia? No? Dlaczego po prostu nie wyrzucili go gdzieś w mieście? Przecież nikt by tego nie zauważył. - Boris rozparł się na krześle, bardzo zadowolony ze swoich argumentów, ale natychmiast zepsuł cały efekt, rozlewając wodę sodową.

- Nie wiem, Borisie - odparła Julia, jakby sama nie spędziła wielu godzin nad tymi samymi pytaniami. - Nie zastanawiałam się nad tym. Przeżyłam bardzo nieprzyjemne doświadczenie i wolałabym o tym wszystkim zapomnieć, zamiast ciągle słuchać, jak wszyscy w kółko stawiają te same pytania. - Długie westchnienie. - Czy mógłbyś teraz spojrzeć na te przygotowane przeze mnie liczby? Wiesz, wydaje mi się, że znalazłam sposób na utrzymanie stanowisk obu moich asystentek. - Boris chciał, żeby zwolniła asystentkę zatrudnioną na pełnym etacie, a zatrzymała tę, która pracowała na pół etatu, ale tego akurat Julia zdecydowanie nie chciała, zważywszy na to, że pełnoetatowa asystentka była jedyną czarnoskórą sekretarką w Keplerze.

- Powiem ci coś jeszcze. Ten twój kolega Kellen podobno miał gorący romans z jakąś mężatką. - Patrzył chciwym wzrokiem. - Ciekawe, z kim.

- Kellen miał same romanse. - Poczwała ciepło na policzkach. - Lubił, kiedy życie wokół niego się zmieniało. Podniecała go tylko przyszłość i jej... możliwości. Mówił, że nie lubi dwa razy robić tego samego. - Julia skrzywiła się i z trudem zamilkła. Jak mogła dać się tak podpuścić swojemu koledze? Kellen mówił o seksie od zawsze, tak się złożyło, że o

seksie z nią. - Boris, proszę, czy mógłbyś rzucić okiem na moje propozycje...?

- Już rzuciłem. Są do niczego. Za bardzo chcesz być miła. Spójrz prawdzie w oczy, Julio. I tak skończy się na tym, że ktoś cię znenawidzi, zgadza się? Dlatego też jeśli chcesz zachować jakąś niezależność, musisz wybrać, kim ma być ta osoba. - Obeznaną ze zwyczajami Borisa kelnerka bez pytania przyniosła trzecią puszkę Dr. Peppera. Jednym długim haustem wypił połowę. - A wracając do tej mężatki. Doszły mnie słuchy, że to nie byle kto. Ona albo jej mąż.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zignorował jej oburzenie. Wycierał palce w strzępy serwetki i nachylił się niżej, zwiększając w ten sposób prawdopodobieństwo, że ją opluje. Wybierasz się więc na pogrzeb do Nowego Orleanu, czy gdzie tam to jest?

- Do Arkadelphii. Tak - odpowiedziała, jednocześnie zastanawiając się, dlaczego znowu spłonęła rumieńcem.

- A nasz szacowny rektor? Będzie reprezentować nasz kraj, wygłosi mowę pogrzebową, zapłacze krokodylimi łzami?

- Lemaster jest zbyt zajęty.

- Szkoda. - I ten jego przerażający uśmiezek. - Potrzebujesz towarzystwa?

- Już mam, dziękuję. - Teraz jeszcze chętniej by od niego uciekła.

- No cóż, niech będzie. Baw się dobrze, jeśli to właśnie się robi na pogrzebach. Jak dzieci to znoszą?

- Nieźle - odparła, sama niezbyt przekonana, czy nie mija się z prawdą. Czy powinna powiedzieć o najstarszym, Prestonie, który wyjechał na studia magisterskie i dzwonił do domu tylko w ostateczności? O Vanessie, której problemów wystarczyłoby na całą książkę? Albo o Aaronie, uczniu dziewiątej klasy, który uciekł do Exeter przed niezdrową atmosferą panującą w domu po aresztowaniu starszej siostry? A co z Jeannie, wyjątkowo zdecydowanej pokazać wszystkim, że jest doskonałą małą księżniczką w rodzinie? Czowała, że cała czwórka odsuwa się od niej, a ból tej straty powodował, że jej myśli kierowały się w coraz bardziej przykre rejony. - Tak naprawdę, to one go nie znały - wyjaśniła słabym głosem. - A przynajmniej niezbyt dobrze.

Boris już zdążył przeskoczyć na inny temat.

- Ach, posłuchaj. Powiem ci coś jeszcze, co słyszałem o twoim znajomym Kellenie. Parę osób w Landing było na niego nieźle wkurzonych.

Boris mieszkał zaledwie milę od Hunter's Heights i uwielbiał rozpuszczać plotki, które czasami były prawdziwe. Julia, mimowolnie, w końcu się zaciekawiła.

- Żli na Kellena? Ludzie w Landing? A co Kellen miał wspólnego z Landing?

- Nie mam pojęcia, ale cokolwiek to było, z pewnością zirykowało to wiele osób.

- Z całym szacunkiem, ale nie jestem w stanie pojąć, jak Kellen mógłby robić w Landing coś, o czym ja bym nie wiedziała. Przecież powiedziałby mi... - Julia przerwała, zmieszana własnymi słowami. Ironiczne spojrzenie kolegi powiedziało jej, że Boris zauważył jej pomyłkę, ale postanowił poczekać z drwinami na bardziej odpowiednią chwilę. - Chciałam powiedzieć, że coś bym o tym słyszała. Wszyscy byśmy słyszeli.

- Chyba że nie chciał, abys się dowiedziała - odrzekł jej kolega i żarłocznie odgryzł kolejny kęs hamburgera.

II

W niedzielne popołudnie dwa dni przed lunchem z Borisem już wszędzie słyhać było ćwierkanie plotkarskich ptaszków. Nie działają na nie żadne strachy na wróble ani siatki. Można nie odbierać telefonów, ale ptaszki pojawią się w telewizyjnych wiadomościach. Można wyłączyć telewizor, ale wyskoczą w Internecie jako skrót najważniejszych wiadomości. Jeśli wyłączysz komputer, zadzwoni telefon - tym razem będzie to słodziutka Tonya Montez, najważniejsza Siostrzana Dama w Harbor County, z zapierającą dech wieścią, że właśnie słuchała jednej z tych stacji skierowanych do ubogiej części śródmieścia i nadających program radiowy z telefonicznym udziałem słuchaczy, bo wracała do domu z porannego nabożeństwa u baptystów („Tak przy okazji, owszem, jestem również bardziej religijna niż ty!”), i w tym programie jego gospodarz, Kwame Kennerly, ogłaszał, że morderstwo Kellena Zanta stanowi ostateczny dowód na otwarcie sezonu polowań na ludzi z afrykańskiej diaspory. Tonya stwierdziła, że rzadko zgadza się z tym, co mówi Kwame, co akurat było kłamstwem, ale w tym przypadku miał rację. Julia próbowała wtrącić słowo, ale nic nie powstrzyma Biedronki, kiedy już rozpościera skrzydełka.

- Tylko poczekaj, a sama zobaczysz - powiedziała Tonya. - Będzie tego więcej.

- Więcej czego? - zapytała Julia, prawdopodobnie nie rozumiejąc istoty rzeczy.

Następna była Donna Newman, którą Julia spotkała tej samej niedzieli, tylko później, podczas zakupów z Jeannie, obok stoiska delikatesowego w Stop & Shop przy drodze nr 48. Donna, która zarządzała połową klubów towarzyskich w Landing - Lemaster mówił o nich Koło Białego Gdakania słyszała, że „tego Zanta” widziano podobno w miasteczku tego wieczoru, kiedy zginął.

- Oczywiście, że tak - odparła Julia.

- To znaczy, zanim ty go znalazłaś. - Rozejrzała się na boki. Podobno był z jakąś kobietą - dodała Donna tonem złowieszczym, chociaż w jego przypadku nie było to nic wyjątkowego.

A potem, w poniedziałek, zadzwoniła Tessa Kenner, współlokatorka Julii z Dartmouth, z którą nie miała praktycznie żadnych kontaktów, a tym bardziej nie widywała się z nią, mogła jedynie oglądać ją w telewizji, gdzie w jednej z sieci kablowych pięć razy w tygodniu Tessa przez dwie godziny czytała wieczorne wiadomości, bynajmniej nie dlatego, że należała do prestiżowego stowarzyszenia Phi Beta Kappa w Dartmouth czy że była prymuską w szkole prawniczej, lecz dlatego, że posiadała te najważniejsze, poszukiwane przez producentów kwalifikacje - blond włosy. Ale w związku z tym, że w tych dawnych złych czasach Tessa dwukrotnie uratowała jej życie, Julia nigdy tak naprawdę nie zarzuciła jej tego, co Lemaster uparcie określał mianem beznadziejnego marnowania talentu.

Okazało się, że Tessa bardziej skupiła się na zadawaniu pytań niż na rozpuszczaniu plotek, a Julia, pomimo całego ciepła, którym darzyła swoją dawną współlokatorkę, wykręcała się od odpowiedzi. Uzgodniły, że Julia musi się odezwać, kiedy następnym razem będzie w Waszyngtonie, a Tessa zajrzy do niej, jeśli zdarzy się jej przejeżdżać przez Elm Harbor, chociaż to się nie zdarzało nikomu. Tuż przed odłożeniem słuchawki, Tessa zadała najgorsze z możliwych pytań.

- A między wami wszystko było skończone, tak? To znaczy, naprawdę skończone?

- Oczywiście.

- Nie było ani śladu, no wiesz, czegokolwiek małego? - Profesjonalny chichot, jakby była dyplomowaną śmieszką. - Żadnych ciekawostek?

- To po to zadzwoniłaś, Tesso? Żeby zapytać o mnie i Kellena?

- Nie pracuję nad żadnym materiałem - odparła gwałtownie, pragnąc zaprzeczyć wszelkim oskarżeniami, których Julia nie wysunęła. Po prostu martwię się o ciebie, to wszystko.

- U mnie wszystko w porządku - skłamała Julia, zastanawiając się, jakie opowieści może Tessa rozpowszechniać na wyższych szczeblach dziennikarstwa telewizyjnego, i czy jej przeszłość powróci, żeby ją w końcu dopaść.

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy za oknami śnieg tańczył jak derwisz, z Francji zadzwoniła Mona - Mona, która nigdy nie rozmawiała przez telefon, bo wiedziała, że jej jest na podsłuchu! - by upewnić się, że jej córka trzyma się tak marnie, jak ona sądzi, a także by zapytać, czy Julia słyszała, że Kellen był jakimś faszystą, zdrajcą pracującym dla zbrodniczych dyktatorów, których Ameryka wspiera na całym świecie.

- Nie - odpowiedziała Julia matce. - Tego akurat nie słyszałam. Ale Kellen był ekonomistą, więc ta opowieść wydaje się wątpliwa. A tak przy okazji, jak się masz?

- Mogę tylko tyle powiedzieć, że bardzo się cieszę, że za niego nie wyszłaś. - Jakby on kiedykolwiek prosił ją o rękę.

Kellen nigdy nie podobał się Monie, podobnie jak nigdy nie spodobał się jej Lemaster - żaden z nich tak naprawdę nie jest jednym z nas, moja droga: jeden za biedny, a drugi za ciemny - i nigdy też nie podobały się jej decyzje córki, żeby wychowywać dzieci na przedmieściu (tam gdzie będą miały białych kolegów) i podjąć pracę na wydziale teologicznym (bo Bóg umarł). Nawet gdyby się bardzo postarała, Julia prawdopodobnie nie znalazłaby w swoim życiu nic, co spodobałoby się jej matce, ale - jak to często bywa - niechęć była obopólna, obie już na zawsze uwięzły w animozjach zrodzonych w okresie dorastania Julii, kiedy Mona mówiła, że jej dzieci nie powinno interesować, który z jej kilku narzeczonych był akurat ich ojcem ani za którego wyszła czy też ile razy.

- Dziękuję za telefon, Mona. Miło cię słyszeć.

- Zatemknisz za mną, kiedy mnie już nie będzie, Julio Anno - tak Mona ją nazywała, kiedy była zirytowana.

- Przyjedź do nas na Boże Narodzenie.

Ale to zaproszenie sprowokowało jedynie pouczenie, że nie należy obchodzić świąt o tak dominującym i kulturowo hegemonistycznym charakterze. Dostało się też nadchodzącemu w przyszłym tygodniu Świętu Dziękczynienia. Stany Zjednoczone Ameryki, przypomniała surowo Mona swojej córce, to źródło największej niedoli na świecie, a składanie podziękowań za błogosławieństwo dla narodu powstałego na rzezi nie jest aktem pobożności, lecz obłudy. Dokładnie to samo wyrażała w nieprzerwanym potoku płomiennych listów wciąż uczynnie publikowanych przez różne magazyny i gazety, których redaktorzy pamiętali, kim jest Mona Veazie, albo kim kiedyś była.

- Tak, oczywiście. Chyba zapomniałam.

- Możesz sobie mówić do mnie tym tonem, Julio Anno. Ale faktów nie zmienisz. Ten twój Kellen był podejrzanym gościem. Był oszustem. Jego interesowały tylko pieniądze. - Chwila przerwy na spodziewany sprzeciw, który się jednak nie pojawił. - To prawda, moja droga. Sama zobaczysz.

- To nie był żaden mój Kellen - odrzekła Julia, chociaż w rzeczywistości kiedyś, dawno, dawno temu, był.

Po lunchu z Borisem nie udała się z powrotem do gabinetu, ale na parking, ponieważ w wypadku wyszczerbiła sobie ząb i umówiła się na wizytę u dentysty. Na chwilę wpadła w panikę, nie mogąc znaleźć escalade, ale zaraz przypomniała sobie, że jest w warsztacie, czekając na wymianę deski rozdzielczej, poduszek powietrznych i zderzaka. Do pracy przyjechała starym niezawodnym volvo kombi, w miedzianym kolorze i średnio porzewiałym, wyprodukowanym w czasach, kiedy drzwi otwierało się kluczykiem, a poduszki powietrzne należały do bliżej nieznanych luksusów. Od dnia, w którym zdobyła prawo jazdy, do dnia, kiedy podpaliła mercedesa, głównym kierowcą kombi była Vanessa. Obecnie nie wolno było jej siadać za kierownicą. Julia zawahała się, zanim wsiadła do samochodu. Parking był zatłoczony - wydział teologiczny dzielił go z wieżowcem Nauk Społecznych Hillimana, szkaradnym potworem o szklanych ścianach, stojącym po drugiej stronie ulicy Hudson, która niczym rzeka rozdzielała dwa sposoby postrzegania świata. Kiedy kilka lat temu Lemaster otrzymał zaproszenie do Keplera na wykłady poświęcone rozdziałowi kościoła od państwa, tłumaczył, że szkoła teologiczna powinna stanowić „wyspę transcendentnej przejrzystości na morzu świeckiego chaosu”. Nieopatrznie powtórzyła te słowa Kellenowi, a on tylko się roześmiał. „Każda dziedzina nauki uważa, że jest malutką wysepką obdarzoną wyłącznym dostępem do prawdy, Julio” wyśmiał ją. „W wypadku wydziału teologicznego jedyna różnica polega na tym, że nawet wasi absolwenci z tym się nie zgadzają”.

Minęło jakieś dwadzieścia lat, odkąd postać Kellena nagle rozmyła się, a ostatecznie stała się wyłącznie ciężarem. Dwadzieścia lat małżeństwa, dwadzieścia lat macierzyństwa, czternaście tu, w mieście, i ostatnie sześć w Landing. Zbudowali ten swój pretensjonalny dom z zarobionych na doradztwie pieniędzy Lemastera i ze sporej części jej spadku po babci Vee. A teraz, po sześciu miesiącach sprawowania przez Lemastera funkcji rektora uniwersytetu, przygotowywali się do przeprowadzki do starej posiadłości, którą można było stąd dostrzec za rusztowaniami, daleko w dole.

Nagle przyszło jej na myśl, że ta posiadłość również stoi w cieniu wieżowca Hillimana.

Julia spojrzała w migoczące zielone szyby. Przestronne biuro Kellena znajdowało się wysoko, na szóstym piętrze budynku Hillimana, tam gdzie potentaci mogli z góry spoglądać na wszystkich innych, ponieważ ulica Hudson biegła w dół ku bezładnej gotyckiej zabudowie kampusu. Julia nikomu słowem nie wspomniała, że ze swojego położonego na pierwszym piętrze biura widzi okna biura Kellena, ale podejrzewała, że on sam o tym wiedział. Nauczyła się nie zerkać tam zbyt często. Ale w tej chwili patrzyła w tamtą stronę, zastanawiając się, co

ekonomista mógł robić w Landing, że tak zirytował mieszkańców, i dlatego ukrywał to przed nią, skoro zwykle dzwonił do niej pod byle pretekstem.

- Przepraszam, czy pani wyjeżdża? Bo ja chyba jestem przyblokowany.

Odwróciła się. Zobaczyła czekającego za nią niecierpliwie jakiegoś mężczyznę po czterdziestce, który trzymał drzwi do swojego bmw. Rozpoznała go - słynny antropolog, stale występujący w telewizji PBS, a do tego uznany działacz polityczny. Z tonu jego głosu wywnioskowała, że on sam nie ma pojęcia, kim jest Julia ani dlaczego swoim zabytkowym volvo zablokowała uczelniany parking. Rzadko kto zauważał czarnych mężczyzn w kampusach uczelni Ivy League, nawet ich najbardziej liberalni koledzy, ale czarne kobiety były całkowicie niewidzialne. Szalona matka Julii, kiedy jeszcze wykładała w Dartmouth, poświęciłaby chwilę na zruganie profesora, po czym najprawdopodobniej skończyłaby z nim w łóżku, ponieważ miała słabość do białych mężczyzn w ogólności, a intelektualistów w szczególności. Ale Julia w tym momencie do nikogo nie czuła słabości.

- Przepraszam - rzuciła i wsiadła do samochodu.

Rozdział 4

Mary

I

Aby dostać się do miejscowości Arkadelphia w stanie Arkansas, trzeba polecieć do Little Rock, a potem wynająć samochód i jechać w nieskończoność, przemierzając płatną autostradę z ciężarówkami wiozącymi drzewo z wyrębu, ciężarówkami sieci Wal-Mart, ciężarówkami budowlanymi i ciężarówkami z produktami rolnymi, i tymi bezimiennymi, anonimowymi kolosami, które ryczą na ciebie zniecacka, domagając się, byś przyspieszyła albo zjechała im z drogi, a najlepiej zrobiła jedno i drugie, a potem przetaczają się obok w majestatycznym gniewie, na osiemnastu, dwudziestu, a czasami zdawałoby się pięćdziesięciu kołach, a podmuch powietrza kołysze twoim niemrawym wynajętym samochodzikiem. Nalepki na zderzakach obwieszczają, że ich właściciele do krwi ostatniej będą bronić prawa do posiadania broni. Radiowi kaznodzieje wydają się głośniejsi, niż wtedy, kiedy ostatnio zdarzyło ci się nastawić jedną z ich stacji. Nie ma wyraźnego ograniczenia prędkości. Mijasz znaki reklamujące kościoły, figury reklamujące kościoły i jasno oświetlone krzyże reklamujące kościoły, a na większości znaków znajdują się również emblematy z amerykańską flagą, w przeważającej większości niczym się nieróżniące od wielu transparentów zagrzewających partię republikańską do walki, i w końcu pojmujesz, że Nowa Anglia na pewno została gdzieś daleko za tobą.

W normalnej sytuacji Julia Carlyle, czując się teraz dziwnie wyzwolona, chłonęłaby te wszystkie obrazy zafascynowana, ponieważ naukowe doświadczenie ze studiów licencjackich nauczyło ją obserwować. Tym razem jednak była rozkojarzona, wciąż jeszcze próbowała poradzić sobie z emocjami rozbudzonymi przez nagłą śmierć mężczyzny, do którego dawno, dawno temu czuła płomiennie pożądanie, zabójczy gniew oraz niemal wszystkie uczucia pośrednie. Kellena spotkała, kiedy była zaledwie w wieku Vanessy, na pierwszym roku w Dartmouth. Młodszy, mniej wybitny i wart grzechu Kellen Zant, słuchacz studiów magisterskich, był wówczas asystentem prowadzącym zajęcia z propedeutyki ekonomii. Julia zajrzała pewnego popołudnia do jego gabinetu, szukając pomocy w narysowaniu krzywych

obojętności i - jak mawiała babcia Vee - marzenia wkrótce się ziściły.

- Mamo, żyjesz? - zapytała Vanessa, siedząca obok niej na fotelu pasażera w wynajętym mercurym sable. Jej piękna brązowa twarzyczka, smukła i wyrazista, pozostawała niesamowicie spokojna za burzą roztrajkotanych, ozdobionych koralikami warkoczyków.

- Hm?

- Kiedy prowadzisz, nie powinnaś myśleć o niebieskich migdałach.

Julia zdawała sobie sprawę z tego, że córka na poły się z nią drażni, na poły się skarży, ponieważ sama od lutego nie siedziała za kierownicą, a przynajmniej zgodnie ze stanem wiedzy rodziców. Zgoda na jej wyjazd na pogrzeb była wspaniałym pomysłem Vincenta Brady'ego, służącym, jak powiedział, ponownemu zbliżeniu matki i córki. Ojciec sprzeciwiał się wyjazdowi, ale w trójkę go przekonali. Nawet nie tyle zmęczyli Lemastera, co dali mu to, czego najbardziej potrzebował - kogoś, kogo można by obwinąć, jeśli coś się nie uda. Co się tyczy dwudniowej nieobecności Vanessy w szkole, dziewczynka jest na tyle inteligentna, że nie będzie to miało specjalnego znaczenia, a jednocześnie na tyle drugoplanowa, że jej absencja nie zostanie zauważona.

Doskonała Jeannie spała u koleżanek, korzystając z przyjemności w tej chwili niedostępnej Vanessie.

- Nie myślę o niebieskich migdałach - powiedziała Julia, zjeżdżając na prawy pas, żeby przepuścić przetaczający się ciągnik siodłowy z przyczepą. Gnane wiatrem obłoki powodowały, że bładniebieskie niebo zdawało się bardzo odległe. Ciepło stanowiło dla nich przyjemną niespodziankę. - Po prostu myślę.

- O Kellenie?

- Wydaje mi się, kochanie, że chciałaś powiedzieć „o profesorze Zancie”.

- Wszystko jedno.

Julia nieomal zatrzymała samochód na środku autostrady.

- Nie. To akurat nie jest wszystko jedno. To kwestia...

- Szacunku dla starszych. Wiem. - Vanessa opuściła szybę po swojej stronie i położyła ramię na drzwiach. Miała na sobie granatową sukienkę i perły, ale Julia długo musiała przekonywać ją do tego stroju; gdyby tylko matka się zgodziła, nastolatka przyjechałaby w dżinsach i drewniakach. Osobowość Vanessy przejawiała się w jej dziwactwach. Zeszłej jesieni dwa razy zdołała się wymknąć do szkoły w ubraniu włożonym na lewą stronę i tyłem do przodu, zanim ją przyłapali. Ten pomysł zaczerpnęła z pewnej piosenki, jako protest przeciwko konformizmowi. - Mamo? A ty go szanowałaś?

- Szanowałam? Kogo? Kellena? - To coś nowego.

Ale jej córka, chichocząc, nie dała jej czasu do namysłu.

- Wydaje mi się, że chciałaś powiedzieć „profesora Zanta” - powiedziała. - Tak czy owak, nie wydaje mi się, żeby on zasługiwał na jakiś specjalny szacunek.

- Daj spokój, kochanie, przecież prawie go nie znałaś.

- Może nie, ale słyszałam, co wyście z tatą o nim mówili.

Lemaster, pomyślała Julia, zauważając zjazd z autostrady. Nie my. Lemaster. Ja nigdy przy dzieciach nie rozmawiałabym o Kellenie. Ale jakaś część jej własnej osoby mówiła, że przez ostatnie dwadzieścia lat nie było chyba jednego dnia, żeby ten niespokojny, zachwycający, urzekający, pobłażliwy, amoralny Kellen Zant nie absorbował jej najskrytszych myśli.

II

Podobnie jak na autostradzie, w niewielkim miasteczku Arkadelphia na każdym kroku widać kościół. Może nie dosłownie, ale przyjeżdżając tu po raz pierwszy, trudno oprzeć się takiemu wrażeniu, ponieważ wygląda na to, że na każdym rogu stoi kościół, i chociaż większość to świątynie protestanckie, są tu również obecne wszystkie inne większe wyznania.

Prowadzona przez system nawigacyjny NeverLost, stanowiący standardowe wyposażenie wynajętego w firmie Hertz samochodu, Julia minęła wspaniałe wiktoriańskie domy i chaotycznie postawione rancza, a także domostwa tak małe, że wyglądały jak budy. Na gankach tych bud siedziała smętna miejska biedota, przygnębiona i przytłoczona, i to zarówno czarna, jak i biała. Biedota białych stanowiła oblicze Ameryki w zasadzie Julii nieznanie.

Aby dotrzeć do kościoła, przejechała obok jakiegoś magazynu, wcisnęła się w wąską boczną uliczkę i przy szkole podstawowej z czerwonej cegły skręciła ostro w lewo. Kościelny budynek był mały, schludny, drewniany i pobielony, natomiast sama ceremonia żałobna hałaśliwa i płaczliwa. Trumna była zamknięta. Niezbyt liczna rodzina siedziała z przodu. Na honorowym miejscu Seth Zant, niestrudzony stryj, bohater wszystkich opowieści Kela o dzieciństwie. Kellen nie znał swojego ojca, więc między nim a Julią utworzyła się wspólna bolesna płaszczyzna do rozmów, ponieważ on, w przeciwieństwie do Lemastera, nie wierzył bezgranicznie, że skrywanie własnych cierpień jest najwyższą cnotą. Kiedy nastoletnia matka Kellena zmarła z przedawkowania, w jego życiu pojawił się Seth. Niepiśmienny mechanik samochodowy wraz ze swoją obecnie już nieżyjącą żoną, Sylią, zajął się wychowaniem tego niezwykłego chłopca, który przez całą szkołę podstawową uzyskiwał najlepsze wyniki w

nauce. Niewiele mieli ze sobą wspólnego. Powolny i tyczkowaty Kellen miał ten swobodny wdzięk, z którym jedni się rodzą, a inni przez całe życie im go zazdroszczą. Z kolei Seth był przysadzisty i krępy, środek ciężkości jego ciała znajdował się nisko nad ziemią, jakby miało to zwiększyć jego szanse na przetrwanie w tym okrutnym świecie. Trudno było określić wiek jego niedzielnego garnituru, ale nosił go z dumą. Pozostałą część ławki ozdabiała ciotki i kuzyni. Za nimi siedziała Nadia, była żona Kellena. Plama jasnorudych włosów znaczyła miejsce zajmowane przez tę specjalistkę komputerową z Doliny Krzemowej. Trzymała za rękę posępnego chłopczyka mniej więcej dziesięcioletniego, zapewne syna, o którym Kellen często mówił, ale którego Julia nigdy nie poznała. Nadia i Kellen pobrali się w Stanford, gdzie on przez pięć lat wykładał. Małżeństwo trwało bardzo krótko, do momentu, kiedy Kellen ponownie nie znalazł pracy na Wschodzie, ponieważ on nie należał do ludzi, którzy pragną się ustatkować; w końcu Kellen był tym Kellenem, twórcą Zanta-Feldmana, i wszystkie wydziały ekonomii składały mu propozycje. Postanowił przenieść się do Elm Harbor, a Julia postanowiła nie zastanawiać się, dlaczego tak zrobił.

- Mamo - odezwała się Vanessa, prawie dotykając ustami jej ucha. Siedziały w jednej z ostatnich ławek, nie chcąc nikomu przeszkadzać, chociaż Julia zauważyła, że Seth ją dostrzegł. Niewielki budynek wypełniony był najwyżej w połowie, ale panował tu taki hałas, że aż krokwie drżały. Od dziesięciu lat modląc się w surowym i tradycjonalistycznym wyznaniu anglikańskim, Julia nie była przygotowana ani na długość, ani na żar tego nabożeństwa. Pastor, utykający mężczyzna o potężnej klatce piersiowej, zdawał się mówić godzinami, ciągnąc za sobą chorą nogę, galopował tam i z powrotem z przodu kościoła - nie było tam ołtarza, a przynajmniej niczego, co zdaniem Julii odpowiadałoby temu określeniu - a wierni wspierali go, głośno wykrzykując „alleluja” i „amen”. Rozbrzmiewało pianino, śpiewy i klaskanie. Kilka kobiet próbowało przygrywać na tamburynach, nieustannie i niewprawnie. Paru krewnych zemdląło. Nie przypominało to modlącego się Klanu, ale Vanessa się wciągnęła i stojąc, kołysała się, klaskała i śpiewała, chociaż zupełnie nie znała słów. Julia zdążyła już zapomnieć, jak radosna potrafi być wiara, a może nigdy tego nie wiedziała, ponieważ wydział teologiczny, na którym kiedyś studiowała, a teraz pracowała, stale pograżony był we mgłę ideologii i metodologii historyczno-krytycznej, nieświadom, że Bóg może budzić taką radosną ekscytację, chyba że stanowi ten irracjonalny dodatek, jak sądzono na kampusie, do polityki Partii Republikańskiej.

- Mamo! - powtórzyła Vanessa, tym razem głośniej.

- Ciszzej, kochanie. O co chodzi?

- Popatrz.

- Gdzie?

Vanessa wyciągnęła smukłą rękę, wskazując gdzieś za swoją matkę, w kierunku jedyne białego żałobnika niespokrewnionego z Nadią, kobiety sprawiającej wrażenie bezwzględnej, z gęstym kołtunem czarnych włosów na głowie i okrytej kosztowną chustą zawiązaną tak niedbale, że Julia uznała, iż nieznajoma musiała się nią owinać w jadącym pojeździe, a na pogrzeb zdążyła w ostatniej chwili - gdy tymczasem była już tu, kiedy one przyjechały.

- Co ci się w niej nie podoba? - zapytała Julia łagodnie, z grzeczności starając się nie patrzeć zbyt natrętnie. Kobieta sprawiała wrażenie ogromnie rozdrażnionej, jakby tego dnia nic jej nie wychodziło, ale wiązanie fioletowej jedwabnej chusty Hermesa w samochodzie musiało wywołać taki efekt.

- Ona chyba niezbyt go lubiła.

- Ona co? - Siedząca dwie ławki przed nimi tęga ciemnoskóra matrona, przystrojona w wymyślny odświętny kapelusz, odwróciła się do nich i spiorunowała je wzrokiem. Julia skuliła się, zażenowana - I mów ciszej.

- Kellena. Ona nienawidziła Kellena.

Podobnie jak połowa kobiet, z którymi chodził albo próbował chodzić.

- Profesora Zanta albo pana Zanta. A czemu tak sądzisz?

- Przyjrzyj się jej twarzy, mamó - wyszeptwała Vanessa, która posiadała zarówno talent swojej matki do rozpoznawania prawdziwego charakteru ludzi, jak i przekonanie ojca, że trzeba być największym głupcem, żeby nie zgadzać się z wnioskami tak błyskotliwego umysłu. - To nie jest wyraz pełen żalu za zmarłym. Tak raczej wygląda ktoś, kto chce się upewnić, że on nie żyje, że nie trzeba go znowu zabijać.

- Daj spokój, kochanie. Po cóż ona by tu przychodziła, jeśli nienawidziła Kel... profesora Zanta.

Vanessa nie odrywała wzroku od tej kobiety, nie zważając na protesty matki. Dwa razy zdawało się, że zaraz coś wytłumaczy. Ale chociaż od pożaru minęło już dziewięć miesięcy, Vanessa, choć tak urocza i roztrajkotana, chwilami wciąż pograżała się w swoich zagmatwanych myślach i nie umiała ich wyrazić słowami. Opuściwszy ostry podbródek, oparła się o wytartą ławkę i zamknęła oczy w zakłopotaniu, które z pozoru wyglądało jak modlitwa.

Przed kościołem, w słonecznym blasku, kiedy Julia zaczęła przemieszczać się od jednej grupki roztrajkotanych krewnych do drugiej, przedstawiając się jednak wyłącznie swoim imieniem i mówiąc, że jest przyjaciółką z dawnych lat, straciła z oczu swoją córkę. Znikanie należało do specjalności Vanessy. Vincent Brady uznał ten zwyczaj za coś naturalnego i wynikającego z potrzeby niezależności i panowania nad sytuacją, ale Lemaster twierdził, że dziewczyna jest niesubordynowana. Julia postanowiła nie wpadać w panikę, stwierdziwszy, że w obcym miasteczku Vanessa nie może zbyt oddalić, i podeszła do Nadii, żeby złożyć jej kondolencje. Była żona spojrzała na nią surowym wzrokiem złocistych oczu. Jakikolwiek poglądy miała na co dzień, widać było, że męczy ją ten nadmiar żywiołowej czerni. Julia od razu zrozumiała, że kobieta nie potrzebuje kolejnych uścisków, i tylko podała jej dłoń. Kiedy Nadia usłyszała jej imię, wyraźnie zeszywniała. Chociaż Kellen i Nadia nie spotkali się ze sobą w czasach, kiedy między nim a Julią było to, co było, kobieta wyglądała na gotową do walki. Julia zastanawiała się, co i kiedy Kellen mógł powiedzieć swojej żonie. Czar, który rzucał na kobiety, częściowo polegał na tym, że zawsze wierzyły jego słowom. Nawet jeśli miały przerażającą świadomość, że absolutnie nie powinny tego robić.

Julia przez chwilę porozmawiała z umęczonym Sethem, który poprosił ją, żeby później przyszła do jego domu. „Mam coś, co Kellen by chciał, żebyś ty miała”. Mówiąc to, łypnął dziko okiem, jakby dawał znak, że warto poświęcić czas na tę wizytę. Teraz już wiedziała, gdzie Kellen tego się nauczył. „Strój dowolny”. Odwracając się, Julia dojrzała roześmianą Vanessę w grupce rówieśników i młodszych dzieci w pobliżu bocznej ściany kościoła. Stał z nimi wychudzony syn Nadii. Śmiał się ze wszystkiego, co tylko Vanessa mówiła. Julia też się uśmiechnęła. Ludzie zawsze zachwycali się jej córką przy pierwszym spotkaniu, a nawet przy drugim, ale przy trzecim często dochodziło do katastrofy. Uśmiech powoli zniknął z ust Julii, kiedy przypominała sobie to swoje nad wiek rozwinięte dziecko, które uwielbiało grę na pianinie, balet i szkółkę niedzielną, zamiast słodczy pożerało książki z krzyżówkami, anagramami i innymi rozrywkami umysłowymi i którego specjalny uśmiech był zarezerwowany wyłącznie dla mamy. A po chwili, chociaż starała się pohamować, myśli powędrowały do tej strasznej lutowej nocy, kiedy Vanessa spaliła mercedesa.

Lemastera jak zwykle nie było wówczas w miasteczku i Julia sama musiała stawić czoło tym pierwszym godzinom. Policjant, który stawiał się na wezwanie, trzydziestolatek z twarzą niemowlaka, nigdy w życiu czegoś takiego nie widział, ponieważ Landing nigdy nie było świadkiem żadnego poważniejszego przestępstwa i zapytał Vanessę, co zrobiła i dlaczego to zrobiła, postępując w sposób niewątpliwie niezalecany przez sądy i niewątpliwie niedopuszczalny, ale mniejsza o to, ta sprawa nigdy nie trafi do sądu. Uczennica, która

jeszcze niedawno miała z góry na dół same szóstki, a obecnie najwyżej oceny dobre z minusem, wzruszyła jedynie swoimi szczupłymi ramionami i odwracając wzrok, głosem matowym od utraconej nadziei powiedziała: „A dlaczego nie?”. A potem, patrząc na pożogę, z nadgarstkami pokrytymi smugami krwi i z błakającym się w kąciku ust cieniem uśmiechu, dodała: „Czyż to nie jest wspaniałe?”. W szpitalu na dwa dni przypięto ją pasami do łóżka, serwując kolejne środki uspokajające, aż udało się dobrać odpowiednią dawkę. W oczekiwaniu na powrót męża, Julia siedziała w korytarzu z Siostrzaną Damą, czy nawet dwiema, słuchając głosu Vanessy, która błagała, żeby znalazł się ktoś, ktokolwiek, proszę, no proszę, kto by przyszedł i ją zabił.

- Julia? - usłyszała cichy głos. - Pani Carlyle?

Czując ulgę, że ktoś przerywa jej rozmyślenia, odwróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z tą rozczochraną kobietą, która siedziała w ławce niedaleko nich. Gdzieś zniknął ten jej gniew, ale czerwien ziemistych policzków świadczyła o tym, że dyżurował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chusta od Hermesa zdawała się jeszcze bardziej wykrzywiona niż wcześniej. Kobieta wyglądała na rówieśniczkę Julii, a jej sposób bycia świadczył o tym, że wiele w życiu widziała.

- Czy myśmy się już spotkały? - zapytała Julia, wyniośle jak jej matka, ponieważ nikt obcy nie miał prawa zwracać się do niej po imieniu. - Pani... hm...

- Mallard² - odparła kobieta, a Julia stwierdziła, że w stroju nieznajomej widać jakiś ptasi nadmiar ozdób, rozchylone usta zdawały się gotowe, by zakwakać, a połyskliwe dłonie głaskały rękę Julii niczym piórko. - Mary Mallard.

- Skąd pani знаła Kellena?

- Chodzi pani o to, co ja tu robię, skoro jestem biała? Julia zarumieniła się, wywołując uśmiech na kaczym obliczu Mary Mallard. - Nie jestem jedną z jego kobiet, jeśli o tym pani myśli. Nie, nie, my pracowaliśmy razem nad pewnym projektem. Nie ukończyliśmy go. Co za szkoda. - Długi, płaski podbródek powędrował w górę. - Nie była pani na czuwaniu.

- Przyleciałyśmy dopiero dzisiaj rano - wyjaśniła Julia, mimowolnie się usprawiedliwiając. Kimkolwiek była z zawodu Mary Mallard, doskonale wprawiała ludzi w zakłopotanie.

- Wiem. Spodziewałam się pani wczoraj wieczorem.

- Pani się mnie spodziewała?

Żalobnicy pakowali się do stojących przy krawężniku samochodów, aby udać się w

² Ang.: kaczka krzyżówka (przyp. tłum.).

plączliwą podróż na cmentarz. Mary Mallard bawiła się swoją chustą.

- Zdążyłam zebrać jedynie jeden fragment. Brakuje mi jeszcze trzech pozostałych.

- Fragmentów czego?

- Nadwyżki.

Julia czuła się jak kretyn na zjeździe geniuszów, ale może to z powodu ostrego słońca.

- Przepraszam, ale nie rozumiem, nadwyżki czego?

- Zajmuję się pisaniem, pani Carlyle. Trochę dziwi mnie, że pani o mnie nie słyszała. -

W ustach kogoś innego zabrzmiałoby to jak uzalanie się rozkapryszonej osoby, ale Mary tylko przedstawiała fakty. Chociaż wbijała palce w splątane włosy, nie dawało to żadnego efektu. Wydatne usta nadawały jej twarzy komiczny wygląd, ale Julia zdawała sobie sprawę, że to tylko pozory. Mary Mallard była kobietą bardzo poważną, a jej przejrzyste, sceptyczne oczy potrafiły z miejsca rozpoznać kłamstwo. - Zajmuję się dziennikarstwem śledczym.

Zmęczony umysł Julii w końcu odnalazł to imię i tę twarz w setkach bezsennych godzin spędzonych późną nocą na oglądaniu programów talk-show.

- Pani pisze książki o tych wszystkich skandalach. Kto zabił Johna Kennedy'ego. Spisek przeciwko Martinowi Lutherowi Kingowi. Tego typu rzeczy. Spiskowe teorie dziejów.

- To prawda, lubię bliżej się przyjrzeć sprawom, które reszta mediów wolałaby głęboko zakopać.

- Obawiam się, że żadnej nie czytałam. Szczerze mówiąc, nie przepadam za...

- Proszę darować sobie tę całą pieprzoną wyższość wychowanków Ivy League. -
Wciąż ten sam spokojny ton, jakby podawała prognozę pogodny. Stojąca w pobliżu kościoła Vanessa rzucała ukradkowe spojrzenia w stronę matki, widać było, że też chciałaby posłuchać słów tej kobiety. - Kellen w pełni mi ufał. I pani też powinna.

- Ale w jakiej sprawie powinnam pani zaufać?

- Daj spokój, Julio. Chodzi o tę nadwyżkę. O przejęcie nadwyżki. Tak to nazywał Kellen.

- Nie rozumiem.

- On mówił, że funkcje użyteczności klienta są współzależne, a to miało pomóc mu zgarnąć tę nadwyżkę. Częścią nadwyżki podzielił się ze mną. Powiedział, że ty będziesz miała resztę.

Julia pokręciła głową.

- To dla mnie coś zupełnie nowego. A poza tym, jest to język zupełnie dla mnie niezrozumiały.

- Kellen miał bliznę na twarzy. O tutaj. - Delikatne palce dotknęły policzka Julii pod

prawym uchem. Zadrżała, ale nie z powodu tych pieśczoł, tylko poruszona wspomnieniem. Dokładnie wiedziała, gdzie znajdowała się ta blizna i jak powstała - zrobiła ją własnymi paznokciami. Próbowła, mając swoje powody, wydrapać Kellenowi oczy. Kilka lat temu podczas wywiadu telewizyjnego, kiedy zawzięcie kłamał na temat swojego dzieciństwa, nazwał tę bliznę pamiątką z wojen gangów. - To tylko takie małe białe kółeczko. Trudno je zauważyć, jeśli się o nim nie wie. Ale Kellen mi je pokazał.

- Rozumiem.

- Mówię ci o tym, bo chcę, żebyś mi zaufała. Naprawdę byłam bardzo blisko z Kellenem. Julio - mogę się tak do ciebie zwracać? - myśmy naprawdę współpracowali.

- Skoro tak mówisz.

- Rzecz w tym, że on dał mi tylko jedno zdjęcie. - Przeszła z nogi na nogę i wyciągnęła paczkę papierosów z torebki, ale rozejrzawszy się dookoła, zwalczyła nałóg. - Ale samo zdjęcie to za mało. Ono niczego nie dowodzi. Kellen o tym wiedział. Mówił, że to tylko zachęta. Bo co z tego, że on spał na sofie?

Julia zaczęła się zastanawiać, czy jest bardziej ociążała, niż sądzi, z powodu wczesnej pobudki i długiej jazdy samochodem, czy też słowa tej dziennikarki rzeczywiście są tak niedorzeczne. - Przepraszam, pani Mallard. To znaczy Mary. Nie bardzo rozumiem, o czym mówimy.

Kacze usta powędrowały w dół.

- Naprawdę? Ach, no to wielka szkoda.

- Ale dlaczego?

- Sądziłam, że będziesz miała pozostałe trzy fragmenty. Kellen na pewno tak mówił.

- Gdybyś powiedziała mi, o jakie trzy fragmenty chodzi...

Mary pokręciła głową.

- Jeśli mnie okłamujesz, to twoja sprawa. A jeśli nie... - Wzruszyła ramionami. - W każdym razie, miło cię było poznać.

- Ale...

Pisarka zdążyła już stanąć do niej tyłem. Nagle znowu odwróciła się na pięcie.

- Nie wybieram się na cmentarz, Julio. Chyba mam już dość Kellena.

- Ściągnęła krzaczaste brwi. - Jest tylko jeden problem. Jeśli ty nie masz tych pozostałych trzech fragmentów nadwyżki, to kto je ma? - Pokręciła głową zdziwiona. - A był taki pewny swego.

Rozdział 5

Ta, która się wymknęła

I

Wracając z cementarza, Julia i Vanessa udały się na North Tenth Street do znajdującego się tam pięknego pensjonatu w stylu wiktoriańskim, żeby wziąć prysznic i przebrać się w pokoju o rozmiarach komnaty i umeblowanym w sposób skromny, ale zarazem z takim smakiem, że człowiek odnosił wrażenie, iż przebywa na świeżym powietrzu. Vanessa zachwyciła się złotym liściem na fazowanym łazienkowym lustrze, które wprawne oko Julii określiło na dziewiętnasty wiek, styl Ludwika XVI, najprawdopodobniej ręcznie wykonane w Nowym Orleanie i z pewnością sporo warte. Przez chwilę nawet zastanawiała się, czy nie wystąpić z ofertą kupna, ponieważ antyki były jej piątą czy szóstą miłością i potrafiła rozpoznać rzeczy wartościowe. Złocenie wykonano bezpośrednio na szkłe - z zastosowaniem rzadko spotykanej techniki zwanej *églomisé* - a u góry lustro znajdowała się jeszcze przezroczysta tafla szkła z namalowanym wewnątrz kolejnym złoconym wzorem. Życie z Lemasterem czasami też kojarzyło się jej ze złoceniem na szkłe - pozostali członkowie Klanu zazdrościli jej małżeństwa, ale tylko Julia знаła tę jego płytką i lśniącą kruchość. Przyjrzała się bliżej zwierciadłu. Miała słabość do luster. Babcia Vee kupowała je wszędzie, gdziekolwiek pojechała, a jej kolekcja w rezydencji przy Edgecombe Avenue w przeszłości stanowiła dumę Harlemu. Większość z okazów skończyła jednak we Francji wraz z matką Julii, która sprzedawała je jeden po drugim, wraz ze wszystkim, na czym udało się jej położyć łapę, aby wypisywać czeki dla organizacji obiecujących, że doprowadzą do zakończenia wojny, biedy, niewiedzy, ucisku i nienawiści, i to najlepiej w ciągu miesiąca.

Julia przesunęła palcami po filigranie, rozważając zupełnie absurdalny pomysł, czy ta misterna ślimacznica może skrywać mikrofon. Nie miała najmniejszego pojęcia, skąd przyszło jej to do głowy. Mary Mallard naprawdę musiała ją nastraszyć. Kiedy wreszcie przypomniała sobie, po co tu jest, zapytała Vanessę, o czym rozmawiała z innymi dziećmi.

- Ach, no wiesz - odparła Vanessa, przebierając palcami, które od czasu do czasu żyły własnym życiem, po zapięciu opinającego jej szyję jak obroża naszyjnika z perłami

Mikimoto, aż w końcu Julia jej pomogła. Ku zaskoczeniu Lemastera, Julia zdecydowanie odmówiła noszenia imitacji, nie pozwoliła też zabrać sztucznej biżuterii córce, ponieważ, jak powiedziała, Klan to zauważy. - O tych dawnych historiach.

- Historiach o profesorze Zancie? - Wciąż wpatrywała się w lustro, przyglądając się pięknemu *égloomisé*. Egomisie, jak mówiła ucząca się dopiero chodzić Vanessa, od kiedy źle zrozumiała swoją matkę, która podczas rozmowy telefonicznej z handlarzem skarżyła się, że jakieś *égloomisé* jest zbyt krzykliwe, i przez jakiś czas Julia wyobrażała sobie, że muszą to być warczące potwory, które pełzają nocą i mieszkają w lustrze w jej pokoju. „Mamusi, tatusiu, boję się, Egomisie na mnie patrzyły”.

- O tutejszych college'ach i takich tam sprawach. O historii. Oni tu mają naprawdę fajne tradycje i inne rzeczy, jakieś duchy, to zabójcze tornado sprzed kilku lat, słynne bitwy. Tego typu rzeczy. Czy wiedziałaś, że podczas wojny secesyjnej ewakuowali całe miasteczko?

Czas na stosowną afromerykańską urażę.

- Pewnie tylko białych.

- Tak. - Zupełnie jej to nie obchodziło, podobnie jak resztę jej pokolenia. - Mają tu słynny park. Och, mam, posłuchaj - szare oczy Vanessy rozjaśniły się blaskiem. Mówiła zdecydowanie za szybko, jak często jej się zdarzało, kiedy ten jej dziwaczny umysł pracował na najwyższych obrotach.

- Powinni nazwać go „Park Heliada”.

- Dlaczego?

- Bo to anagram od Arkadelphia. - Do anagramów miała szczególny talent oraz zamiłowanie.

- Teraz to zrobiłaś? W głowie?

Vanessa najeżyła się, nie rozumiawszy intencji matki.

- Tylko tyle potrafiłam wymyślić na poczekaniu. - Jej irytacja ustąpiła i dziewczyna ponownie się zgarbiła. Vanessa uwielbiała bawić się słowami. Lemaster uważał, że marnuje umysł na takie gry, ale doktor Brady zachęcał do ich uprawiania. Dla Julii anagramy były upiornymi zwierciadłami słów i zwrotów, czasami połączanymi. - W każdym razie, kiedy zapytali mnie, czy znam jakieś opowieści o miejscu, w którym mieszkamy, powiedziałam im, że my mamy tylko śnieg.

Następne pytanie Julia zadała nerwowo, ponieważ Klan nauczał, że na zewnątrz rodzina powinna być przedstawiana jako idealna. Publiczne pranie swoich brudów stanowiło zdradę stanu.

- Chyba nie powiedziałaś im o... o Ginie?

Vanessa zmarszczyła nos i uśmiechnęła się.

- Och, mamó, daj spokój. Przecież wiesz, że Gina nie cierpi, kiedy o niej opowiadam.

- Jasne, jasne. Czyli powiedziałaś. - Obie ponownie zabrały się za przebieranie, córka z uśmiechem, a matka z niepokojem. Julia nie odważyła się już nic więcej powiedzieć. Stale się kłóciły z Vanessą, jak typowa matka z dorastającą córką, a te rzadkie chwile spokoju stanowiły dla Julii okazję do prawdziwego wytchnienia.

Zgodnie z jedną z teorii, Gina Joule była przyczyną szczególnej obsesji Vanessy. Inna z kolei głosiła, że obsesja Vanessy na punkcie Giny jest jedynie symbolem, jungowską manifestacją głębszego urazu psychicznego. Gina miała siedemnaście lat, podobnie jak Vanessa, mieszkała w Landing, jak Vanessa - a jej ojciec, podobnie jak ojciec Vanessy, wykładał na uniwersytecie. Co więcej, Merrill Barnes Joule był ukochanym dziekanem wydziału teologicznego - kolejny punkt wspólny. Merrill Joule był nawet głównym kandydatem na stanowisko rektora uniwersytetu, ale wszystko potoczyło się zbyt szybko. Gina była nieśmiałą dziewczyną o kreatywnej wyobraźni, podobnie jak Vanessa. Jej pierwszy prawdziwy kontakt z płcią przeciwną nastąpił jesienią, gdy chodziła do jedenastej klasy, czyli mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Vanessa poszła na swoją pierwszą randkę. Była wzrostu Vanessy, miała podobny skromny uśmiech i nieco tyczkowatą posturę, co można było zauważyć na powiększeniu zdjęcia z gazety, które Vanessa trzymała nad swoją toaletką, dopóki doktor Brady jej nie przekonał, Julia nie ubłagała, a Lemaster nie polecił go zdjąć.

Za każdym razem, kiedy Vanessa nieoczekiwanie znikwała na godzinę lub dwie, po powrocie mówiła, że to Gina jej potrzebowała, i to stanowiło całe jej wytłumaczenie. Co prawda, Gina była biała, a Julia nigdy nie zapomniała maksymy swojej matki, żeby szukać czarnych przyjaciół dla swoich dzieci. Niemniej jednak kolor skóry Giny z pewnością nie stanowił największego problemu w przyjaźni między tymi dwiema dziewczynami. Nie było też nim to, że Vanessa zaskoczyła wszystkich, łącznie ze swoją nauczycielką, kiedy rok temu w ostatniej chwili oznajmiła o zmianie tematu semestralnej pracy pisemnej z kursu Historii Stanów Zjednoczonych dla Zaawansowanych - postanowiła napisać o Ginie. Nie, największy problem polegał na tym, że Merrill Joule już od przynajmniej ćwierć wieku leżał w grobie, a jego córka, Gina, utonęła w rejonie miejskiej plaży jeszcze w czasach, kiedy znaczek pocztowy kosztował osiem centów, coca-cola dziesięć centów, a Związkiem Radzieckim rządził Leonid Breżniew.

Oczywiście, to właśnie ta semestralna praca pisemna zapoczątkowała wszystkie problemy Vanessy, zdecydowanie przerastające jedenastoklasistów, a w tym wieku była Vanessa, kiedy spaprała tę pracę i spaliła samochód. Historia Stanów Zjednoczonych dla Zaawansowanych postawiła przed nią zadanie niemożliwe do wykonania. Tak przynajmniej Julia uważała i zachowując mniej agnostycyzmu w sprawach swojej córki niż w kwestii Boga, którego w każdą niedzielę wyznawała w zdecydowanie niepokornym kościele Świętego Macieja, trzymała się tego poglądu w obliczu przeciwstawnych argumentów lekarzy, nauczycieli, swojego dostojnego męża, nawet samej Vanessy, która rok później upierała się, że wciąż pragnie ukończyć swoje badania. Praca otrzymała żenującą ocenę dostateczną z plusem, bo chociaż tekst został zgrabnie napisany, jak powiedziała pani Klein, autorka za mało wykorzystała materiały źródłowe. Kiedy Julia przeczytała pracę, zgodziła się z tą opinią.

Rok wcześniej Vanessa była wzorową uczennicą, nieustępującą w ambicjach swojemu starszemu bratu, który opuścił szkołę średnią w wieku szesnastu lat i rozpoczął naukę w Massachusetts Institute of Technology. Minione miesiące boleśnie odcisnęły się na jej życiorysie. Wciąż uzyskiwała wysokie oceny z testów, ale szkolny psycholog, zupełnie zagubiony między jej zachowaniem, aresztowaniem a błyskawicznie spadającymi ocenami, nie wiedział już, co doradzać. Vanessa niejednokrotnie mówiła, że z chęcią pójdzie na uniwersytet stanowy, a nawet do dwuletniej szkoły pomaturalnej, ale jej ojciec imigrant w kwestiach edukacji wykazywał wyraźny snobizm; podobnie zresztą jak Julia i większość Klanu.

W miejscowej szkole średniej, w której czarnoskórzy Amerykanie stanowili niespełna dwa procent uczniów, większość kolegów Prestona zaliczała się do głupków zajmujących się tylko matematyką i komputerami, ale Vanessa spędzała czas z bardziej marginalnym elementem, jak to w swój inteligentny sposób określił Lemaster. Jej zajęcia były niesamowicie eklektyczne. Kółko historyczne, stowarzyszenie na rzecz praw zwierząt, drużyna quizów z wiedzy o sporcie. Dziwaczne dziecko targane wewnętrznymi sprzecznościami. Uwielbiała hip-hop, ale śpiewała w średniowiecznym chórze. Chociaż jak szalona rozwiązywała krzyżówki i anagramy, w każdej pracy pisemnej potrafiła popełniać nieoczekiwane błędy ortograficzne. Pełniła funkcję wiceprzewodniczącej w Stowarzyszeniu Młodych Republikanów, a zarazem w Unii Gejów i Heteroseksualistów. Była zdeklarowaną i agresywną pacyfistką, ale lubiła czytać o wojnach. W jej pokoju na półkach dumnie stały książki o słynnych bitwach, a obok nich plastikowe, zbudowane z zestawów do składania modele samolotów wojskowych i okrętów oraz kolekcje pośliskłych planszowych gier wojennych i strategicznych produkcji firmy Avalon Hill, wygrzebane gdzieś na wyprzedazach

rzeczy używanych i na aukcjach internetowych: Gettysburg, Waterloo, Iwo Jima. W niektóre wieczory potrafiła chodzić po domu z książką na temat jakiejś starożytnej bitwy, monotonicznie podśpiewując jak średniowieczny mnich. Lemaster zdecydowanie się temu sprzeciwiał, Julia jednak, kiedy była sama, nie potrafiła jej powstrzymać. „Ależ mam, mnie to uszczęśliwia” - nalegała nastolatka, wiedząc, jak nakłonić matkę do ustępstw. Julia już tylko życzyła sobie, żeby monotonne śpiewy Vanessy trochę rzadziej brzmiały jak marsz pogrzebowy.

Na początku wszystko wyglądało zupełnie dobrze - w październiku ubiegłego roku Vanessa postanowiła napisać pracę na temat reakcji miejscowości Landing na ogłoszoną w latach pięćdziesiątych decyzję Sądu Najwyższego w sprawie desegregacji rasowej, i zaczęła sumiennie spędzać czas w bibliotece publicznej, w archiwach kuratorium, a także w Towarzystwie Historycznym Harbor County. A potem nagle Vanessa oznajmiła, że zmienia temat. Już nie interesowała jej historia z lat pięćdziesiątych. Zamiast tego zafascynowała ją śmierć Giny, samotniczki takiej jak ona. Julia, podświadomie wciąż będąc nauczycielką nastolatków, natychmiast się sprzeciwiła - jaką to tezę można rozwinąć na temat Giny? W końcu jej historia jest powszechnie znana. Dziewczyna zniknęła pewnej nocy, po tym jak ostatni raz widziano ją w towarzystwie czarnego nastolatka z miasta, który, nigdy formalnie nie oskarżony o popełnienie tej zbrodni, został przypadkowo zabity dwa dni później przez policję, po skradzeniu samochodu, a to wydarzenie doprowadziło do jedyne w historii hrabstwa przypadku rozruchów na tle rasowym. Tymczasem wypłynęło ciało Giny. Policja stwierdziła, że była napastowana seksualnie i broniła się.

Vanessa odparła, że nie obchodzi jej żadna teza, ją interesuje biedna Gina. Nic więcej nie chciała powiedzieć. Państwo Carlyle irytowali się. Już w przeszłości trafiali się uczniowie kursu Historii Stanów Zjednoczonych dla Zaawansowanych, którzy dali się porwać urokowi historii Giny, ale żaden z nich - jak ostrzegła Julię Lynn Klein - nie napisał dobrej pracy. Nawet Preston przyjrzał się temu tematowi, zanim zdecydował się na taki, który dawał większe pole do popisu. Julia pocieszała i siebie, i swojego męża tym, że praca semestralna miała być gotowa dopiero w marcu, i nawet jeśli ich córka nieco zdryfowała, przynajmniej wcześniej zaczyna powrotną podróż na bezpieczny ląd. A potem Vanessa zaczęła unikać swoich kolegów, stopnie się pogorszyły, Lemaster zaś, dla którego imigranckiej wrażliwości liczyło się jedynie świadectwo szkolne, gotów był, jak to ujął, podjąć odpowiednie kroki.

Ale Vanessa ubiegła go, w trzydziestą rocznicę śmierci Giny podpalając samochód i tym samym wciągając całą rodzinę w wir aktualnych wydarzeń.

- Zrobiłam to dla Giny. - To było jedyne wytłumaczenie, jakie kiedykolwiek przedstawiła: zespołowi psychiatrów w szpitalu uniwersyteckim, swojemu terapeutce,

Vincentowi Brady'emu, rodzicom, podnieconym koleżankom i kolegom z klasy, wśród nich Temu Caseyowi, którego zainteresowanie jej osobą dopiero po tym pożarze wykroczyło poza umawianie się na sporadyczne randki.

Vanessa wreszcie ukończyła swoją pracę, chociaż dopiero w kwietniu, a ostateczny wynik był pod każdym względem fatalny, tak jak jej rodzice i jej nauczycielka się obawiali, ponieważ przedstawiła zaledwie garść relacji prasowych, z których wynikało, że Gina zniknęła i że to zniknięcie pozostało sprawą nierozwiązaną. „Powinnaś określić silniejszą tezę” - napisała pani Klein - „i przedstawić większą różnorodność dowodów”.

Vanessa zapytała, czy mogłaby napisać kolejną wersję. Pani Klein powiedziała, że oczywiście - tak, ale nie obiecywała, że zmieni jej stopień. Siedem miesięcy później Vanessa wciąż nad tym pracowała. Julia przechowywała kopię jej pracy w swoim biurze, w Kartotece Vanessy, jak ją nazwała na własny użytek, obok zdjęcia Giny Joule, które w przeszłości zdobiło toaletkę córki. Lynn Klein nie wiedziała - oprócz rodziny i doktora Brady'ego nikt o tym nie wiedział - że od czasu do czasu Vanessa i Gina ucinały sobie pogawędkę.

III

Dwukondygnacyjny, sześcienny budynek przykryty był niebieskim gontem i stał na słonecznej bocznej uliczce. Żywopłoty były schludnie przycięte, ale wyblakłe skrzynki na kwiaty na frontowych stopniach stały puste. Przy krawężniku tłoczyło się kilka samochodów, zdominowanych przez zaparkowaną na podjeździe wyeksploatowaną ciężarówkę. Drzemiący na spękany betonie alejki wielki czarny pies wyglądał na zbyt starego, żeby nadawać się na porządnego stróża. W oknach wisiały piękne zasłony, Julia instynktownie wyczuła, że muszą być własnej produkcji. Seth Zant siedział na najwyższym stopniu z butelką pepsi w dłoni i patrzył, jak Julia wciska się w ostatnie wolne miejsce na parking. Zastanawiała się, jakąż to niespodziankę ma dla niej staruszek.

- Jednak przyjechałyście - odezwał się - To dobrze.

- Oczywiście, że przyjechałyśmy.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się Vanessie.

- Założę się, że musisz kijem odganiać chłopaków.

Nastolatka zarumieniła się i spuściła wzrok, niezdolna słowa z siebie wykrztusić. Julia ścisnęła zmrożoną dłoń córki i sama udzieliła odpowiedzi.

- Staramy się traktować ich jak najłagodniej. Kija używamy tylko w ostateczności.

Nie było to zbyt zabawne, ale Seth roześmiał się, chcąc dać im obu znać, że rozumiał

dowcip.

Spotkanie należało do tych, w których Lemaster odnajdywał się doskonale, Julia słabo, a Vanessa ani trochę. Dziewczyna prawie przez cały czas zajmowała miejsce w kącie obok wazy z ponczem, dopóki ktoś z nieskończonego sznura krewnych nie porwał jej do kuchni i nie zagonił do pracy przy uzupełnianiu półmisek smażonych ryb, kurczaków i żeberek z grilla, których całe sterty leżały na stole w pokoju jadalnym. Również Seth Zant uczestniczył w tym porywaniu Vanessy. Zamiast przekazać Julii to, co miało być celem jej wizyty, przedstawiał ją różnym osobom jako „miłość życia Kellena” albo „tę, która się wymknęła”, aż w końcu, mając już tego dość, uprosiła go, żeby dał sobie spokój. Wtedy usadowił ją dla odmiany na sofie, jak honorowego gościa, i pozwalał innym po kolei siadać obok niej, a oni opowiadali prawie to samo, co mówił Seth, zawsze zaczynając od: „Wiesz, Julio, doszły mnie słuchy, że podobno byłaś...” Wszyscy chcieli się podzielić jakąś opowieścią o Kellenie.

Jakaś potężnie zbudowana religijna kobieta o imieniu Ellie, która dorastała z Kellenem i chyba mocno się w nim durzyła, opisywała dociekliwego, niecierpliwego chłopaka, który często wdawał się w bójki z dziećmi, nawet z tymi, które były dużo od niego większe, ponieważ, Julio, on miał takie dobre serce, zawsze szukał okazji, żeby bronić słabych. Wykonywał dzieło Boże, Julio, i nie ma znaczenia, co robił po wyjeździe na Północ. Julia tylko skinęła uprzejmie głową. Wiekowy mężczyzna zwany Starym Timem opowiadał, jak to jeszcze w szkole średniej Kellen stawiał nawet czoła jakiemuś nożownikowi, który naprzykrzał się pewnej dziewczynie na przyjęciu. „Kellen był dopiero w szkole średniej, taki chudziutki chłopaczek z dziewiątej klasy, ale tego wieczoru niewiele brakowało, a zabiłby człowieka, co jednak nigdy nie spędzało mu snu z powiek”.

Opowiedz jej wszystko, poleciła Ellie.

Ach, a do tego zdobył dziewczynę. Taki właśnie był Kellen, tłumaczył Stary Tim, podczas gdy przeróżni krewni, przy pomocy Vanessy, uprzątnęli naczynia po kolacji i podali ciasto cytrynowe oraz lody domowej roboty, i nawet dobre anioły Julii nie potrafiły jej nakłonić do tego, żeby odmówiła. „Właśnie dlatego mężczyźni robią najgłupsze rzeczy” - powiedział Stary Tim, z błyskiem w oku. Odłożył na bok pusty talerzyk po cieście i poklepał swój wielki bebech. „Żeby zaimponować dziewczynie”.

- Moim zdaniem zachował się bardzo dzielnie - powiedziała Ellie, a Julia zastanawiała się, czy to ona była tą dziewczyną. Ale w jej pamięci też pozostały wspomnienia innych bójek, w które Kellen wdawał się, zazwyczaj z większymi mężczyznami, podczas ich półtorarocznego wspólnego życia na Manhattanie, a także bary, z których go wyrzucano, i

nocne kluby, do których miał zakaz wstępu. Pamiętała, jak po jednej z bójek ona stała przerażona nad noszami na oddziale pomocy doraźnej w szpitalu Świętego Łukasza-Roosevelta w centrum Manhattanu, a cmokający z dezaprobatą hinduski lekarz za pomocą pincety wyjmował odłamki szkła z jego ramienia. Twój chłopak, powiedział lekarz, jest bardzo gniewnym człowiekiem. Julia dokładnie pamiętała to wydarzenie z jednego szczególnego powodu, bo to ona uderzyła go butelką. - Bardzo dzielnie - potwierdziła emanująca ciepłem Ellie.

Stary Tim był nieporuszony.

- Wiesz, jaka jest różnica między bohaterstwem a głupotą? Odważny jesteś, kiedy walczysz, bo musisz. Głupi, kiedy walczysz, bo chcesz. I na tym właśnie polegał problem Kellena. On uwielbiał walczyć.

Podszedł do niej Seth.

- Kochanie, czy mógłbym cię prosić na chwilę?

Julia odruchowo rzuciła okiem w stronę kuchni, gdzie ze swojego punktu obserwacyjnego na sofie widziała Vanessę, pod czujnym okiem matron szorującą garnki.

- Nic jej nie będzie - rzekł Seth, podążając za jej wzrokiem. - To nie potrwa długo.

Ubrany już zwyczajnie, w czysty strój khaki i poplamioną koszulę, Seth poprowadził ją wąskimi schodami do pokoju mieszczącego się nad garażem. Od razu wiedziała, że to pokój Kellena, ale nie domyśliła się tego po wymuskanej elegancji plakatów, łóżka i książek ani też po ekonomicznych, matematycznych i naukowych pozycjach zajmujących całe ściany. Nie, odgadła to po leżącym na toalecie delikatnym, srebrnym lustreczku.

- To moje - wyrwało się jej, chociaż nie widziała go od chwili ostatecznego rozstania z Kellenem. Rzuciła się przez pokój i pochwyciła lusterko. - To moje lusterko.

- Leży tu od lat - rzekł Seth, patrząc na nią.

- Od lat?

- Zauważyłem, że to kobiece lusterko, nie męskie. Ale Kellen lubił mieć je pod ręką.

- Naprawdę? - zapytała Julia, czując falę ciepła na twarzy. Uniosła lusterko. Było srebrne w oprawie szylkretowej, misternie i subtelnie zdobione z tyłu i na rączce, wyprodukowane pod koniec dziewiętnastego wieku przez słynnego brytyjskiego wytwórcę Williama Comynsa, którego znak firmowy wyciśnięty był na rączce, ukryty pośród zdobień. To babcia Vee dała jej to lusterko na kilka miesięcy przed śmiercią. Julia bardzo je sobie ceniła, ale zostawiła je w mieszkaniu Kellena, kiedy Tessa, wbrew woli Julii, siłą wyciągnęła ją z Manhattanu, żeby uratować ją przed dalszym maltretowaniem. Przez pewien czas zbytnio się bała, żeby poprosić o zwrot lusterka, przerażała ją już sama perspektywa rozmowy, która z

pewnością skończyłaby się w jego łóżku, a potem, kiedy poznała Lemastera i nabrała sił, zanadto się wstydziła. Na rynku staroci lusterko nie miało zbyt wysokiej wartości - najwyżej dwieście lub trzysta dolarów - i do dzisiejszego dnia Julia sądziła, że Kellen musiał je w pewnym momencie wyrzucić, sprzedać albo dać je jakiejś innej kobiecie. - Nie miałam pojęcia, co się z nim stało - powiedziała, zgodnie z prawdą.

- Chciał, żebyś ty je miała. Wielokrotnie mi to mówił. Ale ja nie wiedziałem, że wcześniej należało do ciebie.

- Sama nie wiem, co powiedzieć.

Powstrzymywana siłą woli tama, która tak mocno trzymała łzy podczas lotu, jazdy samochodem, nabożeństwa, a nawet w trakcie samego pochówku, teraz zaczęła pękać i przeciekać. Seth Zant, dostatecznie mądry, żeby nic nie mówić, podał Julii swoją chusteczkę do nosa. Powycierała oczy.

Małe okno wychodziło na mroczny podjazd, na którym dostrzegła ludzi pakujących resztki jedzenia do samochodów. Śmiechy, uściski, pożegnania. Wytarła nos. Skorzystała z lusterka i poprawiła włosy. Odwróciła lusterko i potarła paznokciem powierzchnię, sprawdzając wykończenie. Kellen nie dbał o srebro, pozwolił, żeby zmatowiało. Spojrzała na znak firmowy. Zadrapany w kilku miejscach, ledwo rozpoznawalny. W myślach obniżyła wartość z dwustu lub trzystu dolarów do kwoty na poziomie dwudziestu pięciu lub najwyżej pięćdziesięciu.

Zaraz.

- Seth?

- Hm?

- Czy Kellen zostawił dla mnie... coś jeszcze? - Zdawała sobie sprawę, że zabrzmiało to tak, jakby była zachłanna, ale musiała to wiedzieć. To Mary Mallard podsunęła jej ten pomysł. Przechwycić nadwyżkę. Cokolwiek to było.

- Na przykład co?

- Jejku, mamó - usłyszała za sobą głos Vanessy. - Popatrz na siebie. W tamtych czasach byłaś wprost zachwycająca.

Julia odwróciła się. Jej córka stała w drzwiach, z uśmiechem na ustach przyglądała się stojącej na toalecie fotografii w plastikowej ramce. Julia dostrzegła to zdjęcie, kiedy tu wchodziła, ale nie zwróciła na nie uwagi. Teraz podeszła bliżej i tak, oczywiście, zobaczyła siebie, jak ramię w ramię z Kellenem spacerują po Broadwayu, którym Kellen, jak większość czarnych mężczyzn, z założenia gardził. Ale od czasu do czasu robił to dla niej i tam się z nią wybierał, podobnie jak teraz robił to Lemaster. Miała na sobie bluzkę z odkrytymi plecami,

buty na koturnach i absurdalne małe szorty. Czy ona rzeczywiście kiedyś tak się ubierała? Uniosła lusterko marki William Comyns, spojrzała w twarz czterdziestotrzyletniej kobiety, próbując przypomnieć sobie, jak wyglądała jako dwudziestotrzylatka.

- Nie, no wiesz, jasne, teraz jesteś zachwycająca, ale rrrany. Weszła już do pokoju i pochylała się nad zdjęciem, by lepiej mu się przyjrzeć. - To naprawdę jest super. Uwielbiam taki strój. Chcę mieć pięć takich zestawów. - Dodała chichocząc, ponieważ to ona teraz była górą. - Powiedz, wyście chodzili ze sobą czy coś takiego?

- Vanesso, kochanie, nie zamierzam rozmawiać o...

- Twoja matka była największą miłością mojego bratanka - potwierdził Seth, bynajmniej nie pomagając jej w ten sposób. - Zawsze mówił o niej „ta, która się wymknęła”.

- To naprawdę brzmi romantycznie - powiedziała Vanessa, stojąc przy półkach i obmacując książki, jakby ta sypialnia była biblioteką, a nie starannie pielęgnowaną świątynią. Wiatr na dworze poruszał ciemniejącymi drzewami. Zima w tych okolicach może była mniej sroga, ale też powoli się zbliżała. - I niesamowicie gitnie.

- To było... bardzo dawno temu.

- To zdjęcie też możesz zabrać, jeśli chcesz - powiedział Seth.

- A tato o tym wie? - zapytała Vanessa

- Oczywiście, że twój ojciec wie - odparła Julia, powoli tracąc chęć do działania. Kto wpadł na ten pomysł, żeby ciągnąć Vanessę ze sobą? Kto w ogóle wymyślił dzieci?

- Ty chyba zawsze wolałaś starszych mężczyzn, prawda? - Vanessa wzięła do ręki podręcznik do rachunków i przerzucała strony, jakby w nadziei, że wypadną z nich pieniądze.

- Och, Vanesso, to nie jest... hmm... stosownie tak mówić.

- Nie, no nie powiem, Kellen był niczego sobie. Ja to rozumiem.

- Vanesso!

Córka jej nie słuchała. Coraz szybciej przewracała strony, wpatrzona w swoje ręce, które nie potrafiły się zatrzymać, jak to się czasami zdarzało, zdaniem doktora Brady'ego, kiedy próbowała stłumić w sobie uraz psychiczny - uraz, który wciąż pozostawał niezidentyfikowany i którego istnieniu Vanessa zaprzeczała, chociaż Brady zapewniał ich, że on gdzieś tam się znajduje. Julia, nagle opanowana macierzyńską troską, zapomniała o swoim zakłopotaniu i idąc za radą psychiatry, dotknęła ramienia Vanessy i łagodnym głosem poleciła jej odłożyć książkę na półkę.

- Dajmy jej spokój - odezwał się Seth Zant. - Tu nie ma nic cennego.

- Julia zaczęła się tłumaczyć, ale on nie dał jej dojść do słowa. - Wiesz, oni zostawili tylko książki, obrazki i to lusterko.

- Oni?

Seth postukał paznokciem w biurko.

- Kellen przyjeżdżał tu czasami na tydzień lub dwa, żeby popracować. Żeby uciec od tego wszystkiego. Miał tu komputer, drukarkę, notesy, sam nawet nie wiem, co jeszcze. W każdym razie, oni to zabrali.

- Jacy oni?

- Mieliśmy tu małe włamanie, kiedy pojechałem na północ po zwłoki. To nawet dosyć zabawne. Mam tu na dole spory telewizor, jest biżuteria Sylvii i inne rzeczy. Ale chyba pies ich wystraszył, czy co, ponieważ weszli tylko do tego pokoju i zabrali tylko pracę Kellena.

Rozdział 6

Ryzyko zapasów

I

Na lotnisku czekał mały Jeremy Flew, ponieważ Lemaster, który miał je odebrać, przebywał w Nowym Jorku na spotkaniu Empireum, pomniejszego towarzyskiego klubu czarnych, którego był oddanym członkiem. Zadzwoił do Julii i powiedział jej, że po spotkaniu raczej nie wróci do domu, tylko od razu pojedzie pociągiem do Waszyngtonu, ponieważ jakiś jego znajomy dysponował abonamentami na spotkania drużyny Redskins i zaprosił go na jutrzejszy mecz futbolowy. Julia nawet nie próbowała skrywać złości i w przyпіływie wściekłości kazała Flew nosić ich torby, a on, bez słowa skargi, wykonał jej polecenie. Przez całą drogę na parking trajkotał jak najęty, głównie o pogodzie, ale również o tym, że znowu w radiu pojawił się ten okropny Kwame Kennerly i wycierał sobie gębę uniwersytetem, nowym rektorem oraz faktem, że ten rektor mieszka w Tyler's Landing. Nie zważając na te jego informacje, Julia chwyciła za telefon komórkowy i zadzwoniła do Wendy Tollefson, u której Lemaster zostawił Jeannie na noc. Wendy, która uwielbiała Jeannie, była przyjaciółką Julii jeszcze z czasów, kiedy ona uczyła w szkole. Sama nie miała dzieci i często zostawała w domu Hunter's Heights, żeby zaopiekować się dziewczynkami, kiedy państwo Carlyle musieli wyjechać z miasta.

Jeannie zapytała, czy mogłaby jednak zostać na noc, bo grają właśnie w monopol.

Flew przyjechał uniwersyteckim land-roverem, ze względu na jego lepszą przyczepność, a mocno urażona Julia usiadła wraz z Vanessą na tylnym siedzeniu, może chcąc dać mu do zrozumienia, że tak naprawdę jest tylko zwykłym szoferem. Nie była wściekła na pana Flew, była wściekła na Lemastera, ale nie było go pod ręką i nie mogła go kopnąć, więc kopniaki w zastępstwie zbierał jego pomocnik. Nie cierpiała tej strony swojej osobowości, chciała w życiu codziennym być osobą ciepłą i bezpośrednią, tak jak większość ludzi ją postrzegała, ale częściowo odziedziczyła po Monie tę potrzebę, aby od czasu do czasu okazać swoją przynależność do Klanu - zwłaszcza wobec jaśniejszej nacji, jak ich lubili nazywać członkowie Empireum, bractwa Lemastera.

- Czy są panie głodne? - zapytał Flew z przedniego siedzenia, kiedy już samochód powoli toczył się po śniegu.

- Nie - odparła Julia.

- Tak - powiedziała Vanessa.

- W domu coś dla was przygotowałem, ale możemy też zatrzymać się gdzieś po drodze, jeśli chcecie. Jest tu fast food, a także przemiła restauracja z owocami morza.

- Mieszkam tu od początku lat osiemdziesiątych przerwała mu Julia. Przez cały ten czas, od kiedy Kellen o mało jej nie zabił. I wiem, gdzie są restauracje.

Ale tego małego człowieczka nie sposób było wytrącić z dobrego nastroju. Przyjazne niebieskie oczy spotkały jej wzrok w lusterku.

- Czyż to nie jest zdumiewające, pani Carlyle, że choćby nam się wydawało, że wszystko wiemy na jakiś temat, zawsze możemy dowiedzieć się czegoś nowego?

Julia poczerwieniała na twarzy, a po chwili jeszcze bardziej poczerwieniała, ponieważ zdała sobie sprawę, że zdeprimowana Vanessa bacznie przygląda się jej spod rzekomo sennie przymkniętych powiek. Nie znajdując odpowiedniej riposty, przeprosiła pana Flew za swoje wstrętne zachowanie, zapewniając go, że on niczemu nie jest winny, chociaż on z kolei zapewniał, że absolutnie nie czuje się urażony. Przez chwilę obserwowała krajobraz, czując się opuszczona i samotna, co często jej się zdarzało zamkniętej w skorupie jej dobrego małżeństwa. Lemaster stale pouczał ją, że w moralnym życiu ważniejszy jest obowiązek niż pragnienie, a Julia często zastanawiała się, choć nigdy nie śmiała zapytać, czy przypadkiem nie ma na myśli swojego własnego związku z żoną. Czy on może wolałby robić coś innego? Z kimś innym? Nie sądziła, żeby przez dwadzieścia lat małżeństwa kiedykolwiek ją zdradził, ale przecież nigdy nie można być do końca pewnym. Jej współlokatorka z czasów college'u, Tessa Kenner, przez krótki okres była żoną czarnego mężczyzny, dosyć znanego historyka, który źle ją traktował. Tessa, wówczas będąc jeszcze profesorką prawa, a nie osobą prowadząca program w telewizji, z łatwością, a nawet z radością wybaczała mu te jego, jak to nazywała, grzeszki, tłumacząc kiedyś Julii przy kawie, że wynikają one po prostu z tej potrzeby, którą odczuwają wszyscy czarni mężczyźni, zrodzeni ze stuleci ucisku rasowego, aby uwolnić się od represyjnych ograniczeń mieszczańskich obyczajów seksualnych.

„Jestem pewna, że masz ten sam problem z Lemasterem” - wyszeptła Tessa, tonem białego intelektualisty wyrażająca powierzchowne i sztampowe opinie o kwestiach rasowych, trzymając filiżankę w obu dłoniach, tak jak robią to ludzie w reklamach telewizyjnych i nigdzie indziej.

„Absolutnie nie”.

Tessa skinęła głową, a jej niebieskie oczy wypełniły się współczuciem dla tego romantycznego oszukiwania samych siebie, cechującego wiele kobiet, które gdy tylko zobaczą świat taki, jakim jest w rzeczywistości, autentyczny, potrafią odrzucić kajdany tradycji i fałszywej świadomości, aby stworzyć coś ekscytującego i zupełnie nowego.

- Czasami potrafisz być taką suką - powiedziała Julia, może do Tessy, może do samej siebie, a może nawet do Mony, ponieważ pograżyła się w marzeniach, ale nagle się przebudziła, kiedy land-rover zachrzęcił na żwirze długiego podjazdu do Hunter's Heights. Zamrugła oczyma i rozejrzała się. Vanessa wciąż była nieobecna, tym razem w rzeczywistości.

- Dziękuję - powiedziała Julia do pana Flew. - Szybko zajęchaliśmy. I bardzo gładko.

Ale Jeremy Flew nie słuchał jej. Kilkadziesiąt metrów od domu zwolnił przy zakręcie, reflektory omiały śnieg i stojące z tyłu gęsto stłoczone drzewa, atramentowe i ciche w ciemnościach.

- Pani Carlyle, czy tu zdarzył się jakiś wypadek?

- Wypadek?

Zatrzymał samochód. Żółty snop światła reflektorów wydobył z tła dwie eleganckie czarne latarnie powozowe, których cały rząd stał co sześć metrów wzdłuż podjazdu Carlyle'ów, obie złamane u podstawy i leżące w śniegu.

- Ach, to. To było podczas zeszlotygodniowej burzy. Tej nocy... tej nocy, kiedy zginął profesor Zant. Podejrzewam, że to pan Huebner uderzył w nie pługiem. Zostawiłam mu już dwie wiadomości, ale on dotychczas nie oddzwonił. - Julia zastanawiała się, czy przypadkiem zbytnio nie wdaje się w szczegóły, ponieważ widoczny w lusterku Jeremy patrzył na nią w jakiś dziwny sposób. - Pan go nie zna - trajkotała, nie mając pojęcia, jak zmienić temat.

- Ale Mitch Huebner jest postacią legendarną w Landing, mieszka w lesie ze swoimi strzelbami i psami i nigdy do nikogo słowem się nie odzywa. Nie sądzę też, żeby lubił rozmawiać przez telefon. Może powinnam do niego napisać.

W głębokiej i elektryzującej ciszy Julia czekała i patrzyła, zastanawiając się, w ile z tych bzdur asystent Lemastera będzie w stanie uwierzyć.

- Jest pani pewna? - w końcu zapytał pan Flew. - Jest pani pewna, że to zrobił Mitch Huebner?

- A jeśli nie on, to kto?

- W gazetach pisali, że w lewym przednim błotniku samochodu profesora Zanta jest spore wgniecenie. Policja prosiła o kontakt osoby uczestniczące w wypadku, którego sprawca zbiegł, i tak dalej, i tak dalej.

Julia przetarła oczy. Wyrzała przez okno. Latarnie leżały przy ostrym zakręcie, tworząc niewielkie zagłębienie, z którego nie widać było ani domu, ani drogi - a to oznaczało, że również ani z domu, ani z drogi nie można było dostrzec tego miejsca. Głęboki, wijący się i opadający w dół podjazd przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Każdej zimy pług pana Huebnera zdzierał żwir i gromadził go u szczytu wzgórza w stertę, i każdej wiosny znowu mu płacili, żeby z powrotem rozsypał ten żwir po drodze. - Nadal nie rozumiem, co pan ma na myśli - skłamała. W bocznym lusterku brykały jakieś demony, ale była to tylko gra żółtego światła igrającego na rozwiewanym śniegu.

- Te rozbite lampy znajdują się po lewej stronie pani podjazdu.

- Kiedy pan Huebner popije...

- Może powinna pani zadzwonić na policję, pani Carlyle?

Panika. Czy w zeszły weekend oficerowie śledczy zauważyli te latarnie? Ale nie pytali o to. Nie pytał też Lemaster ani żaden z ich życzliwych gości.

- Jeremy, proszę mnie posłuchać. Kellena Zanta nie było w tym domu w piątek wieczorem. Proszę nawet nic takiego nie insynuować.

- Czy istnieje taka możliwość, że on tu przyszedł, a pani tego nie zauważyła? Pani i pan Carlyle prawie cały wieczór spędziliście w Lombard Hall.

- No właśnie. - Julia z trudem zachowywała spokój. - Nie miał żadnego powodu, żeby tu przychodzić. - Tuż przy zakręcie ziemia była wyrównana, tworząc miejsce do zawracania, gdzie kierowcy mogli naprawić swój ewentualny błąd. I właśnie tam, w tym miejscu do zawracania, znajdowały się uszkodzone latarnie powozowe. Julia wyprostowała się. - Lemaster i ja byliśmy na kolacji dla absolwentów. Vanessa poszła na randkę. Jeannie miała spędzić tę noc u koleżanki, ale się rozchorowała. Tak czy owak, Kellen mógł sądzić, że w domu nie ma nikogo. Po co więc miałby pokonywać w burzy śnieżnej tę całą drogę aż na Hunter's Meadow, jeśli w domu nie było nikogo?

- Właśnie nad tym się zastanawiałem - odparł Flew. Ponownie wrzucił bieg i ruszył dalej krętą drogą w stronę górującego nad nimi domu. Julia odwróciła głowę i patrzyła na ostry zakręt, dopóki nie pochłonęły go ciemności.

II

Po pewnym czasie. Stojąc w swoim ulubionym miejscu przy oknie salonu i patrząc w dół w kierunku drogi, Julia zastanawiała się, czy w noc swojej śmierci Kellen rzeczywiście był na jej podjeździe, a także rozmyślała, dlaczego jeszcze nie powiedziała o tej możliwości policji

ani nawet swojemu mężowi. Miała na sobie wełnianą piżamę i swoją ulubioną podomkę, sięgającą do kostek, niebieską, luźną i wytartą, pozostałość po ich miodowym miesiącu, która miała być talizmanem szczęścia rodzinnego. Chcąc dać odpocząć oczom od szkielek kontaktowych, założyła okulary. Sprawdziła pocztę elektroniczną, ale zgodnie z oczekiwaniami nie znalazła tam nic interesującego. Próbowała połączyć się ze znajomymi za pomocą komunikatora internetowego, ale nikt nie był dostępny, nawet Tessa, podobnie jak ona należąca do nocnych marków. Przeglądanie stron internetowych przyniosło mniej wzmianek o Kellenie, niż się spodziewała, natomiast wiele informacji o Mary Mallard, łącznie z witrynami poświęconymi wspieraniu jej teorii oraz witrynami zajmującymi się ich obalaniem. Puste pudełko po pochodzących od Very truflach cappuciono leżało w kuchennym koszu na śmieci, wciśnięte obok pustego opakowania po prażonej kukurydzy do mikrofalówki - tej bez masła, bo Julia dbała o linię.

Rozmyślała o ostatnim spotkaniu z Kellenem, które miało miejsce w centrum handlowym w Norport, trzy dni przed jego zabójstwem.

„Mam kłopoty” - powiedział jej, rozglądając się wokół nerwowo. Siedzieli wówczas w części restauracyjnej centrum handlowego i teraz Julia zastanawiała się, czy rzeczywiście spotkali się przez przypadek. Wokół jej stóp leżały rozłożone prezenty gwiazdkowe, ona zawsze zawnoczu robiła zakupy. „Potrzebuję twojej pomocy” - dodał Kellen, ale on zawsze tak mówił.

Julia poprosiła go o wyjaśnienie.

„Nie jestem w stanie utrzymać zapasów. Muszę rozłożyć ryzyko”.

Jakie ryzyko?

„Ryzyko zapasów”. Gwałtownie chwycił ją za rękę, a ona równie gwałtownie ją cofnęła. „Żyjemy w mrocznych czasach”, powiedział Kellen, chociaż zazwyczaj unikał metafor łączących ciemność ze złem. „Czasy są mroczne i ciemność ma znaczenie. Tylko ty możesz mi pomóc”.

Julia zaczęła tłumaczyć mu, że powinien przestać za nią chodzić, nie można tego ciągnąć w nieskończoność, musi dać jej spokój, powtarzała te same słowa, co zawsze, a Kellen tłumaczył jej, też jak zawsze, że tym razem nie żartuje i nie flirtuje, naprawdę potrzebuje jej pomocy, ale ona w tym momencie dostrzegła Reginę Thackery i Bitsy Farnsworth, dwie Biedronki, wychodzące ze sklepu Lord & Taylor na piętrze, więc zerwała się na równe nogi, powiedziała Kellenowi, że już musi lecieć, bo czego jak czego, ale na pewno nie życzyła sobie, żeby Siostrzane Damy zaczęły rozpowiadać historyjki o potajemnej randce Julii z „wiecie kim”.

„Muszę rozłożyć ryzyko. Ryzyko zapasów”.

Kolejny termin ekonomiczny. Podobnie jak „przechwytywanie nadwyżki”. Kellen uwielbiał ten swój żargon, co do tego nie było wątpliwości, i kiedy tylko mógł, wciskał go do rozmowy, zazwyczaj aby ukryć swoje prawdziwe cele, jak wtedy na Manhattanie, gdy Julia nie miała już sił na niego krzyżeć, on potrafił opisywać swoje przelotne przygody z innymi kobietami jako racjonalne ćwiczenia w maksymalizacji użyteczności. Tym razem jednak miała przeczucie, że Kellen próbował jej coś powiedzieć. I było to coś, co zdaniem Mary Mallard ona już powinna wiedzieć.

Julia obserwowała śnieg, zastanawiając się, czy faktycznie w tę straszną burzę w noc swojej śmierci Kellen próbował wjechać podjazdem, spodziewając się, że nikogo nie będzie w domu, i czy, zobaczywszy samochód opiekunki do dziecka, w panice zawrócił, rozbijając latarnie. Nie była w stanie pojąć, dlaczego mógłby chcieć dostać się do domu, skoro nikogo w nim nie było, podobnie jak nie wiedziała, co miał na myśli w centrum handlowym, mówiąc, że chciałby podzielić się z nią ryzykiem zapasów, i że ciemność ma znaczenie.

Ale może lepiej się tym nie przejmować.

Kellen Zant należał do jej przeszłości i nie miał prawa wciągać jej do swojego życia, nawet umierając i zostawiając po sobie zagadkę - zranił ją, nieomal zabił, i nie miała wobec niego żadnych zobowiązań.

Stojąc w oknie salonu, otoczona tętniącą cichym życiem nocą Nowej Anglii, Julia przytuliła w ramionach Rainbow Coalition, bo dzieci były już na to za duże. Kiedyś ona sama pragnęła, była też obiektem pragnienia, a powikłane życie, będące wynikiem jednego i drugiego, odeszło już do przeszłości, tak przynajmniej sądziła. To Lemaster stanowił dla niej gwarancję zdrowia psychicznego. Był jej bezpieczną przystanią. Nic więcej nie miało się wydarzyć.

Coś jednak się wydarzyło. Najpierw Vanessa spaliła ten samochód, a teraz... to wszystko.

Julia uniosła pozostawiony na niskim stolczku pod ścianą pusty kieliszek do wina i odwróciła się w stronę długiego salonu, wykończonego zieloną stylową tapetą, z szerokimi wykuszowymi oknami ciągnącymi się od wysokiego na prawie trzy metry sufitu i sięgającymi w dół do poziomu dwudziestu centymetrów nad podłogą. Wykusz wypełniał fortepian koncertowy, zabytkowy Steinway, ocalony z miejskiej rezydencji Amarettie Veazie, gdzie przed laty jego klawisze od czasu do czasu trzącał sam Duke Ellington. Zarówno Preston, jak i Aaron grali marnie, a najmłodsza, Jeannie, w ogóle nie potrafiła grać. Vanessa natomiast grała przepięknie. Kiedy w zeszłym roku wielopokoleniowa rodzina zebrała się razem na

Święto Dziękczynienia, Julia i jej córka przedstawiły owoce prób prowadzonych pod okiem doświadczonego nauczyciela, *Kaprys hiszpański* Rimskiego-Korsakowa, jeden z najambitniejszych fortepianowych duetów w klasycznym repertuarze, i mimo ich kilku wpadek wszyscy, łącznie z Lemasterem, wzruszyli się do łez.

- Nienawidzę tego - powiedziała Julia o jego pracy, a co za tym idzie i o swojej. Musiała chyba mówić do swojego zmarłego brata bliźniaka, Jaya. - Naprawdę, naprawdę tego nienawidzę.

Jay nic nie odpowiedział.

Czuła się samotna i zniechęcona. Ponownie zirytowało ją oddanie Lemastera temu jego malutkiemu bractwu. Empireum się kończyło, taka była powszechna opinia. W wyższych sferach ciemniejszej nacji członkostwo w tej organizacji miało znaczenie, którego jej biali znajomi nie potrafili pojąć. Lemaster z łatwością mógł wstąpić do jednego z większych, bardziej prestiżowych klubów, ale odrzucił te propozycje. Żeby akurat dzisiaj wieczoru wyjechać do Nowego Jorku, a potem do Waszyngtonu...

Zmusiła się do zaprzestania tych rozważań. On ją uratował. Przecież to było tak proste. W swoim życiu prawdziwą miłością darzyła tylko dwóch mężczyzn, tego, który ją zniszczył, i tego, który pomógł jej na powrót się pozbierać. Ale i tak zastanawiała się, kiedy życie przestanie się jej przytrafiać, kiedy sama zacznie je kształtować.

Kellen myślał o tym samym. Często przekomarzał się z nią, mówiąc, że ona marnuje swoje życie. Być może Mary Mallard miała rację. Może Kellen zostawił jej tę swoją nadwyżkę. Może nawet spodziewał się, że...

Nie. Nie. Ona nie będzie się tym zajmować. Zachowa zdrowy rozsądek, a to oznacza, że nie będzie rozmyślać o Kellenie. Stojąc w oknie, za którym wiatr nawiewał śnieg w wysokie foremne zasy, zastanawiała się, co się stało z tą całą mocną, wzbierającą w niej energią, którą niegdyś wkładała w życie. I znowu powróciła śmierć brata. Podczas operacji w Granadzie zginęło tylko trzech żołnierzy piechoty morskiej, ale to właśnie Jay Veazie był jednym z nich. Za „akt wyjątkowego bohaterstwa” został pośmiertnie odznaczony Navy Cross, który Mona wyrzuciła do stawu leżącego w pobliżu ich domu przy ulicy North Balch. Po tym wydarzeniu jej przekonania polityczne nie były już radykalne, stały się wręcz przerażające.

A jeśli chodzi o Kellena, no cóż, Julia wierzyła w jakieś rozliczenie, bynajmniej nie to absolutne, tę posępną, szarą ścianę, tę przerażającą pewność kresu życia, wkraczającego w sam jego środek. Jeśli nie spotka go nowotwór czy jakiś nieoczekiwany udar, organizm nazywany ludzkim nie może zawieść zaufania, którym obdarza go właściciel, w każdym razie

przez jakiś czas. Pamiętała tę ostatnią dyskusję z Kellenem, w centrum handlowym w Norport, jak to nie pozwoliła mu dokończyć tego, co próbował jej powiedzieć o ryzyku zapasów i w jaki sposób „ciemność ma znaczenie”. Kiedy ona podskoczyła na widok Bitsy i Reginy, Kellen chwycił ją za rękę i zapytał, czy mogliby umówić się na rozmowę. Przekonana, że on jak zwykle ma swoje ukryte powody, żeby chcieć takiego spotkania, Julia potraktowała go z góry, mówiąc, że to chyba nie jest dobry pomysł, a tak przy okazji, czy mógłby zabrać tę swoją pieprzoną rękę? - jako że w jego towarzystwie była kimś innym, i to właśnie jej usta w dużej mierze wyrażały tę inność. Odparł, że naprawdę powinni porozmawiać, jak najszybciej, i jeśli ona woli, mogą umówić się w jakimś ustronnym miejscu. Julia, być może przewrażliwiona, odebrała te słowa jak zaproszenie do flirtu i powiedziała mu, żeby dał jej spokój. Powiedziała jeszcze, że ostatnią rzeczą, jakiej w życiu potrzebuje, są te jego wszystkie bzdury, a wściekłość, z którą się z nim rozstała, to, że odwróciła się na pięcie i odeszła, zanim Kellen zdążył coś odpowiedzieć, wciąż wspominała z dręczącym bólem w trzewiach - nawet nie powiedziała do widzenia.

Rozdział 7

Cwany Tony

I

Do ulubionych studentów Julii należał pewien spokojny gość o nazwisku Poynting, błyskotliwy i ciekawy świata działacz gejowski, którego pociągały surowość i nauka Kościoła prawosławnego, i miał nadzieję znaleźć w nim miejsce na jeden niewielki wyjątek od przyjętej tradycji - którą pod każdym innym względem z całego serca aprobował, łącznie z tym, co Kościół prawosławny i katolicki nazywa „wiernością tradycji apostołskiej”, a ludzie z zewnątrz określają mianem „niedopuszczania kobiet do kapłaństwa”. W zimny, ale pogodny poniedziałkowy poranek po pogrzebie Poynting zasiadł w biurze Julii i zwrócił się do niej z pytaniem o możliwości uzyskania funduszy na proponowany w okresie letnim wyjazd do Bolonii, służący przeprowadzeniu badań nad trzynastowiecznymi bractwami, których celem było wprowadzenia w życie obyczajów seksualnych propagowanych przez Kościół. Nie można było wykluczyć, że w rzeczywistości Joe Poynting chciał po prostu za darmo wyjechać do Włoch, ale większość kolegów Julii sama z chęcią skorzystałaby z takiej okazji. Dlatego też Julia, dysponując jeszcze kilkoma wolnymi minutami przed spotkaniem ze swoją przełożoną, z wyraźną przyjemnością otworzyła uporządkowane kartoteki w poszukiwaniu fundacji, która mogłaby go wesprzeć. Tym razem udało się im znaleźć trzy lub cztery, czyli o trzy lub cztery więcej niż w przypadku większości studentów szukających wsparcia finansowego do realizacji jakiegoś interesującego pomysłu, ponieważ religia w ogólności, a wydział teologiczny w szczególności były uważane za mało atrakcyjne.

Szukanie możliwości takiego przerobienia studenckich projektów, żeby stanowiły mgliste odzwierciedlenie tego, co fundacje naprawdę chciały finansować, należało do ulubionych aspektów jej pracy - w końcu to właśnie zwierciadła były jej konikiem.

Kiedy uszczęśliwiony Poynting opuszczał jej biuro, Julia zatrzymała go.

- Joe? Czy ty przypadkiem nie studiowałeś ekonomii na uniwersytecie Vanderbilt?
- Przed wielu laty.
- Ale terminologię jeszcze trochę pamiętasz? - Porządkowała biurko, wsuwając druki

z wnioskami z powrotem do odpowiednich kartotek, trafiających następnie do odpowiednich szuflad. - Na przykład „przechwytywanie nadwyżki”. Co to oznacza?

Student stał w drzwiach i stukał palcami po wargach.

- Ach, no wie pani. Powiedzmy, że nadwyżka konsumencka to różnica między wartością, jaką dany towar dla pani reprezentuje, a ceną, jaką pani za niego płaci. Zgodnie z teorią, zapłaci pani tylko wtedy, kiedy cena jest niższa od wartości. Rzecz w tym, że sprzedawca pragnie jak najbardziej zminimalizować różnicę między tymi dwiema wartościami. A to oznacza, że sprzedawca stara się przechwycić część pani nadwyżki, jeśli tylko jest to możliwe. Robi to, starając się zmusić panią do zapłacenia ceny zbliżonej do rzeczywistej wartości, jaką dany towar ma dla pani. - Poynting roześmiał się. - Czy jakoś tak.

Julia przemyślała jego słowa. Czyżby to było aż takie proste?

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Słucham.

- Dlaczego niektórzy sądzą, że najlepiej jest przechwytywać nadwyżkę na drodze aukcji?

- Czy te pytania przypadkiem nie mają coś wspólnego z tym zamordowanym profesorem? Z tym pani znajomym? - Dostyc dyplomatycznie to wyraził. - Czy o to pani pyta?

Julia zawahała się. Wiedziała, że Joe Poynting, podobnie jak wielu czarnych studentów uniwersytetu, żywił niesprecyzowany szacunek do Kellena Zanta, który z jednej strony postrzegany był jako wzorcowy obrońca rasy, w swoich wystąpieniach telewizyjnych zawsze potępiający dyskryminację w korporacyjnej Ameryce, a z drugiej jako swoisty przedsiębiorca wykorzystujący swoją rasę, budujący objazdowe imperium konsultingowo-wykładowe na fundamentach poczucia winy białych biznesmenów. Niektórzy ze studentów uważali Kellena nawet za sprzedawczyka. Julia nie miała pewności, gdzie w tym spektrum mieścił się młody Poynting, więc nie chcąc go urazić, postanowiła nie udzielać odpowiedzi na to pytanie.

- Po prostu mi pomóż, dobrze?

- Dla pani wszystko - uśmiechnęli się do siebie. - W tej sytuacji odpowiedzią jest tak zwana „klątwa zwycięzcy”. Załóżmy, że uczestniczy pani w aukcji, żeby kupić jakiś towar i później go sprzedać, ale nie ma pani pewności, jaka będzie cena odsprzedaży. Składając ofertę kupna, musi pani zgadywać. A jeśli licytacja jest zacięta, często zdarza się, że aby kupić towar, trzeba zaproponować cenę przewyższającą wartość odsprzedaży. A to oznacza, że nie można od razu próbować odsprzedać za wartość, jaką pani zapłaciła. Innymi słowy, jeśli celem jest odsprzedaż, istnieje taka możliwość, że całą pani nadwyżkę przechwyci

sprzedający na aukcji.

- Czy zawsze tak się dzieje?

- Oczywiście, że nie. Wartość rynkowa nie musi być najważniejsza. Przecież można chcieć kupić dany towar ze względów innych niż odsprzedaż. Ponadto istnieją też metody takiego zorganizowania aukcji, żeby uniknąć klątwy zwycięzcy i innych słynnych paradoksów. Ale ja nie jestem specjalistą od teorii aukcji. - Rozpromienił się. - Pamiętam, że chyba kilka lat temu profesor Zant opublikował artykuł na temat aukcji.

Niewątpliwie.

- Powiedz mi jeszcze, co to może znaczyć, jeśli ktoś określa coś mianem własnej nadwyżki?

- Jeśli ta osoba wie, o czym mówi, powiedzmy, że jest to ekonomista, prawdopodobnie ma na myśli coś, co udało mu się zachować podczas wymiany, a zatem jest to coś, co gotów był oddać, ale nie musiał. - Chwila przerwy, podczas której młody człowiek zdawał się zaglądać w jej duszę wszystkowiedzącymi oczami. - Coś, co dla niego przedstawia jakąś wartość.

- A ryzyko nadmiernych zapasów? Co to oznacza?

- Ach, to proste. Załóżmy, że jest pani biznesmenem i ma pani na magazynie towar, który chce pani sprzedać. Kłopot w tym, że taki towar może stracić na wartości. Zostają pani komputery, których nikt nie chce kupić. Albo sukienki, które wyszły z mody. Próbuje pani obniżyć ryzyko zapasów. Jedną z dobrych metod jest znalezienie kogoś, kto będzie utrzymywał te zapasy, dzięki czemu pani nie będzie miała z nimi problemu. Przy takim rozwiązaniu składa pani zamówienia zgodnie z potrzebami, a ryzyko zapasów ponosi ktoś inny.

- A mroczne czasy? Ciemność, która ma znaczenie?

Tym razem zabiła mu klina.

- Pierwsze słyszę - powiedział

Kiedy już została sama, Julia próbowała zająć się czytaniem teczek rekrutacyjnych z wnioskami pierwszych kandydatów, ale nie potrafiła oderwać myśli od rozmowy z Joe Poyntingiem, tak doskonale przecież współgrającej z tym, co mówiła Mary Mallard. Nie mogła wręcz uwierzyć, że przepytała biednego Poyntinga o to wszystko, zaledwie kilka dni po tym, jak sama sobie obiecała, że będzie trzymać się z daleka od tej małej tajemnicy Kellena. Ale Kellen zawsze miał na nią taki wpływ. Choćby nie wiadomo ile razy się go wyrzekła, zawsze z powrotem na niego trafiała. Nawet kiedy już wyszła za męża, Kellen, obdarzony tym nadnaturalnym wyczuciem, potrafił ją dopaść, kiedy nie było Lemastera. Tym

swoim powolnym, sennym, cikliwym głosem Południowca, zmiękczał ją i przymilał się do niej, obracając w perzynę wszelkie bariery, które próbowała przed nim wznosić, i czasami czystym przypadkiem z powrotem nie wpadała w jego ramiona.

Spojrzała na zegarek. Już pora na spotkanie z panią dziekan. Idąc korytarzami, stwierdziła, że teraz już przynajmniej coś wie. Niewiele, ale trochę. Kellen coś sprzedawał. To była ta jego wielka tajemnica. Albo już zdążył to sprzedać, albo właśnie miał to zrobić - ale na pewno zamierzał najlepszą część zachować dla siebie. Kłopot polegał na tym, że chciał podzielić się ryzykiem. On chciał, żeby Julia utrzymała zapasy - cokolwiek się na te zapasy składało. Powiedział Mary, że jeśli coś mu się stanie, Julia będzie to miała. Zginął niecały tydzień po tym, jak poprosił Julię o tę przysługę, a ona mu odmówiła.

Nie wiedziała natomiast, czy zanim został zastrzelony, zdołał znaleźć kogoś innego do utrzymania zapasów.

II

- Jak tam rodzina? - zapytała Claire Alvarez pogodnym głosem. - Tyle u was dzieci. To coś wspaniałego. Po prostu wspaniałego. Tak bardzo ci zazdroszczę.

- Wszyscy mają się dobrze - odparła Julia.

- A Vanessa już wie, gdzie pójdzie do szkoły?

- Och, jeszcze nie.

- Cóż, wiem, że gdziekolwiek pójdzie, będzie gwiazdą. Ona jest niesamowita. - Dziekan wydziału teologicznego skinęła głową. Była wysoką, eteryczną kobietą, od piętnastu lat uczącą etyki chrześcijańskiej studentów, którzy coraz bardziej wątpili, czy coś takiego w ogóle istnieje. Jej słodycz potrafiła okryć człowieka jak całun. Stary Clay Maxwell, będący w zaawansowanym wieku już wówczas, kiedy ponad dwadzieścia lat temu uczył Julię, lubił mawiać, że Claire potrafi sprawić, iż człowiek czuje się przy niej tak błogo i jest tak rozkojarzony, że nawet nie zauważy, kiedy ona go zwolni.

- Dziękuję - odparła Julia, chociaż przerażała ją rozmowa o Vanessie i studiach.

- I jak tam, spodobała się jej Francja? Wróciła właśnie z Francji, prawda?

- Ogromnie jej się podobała - powiedziała Julia, nie wspominając jednak, że ten wyjazd miał miejsce rok temu, był to prezent na szesnaste urodziny Vanessy, taka prywatna wizyta u babci Mo, jeszcze zanim wszystko się popsuło.

- Wprost uwielbiam tę dziewczynę - stwierdziła Claire, jakby rozmawiały o muzycce czy malarce, a nie o targanej konfliktami nastolatce. Ale rzadko się zdarzało, żeby Claire nie

lubiła jakieś kobiety. Była główną krajową specjalistką - prawdopodobnie jedyną krajową specjalistką - w zakresie teologii świętości stworzonej przez wielkiego metodystycznego kaznodzieję, Phoebe Palmer, która zgodnie z tym, co Julii udało się zrozumieć z częstych i entuzjastycznych wykładów Claire, w latach poprzedzających wojnę secesyjną, kiedy pozostałe duchowieństwo protestanckie dyskutowało o miejscu niewolnictwa w kraju wierzącym w Pismo Święte, wyróżniła się tym, że najpierw porzuciła ten temat, a następnie miasto, decydując się lata wojny spędzić w Anglii. - A tak przy okazji, czy masz jakieś kłopoty?

- Kłopoty? - odrzekła Julia, bardzo zaskoczona. - Och, mam nadzieję, że nie.

- Przepraszam, że uderzam w tak melodramatyczny ton - powiedziała Claire z nieodłącznym półśmiechem na łagodnym obliczu. - Wiem, że powinnyśmy rozmawiać o rekrutacji oraz wsparciu finansowym i zaraz do tego przejdziemy. Ale właśnie miałam bardzo dziwną wizytę pewnego prawnika, który jednocześnie jest jednym z naszych najpoważniejszych ofiarodawców. Okazało się, że on chciał rozmawiać tylko o tobie. To dziwne, nie sądzisz? - Ułożyła dłonie na wypolerowanym srebrnym pojemniku na cygara, stanowiącym jakiś nieprawdopodobny relikwiarz tradycji jej urzędu. - Nazywa się Tice, Anthony Tice. Występuje w tych reklamach telewizyjnych emitowanych późno w nocy.

Przerwała, najwyraźniej oczekując, że Julia przedstawi jej jakieś wyznanie.

- Widziałam je - stwierdziła Julia oględnie, zaciskając palce na teczce zawierającej prezentację przygotowaną dla administratora uczelni. - Ale nie znam go.

- Nic nie straciłaś. To niezbyt miły człowiek. Jest bardzo elegancki, przystojny, i widać, że zdaje sobie z tego sprawę. Przez ostatnie dwa lata co roku dawał nam sto tysięcy dolarów. Trudno mi powiedzieć, dlaczego pan Tice uważa, że jesteśmy godni jego hojności - spojrzała w górę na portrety dawnych dziekanów, jakby tam mogła znaleźć odpowiedź - ale w dzisiejszych czasach na wydziałach teologicznych się nie przelewa.

- Claire, dlaczego on o mnie pytał?

- Chodziło o dwie sprawy. O twój związek z tym biednym Kellenem Zantem...

- Nie mieliśmy żadnego związku - zaprotestowała Julia nazbyt szybko.

- A po drugie, pytał o twój charakter. Czy jesteś osobą prawą. Czy jesteś wierna swoim przekonaniom? Czy jesteś w stanie podjąć ryzyko dla wielkiej sprawy? - Wstała i zaczęła powoli przechadzać się po długim, ciemnym biurze, tylko w niewielkim stopniu rozjaśnionym przez listopadowe słońce. - Wyglądało, jakby chciał złożyć ci jakąś ofertę pracy. Przynajmniej początkowo tak myślałam. - Dziekan doszła do okna. Poprawiła włosy i podziwiała widok, chociaż składała się na niego tylko ponura zima ulica Hudson oraz, z

drugiej strony pokoju, bogaty, brzydki i pozerski wieżowiec Nauk Społecznych Hillimana, spoglądający protekcjonalnie na tę przesadną hałastrę Keplera - w jednym przybytku prawda była wymierna, choć nie wieczysta, w drugim prawda była wieczysta, ale nie mierzalna. - Oczywiście, wychwalałam cię pod niebiosa. Powiedziałam mu, że wydział zawsze był dumny, że może zaliczyć cię do swoich wychowanków, i że byliśmy zachwyceni, kiedy trzy i pół roku temu zdecydowałaś się podjąć u nas pracę.

- Dziękuję - powiedziała Julia, która w rzeczywistości nigdy nie dokończyła swojej pracy naukowej.

- Pytał też, jak się spisujesz pod presją. Chodziło mu o odnalezienie szczątków Kellena. Oczywiście, powiedziałam mu, że to musiało być straszne, ale że pod presją spisujesz się doskonale. - Ponownie odwróciła się w stronę pokoju, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. - Bo przecież rzeczywiście tak jest, sama dobrze wiesz. To jedna z twoich wspaniałych cech, Julio. Potrafisz zachować dystans. Odbierasz dzieło Boże z taką samą radością, niezależnie od tego, co się dzieje w twoim życiu.

Julia spuściła głowę. Trąciło to już pewną przesadą, nawet jak na Claire. Z pewnością zaraz sytuacja się odmieni. Zaczęła nerwowo przygryzać dolną wargę, którego to zwyczaju Mona nie zdołała wyplenić, chociaż często smarowała jej wargi jodyną.

- Jesteś tu nieco ponad trzy lata. Studenci cię uwielbiają. Cały wydział darzy cię szacunkiem. A ty zdajesz się lubić wszystkich. Mam wrażenie, że nawet z panem Tice'em udałoby ci się nawiązać dobre stosunki, chociaż jest taki niemiły. On chciałby się z tobą spotkać, Julio. - Claire powiedziała to tak, jakby chodziło o randkę w ciemno. - Tak, to prawda, ten człowiek jest egocentrykiem i pewnie jest chciwy, a do tego mówi z szybkością karabinu maszynowego, ale Julio, jeśli ty potrafisz dogadać się z Borisem Gibbsem, to z każdym się dogadasz.

- A o czym ten Tice chce rozmawiać?

- Chyba o Kellenie Zancie. Mówi, że się znali. Wspólnie pracowali nad jakimś projektem. Nie udało im się dokończyć badań. Odniosłam wrażenie, że pan Tice chyba chciałby zwerbować cię do zajęcia miejsca Kellena.

- Och, Claire, nie. Nie ma mowy.

Życzliwa dłoń powędrowała do góry.

- Absolutnie nie chcę cię do tego zmuszać, Julio. Ale pomyśl o tym. W końcu pan Tice jest poważnym darczyńcą wydziału, a ty jesteś... dziekanem. Mogłabyś przynajmniej z nim porozmawiać. Albo nie. To zależy tylko od ciebie. - Czyli wprost przeciwnie.

- Pomyślę o tym - obiecała Julia. Była dłużniczką Claire i obie o tym wiedziały. To

właśnie pani dziekan odnalazła ją w czasie tych ponurych miesięcy, kiedy straciła pracę w szkołach publicznych. Do dzisiaj Julia nie była pewna, dlaczego ona to zrobiła, chociaż Claire z lubością wygłaszała peany na cześć Keplera jako wzorcowego przykładu różnorodności.

- Dopiero pod koniec tej naszej rozmowy pojawiło się coś naprawdę dziwnego. On zapytał mnie, czy dobrze sobie radzisz z prowadzeniem gabinetu. Oczywiście, odparłam, że wspaniale. Bo przecież tak jest. Najbardziej uporządkowany gabinet w całej szkole, Julio. Sama o tym wiesz. Oczywiście, powiedziałam mu to. A potem zapytał mnie, czy mógłby tam zajrzeć. Do twojego gabinetu. W tym momencie musiałam mu powiedzieć, że chociaż jesteśmy mu bardzo wdzięczni za jego wsparcie, to są pewne granice...

Ale Julia nie słyszała dalszej części, gnała już korytarzem.

III

- Jesteś pewna, że niczego nie brakuje? - zapytał Lemaster, wręcz gotując się z wściekłości.

- W każdym razie niczego nie zauważyłam.

- Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- Sama ledwo w to wierzę.

Siedzieli w gabinecie Lemastera, dwukondygnacyjnym, połączonym wiatą z głównym budynkiem. Poza kilkoma zdjęciami rodziny oraz ożywiającymi pokój południowymi oknami, każdy centymetr kwadratowy ścian pokrywały książki. Jeszcze w czasach, kiedy się do niej zalecał, Lemaster powiedział Julii, że chciałby mieszkać w bibliotece. Teraz prawie mu się to udało.

- Znam tego Tice'a. Zasiadaliśmy wspólnie w kilku komisjach adwokackich. Połowa jego klienteli to szumowiny. Mafiosi, oskarżeni terroryści, brutalni mordercy. Naprawdę. Zgadzam się, że oni wszyscy potrzebują adwokata, ale robię się podejrzliwy, kiedy ktoś uważa, że to on musi ich wszystkich reprezentować. Cwany Tony. Tak go nazywają. - Ciężkie westchnienie. - Rzecz w tym, że on jest niezłym prawnikiem, a nawet bardzo dobrym. Tylko że nie ma żadnych zasad moralnych. Absolutnie żadnych. Ponadto nie jest w stanie myśleć niezależnie. On nawet przez ulicę nie przejdzie, jeśli klient mu za to nie zapłaci. Dlatego też uważam, że jeśli chciał zajrzeć do twojego biura, to ze względu na klienta.

Julia sączyła wino. Wspólnie popijali dosyć pretensjonalne białe wino Napa Valley.

- Jakiego klienta?

- Nie mam pojęcia. Ale trzeba przyznać, Jules, że ten człowiek ma tupet. Żeby przychodzić do mojego kampusu, nakłaniać jedną z moich dziekanów, żeby otworzyła mu

gabinet mojej żony! - Teraz już się podniósł i kroczył po pokoju. - Dobra. Dobra. Możesz w to wierzyć lub nie, ale w rzeczywistości on nie złamał ani zasad etycznych, ani prawnych. Prawnicy dysponują sporą swobodą, kiedy... mniejsza o to. Ale nie ujdzie mu to na sucho.

Mój kampus, zauważyła. Moi dziekani. Moja żona.

- A przecież właśnie powiedziałaś, że nie złamał zasad etycznych ani prawnych.

- To nie ma znaczenia.

- Nie ma znaczenia?

Zatrzymał się gwałtownie. Kiedy Lemaster tak się zachowywał, kiedy tak chodził i tupał, z trudem powstrzymywała uśmiech, ponieważ jako mężczyzna niski, przypominał dziecko w napadzie hysterii.

- Ustalone zasady niekoniecznie stanowią właściwą miarę dobra i zła.

- Co zamierzasz zrobić?

- Dopilnować, żeby to się już nigdy nie powtórzyło. Możesz mi zaufać. - Powiedział to tym swoim tonem oznaczającym „a teraz zmykaj”, którego używał, kiedy chciał wrócić do pracy. W jego okazałym gabinecie często czuła się jak petent. I często była petentem. - Zaczekaj, Jules, zaczekaj. Jest jeszcze coś.

- Hm?

- Czy podejrzewasz może, dlaczego ten Tice chciał zobaczyć twój gabinet? Czego mógł szukać?

- Nie.

- Może kartoteki Vanessy? - Miał na myśli zbiór wycinków prasowych i notatek o kłopotach córki. Julia trzymała je w Keplerze, kierując się intuicyjnym przekonaniem, że tam są bezpieczniejsze niż w domu.

- Nie wiem. Nie sądzę, żeby Claire w ogóle wiedziała o jej istnieniu.

- Ale Tony może wiedzieć. - Poglądził się po koziej bródce. - Dobrze, niech będzie. Mniejsza o to. Przykro mi, Jules, że musiałaś przez to przejść. Już ja się tym zajmę.

Julia się zawahała. Przed dwadzieścia lat małżeństwa Lemaster zawsze obiecywał zająć się wszystkimi problemami, jakie tylko się pojawiały, i zazwyczaj dotrzymywał słowa. Zastanawiała się, kiedy przekroczyła granicę między zaufaniem do niego a uzależnieniem się od niego.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała. Lecz on już powrócił do swojego laptopa i tylko się uśmiechnął.

Julia przeszła przez wiatę łączącą jego gabinet z głównym budynkiem. Może faktycznie Tice szukał kartoteki Vanessy. Być może reprezentował kogoś, kto zamierzał

podać ich do sądu za jakieś obecnie nieznane wykroczenie popełnione przez dziewczynę. Julia myślała jednak o jeszcze innym wyjaśnieniu, chociaż nie była gotowa podzielić się nim z mężem.

Mary Mallard błędnie zakładała, że Kellen przed śmiercią powierzył swoją nadwyżkę Julii. Nie było najmniejszego powodu, żeby przypuszczać, iż tylko Mary tak myślała.

Rozdział 8

Main Street

I

Następnego popołudnia, na dwa dni przed Świętem Dziękczynienia, Julia wymknęła się z ciastkarni Cookie's jak złodziej, obładowana słodyczami przeznaczonymi na prezenty dla różnych znajomych i kolegów z pracy. Na samym dnie torby drzemało przeznaczone dla niej samej pudełko zabójczych dla diety truflii cappuccino. Robiąc zakupy w sklepie Very, często identyfikowała swoich znajomych ze słodyczami odpowiadającymi ich gustom - należąca do Biedronek Tonya Montez to orzeszki karmelizowane, Iris Feynman z drugiej strony korytarza w Keplerze to waniliowa krówka, a oszczędny Boris Gibbs, który własne pieniądze wydawał na mniej kosztowne słodycze z sieci sklepów CVS, choć nigdy nie odmówiłby darmowego poczęstunku - otóż Boris kojarzył jej się z mazistą wisienką w czekoladzie.

Na Main Street dzień był pogodny, ale złowrogi. Z witryn sklepowych, drzew i parkometrów zwisały girlandy lodowych sopli. Julia rozpoznała kilka mijanych twarzy, ale niezbyt się im przyglądała. Martwiła się. Obok matki szła zadowolona Jeannie, skrywając twarz pod obszytym futerkiem kapturem drogiej kurtki, i delikatnie wrzucała do ust kolejne żelki. Nie było nic dziwnego w tym, że Jeannie była zadowolona. Ona zawsze była zadowolona. W przeciwieństwie do swoich braci, Jeannie w słabości starszej siostry najwyraźniej dostrzegała okazję do wykazania własnej siły. Opończa królowny Klanu, niegdyś okrywająca ramiona Julii - podobnie jak jeszcze w Harlemie, w latach pięćdziesiątych, okrywała barki Mony - zaczęła zsuwać się z ramion Vanessy jeszcze przed pożarem. Jeannie chyba już teraz była zdania, że ta opończa jej się należy.

W chwilach największego przygnębienia Julia ze zdumieniem przyglądała się czwórce swoich dzieci i czuła ciężar wychowawczej klęski.

- Pospiesz się, kochanie.
- Dlaczego? - Kolejny żelek powędrował do ust.
- Bo dochodzi już piąta?
- I co z tego?

- To z tego, że musimy zdążyć do pana Carringtona, zanim zamknie sklep.

- Dlaczego?

Cała Jeannie. Na swój leniwy sposób nigdy nie okazywała nieposłuszeństwa, ale zawsze musiała wiedzieć, dlaczego. Julia nie miała jednak zamiaru tłumaczyć swojemu najmłodszemu dziecku, że Verze Brightwood wypsnęło się, pośród jednego ze jej złośliwych monologów, że widziała dawnego kochanka mamusi, trzy dni przed jego śmiercią, kiedy szedł do Old Landing, usytuowanego po drugiej stronie ulicy sklepu z antykami.

Ani też że spędził tam całą godzinę.

II

Zdaniem Julii, Frank Carrington był typowym obywatelem Landing: biały, mocnej budowy i mieszkający tu od zawsze. Swego czasu zajmował się wszystkim, był zastępcą posterunkowego, kierowcą szkolnego autobusu i barmanem, dopóki nie odkrył, że ma oko do antyków, albo przynajmniej wykazuje talent do skubania turystów. Wtedy otworzył sklep Old Landing. Miasteczko leżało dobre dwanaście mil od Elm Harbor. Dzięki mądrości - albo też zawziętości - rady stref, Landing, w przeciwieństwie do innych nadbrzeżnych miejscowości w hrabstwie, wciąż jeszcze czekało na skolonizowanie przez fachowców dojeżdżających do miasta. Pełno w nim było obywateli pokroju Franka Carringtona, kipiących niechęcią do ludzi z uniwersytetu, którzy się tu wprowadzili, spowodowali podniesienie cen i wybrali demokratów do rady miejskiej, ale jednocześnie zabiegających o żywą gotówkę, którą ci ludzie wrzucali do ich kasy.

- I co mam ci o nim powiedzieć? - zapytał Frank, kiedy Julia wyłuszczyła mu sprawę.

- Był tutaj?

- Ja jestem człowiekiem interesu - wytłumaczył sprzedawca, beznamiętnym tonem mieszkańca Nowej Anglii. Był blady, jak to w zimie, i chudy, jak prawdziwy mieszkaniec Nowej Anglii, a płowe włosy zaczesywał młodzieżowo. Długi i ciemny sklep zastawiony był starociami, z czego połowa kryła się w cieniu. - Robię interesy z każdym, kto przekroczy ten próg. Niektórzy z tutejszych kupców nie lubią mniejszości, to prawda. Ale ja jestem inny. Sama wiesz, że cieszy mnie wasza obecność w tym miasteczku.

Tak, wiedziała o tym, ponieważ stale jej to powtarzał, kiedy przychodziła tu na drobne zakupy lub, od czasu do czasu, na większe.

- Potrzebujemy tutaj więcej mniejszości - oświadczył takim tonem, jakby mówił, że na Pleasant Road należy zamontować sygnalizację świetlną. - Przeróżnych - dodał obłudnie.

Przyglądająca się ozdobnemu świecznikowi z lustrem Julia nic nie odpowiedziała.

- Co słuchać u Presa? - zapytał Frank, nie spuszczać z tonu i nawiązując do tego, że Landing wciąż zachwycało się jej pierworodnym. Chociaż minęły już cztery lata, od kiedy przed terminem ukończył tutejszą szkołę średnią, pracujący w niej nauczyciele nie otrząsnęli się jeszcze po odkryciu, że miejscowy geniusz jest czarny. Podobnie było z Lemasterem, stosunki między ojcem a synem na zawsze się popsęły, i to obustronnie, kiedy okazało się, że z tej dwójki to syn jest bystrzejszy. - Mogę się założyć, że jest dumą Landing! - Frank uśmiechnął się słabo.

- U Prestona wszystko w porządku.

- Najmądrzejszy czarny dzieciak, jakiego ta okolica widziała - dodał, sądząc, że prawi jej komplement. - A co słyszeć u reszty rodziny?

Julia jednak nie pozwoliła, żeby odwrócił jej uwagę.

- Frank, powiedz, co on chciał? - Spojrzała na Jeannie stojącą przy witrynie i podziwiająca porcelanową szopkę bożonarodzeniową. Chociaż znajdowała się tam informacja, żeby niczego nie dotykać, Julia wiedziała, że lada moment Jeannie weźmie do ręki jedną z figurek i najprawdopodobniej ją uszkodzi. - Chodzi o Kellena Zanta. Kiedy tu przyszedł? Czego chciał?

- Tego samego, co wszyscy. Chciał coś kupić.

- I co? Kupił coś u ciebie?

- A dlaczego miałby nie kupić?

- Co kupił?

Chwila wahania, jakby zastanawiał się, ile ma zażądać za informację. Frank był człowiekiem wysokim, ale garbił się, jakby ten jego wzrost przerastał jego ambicje. Przez cały czas wodził wzrokiem nad ramieniem Julii, gdzieś w stronę Jeannie, która zdążyła już przyklęknąć. - Pamiętasz to dziewiętnastowieczne stojące lustro, które oglądałaś w zeszłym miesiącu?

- Oczywiście. - Pamiętała również, że Frank Carrington żądał za nie tysiąc osiemset dolarów, co oznaczało rozbój w biały dzień.

- Kupił je.

- Kellen kupił to lustro? Dlaczego, u licha, miałby kupować takie lustro? Przecież Kellen nie miał najmniejszego pojęcia o antykach.

- W każdym razie, to akurat kupił. - Napuszył się jak paw. - Bez targowania się.

- Ale przecież to nie ma sensu. Co Kellen mógł zrobić z zabytkowym lustrem?

Wzrok Franka ponownie powędrował w stronę Jeannie, która, jak można się było

spodziewać, zdjęła z podstawy malutką stację kolejową. Trzymała ją blisko twarzy i zaglądała do środka. Przepisy obowiązywały osoby mniej doskonałe niż ona. - Powiedział, że to ma być prezent.

- Prezent? - Przez moment poczuła ślełą zazdrość. - Dla kogo?

- Dla ciebie.

Julie rzuciła okiem w stronę córki, nie chcąc, żeby słyszała, o czym mama rozmawia. Położywszy dłoń na ramieniu starego mężczyzny, zaciągnęła go w głąb mrocznego sklepu.

- To wcale nie jest zabawne - powiedziała.

- Ja nie żartuję, Julio. Zapytał mnie, co ci się tu spodobało, więc mu powiedziałem.

- Ale...

Przerwała, niezbyt wiedząc, jak wyrazić swoje myśli. To prawda, ona i Kellen od czasu do czasu obdarowywali się nawzajem drobiazgami i smakołykami - na przykład te krówki na urodziny. Nie mieściło się jej jednak w głowie, że on mógłby kupić jej lustro za tysiąc osiemset dolarów. Przecież była mężatką! Co miała powiedzieć mężowi - od kogo niby miałyby je dostać? Nigdy nie przyjęłyby takiego prezentu i Kellen z pewnością zdawał sobie z tego sprawę, a poza tym...

- Ale on mi go nie dał.

- Tak, nie dał - przyznał Frank Carrington, zacierając upiorne dłonie, jakby umywając ręce od odpowiedzialności. - Przykro mi. Powiedział, że zadzwoni do mnie i poinformuje, gdzie dostarczyć to lustro. Ale nigdy nie zadzwonił.

- Chcesz powiedzieć...

- Wciąż tu jest. Chciałabyś je zobaczyć?

III

I w ten sposób Julia, która wciąż jeszcze żywiła nadzieję, że to wszystko okaże się snem, miała okazję zbadać drugie lustro pozostawione jej przez Kellena.

- Chyba rozumiesz, Julio, że nie mogę ci tego dać - odezwał się Frank, zdejmując szmatę. - Ja tylko odniosłem wrażenie, że on zamierza sprezentować je tobie, ale przecież nie mam pewności. W związku z tym, to lustro wciąż stanowi część jego mienia. Mienia należącego do jego majątku, jak sądzę.

- Rozumiem - odrzekła Julia, krążąc wokół wysokiego owalnego lustra i odruchowo zwracając uwagę na rysy i odpryski. Chociaż było w marnym stanie, podświadomie kochała je, bo było takie stare. Już od dzieciństwa Julia miała własną, tajemną teorię, czym stare lustra

różnią się od innych staroci: jeśli dostatecznie długo wpatrywać się w takie zwierciadło, można tam dostrzec niewyraźne kształty wszystkich kobiet, które przez te całe dziesięciolecia przed nim się stroiły i mizdrzyły. Jeszcze mieszkając w Hanoverze, a zwłaszcza w miejskiej rezydencji babci Vee w Harlemie, młoda Julia potrafiła całymi godzinami stać i spoglądać spod przymrużonych powiek w posrebrzane szkło, czekając na ukazanie się odbicia historii. Jak na razie, pomimo wielu lat spędzonych przed lustrem, nie udało się to jej, ale od czasu do czasu wyobrażała sobie Monę, która stoi za nią i tym swoim wysokim głosem, jakby jednocześnie użalała się nad sobą i wyrażała zadowolenie z siebie, ostrzega Julię, żeby dała sobie spokój z tym ciągłym poszukiwaniem czegoś, co w jej wyobrażeniu mogłaby znaleźć po drugiej stronie: „Jeśli za długo będziesz wpatrywać się w te rzeczy” - mówiła jej matka, podobno cytując babcię Vee - „sama się przemienisz w coś takiego”.

- Piękne, prawda? - wyszeptał Frank, jakby zachwalał towar. Mówił podniesionym głosem, jak zawsze, kiedy się denerwował. Zauważywszy, że jego dłonie ponownie zaczęły drżeć, Julia zastanowiła się, co było tego przyczyną. Może zamierzał zatrzymać to lustro i jeszcze raz je sprzedać.

- Piękne - skłamała, pozornie zgadzając się z nim. W rzeczywistości lustro było bardzo zaniedbane. Przechyliła je i zauważyła, że całość się chwieje. Chociaż szkło było wypolerowane, jej odbicie rozdymało się na drżącej powierzchni, jak obraz z gabinetu luster. Im dłużej Julia przyglądała się temu lustru, tym bardziej jej o czymś przypominało, chociaż nie potrafiła sprecyzować, o czym. - Jeden z kwiatonów jest pęknięty - zauważyła.

- To rysa.

- Raczej wielka rysa. - Frank rozłożył ręce, jakby chcąc pokazać, że nic nie poradzi na to uszkodzenie. Julia przyjrzała się połączeniom i przegubom, podlubała w grudce kleju. - I Kellen zapłacił całą cenę?

- Uhm.

- Kiedy powiedziałeś mu, że je oglądałam?

- Uhm.

Julia pokręciła głową, zupełnie zdezorientowana. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Kellen miałby kupować jej jakieś brzydkie, zabytkowe lustro po wygórowanej cenie, i to w takim marnym stanie. Jeśli jednak wziąć pod uwagę lusterko Comynsa, które Seth przekazał jej w Arkadelphii, dostała od Kellena dwa zwierciadła w ciągu jednego tygodnia. Nawet człowiek działający tak pochopnie jak Kellen Zant musiał mieć jakiś powód, żeby ofiarować tak dziwne podarki. Czy to o tym słyszał Boris Gibbs? Że Kellen kupował jej w Landing kosztowne starocie? Ale czy coś takiego mogło kogoś rozzłościć? A może była to ta

nadwyżka, o którą pytała ją Mary Mallard, ta, o której Kellen powiedział, że przekaże ją Julii? Jeszcze raz dotknęła pękniętego kwiatonu. Na ile znała Kellena - a znała go przecież nieźle - ten człowiek coś kombinował. Nadal jednak nie umiała znaleźć związku między zakupem tego lustra a ewentualnym kombinowaniem.

Postanowiła nie zastanawiać się nad tym. W końcu to nie jej sprawa, co Kellen kombinował. Kiedy jeszcze żył, od czasu do czasu próbował zaangażować ją z powrotem w swoje sprawy. Tym bardziej nie zamierzała pozwolić mu na to teraz, kiedy już nie żył. Po raz pierwszy od jego śmierci, gniew Julii na Kellena zaczął uśmierzać jej ból.

- I nic więcej nie powiedział? Tylko że to prezent dla mnie?

- W zasadzie nie. - Frank tak głęboko wycofał się w mrok, że jego głos zdawał się unosić w powietrzu. - Powiedział, że spodoba ci się to, bo uwielbiasz historię.

Ale przecież historia ją nużyła. Chyba z tysiąc razy mówiła Kellenowi, że ją interesuje tylko przyszłość, a nie przeszłość, był to grzech często wypominany jej przez Monę. Właśnie miała to powiedzieć, być może nierozważnie, kiedy ze sklepu dobiegł ich brzęk.

Jeannie stała na wyprostowanych nogach, z szeroko otwartymi niewinnymi oczętami i rękami bezpiecznie schowanymi za plecy, o kilka wdzięcznych kroczków oddalona od rozbitego porcelanowego domku.

- Ja nic nie zrobiłam - powiedziała.

Rozdział 9

Napięcie powierzchniowe

I

Na Święto Dziękczynienia do miasteczka przyjechała kuzynka Lemastera w drugiej linii, Astrid, a wraz z nią dwójka jej poważnych, zdystansowanych, tyczkowatych dzieci, wnosząc do domu na Hunter's Meadow jak zawsze szaloną i anemiczną energię nałogowego palacza. Astrid Venable była osobą o ciemnej skórze, drobną i elegancką, podobnie jak sam Lemaster, a także równie wyniosłą i błyskotliwą. Oboje wyemigrowali jako nastolatki i - wraz z jej młodszym bratem, Harrisonem, gwiazdą rynku inwestycji finansowych - zostali wychowani przez tę samą wymagającą ciotkę w Chicago. Ciotka posłała ich do szkoły katolickiej, chcąc za jednym zamachem zadbać o dwie podstawowe sprawy. Astrid niczym laser koncentrowała się na wszystkim, co przyciągało jej uwagę, a to oznaczało przede wszystkim pracę na Kapitolu oraz jej społeczne zaangażowanie, ponieważ życie klubowe ciemniejszej nacji było jej drugim domem, a czasami nawet pierwszym - w przeszłości pełniła funkcję wiceprzewodniczącej krajowego stowarzyszenia Biedronek, a obecnie była sekretarzem krajowym jednego z tych najbardziej ekskluzywnych czarnych zgromadzeń kobiecych i nigdy nie opuściłaby żadnego kongresu, ani też okazji, żeby ci powiedzieć, dlaczego należy w nim uczestniczyć. Astrid myślała wyłącznie o sobie. Denerwowała się, jeśli Lemaster nie odpowiadał natychmiast na jej e-maile, i często dzwoniła na Hunter's Heights późnym wieczorem, wiedząc, że Julia zawsze czuwa, z poleceniem, żeby włączyła telewizor, i to szybko, ponieważ w publicznej telewizji emitowany jest program dokumentalny o jakimś mało znanym czarnoskórym rzeźbiarzu, o którym Julia nigdy wcześniej nie słyszała i najpewniej nigdy już nie usłyszy. Jeśli Julia mówiła, że właśnie zajmuje się czymś innym, Astrid jeżyła się i przyjmowała postawę obronną.

Dzieci Astrid były snobami i flejtuchami jednocześnie, i po całym Hunter's Heights walały się części ich garderoby, buty, gry elektroniczne, butelki coli i okruszki ciastek porzucane w sposób potwierdzający przyzwoitość, a przynajmniej istnienie służby, która towarzyszyła im od urodzenia. Zanim przeprowadziła się do Waszyngtonu, Astrid była

wspólniczką w kancelarii adwokackiej na Wall Street i odłożyła więcej pieniędzy, niż jej kuzyn mógł zarobić przez pięć lat, choć przecież on sam bynajmniej nie przymierał głodem. Lemaster stanowczo nie dawał się wciągnąć w rozmowy o polityce, Astrid jednak, jeśli nie mówiła o swoich klubach, potrafiła rozmawiać wyłącznie o tym, i nie znosiła, jeśli rozmówca mówił cokolwiek, co nie było potwierdzeniem jej własnych słów. W przeszłości Astrid pojawiło się kilku tam mężów, chociaż nie zawsze jej własnych, a w przyszłości prawdopodobnie mieli pojawić się następni. Lemaster uważał, że jego kuzynka jest hałaśliwą, bezmyślną krzykaczką, a do tego, jako matka, psuje własne dzieci. Sam, jak przystało na imigranta, heroicznie dumny ze swojego dziedzictwa, powiedział swojej żonie, że w tych dzieciach trudno jest już dopatrzeć się potomków Antylczyków.

Julia w głębi duszy bała się tej kobiety.

Astrid przyleciała w środę, a wraz z nią pocałunki, uściski i wymiana torebek pełnych bożonarodzeniowych prezentów, a Julia, oprócz indyka, na Święto Dziękczynienia przygotowała tofu *stir fry*, ponieważ nikt w rodzinie Astrid nie jadał ani czerwonego, ani białego mięsa, a przynajmniej nie wtedy, kiedy matka była w pobliżu. Astrid powiedziała, że dzieci zabrały ze sobą zadania domowe, chociaż na ile Julia zdołała zauważyć, te ich zadania polegały głównie na grach wideo i dostrajaniu przywiezionych laptopów do domowego routera bezprzewodowego, żeby mogli kontaktować się ze swoimi kolegami za pomocą komunikatorów internetowych.

Kolacja w Święto Dziękczynienia przebiegła w atmosferze krzykliwej i zarazem niezbyt świątecznej - krzykliwej, ponieważ Astrid ani na chwilę nie zamykała ust i ponieważ przy stole pełno było ludzi, a wśród nich Wendy Tollefson, koleżanka Julii z nauczycielskich czasów, oraz kilku znajomych z uniwersytetu, którzy nie mieli z kim zjeść tej kolacji, a mało świątecznej, ponieważ nie uczestniczył w niej żaden z synów Carlyle'ów. Aaron uzyskał zgodę na spędzenie Święta Dziękczynienia w Teksasie, wraz z rodziną bogatego współlokatora, a Preston, jak zawsze niegrzecznie tajemniczy, po prostu przysłał im e-maila z informacją, że nie przyjedzie, nie podając żadnych wyjaśnień. Za namową Julii, Lemaster poprosił Suzanne de Broglie, profesorkę z wydziału teologicznego, o pobłogosławienie posiłku. Kiedy Suzanne modliła się do „Boga, naszej Matki”, jej rektor patrzył gniewnym wzrokiem na swoją żonę. Zgodnie z rodzinną tradycją, po deserze wszyscy zebrani przy stole złożyli swoje własne podziękowania. Jeannie dziękowała Bogu za wspaniałą mamusię i tatusia, za wspaniałą siostrzyczkę, obu wspaniałych braci i za wszystkich innych żyjących, a także za zmarłych. Modlitwy Vanessy nie było słyhać. Kiedy przyszła kolej na Astrid, podziękowała za niepowodzenie ostatniej próby zniszczenia szkół publicznych przez

przyznanie biednym dzieciom bonów oświatowych i wyraziła głęboką nadzieję, że Bóg wkrótce objawi, że religijna prawica w rzeczywistości nie jest prawa, jest natomiast niereligijnym złem.

Ojciec Suzanne, również profesor teologii, był surowym tradycjonalistą, bardzo cenionym przez Lemastera. Po kolacji można było zauważyć, że Lemastera aż korci, żeby zapytać, co o jej modlitwie sądziłby Eduard de Broglie. Jeszcze kilka lat temu pewnie tak by zrobił. Ale obecnie piastował stanowisko rektora uniwersytetu, w związku z czym postanowił później wyładować się na swojej żonie. Bo problem, jak powiedział Julii, kiedy już kładli się spać, polega na tym, że ludzie chcieliby mieć takiego Boga, który byłby na tyle mały, żeby mogli zmieścić go w tylnej kieszeni spodni i wyciągnąć go tylko wtedy, kiedy może im się przydać do uzyskania jakiejś świeckiej korzyści. Nikt nie potrzebuje jakiegoś Boga, który będzie nam mówić, co mamy robić, mówił. Chcemy takiego Boga, który będzie nakazywał nam tylko to, co sami mu wskażemy, i zezwalał nam na to, co sami uznamy za słuszne. Chcemy Boga, który będzie mniejszy od nas samych, który nigdy nie jest nieposłuszny, zawsze nam się podporządkowuje. Nic dziwnego, że nikt już nie chodzi do kościoła. Po co wielbić Istotę, która jest tak mało znacząca? Julia, podobnie jak cała ich rodzina, już setki razy słyszała tę opinię. Zgadzała się, bo Lemaster lubił, kiedy się z nim zgadzano. Leżąc obok niego w łóżku, próbowała wyobrazić sobie męża obdarzonego poczuciem humoru.

W piątkowy wieczór Julia chciała wyciągnąć swoją pociotkę, jak nazywały ją dzieci, na comiesięczne spotkanie Biedronek, ponieważ mimo wyprowadzki do Waszyngtonu Astrid wciąż była członkinią legendarnego oddziału Westchester County, przed którym wszystkie pozostałe zgromadzenia były czołem, częściowo służalczo, ale też z czystej zawiści. Westchester gromadziło poważną część czarnego bogactwa wielkiego Nowego Jorku, a wśród członkiń znajdowała się jedna prezes firmy z listy pięciuset największych amerykańskich firm magazynu Forbes, dwie żony szefów z listy stu największych firm, dwie ważne osobistości z telewizji krajowej, cztery żony zarabiających krocie nowojorskich gwiazd sportu, a także wiele innych, skończywszy na takich, jak sama Astrid, które były zaledwie przyzwoicie zamożne (jak to określała babcia Vee).

Ku zaskoczeniu Julii, Astrid oświadczyła, że jest zbyt zmęczona, zostały więc w domu i w trójkę z Vanessą grały w bezika, który w czasach świetności Harlemu był niemal oficjalną grą Klanu. Zajadały popcorn, oglądały stary film i przede wszystkim czekały na Lemastera, który musiał pójść na obiad wydawany na cześć najstarszego w miasteczku czarnego prawnika, w związku z jego przejściem na emeryturę; a Julia, kierując się przenikliwą intuicją, odgadywała, że to chęć spotkania się z kuzynem, a nie tak przyziemna słabość jak

zmęczenie zatrzymała Astrid w domu.

- Kochana, czy media dały ci już spokój? - zapytała w pewnym momencie Julię, tak bardzo ją przerażając, że szwagierka dorzuciła nieodpowiednią kartę.

- Chodzi ci o to, co się stało z Kellenem? - Nerwowy śmiech. - To dawne dzieje, zważywszy na to, jak często obecnie ukazują się wiadomości.

- Ciekawa jestem, czy to prawda.

- Czy co jest prawdą?

- Czy to rzeczywiście są dawne dzieje. - Wyglądała na strapioną i chyba chciała zapalić. Julia wiedziała, że wkrótce przeprosi i wyjdzie na krótki spacer po podwórzu. Astrid wyczuła to jej baczne spojrzenie. - Ja tylko czekam, kiedy wydarzy się jakieś nieszczęście. Żyję z tego.

Julia, rozmyślająca o lustrze, nic nie odrzekła, ale Vanessa, która zajmowała się zapisywaniem wyników, obrzuciła ciotkę Astrid zatroskanym spojrzeniem, wychwytyjąc pewien drobiazg, który umknął uwadze jej matki.

- Czyżby senatora martwiło, czym zajmował się Kellen?

Tym senatorem był szef Astrid.

- Nie, nie, kochanie, nie bądź niemądra. Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? - I natychmiast przeprosiła, po czym wyszła na spacer, nie czekając na odpowiedź Vanessy. Również Julię zastanowiło, dlaczego jej córka zadała to pytanie, ale zanim zdążyła ją przycisnąć, Vanessa pobiegła do swojego telefonu komórkowego, ponieważ dzwonił do niej Ten Casey. Kiedy później Julia plotkowała ze swoją pociotką w pokoju gościnnym w suterenie, udekorowanym plakatami z broadwayowskich przedstawień z udziałem czarnoskórych artystów, Astrid powiedziała to, co zawsze mówiła, a mianowicie, że nie jest w stanie pojąć, dlaczego Julia nie słucha oryginalnej muzyki ich społeczności - mając na myśli te przerażające mizoginistyczne teksty, które były sekretną miłością Lemastera. W pewnym momencie Vanessa weszła do pokoju jak gdyby nigdy nic, z zamiarem pokazania ciotce Astrid fotografii, którą Seth Zant dał im w Arkadelphii. Julia nie potrafiła ukryć zażenowania. Była przekonana, że zdjęcie jest dobrze ukryte, ale próby ukrywania czegoś przed Vanessą były z góry skazane na niepowodzenie, o czym wiedzieli już od momentu, kiedy malutka dziewczynka, stawiająca ledwie pierwsze kroki, odkryła skarbnicę prezentów gwiazdkowych, ukrytych przez Lemastera głęboko w zamkniętej szafce w jego gabinecie.

- Oni naprawdę byli niezłą parą - odezwała się Vanessa triumfującym tonem.

Astrid szeroko otworzyła oczy.

- Byli? - Przed oczami Julii stanęła jej przyszłość, już widziała, jak ten pikantny

szczegół staje się główną atrakcją plotek krążących od jednego oddziału Biedronek do drugiego. Astrid uśmiechnęła się do niej. - Lemaster nigdy mi o tym nie mówił.

- On, hm, potrafi dochować tajemnicy - odrzekła Julia, czując wyjątkową potrzebę przeproszenia.

- Widzę - stwierdziła Astrid pogardliwym tonem, jakby dotrzymanie tajemnicy zaliczało się do karygodnych słabości.

II

Chociaż ta wizyta wypadła w okresie świątecznym, nie miała charakteru towarzyskiego. Chodziło o interesy, a dla Astrid obecnie interesy wiązały się wyłącznie z polityką. Była szefem sztabu senatora Malcolma Whisteda, kolejnego starego znajomego Lemastera. Znali się jeszcze z czasów studenckich, kiedy dwa ostatnie lata na kampusie spędzili razem, jako część czwórki wspólnie zamieszkującej apartament Hillimana, na podstawie odwiecznego aktu własności zarezerwowany dla najstarszego aktualnie uczącego się w college'u członka klanu Hillimana i maksymalnie trójki jego przyjaciół. Apartament zajmował większą część ostatniego piętra akademika Hillimana, domu studenckiego, którego nie należy mylić z wieżowcem nauk społecznych i sześcioma innymi budynkami kampusu, w końcu rodzina Hillimanów była jednym z największych sponsorów uniwersytetu. Na piętrze znajdowały się jeszcze dwa mniejsze pokoje, w tamtych czasach powszechnie pożądane ze względu na sąsiedztwo apartamentu Hillimana, chociaż w przeszłości stanowiły zwyczajne służbówki.

Jock Hilliman, który później dorobił się jeszcze większej fortuny na przejmowaniu przedsiębiorstw, zajmował ten apartament w czasach studiów Lemastera i zgorszył swoich krewnych, proponując temu czarnoskóremu mężczyźnie wspólne mieszkanie. Jak szeptali jego krewni, był to pierwszy przypadek, kiedy czarnuch przekroczył próg apartamentu Hillimana jako ktoś inny niż służba. Do wspólnego mieszkania dokooptował jeszcze dwóch swoich kumpli, znanych wówczas jako Łach i Mał, a później odpowiednio jak Prezydent Stanów Zjednoczonych i starszy senator zamierzający uczestniczyć w prawyborach Partii Demokratycznej rozpoczynających się już za trzy miesiące w stanie Iowa, a jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, przyszłej jesieni zmierzyć się z Łachem w wyborach prezydenckich. Prasa już teraz ekscytowała się możliwością rywalizacji dwóch kolegów z tego samego pokoju. Związki między nimi były jednak dużo luźniejsze, niż mogłoby się wydawać. Jock, Łach i Mał przez lata prawie zupełnie stracili ze sobą kontakt, ale Lemaster, obdarzony tym swoim niesamowicie skutecznym talentem do podtrzymywania przyjaźni,

wciąż pozostawał w bliskich stosunkach z całą trójką. Kiedy trzy lata temu zmarł Jock - w objęciach swojej dużo młodszej kochanki, chociaż w nekrologach napisano, że na skutek ataku serca podczas wizyty u znajomego - Lemaster tak wspaniale wychwalał go pod niebiosą, że nawet tacy bezwzględni politycy, jak Łach i Mał, zdołali uronić przed kamerą kilka łez.

To właśnie Lemaster pomógł Astrid załatwić tę pracę.

III

Większą część sobotniego popołudnia Astrid spędziła na rozmowie w cztery oczy ze swoim kuzynem w jego gabinecie, ich podniesione głosy wyraźnie mógł usłyszeć każdy, kto - jak Julia - skradał się przez wiatę między budynkami, wchodził do przedpokoju, i przyciskał ucho do ciężkich drzwi. Chociaż Julia nie potrafiła rozróżnić słów, ale po bacznej obserwacji wczorajszego wieczoru i odczytaniu drobnych sygnałów z rzucanych spojrzeń i postawy, dostrzegła, że tym razem Astrid jest petentką, a Lemaster rozdaje karty. Niestety, nie mogła zbyt długo tak stać, i to nie tylko z obawy przed przyłapaniem. Musiała jechać do multipleksu i odebrać dzieci, swoje i Astrid, które - w różnych konfiguracjach - oglądały tam filmy. Jadąc naprawionym już escaladę, próbowała domyślić się, czego ta rozmowa dotyczy.

Dotarwszy na miejsce, znalazła Jeannie siedzącą sztywno obok Odessy, trzynastoletniej córki Astrid, one obie oglądały nowy film Disneya; oraz przechadzającego się z napojem gazowanym w jednej ręce i telefonem w drugiej brata Odessy, Cedrica, wyjątkowo wysokiego jak na członka rodziny Carlyle piętnastolatka, który, za nieuważnie udzieloną zgodą swojej matki, wślizgnął się na dozwolony od lat siedemnastu film o wampirach i podbiciu świata, z fabułą składającą się głównie z krwawych jatek. Wszyscy czekali na Vanessę, która z Tym Caseyem wybrała się na komedię romantyczną, a Julia nawet nie próbowała myśleć, co ta dwójka wyprawiała w ciemnościach. Ich film był najkrótszy, ale najprawdopodobniej Casey się spóźnił i poszli na następny seans.

Myśląc tylko o sobie.

Roztrajkotana Jeannie była zachwycona filmem Disneya, wyrafinowana Odessa udawała, że już z takich filmów wyrosła, a wysoki Cedric zbyt był zajęty rozmową telefoniczną, żeby w ogóle przywitać się z ciocią Julią. Ciocia Julia sprawdziła pory seansów i stwierdziła, że komedia romantyczna skończy się dopiero za godzinę i dziesięć minut, więc zaprosiła wszystkich do znajdującej się po drugiej stronie ulicy chińskiej restauracji. Potem mieli wrócić po Vanessę. Kiedy jedno po drugim dzieci zgadzały się na tę jej propozycję,

Julia zauważyła w kinowym holu Tego Caseya, bardzo przymilającego się do jakiejś „głupiej blondynki”, jak określiłaby ją Vanessa, nawet w listopadowym chłodzie obnażającej tyle ciała, że gdyby zrobiła to w czasach młodości Julii, ryzykowałaby zatrzymanie przez policję. Pod nieobecność Vanessy ogarnięta słusznym oburzeniem i nie zważając na wszelkie rozsądne zasady niemieszania się w sprawy dzieci, Julia jak burza przeszła przez hol, klepnęła początkującego poetę w ramię, ale po raz kolejny zbiła ją z tropu nieskazitelna niewinność wilgotnych, wrażliwych, zielonych oczu Caseya Wyatta.

- Pani Carlyle! Witam, jak się pani czuje? Czy to faktycznie było takie straszne? Vanessa mówiła, że to było naprawdę okropne. - Trącał łokciem głupią blondynkę, jednocześnie próbując uzyskać informacje z pierwszej ręki. - To mama Vanessy. To ona znalazła tego martwego Murzyna.

Blondynka wymamrotała coś na kształt powitania.

- Czyli wszystko u pani w porządku? - stwierdził Casey, a w jego głosie trudno byłoby zauważyć współczucie, raczej starał się podkreślić swoją pozycję osoby posiadającej poufne informacje na temat niewątpliwie najszerzej dyskutowanej rodziny w Landing. Brązowe pukle kręciły się chłopięco nad jego czołem. Delikatne loki nadawały mu bajronowski wygląd i właśnie ta jego poetyckość przyciągała do niego Vanessę; ponadto istotne było, że był jej jedynym adoratorem w tutejszej szkole średniej, gdzie na tysiąc czterystu uczniów może dwudziestka była czarna. - Vanessa mówiła, że to była jedna miazga, ta jego głowa cała odstrzelona i to wszystko.

- Casey, a gdzie jest Vanessa? Co ty robisz tutaj - spoglądając na blondynkę - skoro seans jeszcze trwa?

- To nie moja wina, pani Carlyle. To ona zmieniła zdanie. Nie chciała iść na film. Miała coś innego do zrobienia. A ja spotkałem tu Melanie, wie pani, ze szkoły. I pomyślałem...

- Co innego?

- Proszę?

- Casey, co ona miała do zrobienia? Gdzie jest moja córka?

Odruchowo wskazał w stronę parkingu. Oczy stojącej obok Jeannie były ogromne i podniecone, jak zawsze, kiedy tylko pojawiała się jakaś możliwość, że Vanessa spowoduje kłopoty. Sięgnęła po rękę matki. Odessa już rozmawiała przez swój telefon komórkowy, podobnie jak jej brat ignorując otaczający ją świat.

- Powiedziała, że musi czymś się zająć. - Teraz sprawiał już wrażenie zmartwionego. - Bardzo dziwnie się zachowywała. Próbowałem ją zatrzymać, pani Carlyle. Naprawdę.

- Czym zająć? Dokąd poszła?

Casey spojrział na głupią blondynkę, która cofnęła się o krok, obgryzając paznokcie.

- Zawsze tak się zachowuje. Zawsze, kiedy jesteśmy razem. - Teraz już szeptał, ze wzrokiem wbitym w wykładzinę, a Julia mimowolnie wyczuła dręczącą go bolesną rozterkę. Może jemu faktycznie zależało na Vanessie.

- Możemy iść na kolację, do kina, gdziekolwiek i wszystko jest w porządku, ale ona potrafi nagle, ni z tego, ni z owego, zerwać się i gdzieś pognać. I zawsze ma ten sam powód. - Uniósł udręczony wzrok i przez krótką chwilę dzielili się skruszoną wiedzą, że oboje nie są w stanie nie tylko zapanować nad obiektem swojej miłości, ale nawet go zrozumieć. - Zawsze dlatego, że Gina jej potrzebuje.

IV

Wachlarz emocji doświadczanych przez Julię w zasadzie nigdy nie obejmował paniki. Kobiety w rodzinie Veazie potrafiły rozwiązywać problemy i planować, były zorganizowane i asertywne, do pewnego stopnia potrafiły być nawet nierozważne, wołały zaryzykować błąd niż pozostać bezczynne. Jak często powtarzała Mona, to właśnie tylko dzięki determinacji i ciężkiej pracy kobiet ciemniejsza nacja mogła przetrwać dziwactwa swoich mężczyzn. Kiedy zaledwie kilka tygodni po zamieszkaniu z Lemasterem, Julia dowiedziała się, że jest w ciąży, bez wahania i płaczu poszła prosto do swojego chłopaka i podzieliła się z nim tą wiadomością, stwierdziwszy, że ich przyszłość zależy będzie od jego pierwszej reakcji. Gdyby zasugerował aborcję, dostałby w twarz, gdyby powiedział, że to jest jej problem, wychodząc, wyłupiłaby mu oczy, w nadziei, że przynajmniej jedno oślepi, a kiedy on zamiast tego zaproponował jej małżeństwo, Julia odrzuciła tę propozycję, kierując się arbitralnym rozumowaniem, że nie chce wykorzystywać jego pochopnej decyzji. Ale decyzja nie była pochopna, jak zapewnił ją Lemaster. Już od pewnego czasu chciał poprosić ją o rękę, ale powstrzymywała go nieśmiałość. Już za samo to sformułowanie Julia o mało nie dała mu w twarz, ponieważ Lemaster nigdy w życiu nie był nieśmiały. Oparłszy ręce na biodrach, ze złością kazała mu to udowodnić. Uśmiechnął się i powiedział: „Jeśli urodzi się dziewczynka, gotów jestem dać jej na imię Amaretta”. Ale urodził się chłopczyk i dali mu na imię Preston, po mężu babci Vee, jedynym znanym Julii dziadku.

Obecnie, jak zawsze zaczynając od stworzenia planu, nie zadzwoniła ani do męża, ani na policję. Wybrała numer telefonu komórkowego Vanessy.

Poczta głosowa.

Pomyśl. Zaplanuj. Działaj.

Gina. Kiedy tylko Vanessa gdzieś zniknęła, zawsze mówiła, że robi to dla Giny.

Julia wpakowała dzieci do escalade, protestującym kuzynom kazała odłożyć telefony komórkowe i ruszyła drogą numer 48, zaglądając do na wpół opustoszałych centrów handlowych, ciemnych biurów i sennych salonów samochodowych, które w dzisiejszych czasach zdawały się otaczać wszystkie podmiejskie multipleksy. Po kilku minutach już wszyscy dobrze się bawili, ale właśnie kiedy Cedric zaczął na głos rozważać, jakie to nieszczęścia mogły przydarzyć się Vanessie, ona oddzwoniła.

- Jestem w Towarzystwie Historycznym. Widziałam, że do mnie dzwonisz, ale w czytelnicy nie wolno używać telefonu.

- Gdzie jesteś?

- Szukam informacji. Wpadłam na pewien pomysł.

Mniejsza o ten pomysł.

- Jak się tam dostałaś? Przecież to jest jakieś cztery czy pięć mil stąd!

- Zadzwoiłam po taksówkę.

- Vanesso...

- Wiem, mamo, wiem. Powinam cię zapytać. - Mówiła irytująco cierpliwym głosem, jak dorosły przyzwyczajony już do swoich cierpień. - Ale ty byś się nie zgodziła.

To prawda.

- I właśnie dlatego nie zapytałam. Nie chciałam, żebyś się nie zgodziła. Teraz możesz dać mi szlaban, mamo. - Udzieliła jej zezwolenia, dając do zrozumienia, że rodzice karzą dzieci dla swojego własnego dobra, co rzeczywiście często im się zdarza. - Mam to, po co tu przysłałam.

- Czyli co?

- Później ci o tym opowiem. Zaraz będą zamykać. Przyjedziesz po mnie, czy jak zrobimy?

Julia zmieniła więc swoje plany. Najpierw odebrała Vanessę, na później odkładając reprimendę. Zamierzała zabrać ją do centrum handlowego i razem z nią poszukać tam sukni na odbywający się zaraz po Bożym Narodzeniu Wielki Pomarańczowo-Biały Bal, stanowiący debiut towarzyski młodych panien i wydarzenie towarzyskie roku dla zamieszkałej w Nowej Anglii filii Klanu, ale Vanessa wcale tam nie chciała iść. Być może właśnie dlatego uciekła, żeby uniknąć szukania z matką po sklepach sukienki.

Po powrocie do domu Vanessa musiała odrobić zadanie, Jeannie zabrała się za pisanie wiersza o kocie, który powędrował na księżyc, a dzieci Astrid zniknęły w suterenie i zajęły się swoimi sprawami. Sama Astrid kopciała w pokoju gościnnym na dole. Lemastera nie było, uczestniczył w kolacji uniwersyteckiej, po której miał wpaść na małe przyjęcie organizowane przez burmistrza Elm Harbor dla kilku przyjaciół. Chociaż Lemaster nie znosił burmistrza, który nazywał się Shea i był człowiekiem wręcz wzorcowo skorumpowanym, zawsze poważnie traktował swoje zawodowe obowiązki. Dopiero później Julia mogła wyskoczyć do supermarketu, zabierając ze sobą Vanessę, żeby w końcu wygłosić jej należne kazanie. Dziewczyna słuchała, uparcie nie odzywając się i wyglądając przez okno, a kiedy Julia już się zmęczyła, powiedziała to, co zwykle:

- Ty nic nie rozumiesz.

Dopiero późnym wieczorem, kiedy we dwójkę leżeli w łóżku i oglądali nocną transmisję meczu koszykówki z Zachodniego Wybrzeża, a Lemaster wciąż jeszcze był poirytowany po rozmowie z Astrid, miała okazję spędzić z mężem trochę czasu.

- Wiesz, na czym polega największy problem Astrid? - zapytał Lemaster żonę, drzemającą na jego twardym ramieniu.

- Mhm-mhm.

- Ona zalicza się do tych osób, które uważają, że najważniejsze są wybory.

- Może akurat tym razem ma rację.

- Nie. Ona nie ma racji. - Odruchowo pocałował ją w czoło, nawet nie biorąc pod uwagę możliwości pomyłki ze swojej strony, bo chociaż Lemaster był o wiele bardziej uroczy niż Astrid, to pewnością siebie jej nie ustępował. Zacytował ulubione powiedzenie: - Zwycięstwo to nie wszystko.

Julia czekała, ale widać było, że ten ledwo rozpoczęty przez jej męża temat został już też przez niego zamknięty. Rozzłościła się nieco, jak zawsze, kiedy ją lekceważył. Dopiero potem, po kilku przerwach na reklamę i nieudanej próbie wzbudzenia w nim miłosegno pożądania, w końcu opowiedziała mu o ucieczce Vanessy, bagatelizując bezczelność nastolatki i wyolbrzymiając rolę Tego Casey'a, aby mąż miał kogo obwinić. Lemaster wysłuchał jej słów, następnie przeskoczył kilka kanałów telewizyjnych, aż w końcu zatrzymał się na programie Book TV, gdzie słynny pisarz tłumaczył, dlaczego mężczyźni nie powinni zabierać się za pisanie kobiecych narracji. Julia doskonale zdawała sobie sprawę, że nie należy przerywać toku jego myśli. Lemaster należał do tych generałów, którzy decydują się strzelać, dopiero kiedy są gotowi posłać przeciwnika na tamten świat.

- Ten Brady to idiota - odezwał się w końcu. - Skończony idiota. Ale skąd miałem to

wiedzieć? Jest szefem psychiatrii wieku dojrzewania na wydziale medycznym. - Lemaster od razu odpowiedział na zarzut, chociaż ona nie pamiętała, żeby go postawiła. - Ludzie wychwalają go pod niebiosa. I co? Co on robi? Tylko gada o poszanowaniu zdania Vanessy, pozwalaniu jej na... jak on to nazywa?

- Wykazywanie się inicjatywą. - Julia zadrżała w dusznym pokoju. Lemaster objawiał agresywnie tropikalne upodobania, zwłaszcza w Nowej Anglii, i uwielbiał podkreślać ogrzewanie na maksimum, nigdy nie pytając jej o zdanie - wspominając te ciężkie miesiące po aresztowaniu Vanessy. Prawnicy, psychiatry, pracownicy opieki społecznej, sędziowie, kolejni psychiatry, wywiady, sprawozdania i sale sądowe, wciąż i wciąż bez końca, Julii mąciło się od tego w głowie, aż zupełnie pogubiła się, która z nich, matka czy córka, straciła panowanie nad sobą. A bywały też chwile - do tego, broń Boże, nigdy by się nie przyznała! - kiedy odczuwała ulgę, mając trójkę pozostałych dzieci, w zasadzie normalnych, nawet jeśli obecnie ze względu na pierwszeństwo potrzeb Vanessy nie mogła poświęcić im dostatecznie dużo matczynego czasu. Lemaster skupił się na telewizorze, najwidoczniej nieświadomy jej pogłębiającej się rozterki.

- Mówił, że ona potrzebuje dostatecznie dużo przestrzeni - powiedziała Julia - żeby być niezależną jednostką.

- Właśnie. Nasza córka próbuje się zabić, a Brady mówi, że ona potrzebuje więcej przestrzeni. Co za kretyn. - Chociaż nie podnosił głosu, Julia wyczuła nutkę samooskarżenia. Ten jej Lemmie popełnił kilka błędów i miał o nie do siebie ogromne pretensje. - Powinni pozbawić go prawa wykonywania zawodu - zrzędził Lemaster, a ona zastanawiała się, czy jej mąż przypadkiem nie zamierza zrealizować tego pomysłu, w końcu znał wszystkich, którzy się liczyli.

- Co zamierzasz zrobić? Znaleźć kogoś innego?

- Nie wiem. Może. - Rozzłoszczony własnym niezdecydowaniem, ponownie zmienił kanał telewizyjny, przeskakując przez wiadomości w poszukiwaniu lepszej prawdy. - Mogę się założyć, że Vanessa teraz go lubi. Przecież on każe pozwalać jej decydować o sobie. Dzisiaj z pewnością zdecydowała o sobie, prawda?

Choć Julia podziwiała męża, chwilami musiała się powstrzymać, żeby mu nie przyłożyć. Czy on faktycznie tak mało uwagi poświęcał największemu kryzysowi w swojej rodzinie?

- Och, Lemmie, ona go nie znosi. Chciałaby pracować z kobietą.

Ale mężczyźni z Barbadosu nie dawali łatwo za wygraną, nawet kiedy dla zachowania przewagi musieli przeczyć sami sobie.

- Może to dowód, że on wykonuje porządną robotę, skoro ona go nie lubi. Zbyt wiele na tym świecie zależy od ludzkich upodobań. Od tego, co ludziom się wydaje. - Jak zwykle, również teraz jej mąż mówił, jakby słuchała go sala wypełniona ludźmi. - Wcale nie zależy mi, żeby Vanessa lubiła swojego terapeuta - ciągnął energicznie. - Jeśli o mnie chodzi, ona może szczerze go nienawidzić, byle tylko jej pomógł. Ale tego właśnie nie wiem, Jules. Tego żaden z nas nie wie. Czy on jej pomaga, czy nie. - Wydał z siebie dźwięk przypominający gniewne warknięcie. - Gina. Znowu ta Gina. Tylko tego nam trzeba. Zawsze ma ten sam powód, kiedy ucieka. To Gina chciała. Bóg jeden raczy wiedzieć, co ona opowiada swoim koleżankom. - W rzeczywistości trapiło go to, co te jej koleżanki opowiadały swoim rodzicom. - Albo pisze w swoim blogu.

- W swoim blogu nigdy nie pisze o Ginie.

- Zgadza się. Bo Gina tego nie chce. - Lemaster westchnął i po chwili Julia z ulgą poczuła, jak jego ciało odpręża się w jej ramionach. - Wydaje mi się, że nikt nie może być idiotą pod każdym względem. Brady powiedział, że nie powinniśmy już pozwalać jej na te sprawy związane z Giną. Wcześniej nie byłem tego pewien, ale wydaje mi się, że on ma rację. - Julia poczuła się zaskoczona. Zupełnie pominął względnie ciekawszą kwestię krótkiego zniknięcia Vanessy i współudziału Tego Caseya, pakując się wprost tam, gdzie tego najmniej sobie życzyła. - I tak to wygląda. Nie może już ani chwili marnować na zamartwianie się tym, co stało się Ginie. Nie wolno i już. Brady może długo poszukiwać źródła tej jej manii, ale tymczasem mamy nie pozwalać Vanessie zajmować się tym. Bardzo wyraźnie to powiedział. W takim razie my również musimy bardzo wyraźnie dać Vanessie do zrozumienia, że się z nim zgadzamy. - Nie dopuścił żony do głosu. - I wiesz, co ci powiem? Z Vanessą jest lepiej. Dużo lepiej. A przynajmniej było. Dopóki... cóż, do tych ostatnich wydarzeń.

Czy miał na myśli morderstwo Kellena? Wizytę Astrid? A może Lemaster uważał - czy on mógł coś takiego pomyśleć - że to Julia w pewien sposób jest odpowiedzialna za te myśli ich córki o Ginie?

- Ale jej wciąż się poprawia - powiedziała Julia.

- Zobaczymy.

- Co zobaczymy? - zapytała, ze wszystkich sił starając się nie poddać, a jednocześnie zastanawiała się - och, jakże ona nienawidziła takich chwil! - zastanawiała się, czy jej mąż w ogóle ją lubi, czy też postrzega ich małżeństwo, jak większość życia, przez ogłupiający pryzmat obowiązku.

- Zobaczymy - powiedział powoli - czy ona będzie potrafiła ponownie rozstać się z tą obsesją.

- Mówisz, jakby miała możliwość wyboru.

- Sądzę, że jednak ma. Chyba że wydarzenia pchną ją w niewłaściwą stronę.

Julia, która w głębi duszy wciąż była biologiem uczącym przedmiotów ścisłych w gimnazjum i stale poszukiwała analogii, doszła do wniosku, że ta sytuacja kojarzy się jej z przypadkiem napięcia powierzchniowego. Jej skrywany gniew przypominał powietrze zamknięte w pęcherzyku, nieustannie naciskające na cienką powłoczkę samokontroli, która mogła powstrzymać rozprężające się gazy tak długo, aż pęknie. Wtedy zaś wszystko mogło uwolnić się w jednej chwili. Przyparta do muru i gotowa odgryźć się mężowi, Julia zeszytniała przy drobnym cielem Lemastera.

- No dobrze - odezwał się, czując, że trochę przeholował. - To nie ma znaczenia. Już po wszystkim. Vanessa jest bezpieczna. I to najważniejsze. Zgoda, trochę wyrwała się nam spod kontroli. Chyba tak czasami zachowują się konie czystej krwi, prawda? Ale w gruncie rzeczy jest dobrym dzieckiem. Nie zrobiła niczego głupiego. - Chyba starał się nie przyznać do swoich najniższych instynktów. - Może Brady nie jest aż taki zły. A jeśli chodzi o Tego Caseya, cóż, trudno się go czepiać. On jest, jaki jest. Zepsuty szczeniak białego wykładowcy.

- Przynajmniej Vanessa ostatnio częściej bywa w towarzystwie - Julia odważyła się rzucić beznadziejną uwagę, widząc, że Lemaster zaczął wszystkich po kolei oceniać.

- Tak. - Zimny jak gład. - Z pewnością tak.

Ponownie zmienił kanał - tym razem na film akcji, w którym tylko bohater zna prawdę i musi, choć nie było widać, że nie chce, zabijać wszystkich, którzy staną mu na drodze. Patrzyli, jak przeładowuje broń i dalej strzela. Julia, z natury twardo stąpająca po ziemi, zastanawiała się, jak on sobie radzi z ciężarem amunicji.

- Lemmie?

- Hmm?

- Dzisiaj wieczorem, kiedy na ciebie czekałyśmy - zawahała się, nie chcąc wspominać imienia ich córki właśnie teraz, kiedy burza dopiero co ucichła - zastanawiałam się, czy to, czego chce Astrid...

- Ona chce brudów. - Nadal mówił chłodnym głosem. - Mieszkaliśmy z prezydentem w jednym pokoju, od zawsze jesteśmy przyjaciółmi, więc ona sądzi, że ja znam wszystkie jego brudne sekrety. Powiedziałem jej, że Mal też z nim mieszkał, wspólnie korzystaliśmy z apartamentu Hillimana, niech więc pyta Mالا o brudne sprawy. Ona mówi, że senator jest na to zbyt wspaniałym człowiekiem, i tak dalej, i tak dalej, ale szczerze mówiąc, wydaje mi się, że Mal nic nie wie i właśnie na tym polega jej problem. - Krótka przerwa. - A ponieważ Jock, oczywiście, nie żyje, Astrid, kierując się tą swoją logiką, twierdzi, że to dowód na istnienie

brudów. Jock zmarł na atak serca w łóżku z kochanką i Astrid uważa, że ta jego kochanka była w to zamieszana.

Dopiero po chwili Julia zauważyła, że on skończył.

- A są jakieś brudne sprawki?

- Jules, ja nie mogę o tym rozmawiać.

- Wiem. Wiem. Chodzi tylko o to, że, hm, rozumiem, że nie możesz mi powiedzieć?

Ale tak się zastanawiałam, czy to mogło mieć coś wspólnego z Kellenem.

Kolejna chwila przerwy, podczas której jej mąż przeprowadził naradę z tym dziwnym małym arbitrem siedzącym w jego głowie.

- Cała Astrid. Robi co chce, a inni zupełnie się nie liczą. - Lemaster ziewnął. - Jak już raz wyruszy na swoją krucjatę, nie da się jej przemówić do rozumu. Ale nie przejmuj się. Porozmawiam z Malem. Będzie musiał ją zwolnić.

Nie przejmuj się?

- Zrobi to? Bo ty go poprosisz?

- Oczywiście.

I tak kolejny problem został przez niego rozwiązany, jak zawsze w sposób magiczny. Ucałował ją, wyłączył telewizor, przewrócił się na bok i zamknął oczy. Nawet nie spróbował odpowiedzieć na jej pytanie o Kellena.

Rozdział 10

Spacer po plaży

I

Rano Lemaster zabrał Vanessę i Jeannie na nabożeństwo o jedenastej do kościoła pod wezwaniem Świętego Macieja, parafii, która przed laty wystąpiła z kościoła episkopalnego w porywie tradycjonalistycznej teologicznej poprawności. Dzieci Astrid dłużej spały. Julia i Astrid wybrały się na wczesny lunch do klubu Landing, prywatnej i drogiej enklawy dla miejscowych bogaczy, do którego ich rodzinę wreszcie zaproszono, kiedy Lemmie wyjechał do pracy w Białym Domu. Kellen żartował, że w miasteczku sądzono, że rodzina pojedzie za Lemasterem do Waszyngtonu, w związku z czym nigdy nie będzie z tego członkostwa korzystać, i prawdopodobnie nie mylił się.

- Musisz uzmysłwić Lemasterowi - powiedziała Astrid - że on zbyt wąsko postrzega świat. Nie można przeżyć życia, przez cały czas unikając podjęcia decyzji. Trzeba w końcu opowiedzieć się po jakiejś stronie. Stoimy przed zbyt ważnymi kwestiami. Ludziom jego kalibru, jak również twojego, nie wolno się wstrzymywać.

- Wstrzymywać się przed czym?

Astrid bawiła się płatkami śniadaniowymi Grape-Nuts z mlekiem sojowym. Posiłek uzupełniało kilka plasterów kantalupy. Julia ledwo mogła tknąć swoje jajka w koszulkach i kiełbaskę, obawiając się, że Astrid zaraz zwróci uwagę na dodatkowe kilogramy.

- Kiedyś prezydent Stanów Zjednoczonych był najlepszym przyjacielem twojego męża. Na studiach wyrabiał przeróżne figle. Dawniej mogliśmy powiedzieć, że uniwersyteckie historie urzędników publicznych nie powinny być sprawą publiczną. Ale te czasy już minęły, Julio. Są to kwestie zbyt istotne. - Tak brzmiała jej mantra i w pewnym sensie również ideologia. - Łach, cóż za dziwaczne przezwisko. Wiele bym dała, żeby dowiedzieć się, jak sobie na nie zasłużył. Po skończeniu college'u Łach powiedział swoim kolegom, że w tamtych czasach robił straszne rzeczy. Być może chodziło tylko o to, że zbyt często się upijał i od czasu do czasu budził się w nie swoim łóżku. Ale może chodziło o coś więcej. Chcielibyśmy się tego dowiedzieć. - W języku Astrid użycie pierwszej osoby liczby

mnoziej miało oznaczać siły prawości i prawdy. Ale ona tylko potwierdzała zdanie Lemastera. - Jeśli Łach miałby komuś się zwierzać, to właśnie Lemasterowi. A my chcielibyśmy się dowiedzieć, z czego się zwierzał. Już sam fakt, że twój mąż tak mocno stara się zachować ten sekret, świadczy o istnieniu tajemnic godnych ujawnienia.

- Albo dochowania - wyszeptała Julia, wracając myślami do Kellena, ale Astrid udała, że jej nie słyszy. Astrid pragnęła poznać tajemnice Lemmiego. Mary Mallard pragnęła poznać tajemnice Julii. Nagle wszyscy zdawali się sądzić, że rodzina Carlyle'ów dysponuje poufnymi informacjami. Odsunęła od siebie obrazy tych dwóch luster Kellena, nawet po śmierci nie udało się wciągnąć jej z powrotem do swojego świata.

Kelner zapytał, czy podać coś jeszcze.

- To były naprawdę straszne lata dla naszego kraju, Julio, naprawdę straszne. Pograżyliśmy się w mrokach średniowiecza, jeśli wolno mi użyć takiej metafory. Lemaster mówi o honorze, lojalności i dotrzymywaniu słowa. Ale walki ze złem nie da się wygrać, nie angażując się w pełni.

- Sądzę, że prezydent zgodziłby się z tobą.

Astrid ściągnęła usta i spojrzała na nią kosym okiem fanatyka, przy którym ktoś szydzi z jego wiary.

- To nie jest temat do żartów.

- Przepraszam.

- Ja naprawdę poważnie martwię się o ciebie, Julio. W przeszłości wykazywałaś dużo większe zaangażowanie polityczne.

- Chyba mylisz mnie z moją matką.

Do Julii podeszło kilka znanych jej z miasteczka kobiet, chcąc się przywitać. Julia dokonała prezentacji, ale od razu było widać, że nikt nie zapamięta imion. Wymieniwszy kurtuazyjne pocałunki i pobrzakawszy biżuterią, kobiety poszły dalej.

Astrid odprowadziła je wzrokiem.

- Chyba boją się, że zamierzam się tu sprowadzić.

- Dlaczego miałyby się tym przejmować?

- Jeśli wprowadzi się tu zbyt wielu naszych, oni będą musieli stąd się wynieść.

Julia poczerwieniała na twarzy, sama zdumiona, że staje w obronie mieszkańców Landing.

- Tutejsi ludzie nie są tacy.

- Biali wszędzie są tacy sami.

Astrid chciała zapłacić za posiłek, chyba zależało jej na tym, żeby pochwalić się swoją

platynową kartą American Express, ale Julia wytłumaczyła jej, że wszelkie opłaty idą na konto członków klubu. Kiedy Astrid próbowała wręczyć jej gotówkę za swoją część rachunku, Julia uprzejmie odmówiła. Bardzo nie chciała zostać dłużniczką Astrid, tak samo jak Astrid nie chciała być jej dłużniczką.

Stały na stopniu przed wejściem do klubu, zmuszając wchodzących do restauracji gości z jaśniejszej nacji, by je przepraszała. Zabawiały się w sposób, w jaki sam Lemaster, od czasu do czasu, również się bawił. Po ich prawej stronie łagodną bielą opadało najpiękniejsze pole golfowe w hrabstwie. Astrid miała lecieć o czwartej, małym samolocikiem z lotniska w Elm Harbor.

- Ten sam problem mamy w Biedronkach - powiedziała Astrid, jakby podejmując temat wcześniejszej rozmowy. Ale zaraz okazało się, który temat podejmuje. - Na konwencji w Dallas - ciebie tam nie było, prawda? - kilka z nas wystąpiło z rezolucją krytykującą obecną administrację i jej osiągnięcia. W sprawie wyborów nie opowiadałyśmy się po żadnej ze stron - to, oczywiście, byłoby niedozwolone w przypadku organizacji non profit - ale starając się jak najbardziej dotknąć tego tematu. Mówiąc prawdę, chciałyśmy poruszyć kwestię tego, co dzieje w tym kraju, i w rękach Siostrzanych Dam pozostawić decyzję, jak głosować. I wiesz, co się stało? Nawet nie poddano tego pod ogólną dysputę. Już w podkomisji ukręciły temu łeb. Laurel St. Jacques wygłosiła przemówienie o tym, jak to tradycją naszej organizacji jest nieangażowanie się w politykę. Jakby tradycja stanowiła jakiś argument. Starsze kobiety, od wieków będące w organizacji, tylko kiwały głowami, wiwatowały i klaskały. Wszystkie, oprócz Aurelii Treene, tej pisarki - chyba ją poznałaś, prawda? Nie? W każdym razie, Aurie to prawdziwy skarb. Ma jakieś siedemdziesiąt dziewięć albo osiemdziesiąt lat. Do Biedronek należy już z pięćdziesiąt lat. W dawnych czasach mieszkała w Harlemie. Niektóre z naszych klubów zna od momentu ich założenia.

Julia próbowała powiedzieć jej, że zna Aurie Treene, a jej opatrzone autografami powieści wystawione są na półce z książkami - to dzięki babci Vee poznała ją, kiedy jeszcze była dzieckiem - ale Astrid słuchała tylko własnych słów.

- Aurie znała twoją babcię. Powiedziała, że właśnie to już od dawna jest przekleństwem najlepszych z nas, a w konsekwencji też przekleństwem naszych klubów. Zarówno żeńskich zgromadzeń, męskich bractw czy klubów towarzyskich, wszystkich bez wyjątku. Po osiągnięciu określonego sukcesu, najlepsi z naszych ludzi stwierdzają, że już wykroczyli poza politykę. A klubom pozostają oddani głównie dlatego - to słowa Aurelii - że dzięki temu mogą solidaryzować się z naszą społecznością bez potrzeby robienia czegokolwiek w tym zakresie. Mogą gratulować sobie nawzajem osiągnięć, a starania o

sprawiedliwość pozostawić tym, którzy nie osiągnęli tyle, co oni. - Kiedy snuła swój monolog, zeszyły po schodach. Przeszły na drugą stronę ulicy, ponieważ na terenie klubu, nawet na dworze, nie wolno było palić, jedyny wyjątek stanowiło pole golfowe. Rynsztoki zapchane były pokrytą topniejącym śniegiem wodą.

- Julio, Aurie powiedziała coś jeszcze. Powiedziała nam, że największą winę ze wszystkich ponosi klub, który w dawnych czasach szczycił się tym, że w jego szeregach znajdowali się ludzie odnoszący największe sukcesy, klub Empireum. Klub Lemastera - dodała rechocząc przy tym złośliwie. - Empireum może już nie jest tak ważne, jak w przeszłości, ale podejrzewam, że jego członkowie wciąż trzymają się jednej zasady, co? Nie mieszać się.

- Astrid, to są tylko kluby.

- O niczym nie można powiedzieć, że jest tylko czymś - odparła, jak profesor wydziału teologicznego objaśniający Heideggera.

- Chciałam powiedzieć, że nie oczekuje się po harcerzach, że będą zajmować się polityką. Taki klub szachowy. Albo... klub płetwonurków. Ludzie potrzebują miejsc, w których mogliby się odprężyć.

- Ale nie wolno im tworzyć z tego sposobu na życie. Nie w takich czasach.

Julia ugryzła się w język. Spieranie się z Astrid przypominało starcia z Lemmiem - oboje mieli na podorzędu kąśliwe uwagi. Łącznie z kąśliwymi uwagami, które wcale nie były kąśliwe.

- Ty jesteś porządną kobietą - zapewniała ją Astrid, kiedy szły razem w kierunku miejskiej plaży. Cienka pokrywa świeżego śniegu lśniła w promieniach południowego słońca. Kilka mew wyczekujących otwarcia sezonu dziobało coś na chodniku. - Lemaster mógłby wiele się od ciebie nauczyć.

- To ja wiele się od niego nauczyłam.

- Jesteś jego żoną, Julio. Jesteś bliżej niż ktokolwiek na świecie. Musisz uzmysłwić mu sens... - Na moment przerwała, jakby przyszedł jej do głowy jakiś niesamowity pomysł. - A może jemu zależy, żeby ponownie wybrano tego człowieka? Ta jego praca w Białym Domu, on to robił dla swojego przybranego kraju, nieprawdaż? Chyba nie robił tego dla prezydenta? - Wyglądało na to, że dobrze przeciwzyła ten argument, prawdopodobnie ze znajomymi z Waszyngtonu, których oceny musiała unikać. - Chyba Lemaster go nie popiera?

Julia postanowiła nie poruszać tego tematu.

- Astrid, on jest twoim kuzynem. Sama go zapytaj.

- On utrzymuje, że jest bezstronny. - Syknęła. - Jakby bezstronność w ogóle była

możliwa. - Potarła twarz, niby z przemęczenia. Rzadko spotykała się ze sprzeciwem. - Dobrze. Jeśli on go nie popiera, może to udowodnić. Może być pomocny.

- A może on po prostu nie lubi brudnych rozgrywek - zauważyła Julia, szczerze zapinając kurtkę przed mroźnym powietrzem.

- To nie jest kwestia brudów. Rzecz w tym, żeby zrobić to, co niezbędne.

- Astrid...

- Moglibyśmy też go obejść - Astrid wzięła Julię pod ramię i przysunęła usta do jej ucha. Dotarli już do celu. - Wiesz, wszystkie tajemnice mogłyby wyjść na jaw, chociaż wcale nie musiałyby pochodzić od Lemastera. On nawet nie musi wiedzieć, że zostały ujawnione. - Parsknęła pewnym siebie, gardłowym śmiechem palacza, jednocześnie wolną ręką wymachując papierosem. - A już z pewnością nie będzie musiał wiedzieć, w jaki sposób wyszły na jaw.

- Astrid - powiedziała Julia dobitnie - ja nie znam żadnych prezydenckich tajemnic.

- Musimy pokonać tego człowieka. Dla dobra naszego kraju.

A jeśli senator Whisted wygra, ty pewnie zostaniesz sekretarzem generalnym w Białym Domu, prawda? Na głos Julia powiedziała:

- Ale ja i tak nie znam żadnych tajemnic. Do wczoraj nie miałam nawet pojęcia, że w ogóle istnieją.

- Ale one istnieją. Tego jesteśmy pewni. - Znowu my, ci dobrzy. - W przeszłości Łach z wszystkiego zwierzał się Lemasterowi. A Lemaster wszystko ci mówi.

Julia wybuchnęła śmiechem. W wysokich botkach przekopywała się przez śnieżną zaspę.

- Jeśli tak ci się wydaje, Astrid, to chyba nie znasz swojego kuzyna tak dobrze, jak sądziłaś.

- Musiał ci to powiedzieć. To zbyt ciekawe, żeby zachował to dla siebie.

Można naprawdę długo powtarzać swoją prawdę, ale jeśli ktoś nieustannie jej zaprzecza, w końcu człowiek zaczyna wątpić w słuszność swoich racji.

- Astrid, Lemaster nie zwierza się z tajemnic. Koniec, kropka. Właśnie dlatego tyle ich zna. On uważa, że honor człowieka jest najważniejszy. - Pokręciła głową, choć miała wrażenie, że zachowuje się żałośnie. Postanowiła nie mówić Astrid, że wraz z Lemasterem wybierają się we wtorek na kolację do Białego Domu, chociaż ona z pewnością już o tym wiedziała. - Lemmie stale powtarza, że jeśli zwierzamy się komuś z jakiejś tajemnicy, powinniśmy zakładać, że z jego ust dowie się o tym tyle samo osób, co z naszych.

- Honor? - powtórzyła Astrid, głosem zaprawionym sceptycyzmem, jakim zazwyczaj

reagujemy, odkrywając dotychczas nieznaną nam słabośćkę.

- Lojalność. Dotrzymanywanie słowa, nawet jeśli wiąże się to z jakimś poświęceniem. Tego typu sprawy. Lemmie zabierze do grobu cała skarbnicę tajemnic. - Julia starała się tak wyrazić swój punkt widzenia, żeby w końcu dotarło to do Astrid. Ponownie naszły ją myśli o Kellenie i lustrach, i jeszcze raz je od siebie odsunęła. - Posłuchaj. On może znać również jakieś tajemnice Mała. Przecież są kolegami od jakichś trzydziestu lat. Pomyślałaś kiedyś o tym? Lemaster dochowuje tajemnicy w sprawach Łacha, a także Mała. To chyba uczciwe.

Ale trudno było zepchnąć Astrid z kursu.

- To nie to samo. Jeden człowiek chce uratować kraj. Drugi go niszczy. To nie jest kwestia uczciwości. Jest tylko jeden moralny sposób postępowania: chronisz jednego człowieka i starasz się powstrzymać tego drugiego.

II

Spacerując, doszły do parkingu przy miejskiej plaży, małej i białej, jak całe Landing, i powszechnie uznawanej za najbardziej malowniczą i spektakularną w całym Harbor County. Julia, choć z jednej strony targana sprzecznymi uczuciami przynależności do ekskluzywnego Klanu, a z drugiej pragnieniem sprawiedliwości dla całego narodu, w czym nie różniła się od swojej słynnej matki, zawsze odczuwała tajemny dreszczyk emocji, rozkoszne ciarki, na myśl, że rezydencja w Landing daje jej rodzinie wstęp na plażę, o której inni mogą jedynie marzyć. Zawsze próbowali się tu wślizgnąć plażowicze z innych miasteczek. Kwame Kennerly, najpopularniejszy lokalny gospodarz programów radiowych adresowanych do afroamerykańskich słuchaczy, stale pomstował na plażę, na której obowiązuje segregacja rasowa. Jeszcze zanim Vanessie przydarzyło się to, co jej się przydarzyło, w niedzielę po kościele spacerowali tu całą rodziną, nawet w środku zimy, kiedy twardy piasek i wyzywająco szara woda budziły w Julii jakieś tajemne podniecenie i przerażenie swoją ukrytą apoteozą wieczności.

Trzydzieści lat temu w tym miejscu utonęła Gina Joule.

Przeszły przez pokryty śniegiem parking pod nisko wiszącym, stalowym niebem, Astrid wciąż szeptała Julii do ucha, dlaczego to musi nakłonić męża do ujawnienia informacji o niecnym postępkach Łacha. Pełniący tego dnia straż przyszczaty chłopak patrzył na nie obojętnym wzrokiem. Julia pomachała do niego szelmowsko, ponieważ zawsze istniała możliwość, że jest to ktoś, kto obrazi się, jeśli ona go nie rozpozna. Chłopiec właśnie otwierał obwiązane zieloną firmową wstążką Very Brightwood pudełko z krówkami i widać było, że

dopóki nie ograniczy spożycia łakoci, jeszcze długo będzie męczył się ze swoimi pryszczami. Płacenie dzieciakowi za pilnowanie plaży w zimie wydało się jej marnowaniem pieniędzy, ale dzięki temu ktoś zawsze tu był dwadzieścia cztery godziny na dobę, ten zwyczaj sięgał jeszcze czasów wojny - przez co tutejsi weterani rozumieli drugą wojnę światową - kiedy robotnicy z odległych o kilka miejscowości stoczniowych zakładów odlewniczych przybywali do Landing, żeby zjeść tu lunch nad wodą. W tej chwili w najwyższym sądzie stanowym toczył się proces przeciw obowiązującym tu regulacjom, w którym stronę pozywającą - między innymi Kwame Kennerly'ego - reprezentowało kilku profesorów z wydziału prawa. Julia, ponownie czując rozdarcie między swoimi egalitarnymi przekonaniami a wrodzonym snobizmem, sama nie była pewna, czy rzeczywiście podoba się jej pomysł, że ta piękna plaża, tak cudowna przez to swoje odosobnienie, nagle zaroi się od ludzi.

Kiedy po wyczerpaniu tematu aborcji i wojny Astrid przeszła do polityki energetycznej i alternatywnych źródeł energii, ze swojej budki wyszedł do nich pryszczaty wyrostek.

- Tylko dla mieszkańców - rzucił, jednocześnie unosząc rękę.

Odwróciwszy się, Julia stanęła wsparta pod boki i z głową odchyloną do tyłu, jako że towarzystwo Astrid wyraźnie wzmocniło jej poczucie wspólnoty z Klanem.

- Proszę?

- To nie jest publiczna plaża. Tylko dla mieszkańców i ich gości. - Postukał palcem w czerwono-biało-niebieski znak, na wypadek gdyby była głucha. Zazwyczaj strażnicy jedynie drzemali. - Miejskie rozporządzenie.

- Jestem mieszkanką. Od sześciu lat przychodzę na tę plażę.

- Tylko dla mieszkańców i gości - powtórzył, jakby go nie rozumiała.

- Słyszałeś, co powiedziałam?

- Plaża jest zamknięta. - Jakby od początku zaczął odtwarzać swoją taśmę. - Miejskie rozporządzenie.

Twarz Julii płonęła. Nie mogła wręcz uwierzyć, że przyszło jej znosić takie upokorzenie przed Astrid, której lekki uśmiezek wyraźnie świadczył o tym, że ta niezręczna sytuacja tylko potwierdza jej opinię. Chwilę wcześniej, na oczach obu kobiet, jakiś nastolatek z dwoma psami bez żadnych przeszkód przeszedł obok budki strażnika. Nastolatek był biały.

- Posłuchaj, młody człowieku...

- Tylko dla mieszkańców i gości. Plaża jest zamknięta.

Jej pociotka położyła już dłoń na ramieniu Julii.

- I właśnie dlatego musimy usunąć tego gościa z Białego Domu. By powstrzymać tego

typu świętwa.

- Zaczekaj. - Julia patrzyła w dal, ponad pustym parkingiem, w kierunku zimnego, gładkiego piasku opadającego ku spienionej, zachęcającej tafli wody. Siłą wyobraźni wyczuwała chłód. Pochodząc z rodziny Veazie, nie mogła pogodzić się z porażką, i kiedy spjrzała chłopcu w oczy, uświadomiła sobie, że wcale tak być nie musi. - Znam cię - powiedziała cicho.

- Miejskie rozporządzenie. Tylko dla mieszkańców i...

- Nazywasz się Peter Wysocki, prawda?

To zatkało pryszczatego. Stał z rozdziawionymi ustami.

- Aha...

- A ja jestem Julia Carlyle. Pamiętasz mnie? Uczyłam cię przedmiotów ścisłych w ósmej klasie.

- Ach. Hm, taaak. - Z wysiłkiem, jak człowiek podnoszący wielki ciężar. - Tak. Tak! Jak się pani ma, pani Carlyle?

- Dobrze, Petey. Dobrze. - Uśmiechnęła się w głębi duszy, ponieważ kiedyś lubiła Peteya, chociaż często uczestniczył w klasowych bójkach.

- A co słyhać u twojej rodziny? - Teraz ona zapytała, wciąż uśmiechając się. - Podobno twoja siostra wyszła za mąż.

Zarumienił się, widać było jaką przyjemność sprawiło mu to, że ona pamięta.

- Tak, a teraz jest drugi raz w ciąży. Da pani wiarę?

- To wspaniale. Przekaż jej - nerwowe przeszukiwanie ukrytych gdzieś głęboko w głowie nieskończenie długich list, pod okiem Astrid, która nie mogła wyjść z podziwu - przekaż Doreen moje pozdrowienia. A twój brat, tak, Mikey. Jego też pozdrów ode mnie.

- Pozdrowię.

- I rodziców.

- Oczywiście, pani Carlyle. Oczywiście. Dziękuję.

- Dziękuję, Petey - powiedziała i ruszyła w kierunku nieskazitelnego piasku. Nie zważając na porę roku, gotowa była nawet zdjąć buty i skarpetki, podwinąć nogawki spodni i aż po kostki wejść do lodowatej wody.

- Pani Carlyle, proszę zaczekać.

Julia odwróciła się.

- Tak, Petey?

- Przykro mi, pani Carlyle, ale i tak nie mogę wpuścić pani na plażę.

- Proszę?

- Choć panią znam. To nadal jest tylko dla mieszkańców i gości. - Postukał palcem w znak. - Miejskie rozporządzenie.

Rozdział 11

Prywatna kolacja

I

- Ciekawa jestem, o co cię poprosi - powiedziała Julia, uśmiechając się do widocznego w lustrze męża. Chociaż już teraz Lemaster wyglądał idealnie, ona stanęła za nim i poprawiła mu kołnierzyk, bo dbanie o jego wygląd było jednym z tych obowiązków, których już w domu rodzinnym nauczył się oczekiwać od swojej żony. Jako uczony i rektor uniwersytetu, Lemaster w pełni popierał równouprawnienie kobiet. Ale, jak sam z dumą przyznawał, we własnym domu pozostawał tradycjonalistą i niezależnie od tego, jakie to słowo mogło mieć jeszcze inne znaczenia, z pewnością oznaczało, że Julia każdego ranka poprawia mu krawat i wygładza kołnierzyk.

- Nawet nie wiemy, czy on w ogóle ma zamiar prosić mnie o zrobienie czegokolwiek. Przecież dopiero co zacząłem nową pracę. Sądzę raczej, że chodzi tylko o spotkanie towarzyskie. Już dawno nie mieliśmy okazji usiąść razem przy jednym stole. - Ale płonący w jego błyszczących piwnych oczach żar ambicji świadczył o czymś zupełnie innym.

- Prawie rok.

- Chyba tak. - Przyglądził rozcięcie z tyłu marynarki, odwrócił się w jedną i drugą stronę, mizdrząc się przed lustrem. Przez ramię przerzucił ciemny, elegancki płaszcz. Po sześciu miesiącach pełnienia funkcji rektora uniwersytetu, Lemaster gotów był już podjąć nowe wyzwanie. Przez te dwadzieścia lat małżeństwa on zawsze czekał na nowe wyzwanie. - Chyba jesteśmy gotowi - stwierdził, a ona dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ta uwaga odnosi się tylko do dzisiejszego wieczoru.

Julia, jak zawsze niezadowolona ze swojego wyglądu w wieczorowym stroju, miała zupełnie inne zdanie, ale wstrzymała się z komentarzem. Każdy szczegół garderoby Lemastera zdawał się doskonale na nim leżeć. A dopóki Julia nie pożegna się z waniliowymi wisienkami i truflami cappuccino, żadna z jej kreacji już nigdy nie będzie na niej leżeć. Po raz kolejny obiecała sobie, że szerokim łukiem będzie omijać Cookie's - był pierwszy wtorek grudnia i pozostało jeszcze trochę czasu, żeby dotrzymać surowego postanowienia,

powziętego jeszcze w styczniu. Usiadła na łóżku, żeby założyć czółenka, i wyjrzała przez okno. Znajdowali się w Hay-Adams, hotelu, który bardzo lubiła, ponieważ czuła wydobywający się z jego wyłożonych boazerią ścian oddech historii, chociaż tym razem ten hotel został wybrany ze względu na bliskość Białego Domu. Social Office zaproponowało im, co prawda, tak pożądaną parking na miejscu, ale w czasach zaostrożonych środków bezpieczeństwa musieliby całą wieczność czekać na przeszukanie pojazdu, więc jedynym rozsądnym wyjściem wydawało się przybyć piechotą.

- Momencik, tylko zadzwonię do domu.

- Po co?

Przez moment Julia nie mogła słowa z siebie wydusić. Czyż to nie było oczywiste?

- Chcę sprawdzić, czy u dzieci wszystko w porządku. Czy czegoś nie potrzebują.

Lemaster wskazał na jej błyszczącą torebkę od Isabelle Fiore. Julia miała kilka ładnych torebek kilku znanych firm, ponieważ nauczono ją, że specjalna torebka wieczorowa stanowi oznakę prawdziwej damy, i chociaż bardzo się starała, nie potrafiła pozbyć się pragnienia zostania właśnie kimś takim.

- Masz swoją komórkę. - Klepnął się w swoją kieszeń. - A ja mam swoją. Wendy też nie da sobie w kaszę dmuchać. Jeśli zajdzie taka konieczność, sama zadzwoni.

- Ale lepiej bym się czuła...

Uniósł obie dłonie, ale nie miało to oznaczać poddania się, tylko zwycięstwo.

- Nie, Jules, proszę, nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała. Nie chcę ci mówić, co masz robić. Jeśli musisz zadzwonić, proszę bardzo. Mamy czas.

- Uśmiech. - Czegokolwiek pragniesz, jestem twoim sprzymierzeńcem.

Pragnęła. Wymierzyć mu policzek, więc tylko go ucałowała.

W windzie rozmawiali o tym, co robili po południu. Julia była na lunchu z Tessą Kenner, podczas którego chłonęła waszyngtońskie plotki, nie mogąc wyjść ze zdumienia, jak bardzo pojaśniały jej blond włosy. Lemaster spotkał się z absolwentami uniwersytetu i lobbystami, ale większość pracy wykonywał przez telefon. Kiedy w rzeński waszyngtoński wieczór przechodzili przez Lafayette Park, a chwiejąca się na wysokich obcasach Julia kurczowo trzymała się jego ramienia bardziej dla zachowania równowagi niż na pokaz, Lemaster rzekł:

- A tak przy okazji, zapomniałem ci powiedzieć, wczoraj do Lombard zajrzał ten detektyw, Chrebet.

- Czego chciał? - Oby tylko nie chodziło o te latarnie. Proszę. I nie lustra. Ale gdzieś w głębi duszy wiedziała, że Lemaster nigdy niczego w życiu nie zapomina.

- Zaciekawilo go - to moze zabrzmiec dziwnie - kto mogl wiedziec, ze tego wieczoru bedziemy wracac do domu Four Mile Road.

- Dlaczego?

Lemaster wzruszyl ramionami.

- Chrebet chyba podejrzewa, ze morderca Kellena celowo zostawil tam zwloki. - Sol na alejce skrzypiala pod ich stopami. - Zebyśmy je znaleźli.

- Co takiego?

- Zwróciłem mu uwagę, że ktokolwiek by to był, musiał mieć niesamowitą pewność, że się tam zatrzymamy. Jak można było przewidzieć, że zdarzy nam się wypadek? - Ten jego lodowaty śmiech. - Chrebet odparł, że musi brać pod uwagę wszelkie możliwości, nawet te najbardziej nieprawdopodobne. A potem przytoczył błędny cytat z Conan Doyle'a.

Mocniej chwyciła jego ramię.

- Ale dlaczego... to znaczy, kto...

- Ja nie mam pojęcia, kto. Ja nie mam też pojęcia, dlaczego.

Julia zauważyła ten celowy, ledwie zauważalny akcent położony na zaimku osobowym i poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Na moment oderwała wzrok od swoich stóp. Dochodzili już do północno-zachodniej bramy i znajdującej się tam wartowni.

- A co to miało znaczyć?

- Tylko tyle, że ja nie mam pojęcia ani kto, ani dlaczego.

- Nie. Ty sugerujesz, że to ja mogę wiedzieć, dlaczego.

- Ależ skąd. Powiedziałem mu, że żadne z nas nic o tym nie wie. Och, całe szczęście, jednak się nie spóźniliśmy. - Wskazał na taksówkę stojącą o jedną przecznicę dalej, na rogu Seventeenth Street. Wysiadł z niej przywódca większości parlamentarnej wraz z małżonką. W parku jacyś manifestanci uderzali w bębny, ale Julia nie mogła przypomnieć sobie, przeciw czemu protestowali.

- Lemmie, zaczekaj. Zaczekaj. - Pociągnęła go za rękę, chcąc, żeby zwolnił, bo w przeciwnym razie z miejsca przeszedłby do wylewnych powitań, a ona na dobre by go już straciła.

- O co chodzi, Jules?

- Chcę, żebyś powiedział mi prawdę.

- Nie mam w zwyczaju mówić ci niczego innego. Jestem twoim mężem.

No tak, to wszystko wyjaśniało.

- Proszę, Lemmie. Powiedz, że twoim zdaniem ja nie mam pojęcia, kto to zrobił.

Brwi Lemastera ułożyły się w ten tak zniechęcony przez nią kształt odwróconej

litery V. Szczypiący chłód nocy przydał blasku jego ciemnym policzkom. W zimnym powietrzu ostre rysy jego twarzy zawsze wyglądały tak przystojnie i tak nieprzystępnie. - Dobrze, Jules. Nie wydaje mi się, żebyś mogła coś wiedzieć. Zadowolona?

- Nie wiem. - Zmarkotniała. Czuła się niepewnie i chciała krzyknąć. Ale to Lemmie, celowo lub nie, doprowadził do tego, że jej zupełnie rozsądne oburzenie obróciło się w zupełnie pozbawiony sensu wstyd. - Tak mi się wydaje. - Pokręciła głową. - Sama nie wiem. To takie skomplikowane. Nienawidzę tego wszystkiego.

- Jules, wszystko będzie dobrze.

- Przecież ty nawet nie wiesz, o czym ja mówię.

- To ciekawe.

- Co takiego?

- Jak ty niesamowicie wściekasz się, kiedy tylko ktoś wspomni Kellena.

- A mówienie czegoś takiego to wyjątkowe gównno.

Te oczy, tak piękne, pełne wyrazu i mądrości. Wyrzut. Osąd. Zranienie. Lemaster nie pochwałał wulgarności, a uprzejmość w jego głosie miała posłużyć upewnieniu się, że ona zdaje sobie z tego sprawę.

- Uspokój się, Jules. Posłuchaj. Przepraszam. To źle zabrzmiało. Kocham cię. Nigdy w życiu nie skrzywdziłbym cię i nikomu na to bym nie pozwolił. Chyba o tym wiesz. Powiedz mi więc, Jules. Proszę. Powiedz mi, co tak cię denerwuje.

Właśnie to, że niesamowicie się, wściekam kiedy tylko ktoś wspomni Kellena. To, że on rozbił lampy na naszym podjeździe. I to, że zostawił mi dwa lustra. To, że nie zdążyłam się z nim pożegnać. Także to, że nasza córka czasami zastyga w bezruchu nad swoimi płatkami śniadaniowymi. Orzaz to, że miłość do ciebie jest obowiązkiem, a nie kwestią wyboru. To, że zaszłam w ciążę i poślubiłam człowieka, który mnie uspokoił, zamiast znowu spróbować szczęścia z mężczyzną, którego...

- Nic. - Wykrzywiła usta w uśmiechu i po raz kolejny poprawiła mu krawat. To porządny człowiek, powiedziała sobie. Solidny i rzetelny. - Przepraszam, kochanie. Chodźmy spotkać się z prezydentem i dowiedzmy się, jakież to ma dla ciebie zadanie.

Tyle tylko, że kiedy już znaleźli się w Białym Domu, Julia zauważyła, że spotkanie nie ma nic wspólnego z karierą Lemastera ani w ogóle z nim samym. Kolacja odbywała się w położonym na piętrze Żółtym Gabinetcie Ovalnym. Pomiędzy kolumnami Balkonu Trumana roztaczał się widok na stronę południową, na pomnik Waszyngtona i jeszcze dalej. Prezydent z małżonką, Lemaster i Julia oraz trzy inne pary: wybitny powieściopisarz, który wcześniej głośno sprzeciwiał się wyborowi aktualnego prezydenta, nowy przewodniczący drugiego pod

względem wielkości tutejszego zespołu doradców oraz kongresman, którego spotkali na zewnątrz. Przywódca większości i gość z zespołu doradców przyszli z małżonkami, natomiast pisarz przyprowadził przyjaciółkę. A zatem nie chodziło o zmianę pracy. Typowe przyjęcie z odpowiednio dobranym zestawem różnorodnych gości. Podobno prezydent bardzo je lubił. Ale na chwilę Julia skupiła wzrok wyłącznie na jednej osobie, tej przyjaciółce pisarza, która, zgodnie z tym, jak on sam w rozbawieniu ją przedstawił, zajmowała się korektą jego prac.

- My z Julią już się poznałyśmy.

- Naprawdę?

- Ależ tak. I bardzo się cieszę, że znowu cię widzę - powiedziała Mary Mallard.

II

Dwie kobiety stały na balkonie w cieniu jednej z potężnych kolumn, przy światłach celowo przyciemnionych ze względów bezpieczeństwa. Odbywające się w środku przyjęcie osiągnęło już etap okrzyków „och-czy-pamiętacie-kiedy?”. Południowy trawnik tonął w światłach i z tego miejsca wyglądał jak boisko futbolowe przed wielkim meczem.

- Miałam nadzieję, że do tego czasu już się do mnie odezwiesz - powiedziała Mary Mallard.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Żeby powiedzieć mi, że znalazłaś nadwyżkę Kellena. - Pisarka zgasła papierosa, stanowiącego wymówkę, żeby mogła tu wyjść tylko z Julią - która sama już nie paliła, ale w przeciwieństwie do swojego krytycznego pokolenia tolerowała osoby palące - dla towarzystwa. Chociaż twarz Mary tym razem nieco mniej niż na pogrzebie przywodziła na myśl kaczkę, czarne jak obsydian oczy niewiele straciły z tamtego fanatycznego żaru. Jej szyję spowijała kolejna chusta od Hermesa, tym razem w wesołym kolorze śliwkowym. - Bo, szczerze mówiąc, Julio, naprawdę uważam, że powinniśmy współpracować. Wydaje mi się, że mamy wspólny cel.

- Jaki cel, Mary?

- Chodzi o prawdę. Obie, każda na swój sposób, służymy prawdzie.

- Rozumiem - odrzekła Julia, opierając się o balustradę.

- Nie zgadzasz się z tym. Ale to ciebie zwolniono z pracy, ponieważ pozwoliłaś trzynastolatce wyjaśnić na lekcji nauk ścisłych, dlaczego jej zdaniem historia opisana w Księdze Rodzaju jest prawdziwa, a Bóg stworzył świat w sześć dni. - Julia stała wstrząśnięta. Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że Mary może zbierać o niej informacje.

- Nie zostałam zwolniona.

- Rodzice się skarżyli, chcieli zorganizować przesłuchania, związki się wycofały, a ty zrezygnowałaś. - Pisarka miała bardzo dokładne informacje. - Zaproponowano ci kilka wystąpień, ale ty odrzuciłaś wszystkie propozycje. A tak przy okazji, jak się ma twoja córka? Ten Vincent Brady cieszy się wspaniałą reputacją. Uważasz, że zasłużenie? Czy jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić?

Julia gotowa była rzucić się na nią.

- Dobrze, Mary, powiedziałaś swoje. A może teraz wyjaśnisz mi, co ja tu robię, czy też najpierw znowu będziesz chciała się popisać?

Biała kobieta nadal mówiła spokojnym tonem. Kiedy zapalała kolejnego papierosa i z zamkniętymi oczami głęboko zaciągała się dymem, Julia przypomniała sobie to rozkosznie łaskoczące ciepło towarzyszące paleniu na dworze w zimną noc, i to nie tylko tytoniu. Ich twarze muskały pierwsze płatki śniegu, malutkie i delikatne jak noworodki.

- Jesteś tu, ponieważ zostałam zaproszona przez prezydenta i jego małżonkę na kolację - odparła Mary. - Proszę, nie szukaj spisku tam, gdzie go nie ma.

- Jestem tu, bo ty chciałaś ze mną porozmawiać.

- Julio, ja jestem tylko pisarzyną. Niestety, nie mam takich wpływów w biurze zajmującym się organizacją prezydenckich spotkań. Gdybym chciała z tobą porozmawiać, zajrzałabym do pokoju numer sto osiemnaście w głównym budynku Czworoboku Keplera, albo też na położoną przy drodze numer czterdzieści osiem stację benzynową Exxon, w Langford, gdzie dwa razy w tygodniu tankujesz paliwo, wracając do domu, albo przyszedłabym do Greta's Tavern przy Main Street, bo tam lubisz wpadać po pracy na kawę, czy też do kawiarenki ze świeżymi bajglami na rogu King i Hudson, gdzie od czasu do czasu jadałaś śniadanie z Kellenem Zantem.

Choć wściekła, Julia nie potrafiła wyjść ze zdumienia, przypadkowo zauważywszy, jak wiele informacji ta kobieta potrafiła zebrać na temat jej codziennego życia. Wciąż jednak nie ustępowała, ponieważ kobiety z rodziny Veazie nigdy nie dawały za wygraną.

- Chyba że zależało ci na spotkaniu ze mną w miejscu, w którym nikt nie będzie nas podsłuchiwał.

- Chociaż oni temu zaprzeczają, ja zawsze podejrzewałam, że służby specjalne w całym Białym Domu założyły podsłuch.

- Ale może nie na balkonie.

Mary się uśmiechnęła. Jej wargi byłyby zupełnie niewidoczne, gdyby nie pomalowała ich na jasnoczerwono.

- Tak. Na balkonie może nie. - Zgasiła drugiego papierosa. Patrolujący na dole umundurowani strażnicy obrzucili je podejrzliwym spojrzeniem. Pisarka pomachała do nich, a Julia poszła za jej przykładem, na wypadek gdyby machanie mogło być im pomocne w podjęciu decyzji, do kogo nie strzelać. - Ale tak, masz rację, kiedy usłyszałam, że tu będziesz, musiałam przekonać obecnego tu laureata Nagrody Pulitzera, żeby zabrał ze sobą mnie, a nie jakąś inną swoją partnerkę. - Rzut oka na drzwi. - Długo musiałam go przekonywać.

- Czy powinnam czuć się wyróżniona?

- Nie. Powinnaś przestać mnie atakować i poświęcić mi choć chwilę. Żartuję. No dobra, nie żartuję. Ale już na poważnie, proszę, Julio. Daj mi minutkę. To Kellen zwrócił się do mnie, a nie na odwrót. Chciałabym, żebyś to zrozumiała. Był na tropie czegoś bardzo ważnego. To jakaś stara historia, co do której wszyscy się mylą. To są jego słowa. Dodał jeszcze, że konsekwencje mogą... wywołać prawdziwe trzęsienie ziemi.

- On zawsze potrafił zadbać o autoreklamę.

- Może i tak. - Wyjęła trzeciego papierosa i zastanawiała się, czy go zapalić, aż w końcu uległa pokusie. - Ale tym razem on był przerażony, Julio, nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Zaproponował mi zachętę. Tak właśnie to nazwał, zachętą. Powiedział, że kiedy ostatecznie uda mu się ustalić wszystkie szczegóły, da mi pozostałą część. Nie wcześniej. - Na chwilę przerwała. - Mówił też, że przy zbieraniu jego zapasów ktoś mu pomagał. Powiedział, że pomagała mu Czarna Dama. Tak ją właśnie nazwał, Julio. Czarna Dama. Chyba słyszysz wielkie litery w tej nazwie. Oczywiście doszłam do wniosku, że chodzi o ciebie. Czarna Dama, Siostrzana Dama - chyba sama dostrzegasz jakiś związek. Bo wy wszystkie jesteście czarne, prawda? To znaczy, Biedronki?

- To akurat jest kwestia dyskusyjna. Nasz statut nie określa koloru skóry, nawet jeśli to jest samo przez się zrozumiałe, a kilka z naszych oddziałów próbowało nawet przyjmować do swojego grona przedstawicielki białej rasy, żeby podreperować budżet, ponieważ członkostwo nie jest tanie i trudno jest im znaleźć... - Julia urwała nagle. - I to dlatego zawracałaś mi głowę na pogrzebie? Bo sądzisz, że to ja jestem Czarną Damą Kellena?

- Częściowo tak. Ale Kellen powiedział jeszcze, że jeśli coś mu się stanie, on tak to już zorganizował, że nadwyżka zostanie przekazana jego dziewczynie, tej, której udało się wymknąć. Wydaje mi się, że chodzi o ciebie.

- To może być każda z kilkunastu innych kobiet. Tyle ich miał.

- Nie wierzę w to, Julio. I ty też w to nie wierzysz. - Pstryknęła papierosem z balkonu, a czerwony popiół zakreślił łuk w chłodnej nocy. Zdaniem Juli było to zachowanie równie wulgarnie, co niegrzeczne, ale też jakoś uroczo beczelne. O dziwo, skojarzyło się jej z

Vanessą. - Daj spokój, Julio. On chciał, żebyś podjęła jego pracę i ją kontynuowała. Zgoda, nikt nie może cię do tego zmusić. Jeśli postanowisz nie zajmować się tym, to twoja sprawa. Ja to rozumiem.

- Bardzo się cieszę - odparła Julia, zdenerwowana jej protekcyjnym tonem.

- Wiem, że to głupio brzmi. Ale Kellen powiedział, że dysponuje materiałem na temat ważnej postaci politycznej. - Wskazała w stronę szklanych drzwi. - Może chodzi o tego gościa tam. Może o kogoś innego. Nie wiem, a on nic nie powiedział.

„Może o tego gościa tam”. Nie. Nie. Nawet o tym nie myśl. Nie wpuszczaj Kellena z powrotem do swojego życia.

- To nie moja wojna, Mary. - Odwróciła się i spojrzała na pomnik Waszyngtona, migające czerwone światła stanowiły ostrzeżenie dla ruchu lotniczego, chociaż obecnie i tak żaden ruch lotniczy nie był tu dozwolony.

- Tak, obawiam się, że to prawda.

Julia miała wrażenie, że dosłyszała coś w głosie pisarki, albo przynajmniej tak się jej wydawało. Odwróciła się na pięcie.

- Ale jest coś jeszcze. Jest coś, czego mi nie mówisz.

- Powinnyśmy wracać do środka. - Chociaż jej oczy płonęły, głos był spokojny jak jesień. - Lada moment za nami zatęsknią.

- Mary, co pominęłaś? Co jeszcze powiedział ci Kellen?

Pauza, podczas której biała kobieta decydowała się, ile może powiedzieć. Ze środka dobiegł je śmiech powieściopisarza, rehotliwy od alkoholu.

- Powiedział, że tak to zaaranżuje, że ta dziewczyna, która się wymknęła, będzie miała tylko jedną, hm, możliwość maksymalizacji dóbr.

- Możliwość czego?

- Tego, czy... pójść w jego ślady. Poszukiwać jego nadwyżki. Jego zapasów. Kellen chyba myślał, że może, no wiesz, zmusić cię do udzielenia mu pomocy. - Kiedy Julia próbowała przetrwać tę przygnębiającą uwagę, Mary nagryzmoła coś na wizytówce, którą następnie jej wręczyła. - Domowy i służbowy numer telefonu jest ten sam. Zapisałam też numer telefonu komórkowego. Wystarczy, że do mnie zadzwonisz, a ja przylecę pierwszym samolotem.

- Nie sądzę, żebym zadzwoniła.

- Ponieważ nie interesuje cię, o co chodziło Kellenowi. Już mi mówiłaś. - Mary sięgnęła po papierosy, ale szybko zmieniła zdanie i z powrotem schowała je do torebki. - A może tylko odstawiasz spektakl? Słyszałam, że uwielbiasz teatr. - Sięgnąwszy do torebki,

pisarka wyciągnęła jakąś kartkę papieru i podała ją Julii. Ta, wciąż poirytowana, rozwinęła kartkę, spojrzała na nią, a potem jeszcze raz. Jakby się zapadła w sobie. Płatki śniegu tańczyły na skąpanym w świetle trawniku. Trzymała kserokopię listu od posiadającego uprawnienia do prowadzenia prac instalacyjnych na dworze zakładu elektrycznego, poleconego przez Norma Wyatta, architekta, który zaprojektował jej dom i - tak się składało - ojca Tego Caseya. List, adresowany do Julii, zawierał wycenę wymiany zniszczonych lamp na podjeździe domu Carlyle'ów.

Z oddali doszedł ją głos Mary Mallard.

- Podejrzewam, Julio, że sporo osób chciałoby się dowiedzieć, co dokładnie stało się z twoimi latarniami.

Julia chwyciła się balustrady, czując jak w jej wnętrzu kotłują się wszystkie sprzeczne cechy jej osobowości, obecne i przeszłe, matki i dziecka, potulnej i napastliwej, obronnej i cierpliwej, grzesznicy i pokutnicy, nienawidzącej i kochającej, jak one wszystkie kłębią się w niej. Nie miała najmniejszego pojęcia, co z nich pozostanie, kiedy już zakończą ten niesamowity taniec.

- Niezła z ciebie suka - odezwała się w końcu. - Wiedziałaś o tym? - Mary czekała. - W takim razie, co to dokładnie ma znaczyć? Czyżbyś oskarżała mnie o jakieś...

Ale właśnie w tym momencie pan prezydent we własnej osobie szeroko otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na zewnątrz, żeby sprawdzić, co one robią, i zaprosić je do środka na zabawę w odgrywanie szarad.

Dobrze trafił.

III

Kiedy zdał już sobie sprawę, że kolacja ma charakter wyłącznie towarzyski, Lemaster dokończył wieczór w kwaśnym nastroju, a w drodze powrotnej do hotelu narzekał na wszystko po kolei. Julia nie mogła zdecydować się, czy powiedzieć mu o rozmowie z Mary, ale ostatecznie postanowiła milczeć.

Przynajmniej teraz.

Pozwoliła więc mężowi mówić dalej, aż wreszcie on sam zdał sobie sprawę, że zaczyna lamentować, więc natychmiast przestał, zgodnie zresztą z jej przewidywaniami. Carlyle'owie nigdy się nie skarżyli. Carlyle'owie brali sprawy w swoje ręce, chwyтали byka za rogi, odwracali sytuację na swoją korzyść, przejmowali kontrolę - i on, i Astrid, i jej brat Harrison, cała ich trójka odnosiła wręcz krępujące sukcesy na drogach wybranej przez siebie

kariery. Potrafili na tyle różnych sposobów opisywać swoją wspólną filozofię życiową, że wydawało się, iż są dla siebie nawzajem nauczycielami, czego zresztą nie można było wykluczyć.

Również tego wieczoru Lemaster jak zawsze odmienił się i ponownie zobaczyła tego radosnego i pewnego siebie człowieka, którego знаła przed dwudziestu laty, jeszcze w czasach wydziału teologicznego. Kiedy już zasiedli przy stoliku w apartamencie hotelowym, przy przekąsce i drinku oglądając mecz koszykówki, opowiedział jej, jak to prezydent, ku zazdrości pozostałych w pokoju, zaciągnął go do małego gabinetu na prywatną rozmowę.

- I czego chciał?

- Trochę kręcił, ale krótko mówiąc, zależało mu, żebym nie udzielał poparcia Malowi Whistedowi. Widać, że dotarły do niego jakieś plotki, być może w związku z tą wizytą Astrid u nas.

Czekała na jego dalsze słowa, ale w końcu poddała się i zapytała:

- I co, obiecałeś mu?

- Powtórzyłem mu to samo, co Astrid. Ja skończyłem z polityką. Powiedziałem, że obecnie jestem zdecydowanie neutralny. - Triumfujący uśmiech, dzisiejszego wieczoru lekko zaprawiony smutkiem. - Powiedziałem mu, że obie partie już tak daleko odeszły od jakiegokolwiek prawdziwego zainteresowania przyszłością Afroamerykanów, że niezbyt mnie obchodzi, kto zwycięży. - Teraz już zniknął żartobliwy wyraz twarzy. - To prawda, Jules, w ogóle mnie to nie obchodzi.

- Wiem - odrzekła, ponieważ dostatecznie często jej to mówił, chociaż w tym właśnie momencie jego słowa nabrały jakiejś szczególnej głębi, jakby stanowiły fundamentalną zasadę jego wiary.

- A wiesz, w czym tkwi problem? Biali już się nas nie boją. - Miała mu na to coś odpowiedzieć, ale zdecydowała pozwolić mu do końca przedstawić wymówkę. - A poza tym - rozpozgodził się - moje wsparcie nie ma zbyt wielkiego znaczenia.

- Och, Lemmie, ma ogromne znaczenie - zapewniła i przez chwilę rozmawiali o sporcie.

Dopiero kiedy leżeli już w łóżku, po krótkim, obowiązkowym stosunku małżeńskim, nadeszła niezręczna chwila, bo Lemaster zapytał drzemając już Julię, o czym tak długo rozmawiała z „tą kobietą”.

- Takie tam babskie gadanie - Julia próbowała zagrać na jego próżności.

- O czym?

- Wołałbyś nie wiedzieć - odparła, prawidłowo przewidując, co on może na to

odpowiedzieć.

Jego piękna głowa uniosła się do góry.

- Tylko nie mów mi, Julio, że paliłyście tam we dwójkę. Sądziłem, że rzuciłaś.

- Znasz ten stary dowcip? Nie mam problemów z rzuceniem palenia, już wiele razy mi się to udawało.

Przyciągnęła go do siebie i pocałowała, w końcu pod tym względem знаła swojego męża lepiej niż on sam. Jeśli wydawało mu się, że przyłapał ją na grzechu, nie będzie podejrzewał kłamstwa. I jak na zawołanie, leżący tuż przy niej w ciemnościach Lemaster wdał się teraz w wykład, jakby ktokolwiek z dorosłych miał co do tego jakieś wątpliwości, o tych wszystkich zagrożeniach dla zdrowia, które niesie palenie papierosów. A Julia tuliła się do niego, głaskała go po plecach, kiwała głową i obiecywała poprawę, bo on lubił obietnice. Bynajmniej nie chodziło o to, że Lemaster, jak kiedyś powiedziała Tessie, uważał się za lepszego od innych. Jemu po prostu frajdę sprawiało pouczanie ludzi.

Rozdział 12

Prawie normalny dzień

I

Młodzi chrześcijańscy socjaliści domagali się impeachmentu prezydenta Stanów Zjednoczonych, profesor Helen Bohr poszukiwała wśród studentów asystenta badawczego z praktyczną znajomością języka ugaryckiego, koło gejów i lesbijek organizowało składkowe przyjęcie dla zainteresowanych, a zespół Vesperado potrzebował dwóch dodatkowych tenorów; jednym słowem, tablica ogłoszeń obok gabinetu Julii wyglądała tak, jak w każdy czwartkowe popołudnie, podobnie zresztą jak i cały ciemny, gotycki korytarz, choć był jeden wyjątek: na wyblakłej drewnianej ławce cierpliwie czekał jakiś chudy, stateczny mężczyzna w brązowym garniturze i czapeczce.

W pierwszej chwili Julia prawie go nie zauważyła, tak była sfrustrowana po powrocie z Lombard Hall, gdzie uczestniczyła w uroczystym lunchu z dyrekcją, wywierającą presję na wydział teologiczny, aby bardziej uważnie dobierał swoich studentów - w przeciwnym razie, jak powiedzieli, po przeprowadzeniu skomplikowanych obliczeń, trzeba będzie zredukować liczebność grup, a to pociągało za sobą mniej pieniędzy dla wykładowców, a co za tym idzie, kolejną falę zwolnień. Zeszłej nocy skarżyła się mężowi, że niektórzy z jego ludzi zachowują się, jakby po tym świecie chodziły tłumy dwudziestodwuletnich geniuszy, którzy tylko marzą o dwu- lub trzyletnim przygotowaniu się do profesji pastora, ale Lemaster powiedział jej, że on nie może się do tego mieszać, bo szkoła sama musi zadbać o odpowiednie stosunki. Wróciła do Keplera sfrustrowana, zakłopotana i podświadomie zła na męża o te jego pedantyczne konwenanse, jakby w całej historii uniwersytetu nikt nigdy nie przymknął na nic oka. Jeszcze kiedy otwierała swoje biuro, czuła, że się w niej gotuje. Zanim Lemaster triumfalnie powrócił zeszłej wiosny z Waszyngtonu w celu objęcia kierownictwa swojego ukochanego uniwersytetu, nie musiała go pytać o żadne pozwolenie. Ale obecnie cały wydział teologiczny, niegdyś stanowiący jej azyl, zdawał się oceniać Julię głównie pod kątem możliwości dotarcia do jej męża.

Miała jeszcze jeden powód do irytacji. Przedwczoraj, w Waszyngtonie, Tessa

próbowała wyciągnąć z niej poufne informacje na temat stosunków łączących w czasach studenckich prezydenta i senatora Whisteda. Zdenerwowana Julia powiedziała, że nawet nie wie, czy ci dwaj mężczyźni przyjaźnili się ze sobą i że niezręcznie jej o tym rozmawiać. A wczoraj wieczorem podczas swojego programu Tessa powiedziała całemu światu, że ze źródła zbliżonego do obu kandydatów uzyskała informacje świadczące o tym, że najprawdopodobniej ci dwaj mężczyźni nawet się ze sobą nie kolegowali podczas studiów. Złowieszczym tonem dodała jeszcze, że osoba będąca źródłem tych informacji czuła się skrępowana samą rozmową na ten temat. Julia dzwoniła dziś rano do Tessy, ale jej dawna współlokatorka jeszcze nie raczyła...

- Pani Carlyle?

Odwróciła się zaskoczona, ponieważ nikt na uniwersytecie tak jej nie nazywał. Dla młodszych była „dziekan Carlyle”, a dla pracowników naukowych „Julią”, podobnie też nazywali ją, z jej inicjatywy, starsi studenci i personel.

Mężczyzna zdjął czapkę, odsłaniając włosy ścięte na dobrze znanego języka i ściągniętą, jakby zastygłą, twarz, i chociaż nie uśmiechał się, jego blade oczy patrzyły na nią niemal ze współczuciem.

- Czym mogę służyć? - zapytała tonem może nieco zbyt obcesowym, ale zanim jeszcze mężczyzna zdążył się odezwać, uzmysłowiła sobie, kim jest.

- Nazywam się Richard Chrebet, pani Carlyle. Jestem porucznikiem wydziału zabójstw policji stanowej. - Przedstawił dokument potwierdzający jego tożsamość. - Być może pamięta pani, parę tygodni temu rozmawialiśmy u pani w domu. Czy mogłaby pani poświęcić mi chwilę?

Lustra, pomyślała gwałtownie. Seth Zant powiedział im o lusterku Comynsa. A Frank Carrington powiedział im o tym stojącym lustrze.

- Niedawno odwiedził pan mojego męża.

- Zgadza się. A teraz przyszedłem do pani. - Jak w jakiejś dziecięcej grze.

- Czy mogę zapytać, o co chodzi?

- O pani córkę.

Ogarnęło ją macierzyńskie przerażenie.

- O moją córkę? O którą? Co się stało?

Uniósł obie ręce, ale się nie uśmiechnął.

- Nic się nie stało. Pani dzieciom nic nie grozi. Ale powinniśmy porozmawiać o Vanessie.

II

Kiedy znaleźli się w jej wypucowanym gabinecie, Julia wskazała gościowi krzesło i zamknęła drzwi, czego prawie nigdy nie robiła - z wyjątkiem sytuacji, kiedy udzielała studentom porad - ze względu na tradycyjną już i panującą od lat w Keplerze swobodną atmosferę, a także chcąc okazać swoje przyjazne nastawienie do innych. Chrebet usiadł wyprostowany, jak zalotnik, który przyszedł prosić o rękę ukochanej - to porównanie przypomniało jej o powodach, dla których garstka studentów podjęła kilkudniowy bojkot wykładów starego Claya Maxwella na temat świętego Pawła, w zeszłym roku, kiedy zaproponował je na swoim kursie. Zarówno seksistowski, jak i homofobiczny, powiedzieli. Julia zaczęła krzątać się po gabinecie, podlała kwiatki, zdjęła kozaczki i założyła buty na płaskim obcasie, przekładała papiery na swoim doskonale uporządkowanym biurku, robiąc wszystko, żeby odwlec moment, kiedy porucznik Chrebet powie jej to, co ma do powiedzenia. Przyszedł w porze, kiedy nie było żadnej z jej asystentek, jedna poszła na lunch, a druga coś załatwiała, i można się było domyślić, że tak też to zaplanował. Chociaż zachowywał się sztywno, nie widać było, żeby się spieszył, wyglądał jak człowiek, który swego czasu potrafił przetrzymać najlepszych.

W końcu wyczerpała się skarbnica jej pomysłów i Julia usiadła.

- Co pan chce mi powiedzieć o Vanessie?

- Pani Carlyle, proszę pozwolić mi na początek powiedzieć, że ja też mam dzieci...

- Proszę mówić do mnie po imieniu. Julia.

- Jestem Rick. - Ale nadal się nie uśmiechał. - Sam mam dzieci, więc rozumiem, jak zaciekle rodzice starają się je ochraniać. Zwróciłem się do zwierzchników z prośbą o zezwolenie na przesłuchanie pani córki Vanessy. Oczywiście, przed skontaktowaniem się z nią, najpierw porozmawiałbym z panią, ponieważ ona jest nieletnia. Ale jest jeszcze inny powód. Pani jest jej matką. Być może będzie pani w stanie wyjaśnić pewne rzeczy, które mnie mogą umknąć. Albo też pomóc mi odpowiednio sformułować pytania...

Minęła chwilowa słabość.

- Proszę, Rick, powiedz mi, o co chodzi. Nie przedłużaj tego wstępu. Po prostu powiedz.

- Nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiała. Ja bynajmniej nie sugeruję, że Vanessa mogłaby w jakikolwiek stopniu być zamieszana w to, co przydarzyło się profesorowi Zantowi. Jestem natomiast przekonany, że jej zeznania mogłyby rzucić trochę światła na problem, który okazał się trudniejszy do rozwikłania, niż początkowo sądziliśmy - wyjaśnienie tego, nad czym profesor Zant pracował, kiedy zginął.

- A skąd Vanessa może cokolwiek o tym wiedzieć?

- Nie musi. Dlatego chciałbym zadać jej kilka pytań.

- Proszę zadać je mnie.

- Twoja córka jest pod opieką psychiatry, prawda? Chodzi o zaburzenia zachowania. - Skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że dotyka to wszystkie nastolatki. - Jak sobie radzi?

Nie dała się jednak wciągnąć w ten temat. Terapeuta Vanessy, Vincent Brady, zwierzał się wczoraj Julii ze swoich rozważań nad tym, czy nastolatka przypadkiem nie cierpi na nerwicę pourazową - wskazał zwłaszcza na jej skłonność do zastygania w bezruchu i dysocjacji - obok wcześniej zdiagnozowanego lęku i zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Jeśli rzeczywiście cierpiała na nerwicę, tłumaczył, początkowy uraz musiał nastąpić jeszcze przed śmiercią Kellena Zanta, a także przed podpaleniem ojcowskiego samochodu, jak powiedział Vin, widać to było po tak zwanym przebiegu behawioralnym. W minionych miesiącach zastanawiał się nad tym, że Vanessa zdradzała oznaki typowe dla nadużycia narkotyków czy alkoholu, albo też, potencjalnie, głodu narkotycznego, ale wyniki kontrolnych badań krwi nieodmiennie były negatywne. Już wcześniej wykluczył możliwość wykorzystywania seksualnego. Lemaster narzekał, że Brady pracuje z podręcznikiem w rękę, jak świeżo upieczony psychiatra.

- Dlaczego sądzisz, że Vanessa może coś wiedzieć na temat tego, nad czym Kellen pracował? - zapytała, ignorując pytanie śledczego. - Daj mi jakieś powody.

Uniół palec, jakby wyliczając kolejny punkt. Dochodzący zza drzwi głośny chichot obwieścił powrót asystentek.

- Po pierwsze. Zeszłego lata Vanessa zgłosiła się ochotniczo przepracować po kilka godzin tygodniowo w jadłodajni dla ubogich, przy położonym w pobliżu kampusu kościele metodystów. Profesor Zant również na ochotnika pracował w tej jadłodajni.

- Nie widzę związku. Z pewnością pracowało tam ochotniczo z pięćdziesiąt osób.

- Siedmiu dorosłych, czwórka nastolatków. Mówię o osobach regularnie przychodzących, spędzających tam przynajmniej dwie godziny w tygodniu.

Julia pokręciła głową.

- Nawet jeśli rzeczywiście tak było, nie widzę, co to ma wspólnego z...

- Po drugie. - Kolejny palec. - W październiku, w dniu swoich siedemnastych urodzin, twoja córka otrzymała od tajemniczego wielbiciela paczkę z klonowo-orzechowymi krówkami.

Mówił z szybkością karabinu maszynowego, zupełnie inaczej niż w obecności Lemastera w Hunter's Heights, celowo, jak podejrzewała, budząc w Julii chęć

natychmiastowego udzielenia odpowiedzi.

- Podejrzewała, że to od jej chłopaka.

- Ale na kartce nie było napisane „kocham”, tylko „dziękuję”. Zgadza się? - Zdumiona jego drobiazgową wiedzą o ich sprawach rodzinnych, Julia mogła tylko skinąć głową. - Czy twoja córka wspominała może, że krówki były wyschnięte?

Światło stało się mniej wyraźne. Być może to słońce skryło się za chmury. I być może tam zostanie.

- Wyschnięte? Niby dlaczego miały być wyschnięte?

- Julio, czy mówiła coś takiego?

- Nie przypominam sobie, żeby coś takiego mówiła. Nie.

Rozległo się pukanie. Drzwi otworzyły się szeroko. To była Latisha, ta jej przyciężka, zatrudniona na pełnym etacie asystentka, której zwolnienie sugerował jej Boris Gibbs.

- Julio? Miałam wiadomość od informatyków. W sprawie twoich problemów z komputerem. - Ostatnio zaczął się regularnie zawieszać i ciągle były z nim problemy. W tym momencie ten komputer nie znajdował się nawet w jej gabinecie, ale w jakimś innym miejscu kampusu, gdzie był testowany, poddawany kwarantannie i leczony.

- Proszę, nie teraz.

- Ale mówili, że to ważne.

- Proszę, później się tym zajmiemy. Dobrze?

Latisha spojrzała na Julię, potem na oficera śledczego i z szeroko otwartymi oczami wycofała się z pokoju, wyrzucając z siebie potok rozpaczliwych przeprosin. Podobnie jak wszyscy pracownicy w Kepler, Latisha z przerażeniem zdawała sobie sprawę z nieuchronnych zwolnień i była przekonana, że znajduje się na liście, bo nie przebywała tu dostatecznie długo, żeby uzyskać status osoby chronionej w ramach umowy zbiorowej.

Kiedy drzwi się zamknęły, Rick Chrebet ciągnął dalej, nie tracąc rezonu.

- Trzy tygodnie wcześniej wysłałaś Kellenowi Zantowi na urodziny pudełko krówek, kupione w sklepie Cookie's na Main Street w Tyler's Landing.

- Zgadza się. To prawda.

- Klonowo-orzechowych, prawda?

Julia poczuła się znieważona. I nie miało znaczenia, czy jakiś sędzia wystawił tuzin wezwań do sądu. Zamierzała udusić Verę Brightwood.

- Podejrzewam, że twoja córka otrzymała krówki od profesora Zanta. To samo pudełko, które mu wysłałaś. To dlatego mogły być wyschnięte.

Cisza jak makiem zasiał. Cały pokój drżał. Julia zdawała sobie sprawę, że gdyby się

teraz obróciła, zobaczyłaby trzęsące się z dezaprobatą figurki na dekorującym jej okno witrażu.

Nic nie powiedziała.

- Po trzecie. Najważniejsze dla nas jest, dlaczego w książce telefonicznej komórki Kellena Zanta znajdował się numer telefonu komórkowego twojej córki.

- Chyba żartujesz.

- Niestety, nie, pani Carlyle, to znaczy Julio. Mało tego, nie tylko w jego książce telefonicznej znajdował się jej numer, ale w ciągu dwóch tygodni poprzedzających jego śmierć, profesor Zant dzwonił do niej co najmniej pięć razy, a ona do niego co najmniej trzy.

Zaledwie parę tygodni temu Julia ubolewała nad straszliwą prawdą, że Kellen zmarł, a ona nie zdążyła się z nim pożegnać. Ale teraz, przez krótką chwilę szaleństwa, żałowała, że on już nie żyje, bo gdyby jeszcze żył, z przyjemnością by go zabiła. Powoli. Zadając mu cierpienia. Starła się jednak nie tracić zdrowego rozsądku - przez chwilę było niebezpiecznie, ale jakoś się pozbierała i kiedy udzielała odpowiedzi, sama była zaskoczona spokojnym tonem swojego głosu.

- Rick, dlaczego mi to mówisz? Wydawałoby się, że raczej będziesz wołał zaskoczyć nas - i Vanessę - tą niespodzianką, a nie ostrzegać. Chyba zdajesz sobie sprawę, że ją o to zapytam.

Chrebet założył jedną kościstą nogę na drugą i splótł palce na kolanie. Dopiero teraz zauważyła, że porucznik nic nie notuje.

- Mam nadzieję, że pani ją zapyta, pani Carlyle. Obawiam się, że ja mogę nie mieć takiej okazji.

- Nie rozumiem.

- Możemy nie uzyskać zezwolenia na jej przesłuchanie.

- Dlaczego?

Oficer śledczy przez krótką chwilę mierzył ją spojrzeniem tych swoich bladych oczu, jakby zastanawiając się, czy warto się trudzić. To była złość, w końcu sobie uświadomiła: właśnie to widziała w tej ściągniętej, zamkniętej twarzy. Wściekłość zawodnika, któremu podstawiono nogę na ostatnim okrążeniu.

- Czyżbyś nie czytała gazet, Julio? Ta sprawa wkrótce ma zostać zamknięta. To był napad rabunkowy.

Dopiero po jego wyjściu Julia mogła zastanowić się, dlaczego śledczy nie zadał tych pytań podczas wizyty u Lemastera.

III

Kiedy Julia została już sama w gabinecie, rozpoczęła proces niemyślenia. Posprzątała półki, na których nie było śladu bałaganu. Wyrównała krawędzie trzech stosów teczek rekrutacyjnych leżących na stole roboczym, układając je w ostre jak brzytwa linie. Skoro już wcześniej podlała kwiatki, zaczęła teraz karmić je różnymi magicznymi odżywkami, a potem stanęła w oknie i przez kolorowe szyby oraz wywinięte listwy obserwowała Ricka Chrebeta, który szedł przez parking, pochylony zmagając się z wiatrem, który popołudniem nadciągnął z północy. Ze zrozumieniem potraktowała to palące rozgoryczenie, które dostrzegła w jego bladych oczach pod koniec rozmowy; znała ten ostry ból pojawiający się, kiedy człowiek jest niezdolny do walki z tym, co dusza każe mu zwalczać. To samo każdego ranka widywała w lustrze, w ciągu tych ostatnich tygodni jej ostatniego związku z Kellenem.

Narzuciła swoją podbitą futrem wiatrówkę i wciągnęła na nogi botki z owczej skóry. Zazwyczaj starała się wychodzić z Keplera jak najwcześniej po południu, żeby zdążyć do domu przed dziećmi. Vanessa i Jeannie przyjeżdżały autobusami kilka minut po trzeciej. W tej chwili dochodziła druga. Dojazd samochodem zajmował jej dwadzieścia pięć minut. W sekretariacie Latisha wręczyła jej wiadomość od informatyków, podsumowującą efekty ich pracy, podczas gdy Foxon, jej biała asystentka, która pracowała w niepełnym wymiarze godzin i chyba nigdy nic nie robiła, ważnym tonem szeptała coś do telefonu - ta Foxon, która po odejściu Latishy awansuje.

- Zostaw to na moim biurku - poleciła Julia.

- Prosimy, żeby ci to jak najszybciej przekazać. - Wyrzut. Konsternacja. Strach. - Przynajmniej rzuć na to okiem.

- Muszę lecieć. Jutro się tym zajmę.

Ale, ku zdziwieniu Julii, Latisha nie ustępowała.

- Chcieli, żebyś dzisiaj to dostała.

- Daj spokój. Po prostu zostaw to na moim... nie, mniejsza o to. - Wzięła wiadomość, złożyła ją i wcisnęła do kieszeni.

Kiedy próbowała wymknąć się z budynku, wpadła na Borisa Gibbsa i Iris Feynman, kolegów prodziekanów. Boris, w akcie usmarowanego pozdrowienia, zasalutował jej nieodłącznym batonem czekoladowym. Przypomniała sobie, że obiecał dowiedzieć się, czego szukał Kellen w Landing. Miała wrażenie, że już wieki minęły od tego ich lunchu.

Boris powiedział, że Iris znowu sprawiała kłopoty.

- Moim zdaniem Kepler zbyt koncentruje się na kwestiach chrześcijańskich. A ona

twierdzi, że właśnie tak powinno być, bo to jest wydział teologiczny. I ona podobno jest żydówką. Przecież to właśnie ona powinna najgłośniejsz protestować.

Zdaniem Borisa Gibbsa miał to być dowcip.

- Takie argumenty do mnie nie trafiają - odparła Julia, zerkając w stronę wyjścia.

- Julia nie jest kobietą nabożną - wyjaśnił Boris, jakby Iris tego nie wiedziała. - Chodzi do kościoła, ale nie jest kobietą nabożną. Julia jest staromodna. Mąż ją tam zabiera, a ona jest mu posłuszna. On jest tradycyjnym anglikaninem. To taki eufemizm, oznaczający, że jemu podoba się reakcyjny modlitewnik, o jakim reszta cywilizowanego świata już zupełnie zapomniała. - Odgryzł kawałek batona i spojrzał na Julię. - Mam dla ciebie parę informacji.

Uśmiechając się z ulgą, Iris powiedziała, że zostawi ich samych, żeby mogli sobie porozmawiać.

- Borisie, przepraszam, ale teraz nie mogę.

- On budował dom.

To stwierdzenie nieco ją powstrzymało, co prawdopodobnie było właśnie jego zamiarem.

- Co takiego?

- Twój Kellen budował sobie dom w Landing. - Odgryzł ogromny kęs batona. - Oglądał ładną działkę z prywatną plażą, rozmawiał z geodetą i tak dalej.

Po rozmowie z Chrebetem trudno było jej to zrozumieć.

- Chcesz mi powiedzieć, że Kellen Zant zamierzał przeprowadzić się do Tyler's Landing?

- Przynajmniej budował dom - odrzekł, bardzo z siebie zadowolony. - Wygląda na to, że o tym też ci nie powiedział. - Klepnął ją w ramię, a ona pomyślała o tych słodkich plamach, które musiały się tam teraz pojawić. - To nie wszystko, ale widzę, że się spieszysz, więc resztę opowiem ci później.

Śmiejąc się, Boris sztywnym krokiem odmaszerował korytarzem. Dopiero dużo później Julia zdała sobie sprawę, że ważniejszą wskazówką był ten jego spór z Iris.

IV

- Nie jest kobietą nabożną - powiedziała na głos, wciąż nie mogąc dojść do siebie po okrutnych drwinach Borisa. Zmierzając do głównego wyjścia i zastanawiając się, jak zadać Vanessie to pytanie, którego nie mogła uniknąć, Julia skręciła i wślizgnęła się do kaplicy

Keplera, stanowiącej należące do wydziału teologicznego miejsca kultu, w najmniejszym stopniu nie dorównującej kaplicy uniwersyteckiej, ale w pełni spełniające swoje funkcje. Kiedy rozejrzała się po przestronnej, chłodnej sali, okazało się, że ma wyłącznie dla siebie te łuszczące się freski, odpadające płatki złota i kruszące się gipsowe gzymsy. Powolnym krokiem przeszła wzdłuż nawy. Na stuletnim wysokim ołtarzu wyryto wyblakłe już słowa z ósmego rozdziału Ewangelii według Świętego Jana, a na niskim ołtarzu, wykonanym z drzewa młodszego i jaśniejszego, nic nie napisano. Wzdłuż ścian i w przeróżnych szafach ukryto tyle krzesel, krucyfiksów, obrusów ołtarzowych, kielichów mszalnych, kadzielnic i chrzcielnic, żeby prawie każde wyznanie, oprócz może tych najbardziej ascetycznych, mogło wygodnie wszystko zorganizować dla swoich członków. W ciemnym kącie stał rozchwiany stojak ze świecami wotywnymi w miedzianych świecznikach, ale żadna z nich się nie paliła. Padające z góry słoneczne promienie zimnego popołudnia skrzyły się na szybach.

To właśnie w tym miejscu dwadzieścia lat temu wzięła ślub z Lemasterem, w otoczeniu wstrząśniętych rodzin zjednoczonych w stoickiej wściekłości, każda ze stron ponad wszelką wątpliwość przekonana, że Julia go złapała, ponieważ w chwili ślubu była w piątym miesiącu ciąży, kiedy trudno już było ukryć rozwijające się w niej dziecko. Czuła, jak w plecy pali ją nieme upokorzenie matki, a później uparcie twierdziła, że z całej ceremonii zapamiętała tylko, jak chwyciła Lemastera i salwowała się ucieczką. Było to kłamstwem. W rzeczywistości, pamiętała każdą bolesną minutę, nawet tę część, kiedy pośród składanych ślubów w duszy przeklinała Boga, że wpakował ją w tę sytuację; ponieważ Julia, jak przystało na prawdziwą amerykańską protestantkę, nie potrafiła uporać się z myślą, że sama jest winna swoim kłopotom.

Trzy i pół roku temu, po powrocie na wydział teologiczny, Julia zaczęła tu przychodzić, kiedy musiała nad czymś się zastanowić, ponieważ w dzień powszedni pomieszczenie świeciło pustkami i mogła tu spokojnie posiedzieć. To znaczy mogła siedzieć tu w spokoju, jeśli tylko Kellen nie ściągał tu ze swojego biura, które znajdowało się w potężnym budynku nauk społecznych po drugiej stronie Hudson Street, i nie zakradał się do jej ławki, nie siadał obok Julii i nie dzielił się z nią ostatnimi nieszczęściami. Albo po powrocie do swojego gabinetu na pierwszym piętrze spotykała go czatującego na nią z nieszczęśliwą miną w korytarzu - zawsze sprawa dotyczyła jakiegoś kryzysu, którego z nikim innym nie mógł omówić, bo nikt inny go nie rozumiał. Kiedy Julia mówiła, żeby zostawił ją w spokoju, oddalał się chyłkiem z tą poruszającą, smętną miną, jaką niektórzy nieokrzesani mężczyźni potrafią przybrać z najbliższego powodu, ale już po tygodniu znowu się odzywał, za pomocą poczty elektronicznej, komunikatora internetowego czy przez telefon, zapraszając

na lunch, kawę albo cokolwiek innego, na co ona mogłaby się zgodzić. Nie dawał jej spokoju. A kiedy się spotykali, Kellen opowiadał jej o kobiecie, z którą miał kłopoty, o koledze z pracy, który naśmiewał się z niego, mówiąc, że ostatnio niewiele zajmował się pracą naukową, czy potencjalnym kliencie, który zatrudnił innego ekonomistę, chociaż to przecież Kellen miał wyższe kwalifikacje.

„Będziesz musiał jakoś sobie z tym poradzić”, mówiła, cytując babcię Vee. „Tak zachowują się ludzie dorośli. Radzą sobie z różnymi rzeczami”.

„Potrafię wyobrazić sobie inne rzeczy, z którymi taki dorosły wolałby sobie poradzić”, odpowiadał, drocząc się z nią swoimi łagodnymi oczami.

„Nigdy nie uporządkujesz swojego życia, jeśli najważniejsze dla ciebie będzie pożądanie”. W tym momencie chyba cytowała Lemastera.

„W takim razie kto chciałby wieść uporządkowane życie?”

Kellen był człowiekiem błyskotliwym, perfekcyjnym i powszechnie szanowanym. Jednocześnie był dużym dzieckiem, które chciało, żeby Julia, jak w przeszłości, grała rolę jego mamuski, a on mógłby wypłakiwać się jej w rękaw, chociaż gdyby tylko udało mu się ponownie złożyć głowę na jej ramieniu, bynajmniej nie marnowałby czasu na płacz. Kellen na tysiąc różnych drobnych sposobów wyrażał Julii dokładnie to, co Seth Zant powtórzył jej w dniu pogrzebu - ona była tą, która się wymknęła.

Zazwyczaj udawało się jej zachować dystans.

Podczas spotkania w centrum handlowym w Norport, Kellen powiedział, że jest w kłopotach i musi rozłożyć ryzyko zapasów oraz że żyją w mrocznych czasach, a ciemności mają znaczenie. Zbyła te jego słowa, traktując je jak kolejną obleśną próbę flirtu, w końcu Kellen był już w tylu przeróżnych kłopotach i trudno było sobie wyobrazić, że któryś z nich mógłby być najgorszy.

Ale teraz nie była tego już tak pewna.

To nie był flirt. To wiadomość.

Oczywiście, Boris miał rację. Julia raczej nie wierzyła w Boga. Dwadzieścia lat temu zamieszkała z Lemasterem i razem opuścili wydział teologiczny, Lemaster z obawy, że wszystko, czego się uczy, może być kłamstwem, a Julia z obawy, że wszystko, czego się uczy, może okazać się prawdą. Z czasem oboje pokonali te swoje obawy i powrócili do obyczajów swoich przodków. Ksiądz Freed ze świętego Macieja często mówił o Królestwie Niebieskim. Lemaster chętnie go słuchał, a Julia poddawała się mężowi. Kiedy jednak w głębi duszy wybiegała myślami w przyszłość, oddaloną o jakieś dwie, trzy, może cztery dekady, widziała się, jak leży w jakimś bezdusznym szpitalu, otoczona nieczułymi

maszynami, jak jedno lub dwoje jej dzieci trzymają za rękę, mąż od dawna leży w grobie, a ona sama oczekuje na opadnięcie ciemnej zasłony, za którą jest tylko pustka.

Czas się zbierać. Sięgnąwszy do kieszeni po kluczyki, wymacała kartkę od informatyków. Rozwinęła jedną małą kartkę, szybko ją przeczytała, potem drugi raz, już dokładniej, w oczy rzucały się kluczowe zwroty: ...masa oprogramowania typu spyware... o dużo wyższym stopniu zaawansowania niż powszechnie dostępne... na pewno nieopracowane przez amatorów... nie poddaje się programom antywirusowym... przechytryło Menedżera Zadań... śledzi każde uderzenie klawisza... wszystkie witryny WWW oraz e-maile... o jakości stosowanej przez rząd federalny, zazwyczaj po uzyskaniu nakazu...

A Kellen mówił, że ma informacje na temat ważnej postaci świata polityki. I to właśnie Julii pozostawił dowody.

Julia Carlyle wciąż nieodmiennie była zadeklarowaną agnostyczką. Kiedy jednak tak siedziała w pustej, obumierającej kaplicy, skłoniła głowę i zaczęła się modlić.

Rozdział 13

Matka, córka i ktoś znajomy

I

- Kochanie, czy mogłybyśmy porozmawiać? - zapytała Julia, wchodząc do pokoju swojego drugiego z kolei dziecka.

Vanessa, ślęcząca ze swoją koleżanką Smith nad komputerem, wzruszyła ramionami, ale jednocześnie kliknęła myszką, zamykając okno komunikatora internetowego, które pojawiała się na jej ekranie zawsze, kiedy łączyła się z Internetem. Matka doskonale rozumiała, że nastolatka, przeżywająca ten wymyślony okres między dziecięcą wolnością a brzemieniem dorosłości, ma prawo chronić swoją prywatność. Ale i tak martwiły ją znajomości, które jej córka zawiera przez Internet, a także tajemnice, którymi się dzieliła i które odkrywała. Zwinięty w kłębek na kolanach Vanessy Rainbow Coalition popatrzył na Julię jak na jakiegoś intruza. Smith, której upiornie blade ciało, wystające z ciężkiego, czarnego stroju, poprzekłuwane było praktycznie w każdym miejscu, nawet nie podniosła wzroku. Nocne niebo za oknami było czyste i piękne, ale na rano zapowiadano kolejne opady śniegu.

- Vanesso?

- Uhm. - Lakonicznie, nawet nieco niegrzecznie, jak zawsze w towarzystwie Smith, która jeszcze kilka lat temu była zastraszoną, białą dziewczynką, nazywającą się Janine Goldsmith. Jej porośnięta krótko ściętymi włosami głowa kiwała się nad jakimś przedmiotem, który dziewczyna trzymała na kolanach. Julia zastanawiała się, czy przypadkiem ta dziewczyna nie jest nawalona.

- Vanesso. Mówię do ciebie.

- Słyszę.

Julia zbliżyła się do niej, zamiatając krańcem sukni po podłodze, ponieważ buty na wysokich obcasach zrzuciła zaraz po tym, jak z Lemasterem weszli do domu. Był piątek i właśnie wrócili z kolejnej wykwintej kolacji, tym razem była to zbiórka pieniędzy na uniwersytecki fundusz dla studentów z grup mniejszościowych. Julia większość czasu

spędziła na parkiecie, a Lemaster przede wszystkim udzielał się towarzysko i nawiązywał odpowiednie znajomości.

- Vanesso - powtórzyła Julia. - Vanesso, czy raczyłabyś odwrócić się do mnie? I ściszyć muzykę? - Chociaż ledwo słyszalne na korytarzu, w pokoju niezrozumiałe dźwięki były zaskakująco głośne.

- Nie. - Vanessa obracała się na krześle, z uśmiechem patrząc na matkę, podczas gdy Smith wciąż bawiła się, jak teraz zauważyła Julia, jakimś elektronicznym gadżetem, który prawdopodobnie został wymyślony niecały miesiąc temu i przez najbliższy miesiąc będzie największym przebojem - jej pobłażliwi rodzice, rozwiedzeni i skłóceni, rywalizowali ze sobą, wierząc, że pieniędzmi mogą ponownie wkraść się w łaski swojej córeczki. Vanessa zamruła. Późnym wieczorem wyjęła już szkła kontaktowe, jak często to robiła, i założyła okulary. Pod szlafrokiem miała na sobie luźną piżamę. Jej stopy tonęły w pantoflach w kształcie króliczka, tak wiekowych i przyklapniętych, że Julia nieraz się zastanawiała, jakim cudem córka jest w stanie w nich chodzić i się nie potykać. Dzisiejszego popołudnia zapytała, czy mogłaby poddać się laserowej operacji oczu. Był piątek i Smith miała u nich zostać na noc, ale pomimo późnej pory nie było widać, żeby wybierała się do łóżka.

- Dobry wieczór, Janine. Co słychać? - Odezwała się Julia.

Smith ani drgnęła. Ach, te dzisiejsze dzieci.

Zwróciła się do Vanessy

- Chciałabym z tobą porozmawiać.

- No.

- Nie jesteś dziś zbyt rozmowna.

- No.

Vanessa przybrała maskę dziewczyny z Nowej Anglii, jedną z kilku, z których korzystała dla ochrony najgłębszej sfery swojej intymnej wrażliwości. Vincent Brady ostrzegął, żeby nie zwiodło ich to, co córka okazuje na zewnątrz.

- Kochanie, wszystko u ciebie w porządku?

- Uhm. - Bezmyślnie głaskała tłusty kark Rainbow Coalition.

- Czy mogłybyśmy porozmawiać na osobności? - Z jednej strony chciała zadać pytanie Ricka Chrebeta bez Ricka Chrebeta, ale z drugiej była wściekła na siebie, że prosi o pozwolenie. Ale nie potrafiła w prosty sposób dotrzeć do córki. Wciąż jeszcze nie uzgodniły, czy Vanessa weźmie udział w odbywającym się po Bożym Narodzeniu Pomarańczowo-Białym Balu, a Julia nie chciała jej do tego zmuszać. Nie była już też pewna, czy jej polecenia zostałyby wypełnione.

Och, Boże, co się dzieje z tym dzieckiem?

- Ze Smith to jest na osobności - odparła Vanessa. Dłoń jej drżała, ale dziewczyna potrafiła się pohamować. - I tak wszystko jej opowiem.

Smith cicho stęknęła, mogła to być oznaka zarówno smutku, jak i radości, wyrażenie sprzeciwu i podniecenie, albo nawet chrapanie. Leżące na jej kolanach urządzenie wyposażone było w mały ekran. Czyżby odtwarzacz DVD?

- Kochanie, proszę, wyjdźmy na chwilę na zewnątrz - powiedziała Julia.

Vanessa skinęła ponuro głową, jakby mówiła „obowiązki wzywają”, natomiast Smith na krótki moment podniosła głowę, a na jej bladej twarzy ukazał się wyraz niezadowolenia i dezaprobaty, jakby dobre wychowanie dawno już wyszło z mody.

Kiedy znalazły się na galerijce, stanowiącej szeroki balkon między pokojem Vanessy a podestem prowadzącym do pokoi rodziców, Julia nachyliła się i zapytała:

- Czy Janine dobrze się czuje?

- Ona złożyła ślub milczenia. Do czasu, kiedy skończy się przemoc.

No tak, to wszystko tłumaczyło.

- W takim razie posłuchaj, kochanie. Nie zajmę ci dużo czasu. Chciałam cię zapytać.

- Cztery.

- Proszę?

- Tyle razy spotkałam się z Kellenem Zantem. - Uśmiechnęła się. - Czekałam, kiedy w końcu mnie o to zapytasz.

II

Julia przestąpiła z jednej obolałej nogi na drugą. Odczekała cały dzień, by ochłonąć przed zadaniem tego pytania, bo gdyby zaczęła przesłuchiwać Vanessę zaraz po odwiedzinach Chrebeta, mogłaby mieć trudności z opanowaniem się, a już teraz jej stosunki ze starszą córką były dostatecznie trudne. Na dole Lemaster rozmawiał z Flew, który powitał ich po przyjeździe, wypełniając jakąś nieujawnioną misję.

- Przepraszam cię na moment - powiedziała Vanessie, zauważywszy, że drzwi do pokoju Jeannie, udekorowane jej doskonałymi wierszykami, są uchylone, tworząc idealną szczelinę. Julia przeszła przez szeroki podest i zapukała. Odpowiedział jej tylko tupot truchtających stóp. - Jeannie, idź spać.

Julia poczekała na stłumione słowa potwierdzenia, a potem odwróciła się do Vanessy i zaciągnęła ją na sofę, ponieważ zbyt wiele bólu kosztowało ją stanie na nogach.

- Chcesz powiedzieć mi, co się stało z Kellenem Zantem?

- Jestem skłonna ci powiedzieć.

Julia z trudem powstrzymała się od kąśliwego komentarza, nie chcąc naśladować, jak to aż nazbyt często jej się zdarzało, swojej własnej porywczej i wybuchowej matki.

- Vanesso, proszę, daj spokój. Powiedz mi.

- Skoro tak ci zależy. - Przetarła oczy i spojrzała w stronę drzwi do swojego pokoju wzrokiem, który wyrażał nieomal namiętą tęsknotę. Julia zastanawiała się, czy jej córka myślała o Janine - nie, o Smith - czy też o komputerze. Nagle przyszło jej na myśl, że córka jest niesamowicie zmęczona i chyba powinna być już w łóżku. Ale wiedziała, że Vanessa i Smith będą do rana siedzieć i dalej zajmować się tym, co robią, cokolwiek to jest.

- Po raz pierwszy spotkałam go w bibliotece wydziału teologicznego, chyba w listopadzie. Jakiś rok temu.

Julia, która nie przypominała sobie, żeby jej córka kiedykolwiek cierpiała na takie problemy z pamięcią, wciąż nie potrafiła uporać się z pierwszym problemem.

- Spotkałaś Kellena w... Keplerze?

- Uhm. Kiedy zbierałam informacje do swojej pracy semestralnej. Wychodziłam z archiwum, a on był w czytelni...

- Zaraz, zaraz, kochanie. Zaczekaj. Jesteś tego pewna?

- Nie, mam. Wszystko zmyśliłam. - Córka wydała z siebie jakiś dźwięk. Rozpaczy? A może gniewu? - Tak, mam, jestem pewna. Byłam nawet trochę zdziwiona, ponieważ pomyślałam sobie, co on, taki wielki ekonomista, wielki konsultant złych korporacji, do tego tato zawsze powtarzał, że on w ogóle nie zajmuje się pracą naukową, w takim razie, co on robi w bibliotece? A zwłaszcza w bibliotece wydziału teologicznego? Ale on tam był. A kolejny raz, hm, chyba w styczniu. I następnie jakoś w lecie. Potem znowu jesienią tego roku. Gdzieś chyba we wrześniu. Jeszcze raz na wydziale teologicznym i raz w Towarzystwie Historycznym...

- W Towarzystwie Historycznym Harbor County?

- Tak. I widziałam go jeszcze kiedyś po lekcjach.

- Przyszedł do twojej szkoły?

- Był tam, to znaczy przejeżdżał samochodem, kiedy wychodziłam z budynku. Zapytał, czy nie mam chęci na kawę albo coś innego.

- Co za sukinsyn - wyrwało się Julii, która ponownie załowała, że nie będzie miała okazji własnoręcznie zabić tego człowieka. - Kochanie, o czym... o czym rozmawialiście?

- No wiesz. O szkole. O pogodzie. Jak dobrze tego dnia wyglądają moje włosy.

- Rozmawiał o twojej fryzurze? - zapytała Julia, czując szybko ogarniające ją przygnębienie.

- Uhm. I jaka ze mnie wykąpana matka. Tylko że Kellen mówił wykąpana. Źle to wymawiał. - Na jej wargach błąkał się nieśmiały uśmiech, który jednak po chwili zniknął. - Mówił, że podoba mu się, jak ja się ubieram. Jaka jestem bystra. Takie gierki słowne. On uwielbiał bawić się słowami. Mamo, on mi się narzucał. - Zadrżała na całym ciele. - Wysyłał mi e-maile, kontaktował się ze mną przez komunikator internetowy i dzwonił do mnie. To zaczęło być obrzydliwe. Był za stary, żeby do mnie dzwonić.

- Och, kochanie, on nie... to znaczy wy... Proszę, opowiedz mi.

- Nie spałam z nim, jeśli o to chcesz zapytać! To niesamowicie obrzydliwe! - Pochyliwszy głowę do przodu, Vanessa zakryła oczy. Zaczęła masować skronie. Z pewnością miała już dość tego bezustannego odpowiadania na pytania, a teraz jej matka jeszcze pogarszała sprawę. Julia zaczęła żałować, że w ogóle poruszyła tę sprawę.

Ale przecież musiała chronić swoją córkę przed... cokolwiek to było.

- Przykro mi, kochanie, że musiałaś przez to wszystko przejść.

- Mnie też. Miałam wrażenie, że on mnie prześladował. Było tak jak mówiłam. Obrzydliwie.

- Szkoda, że nic nam nie powiedziałaś, ani mnie, ani ojcu. Zajęlibyśmy się tym.

- Ale w końcu ktoś się tym zajął, prawda? - cierpko stwierdziła nastolatka.

Chwila ciszy, podczas której obie zastanawiały się nad tymi słowami. Na twarzy Vanessy powoli zaczął pojawiać się wyraz rozczarowania, w miarę jak do jej świadomości docierały implikacje jej własnych słów, a przez Julię przeszła fala obrzydzenia, bo jakiś złośliwy głosik zapewniał ją, że Kellen zasłużył na swój los. Następnie Julia zadała pytanie, które ją nurtowało już od czasu wizyty Ricka Chrebeta.

- Kochanie, czy on pytał cię o twoją pracę semestralną?

- O moją pracę?

- Tę o Ginie Joule.

Vanessa spuściła wzrok i roześmiała się szorstko.

- Och mamo, daj spokój. Jego nie interesowała moja praca. Jego interesowało, jak wejść mi pod spódnicę.

- Och, kochanie...

- Obrzydliwy zboczeniec. Miał chyba z czterdzieści dziewięć lat i flirtował z nastolatką. Chciał się umówić ze mną na kawę.

Julia starała się nie tracić wątku, nie gonić w piętę, gotowa była skorzystać z tyłu

metafor, ile jej tylko przyszło do głowy, byle uzyskać odpowiedź.

- Czyli on nigdy... och, nie zapytał cię, co tak naprawdę stało się z Giną tamtej nocy?

Głowa Vanessy poderwała się do góry, aż jej warkoczyki zatrzepotały.

- Mamo, z Giną nic się nie stało. Nie czytałaś mojej pracy? To DeShaun Moton ją zabił. Pamiętasz? - I ponownie opowiedziała tę historię, ten zwyczaj powtarzania miała po ojcu. - Gina pokłóciła się z matką, jak szalona wypadła z domu i ruszyła na spacer. DeShaun ukradł auto, wyjeżdżając z miasta, zauważył w okolicy Green tę atrakcyjną białą dziewczynę, podjechał, przez chwilę z nią flirtował i w końcu Gina, będąc jeszcze głupią kozą, wsiadła do auta. Prawdopodobnie dlatego, że była wściekła na matkę. Dziewczyny potrafią głupio się zachowywać, kiedy matki doprowadzają je do szaleństwa. No wiesz, nie mówię tu o żadnej znanej nam dziewczynie, ale o dziewczynach w ogólności. W każdym razie DeShaun zabrał ją samochodem na plażę, chciał zrobić to, co robią chłopcy, zaczęli ze sobą walczyć i ona utonęła. A DeShaun, no cóż, on wyniósł się z Dodge. Tylko że on też był głupi. Nie minęło sześć dni, a już pojawił się z powrotem, ukradł następny samochód, policjanci go dogonili, trach, i nie żyje. To prawda, zgadzam się, nie powinni tego robić, ale on był winny jak diabli, mamo, naprawdę, daj spokój. Dowody mówiły same za siebie. To jasne, że ludzie woleliby, żeby DeShaun nie był winny, ponieważ on był czarny, Gina była biała, a przecież wiesz, czarni linczowani za zabijanie białych dziewczyn to historia stara jak... - Przez chwilę Vanessa zdawała się mieć trudności z określeniem, jak stara była ta historia i tylko bezgłośnie poruszała ustami. Tym razem Julia wykazała się wyczuciem i pozwoliła córce samej dojść do siebie. - Mamo, jeszcze raz przeczytaj moją pracę. Przeglądałam archiwa tej sprawy. Tu nie ma o czym mówić. Ledwo ta sprawa została otwarta, zaraz była zamknięta. Mieli świadków. Dysponowali jego wcześniejszą kartoteką policyjną. Mieli wszystko. Wybuchły zamieszki, to prawda, ale ich uczestnicy nie mieli racji. Sama chciałam, żeby mieli rację. To dlatego napisałam tę pracę, chciałam udowodnić, że DeShaun był niewinny. Ale on nie był niewinny. - Vanessa znowu urwała i zaczęła czyścić ramiona i klatkę piersiową, chyba próbując strzepnąć resztki swojej tyrady. Uśmiechała się, jakby cała reszta nigdy się nie wydarzyła, i spokojnym głosem powiedziała: - W każdym razie, on nie powinien był mnie niepokoić. Ten cały Kellen. To było obrzydliwe.

- Wiem, przykro mi kochanie.

- I szczerze ci mówię, mamo, nie mam pojęcia, nad czym Kellen pracował. Nic mi nie powiedział. Ale założmy, że dziwnym zbiegiem okoliczności naprawdę interesował się tym, co stało się z Giną. I gdyby doszedł do wniosku, że DeShaun tego nie zrobił, a potem wszystkim o tym opowiedział? Mamo, to byłoby kłamstwo.

- Tak jesteś tego pewna?

- Hej, czy pamiętasz, co powiedział tato, kiedy zabierałam się za pisanie tej pracy? Stwierdził, że uczeń zajmujący się pracą badawczą musi stać się jednym z głównych ekspertów na świecie w wybranej przez niego tematyce. W wybranym przez niego temacie. I tak też zrobiłam. Jestem wybitną specjalistką w sprawie Giny Joule. I naprawdę, mam, jestem absolutnie przekonana, że zrobił to DeShaun Moton. Podobnie też pewnie myślała jego rodzina, ponieważ odstąpili od wniesienia pozwu przeciwko Landing. Nawet nie starali się uzyskać ugody.

- Mówiłaś o tym Kellenowi?

- Ależ skąd. - Oczy szeroko otwarte z niedowierzaniem. - Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Kellena nie obchodziło, kto zabił Ginę. Jego obchodziło tylko oglądanie moich nóg. To było obrzydliwe.

- Czyli te telefony...

- Ciągle chciał się spotkać. To był jakiś maniak. - Znowu była spokojna. Jakby ktoś użył wyłącznika. - Tylko nie mów o tym tacie, dobrze? W końcu ten gość już nie żyje. Niech spoczywa w pokoju.

Julia myślała bardzo podobnie.

- I to wszystko? To cała prawda o waszym związku?

Głowa Vanessy ponownie podskoczyła, a Julia zauważyła, że źle dobrała słowo.

- Nie było żadnego związku! Już ci mówiłam! Dajże spokój! To ohydne!

Janine wystawiła głowę przez drzwi, najwidoczniej chcąc sprawdzić, czy jej koleżanka nie potrzebuje wsparcia. Julia zmierzyła ją gniewnym wzrokiem i dziewczyna, z tymi wszystkimi swoimi dziurkami, ponownie zniknęła. Tymczasem Vanessa przez cały czas perorowała:

- Mamo, myśmy się nawet nie przyjaźnili. Nic z tych rzeczy. Ja zajmowałam się swoimi sprawami, a on przyszedł i zaczął mnie dręczyć, rozumiesz? Faceci robią takie rzeczy, nawet ci starsi. Tobie też na pewno coś takiego się przydarzyło.

- Kochanie, nie to miałam na myśli, naprawdę.

Dzieci, a zwłaszcza nastoletnie dziewczyny, potrafią na różne sposoby wyrażać wzrokiem pogardę, i właśnie jednym z najlepszych takich spojrzeń Vanessa obdarzyła teraz swoją matkę.

- Jasne, mam.

- Kochanie...

- I wiesz, co myślę, kiedy teraz wiem, że ze sobą chodziliście? To trzyma się kupy. On

mnie dręczył, ponieważ wymyślił sobie, że w ten sposób będzie dręczył ciebie.

Julia była zdumiona głęboką przenikliwością tego spostrzeżenia, a także tym, że prawdopodobnie było zgodne z prawdą.

- Kochanie, bardzo mi przykro, że musiałaś przez to wszystko przejść. Naprawdę mi przykro. Och, kochanie. - Przytuliła ją, ale Vanessa zupełnie na to nie zareagowała, stała jak słup soli, nie przyjmując ani nie odrzucając tych czułości. - To był straszny człowiek. Naprawdę straszny. - Julia zastanawiała się, kogo próbuje przekonać. - Nie powinien robić takich rzeczy. Dumna jestem z ciebie, że tak sobie poradziłaś...

Ale cicha odpowiedź Vanessy ostudziła jej entuzjazm.

- Och, mam, nawet nie masz pojęcia, jak ja sobie z tym poradziłam.

W głowie Julii zaczęła kiełkować niebezpieczna myśl, którą już od chwili spotkania Tego Caseya w multipleksie nieustannie starała się stłumić. Ponownie ją zdławiła.

- W każdym razie jestem z ciebie dumna. I kocham cię.

- Coś jeszcze? - zapytała Vanessa z Lemasterową wyższością. - Bo jeśli chodzi o mnie, to wszystko jest w porządku, mogę cię zapewnić. I chciałabym już wrócić do swoich zajęć.

- Nie, nie, to wszystko - odparła Julia, starając się ukryć irytację i jednocześnie czując ogromne pretensje do samej siebie, że jest tak niedobra i wciąga własne dzieci w tak poważne rozmowy. - A tak przy okazji, kochanie, co właściwie robicie?

- Pozwalamy wam zaoszczędzić kupę szmalu na plikach mp3. Ale nie musisz się martwić. Głównie ripuję kompaktki pożyczone od Caseya, używając programu do konwersji plików, o jakim nikt nigdy nie słyszał, z takiej superowej koreańskiej strony. Nie patrz tak. Wszystko jest w absolutnym porządku. Włączyłam moje systemy anti-hunter. RIAA³ - wymawiała to rii-ach - nigdy na mnie nie trafią.

- Czy mogłabyś opisać to w sposób odpowiedni dla osób, których językiem ojczystym jest angielski?

- Ściągam muzykę z sieci.

- Aha. - Chwila zażenowania. Julia próbowała przypomnieć sobie, od kiedy zaczęła być tak bezradna wobec swojej dorastającej córki. Już nie po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że żadne z dzieci z jej rodziny nie ma ani jednego prawdziwego przyjaciela wśród czarnych, z wyjątkiem dzieci poznanych przez rodziców. To właśnie przed tym ostrzegala ja

³ Skrót od Recording Industry Association of America, zrzeszenie amerykańskich wydawców muzyki, zajmujące się, m.in. kontrolą nielegalnego pobierania plików z Internetu (przyp. tłum.).

Mona, kiedy wyprowadzali się z miasta. - Legalnie?

- Nie.

- W takim razie nie róbcie tego, dobrze?

- Jasne, mamó.

- Vanesso?

- Tak, mamó. - Trzymała ręką na kłamce, już nie skrywając zniecierpliwienia. Julia była pewna, że córka ją okłamuje, ale nie potrafiła dojść, czego to kłamstwo dotyczy.

- Jak nazywa się to, czym bawi się Janine? Ta, no, elektroniczna zabawka?

- Mamó, ona teraz nazywa się Smith. To forma protestu, chyba pamiętasz?

- Powiedz mi.

Vanessa potrafiła być drobiazgowa, nawet kiedy opisywała figle.

- To urządzenie węszy za sieciami komórkowymi w poszukiwaniu ESN⁴ i MIN⁵. Podobno działa nawet pod AMPS i DAMPS⁶. Właśnie to sprawdzamy.

- Po ludzku poproszę. Co to robi?

- Klonuje numery komórek. No wiesz, żeby za darmo dzwonić - Vanessa dostrzegła, że twarz matki nagle poszarzała. - Nie martw się. Ona nie korzysta z tego dla zysku. Znalazła w sieci plany i chciała sprawdzić, czy sama potrafi coś takiego zrobić.

Julia ze ściśniętym sercem przypomniła sobie, jak to Janine Goldsmith podczas szkolnych wystaw nauki zdobywała kolejne nagrody. A jeśli Vanessa nie pomagała jej w tym... cokolwiek robiła. Julia pamiętała też, że Lemaster był przeciwny pomysłowi, żeby ona u nich nocowała. Julia wymusiła na nim zgodę, żeby podnieść Vanessę na duchu.

- Powiedz jej, żeby to odłożyła, dobrze? To nie do końca jest zgodne z prawem. A do tego nie należy tak robić - dodała Julia, ale spóźnione ostrzeżenia nie niosły w sobie zbyt wielkiej moralnej wagi.

- Dobrze, mamó. - I znowu ten słodki uśmieszek, jak powitanie wyznawcy nowej religii.

III

Dotrzymała obietnicy, którą w pewnym sensie złożyła Vanessie. Nic nie powiedziała

⁴ Electronic Serial Number, numer kontrolny używany do aktywacji telefonów komórkowych (przyp. tłum.).

⁵ Mobile Identification Numer, numer identyfikacyjny telefonu komórkowego (przyp. tłum.).

⁶ Advanced Mobile Phone System i Digital Advanced Mobile Phone System, stosowane w Ameryce Północnej systemy odpowiednio analogowej i cyfrowej telefonii komórkowej (przyp. tłum.).

Lemasterowi o tym obrzydliwym zainteresowaniu Kellena ich córką. Nie było po co, wmawiała sobie, leżąc obok swojego męża i usilnie starając się zasnąć. Kellen był martwy. Zbyt wiele trudu kosztował ich powrót Vanessy do wątpliwego zdrowia. Zbliżający się koniec oficjalnego dochodzenia w sprawie Kellena Zanta był najlepszą wiadomością, jaką słyszała... przynajmniej, od kiedy został zastrzelony.

- Lemmie? - Odezwała się.

- Hm?

- Wczoraj przyszedł do mnie ten detektyw, Chrebet. - Panujące wokół ciemności kojarzyły się jej z wnętrzem namiotu podczas biwaków, na które Mona zabierała swoje małe dzieci w nadziei, że dzięki temu nie wyrosną na ofermy. - Powiedział, że przygotowują się do zamknięcia dochodzenia.

- Też tak słyszałem - odparł sennym głosem. - Napad rabunkowy czy coś takiego.

- To samo mi powiedział.

- Wygląda na to, że jest to niezwykle dogodne rozwiązanie. - Na moment uniósł głowę, ale chwilę później ponownie ją położył. - Ale to chyba nie jest nasza sprawa. - Ziewnięcie. Taki już był, starał się nie przejmować czymś, czego nie można zmienić. Oczami wyobraźni Julia widziała ognisko na biwaku, z nastaniem nocy rzucające żółto-czerwony blask. - A tak przy okazji, rozmawiałem z Malem Whistedem. - Przerwa. - Na temat Astrid.

I to zaraz po tym, jak pojechałeś do Białego Domu i spędziłeś kilka minut sam na sam z prezydentem, pomyślała Julia, ale szybko zdławiła tę myśl, zanim jeszcze zdążyła się rozwinąć.

- Powiedział, że ją odwoła. On nie wierzy w tego rodzaju...

- Dobrze.

- Astrid już taka jest. - Lemaster przyciągnął ją bliżej do siebie. - Rodziny się nie wybiera. - Pocałunek. - Na szczęście można wybrać sobie małżonka.

Miłe interludium, trochę igraszek w ciemnościach.

A potem:

- Lemmie? Jak sądzisz, co naprawdę się wydarzyło? No wiesz, z Kellenem? - Trochę chciała zwrócić jego wyjątkowy umysł na ten problem, bo była już zmęczona samotnymi rozważaniami, a trochę drażniła się z nim.

Wyjątkowo długo kazał czekać jej na odpowiedź i Julia zaczęła się już obawiać, że usnął. Znowu powróciły te myśli, których nie chciała do siebie dopuścić, zaczęły głośno domagać się jej uwagi i musiała mocno się postarać, żeby przed nimi się obronić.

- Podejrzewam, że ten, kto to zrobił, musiał być przekonany o istnieniu jakiegoś

ważnego powodu.

- Ale kto mógł go aż tak nienawidzić?

- Jules, to wcale nie musiała być nienawiść.

- A co innego?

Czekając na jego odpowiedź, wyobrażała sobie śpiwór, gasnący żar ogniska, jasne jak diamenty gwiazdy na tle aksamitnej czerni.

- Chyba wiem, jak nazwałby to Kellen - w końcu usłyszała jego głos. - Racjonalna maksymalizacja własnej korzyści.

Rozdział 14

Niespodziewany gość

I

W sobotni wieczór Julia jadła kolację na mieście z dwiema Siostrzanymi Damami - Reginaldą Thackery, pracującą na wydziale medycznym specjalistką od położnictwa, oraz Kimmer Madison, współniczką w największej prawniczej firmie w mieście. Formalnie rzecz biorąc, stanowiły podkomitet podkomitetu i były odpowiedzialne za przygotowanie opisu celów organizowanych w maju tańców połączonych ze zbiórką pieniędzy, ponieważ ich grupa pragnęła w jakiś sposób wesprzeć usługi medyczne dla nastolatków, ale nie zajmując stanowiska w sprawie aborcji. Regina zgłosiła się na ochotnika i to ona zwerbowała Kimmer, swoją najlepszą przyjaciółkę, która nigdy nie uczestniczyła w zebraniach organizacji, chociaż od czasu do czasu przyprowadzała syna do Biedroneczek, utworzonej przed dziesiętkami laty dziecięcej grupy, która należącej do klasy średniej przedstawicielkom ciemniejszej nacji dawała możliwość znalezienia towarzyszy zabaw dla synów i córek, zbyt cennych, żeby można było ryzykować ich obecność wśród czarnych mas, ale jednocześnie zbyt czarnych, żeby ryzykować ich obecność wśród białych. Julia sama już niezbyt dokładnie pamiętała, jak to się stało, że znalazła się w tym podkomitecie. Dotychczas ich trójka spotkała się dwukrotnie i jak na razie prawie nic nie załatwiły, a i dzisiejsze spotkanie, w Cadaver's, drogiej, choć dosyć osobliwej restauracji w centrum miasta, zmierzało w tym samym kierunku - dobre jedzenie, dobre wino, miła rozmowa, ale zupełnie nie na temat.

Julia zazwyczaj lubiła takie spotkania. Tego wieczoru była jednak zdenerwowana i obie Siostrzane Damy to zauważyły.

- Kochana, czy dobrze się czujesz?

- W domu wszystko w porządku?

Nie potrafiły nakłonić jej do rozmowy o polityce. Nie dała się wciągnąć w plotkowanie, nawet kiedy Kimmer wyskoczyła z wyjątkowo ciekawą wiadomością, że w związku z brakiem czarnych mężczyzn w określonym wieku i określonej jakości, postanowiła spotykać się ze swoim byłym mężem. Nie udało im się nawet wciągnąć jej w rozmowę o

związkach rodzinnych, podczas których zazwyczaj starała się trzymać fason, zdając sobie sprawę, że pozostali członkowie Klanu uważają jej małżeństwo za idealne; ale nauczywszy się od Mony, że brudy pierze się we własnym domu, z nikim na świecie nie dzieliła się smutną prawdą, że życie z Lemasterem przypominało codzienne wspinanie się na Mount Everest.

I to bez tlenu.

- Przepraszam - powiedziała, kiedy pomimo ich zarcików nadal była osowiała. Sączyła wino, spoglądając gniewnie na ledwo napoczętą tilapię, jakby właśnie rozpoznała w tej rybie nowego wroga. - Ostatnie tygodnie nie były łatwe.

Zrozumiały ją, a w ich oczu pojawiło się błaganie o ciąg dalszy.

- Sama nie wiem, czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy w ogóle nie wyprowadzali się z miasta - ciągnęła dalej, ku swemu zdziwieniu. I choć w jej słowach było trochę prawdy, z pewnością nie ujawniała najgłębszych obaw. - Już od kiedy przybyliśmy do Landing...

- Hej, spójrzcie, kogo my tu mamy - odezwała się Kimmer, głosem nieoczekiwanie zupełnie pozbawionym entuzjazmu, patrząc na drugi koniec restauracji, a jej ładna orzechowa twarz zmarszczyła się z odrazą. Podobnie jak Lemaster, Kimberly Madison zdawała się znać wszystkich w miasteczku.

Julia i Regina odwróciły się i zobaczyły wysokiego, wysportowanego przedstawiciela jaśniejszej nacji, zmierzającego radośnie w stronę ich stolika, jego błękitne oczy jaśniały dobrym humorem, a każdy włoszek leżał na swoim miejscu. Widać było, że to człowiek w pełni cieszący się życiem.

- Proszę nie wstawać, proszę nie wstawać - odezwał się, wymachując swoimi wielkimi dłońmi, choć żadna z nich nawet się nie poruszyła. - Kimberly, moja droga, przedstaw mnie, proszę, swoim przyjaciółkom.

- Regino, Julio, to jest Anthony Tice.

II

Rozpoznała go, pamiętając jego postać z reklam telewizyjnych, ale na żywo robił dużo większe wrażenie. Jego dopieszczona uroda i ujmujący uśmiech znamionowały mężczyznę, który wiele czasu spędził na ćwiczeniach przed lustrem, a szerokie barki świadczyły o tym, że wiele czasu spędził na siłowni. Słyszała, że Tice był w doskonałych stosunkach z sędziami przysięgłymi i widząc go teraz we własnej osobie, nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

- No proszę! - rzekł, z twarzą rozpromienioną bezgraniczną radością, od której zrobiło

się jej niedobrze. - Julia Carlyle. W końcu się spotykamy. Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę.

- Zjeżdżaj - warknęła Julia, a obie Siostrzane Damy odwróciły wzrok w jej stronę.

Ale on usiadł.

- Mamy sobie wiele do powiedzenia - zapewnił ją.

- Znasz go? - zapytała Regina.

Ten prawniczy Adonis zaledwie się przywitał, ale to już Julii wystarczyło. Długo i szczegółowo wyluszczała mu swoje pretensje, ponieważ już od tygodni chciała to z siebie wyrzucić, a jego absurdalne zachowanie wobec dziekan jej wydziału z pewnością się do tego przyczyniło. Tony Tice sprawiał jednak wrażenie człowieka niewzruszonego, którego nic nie jest w stanie zaskoczyć. Ze stoickim spokojem zniósł jej wybuch. Kiedy już skończyła wystąpienie, Siostrzane Damy patrzyły na nią szeroko otwartymi oczami, podobnie zresztą jak i cały ich kąk restauracji.

- Zajmę tylko kilka minut. - Jego garnitur był idealnie dopasowany. Buty lśniły czystością. Stopy, podobnie jak i dłonie, miał bardzo długie. - Gdybyś odpowiedziała na moje telefony, nie musiałbym cię niepokoić.

- Nie oddzwaniałam, bo nie życzę sobie z tobą rozmawiać.

- Słyszałeś? Ona nie chce z tobą rozmawiać - odezwała się Kimmer, biorąc jej stronę.

Jego nieprzemakalny uśmiech nawet na moment nie drgnął.

- Kimberly, moja droga, to nie potrwa długo. Zaraz będziecie mogły powrócić do kolacji. - A do Julii dodał: - Czy rozmawiałaś o mnie ze swoją panią dziekan?

- Oczywiście. Powiedziała, że jeśli z tobą nie porozmawiam, możesz w tym roku wycofać darowiznę. - Rozległ się dźwięk jej telefonu komórkowego. Nie zwróciła na to uwagi. - No to już porozmawialiśmy, możesz więc wpłacić należną kwotę.

Kimmer ponownie próbowała się wtrącić.

- Rzecz w tym, że reprezentuję swojego klienta. - Nachylił się, próbując tym sam skłonić ją do tego, żeby też pochyliła się w jego stronę, bo chyba chciał rozmawiać szeptem, ale Julia nie chciała iść mu na rękę. - Mój klient robił interesy z profesorem Zantem, ale obawiam się, że nie doprowadzili do końca swoich spraw. Ja tylko staram się uratować sytuację...

Julia uniosła dłonie, nie życząc sobie, żeby Regina i Kimmer słyszały ich rozmowę.

- Dobra, zgoda. Możemy porozmawiać przez minutę. Ale tylko przez minutę.

Razem odeszli od stolika i przeszli do holu, gdzie czekali goście, którzy nie zarezerwowali sobie wcześniej stolików. Na ulicy w miejsce niedawno padającego śniegu

pojawił się przenikliwie zimny deszcz, stanęli więc pod daszkiem.

Rozwścieczona typowym dla białych samozadowoleniem i czująca się jak członek Klanu Julia od razu przystąpiła do ataku.

- Jak śmiesz tak po prostu przychodzić i przeszkadzać nam w kolacji.

- Jestem prawnikiem. Ja zawodowo jestem niegrzeczny.

- Dobra, cokolwiek sprzedajesz, nie jestem zainteresowana.

- Ale ja chcę kupić, nie sprzedać.

- Ja nie mam nic na sprzedaż, panie Tice. I cokolwiek pan myśli, nie jestem Czarną Damą Kellena.

Miała nadzieję, że zaskoczy go tym, ale to on ją zaskoczył.

- Widzę, że rozmawiałaś z Mary Mallard - rzekł. - Na twoim miejscu nie ufałbym jej. Profesor Zant prowadził interesy ze mną, a nie z panią Mallard. To mojemu klientowi składał ofertę sprzedaży. Pani Mallard jest intruzem. Powinnaś trzymać się od niej z daleka.

- Po dzisiejszym wieczorze zamierzam trzymać się z daleka od ciebie.

Uśmiech nie schodził z jego twarzy, a Julia nie mogła zaprzeczyć, że sprawiał ujmujące wrażenie.

- Pozwól, że powiem wprost. Nie chcę zabierać ci zbyt dużo czasu. Profesor Zant był w posiadaniu pewnej rzeczy, którą chciał kupić mój klient. Doszli do porozumienia. Zant przekazał mojemu klientowi coś, co nazwał zachętą. Obiecał, że w ciągu kilku tygodni dostarczy przedmiot umowy, ale właśnie wtedy ktoś go zastrzelił.

- Skończyłeś?

- Shari Larid - powiedział niespodziewanie.

- Co takiego?

- To nazwisko. Shari Larid. - Przeliterował. - Nauczycielka na zastępstwie. Profesor Zant powiedział, że to ona będzie dysponować oferowanym przez niego materiałem, a ty będziesz wiedziała, gdzie ją znaleźć.

Julia pokręciła głową.

- Nie znam nikogo o takim nazwisku. Kiedy pracowałam w Nowym Jorku znałam pewnego prawnika o imieniu Aird, ale to wszystko. Dobra, wystarczy. Skończyliśmy. Czy teraz mógłbyś już sobie pójść? - Tice wciąż tylko się uśmiechał, podjęła więc jeszcze jedną próbę. - Kto jest twoim klientem?

- Tajemnica zawodowa. Przykro mi. - Wcale nie wyglądał na osobę, której jest przykro.

- Powiem ci to samo, co powiedziałam Mary. Nie mam najmniejszego pojęcia, czym

zajmował się Kellen, kiedy zginął. Niczego mi nie powiedział. Niczego mi nie zostawił. Nie łączyły nas tego typu... jak to powiedzieć, związki. - Czując niespodziewany żar w policzkach, zaczęła się jąkać. - I nie podoba mi się, gdy ktoś sugeruje coś przeciwnego. Wracaj więc do swoich tajemniczych klientów i powiedz im, że spaprałeś sprawę. Powiedz im, że znalazłeś złą dziewczynę.

Ale on się nie zrażał.

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jakie to jest ważne. Twoja pomoc na pewno byłaby stosownie wynagrodzona. Możemy się dogadać. - Machnięciem ręki zbył jej kolejne obiekcje. - Zastanów się nad tym. O nic więcej nie proszę.

- Chyba postradałeś zmysły.

Ponownie zadzwonił jej telefon komórkowy. Zirytowana Julia spojrzała na wyświetlacz. Claire Alvarez. Czegokolwiek chciała, może zaczekać.

- W porządku, panie Tice. Chcesz się dogadać? No to dogadajmy się. Oto moje warunki, które nie podlegają dyskusji. - Palec dźgał powietrze.

- Jeśli jeszcze raz zbliżysz się do mnie, pod dowolnym pretekstem, już ja się postaram, żebyś trafił do więzienia. Kropka.

- Będę w kontakcie - odparł, najwyraźniej niezrażony, i nieproszony wsunął w jej dłoń swoją wizytówkę.

Na twarzy Julii odmalował się dziki uśmiech. Nieczęsto zdarzało się jej wyładowywać swoją złość, a już na pewno nie zdarzyło się to jej w okresie małżeństwa z Lemasterem. Czula się, jakby była na haju, tylko to uczucie było bardziej naturalne. Upewniwszy się, że prawnik widzi, co ona robi, przedarła wizytówkę i wrzuciła resztki w brudny śnieg zebrany w sterty wzdłuż ulicy. Pewnym krokiem weszła z powrotem do środka, starając się sprawiać wrażenie wyniosłej i dumnej. Lemaster był na Florydzie, gdzie zajmował się zbieraniem funduszy, ale kiedy tylko wróci, ona mu opowie, że Tice ją nękał, i niech Lemaster, jak sam kiedyś powiedział, zrobi coś z tym człowiekiem. Tymczasem cieszyła się swoim triumfem. Pozbyła się Cwanego Tony'ego. Po dwudziestu latach godzenia się z tym, że to mąż rozwiązuje jej problemy, sama sobie poradziła. Kiedy siadała przy stoliku, Regina i Kimmer od razu zaczęły komentować jej odmieniony nastrój, a nawet pozwoliły sobie na żarty z jej potajemnej rozmowy.

Julia, wciąż podniecona swoim sukcesem, żartowała wraz z nimi.

Po chwili znowu zadzwoniła jej komórka. To dziwne, że pani dziekan była tak uparta. Julia wyszła do holu i tam odebrała. Usłyszała roztrzęsiony głos Claire, która zapytała, czy Julia mogłaby od razu przyjechać do jej domu. Julia spojrzała na zegarek. Dochodziła

dziewiąta. Spytała, czy to nie może poczekać do jutra.

Claire wytłumaczyła jej, dlaczego tak nalega.

Dwie godziny temu, kiedy Boris Gibbs, wracając z zakupami świątecznymi zrobionymi w wielkim centrum handlowym w Norport, szedł przez zatłoczony parking, jakiś sportowo-terenowy samochód wpadł na śniegu w poślizg i zrobił z Borisa naleśnik, ale nie zatrzymał się.

I chociaż nikt im nie wierzył - w sytuacjach kryzysowych ludzie często widują dziwne rzeczy - kilku przerażonych świadków upierało się później, że ten SUV wycofał i ponownie w niego uderzył.

III

Po pewnym czasie.

Julia przełączała kanały telewizyjne w pokoju dziennym na dole, a za oknami kolejna burza tłukła się po okapie, dopraszając się, żeby ją wpuścić. Tym razem nie padał śnieg, tylko ogromne fale wstrętne, przenikającego do szpiku kości deszczu, i już w tej chwili cały ogród był niewidoczny, pomimo świecących reflektorów, wszystko ginęło we wścieklej kanonadzie spadających kropel. CNN. Pstryknięcie. Fox News. Pstryknięcie. MSNBC. Pstryknięcie. Nic.

W przeciwieństwie do Kellena, biedny Gibbs nie pojawił się w stacjach telewizyjnych.

Normalny wypadek drogowy, nic więcej, a Boris był biały i poza Keplerem nie znał go nikt ważny, może tylko mała garstka specjalistów z jego dziedziny, a nawet wśród nich, prawdę powiedziawszy, nie wszyscy.

Zdenerwowana wyłączyła telewizor i poszła do kuchni, żeby sprawdzić w komputerze, jakie informacje pojawiły się w Internecie. Wciąż nie mogła przestać myśleć, jak to musiało wyglądać. Uderzenie ciężkiego samochodu. Leżysz, nigdy nie czułaś takiego bólu, ale żyjesz. Ulga rozlewa się po resztkach ciała. A potem auto ponownie nadjeżdża. I jeszcze raz.

Policja nie wzięła tych zeznań pod uwagę, ale Julia wiedziała, że pozostaną w jej koszmarach.

Zastanawiała się, co Boris mógł słyszeć w tej ostatniej chwili. Ryk silnika. Krzyki, oczywiście, może nawet własne. A potem ostatnie pstryknięcie, przejście z jasności w ciemność. A co słyszał Kellen? Czy jego mózg miał tyle czasu, żeby rozpoznać dźwięk wystrzału? Doszła do wniosku, że chyba nie. To tylko chwila bólu. Albo zaskoczenia.

A potem... kto to wie?

Jakże łatwo można przekroczyć linię między życiem a śmiercią, między wszystkim a niczym. Wystarczy postawić samochód w nieodpowiednim kącie parkingu, a ten niewytłumaczalny cud może się skończyć - już serce nie bije, płuca nie oddychają, mózg nie myśli. Bywały takie dni, kiedy Julia całym sercem wierzyła w Boga, w ciała zmartwychwstanie, w życie w przyszłym świecie, i w te wszystkie pozostałe, zawarte w credo nicejskim akty wiary, które wyliczała w niedzielne poranki w kościele świętego Macieja. Były też dni, kiedy wierzyła tylko w dowody dostarczane przez biologię - wszystkie organizmy obracały się w proch, a kiedy entropia umrze, cały wszechświat w końcu zrobi to samo. Mimo to śmierć nie była dla niej czymś zupełnie obcym, i to nie tylko dlatego, że dwadzieścia lat temu straciła Jaya, swojego brata bliźniaka. Jeszcze będąc w college'u, Julia podjęła próbę samobójczą, o której wiedziała tylko Tessa, zrobiła to po tym, jak Kellen ją rzucił. Wróciwszy załamana po kolacji do swojego położonego obok księgarni mieszkania, skreśliła przesyconą goryczą wiadomość, prawdopodobnie do Kellena, choć być może do Mony, następnie nałożyła elegancki makijaż i najdroższą sukienkę, połknęła całą zawartość fiołki valium i zwinawszy się na sofie, z radością wyobrażała sobie scenę, kiedy współlokatorka odnajdzie jej tak przemyślnie ułożone zwłoki. Tylko że tej nocy Tessa nie wróciła do domu, a zdumiona Julia obudziła się następnego ranka, obolała i pokurczona od absurdalnej pozycji, w której siedziała, w jakiś przedziwny sposób udało się jej przez sen zwymiotować większość pigulek, zwracając na tyle gwałtownie, że nie zadławiła się resztkami. Siedziała we własnym brudzie. To była scena prawdziwie wstrząsająca. A do tego naprawdę żalosa - w filmach pigułki zawsze działały. Czuła się rozkosznie nieudolna. Podniesienie się na nogi było najtrudniejszym zadaniem, jakie kiedykolwiek przyszło jej wykonać. Światło rozsadzało jej czaszkę. Zmrużyła oczy, dzięki czemu ostry blask ograniczył się do drobnych iskier. Za oknem cały kampus pokryty był świeżym śniegiem. Wyrzuciła pustą fiołkę, potem sukienkę, wzięła prysznic, który trwał chyba tydzień, i poszła na opustoszały - była sobota - wydział ekonomii, gdzie wspięła się przez okno i za pomocą swoich kluczy dokładnie porysowała wypolerowane drzwi gabinetu Kellena. Na dokładkę zbiła jeszcze małe okienko, ale druty mocno trzymały szkło, które się nie roztrzaskało. Następnie, brnąc w śniegu, poszła do domu przy North Balch Street, do którego przez dwa lata college'u prawie w ogóle nie zaglądała, i powiedziała Monie, że zamierza na jakiś czas rzucić szkołę, może wybrać się w jakąś podróż - Sri Lanka zdawała się dostatecznie daleko, chociaż myślała również o przyłączeniu się do rewolucji w Azanii, jak wówczas modne towarzystwo nazywało Afrykę Południową.

Mona, siedząca w swoim gabinecie przy ulubionych płomyczkach liżących palenisko i oddająca się pisaniu, przez chwilę kontemlowała wyszorowaną i wymizerowaną twarz córki, ciało, które straciło na wadze, drżące palce, dziką niepewność w oczach, a może tylko kontemlowała docierające do niej plotki, tak czy owak, jako doświadczony psycholog, poprawnie oceniła sytuację.

- A może po prostu zamorduj tego faceta? - zapytała. - Bo jeśli ktoś zrobił coś takiego mojej Perełce, nie zasługuje na to, by żyć. - I powróciła do pracy.

Ale Julia stale powracała do Kellena. I to nie tylko w Dartmouth. Kiedy po skończeniu studiów przeniosła się na Manhattan i podjęła pracę w agencji reklamowej - korzystając ze znajomości Mony, która wówczas, jeszcze zanim wkroczyła w ten swój radykalny okres, doradzała producentom mydła, piwa i samochodów, jak złapać czarnoskórych klientów - również Kellen się przeprowadził, do Columbii. Zarówno pensja, jak i świadczenia dodatkowe były doskonałe, a on pragnął nowojorskiego stylu życia, a także poważnych możliwości uzyskiwania wpływów z doradztwa. Ale kiedy znowu zaczął się kręcić wokół Julii, zapewniał ją, że to głównie z jej powodu się przeprowadził, a Julia, chociaż wcześniej zaklinała się, że już słowem się do niego nie odezwie, dała się przekonać.

A potem kolejny raz.

Podczas jej pobytu w Nowym Jorku to Kellen był tym samochodem, który cofał się i przez nią przejeżdżał, cofał się i przejeżdżał, a Julia tylko leżała, godząc się na wszystko, a potem jeszcze raz, i jeszcze raz, znosząc ból większy, niż jej zdaniem był możliwy, kolejne dni i noce upływały na chemicznym wspomaganie, aż w końcu przyszedł ten weekend, kiedy będąca na drugim roku prawa Tessa przyjechała do miasta na lunch oraz spektakl na Broadwayu i tylko raz spojrzała na swoją dawną współlokatorkę, a od razu podjęła za nią decyzję. To Tessa kazała Julii spakować się, siłą zaprowadziła ją do samochodu i zawiozła do Elm Harbor, gdzie przez trzy dni nie spuszczała czarnoskórej kobiety z oka, pilnując jej nawet w łazience, i kiedy już Julii skończył się zasób wyzwisk, kazała jej zapisać się na jakiś wydział, dowolny wydział, dla Tessy nie miało to znaczenia, pod warunkiem że ona nie powróci do...

Dzwonił telefon. Dochodziła północ, a telefon dzwonił.

Przez moment Julia doznała halucynacji. To Boris dzwonił. Któżby inny? Borisowi w końcu udało się zakończyć raport na temat tego, co się dzieje w Landing, nie potracił go samochód, on nadal żyje.

Drżącą ręką sięgnęła po słuchawkę. W porządku, powiedziała sobie, to pewnie Lemaster dzwoni z East Podunk, czy gdzie tam został na noc, nieustannie rozdając uściski

dłoni i zbierając fundusze. Albo może jakiś kolega Vanessy, który, słysząc o zapowiadanej na jutro burzy, doszedł do wniosku, że odwołają zajęcia w szkole. Albo jeden z jej synów dzwoni porozmawiać o planach na Boże Narodzenie.

Znowu się pomyliła.

- Cześć Julio, tu Bruce Vallely. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze. Być może mnie nie pamiętasz, ale moja żona, Grace, należała do Biedronek.

- Ależ oczywiście, że pamiętam, jakże mogłabym zapomnieć - odparła Julia, zaskoczona jego spokojnym i pewnym siebie głosem. Bruce był kierownikiem ochrony kampusu i najprawdopodobniej chciał porozmawiać z Lemasterem. Domyślając się, że telefon o tak późnej porze oznacza kolejną porcję złych wiadomości, w podświadomym geście obrony ciaśniej opatulila się w swój znoszony szlafrok i szybko przeanalizowała, gdzie mogą się w tej chwili znajdować jej wszyscy bliscy. - Grace była wspaniałą kobietą. Podziwiałam ją. Tak mi przykro. - Ale i ona, i on przez to już przechodzili, na pogrzebie rok temu, i tak naprawdę żadne z nich nie chciało do tego wracać. Julia podejrzewała, że sprawa dotyczy Borisa Gibbsa, więc powiedziała: - Bruce, jeśli chcesz rozmawiać z Lemasterem, to on jest teraz w Miami, na...

- Nie, Julio. Szczerze mówiąc, chciałem porozmawiać z tobą. - Bruce był jednym z tych niewielu pozostałych z dawnych czasów przedstawicieli ciemniejszej nacji, którzy mówili z rozwagą i bardzo powoli. Każde wypowiedane przez niego zdanie zdawało się dojrzewać miesiącami. Julia podejrzewała, że mogło to być powodem, dla którego ludzie uważali go za niezbyt roztropnego, w końcu amerykańska kultura przede wszystkim ceniła sobie szybkość, jak w tym obsesyjnym dążeniu do znormalizowanych testów, których Julia szczerze nienawidziła. Podejrzewała też, że Bruce Vallely był mądrzejszy, niż powszechnie uważano. - Proszę mi wierzyć, wszystko jest w porządku. Nic się nie stało. Ale chciałem zapytać, czy znalazłabyś jutro trochę czasu, żebym mógł do ciebie przyjechać?

- To znaczy tutaj? W Landing?

- Tak.

- Bo wiesz, ja pracuję na wydziale teologicznym...

- Julio, wiem, gdzie pracujesz. Ale wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy z dala od wścibskich oczu.

Wścibskich oczu?

- Do domu wracam około trzeciej...

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, sądzę, że lepiej będzie, jeśli nie będę przyjeżdżał do domu. Powinniśmy spotkać się w jakimś innym miejscu.

Julia zamrugnęła ze zdziwienia. Ale Bruce był człowiekiem poważnym, może nawet zanadto. Jeśli coś powiedział, należało brać to dosłownie.

- Bruce, o co chodzi? Co się dzieje?

- Chodzi o Kellena Zanta, Julio. To dosyć ważne, a poza tym... wiąże się z tobą.

- W jaki sposób ze mną?

Znowu chwila oczekiwania.

- Wolałbym to jutro wyjaśnić. Nie chciałbym, żebyś nabrała uprzedzeń.

Pewnie chce się dowiedzieć o moich uszkodzonych lampach. O lustrach. O nadwyżce i ryzyku zapasów.

Bruce podał nazwę znanej mu restauracji usytuowanej tuż za miastem, przy drodze nr 48, a Julia, zupełnie zdezorientowana, powiedziała, że spotka się tam z nim, wracając do domu z Keplera.

Później, na górze, przy akompaniamencie niemiłosiernie bębniącego w okna grudniowego deszczu, położyła się i starała zasnąć, próbowała znaleźć sobie odpowiednią pozycję, ale sen nie nadchodził, i to nie z powodów niedogodności fizycznych, lecz raczej duchowych. Samotna i zmartwiona przewracała się z boku na bok, rozmyślając nad tymi ostatnimi słowami. Miała nie nabrać uprzedzeń, ale wobec czego? Bruce należał do ludzi, którzy nigdy nie robili niczego bez wyraźnej przyczyny, więc Julia podejrzewała, że tym razem też dysponuje jakimś powodem. Ale było coś jeszcze, co ją niepokoiło - chociaż on był mężem Grace, osoby wprost przewspaniałej, Julia nie znała Bruce'a zbyt dobrze i niezbyt go lubiła. Może dlatego, że ją trochę przerażał. Przed podjęciem pracy na kampusie był starszym oficerem śledczym w mieście. Pewnego dnia on i jego kolega mieli aresztować osobę podejrzaną o wielokrotne molestowanie nieletnich. Podczas aresztowania coś się wydarzyło, czego nigdy do końca nie wyjaśniono, w każdym razie Bruce sam wszedł do domu tego podejrzanego. Skończyło się też na tym, że podejrzanym zmarł, stawiając opór podczas aresztowania, chociaż był nieuzbrojony. Bruce Vallely złamał gościowi kark. Za ten bohaterski czyn otrzymał medal. W styczniu następnego roku, podczas uroczystości wygłaszania orędzia o stanie państwa, został zaproszony do zajęcia miejsca w łożu prezydenckiej.

Rozdział 15

Sekretarz

I

W swojej pracy Bruce Vallely najbardziej nie cierpiał stawiać się na wezwania, a funkcja kierownika ochrony kampusu miała taki charakter, że raczej często go wzywano. Wzywał go administrator uczelni. Dziekan do spraw studentów. Komendant miejskiej policji, który chciał wypracować lepsze procedury współdziałania ze swoim dawnym kolegą Bruce'em, chociaż gdyby wyznać tę niezręczną prawdę, wcześniej, kiedy pracowali razem w tym samym budynku, komendant wręcz go nie znosił. Wzywały go też niezliczone komitety na kampusie, którym z urzędu podlegał. A do tego były jeszcze te naprawdę straszne dni, kiedy to Bruce, w związku z zajmowanym stanowiskiem, musiał informować rodziców, małżonków, rodzeństwo: „Chciałbym podzielić się z państwem lepszymi wiadomościami, ale państwa córka uczestniczyła wczoraj w imprezie studenckiej i wygląda na to, że...”, a potem wysłuchiwał krzyków, płaczu, wzajemnych oskarżeń, i zastanawiał się, dlaczego po pożegnaniu się ze służbą w policji nie wyjechał na emeryturę na południe, tak jak zdaniem Grace powinni zrobić.

Wszystkie te dni były złe. Ale najgorsze ze wszystkiego były takie dni, jak ten wtorek po zamordowaniu profesora Kellena Zanta, dwa tygodnie i sześć dni zanim zadzwonił do Julii Carlyle i w ten nieco zawołowany sposób złożył jej swoją propozycję. To właśnie w tamten wtorek Bruce Vallely został wezwany przez sekretarza uniwersytetu, pedantycznego wychowanka starej szkoły, człowieka z różową łysiną świecą w matowej bieli żyrandoli, który zdawał się przez cały czas szeptać, zwłaszcza kiedy znajdował się w dużej odległości, i który, jak się złożyło, w hierarchii służbowej był nominalnym przełożonym kierownika ochrony kampusu, chociaż na co dzień Bruce podlegał głównie pani wiceprezes do spraw kampusu, a przez nią nowemu rektorowi, Lemasterowi Carlyle'owi, którego spotkał kilka razy i którym z całego serca gardził.

Ale dziś był dzień sekretarza, a spotkanie odbywało się na jego terenie.

Jego terenem zaś był budynek Admin Quad, jak nazywano to miejsce na planach, do

którego Bruce nie cierpiał zachodzić nawet na świąteczne przyjęcia, a tym bardziej w dni takie jak ten. Administracja uniwersytetu zajmowała trzy przypominające grobowce budynki, z marmurową fasadą i pokryte dachówką, usytuowane na południowym krańcu kampusu, jak również niezmierzone powierzchnie wynajmowane w centrum miasta. Te pomieszczenia w centrum mieściły się w dwóch z kilku nie w pełni wykorzystanych miejskich biurowych wysokościowców, wynajmowanych z dużą zniżką, dzięki czemu uniwersytet mógł z dumą rozgłaszać swoją kolejną inwestycję na rzecz lokalnej społeczności, a jednocześnie oszczędzać pieniądze. Prestiż polegał na posiadaniu biura w jednym z budynków wyglądających jak mauzoleum, z marmurowymi stopniami, kolumnami i gzymsami, żłobkowanymi oknami po bokach i podwójnymi odrzwiami z kutego żelaza, z których każde zdawało się ważyć ze trzy tony i prawdopodobnie rzeczywiście tyle ważyło. Największe z tych trzech mauzoleów, wysunięte najbardziej na południe, nazywało się Marshall Lombard Hall i mieściło biura rektora, administratora i sekretarza uczelni, formalnie rzecz biorąc trzech najwyższych uniwersyteckich urzędników. Podobnie jak w wielu pochodzących z tego okresu budynkach użyteczności publicznej, marmurowe frontowe schody były nieco za głębokie, żeby można było iść po nich szybkim krokiem. Wspinając się powoli, Bruce doszedł do wniosku, że dzisiejsze wezwanie związane jest z morderstwem Kellena Zanta. Od swoich starych znajomych w policji dowiedział się, że uniwersytet wywierał ogromne naciski na władze, pragnąc rozwiązania sprawy zabójstwa jednego ze swoich ludzi. A w miasteczku Elm Harbor i na jego przedmieściach uniwersytet dysponował bardzo poważnymi możliwościami wywierania nacisków.

Bruce nie mylił się - chociaż prawda wyglądała inaczej, niż sądził.

II

Zajmowane przez sekretarza uniwersytetu biuro znajdowało się na pierwszym piętrze Lombard Hall i zajmowało większość pomieszczeń w głębi. Z ośmiu szerokich okien jego gabinetu - jego, ponieważ nigdy nie zdarzyło się, żeby sekretarzem nie był mężczyzna - rozciągał się wspaniały widok na Harbor Park, który, zgodnie z oryginalną koncepcją architektoniczną, miał ciągnąć się dalej, aż do wody, chociaż obecnie można było zobaczyć tylko budynki handlowe, tworzące praktycznie cały krajobraz miasteczka widzianego z autostrady. Bruce podejrzewał, że musi to nieść w sobie jakieś przesłanie, ale on nie należał do ludzi lubiących metafory. On lubił, kiedy słowa miały swoje znaczenie, pytania miały odpowiedzi, a ludzie nie próbowali podawać pięciu różnych powodów, dlaczego dobro wcale

nie jest lepsze od zła.

- Obawiam się, że mamy do czynienia z pewnym kryzysem - wyszeptał sekretarz z drugiej strony wypolerowanego biurka, które pozostało tu z dawnych czasów, zbyt wielkiego do poważnej pracy, ale w idealnym rozmiarze, żeby pokazać podwładnym, jak dalece podlegają władzy. Ściany obite były miękkim zielonym materiałem w barwach uniwersytetu. Kinkiety podświetlały patrzące z dezaprobatą portrety wielkich zmarłych białych, którzy przez lata władali tym miejscem.

- Z chęcią będę służył pomocą - odparł Bruce, ponieważ Grace przed śmiercią napominała go, żeby starał się być wyjątkowo uprzejmy, zwłaszcza wobec tych, którzy decydowali o jego budżecie i pensji. „Pamiętaj, mnie już nie będzie i nie będę mogła posprzątać po tobie, Lee” - zwracała się do niego tak, jak nikt inny, nawet ona sama w towarzystwie obcych, z jednej strony przekręcając jego nazwisko, a z drugiej odwołując się do filmów kung-fu, które tak go fascynowały we wczesnych latach ich idealnego małżeństwa.

- Z chęcią, powiadasz, tak?

- Oczywiście, panie sekretarzu.

- Tutejsza społeczność się burzy. Typowe środowisko podejrzanych, którzy nieustannie gładzą o rasizmie i o tym, że uniwersytet jest źródłem całego zła, i sam już nie wiem, o czym jeszcze. Mówiono mi, że tę sytuację można porównać do beczki prochu, to, co się wydarzyło z profesorem Zantem, że był czarny i tak dalej.

- Proszę mi tylko powiedzieć, czego pan oczekuje - odezwał się Bruce z entuzjazmem w głosie, w nadziei, że jego słowa brzmią szczerze, ponieważ nie chciał stracić pracy. Nie był głupcem. Doskonale zdawał sobie sprawę, jakie znaczenie ma kolor jego skóry. Fakt jego zatrudnienia został ogłoszony z wielką pompą, po rezygnacji jego poprzednika poddanego presji w następstwie szeregu incydentów na tle rasowym, w których uczestniczyli policjanci z kampusu. Chyba najbardziej drastyczny - a z pewnością ulubiony przez gazety - wydarzył się prawie dwa lata temu, kiedy w samym środku kampusu napadnięto czarnoskórego wykładowcę, a przybyli na miejsce policjanci pozwolili zbiec białym bandytom, w tym czasie mierząc ze swoich pistoletów do tego profesora. Po tym wydarzeniu jego poprzednik był skończony, a Bruce Vallely dostał pracę. Grace, wówczas wciąż jeszcze okaz zdrowia, była zachwycona. Zarabiał prawie dwa razy więcej, niż pracując dla miasta, a do tego otrzymywał wręcz zdumiewające dodatki. Jeśli zachowanie tego wszystkiego wymagało od czasu do czasu schlebiana sekretarzowi i jemu podobnym, mógł się poświęcić. - Pan wie, że można na mnie polegać.

Sekretarz uniósł swoje krzaczaste, siwiejące brwi dostatecznie wysoko, żeby dać znać

swojemu gościowi, że wciąż jeszcze nie jest przekonany. Ten mały człowieczek nazywał się Trevor Land, jego kuzyn był kimś ważnym na wydziale prawa, uprzednio piastował stanowisko dziekana, ale z tego, co Bruce wiedział, wśród głównych popleczników Landa znajdowała się szczególna grupa absolwentów - sami bogaci od pokoleń biali. On pełnił tu rolę ich przedstawiciela, był ich człowiekiem w kluczowych komisjach, ich orędownikiem w wojnach o polityczną poprawność i w razie konieczności - ich szpiegiem. Chodziły słuchy, że ma prawo wetować wszelkie decyzje, od wyboru nowego rektora uniwersytetu po lokalizację nowej sali gimnastycznej. Przez lata piastował z tuzin różnych stanowisk na uniwersytecie, wyłącznie administracyjnych, nigdy akademickich. Mógł być przed siedemdziesiątką. Malutkie oczka, okulary bez oprawek, garnitury z kamizelkami i nieodłącznym złotym łańcuszkiem od zegarka oraz delikatny podbródek i miękkie, niezdarne dłonie nadawały mu wygląd fircykowatego oportunisty.

Jego zwyczaj wypowiedzania absurdalnych słów - połowę jego słownictwa stanowiły: „Tak”, „Och, bez wątpienia” i „Rozumiem” - tylko potęgował to wrażenie. Ale Bruce, już od osiemnastu miesięcy pełniący swoją funkcję, wiedział, że z Trevorem Landem nie ma żartów.

Pewnego razu, jakiś tydzień lub dwa po rozpoczęciu pracy, Bruce został wezwany, podobnie jak dziś, i poproszony przez Trevora Landa o uchylenie aresztu nałożonego na córkę prominentnego absolwenta za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym. Wówczas Bruce jeszcze nie domyślał się, jaki charakter ma mieć jego praca. Wydawało mu się, że nadal jest policjantem, i nie zdawał sobie sprawy, że stał się politykiem. Poinformował więc, że aresztowanie zostało dokonane przez policjantów miejskich, nie uniwersyteckich, w związku z czym nie leży w zakresie jego kompetencji. Maleńkie gadzie oczy, zazwyczaj tak senne, otworzyły się szeroko na krótką chwilę, a Bruce ze zdumieniem dostrzegł w nich błysk prymitywnej przebiegłości. A także moc. Chwilę później ponownie opadła fircykowata maska. „Tak, rozumiem, jeśli uważasz, że nic nie da się zrobić, no cóż, tak, sądzę, że mógłbym przekazać dalej tę informację” - odparł powątpiewającym tonem, jak jeden światowy człowiek dzielący się swoim problemem z drugim. „Tylko że, rozumiesz, oni mają zwyczaj prosić o drobne przysługi. Chyba zdajesz sobie sprawę, że ci wszyscy nasi absolwenci są tacy sami, nie? Jak to się mówi? Zmiana jest wrogiem pamięci. Tak. Ci absolwenci woleliby zachować istniejący porządek, chcieliby, żeby status nadal pozostało quo, komendancie Vallely”. Krótki chichot, jakby we dwójkę mieli się śmiać z tego dziwactwa absolwentów. „To prawda, ale czy my możemy coś na to poradzić? W końcu to od ich datków zależy nasza kondycja finansowa. A przecież chyba nie jesteśmy socjalistami, prawda? Prywatna edukacja wymaga prywatnych dotacji. Tak się sprawy mają. A ja obawiam

się, że kiedy oni się rozgniewają, komendancie Vallely, nie będą specjalnie szczęśliwi, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ci nasi absolwenci. Dla nich te wszystkie drobne sprawy, ich dzieci, rodzina, no wiesz, są bardzo ważne”. Nieznacznym ruchem wszechogarniającej dłoni, wskazujący na zrozumienie Trevora Landa dla faktu, że przedstawiciele wszystkich ras mają swoje rodziny. „W końcu, któż z nas nie kocha swojej rodziny? A alkohol, cóż, dobry humor, każdemu z nas trafiały się takie chwile, prawda? To przecież nie jest jakieś tam morderstwo czy coś takiego...”

Bruce, nie w ciemności, szybko pojął, o co chodzi. Uśmiechnął się, skinął głową i powiedział, że zobaczy, co da się zrobić, po czym wściekły wrócił do swojego, biura na skraju kampusu i przeczytał kilka wersetów z Listu świętego Pawła do Kolosan, żeby się uspokoić. Następnie skontaktował się ze swoimi „miastowymi” - jak to się mówi - kolegami, poprosił ich o wyświadczenie przysługi i sprawa została unieważniona. Czuł się podle, kiedy to robił, nawet pomyślał o rzuceniu pracy - chodziło o zasady - ale Grace, wciąż jeszcze nie wiedząc, co się rozwija w jej trzustce, oglądała nowe domy stawiane wówczas na pięknym osiedlu w Norport i z radością w głosie mówiła, że teraz potrzebują domu odpowiadającego jego nowej pozycji, nie zdając sobie sprawy, bo on nigdy nie obarczałby jej tą wiedzą, że jego pozycja w kampusie znajduje się mniej więcej na poziomie osób, które sprzątają toalety, z tym wyjątkiem, że te osoby mają związki zawodowe, a on nie.

Podsumowując, można stwierdzić, że chociaż Bruce Vallely nie miał najmniejszego pojęcia, czego może od niego dzisiaj chcieć Trevor Land, nie miał najmniejszej wątpliwości, że będzie to coś obrzydliwego.

I nie pomylił się.

III

- Po prostu trochę zaszałeli - wyszeptał Trevor Land, patrząc wzrokiem sennym i rozbieganym. - W rzeczywistości nie mamy do czynienia z żadnym kryzysem, chyba że pozwolimy, żeby inni do tego doprowadzili. Sam wiesz, jak to jest.

- Wiem, jak to jest - powtórzył za nim Bruce, wściekając się, ale tylko w głębi duszy.

- Ci chłopcy tylko się zabawiali. Oni nie mieli żadnego związku z tym, co ewentualnie mogło się wydarzyć. To naprawdę straszne, ale przecież trzeba jakoś dalej żyć, prawda? I dbać o interes instytucji.

- Tak, panie sekretarzu. - Trevor Land lubił, kiedy podwładni mówili do niego „panie sekretarzu”. - Z drugiej jednak strony, jeśli tego wieczoru widzieli w pobliżu lodowiska

samochód profesora Zanta, to są świadkami.

- Świadkowie. To brzmi tak oficjalnie. Wcale nie jestem pewien, czy tego bym chciał.

- Uniósł dłonie, jakby dowodząc swojej niewinności. - W końcu powinniśmy chronić swoje dobre imię, prawda?

- Tak, panie sekretarzu - powtórzył Bruce - ale policja prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa, a rektor Carlyle polecił mi w pełnym zakresie z nimi współpracować.

- Ależ my z nimi w pełni współpracujemy. Bez wątpienia. Chciałbym tylko, żeby pan zrozumiał, komendancie Vallely, o co mi chodzi. - Bruce starał się panować nad mięśniami twarzy. Grace cierpliwie uczyła go, jak nie okazywać złości. Tylko Trevor Land zwracał się do niego „komendancie”, chociaż Bruce nie nosił takiego tytułu, który w ustach sekretarza zawsze brzmiał protekcjonalnie - taki upokarzający zwrot, mający przypomnieć mu, gdzie jest jego miejsce. - Musi pan zrozumieć, o co mi chodzi - powtórzył mały człowiek. - Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. To są porządne chłopaki, komendancie Valley. Porządne chłopaki. Znam większość ich rodziców.

- Wcześniej tamtego wieczoru pili w barze, panie sekretarzu. Z tego, co pan mówi, wynika, że przynajmniej dwóch z nich jest nieletnich. - Zawahał się, ale musiał to powiedzieć. - A nazwiska paru z nich nie są mi obce. To chłopcy znani z tego, że sprawiają kłopoty. Przykro mi, proszę pana.

- Cóż, tak, rozumiem, można by tak to określić. Włamanie do bibliotek i tego typu sprawy. - Ponownie w górę powędrowały te niewinne ręce, miękkie i wiotkie, wyprowadzone z równowagi prawdami absolutnymi. - Ale w piątkowy wieczór oni tylko wypili po jednym czy po dwa, komendancie Vallely. To wszystko.

Bruce doszedł do wniosku, że na koniec i tak będzie musiał ulec, ale nie był jeszcze gotów poddać się bez walki.

- To wbrew prawu, proszę pana. A do tego jest to niebezpieczne.

- W zasadzie tak, komendancie Vallely, oczywiście, chcielibyśmy, żeby prawo było egzekwowane, studenci chronieni i tak dalej. Zarazem jednak, komendancie, trzeba też wykazać nieco wyrozumiałości - powiedział sekretarz, nagle uosobienie tolerancji. - Brakuje miejsc, w których mężczyźni mogliby się trochę wyszaleć, komendancie. Kluby studenckie chylą się ku upadkowi, prawie jakby ich już nie było. Proszę sobie wyobrazić, słyszałem, że w jednym z nich właśnie przegłosowano możliwość przyjmowania kobiet. Teraz nazywa się to „klub towarzyski”. - Jego zadbane szczęka poruszyła się, jakby coś przeżuwał, chociaż w nieskazitelnie czystej komnacie na próżno było szukać dowodów, że ktoś ostatnio coś tu jadł czy że w ogóle było to w tym miejscu dopuszczalne. Trevor Land uniósł palec wysoko do

góry, na podobieństwo rzymskiej rzeźby, a potem powoli go opuścił, w końcu wskazując na samego siebie. - I bynajmniej nie chodzi o to, że ktoś tu ma coś przeciw kobietom. Moim zdaniem powinny wstępować, gdzie tylko chcą. Tak się składa, że seksizm w ogóle mnie nie obchodzi, nic z tych rzeczy. Ale z drugiej strony chłopcy muszą raz na jakiś czas spotkać się z innymi chłopakami i trochę się wyładować. Oczywiście, nieszkodliwie, komendancie. Nieszkodliwie.

Sekretarz zrobił przerwę i przez moment obaj starali się przeczeć jeden drugiego, jak pokerzyści, niepewni, co przeciwnik ma w kartach. Kiedy jasne stało się, że Bruce gotów jest siedzieć tak cały dzień, Trevor Land podjął swój wykład.

- Moim zdaniem niełatwo jest być młodym człowiekiem. Zwłaszcza jeśli jest się osobą wartościową. Nawet najlepszym koniom na świecie trzeba trochę popuścić cugli, komendancie Vallely. To zupełnie naturalne, pod warunkiem, oczywiście, że nikomu nic się nie stanie. I ja to robiłem. I pan to robił. I pewnie chłopcy zawsze będą to robić.

- Tak, panie sekretarzu. W pełni się zgadzam. Niemniej jednak...

Sekretarzowi wystarczyło „zgadzam się”. Jego palec znowu się unióś, tym razem wskazywał w stronę podbródka Bruce’a.

- Sam pan widzi, jak to jest, komendancie Vallely. To tylko młodzi ludzie, którzy się świetnie bawią, nic poza tym. Można sobie jednak wyobrazić, komendancie, gdyby gazety coś zwęszyły, zwłaszcza zważywszy na zeszlotygodniowe tragiczne wydarzenia - w ten sposób mówił o tym morderstwie - oczywiście, nietrudno zauważyć, że łatwo mogliby zrobić z tego wielką aferę. Co obróciłoby się na szkodę nas wszystkich, dodam tylko. Beczka prochu. - Złożywszy dłonie jak skruszony psotny uczeń, jakim niegdyś podobno był, Trevor Land zakończył swoje kazanie tonem pełnym smutku:

- Komendancie Vallely, na mnie, jako na sekretarzu uniwersytetu, ciąży poważny obowiązek ochrony reputacji naszej instytucji. A pańskim zadaniem, komendancie, jest pomaganie mi. Po to został pan powołany.

Bruce usiadł wygodniej, zastanawiając się przez chwilę, a piękne, stare, obite zieloną skórą krzesło ugięło się pod nim z zadowalającym skrzypnięciem. Dostrzegając problem, który najprawdopodobniej był przyczyną bezsennej nocy Trevora Landa. Na razie nikt nie powiedział, że Kellen Zant został zamordowany na terenie uniwersytetu, i być może nikt nigdy tego nie zrobi, ponieważ nie było najmniejszego powodu, żeby uznać to za prawdę. Ale z drugiej strony, policja miała wątpliwości, czy Kellen Zant został zabity w tym miejscu, gdzie go znaleziono. Wyglądało na to, że był to jakiś osobliwy napad w celach rabunkowych. Na razie uczelnia była wolna od podejrzeń. Ale z drugiej strony, ci studenci widzieli na

terenie kampusu złote audi, tak przynajmniej utrzymywali. Dziwne wydało mu się, że Trevor Land dowiedział się jako pierwszy, a do tego śmieszne, że uznał za ważne nie ujawniać tego policji, ale sekretarz, jak sam przyznaje, na pierwszym miejscu stawia dobro uniwersytetu. Bruce wyobrażał sobie, jak to wyglądało. Śmiertelnie przerażeni chłopcy udali się do jakiegoś wpływowego absolwenta - prawdopodobnie był nim jeden z rodziców - a on zadzwonił do kogoś, kto z kolei obudził sekretarza i poprosił go, żeby załatwił tę sprawę. Opowiedziana przez Trevora Landa historyjka była mętna i nieprzekonywająca, w związku z czym mogła być prawdziwa.

Dlaczego zainteresowali się tym samochodem? Trevor Land nie czuł się na siłach udzielać odpowiedzi na to pytanie. Czyżby zobaczyli coś wewnątrz? Niestety, Trevor Land nie dysponował żadnym wytłumaczeniem. Czy rozpoznali jakąś osobę albo osoby zbliżające się do tego samochodu? Trevor Land nie był w stanie, drogi komendancie, nawet pokusić się o próbę zgadywania. Dlaczego nie poszli na policję? Przynajmniej tu sekretarz był w stanie pomóc, choć nadal w ten swój mętny, protekcyjny sposób. Jeden czy dwóch z tych chłopaków miało już wcześniej jakieś kłopoty, no i wie pan, jak to bywa, komendancie, kiedy młodzi ludzie zaczynają bardziej przejmować się fałszywymi oskarżeniami niż sprawiedliwością...

- Powinniśmy poinformować o tym policję - oznajmił Bruce stanowczym tonem. - Z pewnością tak należy postąpić.

- Och, niewątpliwie, niewątpliwie. Oczywiście, ja to rozumiem.

- Mówię poważnie, panie sekretarzu. Ci chłopcy są świadkami. Albo też mogą być.

- Tak, jasne, być może. Tylko że oni niczego nie widzieli.

- Tego nie wiemy, panie sekretarzu. Pan tego nie wie. Nikt ich nie przepytał. - O mało co nie powiedział „nie przesłuchał”.

- Sądzi pan, że oni mogą kłamać? Kryją się nawzajem, coś takiego?

Spokojnie, spokojnie.

- Ja po prostu wiem, panie sekretarzu, że jeśli profesjonalista poświęci trochę czasu na rozmowę ze świadkiem przekonany, że niczego nie widział, to czasami taki świadek podaje pozornie nic nieznaczącą informację, pozwalającą rozwiązać sprawę.

Trevor Land rozmasował swój obwisły policzek. Malutkie oczy zdawały się jeszcze bardziej zwęzać.

- Rozumiem. Bardzo dobrze. Słuszna uwaga, komendancie, słuszna uwaga. Oni sami mogą nie zdawać sobie sprawy z tego, co wiedzą. Ale my musimy mieć na uwadze nasz interes. Tu chodzi o uczelnię. Nie możemy sobie pozwolić na kolejny skandal, zbyt wiele ich

było w ostatnich latach. I nie możemy też urazić tych rodzin. Z pewnością nie tych rodzin. A z drugiej strony, nie chcielibyśmy przeszkadzać w śledztwie. I gdyby udało się panu, komendancie, pomóc nam, gdyby pan potrafił znaleźć jakiś kompromis, cóż, komendancie, to byłoby dla nas bardzo cenne. Przede wszystkim zaskarbiłby pan sobie wdzięczność. Moją. Szkoły. A także tych rodzin. Nigdy nie wiadomo, kiedy może przydać się pomocna dłoń. Bardzo porządni ludzie będą mieli u pana dług wdzięczności, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- A przez pomoc pan rozumie...

- Może zaczęłby pan od przeprowadzenia rozmowy, komendancie Vallely. Sprawdziłby pan, co można z nich wyciągnąć.

Szybko doszli do porozumienia, decydując się na plan, o którym Trevor Land niewątpliwie myślał od momentu, kiedy po raz pierwszy zadzwoniła do niego ta osoba, kimkolwiek była, która potrafiła poruszyć takiego człowieka jak on. Bruce był kierownikiem ochrony kampusu i emerytowanym policjantem. Jak powiedział sekretarz, był człowiekiem bez zarzutu. Sam przeprowadzi te rozmowy, niczego nie rejestrując, w cztery oczy, i przedstawi ich wyniki Trevorowi Landowi, który, jak to sekretarz uroczo ujął, następnie zajmie stanowisko. Jeśli chłopcy rzeczywiście dysponują informacjami, które należy przekazać policji, cóż, wtedy Bruce je przekaże, a chłopcy będą musieli stawić czoło faktom. Ale jeśli, jak podejrzewał Trevor Land, było to tylko chłopięce szaleństwo, mała pijacka hulanka, cóż, w takim razie nie będzie żadnego powodu, żeby ktoś się o tym dowiedział, prawda?

Absolutnie żadnego, zgodził się Bruce.

I w tym momencie Trevor Land zrobił coś, czego chyba nigdy nie robił, a przynajmniej nigdy nie słyszano, żeby zrobił to z tak nisko postawionym sługą jak kierownik ochrony kampusu. Wytoczył się zza starannie wypolerowanego i szerokiego na kilometr biurka, zarzucił pulchną rękę na kark Bruce'a i odprowadził go do drzwi, jednocześnie co chwilę kiwając głową, mrugając i zapewniając, co to komendanta czeka, jeśli uda mu się zamknąć tę sprawę „w sposób kompromisowy i satysfakcjonujący”.

Wracając swoim wózkiem golfowym do biura, Bruce rozmyślał o mieszkaniu w Karolinie Południowej, do którego, jak gorąco zachęcała go umierająca już Grace, powinien się przenieść na emeryturze. Pomyślał, że nie zaszkodziłoby wybrać się tam i jeszcze raz rozejrzeć. A potem przypomniał sobie o córce, która wciąż jeszcze była w college'u, i o tym, ile przyjemności sprawiało mu członkostwo w Norport Country Club, na które mógł sobie teraz pozwolić i gdzie jego odnowiony kabriolet ford mustang był zdecydowanie

najefektowniejszym samochodem na parkingu. Ale jego sumienie nie potrafiło schować się za pieniędzmi, a umysł nie godził się koncentrować na niczym innym, jak na ostrzeżeniu apostoła Pawła, że prawdziwa walka w jego życiu toczy się ze zwierzchnością i władzą.

Rozdział 16

Student od święta

I

Bruce Vallely nie należał do ludzi o skłonnościach do introspekcji. Rozmyślał raczej rzadko, a i wtedy jedynie o zagadkach, które stawiało przed nim życie, nigdy nie zastanawiał się nad motywami swojego postępowania. Dlatego też kiedy nazajutrz przeprowadzał pierwszą rozmowę z jednym ze studentów, nie przejmował się, czy nie jest nadmiernie surowy lub uprzedzony w związku z gorzkimi wspomnieniami swojego własnego dzieciństwa spędzonego w Elm Harbor, kiedy to młodzi mężczyźni, niczym nieróżniący się od tego, którego zapuszczone mieszkanie właśnie odwiedził - jednym słowem, biali i uprzywilejowani - spoglądali z góry na ojca Bruce'a, ponieważ on kosił trawę na uniwersyteckich trawnikach, albo na jego matkę, ponieważ opróżniała profesorskie kosze na śmieci, myła tablice i woskowała podłogi.

Bruce dorastał wśród takich bolesnych historii. Czasami liberalni studenci szeptali przelotne „dzień dobry” do jego rodziców, gdy mijali ich na korytarzu, odwracając wzrok w drugą stronę. Nikt nawet nie starał się zapamiętać, jak się nazywają - zwłaszcza ich nazwiska nie miały znaczenia. Studenci dwa razy młodszy od jego matki mówili jej prosto w oczy „Danielle”, przeczytawszy to imię wyszyte na jej uniformie, a jego ojciec, diakon w kościele i poważny, dumny mężczyzna, nazywany był „Joe”. A i tak czuli się zasłużeni, bo w ogóle zauważają swoją służbę. „Oni nic na to nie mogą poradzić” - mawiała jego matka. „Pan dał im tak dużo, to naturalne, że zapomnieli, jak należy po ludzku się zachowywać”. Ale Bruce już jako dziecko uważał, że jego matka się myli. Bez trudu mogli coś na to poradzić. Po prostu nie chcieli.

Bruce Vallely korzystał z wielu zalet swojej już półtorarocznej pracy na uniwersytecie, przede wszystkim z pensji, dodatków i zajmowanej pozycji, ale w głębi serca nie odczuwał miłości do większości ludzi, z którymi praca go zbliżyła. W chwilach największego napięcia, kiedy jego głęboko zakorzeniona skłonność do uciekania się do wrogości, gniewu czy gróźb zaczynała dominować, przypominał sobie o ostatnim

przyrzeczeniu złożonym Grace: unikać kłopotów, z których ona, już nieobecna, nie będzie mogła go wyciągnąć. Dzień po spotkaniu z Trevorem Landem, jeszcze ponad dwa tygodnie przed telefonem do Julii Carlyle, Bruce Vallely potrzebował całej swojej siły woli, żeby dotrzymać danego słowa, ponieważ spotkanie z pierwszym ze studentów, o rozmowę z którymi poprosił go sekretarz, przebiegało... niezbyt dobrze.

- Nie muszę odpowiadać na te pytania - młody człowiek powtórzył to po raz trzeci czy też trzynasty. Był to rozczochrany biały dzieciak, wysoki i chudy szatyn z długimi włosami, wystrojony w koszulkę nawołującą przygodnego obserwatora do odbycia stosunku płciowego z kapitalizmem. Bruce nie miał pewności, jak to zostanie wykonane.

- W twoim interesie leży współpraca ze mną - powiedział Bruce łagodnym głosem.

- Niby dlaczego? Bo tak mówisz?

- Ponieważ nie jestem funkcjonariuszem. A nasza rozmowa jest nieoficjalna. Mnie możesz bezpiecznie wszystko powiedzieć - rzekł Bruce, wiedząc, że nieco mija się z prawdą. I nie było to małe nieco.

Chłopak ożywił się, ale tylko nieznacznie.

- My tylko widzieliśmy ten samochód. Tego faceta nie widzieliśmy.

- Skąd wiecie, że to był ten sam samochód?

- Nie pamiętam.

- Który z was pierwszy go zauważył?

- Tego też nie pamiętam.

Bruce zmarszczył brwi, zdając sobie sprawę, że niezadowolony wyraz jego twarzy budzi przerażenie u większości spotykanych białych. Wywarł też zauważalny efekt na chudym Nathanielu Knowlandzie, który wzdrygnął się i głębiej wcisnął w pluszową sofę stojącą w salonie jego apartamentu. Bruce siedział na drewnianym krześle z prostym oparciem, przyniesionym z zestawu w pokoju stołowym. Mieszkanie Nate'a Knowlanda mieściło się na dwunastym piętrze wieżowców Rogoff, stanowiących miejski odpowiednik luksusowych wysokościowców. Ściana okien ukazywała panoramiczny widok na Elm Harbor, ciągnący się nad uniwersytetem, przez park, ponad kanciastymi biurowcami w centrum, aż po samą wodę, gdzie nawet w paskudną pogodę podskakiwały żaglówki. Niewielu studentów mogło sobie pozwolić na życie na takim poziomie, ale ojciec Nate'a - o czym Trevor Land nie omieszkiał przypomnieć Bruce'owi - należał do najbogatszych absolwentów uniwersytetu. Należało też pamiętać, że Cameron Knowland został wyznaczony przez szkołę na „starszego członka zarządu”, co oznaczało, że był przewodniczącym zarządu uniwersytetu.

Zdaniem Bruce'a, już sam ten fakt stanowił pierwszy zarzut przeciwko obecnemu tu Nathanielowi Knowlandowi. Kolejnym było jego wywyższanie się nad innych. Po trzecie, Bruce miał dzisiaj zły dzień i nie miał cierpliwości siedzieć nieruchomo i wysłuchiwać kolejnych bzdur. Nate Knowland miał dwadzieścia trzy lata, niedawno wrócił na ostatni rok studiów, po przerwie, którą wziął, żeby popracować w firmie swojego tatusia.

- Nie pamiętasz - powtórzył Bruce, z wyraźnym niedowierzaniem w głosie.

- Zgadza się.

- Ty jesteś bystrym chłopakiem. Na pewno pamiętasz, co się stało zaledwie kilka wieczorów temu.

Nate uśmiechnął się z wyższością. Na terenie kampusu studenci byli królami, profesorowie byli święci, a Bruce Vallely, nie należąc ani do jednych, ani do drugich, był nikim. Dla Nathaniela Knowlanda był tylko sługą. Jak człowiek przycinający trawę. Albo kobieta myjąca tablice. Bruce zastanawiał się, jak ten młody człowiek zachowałby się przy spotkaniu z aktualnym rektorem uniwersytetu. Zważywszy na stanowisko ojca Nate'a, istniało duże prawdopodobieństwo, że już się spotkali.

Nathaniel Knowland ponownie powiedział:

- Nie pamiętam.

- Piątkowy wieczór. Tej nocy zastrzelono profesora Zanta. Nate, to było ważne wydarzenie w okolicy. Chyba nie spodziewasz się, że ja uwierzę w twoją krótką pamięć?

- Jeśli powiedziałem, że nie pamiętam, to znaczy, że nie pamiętam.

I Bruce postanowił już dłużej tego nie znosić.

II

Bruce Vallely otrzymywał godziwą zapłatę za swoją pracę. Miał zobowiązanie wobec rodziny i wobec uniwersytetu. Złożył obietnicę Trevorowi Landowi. Ale nadal podświadomie był gliniarzem. Podniósł się więc gwałtownie, napędzając strachu Nathanielowi Knowlandowi, który chyba zapomniał, że jest sam na sam w pokoju z mężczyzną nie tylko czarnym, ale też wysokim na metr dziewięćdziesiąt pięć i ważącym ponad sto kilogramów. A ponadto znanym z tego, że gołymi rękami zabił raz człowieka.

Przynajmniej o tym jednym razie ludzie wiedzieli.

Bruce wolnym krokiem pokonał dzielący ich dystans, nachylił się nad sofą, na tyle blisko bladej, przerażonej twarzy młodego człowieka, żeby poczuć jego niezdrowy oddech.

- Kłamie pan, panie Knowland. Proszę nie zaprzeczać. Kłamiesz. I ja to wiem, i ty to

wiesz. Pozostaje tylko jedno pytanie: dlaczego kłamiesz. Możesz mi to powiedzieć od razu albo za pięć minut lub za godzinę, ale nie ma żadnych wątpliwości, że w końcu mi to powiesz.

Nate Knowland, odsuwając się coraz dalej, jakby mógł się zarazić przez zbyt bliski kontakt, odwrócił głowę, a Bruce dostrzegł delikatnie przekłute ucho, z kolczykiem ozdobionym brylantem, z pewnością prawdziwym. Nate coś wymamrotał.

- Proszę? Nie słyszę cię, Nate.

- Powiedziałem, że żądam adwokata.

- Co ty nie powiesz.

Nagle przestał kołysać głową i spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

- Znam swoje prawa!

- Nie znasz. - Bruce nachylił się bliżej, a bijąca z jego twarzy wściekłość wręcz przypalała Nate'a Knowlanda. Już od dwudziestu czterech godzin starał się panować nad sobą, od tego spotkania z Trevorem Landem, i poczuł ulgę, dając upust swoim emocjom. Wybacz mi, Grace. - I ty nazywasz się studentem? Czy wiesz, skąd pochodzi słowo „student”? Z łaciny. Oznacza osobę, która bardzo się stara. Innymi słowy, jest staranny i ciężko pracuje. - Tego zdania używał przy przesłuchiowaniu prawie każdego studenta. Czasami to dawało efekt, czasami nie. Ale Nathaniel Knowland nie wyglądał na twardziela. Zamiast mieszkać z kolegami w akademiku, wynajmował ten apartament z trzema sypialniami. Po co samotnemu studentowi tyle miejsca, kiedy tak wiele osób miało go tak mało, było zagadką, której rozwiązaniem Bruce miał się zająć innego dnia - prawdopodobnie tego samego dnia, kiedy zacznie myśleć, po co Carlyle'om ponad siedemset metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Jednego był pewien: że w przypadku Nathaniela za wszystko płaci jego tatuś. A taki chłopak, jak Nathaniel, z chęcią weźmie od swojego ojca każdego centa, jednocześnie buntując się przeciw wszelkiej zależności. Bruce już wcześniej widywał takie formy sprzeciwu, u wielu studentów, nawet wśród swoich kolegów z grupy na stanowym uniwersytecie przed laty. Z doświadczenia wiedział, że taki sprzeciw, jeśli go odpowiednio wykorzystać, może złamać opór młodego człowieka. W związku z tym ostrożnie, starannie dobierając słowa, powiedział:

- Wiesz, Nate, pewnego dnia może zostaniesz studentem, ale teraz, sądząc po twoim zachowaniu, jesteś zepsutym bogatym gnojkiem, którego tatuś płaci jakiemuś lokajowi, żeby podał ci spadochron za każdym razem, kiedy ty, na nic nie zważając, zdecydujesz się wyskoczyć z samolotu. Ale coś ci powiem, Nate. Teraz nie ma tu tatusia. Jesteśmy tylko ty i ja. Powiedziałeś, że żądasz adwokata. Tak, gdybym wciąż był gliniarzem z miasta, sytuacja

wyglądałaby inaczej. Musiałbym przestać zadawać ci pytania i czekać, aż jakiś goguś w garniturze wartym moją roczną pensję wyjaśni ci, jak najlepiej nakłamać. Ale ja nie jestem gliniarzem z miasta, Nate. Jestem gliniarzem uniwersyteckim. A to oznacza, że jestem tu prywatnie, a twoje konstytucyjne prawa, jak to sam nazywasz, mają teraz takie znaczenie jak wielkanocny zajaczek. Rozumiemy się?

Nathaniel Knowland był rozpieszczony, ale nie głupi. Podniósł głos o ton lub dwa, ale przedstawił swoje zdanie.

- W takim razie mam prawa przewidziane przez uniwersyteckie przepisy. A ty musisz przestrzegać wszystkich procedur.

Bruce skinął głową.

- Zgadza się, Nate, i jeśli chcesz, możesz domagać się swoich praw. Możesz domagać się postępowania przed trybunałem sądowym. Ale wiesz co? To będzie oznaczać oficjalny raport. I policja z pewnością się o tym dowie. Będziemy zobowiązani do złożenia raportu. - W rzeczywistości było to kłamstwo. Bruce z pewnością nie życzył sobie, żeby Nathaniel Knowland stanął przed trybunałem, którego obrady były utajnione, a protokoły zapieczętowane. - Posłuchaj, Nate. Przestraszyłeś się. Ja to rozumiem. I nie chcesz ze mną rozmawiać. To też rozumiem. Ale możesz mi uwierzyć, Nate, z policją tym bardziej nie będziesz chciał rozmawiać. To miasto w każdej chwili może eksplodować z powodu sprawy Kellena Zanta, a policja z radością dorwie w swoje łapy rozpuszczonego bogatego białego dzieciaka, który zataił informacje o tej zbrodni. Ta wiadomość przedostanie się do prasy, Nate, a gazety żywcem cię zjedzą.

- Nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób!

- Ja tylko mówię, co moim zdaniem się wydarzy.

- Ty mi grozisz. - Choć jego głos przeszedł prawie w jęk, wyczuwało się w nim jakiś opór. Być może ten chłopak był twardszy, niż Bruce przypuszczał.

- To tylko przewidywania, Nate. - Bruce mówił łagodnym głosem. - Nic poza tym.

- Nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób! Jest jakieś prawo! Nie możesz mnie zastraszać ani... ani zmuszać mnie.

- Posłuchaj, Nate. Musisz zrozumieć, jak to teraz funkcjonuje. Tu u nas w kampusie to ja stanowię prawo. A ty jesteś podejrzanym.

- Podejrzanym?!

- Tak, dopóki nie zaczniesz mówić.

Młody człowiek zaczął rozglądać się we wszystkie strony, jakby spodziewał się nadejścia pomocy.

- Ale... ja... to był napad rabunkowy! Czytałem w gazetach! Po co miałbym obrabowywać jakiegoś czarnego faceta? Przecież wystarczy tylko popatrzeć na to mieszkanie!

Bruce Vallely o mało co go nie uderzył. Niewiele brakowało. Ręka powędrowała w górę, wielka, czarna i surowa. „Jakiegoś czarnego faceta”, to właśnie ten zwrot wyprowadził go z równowagi. Ale zaraz poczuł czułe palce Grace na swoim nadgarstku, delikatnie ściągające rękę w dół. A w twarzy Nathaniela Knowlanda dostrzegł nową reakcję, w miejsce przestachu pojawiła się autentyczna panika. Bo nikt, a już z pewnością nie bogaty i chudy biały dzieciak, nie chce znaleźć się sam na sam z rozżłoszczonym czarnoskórym mężczyzną.

- Mój ojciec wyrzuci cię z pracy! - krzyknął Nathaniel, ale o jego prawdziwych uczuciach mówiły oczy, wciąż szeroko otwarte, i głos, teraz już piskliwy.

- Jasne. I właśnie dlatego wysłał cię na tę uczelnię, żebyś wmieszal się w morderstwo.

- Ja w nic nie jestem wmieszany.

- Albo ty sam jesteś wmieszany, albo wiesz, kto jest. - Bruce przykucnął i silnym ramieniem objął Nathaniela Knowlanda za jego chudy kark, czując przemożną chęć skrucenia mu go. Czuł tłuste, długie włosy chłopaka. Jego ramiona drżały. Bruce zdecydował się uderzyć w ton ojcowski. - A teraz mnie posłuchaj, Nate. Wpadłeś w bardzo poważne tarapaty, i ty, i twoi kumple. Widziałeś coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć. Co gorsza, nie chcesz też powiedzieć tego gliniarzom. A ich takie rzeczy bardzo denerwują. Czy wiesz, jaka jest w tym stanie kara za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości? Służę ci tą informacją za darmo, Nate, kara nie jest aż tak surowa, jak za współudział w morderstwie, bo przed takim zarzutem możesz teraz stanąć. I nie ma znaczenia, czy ten współudział miał miejsce przed faktem czy też po nim - było to kłamstwo, ale mniejsza o to, zaraz padło następne - jeśli dysponujesz jakąś wiedzą i jej nie przekażesz i tak jesteś w kłopotach.

Nathaniel Knowland spuścił wzrok i wyszeptał kilka słów, mówiąc jednak do siebie. Może to i lepiej, pomyślał Bruce, że nie zrozumiał słów młodego człowieka, bo podejrzewał, że pełna wiedza o wypowiedzianych przez chłopaka przekleństwach mogłaby go bardzo zirytować. Może nawet za bardzo.

- Posłuchaj, Nate - odezwał się łagodnie - teraz jest najlepszy moment, żebyś powiedział. A jeśli jest to tylko coś wstydliwego, a nie nielegalnego, to zdecydowanie lepiej dla ciebie będzie, jeśli teraz powiesz o tym mnie, a nie później na policji.

- Nikogo w to nie wciągnę - odezwał się młody człowiek, zaskakując Bruce'a swoją odwagą. - Powiem, co widziałem. I co zrobiłem. To wszystko.

- Nieźle brzmi, jak na początek.

- To nie tylko na początek. To też na koniec. Chciałbym, żeby to było jasne. Nie będę mówił o żadnym z moich kolegów.

Jako miejski oficer śledczy Bruce stale wysłuchiwał tych opowieści w przepoconych i ciemnych małych pokoikach wydzielonych do przesłuchań. Czasami nawet próbował natychmiastowej riposty: „A dlaczego nie chcesz o nich mówić? Oni są tam, na drugim końcu korytarza, i sypią ciebie”. Czasami ten wybieg przynosił oczekiwane efekty, czasami nie, ale po takich kłamstwach zawsze czuł się obrzydliwie. A teraz trudno było liczyć, że ten chłopak nabierze się na takie kłamstwo. Rzekł więc:

- Posłuchaj, Nate. Możesz ograniczyć swoje komentarze - niemal powiedział „zeznanie” - jak sobie życzysz. Nie dysponuję władzą, żeby zmusić cię do opowiedzenia, co się stało. Ja tylko uważam, że to jest w twoim interesie.

I chłopak zaczął mówić.

III

- Chodziło o to, zaczął Nate Knowland, że oni tylko chcieli się trochę zabawić. Byli studentami, byli młodzi, był piątkowy wieczór, a wkrótce mieli stąd wyjechać i zająć się poważną pracą. Cały dzień się uczyli, tylko po południu wyskoczyli na squasha, przynajmniej tak zrobił Nate, i teraz zastanawiali się, co by tu zrobić. Paru z nich miało dziewczyny, ale to był męski wypad. Było ich pięciu, kilku bogatych dzieciaków i paru nieodstępujących ich pasożytów. Wypili po kilka piw u Nelsona...

- U Nelsona przy Henley Street?

Skinął głową.

- Poza terenem kampusu - dodał, jakby podkreślając ograniczenie władzy Bruce'a. - W każdym razie większość z nas jest już w wieku, w którym możemy legalnie pić alkohol i chyba nie jest przestępstwem, nawet kiedy człowiek się wstawi, jeśli nikogo się nie krzywdzi - a jeśli Bruce myślał, że być może ta ich piątka oprócz piwa próbowała też niedozwolonych prawem środków, nie miał zamiaru o tym mówić. A przynajmniej dopóki ta możliwość nie przyniosłaby mu określonych korzyści.

- W każdym razie później poszliśmy na mecz hokeja. Ale że drużyna Dartmouth starła naszych na miazgę, szybko nam się to znudziło. Jeden z chłopaków był umówiony o dziewiątej ze swoją dziewczyną, więc znaleźliśmy się na Town Street jakieś piętnaście po ósmej, może wpół do dziewiątej, mniej więcej wtedy. Właśnie staliśmy na ulicy i zastanawialiśmy się, co będziemy teraz robić, kiedy zobaczyliśmy ten samochód.

Bruce celowo nie zareagował, więc Nate spróbował jeszcze raz.

- To złote audi, to, w którym zabito Zanta, stało tam zaparkowane na ulicy.

- A kto ci powiedział, że zabito go w samochodzie?

Nathaniel zamrugał, bardziej zdezorientowany, niż przestraszony.

- Mówili o tym w wiadomościach.

- Skąd wiedzieliście, że to jego samochód?

Powrócili do punktu wyjścia, ale tym razem Nate odpowiedział.

- Bo jego też tam zobaczyliśmy.

To było coś nowego. Sprawa wyglądała nieco inaczej, niż Trevor Land to opowiedział, czy też nie opowiedział. Bruce zaczął się zastanawiać, czy sekretarz tego nie wiedział, czy też wiedział, ale nie powiedział. Ale w związku z tym, że przesłuchujący nie powinien nigdy okazywać zaskoczenia, chyba że dla podkreślenia efektu, Bruce, nie podnosząc głosu, zapytał:

- Nie rozumiem. O jakiego „jego” chodzi?

Nathaniel Knowland zaczął się niecierpliwić.

- O Zanta. Przeszedł tuż obok nas. Jeden z kolegów studiował ekonomię i miał z nim zajęcia.

- A jak nazywa się ten kolega, który go rozpoznał?

Przeczący ruch głową, bezczelny jak u małego dziecka.

- Już powiedziałem, że nie będę pakował kolegów w kłopoty. - Uniósł palec wskazujący w stronę sufitu, w geście niesamowicie przypominającym Trevora Landa. - Mam swój honor.

- Rozumiem. - Poklepał go po ramieniu, wyprostował się i przeszedł po przestronnym pomieszczeniu. Czasami Bruce musiał grać i dobrego, i złego policjanta naraz. Nadal mówił łagodnym głosem. - No dobra. Zobaczyliście profesora Zanta. Co on robił?

- Już mówiłem. Minął nas i wsiadł do samochodu.

- Skąd przyszedł?

- Nie wiem. Nadszedł z tyłu. To znaczy, przyszli od strony kampusu. Nie widzieliśmy dokładnie, skąd.

Tym razem Bruce nie potrafił pohamować zaskoczenia w głosie.

- Oni?

- Tak, oni. Jeśli przestaniesz mi przerywać, wszystko wyjaśnię. - Student odetchnął głęboko. - Był z taką kobietą. Tak przynajmniej nam się wydaje, że to była kobieta. Mógł to też być niski mężczyzna. I nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas potrafił rozpoznać tę kobietę,

gdybyśmy ją jeszcze raz spotkali. Kiedy szli ulicą, ona znajdowała się po wewnętrznej stronie, a on po zewnętrznej, i to on był trochę bardziej widoczny w blasku kolejnych latarni, a ona bardziej kryła się w półcieniu. Jakby nie chciała, żeby ktoś dostrzegł jej twarz. Ale ja mogę powiedzieć, że była czarna. Z pewnością była czarna. I miała na sobie biały błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, który trochę skrywał jej twarz.

- W samym środku burzy śnieżnej nosiła płaszcz przeciwdeszczowy? A nie kurtkę zimową? Jesteś pewien?

Energicznie skinął głową.

- To był taki błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy. Biały. Trochę się świecił i trudno było ją dostrzec na tle śniegu. - Wydał policzki i skulił się, jakby usilnie starał się nie tracić ciepła, a potem ciągnął dalej. - No, w każdym razie oni wsiedli do samochodu. Najpierw on, od strony pasażera, a ona usiadła za kierownicą. Wsiedli do samochodu i odjechali, to już wszystko.

Wyobrażając sobie tę scenę, Bruce doszedł do wniosku, że coś mu tu bardzo nie pasuje, chociaż nie potrafił stwierdzić, dlaczego.

Nathaniel Knowland mówił dalej.

- Doszliśmy z chłopakami do wniosku, że... no wie pan, bo on cieszy się określoną reputacją. To znaczy cieszył się. Doszliśmy więc do wniosku, że on i ta kobieta... co prawda nie było widać, żeby coś ich łączyło, nic takiego... ale...

- Pozwól, że spróbuję wyjaśnić szczegóły. Samochód stał zaparkowany na Town Street, naprzeciwko lodowiska.

- Uhm.

Lodowisko wychodziło na tylne wejście do wieżowca Hillimana, gdzie Zant miał swoje biuro. Jak na razie ta cała historia przynajmniej brzmiała prawdopodobnie.

- I jesteś pewien, że profesor Zant wsiadł jako pierwszy? A samochód prowadziła ta czarna kobieta w białym płaszczu przeciwdeszczowym?

- Zgadza się. - Nate Knowland powoli wychodził ze stanu cudownego podniecenia własnym przerażeniem. Jego eleganckie rysy zwiotczały, a oczy stały się wilgotne i mętne. - Nie wiem. Mówię tylko to, co widzieliśmy.

- I oczywiście, byliście nieźle pijani.

- Wypiliśmy kilka drinków. Nie byliśmy pijani. I wszyscy widzieliśmy to samo.

- Tę sama kobietę w płaszczu przeciwdeszczowym?

- Tak.

Bruce zapisał coś w swoim notesie, postawił drobny znaczek, który tylko on był w

stanie odcyfrować. Przedstawiona przez Nate'a historia była tak prosta i nudna, że z wyjątkiem tych dwóch szczegółów, w całości mogła być zmyślona przez świadka.

- Pamiętasz coś jeszcze?

Skinął głową.

- Mówiła z brytyjskim akcentem.

- Słyszeliście ich rozmowę?

- Jedno czy dwa zdania. Ale rozmawiali o rektorze Carlyleu.

Kolejna notatka. Również ta uwaga zdecydowanie wykraczała poza dziwnie ograniczone informacje Trevora Landa.

- Co powiedzieli?

Nate pokręcił głową.

- Już mówiłem, niewiele słyszeliśmy. Ale to brzmiało, jakby ona starała się powiedzieć profesorowi Zantowi, że Carlyle jest zbyt wielką figurą, żeby oni mogli z nim się mierzyć.

- Czy mógłbyś dokładnie powtórzyć te słowa?

- To chyba było jakoś tak: „Jak dla nas, to on jest zbyt ważną figurą, żebyśmy mogli z nim się mierzyć”. Jakoś tak. - Nerwowe wzruszenie ramion. - Nic więcej nie słyszeliśmy.

Rozdział 17

Dług

- Moim zdaniem, to za mało, komendancie - powiedział Trevor Land smętnym tonem. - Głupia historyjka pijanego uczniaka. Nie ma co zawracać głowy policji.

- Panie sekretarzu, oni widzieli ofiarę w noc morderstwa. Widzieli tego człowieka na kampusie, gdzie policja nawet nie próbowała szukać. To nie wszystko. Widzieli go w towarzystwie innej osoby, mniej więcej półtorej godziny przed odnalezieniem zwłok. Jak pan może mówić, że nie ma czym zawracać głowy policji?

Dłuższa chwila milczenia po drugiej stronie linii. Bruce zastanawiał się, czy sekretarz zdaje sobie sprawę, że jego podwładny pominął jeden szczegół - tę nęcącą uwagę o Lemasterze Carlyle'u. Kiedy Trevor Land odezwał się ponownie, ton jego głosu był nieodmiennie smutny.

- Komendancie Vallely, ja nie należę do ludzi, którzy mówią innym, jak mają wykonywać swoją pracę, a zwłaszcza komuś o takich kwalifikacjach jak pańskie. Jeśli sądzi pan, że należy pójść z tym na policję, cóż, będzie to pańska decyzja, nie moja. W końcu mamy jakiś podział władzy. Na tym polega moja filozofia zarządzania. Proszę jednak mieć na względzie dobre imię uniwersytetu. Nie możemy sobie pozwolić na kolejny skandal.

- Tak, panie sekretarzu, ale...

- Proszę mi jeszcze dać chwilkę, jeśli można, komendancie Vallely. Drobną uwagę. Wysłuchał pan opowieści tego młodego człowieka. Ale jak na razie nie słyszał pan nic więcej. Proszę się nad tym zastanowić. - Oczami wyobraźni Bruce już widział wyciągnięty palec, na podobieństwo posągu ponownie wskazujący w sufit. - Być może on był pijany i nie pamięta, co widział, ale może jego wspomnienia są prawdziwe. Na razie nie wiemy, jak jest naprawdę.

- To zadanie policji, żeby dojść, jak jest naprawdę, nie nasze.

- Jasna sprawa. Co prawda, to prawda. Niemniej jednak, komendancie Vallely, policja w naszym miłym miasteczku, z wyjątkiem oczywiście pańskiej osoby, nie jest bynajmniej znana ze swojej dyskrecji. Zwłaszcza w sprawach dotyczących uniwersytetu. Z doświadczenia wiem, że jeśli coś się powie policji, to jakby przekazać informację do gazety.

Oni tak potrafią dotrzymać tajemnicy, jak Odyseusz potrafił oprzeć się syrenom, a nie ma nikogo, kto by ich przywiązał do masztu, rozumie pan? - Prawdę mówiąc, Bruce nic nie rozumiał, ale ani myślał o tym mówić. - Profesor Zant był wysoko cenionym członkiem społeczności i my, oczywiście, chcielibyśmy dołożyć wszelkich starań, żeby jego morderca stanął przed sądem. I dlatego uważamy za wielkie szczęście, komendancie Vallely, że Bóg zesłał nam człowieka pańskiego kalibru. Oczywiście, pan postąpi tak, jak sam uzna za słuszne. Ale czy mógłbym służyć panu drobną radą? Na podstawie dziesięcioleci, szczerze mówiąc, oddanej służby dla uniwersytetu?

Chyba miał na myśli służalczość.

- Oczywiście, proszę pana.

- Założmy, komendancie, że to ja musiałbym podjąć decyzję. Najprawdopodobniej wolałbym najpierw ugruntować nieco wiedzę na temat tej sprawy, zanim zaryzykowałbym i zawierzył reputację uczelni pismakom. To jak znaleźć się między młotem a kowadłem, przyznaję, ale może lepiej trochę poczekać. Dopóki nie będzie nieco więcej informacji.

Bruce oczekiwał ciągu dalszego, ale to Trevor Land czekał na jego reakcję. Powoli i wyraźnie odpowiedział:

- Panie sekretarzu, czy pan sugeruje, żebym zajął się bardziej dokładnym... dochodzeniem?

Głos Trevora Landa brzmiał jeszcze bardziej ospale.

- Komendancie Vallely, nie chciałbym, żeby pan przykładął zbyt wielką wagę do mojej rady. Sugerowałbym raczej, żeby pan zrobił tak, jak to już wcześniej omówiliśmy. Moim zdaniem, pan powinien zająć się kwestią wyjaśnienia wszystkich szczegółów. Rzecz w tym, żeby zbyt pochopnie nie wyciągać wniosków, o to chodzi. Proszę zająć się tym, powiedzmy, po Święcie Dziękczynienia. Tu trzeba cierpliwości. I staranności. Właśnie. A zatem, komendancie, chce pan poznać mój punkt widzenia? Proszę się upewnić, że wszystkie szczegóły są wyjaśnione, wszystkie sprawy uporządkowane, właśnie o coś takiego chodzi, a potem, proszę bardzo, może pan zanościć, co pan uzna za stosowne do odpowiednich władz, ma pan na to moje błogosławieństwo.

Kierownik ochrony kampusu wpatrywał się w stojące na kredensie ślubne zdjęcie, na którym Grace była tak piękna i młoda, chociaż z wiekiem zrobiła się jeszcze piękniejsza. Gdyby tylko mógł przez kilka minut skorzystać z jej mądrości i humoru. Ale ona już od ponad roku nie żyła, odeszła wkrótce po pięćdziesiątych urodzinach, a on musiał znosić ten obleśny cynizm sekretarza, uzbrojony jedynie w swoją własną prawość. W przeciwieństwie do pewnego znanego mu rektora uniwersytetu, nawet nie udawał, że jest pod tym względem

inny.

- Czy mogę zadać jedno pytanie?

- Ależ oczywiście, komendancie. Proszę bardzo.

- Założmy, że postąpię tak jak pan... sugeruje. I założmy, że przyjdzie taki moment, już wkrótce, kiedy stwierdzę, że wszystko jest już uporządkowane, ale pan się ze mną nie zgodzi.

- Przepraszam, ale nie rozumiem pytania, komendancie Vallely.

Bruce wolał dyskutować osobiście, kiedy mógł wykorzystać swój wzrost, nawet wobec swoich nominalnych zwierzchników, ale wspomagany jaśniejącym spod okna obliczem Grace gotów był nawet teraz, przez telefon, wdać się w ostrą wymianę zdań. Udało mu się przetrwać bezwzględna wewnętrzną wojnę w wydziale policji i dawno temu bezwzględna prawdziwą wojnę w dżungli Ameryki Środkowej, potrafił więc na zawołanie wdać się w wymianę obłudnych, rozwlekłych pogrózek z takimi jak Trevor Land.

Bez wahania wkroczył na śliski teren.

- Panie sekretarzu, jak pan wie, jedną z naczelnych zasad statutu, zgodnie z którym funkcjonuje podległy mi wydział, jest natychmiastowe zgłaszanie policji lub innym odpowiedzialnym władzom wszelkich odkrytych przez nas dowodów w sprawie ciężkiego przestępstwa. - Zrobił pauzę, żeby jego słowa dotarły do rozmówcy. - Ja mogę wstrzymać się dzień czy dwa, ale prędzej czy później wyjaśnię wszystkie szczegóły. Założmy, że w takim momencie będziemy mieli odmienne zdania, co wtedy należy zrobić? Czyja opinia wówczas przeważy?

Na odpowiedź, chociaż z pewnością już wcześniej przygotowaną, Bruce musiał długo czekać, jakby sekretarz chciał go przekonać, że dopiero teraz rozpatrzył różne możliwości.

- Ach, rozumiem pański niepokój. Oczywiście. Ale proszę pamiętać, komendancie Vallely, to tylko od pana zależy, co pan zrobi. Moje drobne sugestie są jedynie sugestiami. Oczywiście, jest to chyba raczej bardzo mało prawdopodobne, żebyśmy mogli stanąć wobec takiej różnicy zdań. Ale gdyby tak się zdarzyło... może na razie powstrzymajmy się z wyrażaniem opinii. Nie martwmy się na zapas, a już na pewno nie spierajmy się a konto przyszłych problemów. Rozumie pan?

- Chyba tak.

- Doskonale, komendancie Vallely, doskonale. I zdaje pan sobie sprawę, komendancie, że kiedy to wszystko już się skończy, bez żadnego skandalu, kiedy uniwersytet będzie już bezpieczny, a sprawiedliwości stanie się zadość, kiedy to wszystko już się skończy, komendancie Vallely, proszę pamiętać, że będzie pan miał we mnie dozgonnego przyjaciela i

zwolennika, a ja mam pewne wpływy w różnych miejscach. I na pewno nie zostanie pan pozostawiony samemu sobie. Mogę pana o tym zapewnić.

Bruce doszedł do wniosku, że co za dużo, to niezdrowo.

- A dokładnie, panie sekretarzu, co pan ma na myśli?

Sekretarz, stary wyga, poprawnie ocenił nastrój swojego podwładnego.

- Z pewnością nie zamierzałem pana obrazić, komendancie Vallely. Nie myślałem o niczym niestosownym.

- Mogę zapytać, o czym pan myślał?

- Tylko tyle, że jesteśmy rodziną, komendancie. I sądzę, że uzna pan za korzystne mieć we mnie dłużnika. - Śmiech, ponieważ obaj wiedzieli, że trochę się zagalopował, bo w tym właśnie momencie z łatwością mógłby z podwładnego zrobić sobie wroga.

Bruce poprosił sekretarza, żeby chwilę zaczekał.

Odłożył słuchawkę na rozpadające się biurko i obrócił się w stronę okna, za którym widać było puste autobusy. Przypomniał sobie dziwną rozmowę, którą odbył ze swoim dawnym kolegą z pracy, Rickiem Chrebetem. Spotkali się w poniedziałkowy wieczór na drinka i Bruce przyszedł na spotkanie przygotowany na drwiny, ponieważ i miejscy, i stanowi policjanci uważali, że policja w kampusie wiezie życie usłane różami. Ale zamiast z niego żartować, Rick Chrebet powiedział, że w ich wydziale góra podjęła już decyzję i morderstwo Zanta zostało uznane za napad na tle rabunkowym, być może chodziło o nieudaną kradzież samochodu z atakiem na kierowcę. Naciskano, żeby śledczy przyjęli tę samą teorię. Rick uważał, że może przetrzymać tydzień, może nawet dwa, ale w końcu będzie musiał się ugiąć. Kiedy Bruce wyraził zdziwienie - przecież od śmierci tego gościa minęły dopiero trzy dni! - Rick się uśmiechnął, wychylił kolejne piwo i powiedział, że decyzja zapadła na gorze, a nie wynikała z działań ludzi na dole. Nic więcej już nie chciał powiedzieć.

Nagle, kiedy ponownie brał do ręki słuchawkę, przyszło Bruce'owi do głowy, że być może to właśnie jemu uda się osiągnąć to, co nie powiodło się jego dawnym kolegom, i sprawić, że ten uniwersytet, który tak dręczył jego rodziców, będzie miał wobec niego dług. Mógł nie zgodzić się na propozycję Trevora Landa i zachować stanowisko aż do przejścia na emeryturę. Mógł też zgodzić się, z jakichś niskich pobudek - na przykład ambicjonalnych. Albo też ze słusznych pobudek - decydując się odbierać to, co jest mu należne.

- Z radością posłużę pomocą - powiedział sekretarzowi, nie rozumiejąc, dlaczego cały jego instynkt samozachowawczy głośno krzyczy, że ta odpowiedź powinna być zupełnie inna.

Rozdział 18

Oryginalny myśliciel

I

- Momencik, proszę - rzekł Arthur Lewin, przemierzając swój obszerny, ale spartańsko urządzone gabinet na wydziale ekonomii. Dysponował jeszcze jedną placówką, w budynku matematyki, a także trzecią - przy jednym z niezliczonych interdyscyplinarnych kursów, które obecnie tworzą na wszystkich uniwersytetach. Miał dopiero trzydzieści dwa lata, ale na terenie kampusu był już legendą. - Chodzi o to, że tak prawdę mówiąc, jest to trochę dziwne. Dziwne, ale i podniecające. - Był wtorek drugiego grudnia, pięć dni po Święcie Dziękczynienia, i Bruce, zgodnie z poleceniem, kontynuował wyjaśnianie wszystkich szczegółów.

- Naprawdę?

- No wiesz, sam rozumiesz, Bruce - czy mogę mówić do ciebie Bruce? - chodzi o to, że ja chyba nigdy nie byłem przesłuchiwany przez gliniarzy. To znaczy, no wiesz, jeśli nie liczyć takich normalnych spraw w college'u.

Bruce Vallely nie ruszał się z miejsca po przeciwnej stronie okrągłego, zastawionego stosami papierów i przedruków stołu, który służył Arthurowi Lewinowi za biurko. W wąskiej ścianie znajdowały się dwa okna, a na stoliku poniżej dwa komputery - laptop i komputer stacjonarny. Na monitorze tego ostatniego roilo się od cyfr. Monitor laptopa prezentował coś, co wyglądało na wstępną wersję naukowego artykułu, w którym gęsto było od równań, chociaż aktualnie używane okno w komputerze przedstawiało jakąś grę, której Bruce w pierwszej chwili nie potrafił rozpoznać - trzeba było umieszczać kolorowe pionki na poruszających się kwadratach. Wyglądało na to, że Art Lewin wygrywa z maszyną. W pobliżu komputerów stała samotna fotografia w zabytkowej pozłacanej ramce, przedstawiająca dwie dziewczynki o szarych rozgorączkowanych oczach Arthura Lewina. Nie było widać żadnych innych zdjęć rodzinnych.

- Czyżby w college'u miał pan jakieś problemy? - zapytał Bruce.

- A kto nie ma?

- Nie wiem, czy wszyscy mają. Tylko zastanawiałem się, czy pan je miał.

Uśmiech nie schodził z ust Arta Lewina. Mężczyzna miał na sobie dzinsy i zdarte wysokie buty oraz powyciągany brunatny sweter, a jego rudawe włosy były gęste i nieuczesane. Wyglądał, jakby od dawna się nie golił. Można było odnieść wrażenie, że jego miękka i pulchna twarz nigdy nie utraciła niemowlęcego tłuszczyczku. Szare oczy patrzyły przyjaźnie i z jakimś podnieceniem zza małych szkieł. Cechował go ten egzaltowany optymizm, którym emanuje prawie każdy osobisty trener, oraz nawyk ubierania się w stylu wyczerpanego studenta podczas sesji egzaminacyjnej. Był docentem ekonomii i zdaniem kilku osób, z którymi Bruce przeprowadził rozmowy, mógł zostać największym geniuszem w tej dziedzinie od czasów Kennetha Arrowa. Bruce bynajmniej nic nie wiedział, ani też wcale go nie interesowało, kim był Kenneth Arrow. Jego obszar zainteresowań był węższy - ograniczał się do Kellena Zanta, a stojący teraz przed nim człowiek, zgodnie z wszystkimi relacjami, był najlepszym przyjacielem ofiary.

Może nawet jego jedynym przyjacielem.

Zant, kilka lat starszy, był nauczycielem Arta Lewina, przewodnikiem na studiach doktoranckich i mentorem na wydziale. Większość osób, z którymi Bruce rozmawiał, uważała chyba, że uczeń już dawno przerósł mistrza.

- Możesz mi wierzyć lub nie - rzekł docent Lewin - ale to prawda. W college'u prawie wszyscy pakują się w jakieś kłopoty. No, może nie wszyscy. Ale większość facetów przed trzydziestką bywa na bakier z prawem. Posłuchaj, na ten temat można znaleźć wiele informacji. Chciałbyś się dowiedzieć, jaki odsetek młodych mężczyzn został aresztowany? Tak przy okazji, to nie ma nic wspólnego z kwestiami rasowymi. Czytałeś te wszystkie raporty o tym, że niby jedna czwarta czarnoskórych mężczyzn w Waszyngtonie zetknęła się z systemem sądownictwa karnego czy czymś podobnym, tak? To pieprzone bzdury. Wszystkie liczby są przekłamane. Powinny być dużo większe. Chcesz wiedzieć, jak to jest w całej populacji? Wśród wszystkich mężczyzn? Liczba wszystkich mężczyzn, którzy zostali aresztowani, stanowi od jednej trzeciej do jednej drugiej całej populacji, może nawet nieco więcej, w zależności od tego, jak daleko sięgniesz - to znaczy, jaki przedział wiekowy rozpatrujesz - i co uważasz za aresztowanie.

- Dla mnie aresztowanie oznacza zakucie w kajdanki.

- Zgadza się. Zgadza się. Ale pomyśl tylko... - Ekonomista zupełnie nie zwracał na niego uwagi. W gabinecie nie było żadnych szaf na dokumenty, natomiast jedną ze ścian zajmowała biała tablica. Art Lewin rzucił się do niej, jakby rwał się do bitki, i za pomocą pary kolorowych markerów zaczął coś kreślić. Narysował linię pionową i biegnącą od jej początku

linię poziomą. Bruce rozpoznał układ współrzędnych. Następnie docent narysował wijącą się krzywą i oznaczył ją $f(x)$. - Powiedzmy, że jest to funkcja prawdopodobieństwa aresztowania, w zależności od wieku, dobra? Widzisz, jak ona opada? Nie ma jej dla niemowlaków - rozpatrujemy tylko osobników męskich, tak?, wznosi się po dziesiątym roku życia, a potem nagle gwałtowny wzrost, o tutaj, przed dwudziestką osiąga maksimum, a także zaraz po dwudziestce, a potem dosyć regularnie opada. Po trzydziestce jest już naprawdę nisko. W wieku pięćdziesięciu lat nikogo nie aresztują. To wszystko jest powszechnie znane, tak? A teraz popatrz tu. Ta krzywa - tu trzeba uważać - reprezentuje rozkład populacji pod względem wieku. Szybko się starzejemy. Zakładam, że wiemy, co to oznacza. Odpowiedź: przestępczość będzie spadać. Musi. To nieuniknione. Ponieważ to właśnie młodzi ludzie - stuknął markerem w tablicę - są przestępcami. Z wiekiem wszyscy zaczynają zachowywać się tak samo, przestają robić to, co wcześniej robili. Koniec z przestępstwami. No dobra, niech będzie, nie jest to zero, ale dowolnie mała liczba.

- Bo siedzą w więzieniu.

- To bardzo śmieszne. Nieźle. Ale nie. Nie. Dlaczego popełniają mniej zbrodni?

Odpowiedź: bo są starsi. Teraz możemy...

- Panie docencie, proszę. Proszę. Wykład możemy mieć później.

- Tak, wiem, wiem. Rozumiesz, o to tu chodzi? Spójrz. Widzisz te różnorodne punkty przecięcia? Wiesz, co to znaczy?

- Proszę, panie docencie. Chyba już wystarczy. Arthurze!

Ekonomista powoli odwrócił się na pięcie, na moment jego niewinne, szare oczy umknęły gdzieś poza ściany pokoju. Po chwili powrócił do rzeczywistego świata, ale jakiś ponury, jak popisujące się genialne dziecko, któremu niedoświadczony dorosły nagle przerywa arcyciekawy wykład.

- Przepraszam, myślałem, że to cię zainteresuje.

Bruce nie chciał go obrazić.

- To naprawdę fascynujące, panie docencie. Naprawdę. I być może innym razem wyjaśniłby mi to pan szczegółowo.

- Napisałem na ten temat artykuł. Gdzieś tu mam egzemplarz - sięgnął na półkę za biurkiem, starannie opisaną „REPRINTY PUBLIKACJI”, i wyciągnął artykuł długości ośmiu czy dziesięciu stron - który mógłbyś w wolnym czasie przeczytać. Wtedy szerzej byśmy o tym porozmawiali, dobrze?

- Jasne.

- Wiele istniejących na temat informacji jest po prostu błędnych. I ja to udowodniłem.

- Wierzę panu.

Zażenowany uśmiech.

- Wiem, że trochę bełkoczę. Bruce, ale uwielbiam moją pracę. Po prostu ją uwielbiam. Bruce uśmiechnął się w odpowiedzi. Uśmiech nic nie kosztuje.

- To widać.

- Musisz wiedzieć, Bruce, że jeszcze w latach czterdziestych i pięćdziesiątych - mówimy o latach powojennych, kiedy Ameryka zajmowała samotną i niekwestionowaną pozycję, pamiętasz te całe głupoty? - matematycy sądzili, że są w stanie wykreślić odpowiednią funkcję i w ten sposób rozwiązać wszelkie problemy społeczne. Nawet przestępczość. Mówię o ekonomistach zajmujących się matematyką.

- A teraz?

- Powiedziałbym, że nadal dominuje rozumowanie matematyczne. Trzeba mieć podstawy teoretyczne, ale profesjonaliści ponownie wykazują - i moim zdaniem zupełnie słusznie - coraz większe zainteresowanie matematyką stosowaną. Wielu z nas wydaje się, że nadszedł czas, żeby ruszyć w świat i go zbawić. Może ci się wydawać, że ja przesadzam, ale dobra, posłuchaj chwilę. - Jego ręce poruszały się gwałtownie, palce nieustannie pokazywały w przeróżne strony, energia tego człowieka była wprost zdumiewająca, jakby w pokoju znajdowała się trzecia osoba. - Powiedz, czym naprawdę jest ekonomia? Przygnębiającą nauką? Nie. Odpowiedź brzmi: jest to badanie dystrybucji towarów i usług poddanych ograniczeniom. Zapytajmy, co nie jest poddane ograniczeniom? Odpowiedź: nic. Strategia militarna, kampanie polityczne, jajka, nawet seks. Wszystko jest poddane ograniczeniom, Bruce. Dlatego też, w pewnym sensie, ekonomia stanowi swoiste podsumowanie wszystkiego, co w ludzkiej egzystencji ma jakieś znaczenie. My naprawdę dzierżymy w dłoniach narzędzia pozwalające zbawić świat. Nieźle, nie?

- I tak myślał Kellen Zant?

Szaleńcza energia Arthura Lewina zaczęła stygnąć. Nie ruszył się od białej tablicy, widać było, że nie ma zamiaru siadać, ale jego wąskie barki lekko opadły, a on tylko skinął podbródkiem dwa razy, jakby godząc się na wtargnięcie rzeczywistości.

- Tak, Kellen. Co za palant.

- Czy moglibyśmy chwilę o nim porozmawiać?

- O Kellenie? Posłuchaj, Bruce. Nie chciałbym, żebyś miał o nim błędne zdanie. To, co ludzie mówią, jest nieprawdą. On nie robił tego tylko dla pieniędzy. Zawsze powtarzał, że ekonomiści mogą sprawić, że świat będzie lepszy, wystarczy, żebyśmy skoncentrowali się na właściwych problemach.

- W zasadzie nie o tym chciałem rozmawiać - odrzekł uprzejmie Bruce.

- Nie? W takim razie o czym?

- Po pierwsze, chciałbym zapytać, kto mógłby go zabić?

Na jego twarz powrócił uśmiezek, choć nie było już widać tej satysfakcji, która świadczyła o tym, jak bardzo Arthur Lewin kocha swoją pracę. Tym razem jedynie akceptował niedorzeczne stwierdzenie.

- Podejrzewam, że ja mógłbym tego chcieć.

II

Szli przez główną część kampusu, ponieważ Art Lewin stwierdził, że wolałby odbyć tę rozmowę, spacerując, a należał do ludzi, którzy zazwyczaj robią to, na co mają ochotę - taki dorosły Nathaniel Knowland, tyle że dużo bardziej czarujący. Pod stopami chłupotał im topniejący śnieg. Bruce przypomniał sobie, że Art Lewin jest wschodzącą gwiazdą nauki. Poprzednik Bruce'a na stanowisku kierownika ochrony kampusu stracił pracę z powodu pewnego skandalu, z którym nic nie dało się zrobić, bo ten człowiek nie zatroszczył się odpowiednio o stosunki z kadrą uniwersytecką.

- Pozwól, że opowiem ci coś o pracy Kellena. I nie mam tu na myśli kwestii Zanta-Feldmana...

- Proszę wybaczyć, panie docencie. Inne osoby też wspominały mi o Zancie-Feldmanie, ale jak na razie nikt nie wytłumaczył mi dokładnie, co to takiego.

Art Lewin ponownie się uśmiechnął, na co Bruce odpowiedział uśmiechem, mile zaskoczony, że młody człowiek nie skrzywił się na jego pytanie, jak pewnie zrobiłoby to wielu profesorów. Byłemu oficerowi śledczemu przyszło na myśl, że miłość do swojego przedmiotu jest prawdziwą zaletą nauczyciela - jeśli lubisz rozmawiać o swojej dziedzinie nauki, nigdy nie zlekceważysz pytania ani osoby je zadającej.

- Jest to równanie służące do wyceny papierów wartościowych, zwłaszcza opcji na zakup akcji, tylko że w odróżnieniu od, powiedzmy, formuły wyceny Black-Scholesa, działa wstecz. Chcę przez to powiedzieć, że jest to metoda udzielająca odpowiedzi na pytanie: „Biorąc pod uwagę stan posiadanej obecnie wiedzy, jaka była wartość danej opcji zakupu akcji, kiedy była oferowana dziesięć lat temu?”. W rzeczywistości jest to naprawdę rozsądna miara niestabilności stochastycznej, korzystająca z różniczkowego... zresztą, mniejsza o to. No dobra. Musisz wiedzieć, że Kellen wymyślił tę metodę, kiedy był jeszcze na studiach doktoranckich w Dartmouth. A potem ten Feldman z Columbii pomógł mu ją dopracować,

kiedy Kellen przebywał tam przez kilka lat, prowadząc badania po doktoracie. I wiesz co, Bruce, to nieprawda, co ludzie mówią, że Kellen nie potrafiłby sam tego dokończyć. To tylko rasistowskie opinie, rozumiesz? Ale ty już chyba o tym wszystkim wiesz? W każdym razie chodzi o to, że równanie Zanta-Feldmana przysporzyło Kellenowi sporo pracy w charakterze konsultanta. Jasne?

Bruce wcale nie uważał, że czegoś się dowiedział.

- Jasne.

- Ale ostatnio już zupełnie nie zajmował się Zantem-Feldmanem. Próbował używać bardziej wyrafinowanych narzędzi w celu stworzenia rynków terminowych na podstawie zdarzeń. Chciał sprawdzić, czy specjaliści potrafią przewidzieć, co stanie się za rok czy za dziesięć lat na rynkach, powiedzmy, towarowych. Bo musisz wiedzieć, ten pomysł, że to szerokie rzesze ludzi mogą wiedzieć najlepiej, jest ostatnio bardzo popularny. To nie jest nowa idea w ekonomii. Właśnie tak funkcjonują rynki. Teoria chaosu również tego dotyczy. Spotkałeś się z tą literaturą? W ostatnich czasach wiele z tego trafia do prasy popularnej. - Powiedział to tak, że słowo „popularnej” zabrzmiało jak coś nieprzyzwoitego.

- Obawiam się, że mi to umknęło.

Powątpiewające skinienie głową. Bruce od razu zauważył, że tego Art Lewin nie pojmuje.

- Załóżmy, że chcesz określić, ile żelków znajduje się w słoiku. Okazuje się, że najlepiej zapytać jak największą liczbę osób, a potem wyciągnąć średnią z ich odpowiedzi. Nawet jeśli żadna z udzielonych odpowiedzi nie jest bliska prawdy, istnieje pewne prawdopodobieństwo, że średnia okaże się zbliżona do wartości rzeczywistej. Im więcej osób odgaduje, tym odpowiedź jest bliższa prawdy. Ponieważ błędy poznawcze w sumie równoważą się, tak? Albo załóżmy, że chcesz odgadnąć wyniki wyborów. Czy powinieneś zapytać ludzi, na kogo będą głosować? Odpowiedź brzmi: nie. Tak robią głupie media. Prognozy bliższe prawdy uzyskasz, pytając ludzi, kto ich zdaniem wygra. Co by się stało, gdybyś zebrał razem, powiedzmy, cały rynek elektroniki, i pozwolił ludziom zawierać kontrakty terminowe na podstawie wyników wyborów? Okaże się, że zazwyczaj uzyskane wyniki są bardzo zbliżone do rzeczywistego podziału głosów. Nieźle, nie?

Bruce jeszcze raz spróbował delikatnie przywołać Arta Lewina do porządku, przekonany, że jeśli go nie powstrzyma, uczoney może tak ciągnąć przez całe popołudnie.

- Panie docencie, to wszystko jest ogromnie interesujące i z chęcią wysłucham wszystkich szczegółów, kiedy obaj będziemy mieli więcej czasu. Teraz jednak wołałbym mówić o nieco bardziej konkretnych sprawach.

- Konkretnych? - jak echo odpowiedział ekonomista, wzdrygając się z odrazą, jakby chciał dać znać, że prawdziwe znaczenie miały tylko te wielkie abstrakcje. - Jak konkretnych?

- Powiedzmy, o Kellenie Zancie. I nie o jego pracy. O nim jako człowieku.

- Praca była dla niego wszystkim. Nie zrozumiesz go, jeśli nie zrozumiesz jego pracy.

- Panie docencie, ale ja wcale nie próbuję go zrozumieć. Ja staram się zrozumieć, co dokładnie mu się przytrafiło. - Pospiesznie starał się wykorzystać przewagę, jaką uzyskał, kiedy Art Lewin wciąż jeszcze się nad tym zastanawiał. - Może zaczniemy od tego, kiedy ostatnio pan go widział?

- Ostatni raz Kellena widziałem, już to mówiłem policji, w dzień jego śmierci. W piątek. Graliśmy w moim gabinecie w szachy, jak zawsze w piątek. Partie błyskawiczne. Po pięć minut dla każdego. W ten sposób mogliśmy rozegrać dostatecznie dużo partii, żeby uzyskać realistyczny... - Ekonomista urwał, siedzące w nim dziecko stawiało odpór jeszcze niepostawionym oskarżeniom. - Rozumiesz, Bruce, my w ten sposób się bawiliśmy, jasne? Niektórzy grają w piłkę, inni się upijają. Chociaż nie, to nie jest dobry przykład, ja też się upijam. Ale niektórzy... sam nie wiem, puszczają latawce albo robią coś podobnego.

- O której to było? Kiedy przyszedł do pańskiego gabinetu?

- Ach, gdzieś koło czwartej. Zazwyczaj o tej godzinie się spotykaliśmy. Co prawda, ja wtedy nie patrzyłem na zegarek. Ale podejrzewam, że była czwarta.

- Kto wygrywał partie? W ten piątek, zanim zginął? - Bruce pozwolił sobie na delikatne, ale tylko nieznaczące, okazanie zniecierpliwienia.

- No cóż, to ja wygrałem więcej partii - odparł ekonomista, jakby Bruce nie rozumiał istoty rzeczy. - Ale nie to się liczy. Kellen był jakiś zdenerwowany. Jego umysł nie skupiał się na szachach. A poza tym, w zasadzie nie dokończyliśmy gry. Zazwyczaj graliśmy do dziesiątej. Posyłaliśmy po chińszczyznę, rozmawialiśmy o pracy, graliśmy w szachy. Ale w piątek skończyliśmy wcześniej. - Zatrzymał się przed wielką zaspą śnieżną, odwrócił się i uniósł rękę, jakby chcąc uprzedzić sprzeciw, który na pewno zostanie wyrażony. - Zaczekaj, Bruce. Zaczekaj. Chciałbym, żeby jedno było jasne, dobrze? To nieprawda, co mówią o Kellenie. On był człowiekiem wybitnym. Tak wybitnym jak ja. On nie tylko zajmował się doradztwem. Praca naukowa była dla niego naprawdę ważna. Wcale nie był leniwy. To takie rasistowskie gadanie. Pracował nad tą książką o grach i bardzo poważnie to traktował. Zajmował się wieloma projektami.

- Nie wątpię w to - odezwał się Bruce, po dokonaniu krótkiej oceny i uporządkowaniu myśli. Niebo nad nimi wisiało złowieszczo, ale miał wrażenie, że ani ciemności, ani chłód nie są w stanie wybić Arta Lewina z tego nabrzmiałego podnieceniem akademickiego rytmu.

- A do tego miał też ten nowy projekt. Zajmował się nim mniej więcej od roku. Bardzo poufny. Miało to być jakieś nowe spojrzenie na stary problem. Nic więcej nie powiedział. Miał zarobić na tym miliony. Sam tak powiedział, Bruce. Miliony.

- Nie wątpię. Ale w ten wieczór, kiedy zginął, co razem robiliście?

- Graliśmy w szachy. I nagle on po prostu sobie poszedł.

- O której godzinie?

- Nie było późno. Nie wiem. O piątej. Piętnaście po piątej. Zapytałem Kellena, bo go zapytałem, powiedziałem: „Czemu tak się spieszysz?”. Odrzekł, że jest umówiony. A ponieważ ja znałem jego reputację, Bruce, doszedłem do wniosku, że chodzi o kobietę. Prawdopodobnie o mężatkę. On wolał mężatki, chyba już o tym wiesz, co? Nie? Powiadał, że bardziej lubi mężatki niż kobiety samotne, i dobrze, żeby miały w domu dwójkę lub trójkę dzieci, im młodsze, tym lepiej. Mówił, że jest to mniej skomplikowane. Kellen był trochę - trudno to określić - chyba bał się zaangażować. To jego upodobanie do mężatek można potraktować jako racjonalną strategię maksymalizacji seksualnej satysfakcji przy minimalnym ryzyku zaangażowania. Bo wiesz, Bruce, zaangażowanie wiąże się z kosztami. Są to koszty utraconych korzyści, wartość konsumpcji tego, co można dostać w zamian, a do tego pojawia się poważne ryzyko ewentualnych konsekwencji. Można by to nazwać ryzykiem skutków zaangażowania. Powiedzmy, ryzyko popełnienia błędu. Na przykład nagle okazuje się, że nie cierpisz swojej małżonki. Albo że bardziej kochasz inną osobę. Bo wiesz, niektórzy zawierają związki małżeńskie, czy też w inny sposób się angażują, traktując to jako formę zarządzania ryzykiem, na przykład ryzykiem samotności. Oczywiście, cokolwiek by robić, jest to jakiś kompromis. A w przypadku Kellena chodziło o to, że on chciał uniknąć ryzyka utraty wolności. Oczywiście, można przyjąć przeróżne strategie i jego upodobanie do mężatek można również postrzegać jako pewną formę zabezpieczenia. Bo jeśli się nad tym zastanowić, sypianie z mężatkami jest w pewnym sensie bardziej kosztowne niż sypianie z kobietami samotnymi. Ten koszt to wartość ryzyka, że zostanie się przyłapanym, strata, jeśli rzeczywiście wpadniesz, pomniejszona o prawdopodobieństwo takiego zdarzenia. Taki dodatkowy koszt reprezentuje kwotę, którą osoba niechętna zaangażowaniu się gotowa jest zapłacić, powiedzmy, żeby wykupić ubezpieczenie na wypadek skończenia w zaangażowanym związku, którego on...

I jeszcze raz, bardzo delikatnie, Bruce Vallely przywołał swojego rozmówcę do porządku.

- Gdybyśmy tak mogli wrócić do momentu, kiedy profesor Zant wyszedł. Powiedział, że idzie na spotkanie, a pan uznał, że ma się spotkać z kobietą.

- Zgadza się. To właśnie...

- Czy on wyjaśnił sprawę? Czy powiedział panu, że ma się spotkać z kobietą, obojętnie czy z mężatką, czy nie?

Doszli już do budynku Science Quad, efektownego kanciastego okropieństwa, w którym uniwersytet pokładał swoje nadzieje na przyszłość, czego dowodem był fakt, że w najbliższej przyszłości miało tu powstać centrum nowoczesnych technologii. Mijały ich grupki studentów idących szybkim krokiem i pochłoniętych swoimi sprawami.

- Nie - odrzekł Art Levin, górując nad Bruce'em, ponieważ wdrapał się na brudną stertę śniegu zgarniętego pod ścianę centrum komputerowego przez pług, którego kierowca, z niezgłębionych przyczyn, postanowił usunąć czysty biały całun z trawnika. - Nie, nie powiedział mi. Ale pozwolił sobie na żarcik. Powiedział, że być może wybierze się na Jamajkę.

- Na Jamajkę? Tak powiedział?

Ekonomista skinął głową.

- Powiedział, że ma tam pilną sprawę do załatwienia. Na Jamajce.

- Jest pan pewien, że mówił o Jamajce?

Art nadal wspinał się po śniegu, jakby ten fizyczny dystans miał zapewnić mu odpowiednią perspektywę, a może po prostu miał już dość tego przesłuchania. Przestało go bawić, a dla takiego światowca, jak Arthur Lewin, wychowanego w przeświadczeniu, że jeśli tylko jesteś mądry, wszystko będzie dobrze się układać, życie powinno być zabawne, bo w przeciwnym razie nie warto byłoby żyć.

- Zgadza się. Powiedział, że wybiera się na Jamajkę i że jeśli mam choć trochę oleju w głowie, domyślę się, o co mu chodzi. On lubił mówić w ten sposób, Bruce. Tylko trochę oleju w głowie.

- Powiedział, że pan powinien domyślić się, gdzie on się wybiera?

- Tak. Jakby to była jeszcze jedna z tych jego gier. - Art dotarł już na szczyt kopy, nogami stał prawie dwa metry nad ziemią i kręcił się ostrożnie w miejscu, pan wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu wzroku. Odezwał się, ciszej, bo Bruce zbliżył się już do niego. - Przypomniałem mu, że jeśli to ma być zagadka, powinien zostawić mi jakieś wskazówki. I wiesz, co on powiedział? Powiedział: „Już to zrobiłem”.

III

Brnąc w śniegu, opuścili nasyp, wspomagani w zejściu przez bijące powietrze ramiona Arta

Lewina. Ale to nie była oznaka dobrego humoru. Bruce odgadł, o czym ten młody mężczyzna myśli. O tym, że jego przyjaciel i mentor naprawdę odszedł. Powracał wspomnieniami do wspólnie spędzonych dobrych czasów - równania, szachy, dyskusje, rywalizacja - to wszystko uświadomiło mu, jak wiele utracił.

- Proszę dobrze się zastanowić.

- Dobrze się zastanawiam. - Art Lewin mówił teraz rozdrażnionym głosem.

- Nie zostawił żadnej wiadomości? Jakiś e-mail wysłany w ostatniej chwili? Może równanie wypisane na tablicy? Jest pan pewien, że nie zostawił absolutnie żadnej wskazówki, co ma znaczyć ta Jamajka?

- Jestem pewien. Tak, jestem pewien.

- A może anonim? Na przykład wiadomość z jakiegoś źródła, które...

- Nie ma absolutnie nic, Bruce. Naprawdę. Czy sądzisz, że ja nie łamałem sobie nad tym głowy, próbując coś znaleźć? - Chłopięce westchnienie. Dotarli do chodnika, obryzgiwanego przez pędzące samochody lodowatym prysznicem brudnego błota pośniegowego. Nagle się ożywił. - Chociaż miałem pewien pomysł.

- Proszę dalej.

- No wiesz, jak mówiłem, on lubił kobiety. Pomyślałem więc, że może planował, no wiesz, spotkać się z jakąś kobietą. Może kobietą z Jamajki. W jakimś motelu, czy gdzieś tam, miał spędzić z nią weekend.

- Po co miałby jechać do motelu? Przecież mieszkał sam, prawda?

- To prawda. - Art Lewin irytował się, że nie potrafi tego zrozumieć. Po chwili się rozchmurzył. - A może miała do niego przyjść jakaś Jamajka?

Idący obok Bruce spojrzał na swojego towarzysza, a w jego głowie zaczął formować się pewien pomysł. Docent, wyczuwając to badawcze spojrzenie, które chyba niezbyt mu się podobało, zwiększył dzielący ich dystans. Przeszli przez bramę z kutego żelaza i powrócili do tak zwanego budynku Original Quad.

- Czy pan i profesor Zant rozmawialiście kiedyś o Lemasterze Carlyle'u?

Jabłko Adama w wychudłej szyi profesora wyraźnie się poruszyło.

- Ach, no wiesz, wszyscy mają swoje opinie o Lemasterze. Ale my tylko tak sobie gadaliśmy.

- Czy słyszał pan, że Zant mógłby żywić do niego jakąś urazę?

- Cóż, Kellen należał do takich ludzi, którzy żywią wiele uraz, ale w jego przypadku dotyczyły ludzi, których nigdy w życiu nie spotkał. No wiesz, jacyś politycy, aktywiści, komentatorzy polityczni, ludzie, którzy jego zdaniem marnowali swoje wpływy. - Trochę się

wyprostował, powróciwszy na bezpieczny teren. - Wiesz chyba, Bruce, że istnieje ta cała polityczno-naukowa literatura o motywacjach kierujących politykami? Co może być najlepszą metodą przewidywania ich głosów? Odpowiedź: chęć ponownego wyboru. Bronienie jakiegś niepopularnej zasady stanowi tak drobny element polityki, że większość badań nawet tego nie bierze pod uwagę. Kellen nienawidził tych, którzy za wszelką cenę parli do przodu i zrobiliby wszystko, żeby zostać na swoich stołkach.

Podobnie jak Lemaster Carlyle, pomyślał Bruce, chociaż zastanawiał się też, czy ze względu na swoje uprzedzenia, nie postrzega tego błędnie.

- A co z panią Carlyle...?

W dzielącej ich przestrzeni natychmiast pojawił się jakiś sprzeciw, mający zdusić w zarodku tę dopiero rodzącą się ideę.

- Nie, Bruce. Nawet tak nie myśl, zgoda? To się skończyło już dawno temu. Kellen lubił mężatki, ale nie był wariatem.

- Wariatem?

- Nie romansuje się z żoną takiego człowieka jak Lemaster Carlyle. Nikt by się nie ośmielił tego zrobić. Bez względu na to, jakie plotki słyszałeś o tym, co między nimi było, czy też czego nie było. A poza tym... wiem, że Julia jest kobietą atrakcyjną, ale ona ma coś koło czterdziestki, prawda? To trochę za dużo jak na Kellena. On wolał młodsze.

- Dlaczego nie?

- Dlaczego nie co?

- Dlaczego nie romansuje się z żoną takiego człowieka jak Lemaster Carlyle? Dlaczego miałyby to być szaleństwem?

Sądząc po wyrazie twarzy Arta Lewina, to właśnie Bruce był wariatem.

- Daj spokój - powiedział i roześmiał się, choć z trudem. - Nie sądzisz chyba, żeby mu się to spodobało, co?

- Chyba nie - odrzekł Bruce, przekonany, że o czymś chyba nie wie. Zatrzymali się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami budynku. Stary żelazny zamek już nie działał. Art wyjął elektroniczny klucz do wejścia. Bruce dysponował kluczem uniwersalnym, otwierającym wszystkie drzwi na terenie kampusu.

Ekonomista spojrział w niebo, a Bruce przygotował się na wykład o przyczynach zmian pogody. Ale młody człowiek tylko posmutniał.

- Wiesz co? Nie tylko Kellen nie cierpiał Lemastera Carlyle'a. Wydaje mi się, że Lemaster też nie przepadał za Kellenem.

- Dlaczego tak mówisz?

- Wiesz, był ten spór, o którym pisały gazety. Ale to zaczęło się wcześniej. Widziałem ich kiedyś razem na posiedzeniu senatu uczelni, gdy Lemaster był jeszcze profesorem prawa, zanim pojechał do Waszyngtonu i tak dalej. Ja właśnie skończyłem studia doktoranckie. Wówczas senat debatował nad propozycją komisji, żeby do kodeksu etycznego uniwersytetu wprowadzić zmiany całkowicie zakazujące współżycia seksualnego między wykładowcami a studentami, niezależnie od okoliczności. Lemaster bardzo wspierał tę propozycję. Kellen był jednym z przywódców opozycji, ponieważ, jak sam powiedział, ludzie dorośli sami powinni podejmować decyzje, ale możemy uznać, że mówił to trochę we własnym interesie. W każdym razie, podczas przerwy wpadli na siebie na korytarzu i Kellen zapytał Lemastera, dlaczego on tak zaciekle walczy, skoro dla wszystkich jest oczywiste, że ta propozycja zostanie oddalona bez głosowania. Lemaster spojrzał na niego, zmierzył go tym swoim stalowym spojrzeniem, no wiesz, wzrokiem wyrażającym ojcowską pogardę, a potem powiedział: „Ty sprzeciwiasz się temu zapisowi. To wystarczy, żebym go popierał”. Kellen odparł na to: „Nie traktuj tego tak osobiście”, czy też coś podobnego. Lemaster nadal mu się przyglądał, jakby obserwował interesujący gatunek gryzonia. „To nie jest kwestia osobista” - odrzekł. - „To kwestia urzędowa. Po prostu uważam, że jesteś człowiekiem niebezpiecznym”. Coś w tym sensie.

- Czy ktoś jeszcze słyszał tę wymianę zdań?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Może. Na korytarzu było sporo ludzi. Co prawda ani Lemaster, ani Kellen nie krzyczeli, nic podobnego, obaj byli dosyć uprzejmi, ale chyba nie zwracali uwagi na to, że ktoś może to usłyszeć.

Bruce zastanowił się nad usłyszaną opowieścią. Trochę to niezbyt przekonujące, stwierdził. Nawet w połączeniu z tym, co Art opowiedział mu o wydarzeniach w noc morderstwa, nadal było to nieprzekonujące.

- Rozumiem - skwitował to jednym słowem.

Chwila przerwy, podczas której obaj mierzyli się wzrokiem jak pokerzyści.

- Jeśli nie jestem ci już potrzebny, chciałbym zabrać swoją torbę i iść do domu... - zaczął Art.

- Jeszcze moment.

- Bruce, jestem zmęczony. - Powróciło nadąsane dziecko.

- Jeszcze tylko jedno.

Art westchnął ciężko i rozejrzał się dookoła, jakby spodziewał się skądś pomocy. Podczas ich przechadzki nad kampus nadciągnął szary zmierzch. Lodowaty wiatr stanowił zapowiedź jeszcze gorszej pogody. Docent wcisnął delikatne ręce do kieszeni, z nienawiścią

patrząc na kierownika ochrony kampusu, a Bruce'owi nagle przyszło do głowy, że Art Lewin musi być człowiekiem okropnie nieszczęśliwym.

- Jasne, Bruce, jasne. Jeszcze tylko jedno.

- Kiedy byliśmy w gabinecie, powiedział pan, że to pan mógłby chcieć śmierci Kellena Zanta.

Oczy młodego człowieka rozszerzyły się.

- Ale ja nie mówiłem tego poważnie. To było coś w rodzaju... to była tylko taka uwaga.

- Czy mógłby pan trochę to rozwinąć?

- To żadna tajemnica, Bruce. Omawiałem to z oficerami śledczymi. Jeśli szukasz motywu, sprawdź mężów uwiedzionych przez niego kobiet. Jeden z nich z pewnością jest dostatecznie wkurzony. - Krótka przerwa. - Albo dostatecznie zraniony.

Bruce nagle zrozumiał. Pamiętał tę fotografię na jego biurku - dwójka dzieci, bez matki. Spojrzał na lewą rękę Arthura. Nie zobaczył obrączki, ale został ślad, kiedyś tam była.

- Pan jest po rozwodzie.

- Zgadza się.

- Czy Kellen Zant miał z tym coś wspólnego?

Art Lewin ponownie uciekł wzrokiem, a podskakujące jabłko Adama świadczyło o jakiejś wewnętrznej rozterce. Na jego dziecięcej twarzy wystąpił rumieniec i pojawił się na niej wyraz bólu.

- Można by tak powiedzieć.

- Kellen... sypiał z pana żoną?

- Ukradł mi żonę.

- Co?

- On trochę się przeliczył. - Przenikliwy śmiech, jakby na poły szalony. - Carol zostawiła mnie, dzieci i wszystko, co mieliśmy, i pognała za nim. Tego nie brał w rachubę.

- Pańska żona zostawiła pana dla Kellena Zanta? Kiedy to było?

- Jakieś dziewięć, dziesięć miesięcy temu. Więcej. To już prawie rok, jeśli dobrze się nad tym zastanowić.

Bruce zmarszczył brwi. Żadne z jego źródeł informacji nic mu o tym nie wspomniało, nikt nawet słówka nie szeptął.

- Przepraszam, Art - powiedział - ale chciałbym to zrozumieć. Żona zostawiła pana dla tego mężczyzny, a pan dalej grywał z nim w szachy? W każdy piątek po południu?

- Ja zniecierpliwiłem tylko człowieka. Nie zmniejszyło to mojego podziwu dla jego

umysłu.

Tego było już za wiele dla Bruce'a, postanowił zatem później nad tym się zastanowić.

- Czyli... pańska żona... Carol... co zrobił Kellen, kiedy ona powiedziała, że odchodzi od pana?

- Kellen? A jak myślisz, co on mógł zrobić? Już mówiłem, on nie chciał się angażować. Odesłał ją z powrotem. Powiedział, że nie tak się umawiali.

- Odesłał ją z powrotem... do pana?

Art skinął głową.

- Przyszła w środku nocy i zaczęła dobijać się do drzwi, i to dzień po swoim odejściu. Zapłakana, nieszczęśliwa, mówiła, że popełniła wielki błąd. Wydało mi się to zabawne. Wręcz ryczałem ze śmiechu. Wpuściłem ją, ale nazajutrz powiedziałem jej, że się wyprowadzam.

Bruce'owi kręciło się w głowie. Jakoś nie potrafił wyobrazić sobie tego śmiechu. Ale kiedy spojrzał na smutną, zachłanną twarz młodego mężczyzny, już nie miał z tym problemu.

- Wpuścił ją pan, ale sam się wyprowadził?

- Nie. Tylko powiedziałem, że tak zrobię. W rzeczywistości, nie miałem takiego zamiaru.

- Rozumiem - rzekł Bruce, choć nie rozumiał absolutnie nic. - Może powinienem porozmawiać z Carol. Gdzie ona jest teraz?

- W domu.

- W domu? To znaczy u rodziców?

- Nie, Bruce. W domu, to nie znaczy, że u rodziców. W domu, to znaczy w naszym domu. Dlatego muszę już iść. Carol czeka z obiadem.

- Ale ja myślałem, że wy jesteście... no...

- Po rozwodzie. Zgadza się.

- To w jaki sposób...

- Bruce, my tylko się rozwiedliśmy. To nie oznacza, że nie możemy razem mieszkać. Takie podejście pozwala właśnie na racjonalne zarządzanie ryzykiem. Nie ma żadnych prawnych przeszkód, jeśli któreś z nas chciałoby dokonać jakichś zmian, a tymczasem Carol i ja korzystamy ze wszystkich przywilejów życia małżeńskiego. Czasami ona może zapragnąć spędzić z kimś noc. Albo ja. Albo też oboje. - Zimowa bladeść jego twarzy nabrała rumieńców. - W takich sytuacjach dziećmi zajmuje się moja teściowa. Chociaż w zasadzie ona już nie jest moją teściową, prawda? Chyba nie ma na to odpowiedniego określenia. Eks-teściowa? Sam nie wiem. W każdym razie chodzi o to, że Carol i ja możemy swobodnie

spotykać się z innymi ludźmi. Jeśli chcemy coś takiego zrobić, nic nie stoi na przeszkodzie. Pod tym względem ta historia z Kellenem wyszła nam na dobre. Można by powiedzieć, że w jakiś wyzwalający sposób wpłynęła na nasze zdolności racjonalnego myślenia. Nie jesteśmy już spętani żadnymi sztucznymi ograniczeniami. Możemy podejmować decyzje na podstawie lepszych informacji. Możemy skuteczniej poszukiwać szczęścia. - Głowa Arta Lewina podskakiwała, jego dziecięca twarz uśmiechała się, głos stał się silniejszy, a on sam zdawał się nie zauważać, że stojący obok niego Bruce aż dygocze ze zdumienia i wściekłości. - Wiesz, wiele par żyje ze sobą bez ślubu. Tak będzie wyglądać przyszłość. Nawet nie mam pewności, czy istnieje jeszcze jakiś racjonalny argument za tradycyjnym małżeństwem. Bez zewnętrznych nacisków, religijnych czy społecznych, które zmuszałyby do małżeństwa, żadna racjonalnie myśląca i maksymalizująca swój dobrobyt jednostka nie będzie decydować się na zawarcie małżeństwa. Prawdę mówiąc, przy tym tempie wzrostu liczb możemy się spodziewać...

Chociaż Art Lewin wciąż jeszcze snuł swoje nużące teorie, Bruce, nie mogąc już tego znieść, usunął się w cień. Doszedł do wniosku, że on sam nie nadaje się do tego życia w kampusie.

Młody ekonomista twierdził, że nie ma żadnych racjonalnych argumentów za tradycyjnym małżeństwem, a Bruce Vallely poczuł do niego jakąś głęboką niechęć za te słowa. Mógł przytoczyć doskonale racjonalny argument, chociaż podejrzewał, że ten nowocześnie wyedukowany uczoney nigdy tego nie zrozumie. Dla Bruce'a, argument za małżeństwem składał się z jednego pięknego słowa: Grace.

Rozdział 19

Kłopotliwa skarga

I

Powróciwszy do swojego biura na kilka cennych minut, zanim pospiesznie udał się do domu, by zdążyć przed burzą, Bruce zadzwonił do Ricka Chrebeta. Nie mógł już prosić o zbyt wiele, ale jeśli czegoś potrzebował, to potrzebował. Tym razem, dla odmiany, Rick był przy swoim biurku i udzielił mu odpowiedzi - tak, długo rozmawiali z Artem Lewinem, zanim wstrzymano postępowanie, i owszem, zwrócili uwagę na tę uwagę o Jamajce. Tak, sprawdzili to, zapewnił Rick, po odejściu Bruce'a nie utracili wszelkich kwalifikacji. Ale nie, w żadnym komputerze nie było informacji o jego planach na najbliższy weekend ani najbliższą przyszłość, żadnej Jamajki, Karaibów, żadnych przelotów, hoteli, wynajmu samochodów, biletów na rejsy wycieczkowe, absolutnie nic. Zant właśnie powrócił z podróży do Dallas i Atlanty, gdzie pojechał z prezentacją dla swoich klientów. W drodze powrotnej zatrzymał się w Arkadelphii, gdzie odwiedził stryja. Tydzień po morderstwie ekonomista miał się wybrać do Los Angeles na spotkanie z innym klientem, ale nie dokonał jeszcze żadnej rezerwacji - dział obsługujący wyjazdy w przedsiębiorstwie klienta czekał na informację od Zanta.

- W pierwszej klasie - dodał Rick, z podziwem w głosie.

Zant zarezerwował sobie również lot, wcześniej wykupując bilety, żeby zaoszczędzić kosztów gospodarzowi, na kwietniową konferencję odbywającą się na University of Chicago, gdzie miał przedstawić referat na temat optymalnego poziomu cudzołóstwa.

- Poważnie - dodał Rick. - I jeszcze jedno, - rzekł, ścisząc głos - Zant ostatnio korzystał na autostradach w Massachusetts ze swojego elektronicznego modułu automatycznego systemu poboru opłat. Nie zatrzymał się jednak w żadnym hotelu ani motelu, nie widział go tam też żaden z jego znajomych z północnej części Nowej Anglii.

Taka zagadka, zakończył Rick.

Bruce zgodził się z nim.

- Wygląda na to, że Kellen Zant prowadził działalność doradczą na szeroką skalę.

- To prawda - przyznał Rick.

- Wiesz może, nad czym pracował, kiedy zginął? - Długa pauza, podczas której dwa znajome psy z nieufnością obwąchiwały się nawzajem. - Czy temat jego pracy objęty jest tajemnicą państwową?

Ku zaskoczeniu Bruce'a, ta cięta uwaga nie wywołała wybuchu śmiechu, nawet wymuszonego, który miałby dać mu do zrozumienia, że wcale nie jest zabawny. Zamiast tego nadal trwała cisza, jakby Rick Chrebet rozważał smutne możliwości, których jego dawny kolega nawet nie mógł sobie wyobrazić. Kiedy Rick się odezwał, w jego zazwyczaj oschłym głosie brzmiała niechęć.

- Bruce, to był napad w celach rabunkowych. Chyba o tym wiesz, prawda?

- Czytam gazety, ale...

- My nie sprawdzamy jego działalności doradczej ani jego prywatnego życia, ani niczego innego. - Słowa wypowiedane powoli i aż nazbyt wyraźnie. - Szukamy uzbrojonego złodzieja, który strzela swoim ofiarom w głowę. Kropka. Wkrótce ukaże się oficjalne oświadczenie w tej sprawie.

- Założmy, że tu nie chodziło o rabunek. Założmy...

- Rozważano inne możliwości. Ale zostały już wykluczone.

- Czy to oznacza...?

Rick okazał się nieprzejednany, nawet jeśli był nastawiony przyjaźnie.

- Bruce, znamy się od dawna. Doskonale wiem, jak pracuje twój podejrzliwy mózdek. Wiem, że się zastanawiasz, dwa strzały jeden po drugim, tył głowy, wygląda na robotę zawodowca. Podejrzewasz też, że to, nad czym Zant pracował, musiało przerazić kogoś ważnego. Ale mylisz się, Bruce. Te możliwości zostały już wykluczone.

Bruce się zastanowił. Od wieków byli kolegami, przyjaciółmi prawie tak samo długo, i wiedzieli, jak skrycie przekazać sobie wiadomości. Rick celowo używał strony biernej. Nie powiedział, że on sam czy jego ludzie zdecydowali nie zajmować się innymi możliwościami. Powiedział, że zostały wykluczone, sugerując, że ktoś inny to zrobił. W związku z tym Bruce, równie ostrożnie odparł:

- Jeszcze momencik. Rozumiem, to był napad rabunkowy. Przyjmuję to do wiadomości. Ja tylko chciałbym wyjaśnić kilka szczegółów.

Rick roześmiał się niewesoło i nagle Bruce odniósł wrażenie, że jego stary kolega, zazwyczaj tryskający humorem, jest autentycznie zakłopotany, a nawet nieszczęśliwy.

- Bruce, ty już nie jesteś gliniarzem. Wyjaśnianie szczegółów nie należy już do twoich obowiązków.

- Ale nie tych szczegółów. To są kwestie związane z uniwersytetem. Ja nie... pracuję

nad tą sprawą.

I znowu długo musiał czekać na odpowiedź i zastanawiał się, jakąż to niewidzialną linię przekroczył. „Musiało to przerazić jakąś ważną osobę”. Z sekretariatu dochodziły jakieś krzyki o meczu koszykówki, trwało wielkie zamieszanie. W końcu Rick się odezwał.

- Przykro mi, Bruce. Jego praca to ślepa uliczka. Taki jest nasz wniosek.
- Czyj wniosek?

I znowu ta opieszałość, słowa wyciągane jak ciężki skarb zakopany w grobie.

- Bruce, ja naprawdę nie mogę wchodzić w takie szczegóły.
- To rzeczywiście aż tak wysoko zaszło? To chcesz mi powiedzieć?

Ponownie cisza w słuchawce. Zapowiadany śnieg stukał w okno, bo w rzeczywistości był to głównie deszcz. Jeśli w ogóle spadały jakieś płatki, natychmiast się topiły, zanim zdążyły się przylepić do podłoża - trochę podobnie jak oficjalne dochodzenie. Bruce zastanawiał się, dlaczego jego kolega, początkowo tak otwarty, wyraźnie spowolnił przepływ informacji, kiedy doszli do tematu pracy Kellena.

- Przepraszam - odezwał się w końcu Rick, a Bruce zdał sobie sprawę, że nie powinien mocniej naciskać. Już wcześniej prosił o możliwość sprawdzenia tego audi oraz domu Zanta, ale mu odmówiono. Jeśli będzie prosił o zbyt wiele, nawet Rick osiągnie punkt, kiedy bez żadnych skrupułów będzie mu odmawiał.

- No dobra. Jeszcze tylko jedna sprawa.

- Jasne, Bruce - odparł jego kumpel od golfa, aczkolwiek w suchym głosie pojawiła się nutka ostrzeżenia.

- Powiadają, że Kellen Zant był kobieciarzem. Podobno szczególnie lubił mężatki.

- To nie jest pytanie. - Głos zabrzmiał zniecierpliwieniem, najwyraźniej kończyły się już specjalne względy.

- Musieliście rozmawiać z niektórymi, powiedzmy, zainteresowanymi mężami.

- I z żonami. O co dokładnie chodzi?

- Czy ktoś z nich... Czy któryś z nich był brany pod uwagę jako podejrzany?

Cisza na drugim końcu linii. Szelest papierów. Głosy w tle. Czy Rick odłożył słuchawkę? Nie. Odłączył zestaw słuchawkowy i teraz mówił bezpośrednio do mikrofonu.

- Bruce, chyba przesadzasz. Nie mogę o tym rozmawiać.

- Rick, daj spokój. Przecież to ja.

- Tak, Bruce, to ty. Pobijesz mnie, jeśli nie powiem?

- Dobrze wiesz, że nigdy niczego takiego nie zrobiłem.

- Niektórzy z tych gości, których tu zaciągnąłeś, z pewnością sądzili, że stać cię na to.

- Ciężkie westchnienie. - Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że chyba kilku z nich złożyło skargi z powodztwa cywilnego.

- Co? Niczego takiego nie było.

- Wydaje mi się, że tak.

- O co chodzi, czy to jakieś żarty?

Chociaż Rick nie używał już zestawu słuchawkowego, jego głos nadal był jakiś zdystansowany i suchy.

- Obecnie rozpatrywanych jest kilka takich skarg. Być może złożono je, kiedy już odszedłeś ze służby.

- Przecież są jakieś przepisy. Wydział poinformowałby mnie o tym.

- Musiało umknąć czyjejs uwadze.

Bruce przeciągnął dłonią po krótkich szczeciniastych włosach, próbując ogarnąć rozumem coś, co mogło być tylko pogrózką.

- Rick, co ty mi mówisz? Czyżbym był objęty śledztwem?

Przerwa. Głos powrócił, już nie tak oschły.

- Chcę tylko powiedzieć, że na twoim miejscu uważałbym na siebie.

II

Bruce pożegnał się z ludźmi pracującymi na nocną zmianę, którzy właśnie nadeszli, dyspozytor i sierżant w budynku, para radiowozów w terenie, trzech funkcjonariuszy i jeden pracownik administracyjny na cały, liczący kilkaset akrów, kampus - ich zrównoważony budżet ledwo zipsał. Kolejnych sześć radiowozów i trzy furgonetki stały za bramą z siatki, czekając na następny dzień pracy i na dzień zwiększenia finansów. Pchnął dwuskrzydłowe szklane drzwi i wyszedł na parking. Nigdy nie stawiał forda mustanga w miejscu wyznaczonym dla jego samochodu, ponieważ zbyt wiele kłopotów sprawiało mu wycofanie auta i zawrócenie. Od kiedy odeszła żona, a dzieci dorosły, dbałość o stan gładkiej czerwonej karoserii była jedynym sposobem na wypełnienie potrzeby troszczenia się o cokolwiek. Otworzył drzwi i uśmiechnął się ponuro, wspominając te wszystkie lata, podczas których otwierał przed Grace drzwi od strony pasażera, ponieważ jego żona zdecydowanie uważała się za osobę krańcowo wyzwoloną, z wyjątkiem tego... no, tego, kto ma pierwszeństwo.

Kiedy tak rozmyślał o Grace, nagle poczuł lekkie swędzenie w głowie, nie dawało mu spokoju coś związanego z Kellenem Zantem i jego samochodem...

Zatrzymał się. Miał wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Bystre oczy, obeznane z ciemnością dżungli i oślepiającym blaskiem pustyni, przyjrzały się ciemnościom po drugiej stronie parkingu, tam gdzie kończył się teren należący do uniwersytetu. Granica oznaczona była paroma małymi domami, kilkoma opuszczonymi fabrykami i w pewnym oddaleniu, łagodnie wznoszącym się wzgórzem, na którego zboczu deweloperzy zamierzali stworzyć luksusowe osiedle. Wzrok reaguje na ruch, nawet w najbardziej atramentowej nocy, ale Bruce, któremu w obserwacji przeszkadzało żółte światło latarni oświetlających i przynajmniej teoretycznie chroniących parking, niczego nie dojrzał.

Coś jednak było.

Minimalny ruch w lesie w pobliżu jednego z domów, jakaś fałda w ciemnościach, jakby krótkotrwałe zagęszczenie samego powietrza.

Zniknęło.

Zwierzę. Podmuch wiatru. Zwidy zrodzone z nadmiernego napięcia, takie dolegliwości też nie były mu obce.

A jednak Bruce Vallely był człowiekiem, który wolał zaufać swojemu instynktowi, niż w niego wątpić. Jeśli miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, to znaczyło, że rzeczywiście tak jest. Ale nawet najdłuższe cierpliwe czekanie nie mogło na nowo wyczarować tego dziwnego, poplątanego obrazu w lesie.

Pokręciwszy tylko głową, Bruce nagle ponownie znieruchomiał, tym razem przyglądając się swoim dłoniom. Nadal trzymał szeroko otwarte drzwi samochodu. Znowu powróciło to swędzenie w głowie. Pomyślał o tym, jak służył Grace pomocą przy wsiadaniu, tak właśnie określała to jej rodzina, i dopiero po zamknięciu jej drzwi otwierał swoje.

Oczywiście.

Nagle uzmysłowił sobie, dlaczego coś nie pasowało mu podczas rozmowy z Nathanielem Knowlandem. Co ten student teologii powiedział mu o nocy, kiedy widział Kellena Zanta?

Zantowi towarzyszyła jakaś kobieta, chuda zjawa, czarnoskóra kobieta mówiąca z brytyjskim akcentem, ubrana w coś, co mogło, choć niekoniecznie, być białym błyszczącym płaszczem przeciwdeszczowym. Na Town Street, naprzeciw lodowiska, wsiedli do należącego do Zanta złotego audi TT.

Samochód prowadziła ta kobieta, to Bruce pamiętał. A Kellen wsiadł jako pierwszy, zajmując miejsce po stronie pasażera.

Kiedy Bruce naciskał tego młodego człowieka, on uparcie trzymał się tej wersji i tego konkretnego szczegółu.

Kellen Zant, wielki bawidamek, nie tylko pozwolił tej nieznamym prowadzić jego

samochód, ale przed zajęciem swojego miejsca nawet nie przytrzymał jej drzwi.

Wsuwając się za kierownicę mustanga i uruchamiając silnik, Bruce poczuł, jak w jego głowie rodzą się dwie teorie. Jedna z nich mówiła, że Kellen był zbyt zdenerwowany albo zbyt rozgniewany, żeby pamiętać o uprzejmości. To jednak wydało mu się mało prawdopodobne. Kurtuazja wobec kobiet nie była kwestią wyboru, tylko wychowania. Albo zwyczaj otwierania drzwi przed kobietą był na tyle zakorzeniony, że przeważał nad chwilowym napadem pasji, albo nie. Zgoda, dla pokoleń obejmujących Nathaniela Knowlanda, czy też pokoleń tylko kilka lat od nich wcześniejszych, takie uprzejmości nic nie znaczą, czy nawet mogą być postrzegane jako obraźliwe, ale profesor Kellen Zant pochodził z innej epoki.

Kiedy tak się nad tym zastanawiał, Bruce minął cmentarz, jadąc w kierunku Royal Road, a potem dalej, przez North Elm i do domu, aż w końcu doszedł do tej drugiej możliwości, z której wynikało, że Kellen Zant wsiadł jako pierwszy, ponieważ jego towarzyszka kazała mu tak zrobić.

Ale dlaczego on miałby spełniać jej polecenia?

To zależy. Jest jednak pewna rzecz, o której zarówno policjanci, jak i, powiedzmy, agenci służb specjalnych wiedzą aż za dobrze, a mianowicie, że w przeciwieństwie do większości płaszczów i marynarek, luźny, obszerny płaszcz przeciwdeszczowy stanowi doskonały strój do ukrycia ręki uzbrojonej w pistolet.

Rozdział 20

Wieczorna wizyta

I

Sobotni wieczór

Sześcienny, nowoczesny dom Kellena Zanta stał nieco odsunięty od drogi w otoczeniu drzew na działce o powierzchni trzech czwartych akra w Hobby Hill, jednej z najdroższych i najstarszych dzielnic Elm Harbor. Dom był, mówiąc policyjnym żargonem, „czysty”, co oznaczało, że ekipy policyjne były tu już tyle razy, iż w środku nie pozostał nawet ślad niezlokalizowanego i nietkniętego dowodu. Ale Bruce Vallely nie po to siedział w swoim mustangu zaparkowanym w bocznej uliczce za rogiem, żeby znaleźć jakiś decydujący trop, który mógłby rozwiązać całą sprawę. Znalazł się tam, ponieważ chciał lepiej poznać tego człowieka, dowiedzieć się, kim on był, a spędzenie godziny na spacerowaniu po domu, przyglądając się umeblowaniu czy też układowi jedzenia w kuchni albo doborowi grafik czy fotografii na ścianach, było jego ulubioną metodą wchodzenia w umysły tych, których już nie było i nie mogli udzielić odpowiedzi na jego pytania. Problem polegał jednak na tym, że on nie miał żadnego oficjalnego statusu, a jego kontakty w wydziale policji z miejsca odrzuciły prośbę o umożliwienie mu wejścia do środka. Nie było też żadnego właściciela, którego mógłby poprosić o zgodę. Kellen Zant nie zostawił po sobie testamentu, w związku z czym jego posiadłość miała być zablokowana na całe miesiące, jeśli nawet nie lata. Dlatego też Bruce skorzystał z planu staromodnego.

Postanowił się włamać.

Doszedł do wniosku, że alarm będzie wyłączony, ponieważ nie ma kto płacić za rachunki czy też ustawiać kod dostępu, oraz że sąsiadów zupełnie nie zdziwi widok jakiegoś mężczyzny, nawet czarnoskórego, majstrującego przy frontowych drzwiach - może raczej przy tylnych - ponieważ przez to miejsce musiało się już przewinąć tylu techników zbierających dowody, że do tego czasu tutejsi mieszkańcy z pewnością postanowili już pozaciągać zasłony i nie zważać na żadne hałasy.

Było też coś jeszcze.

Bruce rozmawiał z właścicielem domu stojącego tyłem do podwórza Zanta, emerytowanym filologiem klasycznym o nazwisku Bischoff, który utrzymywał, że w noc zamordowania Kellena widział dwie osoby wchodzące przez tylne drzwi do domu Zanta. I co ciekawe, ten człowiek zaklinał się, że oni weszli tam dokładnie kwadrans po ósmej, o tej samej porze, kiedy Nathaniel Knowland zauważył ekonomistę na Town Street, niedaleko lodowiska. Bischoff był pewien, że się nie myli, ponieważ przebywał właśnie w łazience i zgodnie z rygorystycznym harmonogramem brał swoje lekarstwa. Nawet wyciągnął rozpiskę godzin zażywania leków i pokazał ją Bruce'owi, a potem wykazał analogię z jakąś myślą z Owidiusza, o której Bruce nigdy nie słyszał, a tym bardziej jej nie czytał. Po zastanowieniu Bruce doszedł do wniosku, że to prawdopodobnie Nate Knowland pomylił się o kilka minut, albo może Zant wyszedł wcześniej, niż wydawało się młodemu Knowlandowi, a potem on i jego towarzyszka pospiesznie udali się na Hobby Hill. Pokonanie tego dystansu samochodem zajmuje tylko pięć lub sześć minut. Ale dlaczego oni skradali się do tylnych drzwi, i to, jak uparcie twierdził Bischoff, nie od strony podjazdu, ale pomiędzy drzew? Kiedy Bruce zapytał filologa, czy podzielił się tą informacją z policją, ten potwierdził i pokazał wizytówkę otrzymaną od jednej z policjantek - Janey Wei, znanej Bruce'owi wschodzącej gwiazdy wydziału policji - która powiedziała, że jeszcze się z nim skontaktuje, ale nigdy tego nie zrobiła.

I właśnie dlatego Bruce zaparkował samochód na linii drzew, pomiędzy których, jak twierdził Bischoff, przyszli intruzi. Intruzi, którzy weszli do domu, kiedy Kellen Zant już stamtąd wyszedł, ale jeszcze zanim zginął - ponieważ po jego śmierci w każdej chwili mogła pojawić się tu policja - ale taką decyzję mogli podjąć tylko, jeśli wiedzieli, że on im nie przeszkodzi.

Aby wyjść z lasu w miejscu wskazanym przez emerytowanego profesora, musieli najpierw przejść przez któryś z sąsiednich trawników. Mieli kilka do wyboru, a Bruce wątpił, żeby ktokolwiek coś zauważył. Ale z taką decyzją wiązało się określone ryzyko i zaciekawiło go, czego oni aż tak bardzo pragnęli, że gotowi byli podjąć to ryzyko.

Z zestawem wytrychów w kieszeni wysiadł z samochodu i ruszył wzdłuż Hobby Road, przy której potężne, ponure domy w stylu wiktoriańskim i potężne, ponure ceglane domy w stylu kolonialnym rywalizowały między sobą o tytuł najbardziej posępnego luksusowego domostwa w mieście. Czarnoskórych mieszkańców nie było tu zbyt wielu. Jeśli się nie mylił, oprócz Zanta mieszkała tu jeszcze tylko jedna osoba, samotna kobieta, współpracowniczka w lokalnej kancelarii prawniczej. Jak ci samotni pionierzy radzili sobie wśród białych? Nie potrafił sobie tego wyobrazić i postanowił nie przejmować się tym problemem.

Liczyła się praca. Musi skupić się na pracy. Właśnie minęła ósma, przyjechał tu wieczorem, ponieważ chciał zobaczyć tę ulicę tak, jak widzieli ją intruzi podczas swej wyprawy do tego domu. W niemal wszystkich budynkach paliło się światło. Pokoje dzienne lub pokoje stołowe wychodziły na trawniki. Jakim cudem udało się tym gościom prześlizgnąć, zwłaszcza w śnieżystą noc, kiedy na tle czystego śniegu doskonale widać było każdy ruch?

Ryzyko było ogromne, przekraść się przez trawnik o tak wczesnej godzinie, kiedy wystarczyłoby, aby jakiś rodzic później wracał do domu, któryś z nastolatków wyrzucał śmieci albo jakiś pies narobił zamieszania, a wszystko skończyłoby się katastrofą.

Ale w tym momencie zauważył pewną możliwość.

W stojącym na rogu, jednym z największych domów prowadzono remont, który najprawdopodobniej trwał już od pewnego czasu. Co prawda, ta parcela nie leżała na tyłach domu Kellena Zanta, ale kiedy Bruce wślizgnął się za ten remontowany budynek, zauważył, że drzewa rosnące na tyłach wszystkich posiadłości przy tej ulicy są bardzo gęste, dzięki czemu można było, zachowując odrobinę ostrożności, przekraść się z jednej parceli na drugą i ostatecznie dotrzeć do ścieżki prowadzącej do domu ekonomisty. Bruce postanowił tak zrobić i chociaż poruszał się powoli, nie chcąc robić niepotrzebnego hałasu, po dwóch czy trzech minutach znalazł wytyczoną już ścieżkę, może niewyraźną, ale widoczną dla jego doświadczonych w dżungli oczu: zgięte i połamane gałęzie świadczyły, że ktoś tędy przechodził, najpierw w jedną stronę, żeby wejść do domu, a potem, kiedy już załatwił swoją sprawę, z powrotem, nieco inną trasą, przecierając świeży szlak.

Ten Bischoff, filolog klasyczny, rzeczywiście widział to, o czym mówił.

Bruce sprawdził przyniesione narzędzia. Trevor Land byłby zdumiony, widząc przedsiębiorczość Bruce'a, który jednak nie miał innego pomysłu na prowadzenie tej sprawy. Nie spodziewał się znaleźć dowodów na to, kto popełnił tę zbrodnię. Pragnął tylko odszukać dowody tego, kim był Kellen Zant. Szybko i niezauważenie wemknął się do tego domu, a potem się wymknął, a Trevor Land nigdy się o tym nie dowiedział.

II

W świetle księżyca przeszedł przez trawnik na tyłach domu, z doświadczenia wiedząc, że natura prawie zawsze dostarcza dostatecznego oświetlenia, wystarczy poczekać, aż oczy się do niego przyzwyczają. Zagłębienie w stercie śniegu oznaczało miejsce, w którym znajdował się przykryty na okres zimy basen. Ściany budynku obłożono pionowym, drewnianym sidingiem pomalowanym na szaro. Jakieś trzydzieści czy czterdzieści lat temu musiał to być

ostatni krzyk mody w projektowaniu. Nie minęło półtorej minuty, a zamek stał otworem, i okazało się, że Bruce się nie mylił, alarm był wyłączony, nawet nie ustawiono go na funkcję czuwania, która przesyłałaby sygnał rejestrujący wtargnięcie i informujący o otwarciu drzwi do jakiegoś komputera w Kansas czy Karaczi. Bruce nie włączył światła. Stał w kuchni i czekał, aż oczy przyzwyczają się do panujących wewnątrz głębszych ciemności. W mroku jarzyły się plamy fluorescencyjnego proszku do zbierania odcisków palców, tak lubianego przez dzisiejszych detektywów. Bruce nadal wołał ten tradycyjny, grafitowy, być może ze względu na powagę, która się z nim kojarzyła.

Kuchnia była wykończona elementami z nierdzewnej stali i rzadko używana. Naczynia i przybory kuchenne lśniły nowością. Na grzbietach książek kucharskich nie widniało ani jedno zagięcie. Zant lubił się popisywać, ale nie lubił gotować, i najwidoczniej rzadko zdarzał się ktoś, kto coś by mu przyrządził. Pod każdym błyszczącym od czystości palnikiem gazowym znajdowała się wykonana z pomarszczonej aluminiowej folii tacka, widok rzadko obecnie spotykany, najprawdopodobniej relikw przesłości, przywieziony przez ekonomistę z Południa. W prawie pustej lodówce znalazł kolejny przeżytek - otwarte opakowanie sody oczyszczonej, służące pochłanianiu zapachów. Nieco proszku rozsypanego na półce świadczyło o tym, że policja sprawdzała zawartość opakowania i być może nawet pobrała nieco proszku do badań. Albo policja, albo tamci intruzi, którzy zajrzeli tu przed policją. Ale dlaczego ten proszek? Czego oni szukali?

Później będzie się nad tym zastanawiać.

Bruce wyszedł na korytarz. W salonie i pokoju stołowym zastał dziwną zbieraninę mebli - nowych i ciężkich mebli oraz eleganckich, skandynawskich projektów, które były modne dwadzieścia lat temu. Zanta było stać na dostosowanie się do aktualnych trendów, ale chyba mu na tym nie zależało. Z tego jednak, co Bruce zdążył się dowiedzieć, ekonomista nie był zbyt mocno przywiązany do dawnego stylu życia. Być może nie kupował nowych stołów i krzeseł, bo nie miał czasu na takie inwestycje, a może, co wydawało się bardziej prawdopodobne, przez zachowanie mebli zachowywał coś jeszcze.

Pytanie brzmiało, co takiego.

Dalej badał parter. Wszędzie było pełno książek. Zostały zdjęte, a potem odłożone na miejsce, ale widać było, że dokonała tego jakaś bardziej niechlujna ręka, nie profesorska, bo Kellen Zant lubił, gdy wszystko było porządnie i starannie poukładane. Policja bez wątplenia dokonała tu przeszukania, ale Bruce miał nieodparte wrażenie, że ta osoba, kimkolwiek była, która weszła tu owej nocy, kiedy Zant został zastrzelony, również prowadziła swoje poszukiwania ze starannością, pozostawiając niewiele śladów i najwyraźniej nie chcąc, żeby

kolejni, tym razem już urzędowi, poszukiwacze znaleźli dom wywrócony do góry nogami, bo to mogłoby spowodować bardziej rozszerzone, oficjalne dochodzenie.

Pierwszy, wstępny wniosek - ci pierwsi, nieoficjalni badacze musieli być zawodowcami.

Po drugie, wiedzieli albo też podejrzewali, że jeśli nie zostaną odnalezione żadne poważne dowody włamania, poszukiwania mordercy zostaną zakończone.

Bruce dotarł do gabinetu ekonomisty, w którym zastał oczekiwaną kolekcję dyplomów ze stopniami naukowymi, nagród i fotografii na ścianach. Całe mnóstwo fotografii - musiał to być człowiek zakochany w swoim wizerunku. Szafa na dokumenty została splądrowana i Bruce gotów był założyć się, że wszystko, co choćby w niewielkim stopniu dotyczyło finansów Zanta, zniknęło. Nie natknął się na żadną książeczkę czekową, notes ani notatnik z adresami, nic z tych typowych narzędzi pomocnych mu w odtworzeniu czyjegoś życia. Najprawdopodobniej oznakowane i zapieczętowane leżą teraz w pokoju z dowodami na policji. W dawnych czasach Bruce sprawdziłby historię konta bankowego i połączeń telefonicznych, ale takie rozwiązanie na pewno nie wchodziło w rachubę w przypadku nieoficjalnego dochodzenia prowadzonego przez oficjalnego sługę Trevora Landa.

Ale to nie ma znaczenia, i tak sobie poradzi.

Na biurku dostrzegł specjalne miejsce przygotowane pod komputer, choć samego urządzenia tu nie było - prawdopodobnie oficerowie śledczy wypożyczyli je sobie w celu przeanalizowania zawartości twardego dysku. Trudno było jednak uwierzyć, że był to jedyny komputer. Kellen Zant należał do tych ludzi, którzy noszą ze sobą również eleganckie notebooki. Art Lewin miał dwa albo trzy. Bruce odnotował w swoim starym oprawnym w skórę notatniku, żeby zapytać, czy nie znaleziono jakiegoś notebooka. Kiedy miał już wyjść z pokoju, zauważył gruby plik papierów wciąż leżących w drukarce, mogła to być ostatnia praca ekonomisty, prawdopodobnie w wersji roboczej. Żółte światelko migotało, najwyraźniej sygnalizując brak połączenia z komputerem. Jeśli tych kartek nie zabrali ani intruzi, ani policja, to oznaczało, że z pewnością nie zawierały żadnej wartości dowodowej, ale jako człowiek metodyczny wziął je do ręki i przerzucił strony, zatrzymując się w niektórych miejscach i czytając. Z tego, co zdołał zrozumieć, kartki zawierały opracowania trzech różnych artykułów naukowych, wszystkie raczej dosyć rozbudowane. Przyjrzał się pierwszemu, którego współautorem, jak zauważył, miał być Art Lewin.

...w związku ze względnie udanym procesem wyzwolenia kobiet, małżeństwo stało się jednak dla nich mniej niezbędne ekonomicznie, a więc i mniej

atrakcyjne, można zatem przewidywać, że mniej kobiet będzie wychodzić za mąż albo też wśród tych już zamężnych mniej pozostanie w stanie małżeńskim. Dane potwierdzają obie prognozy...

Oburzony sprowadzeniem stanu małżeńskiego do statystycznej analizy danych, Bruce aż się wzdrygnął. Po chwili jednak się uspokoił - czyż istniał lepszy temat do analizy? - i zaczął przeglądać kolejne kartki.

...oczywiście, i aukcja, w której wygrywa oferta najwyższa, jak i aukcja, w której wszyscy uczestnicy wpłacają oferowane kwoty, przyniosą zbieżne długoterminowe rezultaty, jeśli uczestnicy korzystają ze strategii umożliwiających im wyciąganie wniosków z rezultatów wcześniejszych zdarzeń. To prawda niezależnie od tego, czy preferencje licytantów są wypukłe, czy nie. Jeśli jednak uczestnicy biorą udział tylko w pojedynczej aukcji, korzyści licytatora prawdopodobnie będą wyższe, jeśli...

Tym razem Bruce nieomal uśmiechnął się w pachnących stęchlizną ciemnościach gabinetu. Uczeni potrafią na wiele sposobów wyrazić to swoje życzenie „pokłońcie się przed moją błyskotliwością”. Również ten artykuł odłożył na bok. Przy następnym jednak się zatrzymał.

...ale w ciągu następnych dni nie odnaleziono śladu ciała Giny. I chociaż do dzisiaj dowody wskazują na młodego DeShauna, przez wszystkie kolejne lata po miasteczku krążyły plotki na podobieństwo zimowego wiatru...

Bruce zmarszczył brwi. Wydało mu się dziwne, że Kellen Zant zajmował się tą starą historią. Poza tym te słowa zupełnie nie przypominały akademickiego języka profesora ekonomii. Brzmiały... dziecinnie. Przewróciwszy kartki, powrócił na stronę tytułową i zrozumiał. Instynkt, instynkt. Skoro już był winny włamania i naruszenia prywatnego mienia, doszedł do wniosku, że kradzież dwunastostronicowej pracy jest pomniejszym wykroczeniem, zwłaszcza że ta praca nie była dziełem Zanta. Wsunął kartki do kieszeni.

Ostatnie spojrzenie na gabinet. Dlaczego policja zabrała komputer? Mogło to wynikać z zasad ogólnych, albo też mieli jakiś określony cel, którego jeszcze nie raczyli przedstawić uniwersytetowi. A może zabrał go ten ktoś, kto włamał się tu w noc śmierci Zanta? Bruce

pokręcił głową. Na moment jego uwagę przykuła ściana z osiągnięciami Zanta, było w niej coś szczególnego, czego jeszcze nie potrafił określić...

Zatrzymał się i wyjrzał na podwórze. Wydawało mu się, że dostrzegł światło, jakby jakiś sygnał, ale chociaż czekał, nie ruszając się od okna, ten błysk już się nie powtórzył.

Wszedł po schodach na piętro.

Trzy sypialnie, ani specjalnie przestronne, ani nowoczesne. Jedna wyglądała na nieużywaną, druga miała wyraźnie kobiecy charakter, dostrzegł uschnięte kwiatki w wazonie - jedyne kwiaty, które zauważył w całym domu, Zant chyba nie przepadał za... - oraz na komódce rozrzucone pudry i kremy. Szuflady były puste. Szafa była pusta. Czy tutaj mieszkała jakaś kobieta? A jeśli tak, czy uprzątnęła swoje rzeczy przed czy po morderstwie? I dlaczego zostawiła kosmetyki? Ponieważ można się nimi pobrudzić, kiedy człowiek się spieszy. A zatem albo odwiedziła ten dom potajemnie już po morderstwie, albo jeśli była tu wcześniej, opuszczała dom w pośpiechu. Policja szukała odpowiedzi na te same pytania - w ciemnościach jarzył się proszek do zbierania odcisków palców. Bruce zrobił kolejną notatkę w notesie. Przerzucił kilka kartek w tył i postawił ptaszki obok dwóch linijek swojej rozmowy z Arthurem Lewinem, protegowanym profesora Zanta.

Instynkt. Wziął do ręki dwa słoiczki, jeden zawierający jakiś egzotyczny i sądząc po wyglądzie, kosztowny krem nawilżający, a drugi podkład, z konturem Afryki na etykiecie. Wsunął oba pojemniczki do przyniesionego plastikowego woreczka i włożył je do kieszeni. Może uda się ustalić pochodzenie tych substancji, a gdyby zdarzyło się, co jest raczej mało prawdopodobne, że policja tu wróci, raczej nie zauważą braku kilku puzderek.

Na koniec zabrał się za główną sypialnię.

Kolejne skandynawskie meble, a wśród nich komoda tak zniszczona, że jeden z narożników wsparty był na zakurzonego podręczniku ekonomii. A przecież Zantowi nie brakowało pieniędzy. W podwójnej szafie wnękowej upchano tyle eleganckich ciuchów, że można by wystroić w nie pół Hollywood na noc Oscarów. W górnej szufladzie komody znajdował się pojemnik na spinki do krawata i spinki do koszuli, który jednak był pusty. Dostyc dziwne. W następnych dwóch szufladach bielizna, skarpetki, piżamy, swetry, stroje sportowe, wszystko tak doskonale wyprasowane, że aż oczy raziło. W najniższej szufladzie albumy rodzinne, zdjęcia, stare świadectwa szkolne, bezładny i bezsensowny galimatias.

W łazience stała pusta szafka na lekarstwa. Policja musiała wszystko zabrać. Kafle pochodziły z tego samego okresu, co sam dom, fugi były już wykruszone, niektóre płytki popękane, ale powierzchnie błyszcząły. Pod spodem nic się nie kryło. Być może Zant po prostu nie dbał o swoje otoczenie, wystarczało mu, że wszystko było czyste.

Ale latał pierwszą klasą, zatrzymywał się tylko w czterogwiazdkowych hotelach i ubierał się jak Rothschild. Albo jak gwiazda rocka.

Bruce pokręcił głową, miał już wyjść z pokoju, ale cofnął się do komody.

Przyciągała go ta dolna szuflada i znajdujące się tam zdjęcia. Trudno o lepszy sposób na poznanie człowieka. Ale będzie potrzebował światła. Usiadł więc na podłodze, wsunął latarkę pod łóżko i ją włączył, a potem przy tym ukrytym promieniu światła zabrał się za przeglądanie albumów i zdjęć. Rodzina. Jedenastoletni lub dwunastoletni Zant z dwojgiem starszych osób, prawdopodobnie ze stryjostwem, którzy go wychowali. Syn w Kalifornii, którego nigdy nie widział, zdjęcia z wszystkich okresów życia. Kellen Zant odbierający przeróżne nagrody, Kellen Zant wygłaszający przeróżne wykłady, Kellen Zant na przeróżnych uroczystościach wręczenia dyplomów akademickich, Kellen Zant ściskający dłonie przeróżnych dygnitarzy. Było w tym wszystkim coś dziwnego.

I nagle go oświeciło.

Ani jednego zdjęcia Kellena Zanta z kobietą w jego wieku. Nie było jego byłej żony, żadnej dziewczyny w wesołym miasteczku, na balu, ani nawet żadnego z tych głupawych zestawów trzech fotografii z automatu w centrum handlowym, jakie chyba wszyscy robili sobie w pewnym wieku. Pełno było portretów przedstawiających jego osobę w różnym wieku, ale on nie tylko był gwiazdą tego przedstawienia. To on był całym spektaklem.

Bruce usiadł na podłodze, starając się uporządkować myśli. Wyobraził sobie siedzącego obok niego Arta Lewina, który tłumaczy mu, że usuwanie zdjęć dawnych dziewczyn stanowi racjonalną metodę maksymalizowania szans sprawiania przyjemności obecnym. W końcu żadna kobieta nie chce budzić się w łóżku obcego mężczyzny i przeglądając jego rzeczy, wszędzie odkrywać pamiątki po dawnych miłościach.

To logiczne.

Istniała też inna ewentualność. Może ego ekonomisty było na tyle rozdymane, że przez myśl by mu nie przeszło szukać jakiegoś czaru w ciepłych wspomnieniach o dawnych romansach, nawet tych, które się źle skończyły. Morris Young, pastor Bruce'a, często powtarzał, że wśród osób, które spotykamy w życiu, nie ma ani jednej, która nie byłaby warta, a zarazem nie potrzebowałaby naszych dozgonnych modlitw, i której dozgonnych modlitw my sami nie bylibyśmy warci czy też byśmy ich nie potrzebowali.

- Proszę bardzo, pomyśl nad tym, profesorze - powiedział Bruce, odzywając się na głos po raz pierwszy od wejścia do tego domu.

Wyłączył światło i odłożywszy albumy na miejsce, stanął przy oknie, z którego widać było teren przed domem i z boku, ponieważ wydawało mu się, że dojrzał kolejny błysk. Ale

jego bystre oczy dostrzegły tylko swawolny księżyc, który drażnił się z nim, odbijając światło od połyskliwego zamarzniętego śniegu.

III

Powróciwszy na dół, do kuchni, Bruce miał już zbierać się do wyjścia, kiedy ponownie się zatrzymał. Ta cała sceneria nie dawała mu spokoju. Po raz ostatni rzucił okiem fachowca po pomieszczeniu, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczył. Wypolerowane naczynia stołowe. Połyskująca stal nierdzewna. Niemal zupełnie pusta lodówka. Doskonała kuchenka gazowa, prawie nieużywana, bo Zant rzadko coś gotował. Bruce jeszcze raz jej się przyjrzał. Tak, to było to. Tacki z pomarszczonej folii, które Zant wcisnął pod palniki, żeby zbierać wyciekające płyny i nie brudzić powierzchni kuchenki. Staroświecki zwyczaj ludzi z Południa, zupełnie niepasujący do nowoczesnej kuchni. Nawet jeśli założyć, że ekonomista został w ten sposób wychowany, po co miałby zadawać sobie trudu, jeśli nigdy z tych palników nie korzystał? Po co zakłócać te czyste, błyszczące, nowoczesne linie? Bruce patrzył z góry na kuchenkę. Po kolei zaczął podnosić palniki oraz leżące pod nimi folie. Za trzecim razem trafił - znalazł gruby zwitek papieru. Dlaczego był schowany pod palnikiem, gdzie łatwo mógł spłonąć? Odpowiedź była prosta: ponieważ nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby tu zaglądać, a samemu można to spalić w dwie sekundy, gdyby zaszła taka potrzeba.

Papiery były dwukrotnie złożone, więc Bruce delikatnie je rozłożył i przykucnąwszy na kuchennej podłodze, przy świetle latarki zaczął badać znalezisko.

Pozycja numer jeden. Wykonana przez kalkę kopia raportu ubezpieczeniowego napisanego na maszynie przez likwidatora szkód, wycena kosztu naprawy poważnie uszkodzonego samochodu, datowana na marzec 1973. Znał to towarzystwo ubezpieczeniowe i wiedział, że od dawna już nie istnieje. Warsztat blacharski nie był mu znany, ale mieścił się gdzieś w Scottsville, miasteczku, w którym niegdyś znajdowała się fabryka, oddalonym o dobrych kilka mil na północny zachód od Elm Harbor, bardzo daleko od Tyler's Landing. Żadnych informacji o właścicielu pojazdu. Tylko numer polisy ubezpieczeniowej i numer szkody.

Transfer pieniędzy z firmy ubezpieczeniowej może stanowić dowód użyteczny dla ekonomisty, to prawda. Ale czego on miał dowodzić? Gdzie, do diabła, Zant go znalazł? Dlaczego tak starannie go ukryto, jakby to był najcenniejszy skarb?

Pozycja numer dwa. Pożółkły raport policyjny z Tyler's Landing, adresowany na

przewodniczącego rady, zarówno data, jak i podpis oderwane. Podsumowanie ostatnich działań, prawdopodobnie przedstawione w ramach procesu planowania wydatków. Kilka zdań zostało podkreślonych:

Liczne raporty o przejeżdżających w ostatnich tygodniach przez miasto czarnuchach mogą być w pełni uzasadnione. W zeszłym miesiącu policja zatrzymała jednego czarnucha w pobliżu Town Green. Z przedstawionych przez niego dokumentów wynikało, że jest generałem lotnictwa wojskowego, a on sam oświadczył, że po prostu przejeżdżał przez miasto. Kolejny zatrzymany tej samej nocy okazał się pracownikiem Kongresu. Być może gościli u pewnych bardziej „liberalnych” mieszkańców naszego miasteczka.

- I panu też dzień dobry - mruknął pod nosem Bruce, który żadną miarą nie potrafił pojąć, dlaczego czarnoskórzy ludzie przenosili się na przedmieścia.

Pozycja numer trzy. Mała kartka wyrwana z jakiegoś notesu czy dzienniczka, nierówne pismo składające się ze zbyt wielkich i brudnych liter kreślonych męską ręką, zaczynające się w środku jednego zdania i kończące pośrodku następnego:

...ale zdaniem zastępcy szeryfa Nacchio, żaden z jej przyjaciół nie informował, że widział ją tamtej nocy. Zastępca szeryfa Nacchio w swoim raporcie napisał również, że tego samego wieczoru około dziewiątej zapukała do drzwi jednej ze swoich nauczycielek, niejakiej pani Spicer, prosząc o możliwość skorzystania z telefonu. Ten raport później został...

Absolutnie nic ciekawego. Bruce doszedł do wniosku, że będzie musiał sprawdzić, kim dokładnie jest, czy też był, zastępca szeryfa Nacchio, ponieważ papier był stary i rozpadał się w rękach.

No dobra. Trzeba więcej dowiedzieć się o tym, czym zajmował się Kellen Zant przed śmiercią. Rozmowa z Artem Lewinem niewiele dała.

Bruce poskładał policyjne oświadczenie oraz raport ubezpieczeniowy i wraz z kartką z dziennika wsunął do swojego notesu. Ponownie zwinął folię i założył ją pod palniki, w nadziei, że nie pozostawia żadnych śladów. Wciąż się wahał. To prawda, znalazł coś, czego nikt nie zauważył, ale jego umysł nieustannie pracował. Bruce miał wrażenie, że coś oczywistego umyka jego uwadze. Spróbował przejść w myślach cały dom. Policyjny raport,

kartka z pamiętnika i wnioski o odszkodowanie, ukryte przed wzrokiem wścibskich. Szuflada pełna zdjęć Kellena Zanta we własnej osobie. Wolny pokój z wyraźnymi śladami niedawnej bytności kobiety. Zapchany książkami gabinet, a w nim typowa akademicka wystawa osiągnięć. Meble zdecydowanie odbiegały jakością od tego, na co z pewnością ekonomistę było stać. Pomieszczenie z poplątaniem, ale już teraz Bruce wiedział, że nie darzy wielką sympatią właściciela tego mieszkania.

- Czas się zbierać - powiedział na głos i już chwycił za klamkę kuchennych drzwi, kiedy uzmysłowił sobie, co jeszcze umknęło jego uwadze.

Wrócił do gabinetu, do tej wystawki zdjęć na ścianie. Tutaj. Kellen Zant w stroju oficjalnym, podczas jakiegoś przyjęcia uśmiecha się, odbierając pamiątkową plakietę z rąk Billa Clintona. W pierwszym rzędzie Lemaster i Julia Carlyle bijący brawo.

W porządku, i co z tego?

Podszedł dalej i przyjrzał się następnej fotografii. Zdjęcie z gazety, na którym Kellen Zant uczestniczy w biegu, w celu zebrania pieniędzy na program uświadamiający problematykę AIDS. A obok inna uczestniczka, oddzielona najwyżej dwoma lub trzema osobami, Julia Carlyle.

I kolejne - Kellen Zant, w swobodnym stroju na koktajlu, śmiejący się z dowcipu opowiadanego przez Johnniego Cochran. Roześmiane twarze obok niego należą do Spike'a Lee, Skipa Gatesa, Charlesa Ogletree... i Julii Carlyle.

I jeszcze jedno - Kellen Zant w kościele wypełnionym zwróconymi w górę, pełnymi wyczekiwania czarnymi twarzami, prowadzący wykład z okazji jakiejś rocznicy wprowadzenia ważnych praw obywatelskich. A w pierwszym rzędzie, uśmiechająca się do niego promiennie Julia Carlyle.

Nim zakończył przegląd, doliczył się w gabinecie siedemnastu fotografii, z których na ośmiu widniała osoba Julii. Oto tajna świątynia ekonomisty, ukryta przed bystrym wzrokiem przypadkowej kochanki i zawodowego poszukiwacza. Żadna inna kobieta nie była tak eksponowana. Zant na swojej ścianie nie umieścił żadnych zdjęć ze zbliżeniami kobiet, z wyjątkiem tych fotografii, które można było odpowiednio przyciąć, żeby podkreślić twarz Julii.

Ale to jeszcze nie koniec.

Bruce był przekonany, że skandynawskie meble, których Kellen Zant nie miał serca wyrzucić, pochodziły z czasów, kiedy oni byli razem. Być może oddał je na przechowanie podczas swojego krótkiego wypadu do Palo Alto i jeszcze krótszego małżeństwa, ale wracając na Wschód, znowu je powyciągał. Okazało się, że ekonomista skrywał w sobie

przerażająco wielkie pokłady sentymentalizmu. Bruce nie miał pojęcia, czy to jego uczucie było odwzajemnione, ale wiedział, że jedno jest jasne - Art Lewin nie miał racji.

Dwadzieścia lat po zerwaniu Kellen Zant miał obsesję na punkcie swojej dawnej kochanki, Julii Carlyle.

Rozdział 21

Odpowiedź

I

- Co tam u ciebie, Julio?

- W porządku, w porządku.

Bruce Vallely skinął poważnie głową i usiadł naprzeciw niej przy stoliku w zadymionej restauracji przy drodze nr 48. Przez tanio przyciemniane szyby przezierało szare światło zimowej Nowej Anglii. Była druga trzydzieści. W lokalu znajdowała się tylko garstka klientów. Julia ostrzegła go, że może mu poświęcić tylko kilka minut, chciała wrócić do domu przed trzecią, zanim przyjedzie pierwszy szkolny autobus. Zdecydowana była jak najszybciej zakończyć tę ich rozmowę, a gdyby Bruce nie był mężem Grace - a raczej obecnie wdowcem po niej - i gdyby Grace nie była Siostrzaną Damą, najprawdopodobniej w ogóle nie zgodziłaby się na spotkanie. W końcu funkcja pierwszej damy uniwersytetu dawała pewne przywileje.

- Jak się trzyma Vanessa? Słyszałem o tym, co się stało. Bardzo mi przykro.

- Już lepiej, dziękuję.

- A reszta rodziny?

- Wszyscy mają się dobrze - odparła Julia, nieco zdumiona. Jak na razie, to ich „pilne” spotkanie, odbywające się w tym dziwnym miejscu, sprowadzało się do czczych pogaduszek. Nie potrafiła odgadnąć, czy on na razie tylko krąży, powoli zmierzając do celu, czy też już jakoś ten cel minęli. Tymczasem nie potrafiła powstrzymać się od mówienia banałów, podobnie zresztą jak i on sam. Rozejrzała się dookoła, w nadziei, że nie zobaczy nikogo znajomego, ponieważ to spotkanie wyglądało na osobliwą randkę. Julia pamiętała - i zakładała, że Bruce też pamięta - tę noc, kiedy spotkali się po raz pierwszy, jeszcze zanim zamieszkała z Lemasterem pod jednym dachem, kiedy młodszy i nieco mniej doświadczony Bruce Vallely, w towarzystwie drugiego policjanta, przybył w związku z włamaniem do jej małego studenckiego mieszkania w budynku bez windy w Elm Harbor, a Julia flirtowała z nim, nawet nie sprawdzwszy, czy na jego lewej ręce nie znajduje się obrączka, którą nawet

teraz, rok po odejściu Grace, wciąż nosił. Bruce wówczas poczuł się urażony i dał jej to odczuć, traktując ją chłodno i bardzo rzeczowo, jednocześnie starając się jak najszybciej wyjść. Dopiero po latach nauczyła się doceniać taką reakcję, chociaż wtedy czuła się nią zraniona i zakłopotana.

- A twój mąż? Jak on się zaaklimatyzował?

Julia sama była zaskoczona swoim nerwowym chichotem, który pozostał jej jeszcze z dzieciństwa spędzonego w mieszanym rasowo środowisku Hanoveru, kiedy chichotanie stanowiło formę samoobrony, mającej przysparzać jej sympatii zarówno wśród czarnych, jak i białych.

- Lemaster? Nieodmiennie silny. - Pamiętając, że Bruce formalnie podlegał jej mężowi, postanowiła obojgu im o tym przypomnieć. - On kocha swoją pracę. Po prostu ją uwielbia. Wydaje mi się, że z miejsca się przystosował.

Bruce się uśmiechnął.

- Zdarzyło mu się już wdać w kilka sporów. Powiedziałbym więc, że chyba dobrze się zaaklimatyzował.

- Tak, to prawda - odparła, zaskoczona.

- To wyjątkowy człowiek - rzekł Bruce, a uroczysty ton jego głosu miał jej dać do zrozumienia, żeby dobrze to zapamiętała, na wypadek gdyby coś takiego pojawiło się na egzaminie. - Naprawdę macie szczęście, że możecie się nawzajem wspierać.

- Tak, dziękuję bardzo. A Grace... ona też była wspianała.

Widząc niewyraźny uśmiech na jego twarzy, Julia odniosła wrażenie, że powiedziała coś nieodpowiedniego, nie wiedziała jednak, o co może chodzić. Mona i babcia Vee nie wprowadziły jej w sztukę prowadzenia konwersacji o zmarłych znajomych, a tym bardziej z mężem takiej zmarłej znajomej.

- Tak, to prawda - bezbarwnym głosem odrzekł Bruce.

- Szczęście jej dopisało, że miała kogoś takiego jak ty - zarumieniła się, słysząc własne słowa.

- Była dla mnie błogosławieństwem.

Na to już nic nie dało się odrzec, więc Julia zamilkła. Przy następnym stoliku ktoś głośno opowiadał jakąś sprośną historyjkę, ale Julia słyszała tylko jej strzępy. Czuła coraz większy niepokój. Doszła do wniosku, że muszą zwracać na siebie uwagę, kiedy tak siedzą pochyleni przy stoliku w kącie, jedyna para czarnych - och, czarnych ludzi - w pomieszczeniu. Mona wpoila jej, że przede wszystkim należy cenić sobie własną reputację. Julia chciała, żeby Bruce w końcu przeszedł do rzeczy i dał jej spokój.

Bruce albo nie zdawał sobie sprawy z jej rosnącego cierpienia, albo na to zupełnie nie zważał, w każdym razie miał przygotowaną odpowiedź, jakby przez ostatnie dziesięć minut czekał, kiedy ona zrobi tę uwagę.

- Grace była mądrą kobietą, Julio. Sama o tym wiesz. Denerwowała się, kiedy podjąłem tę pracę. Cieszyła się z podwyżki, ale z drugiej strony pragnęła wyjechać do Karoliny Południowej. Może powinienem był zrobić to, czego ona chciała. - W słowach Bruce'a trudno byłoby doszukiwać się jakiegoś rozgoryczenia czy też pogardy dla samego siebie. Był człowiekiem szczerym, przyzwyczajonym do myślenia prostoliniowego, po prostu przedstawiał fakty, co stanowiło rzadkość na terenie kampusu.

- Zawsze mogłeś na nią liczyć, Bruce. Cokolwiek postanowiłeś.

- Wiem o tym, ale i tak dziękuję za te słowa. Mówiła mi też, że jeśli chcę coś robić, powinienem robić to dobrze. Staralem się stosować do jej rad. - Skinął głową i pochyliwszy się do przodu, złożył swoje ogromne dłonie na stoliku, dając znak, że zbliżają się do sedna sprawy. - Posłuchaj, Julio. Pozwól, że wyjaśnię moją sytuację. Jestem kierownikiem ochrony kampusu. Mam tu określone obowiązki, mam prawo dokonywać zatrzymań, podobnie jak i moi ludzie. Ale nie dysponuję odpowiednimi uprawnieniami, poza bardzo ograniczonymi, do prowadzenia dochodzenia. Policja uniwersytecka służy do zapobiegania przestępczości, nie do wyjaśniania przestępstw. Rozumiesz mnie?

- Rozumiem - odparła Julia, teraz już zupełnie zaskoczona. Miała wrażenie, że on ciągnie wywód, którego początek musiał jej jakoś umknąć.

- Wyraźnie o tym mówi nasza karta praw i obowiązków. Jeśli napotykamy dowody stanowiące podstawę do poważnego dochodzenia, musimy przekazać je policji lokalnej lub stanowej.

- Rozumiem.

- I właśnie w ramach przysługujących mi praw, chciałbym, jeśli można, zadać ci kilka pytań o Kellena Zanta.

Może ta nagle zmiana oświetlenia i temperatury pomieszczenia była tylko wytworem jej wyobraźni? Trudno było uwierzyć w tak nadspodziewany zbieg okoliczności, że słońce akurat w tym momencie schowa się za chmurę, a dokładnie w tej samej chwili wiatr zdecyduje się uderzyć w okna.

- Jakie pytania?

Bruce uśmiechnął się, dając jej znać, że nie musi się obawiać.

- Nic specjalnego. Ja tylko próbuję wyjaśnić kilka szczegółów. Ale ponieważ nigdy nie spotkałem tego człowieka, pomyślałem, że chyba mogłabyś mi nieco pomóc i powiedzieć

mi, jaki on był.

- Sądziłam, że ta sprawa jest już zamknięta. To był napad rabunkowy. Tak napisali w gazetach.

- Jak już mówiłem, jak tylko wyjaśniam kilka szczegółów.

- Czy nie mógłbyś porozmawiać z policją? I wziąć od nich raportów?

- Powiedzmy, że te raporty nie są dostępne. Raporty z Landing, raporty z policji w Elm Harbor, raporty policji stanowej. Dysponuję wnioskami, do których doszli, kilkoma notatkami służbowymi, każda z nich ma trzy lub cztery strony. Ale nic więcej nie mogę uzyskać. Ani zapisów z przesłuchań, ani notatek oficerów śledczych. Tylko same wnioski.

Rozbudziło to zainteresowanie drzemiącego w niej naukowca.

- A zazwyczaj udaje ci się więcej uzyskać?

- Zazwyczaj. - Kolejna pauza. - Udostępniają mi to, co muszą, ale zazwyczaj udaje mi się zdobyć nieco więcej, albo korzystając z czyjejs uprzejmości, albo przez nieoficjalne kanały.

- Co jest więc szczególnego w sprawie Kellena Zanta?

Westchnął głęboko, najwyraźniej zastanawiając się, czy unieść ostatnią zasłonę. Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi wyjścia ewakuacyjnego. Ktoś musiał oprzeć się o drążek zabezpieczający. Do środka zajrzały dwie głowy, to uczniowie liceum chcieli wpaść na drinka po lekcjach, ale błyskawicznie uznali, że Bruce to z pewnością gliniarz, a Julia to nauczycielka. Były to co prawda ich dawne zawody, ale chłopcy niewiele się pomylili, więc szybko zniknęli.

- Prawdę mówiąc, sam nie wiem, co tu jest takiego szczególnego. Chciałbym się tego dowiedzieć.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

Bruce westchnął, wyprostował długie nogi i rozejrzał się po sali. Prowadzące do kuchni wahadłowe drzwi ze stali nierdzewnej otworzyły się. Można było odnieść wrażenie, że on potrafi wyczuć nadchodzące zdarzenie na moment przed jego rzeczywistym wystąpieniem. Jakaś kobieta w średnim wieku, ubrana w różowy strój przedstawicielka jaśniejszej nacji, wyszła z zawiniętym w brązowy papier plikiem serwetek i zaczęła uzupełniać braki na stolikach, przygotowując salę na wieczorny ruch. Obrzuciła ich dwójkę obojętnym spojrzeniem i powróciła do pracy. Najwyraźniej usatysfakcjonowany Bruce ponownie spojrzał na Julię.

- Podejrzewam, Julio, że z jakiegoś powodu polecono im nie udzielać mi informacji.

- Poważnie?

Skinął głową, bynajmniej nie obrażony.

- Nie wiem, co się dzieje. Może to jakiś typowy biurokratyczny bajzel. Nie mam pojęcia. Ale na razie mam spore zaległości, które chciałbym nadrobić. Na początek chciałbym dowiedzieć się więcej o Kellenie Zancie i jego pracy.

- Powinieneś porozmawiać z jego przyjaciółmi. - Oszły ton jej głosu ją samą raził, ale ta jego zabawa w kotka i myszkę nagle ją zdenerwowała. Co on chciał osiągnąć?

- Ale on nie miał zbyt wielu przyjaciół, Julio. Oczywiście miał kolegów z pracy, i z nimi rozmawiałem. Nie miał jednak przyjaciół. Szczerze mówiąc, niektórzy ludzie mówili mi, że właśnie ty byłaś jego najlepszą przyjaciółką.

Miała wrażenie, że cały świat się zatrząsł, kiedy przypomniała sobie to ostatnie spotkanie z Kellenem w centrum handlowym w Norport i tę ich dyskusję...

- W ostatnich latach prawie w ogóle z nim się nie spotykałam - odezwała się.

- Rzeczywiście. - To było stwierdzenie.

- Tak, rzeczywiście.

- Tej nocy, kiedy został zastrzelony, powiedział komuś, że wybiera się na Jamajkę. Ale nie znaleziono żadnej rezerwacji na jego nazwisko, ani w hotelu, ani też na samolot czy statek. - Wyczuła, że nagła surowość w jego sposobie bycia była podstępem, miała na celu zaskoczyć ją i skłonić do mówienia. - Wydaje mi się, że to był jakiś szyfr, za którym kryła się jakaś informacja. Jamajka miała oznaczać coś innego.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparła Julia, odrobinę za szybko, ponownie czując, jak ogarnia ją to senne uczucie, jak wtedy, gdy przychodził do niej Kellen. Jamajka. Jamajka. Skubała wargę. - Najmniejszego pojęcia - powtórzyła, próbując przybrać pozę oschłej bibliotekarki z popularnego musicalu.

- Pozostaje pytanie, nad czym pracował, kiedy został zamordowany - odezwał się Bruce po chwili. - Wygląda na to, że jesteś jedyną osobą, której mógł zawierzyć swoje tajemnice.

- Ja?

- Wszyscy tak mówią.

- W takim razie wszyscy się mylą. - Postanowiła spróbować jakiegoś innego wybiegu, chociaż przyszło jej do głowy, że prawdopodobnie w wielu zakończonych sukcesem przesłuchaniach przesłuchiwany przez cały czas starał się zbić przesłuchującego z tropu. - Spotkał się ze mną pewien prawnik. Tice, Anthony Tice, który powiedział, że pracował z Kellenem. Może on coś wie.

Bruce wbił w nią wzrok. Julia też na niego spojrzała. Ktoś w restauracji upuścił talerz,

a ktoś inny się roześmiał, ale Julia się nie odwróciła. Lata gnębienia przez Monę przynajmniej trochę nauczyły ją, żeby nie dać się sprowokować i nie przerywać ciszy jako pierwsza.

W końcu Bruce opuścił wzrok na swój notatnik, ale nie był to wyraz ustępstwa. Raczej zmiany planów. Bez względu na to, jak początkowo zamierzał poprowadzić tę ich rozmowę, teraz chyba postanowił skorzystać z okrzężnej drogi. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, Julia jeszcze raz zmieniła temat. Ogarnięta rozkoszną złośliwością, dodała:

- Och, i jest jeszcze ta kobieta, Mary Mallard z Waszyngtonu. Mówiła, że była jego przyjaciółką. Mógłbyś z nią porozmawiać.

- Ta pisarka?

- Tak mówi. - Na moment Julia zawahała się, a potem brnęła dalej.

- Bruce? Czy oni coś wiedzą o Borisie Gibbsie?

- Wypadek, a sprawca zbiegł - odparł, wciąż coś notując. - Dlaczego pytasz?

- Po prostu... znałam go. Razem pracowaliśmy. - I też miał mi coś powiedzieć, podobnie jak Kellen.

- Wiem - odrzekł Bruce i od razu, nawet nie podnosząc wzroku, przeszedł do kontrataku. - Chodzi też Julio o to, że chciałbym porozmawiać z Vanessą.

Świat Julii ponownie się zatrząsł. Najpierw Chrebet, teraz ten jego były kolega.

- Z Vanessą? Dlaczego? O czym?

- O Kellenie Zancie.

Ale Julia już kręciła głową.

- Daj spokój, Bruce. Vanessa nic nie wie o Kellenie Zancie. Po co miałbyś z nią rozmawiać? - Wzruszenie ramion. - Bruce, nie mogę pozwolić, żeby ją niepokojono. Ani z tego, ani z innego powodu. Dwa razy w tygodniu spotyka się ze swoim terapeutą.

- Przed chwilą chyba mówiłaś, że ona czuje się dobrze. - Mówił szybko, jakby brał ją w krzyżowy ogień pytań.

- Będzie, jeśli tylko wy wszyscy dacie jej spokój.

Bruce się zastanowił. Julia miała wrażenie, że on jest autentycznie zaniepokojony, ale może tylko to sobie wyobrażała. Kiedy się odezwał, ostrożnie dobierał słowa, jak alpinista, który zdaje sobie sprawę, że jeden fałszywy ruch może oznaczać długą drogę w dół.

- Julio, ja wcale nie zamierzam jej denerwować. Ale zależy mi na sprawdzeniu kilku szczegółów. Musisz pamiętać, że Kellen Zant był jednym z wykładowców, więc sprawa jego morderstwa mieści się, przynajmniej teoretycznie, w zakresie moich kompetencji ochrony kampusu. - Wprost fizycznie czuła jego zniecierpliwienie, ale zachowywała kamienny wyraz twarzy. - A poza tym - dodał - ważne jest, żebym porozmawiał z Vanessą. Pewnej informacji

nikt inny nie może mi udzielić.

- Jakiej informacji?

- Po pierwsze, dlaczego na jego drukarce znajdowała się kopia jej pracy semestralnej z jedenastej klasy.

II

W swoim czasie Bruce Vallely miał okazję oglądać wielu świadków, którzy ze wszystkich sił starali się nie ugiąć i nie uciekać wzrokiem, próbowali odgrywać pewną siebie niewinność, zupełnie przeciwną od ich rzeczywistych uczuć. Teraz to samo dostrzegł w Julii Carlyle, tak wiele przeróżnych drobnych sygnałów, którymi ciało dawało znać o nerwowości, a nawet strachu. Od momentu, kiedy dostrzegł imię Vanessy na stronie tytułowej, podejrzewał, że trafił na żyłą złota, która musiała umknąć uwadze innych poszukiwaczy, a teraz był już tego zupełnie pewien. Obserwował Julię, przypartą do muru i zupełnie zagubioną. Niezbyt się nią przejmował, podobnie jak i innymi przedstawicielami rosnącej grupy zamożnych czarnoskórych rodziców, którzy przy pierwszej nadarzącej się okazji znikali ze swoim potomstwem na śnieżnobiałych przedmieściach, ale sądził, że ją rozumie - próbowała przyciągnąć swoje dzieci w stronę własnego dzieciństwa. Była matką, była opiekuńcza, a ogarniający ją strach, z czego Bruce zdawał sobie sprawę, mógł doprowadzić do tego, że walczyłyby jeszcze bardziej zażarcie.

Musiał więc ją uspokoić.

- Nikt o nic Vanessy nie podejrzewa - powiedział. - Nikt nie sądzi, że ona jest w coś zamieszana. Chciałbym, żeby to było jasne. - Ale po jej oczach widział, że jeszcze nie udało mu się tego dostatecznie wyjaśnić. - Na tym polega mój problem, Julio. Nie mogę wykonać swojej pracy, dopóki się nie dowiem, nad czym pracował Kellen Zant. Ty mówisz, że nic o tym nie wiesz. Załóżmy, że to prawda. Jego znajomi i koledzy też nie wiedzą. A jednak są ludzie, którzy starają się odkryć przedmiot jego pracy, a to oznacza, że nad czymkolwiek pracował, miało to dla kogoś znaczenie. - Bruce musiał powstrzymać się, żeby nie przytoczyć słów Ricka: „Musiał wystraszyć kogoś ważnego”. - A teraz znalazłem kopię pracy semestralnej twojej córki. I nie jest to kserokopia z biblioteki czy coś podobnego. To wydruk z jego komputera, Julio. Nie widzę żadnej innej możliwości, tylko taką, że ona przesłała mu ją e-mailem albo dała mu dyskietkę. A to świadczy o tym, że go znała. I to nie tylko go znała, ale była z nim na tyle blisko, że...

Julia przerwała mu, w sposób tak słodki, że Bruce natychmiast zorientował się, że

miód w jej słowach był fałszywy.

- A skąd wiesz, co znajdowało się w jego drukarce?

- Widziałem.

- Och, naprawdę? Czy twoje nieoficjalne wyjaśnianie szczegółów obejmuje również wlamywanie się do prywatnych domów pracowników naukowych?

Bruce był zbyt starym wyjadaczem, żeby poczuć się urażonym.

- Nie pomyślałaś, Julio, że chodziło o drukarkę w jego biurze? Ciekawe, dlaczego pomyślałaś, że to w jego domu?

Spiorunowała go wzrokiem.

- Julio, proszę, zrozum mnie. Nie chcę skrzywdzić Vanessy ani twojej rodziny. Ale muszę się dowiedzieć, dlaczego ona mu dała tę swoją pracę semestralną.

Nieoczekiwanie Julia zerwała się na równe nogi.

- Przykro mi, Bruce. Jest już późno. Muszę wracać do domu, dzieci będą czekać.

Bruce również się podniósł. Górował teraz nad nią, ale ona nie dała się zastraszyć.

- Julio, jeszcze moment. Zaczekaj. Nie chciałem sugerować...

- Bruce, wybacz. Moja odpowiedź brzmi nie. Po prostu nie. I nie ma żadnego ale. Nie, nie pozwalam ci rozmawiać z Vanessą ani z żadnym innym członkiem mojej rodziny. Ani w kwestii tamtej nocy, ani w żadnej innej.

- Julio...

Teraz była bohaterską matką zdecydowaną chronić swoje dziecko.

- Bruce, znamy się od dawna. Kochałam Grace, a ona kochała ciebie, więc za żadne skarby nie chciałabym cię zranić. Nie powiem o tym spotkaniu Lemasterowi. Ale jeśli tylko spróbujesz rozmawiać z moją córką, na jakikolwiek temat, jeśli jeszcze raz podniesiesz kwestię Vanessy i Kellena Zanta, z kimkolwiek będziesz rozmawiał, a ja się o tym dowiem, możesz być pewien, że powiem o tym mojemu mężowi, a ty nie tylko zostaniesz zwolniony, ale użyjemy też przeciw tobie wszystkich naszych wpływów. A musisz pamiętać, Bruce, że my tu mamy duże wpływy, cholernie wielkie. Lepiej więc, żebyś pamiętał - skończyła, ale mniej przekonująco, niż zamierzała.

Bruce wciąż się na nią patrzył. Nie był przestraszony, ale z pewnością zdumiony. Po raz kolejny wydał się jej dziwnie zadowolony. Julia zdawała sobie sprawę, że powiedziała za wiele, że się zagalopowała, ale była to rodzinna cecha Veazie. Teraz jednak już z pewnością nie mogła się wycofać.

- Pamiętaj więc - powtórzyła Julia, ponieważ Bruce nawet słowem się nie odezwał. Pokazała na ich filiżanki z kawą. - Rozumiem, że zajmiesz się tym - dodała. - Sama trafię do

wyjścia. - I dygocząc na całym ciele, bardziej ze strachu niż wściekłości, wypadła z sali.

Jakoś to przeżyła. Właśnie te słowa powtarzała sobie Julia, spiesząc do domu w escalade, przy dźwiękach głośnych melodii z jej ulubionych musicali, które miały zagłuszyć jej strach. Ona przeżyła, jej córka przeżyła, jej rodzina przeżyła. Oficjalne śledztwo zostało zamknięte, Tony Tice i Mary Mallard nie mieli już nad czym pracować, a Bruce tylko pobieżnie zajmował się tą sprawą, kłopotząc się tym, kto zabił Kellena, a nie poszukując głębszej prawdy. On nie martwił się tym, co nurtowało pozostałych, co mógł odkryć Kellen i co doprowadziło do jego śmierci. Bruce'a nie obchodziły te brudne sprawy, które chciała odgrzebać Astrid. Jego nie interesowała ta, choć mało prawdopodobna, możliwość, która dręczyła Julię późną nocą, kiedy, nie mogąc zasnąć, leżała w swoim ogromnym domu - że trzydzieści lat temu, będąc jeszcze studentem, człowiek obecnie zajmujący stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych popełnił straszliwą zbrodnię, ani też że mężczyzna obecnie zajmujący stanowisko rektora uniwersytetu pomagał mu to ukryć.

III

Bruce siedział w swoim ukochanym starym mustangu, podążając z powrotem w stronę Elm Harbor. Zdążył już zapomnieć, jak miło czuć się policjantem, a nie administratorem. Udało mu się osiągnąć dokładnie to, co zamierzał. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że Julia Carlyle zezwoli mu na przesłuchanie córki. Ale jej odpowiedzi potwierdziły, że ona doskonale zdaje sobie sprawę z istnienia jakiegoś dodatkowego związku między Vanessą a Kellenem Zantem. Nie miał pojęcia, jaki mógł być tego zakres, ale to go zupełnie nie obchodziło. Jemu wystarczyło, że coś takiego istniało.

Podsumowywał w głowie uzyskane dowody. Julia Carlyle w przeszłości była związana z Kellenem Zantem i podobno ten ich związek zostawił na niej jakiś trwały ślad. Nawet w ostatnich latach często widywano ją w towarzystwie Zanta. Ponadto ten ekonomista miał obsesję na punkcie Julii i bardzo otwarcie wyrażał pogardę dla tradycyjnych małżeńskich ograniczeń. Jeśli natomiast chodzi o Vanesę, łączył ją z Zantem związek takiego rodzaju, jakiego żaden znany Bruce'owi antylski ojciec nawet przez moment nie mógłby tolerować. A teraz należy jeszcze do tego dodać ten prosty fakt, że między Kellenem Zantem a mężem Julii stosunki od dawna były napięte. Jeśli zaś chodzi o tajemniczą czarnoskórą kobietę z brytyjskim akcentem - cóż, Bruce był pewien, że w tej kwestii też ma odpowiedź.

Mknąc autostradą, Bruce Vallely ze zdumieniem rozmyślał nad tą możliwością, coraz

bardziej prawdopodobną, że śmierć Zanta nie była wynikiem rabunku i nie miała nic wspólnego z jego pracą. Niewątpliwie zbrodnia została popełniona przez pośredników o wzajemnych powiązaniach tak zagmatwanych, że jej inspirator może nigdy nie zostać złapany. Ale wszystkie instynkty Bruce'a mówiły mu, że zabójstwo Kellena Zanta zostało zaaranżowane przez Lemastera Carlyle'a.

CZEŚĆ II

ZASPOKAJANIE POPYTU

Krzywa podaży - w ekonomii wykres prezentujący, w jaki sposób zmienia się zaopatrzenie w określone towary lub usługi w zależności od ich ceny. Krzywa podaży zazwyczaj wznosi się, co oznacza, że przy wzroście popytu na produkt podniesienie ceny spowoduje zwiększenie podaży. Jeśli popyt nie jest zaspokajany przez istniejących producentów, na rynku mogą się pojawić nowe przedsiębiorstwa.

Rozdział 22

Podróbka

I

Cameron Knowland przyjechał w czwartek, z uśmiechem na ustach przetoczył się przez pełne przeciągów korytarze czworoboku Keplera, zgrabnie uchylając się przed kawałkami odpadającego tynku i rozpadającymi się kartonowymi pudłami tarasującymi wszystkie przejścia, aż dotarł do małego, schludnego gabinetu Julii, wypełnionego przestarzałymi meblami, jasnym światłem wspaniale rzucanym przez słońce tego grudniowego dnia oraz drażniącą kakofonią dźwięków z Hudson Street, czasami zdającej się biec zaledwie kilka centymetrów od jej biurka.

Drzwi do jej gabinetu jak zawsze stały otworem, zgodnie z sięgającą czasów założenia wyższej szkoły teologicznej tradycją, nawiązującą do potrzeby unikania okazji do grzechu. Latisha, pracująca na pełny etat pilna asystentka, którą Boris Gibbs sugerował zwolnić, poszła coś załatwić, więc Minnie Foxon - zatrudniona na pół etatu leniwa asystentka, którą Boris sugerował zatrzymać - wprowadziła Knowlanda do pokoju, zapowiadając jego wejście tonem lekceważącym i odwracając przy tym oczy, jakby całemu światu chciała dać do zrozumienia, że wolałaby zajmować się czymś zupełnie innym. Ale tego akurat dnia Julia czuła się bardzo podobnie i zastanawiała się, jak to się stało, że ona sama tu trafiła, nauczycielka biologii, nie do końca wierząca, że miejsce nauki jest na wydziale teologicznym, gdzie z kolei wiara w Boga też jest tylko połowiczna.

- No to dotarłem tu - zagrzmiął tubalnym głosem Cameron, jako że był typem małego, przysadzistego mężczyzny, który zaznacza miejsce wokół siebie, emanując czystą mocą. - Po spotkaniu z Claire Alvarez. Z twoją panią dziekan - dodał, na wypadek gdyby Julia zapomniała.

- Zawsze miło cię widzieć - skłamała Julia, zaskoczona nieoczekiwaną wizytą. - Co cię sprowadza na mój kraniec kampusu? - Chociaż starała się zachować kokieteryjnie, mogło to wypaść protekcyjnie - Sądziłam, że raczej interesują cię świeckie kontakty tam na dole.

Starała się okazywać mu jak najwięcej ciepła, pamiętając, że ten człowiek, formalnie

rzecz biorąc, jest przełożonym Lemastera, a co za tym idzie, również jej. Ale była w ponurym nastroju. Właśnie powróciła z przydługiego lunchu z Suzanne de Broglie i Stanleyem Penrose'em, nakłaniającymi ją, żeby nie wprowadzała cięć w programie, dzięki któremu każdego lata wysyłano dwóch studentów do Ameryki Łacińskiej, aby tam z pierwszej ręki mogli uczyć się teologii wyzwolenia, budowania domów, uczenia w szkole, organizowania robotników i ogólnie rzecz biorąc, uczestnictwa w globalnej wojnie przeciw siłom reakcji. Julia starała się zachować dla siebie wiadomość, że ten program z góry skazany jest na porażkę, domyśliła się tego po zachowaniu swojego męża, który w chwilach nieuwagi naśmiewał się z niego w domu.

- Faktycznie, w Elm Harbor to nie interesy - odrzekł Cameron, który często zapominał używać czasowników, jak człowiek, który języka uczy się z e-maili. W jego bladoniebieskich oczach dostrzegła wyraz anielskiego współczucia, jakby on już cierpiał ból, którego ona miała dopiero doświadczyć. - Spotkanie w Nowym Jorku z pewnymi inwestorami. A tu jestem, żeby rozwiązać pewien problem mojego syna. Jakieś nękanie przez uniwersyteckiego gliniarza. Nie pamiętam szczegółów. To pewnie przesadzone. Ten mój Nate czasami tak się zachowuje. - Skrzyżował tłuste nogi. Jego garnitur w kolorze gołębim był tak zręcznie skrojony, że z łatwością można było pomylić się i stwierdzić, że ten mężczyzna nie jest tłusty, lecz dobrze zbudowany. - Pomyślałem, że zajrzę do Keplera, bo ciągle tylko słyszę zawodzenia, że nikt nie chce już finansować Boga. - Julia nie była pewna, czy pani dziekan w ten właśnie sposób dobrałaby słowa, ale postanowiła tym razem zachować roztropną ciszę. Knowland rozejrzył się po jej gabinecie. - Chciałem zobaczyć na własne oczy - dodał z powątpiewaniem. - Sam nie jestem zbyt nabożnym człowiekiem. Ale może da się jakoś pomóc.

- Byłoby wspaniale.

Julia bynajmniej nie żartowała, ale Cameron zmarszczył brwi, jakby dopatrując się w jej słowach zniewagi. Miał sześćdziesiąt kilka lat, w przeszłości zaczynał od zera, a teraz ze swojego wspaniałego zamku w San Marino, w pobliżu Los Angeles, zarządzał grupą funduszy otwartych, którą założył prawie czterdzieści lat wcześniej. Sprawiał wrażenie człowieka zdumiewająco energicznego, pomimo swojej kluchowatej sylwetki, i potrafił wykrzesać z siebie wspaniałą gamę gestów, które wypełniały świat różnymi możliwościami, energią, a nawet nadzieją - zdawało się, że ten oto człowiek dysponuje ogromnymi zasobami i może rozwiązać wszystkie nasze problemy, jeśli tylko dać mu szansę.

- Zajrzałem do kaplicy. Rusztowanie. O co chodzi?

- Spadł kawałek dachu.

- Hmm. Ciężka symbolika. - Przechylił się w drugą stronę na twardym drewnianym krześle i utkwiał wzrok w scenach biblijnych przedstawionych na witrażowym oknie. - Jak tam, kadra wciąż zbuntowana? Przyjmują rezolucje? Uważają, że Lemaster jest narzędziem w rękach absolwentów? Że położy tu kres wielokulturowości czy coś takiego? Im się pewnie wydaje, że powinniśmy tylko dawać pieniądze i cicho siedzieć.

Ta błyskawiczna zmiana tematu zaskoczyła Julię, która zaczęła udzielać zbyt wielu wyjaśnień naraz.

- Wszystko już przycichło. Media bardzo to wyolbrzymiły. To tylko garstka profesorów. A poza tym znasz Lemmiego. On swoim urokiem osobistym potrafi wyjść z...

- Dobrze. Jasne. - Julia poniewczasie zdała sobie sprawę, że tak naprawdę Cameron wcale nie zadał pytania. - Pozwól, że wyjaśnię powód swojej wizyty.

- Oczywiście - odparła Julia, uśmiechając się do niego, ale jednocześnie martwiąc się, ile ta wizyta zajmie czasu, bo jeśli chciała zdążyć do domu przed szkolnym autobusem, na dokończenie pracy została jej tylko godzina.

Starszy Członek Zarządu jakby czytał w jej myślach.

- Nie zabiorę ci zbyt wiele czasu - powiedział, spoglądając na zegarek, chcąc chyba pokazać jej, czyj czas bardziej sobie ceni.

- Chodzi tylko o to, że chciałabym być w domu, zanim dzieci wrócą ze szkoły.

Cameron skinął głową.

- Chyba dwójka chodzi do college'u?

- Jedno. Nasz najstarszy. Preston.

- Podoba mu się?

- Raczej tak. Robi studia doktoranckie. - W wieku dwudziestu lat. - Ma się doskonale.

- Macie też chyba córkę, która teraz będzie starać się o przyjęcie do college'u?

Oczywiście, że tak, i Cameron doskonale o tym wiedział. A zważywszy na kłopoty z Vanessą w ostatnich latach, musiał też wiedzieć o problemach związanych z tymi jej staraniami. Czyli chodziło tylko o pokazanie, kto na tym uniwersytecie jest ważniejszy.

- Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić - odparła ostrożnie.

Ledwo ją usłyszał.

- Czy wiesz, czym się zajmowałem przez kilka ostatnich lat?

Bogaceniem się. Zdzieraniem kasy z inwestorów. Ochranianiem własnych dzieci przed konsekwencjami ich poczynań.

- Obawiam się, że nie.

- Wspomagałem szefa w zbieraniu funduszy, zwłaszcza na Zachodzie. Pomagałem

całej partii. - Chwilę zajęło Julii przetworzenie tej informacji, ponieważ w pierwszej chwili myślała, że mówił o rektorze uniwersytetu, a nie o prezydencie. - Nie chcę się przechwalać, ale to chyba ja przysporzyłem im najwięcej funduszy.

- Rozumiem - odparła Julia, choć nie rozumiała. Z pewnością nie przyszedł tu do niej w sprawie pieniędzy. Już większe szanse miałby w sprawie przewidywania powtórnego przyjścia Mesjasza.

Co wcale nie znaczyło, że ona wierzyła w powtórne przyjście Mesjasza.

- Chodzi o to, Julio, że moim zdaniem twój mąż nie zachowuje się rozsądnie.

Wyprostowała się na krześle, słysząc te słowa.

- Rozsądnie? W jakiej sprawie?

- W sprawie zbliżających się wyborów. Najważniejszych od dziesięcioleci. Kiedy trzeba zebrać wszystkie siły, bo w przeciwnym razie mogą zwyciężyć liberałowie. A Lemaster to przecież bystry facet. Musi to widzieć. Ale on nie chce pomóc.

- O jakiego rodzaju pomocy myślisz?

- Niezręcznie mi poruszać ten temat, ale zawsze staram się mówić, co myślę. - Nadal z nogą założoną na nogę, wychylony do przodu, napierał na Julię wciśniętą w małą przestrzeń za biurkiem. - To naprawdę proste. Lemaster od ponad trzydziestu lat zna się z senatorem Malcolmem Whistedem. Na studiach mieszkali w tym samym pokoju i tak dalej. Dla mnie Whisted zawsze był takim napuszonym facetem. Powiadają, że ma sporo za uszami. Być może jest to związane ze studenckimi czasami. A Lemaster...

Julia nie mogła powstrzymać wybuchu śmiechu. I od nowa *déjà vu*, jak mawiał nasz kaleczący język baseballista Yogi Berra. To samo pytanie. I ta sama odpowiedź.

- Cameronie, mój mąż to człowiek z zasadami.

- Do diabła z zasadami - rzucił finansista zupełnie poważnie. Oparł palce na biurku Julii. - To nie chodzi o jakieś tam wybory. Te są naprawdę istotne.

- Powiem ci, dlaczego się przed chwilą roześmiałam. Może cię zaskoczy, ale zupełnie niedawno ktoś, powiedzmy z drugiej strony, próbował nakłonić Lemastera, żeby obrzucił błotem twojego kandydata.

- Wcale mnie to nie dziwi. Ci liberałowie nie cofną się przed niczym, żeby tylko zdobyć władzę nad krajem. I doprowadzą do tego, że w tym kraju życie stanie się udręką, możesz mi wierzyć. A zwłaszcza dla biznesu. I właśnie dlatego Lemaster powinien pomóc. - Uniósł rękę, żeby ubiec jej odpowiedź. - I nie martw się. Można to z łatwością zrobić po cichu. Nikt nie musi wiedzieć, że informacje pochodzą od Lemastera. Można skorzystać, na przykład, z jakiegoś pośrednika...

Julia, zdenerwowana i roztrzęsiona, była gotowa do ataku. Zawsze nienawidziła zajadłej retoryki i zdecydowanie nie godziła się w coś takim uczestniczyć. Kiedy ludzie zaczęli w ten sposób mówić, nawet jeśli były to osoby, z których zdaniem się zgadzała, Julia nieodmiennie skłaniała się w stronę przeciwnego obozu. Jeszcze w college'u, kiedy inni czarnoskórzy studenci odkryli, że Mona ma zwyczaj mówić do niej „Perełko”, nazwali Julię „Podróbką”, naśmiewając się z tej jej pozornej niechęci do angażowania się w sprawy, ich zdaniem, bardzo ważne.

- Cameronie, Lemaster odrzucił prośbę drugiej strony. Twoją też odrzuci.

- Już to zrobił. Ale powinnaś wpłynąć na niego, żeby zmienił zdanie. Musisz mu uzmysławić, że to leży w jego interesie. - Starszy Członek Zarządu już stał na nogach. Błede oczy przemykały po jej postaci, ponownie zatrzymując się tam, gdzie nie powinny. - I w twoim interesie też, Julio. Wpłynij na niego, żeby zmienił zdanie.

- Nie wydaje mi się, żeby do mnie należało...

- Zajmiemy się tym. - Odruchowo machnął ręką dookoła. - Jakoś znajdziemy pieniądze. Nie martw się. - Nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Julio. Zaraz, zaraz. Ty przez przypadek nie wiesz, nad czym twój znajomy Kellen Zant pracował, co? W chwili śmierci?

Tak ją tym zaskoczył, że odparła zgodnie z prawdą.

- Och, nie. Nie. Sama się nad tym zastanawiałam.

- Powiem ci coś ciekawego, Julio. On do mnie zadzwonił. Niecałe dwa tygodnie przed śmiercią. Nie chciał rozmawiać z moim asystentem, koniecznie tylko z szefem. Nasza firma wcześniej już korzystała z jego usług, pracował dla nas jako doradca. Zaprojektował tę grę rynkową, dzięki czemu nasi analitycy mogli przewidywać tendencje rynkowe, dostawali punkty, jeśli mieli rację, albo je tracili, kiedy się mylili, a na koniec wręczano miłe nagrody. Z tego Zanta był prawdziwy handlowiec. - Słowa pełne uznania. A także wyraźnego zadowolenia. - Powiedział, że dysponuje jakimiś nowymi informacjami. Odmieni losy kampanii. Właśnie tak powiedział. Nie chciał zdradzić, w którą stronę. Cwany skurczybyk. Powiedział, że może to sprzedać. Sprzedać, Julio. Tylko sobie to wyobraź. Żeby targować się o przyszłość całego kraju.

- Odrzuciłeś tę jego ofertę? - zapytała, z wielką uwagą czekając, aż on, podobnie jak Mary Mallard, wspomni o Czarnej Damie.

- Powiedziałem mu, że porozmawiamy podczas mojej następnej wizyty na Wschodzie. Mieliśmy razem zjeść śniadanie następnego dnia po tym, jak ktoś rozwalil mu głowę. - Uścisk dłoni, błyskawiczny jak trzask pioruna. - Posłuchaj. Julio, swój dom trzeba kochać, prawda?

II

Julia właśnie redagowała notatkę służbową, kiedy do jej gabinetu wsunął głowę Clay Maxwell. Dwadzieścia lat temu był jej ulubionym profesorem, choć z pewnością ona nie była jego ulubioną studentką.

- Pewnie już słyszałaś najnowsze wiadomości - powiedział.

- Jakie wiadomości?

- O kuzynce twojego męża. O Astrid Venable.

- Coś się jej stało? - Panika. - Wszystko w porządku?

- Whisted dziś rano ją zwolnił. Podobno chodziło o jakieś samowolne grzebanie w przeszłości przeciwnika politycznego. - Wzruszenie starannie apolitycznych ramion Claya. - Palnął przy tym też małą mówkę, jak to zamierza prowadzić czystą kampanię, ale jestem pewien, że chodzi o coś innego. Nikt nie wyleciałby za coś takiego, co podobno zrobiła Astrid. Przecież w dzisiejszych czasach oni wszyscy tak postępują, prawda? To są kandydaci? Oni tylko wywlekają brudy.

III

Tego popołudnia Lemaster mógł poświęcić żonie dziesięć minut w swoim przestronnym biurze w Lombard Hall, bezpośrednio przed spotkaniem z administratorem i prorektorem do spraw finansowych, którzy zazwyczaj potrafili wpędzić w depresję nawet swojego niespożytego rektora, i zaraz po wizycie przywódców studenckiego ruchu protestacyjnego, którzy żądali, żeby uniwersytet zerwał kontakty z wszelkimi firmami prowadzącymi interesy wszędzie tam, gdzie służą za granicą amerykańskie wojska - nie zdając sobie sprawy, że na świecie istnieje najwyżej kilkanaście krajów, w których nie ma żadnych sił amerykańskich, z czego tylko kilka posiada twardą walutę wartą inwestowania.

- Jules, ja nie miałem z tym nic wspólnego. Przeceniasz moje możliwości.

- Powiedziałeś, że rozmawiałeś z Malem. Żeby ją odwołał.

Lemaster skinął głową ponuro.

- Właśnie to zrobiłem. Nie skarżyłem mu się ani o nic nie prosiłem. Zasugerowałem jedynie, żeby trochę przytemperował Astrid w jej grzebaniu w przeszłości przeciwnika, bo w przeciwnym razie istotne stanie się nie to, co ona ewentualnie wyciągnie, ale sam fakt, że ona w ogóle tym się zajmowała.

- I tylko tyle?

Znów ten czarujący uśmiech skrzata.

- Nie było potrzeby mówić nic więcej. Ani też czasu. Powiedziałem, o co mi chodzi, a Mal stwierdził, że się tym zajmie. Potem musiał udać się na jakieś spotkanie. Rozmawialiśmy może pięć minut. Najwyżej sześć albo siedem.

Julia zmarszczyła brwi, przekonana, że czegoś jej brakuje - ale nie w słowach jej męża, tylko Malcolma Whisteda. Wyciąganie tego siłą byłoby jednak równie skuteczne, jak oddychanie przez chwytywanie powietrza w ręce.

- Rozmawiałeś z nią? - zapytała.

- Oczywiście.

- I jak się czuła?

Lemaster, jak często mu się zdarzało, zdecydował się udzielić jej odpowiedzi na pytanie, które on chciał, żeby ona zadała, ponieważ zawsze próbował okazać swoją wyższość, niezależnie od towarzystwa, w jakim przebywał. Zeszłej wiosny, kiedy już wybrano go na stanowisko rektora uniwersytetu, udzielił obowiązkowego wywiadu do „Timesa”. Reporter zapytał go, co zamierza zrobić wobec zarzutów, że administracja kampusu nie jest dostatecznie zróżnicowana rasowo, a wszystkie najwyższe stanowiska znajdują się w rękach osób białych. Lemaster, uśmiechając się wyniośle, jak tylko on potrafił - Julia była przy tym i z zażenowaniem to obserwowała - odparł, że zamierza przyjąć to stanowisko. Reporter, którego wcale to nie rozbawiło, a nawet poczuł się potraktowany jak głupek, przekręcił jego wypowiedź i w tekście zabrzmiało to, jakby nowy rektor nie zwracał uwagi na tę kwestię, a Lemaster, zanim jeszcze otrzymał pierwszą wypłatę, został zmuszony do napisania sprostowania do redakcji, tłumacząc, jak to „niezbyt dobrze dobrał słowa w swojej wypowiedzi”. Tylko jego żona wiedziała, ile go to kosztowało. Ale to doświadczenie w żaden sposób go nie zmieniło. Nadal nie potrafił znieść sytuacji, w której mógłby nie być najmądrzejszą osobą w towarzystwie, i stale poszukiwał okazji, żeby udowodnić swoją wyższość. Co wieczór, zarówno podczas oficjalnych kolacji oraz przyjęć, jak i w domu, Lemaster na nowo udowadniał swój geniusz, od niechcenia rzucając jakąś grzecznościową upokarzającą uwagę.

A zwłaszcza kiedy w pobliżu przebywał Kellen - w takich sytuacjach krążące w ciele jej męża soki intelektualnej rywalizacji zdawały się przelewać ze szczególną energią, a ego Kellena natychmiast na to reagowało, jakby w ich pokoleniu starodawna męska zażarta rywalizacja o samicę uległa przemianie w naszpikowaną wyrażeniami żargonowymi, pełną odniesień do znanych nazwisk i dowodzącą erudycji przeciwników wersję afrykańskiego zwyczaju obrzucania się inwektywami. Ekonomista najprawdopodobniej celowo prowokował

jej męża, a Lemaster, chociaż z natury tak uroczy i pełen łagodnego wdzięku, wiedział, jak użyć swojego języka, żeby pokroić człowieka na kawałki i krwawiącego zostawić na podłodze.

- Astrid zapewniała, że nie ma do mnie pretensji - powiedział teraz. - Być może to nieprawda. Raczej sędzę, że obwinia mnie o to, co się stało, bez względu na to, czy słusznie, czy nie. Nie byłaby sobą, gdyby obwiniała kogoś innego.

- Może mieć pretensje do samej siebie - stwierdziła Julia, widząc po zachowaniu męża, że jej czas już się skończył. - Albo do senatora. - Lemaster tylko wzruszył ramionami. - To jest możliwe, Lemmie. Naprawdę tak myślę. To, co ona zrobiła, albo przynajmniej starała się zrobić, nie wydawało się tak poważne. Przynajmniej nie w tym momencie. Podejrzewam, że kryje się za tym coś więcej.

- Jestem tego pewien - stwierdził Lemaster, uciekając wzrokiem w stronę raportu, który musiał przeczytać, by przygotować się do zebrania w sprawie budżetu.

Już w drzwiach, kiedy nastawiała mu policzek, żeby mógł na nim złożyć swój delikatny, a zarazem zaborczy pocałunek, Julia zapytała:

- A co z Cameronem? Jego też masz zamiar zwolnić?

- Julio, już ci mówiłem, ja nie zwolniłem Astrid. - Zajął się już przeglądaniem stron dokumentu. - W każdym razie Cameron jest dla mnie nieco za mocny. - Roześmiał się. Żona mu nie zawtórowała.

- Lemmie?

- Tak, Jules?

Nie miała wyjścia, musiała walić prosto z mostu.

- W wieczór swojej śmierci Kellen powiedział komuś, że wybiera się na Jamajkę.

- Może tak było.

- Ale nie zarezerwował ani biletu lotniczego, ani hotelu.

- W takim razie powinna się tym zająć policja.

- Już się nie zajmuje - odparła Julia, ponieważ, zgodnie z przewidywaniami Chrebeta, dochodzenie już zamknięto.

- Tak sędzę. - Lemaster wcisnął raport pod pachę i ponownie ją pocałował. Dochodzący zza mocnych dębowych drzwi rosnący szmer rozmowy poinformował Julię, że nadużyła już gościnności. W jego wysoce zorganizowanym dniu pracy pojawiała się opóźnienie. - Dlaczego mówisz o tej sprawie z Jamajką?

- Zastanawiałam się, czy ty coś wiedziałeś...

Ale z jego twarzy wyczytała, że nic nie wiedział, nawet jeśli tego chciał.

- Jules?

Zatrzymała się z ręką na klamce.

- Tak, Lemmie?

Ponowny rzut oka na raport.

- Co sądzisz o Brusie Vallelym?

- Brusie? Dlaczego pytasz o Bruce'a?

- Wydaje mi się, że on próbuje zbadać inne hipotezy - odrzekł Lemaster nie podnosząc wzroku. - Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy przekonać go, żeby dał sobie z tym spokój.

Julia przełknęła ślinę i przestąpiła z nogi na nogę, czując się jak przed laty w liceum, kiedy szkolny pedagog oskarżył ją o to, że skłamała w sprawie kradzieży jej torebki, aby celowo wpakować w kłopoty inną dziewczynę.

- No dobrze... to chyba zależy od ciebie.

Wspaniały uśmiech.

- Dziękuję, kochanie.

IV

Po powrocie do czworoboku Keplera Julia energicznie zabrała się do pracy. Upomniwała studenta zbyt często opuszczającego zajęcia i udzieliła porady studentce, do której przestał dzwonić jej chłopak. Przeczytała kartoteki kandydatów i bardzo usilnie starała się dopilnować, czym zajmują się jej asystentki. Kilka razy próbowała skontaktować się z Astrid - wyobrażała ją sobie, jak maszeruje tam i z powrotem po swojej rezydencji miejskiej w pobliżu Kapitolu, kopiąc jak komin i ignorując bezustannie dzwoniący telefon.

A może to tylko telefonu od Julii Astrid nie chciała odebrać.

„Co sądzisz o Brusie Vallelym?”

Chwyciwszy ołówek, dłuższą chwilę spędziła na wymyślaniu anagramów do „Shari Larid”, tego imienia, o które pytał ją Tony Tice, ponieważ Kellen lubował się w grach słownych. Wśród wyników pojawiło się: „Hard liar is? Dial Harris? Rash rail lid?” - ale żadne ją nie satysfakcjonowało. Wyszukiwarka internetowa nie znalazła żadnych stron dla Shari Larid, ale nie można było też wykluczyć, że Julia popełniła błąd w pisowni.

Druga trzydzieści - pora spakować się, żeby zdążyć na Hunter's Heights przed autobusami. Kiedy już miała opuścić gabinet, nagle przyszło jej coś do głowy. Bruce Vallely znalazł kopię pracy semestralnej Vanessy w komputerze Kellena. Ta praca semestralna miała dwie wersje - oryginalną, którą jej córka oddała w szkole i za którą pani Klein dała jej tę

okropną ocenę, oraz wersję poprawioną, roboczą, na której naniesione były wyniki dodatkowych poszukiwań przeprowadzonych przez Vanessę. Gdyby wiedziała, którą wersję miał Kellen, może dowiedziałaby się więcej o jego związku z Vanessą - chociaż zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później, nie zważając na słowa doktora Brady'ego, który ostro sprzeciwiał się zasypywaniu jego pacjentki pytaniami, i tak będzie musiała wprost zadać jej to pytanie, jak sugerował Rick Chrebet.

W dolnej szufladzie po prawej stronie biurka, wśród teczek z różnymi niezbędnymi studentom formularzami, Julia trzymała kartotekę Vanessy - zbiór wszystkich dotyczących jej informacji, od wycinków prasowych o pożarze po wyciętą z gazety wyblakłą fotografię Giny, niegdyś zdobiącą komodę Vanessy. W teczce znajdowały się również obie wersje tej pracy semestralnej.

Tyle że teraz ich tam nie było.

Kiedy wyjęła teczkę i ją otworzyła, okazało się, że pozostały tam tylko wycinki prasowe o pożarze. Cała reszta gdzieś zniknęła.

Już gotowa była obwinić za to Cwanego Tony'ego Tice'a, ale dostrzegła dowody wskazujące na kogoś zupełnie innego - po całej oliwkowej teczce ciągnęły się przypominające smugi krwi, odciski palców upakowanych brązową czekoladą, pozostawione przez Borissa Gibbsa, kiedy grzebał w jej biurku.

Rozdział 23

Lustereczko, lustereczko

I

Vera Brightwood nie posiadała się z radości na wieść, że ten samochód sportowo-terenowy, który w Norport rozbił na miazgę biednego Borisa Gibbsa, był właśnie jej autem, skradzionym dwa dni wcześniej sprzed jej domu przy Pleasant Road. W cukierni Cookie's opowiadała wszystkim stałym klientom, a także wszystkim przypadkowym, którzy akurat tam zajrzeli, o tych całych godzinach spędzonych z oficerami śledczymi, a to wszystko po tym, jak zupełnie nie zwracali uwagi, kiedy po raz pierwszy doniosła o kradzieży samochodu. Już chyba najwyższy czas, żeby zajęli się tą falą przestępczości w miasteczku, powiedziała. W ostatnich latach liczba napadów w Landing wzrosła dwukrotnie, oznajmiła, i tym razem jej dane były prawidłowe, nawet jeśli nie wspomniała, że to podwojenie wynikało ze wzrostu z dwóch do czterech przypadków. Ale Vera była praktycznie jedynym źródłem informacji w miasteczku i jak to z uśmiechem skomentował Lemaster, odpowiadając na skargi Julii, pomijanie szczegółów, przez które liczby nie robią już takiego wrażenia, jest zwyczajem praktykowanym przez większość mediów.

Julia spędziła kilka popołudni na Main Street, gdzie chodziła od sklepu do sklepu, zbierając opowieści, przysłuchując się plotkom i poszukując prawdy. Beth Stonington, najpoważniejsza pośredniczka handlu nieruchomościami w miasteczku, która w przeszłości sprzedała rodzinie Carlyle'ów teren stanowiący miejsce pod dom na Hunter's Heights, upierała się, że z pewnością słyszałyby, gdyby ktoś szukał jednej z niewielu pozostałych nabrzeżnych działek. Zaprzeczyła też, kiedy Julia, sądząc, że Boris mógł się pomylić, zaczęła ją naciskać: Kellen Zant nie oglądał żadnych domów na rynku. Słyszałyby o tym.

Bo był czarny, pomyślała Julia, ale na głos tego nie powiedziała.

Carrie Bisette, kierowniczka wieczornej zmiany w drogerii sieci CVS, nigdy nie spotkała Kellena Zanta, ale często widywała Borisa Gibbsa. Ludzie mówili, że coś tam między nimi było. Poważnym głosem zapewniała jednak Julię, że nie, Boris nigdy nie pytał ją o Zanta. Greta Hudak, właścicielka gospody noszącej jej imię, powtórzyła Julii to samo, co

już wcześniej zeznała policji, że raz czy dwa był u niej na lunchu jakiś wysoki czarnoskóry mężczyzna, który nie mieszkał w Landing, ale nie potrafiła wskazać jego fotografii, kiedy dano jej kilka do wyboru. Na pytanie Julii, skąd wiedziała, że on nie mieszka w ich miasteczku, Greta odparła, że przecież by go zapamiętała. Właściciel miejscowej, borykającej się z trudnościami księgarni, Danny Weiss, jakiś tydzień przed śmiercią Zanta sprzedał ekonomście tom o antykach. Z kolei Lurleen Maddox, pracująca w sklepie Luma's Gifts, powiedziała Julii, że tego samego dnia, kiedy kupił tę książkę, Kellen Zant faktycznie zajrzał do jej sklepu.

- Kupił coś?

- Tylko małe zabawkowe lustro - odparła, cierpkim głosem wyrażając dezaprobatę dla jego skąpstwa.

II

Wyraźnie czuła, że Kellen chciał coś jej powiedzieć. Kupował lustra, dostarczał lustra, próbował wręczać Julii lustra w formie podarków, ale zginął, zanim dokończył swój plan. Chciał, żeby podążyła jego tropem, jak nocne stworzenie pozostawiał za sobą ślad na swojej drodze przez Landing, starając się dawać Julii znaki, które dla niej byłyby zarówno przekonujące, jak i nieodparte, a ona teraz nie mogła się nadziwić, że dotychczas była nieświadoma jego obecności w tym jej miasteczku. Miała wrażenie, że kupcy z Main Street zmówili się, by ukryć przed nią tę prostą prawdę, co też Kellen kombinował.

Ale co on kombinował?

Ryzyko zapasów. Ciemność ma znaczenie.

Julia nadal nie potrafiła jednak odgadnąć, w jaki sposób Kellen zamierzał wyciągnąć na światło dzienne tajemnice kampanii prezydenckiej. To prawda, mógł dysponować dowodem, że trzydzieści lat temu prezydent Stanów Zjednoczonych, będąc na przedostatnim roku studiów, zabił Ginę Joule i przez te wszystkie lata ukrywał tę tajemnicę. Przerazona konfrontacją z Bruce'em Vallelym, Julia była w stanie uwierzyć w tę możliwość. Ale teraz, kiedy już nieco się uspokoiła, doszła do wniosku, że oskarżanie prezydenta, nawet w myślach, świadczy o uleganiu jakiejś cudzej paranoi. A poza tym nie istniał żaden powód, dla którego miałby to być właśnie Łach. Przecież wówczas Lemaster nie utrzymywał dyscypliny wśród mieszkańców apartamentu Hillimana, bo go tam nie było - wiosenny semestr roku 1973 spędził na studiach w Oksfordzie. Każdy z jego współlokatorów - Łach, Mał czy Jock Hilliman - mógł coś nabroić, a Wielki Brat, jak go nazywali, nic by o tym nie wiedział.

Vanessa niewzruszenie jednak twierdziła, że zabójcą był DeShaun Moton. W niedzielę Julia zabrała córkę na kolację do restauracji Grety i tam próbowała wyciągnąć z niej coś jeszcze.

- Już ci mówiłam, nigdy o tym z Kellenem nie rozmawiałam.

- Nigdy?

- No wiesz, zapytał mnie, nad czym pracuję. Kiedy powiedziałam, że chodzi o Ginę Joule i że zabójcą musiał być DeShaun, pochwalił moją gotowość zajęcia niepopularnego stanowiska. - Widelec brzęczał w jej drżącej dłoni. - Obrzydliwy zboczeniec.

- Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziałaś?

- Niby czego?

- Że powiedziałaś mu o Ginie?

Wyglądało na to, że Vanessa nie potrafi znaleźć odpowiedzi na to pytanie, albo przynajmniej nie jest w stanie jej wyartykułować, bo tylko opuściła głowę i ukryła twarz za warkoczykami. Ręka drżała jej coraz bardziej, więc odłożyła widelec. Wieczór za oknem był rzeński i przejrzysty. Samochody z majestatyczną obojętnością sunęły po wczorajszym śniegu.

- Kochanie?

- Tak, mamo?

- Czy dałaś Kellenowi kopię swojej pracy semestralnej?

Uśmiechnęła się na samo wspomnienie, jak stara kobieta wspominająca lata młodości.

- Obiecał mi pomóc to opublikować. Był obrzydliwy. On tylko chciał, no sama wiesz, czego on chciał. - Odkroiła kawałek łososa. - Wysłałam mu to e-mailem. - I żując, dodała - Ale mi nie odpowiedział. Podejrzewam, że tekst był za słaby. - Na jej twarzy ponownie pojawił się wyraz rozgoryczenia. - Wiesz, mamo, ten twój Kellen potrafił być bardzo okrutny.

- Wiem, kochanie. - Przykryła rękami dłonie córki. - Wiem.

Prowadząc samochód w drodze do domu, kiedy Vanessa skupiła wzrok na trzymanym na kolanach zadaniu domowym z rachunków, Julia na powrót próbowała przeanalizować przebieg wydarzeń. Może. A może nie. Załóżmy, że Kellen w niecznych zamiarach kręci się w okolicy Keplera, licząc na to, że gdzieś zobaczy Julię. Mile zaskoczony spotyka Vanessę i zaczyna się z nią lekko drażnić, może chcąc w ten sposób na odległość podrażnić się z Julią, a może z powodu samej Vanessy - no cóż, wszystko było możliwe. Kolejnego dnia ponownie odwiedza wydział teologiczny i znowu spotyka Vanessę, zajęta swoją pracą w bibliotece. Może z nią flirtuje. Rozmawiają. Dowiaduje się o jej pracy semestralnej. O Ginie. Czy on próbuje ekstrapolować? Czy sam przeprowadza obliczenia i odkrywa, że biała nastolatka zginęła, kiedy Łach i jego koledzy mieszkali razem w apartamencie Hillimana? A może już

wcześniej o tym wiedział, a w takim wypadku Vanessa byłaby jedynie źródłem dodatkowych informacji? W każdym razie Kellen zaciekawia się tą sprawą i głębiej w nią wchodzi, odkrywając... co on odkrył?... prezydenta? Czy Kellen zginął z powodu osoby, która jego zdaniem była winna? I czy z tego samego powodu zginął Boris?

Julia zadrżała, częściowo z niepokoju, a częściowo z ulgi. Ostatnio Vanessa oświadczyła, że przestaje zajmować się tą swoją pracą.

- Kochanie?

- Tak, mam? - Zapamiętała pisała w blasku światełka w samochodzie, już cała strona zeszytu pokryta była równaniami.

- Jesteś pewna, że to był DeShaun? Nie masz żadnych wątpliwości?

- Uhm.

- Żadnych dowodów, że mógłby to być ktoś inny?

- Żadnych. - Vanessa przerzuciła strony i zajrzała na koniec podręcznika matematyki, żeby sprawdzić odpowiedzi, a potem, zmarszczywszy brwi, zabrała się za potężne gumowanie. Opuściła jeden krok w obliczeniach. - Bo wiesz, ktoś mógł sfalszować jakieś dowody, czy coś podobnego - kontynuowała, od nowa zaczynając cały problem. - Wiesz, o co chodzi. Żeby kogoś zrobić. - Vanessa uśmiechnęła się i skinęła do siebie głową. Teraz równania były już poprawne. - Ale nie sądzę, żeby Kellen mógł coś takiego zrobić.

- Dlaczego, moja droga? - zapytała Julia, zastanawiając się, jak to się dzieje, że Vanessa, jak zawsze, wyprzedzała ją w myśleniu.

- Ponieważ zrobienie kogoś wymaga... jakiejś pasji. Pełnego zaangażowania. I wiesz czego jeszcze? Żeby zaryzykować, trzeba naprawdę nienawidzić swojej ofiary. - Vanessa przeszła już do kolejnego rozdziału i rozwiązywała nowy problem. - A czy Kellen mógł kogoś tak bardzo nienawidzić?

III

W nocy, już po powrocie do domu, Julia zerwała się nagle ze snu. Wpół do drugiej. Śniła, jak często się jej zdarzało, że idzie, potykając się o zaśnieżone drzewa, ścigana przez jakieś rozwścieczone stworzenie, które na nią warczało, bo Julia nie była taka miła, jak ludziom się wydawało. Gdzieś tam w dali było schronienie, ale sen zawsze się urywał, zanim zdołała się dowiedzieć, czy udało się jej do niego dotrzeć, czy nie. Tym razem na jawę przywołało ją jakieś piskliwe lamentowanie. Dźwięk się urwał, więc może stanowił część jej snu. Obok chrapał rektor uniwersytetu. Julia ułożyła się ponownie, ale zaraz znowu się podniosła. Nie.

To nie był sen. Znowu ten sam dźwięk, ledwo słyszalny, ale Julia, podobnie jak jej córka, miała wyjątkowy słuch - obie grały na pianinie. Wsunęła stopy w pantofle i naciągnęła na siebie swój ulubiony znoszony szlafrok. Podążając za dźwiękiem, dotarła do pokoju Vanessy. Przyłożyła ucho do drzwi. Usłyszała jakieś piszczące, lekko melodyjne buczenie.

Dźwięk się urwał.

Kiedy ona wciąż jeszcze wahała się, czy zapukać, drzwi otworzyły się gwałtownie. Zanim Julia zdążyła otworzyć usta, Vanessa, w pidżamie i na bosaka, już zaczęła do niej mówić.

- Wiesz co, jest taka świetna strona internetowa, z której można ściągać pieśni żałobne różnych kultur. Nie da się tego słuchać przez słuchawki. Dopiero kiedy puści się to przez głośniki, można to naprawdę poczuć.

- Julia zerknęła do wnętrza pomieszczenie. W pokoju panował straszny bałagan, wszędzie leżały stopy ubrań, papierów i książek, ale udało się jej dostrzec porozrzucane w różnych miejscach głośniki firmy Bose. O ile pamiętała, było ich chyba osiem. - Staralam się to ściszyć, przepraszam, jeśli było za głośno, ale z drugiej strony cieszę się, bo możemy razem posłuchać. Spodoba ci się.

- Rano idziesz do szkoły.

- Prześlę ci się na francuskim. Usiądź. - Wciągnęła matkę do pokoju i zamknęła drzwi. Julia odsunęła na bok traktującą o bitwie pod Stalingradem książkę z oślimi uszami i opadła na fotel. Kiedy Vanessa pochyliła się nad biurkiem, Julia dostrzegła laptopa, skrytego za murem butelek po wodzie mineralnej Perrier i połyskujących pudełek z kompaktów. Po chwili popłynęła melodia, smętna i słodka. Podśpiewując, Vanesa zaczęła powoli sunąć bosymi stopami, to w jedną, to w drugą stronę. - Oni do tego tańczą, mamó - wyjaśniła, wdzięcznie wzruszając ramionami i uśmiechając się. - Właśnie to robiłam, kiedy zapukałaś w drzwi. Nic zdrożnego. To muzyka plemienia Ewe z Ghany. Mają taki specjalny taniec z okazji śmierci członka starszyny. Nie znam wszystkich ruchów, więc większość sama wymyśliłam. - Zamknawszy oczy, uniosła szczupłe ramiona i zaczęła tańczyć, poruszając się jak w shimmy. Chwilę później również Julia znalazła się przy niej, obie tańczyły do żałobnego zawodzenia, przykucając, kołysząc się i kręcąc, jednocześnie starały się zapamiętać i zapomnieć. Vanessa kliknęła myszką. Kolejna melodia, tym razem w mocniej przyspieszającym tempie, bez akompaniamentu, jedynie szybsze lamentowanie. Julia wirowała jak szalona, ponieważ poruszanie się świadczyło o realności, a śmierć była oszustwem, i jeśli tylko uda się jej wirować dostatecznie szybko, nikt nigdy nie będzie musiał umierać. Vanessa, śmiejąc się, tłumaczyła, z której kultury pochodzi dana pieśń żałobna i że

zwyczaj tańczenia na pogrzebach był powszechny w większości kultur, poza zachodnią, ale jej matka zupełnie zatraciła się w muzyce i ruchach, i prawie jej nie słyszała, nieustannie wirując, aż poczuła na swych miodowych policzkach dziwnie radosne łzy, bo Kellen może nie żyć, Jay i babcia Vee mogą nie żyć, ale ona żyje, jest tu oto wraz ze swoją córką, i z pewnością uda im się wszystko doprowadzić do porządku, zaczną wszystko od nowa, uda im się...

- A to jest moja ulubiona - powiedziała Vanessa.

Cisza.

Julia zatrzymała się. Czekala, ale nic się nie wydarzyło. Vanessa stała nachylona nad biurkiem, z palcami wyciągniętymi i drżącymi nad myszką, ale nie była w stanie wykonać kliknięcia. Przez chwilę zmagala się ze słabością, a potem popatrzyła bezradnym wzrokiem na matkę.

Julia przeszła przez pokój, uniosła rękę córki i ścisnęła ją w swoich dłoniach, a potem tak długo trzymała Vanessę blisko siebie, aż to, co ją tak zmroziło, w końcu rozpuściło się w szlochu.

I wtedy, myśląc o łzach Vanessy oraz o tłumionej, zdaniem Vincenta Brady'ego, przez nią traumie, uzmysłowiła sobie, że nie ma już wyboru. Musi zrobić właśnie to, czego domagali się od niej Mary Mallard i Tony Tice. Musi pracować potajemnie, ale musi tym się zająć. Musi dowiedzieć się, nad czym pracował Kellen, kiedy zginął - i to nie dla Kellena, lecz dla Vanessy.

I może też, uzmysłowiła sobie, również dla siebie samej.

Rozdział 24

Jeźdźcy

I

Nawet w czasach pracy w służbach specjalnych Bruce Vallely rzadko działał w pojedynkę. Został wyszkolony do pracy w zespole i teraz potrzebował partnera. Najbardziej nadawałaby się do tego Julia Carlyle, ale gotów był wziąć wszystko, co tylko się nadarzy. Dlatego też, pod byle pretekstem, wciągnął na listę Gwen Turian, swoją bardzo rzeczową i ściśle trzymającą się przepisów zastępczynię, która, formalnie rzecz biorąc, miała stopień porucznika i która, prawdopodobnie pod wpływem hollywoodzkich filmów, upierała się, żeby zwracać się do niej wyłącznie po nazwisku, a do swojego szefa, nawet w bezpośrednich kontaktach, mówiła po prostu „kierowniku”. Późnym rankiem we wtorek Bruce zatrzymał się w holu budynku, w którym pracował jego miniaturowy personel i przytupując, zrzucił brudny śnieg z butów, jednocześnie starając się zrzucić z siebie resztki napięcia, które wiązało się z jego regulaminową obecnością podczas akcji stanowej ekipy antynarkotykowej wykonującej nakaz aresztowania w jednym z akademików, gdzie prochy sprzedawała para krótkowzrocznych studentów nauk politycznych, którzy niestety nie mieli rodziców na tyle wpływowych, żeby móc zadzwonić do Trevora Landa. Jeden ze studentów w panice wyskoczył przez okno, łamiąc sobie palec u nogi, w związku z czym Bruce już teraz wiedział, że przez najbliższy miesiąc lub dwa będzie musiał uchylać się od odpowiedzi na skargi dotyczące brutalności policji. Właśnie wyjmował ze swojej skrytki wiadomości i pocztę, kiedy przed nim pojawiła się Turian, wysoka, chuda i nerwowo chłodna, w błękitnym mundurze z serży wiszącym na niej jak niedopasowany rekwizyt sceniczny.

- Dzień dobry, kierowniku - odezwała się sztywno, wręczając mu kopertę. - Oto informacje, o które pan prosił.

- Dziękuję, Gwen. - Porucznik zmarszczyła brwi, pewnie dlatego, że w filmach nazwano by ją „Turian”. Zwisający u jej biodra pistolet wyraźnie przekraczał regulaminowe rozmiary, Bruce miał też wrażenie, że dodatkowe paski prawdopodobnie również nie są regulaminowe. W ogóle cały mundur był dosyć pretensjonalny - zgodnie z tradycją

uniwersytetu, patrolujący teren funkcjonariusze nosili błękitne umundurowanie, ich zwierzchnicy chodzili natomiast w garniturach. Wyglądało na to, że Turian nie zamierza jeszcze odejść, a kiedy Bruce ruszył w stronę swojego biura, poszła za nim.

- O co chodzi, Gwen?

- Czy mogę mówić otwarcie, panie komendancie?

- Oczywiście, poruczniku - odparł, a jej surowe, zielone oczy rozświeciły się. W przeciwieństwie do Bruce'a i większości pozostałych funkcjonariuszy, Turian nigdy nie była w prawdziwej policji.

- Panie komendancie, chodzi o te informacje. Czy one stanowią część oficjalnego dochodzenia?

- Gwen, pozwolisz, że to ja będę się martwić, czego one są częścią?

- Tak jest, panie kierowniku. Tylko że musiałam skorzystać z nieoficjalnych kanałów, żeby je uzyskać, i musiałam im coś powiedzieć...

Alarm.

- I co powiedziałaś?

- Że uniwersytet może zostać pozwany przed sąd w związku z jakąś starą historią. Przepraszam, kierowniku, nic lepszego nie wymyśliłam.

Bruce się uśmiechnął.

- Brawo. To była świetna robota... Turian.

- Dziękuję, panie kierowniku - powiedziała jego zastępczyni, nie uśmiechając się w odpowiedzi.

II

Okazało się, że umieszczony na ukrytym przez Kellena Zanta w kuchni formularzu ubezpieczeniowym numer VIN odpowiada jaguarowi XKE, a raczej kiedyś odpowiadał, ponieważ likwidator uznał ten samochód za skasowany. Jego właścicielem był Jonathan Hilliman. Bruce usiadł przy biurku i zmarszczył brew. Gdzieś już słyszał to nazwisko.

Obrócił się w stronę monitora, wpisał to imię i nazwisko do Google i w ułamku sekundy miał odpowiedź: zgadza się, Jonathan Hilliman - „Jock”, jak wszyscy go nazywali - był absolwentem tutejszego uniwersytetu, potomkiem rodziny Hillimanów, którzy pieniądze zdobyli wkrótce po tym, jak zostały wymyślone. Rodzina Hillimanów żyła za murem pieniędzy, jak ten gość w Wielkim Gatsbym, i rzadko wychodzili na zewnątrz, chyba że musieli nazwać swoim nazwiskiem jakiś budynek. Ten Jock, prowadzący życie playboya, trzy

lata temu zmarł na atak serca. Nie pozostawił spadkobierców - ale w okolicy nie brakowało Hillimanów.

Ale co z tego? Dlaczego Kellen Zant tak bardzo interesował się Jockiem Hillimanem i jego wypadkiem samochodowym? I dlaczego jego nazwisko brzmiało znajomo w głowie Bruce'a? Ale Gwendolyn Turian, gorliwie chcąc prawidłowo wykonać powierzone jej zadanie, dołączyła komentarz; przypominając tym Bruce'owi o instruktazu, którego mu udzielono przy przyjmowaniu do pracy. Na szczycie jednego z uniwersyteckich akademików, z którego rozpościerał się wspaniały widok na linię dachów i wodę, znajdował się apartament Hillimana, fantastyczny czteropokojowy lokal zdecydowanie najbardziej luksusowy w całym kampusie. Rodzina Hillimanów postawiła ten budynek jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu i przez cały czas dawała spore sumy na jego utrzymanie, z zastrzeżeniem, że jeśli w danym okresie na uniwersytecie studiować będzie jakiś Hilliman, to on (w dawnych czasach zawsze był to jakiś „on”) będzie miał prawo korzystać z tego apartamentu i dobierać sobie współlokatorów.

To tłumaczyło, dlaczego nazwisko Hillimana kołatało się po głowie Bruce'a. Ale dlaczego miało kołatać się po głowie Kellena Zanta?

Powróciwszy do wyszukiwarki, Bruce zaczął szukać nazwiska Hillimana w kombinacji z nazwiskiem ekonomisty, ale niczego ciekawego nie odnalazł. Coś musiało być głęboko ukryte.

Sięgnął pamięcią wstecz. Co stanowiło bodziec do działalności Zanta? Bez wątpienia własne ego. Potrzeba ucieczki od przeszłości realizowana przez gromadzenie dóbr materialnych. Zgadza się, ale to tylko komunał. Przypomniał sobie te fotografie w gabinecie ekonomisty, częściowo poświęcone Julii Carlyle. To była zupełnie inna motywacja.

A dlaczegożby nie?

Kiedy zaczął szukać powiązań między zmarłym Jonathanem Hillimanem a nazwiskiem Carlyle, Google wyrzucił tysiące linków w odpowiedzi. Przeglądając kilka z nich, szybko znalazł związki, chociaż zupełnie inne od oczekiwanych. Te dwa nazwiska pojawiały się obok siebie głównie w charakterystykach wielkiego Lemastera. Oczywiście. Słynna Czwórka, Czterech Jeźdźców, a także wiele innych nazw, które im nadawano albo sami sobie nadali. Na studiach jeden był członkiem studenckiego bractwa, drugi uniwersyteckim politykiem, trzeci gwiazdą trzech najpopularniejszych dyscyplin: futbolu, koszykówki oraz baseballu, a czwarty kujonem, osiągającym rekordowe wyniki w nauce. Dziś trójka pozostałych przy życiu to prezydent, senator pożądliwie spoglądający w stronę Białego Domu oraz Lemaster, który odnosił sukcesy we wszystkim, za co tylko się zabrał.

Jeźdźcy.

Turian dołączyła charakterystykę Jocka Hillimana, opublikowaną w „The New Yorker” jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, kiedy cała czwórka intensywnie pracowała nad wyrobieniem sobie nazwisk. Bruce przebiegł wzrokiem artykuł, sam za bardzo nie wiedząc, czego szuka, pozwalając słowom na tworzenie wrażeń:

Wydaje mi się, że to Mal wymyślił tę nazwę... dopiero później wspólnie zamieszkaliśmy... naprawdę dziwna czwórka... amatorskich rozrabiaków... szybko dorobiliśmy się określonej reputacji... chcieli do nas dołączyć inni, ale ja zawsze sprzeciwiałem się zwiększaniu liczby członków... ojciec nauczył mnie, że ci lepsi powinni trzymać się razem... Postanowiłem, że grupa będzie miała prawo się rozwiązać, kiedy ostatni z nas skończy studia... Zarówno studenci, jak i kadra zaczęli okazywać szacunek... Apartament Hillimana w zasadzie nie stanowił typowego miejsca na imprezy, ale mieliśmy własny... coś w rodzaju czteroosobowego tajnego stowarzyszenia... opartego na wzajemnym zaufaniu... praktycznie wszystkim się dzieliliśmy...

Nie przyjmowano żadnych nowych członków - ten tekst spodobałby się Lemasterowi, pomyślał Bruce. Ekskluzywny klub dla białych pasujący do tych wszystkich ekskluzywnych klubów dla czarnych, do których później wstąpił - tak, ci lepsi trzymali się razem.

Powrócił do artykułu. Zafascynowany przerzucał kolejne strony.

...każdy w czymś się specjalizował... Lemaster był zdecydowany uzyskać najlepszy wynik na koniec studiów, ponieważ czegoś takiego nigdy nie osiągnął żaden... zabrakło mu tylko pół punktu, kiedy dostał ocenę dobrą na koniec kursu analizy matematycznej...

Bruce uśmiechnął się, na chwilę nie mogąc wyjść z podziwu dla człowieka, którego w pewnej mierze wciąż podejrzewał o współudział w zamordowaniu Kellena Zanta. Chociaż starał się uzyskać najlepszy wynik na koniec studiów, wybrał kurs analizy matematycznej, a nie jakiś kurs badawczy, gdzie przez telefon mógłby załatwić ocenę celującą. Przechodząc do następnej strony, Bruce ponownie się zatrzymał, i dokładnie przeczytał cały fragment:

Kiedy byliśmy na ostatnim roku, uniwersytet po raz pierwszy przyjął na studia

licencjackie kobiety, a my, podobnie jak i inni studenci ostatniego roku, błyskawicznie osiągnęliśmy stan nirwany. Już wcześniej zaspokajaliśmy swoje potrzeby, że się tak wyrażę, każdy zgodnie z własnymi preferencjami. Lemaster był bardzo dyskretny i umawiał się ze skromną młodą damą uczęszczającą do mieszczącego się w Norport katolickiego college'u dla kobiet. Mal był mocno zaangażowany w związek z nieco zwariowaną słuchaczką antropologicznych studiów magisterskich, która snuła wielkie plany wysadzenia świata w powietrze i rozpoczęcia wszystkiego od nowa. A jeśli chodzi o mnie, no cóż, opowiadali, że co tydzień mam nową kobietę, a może raczej powinienem powiedzieć nową dziewczynę, ponieważ wiek nie miał tu znaczenia. Moją specjalnością było uwodzenie niewinnych nastoletnich córek wykładowców...

Bruce przerwał czytanie. Odchylił się do tyłu i przetarł oczy. Zant sądził, że wpadł na jakiś trop, ale na jaki?

„Niewinnych nastoletnich córek wykładowców”.

Na przykład nadmiernie chroniona Gina Joule? Bo z tego, co wiadomo, ta nastolatka wiodła życie pod kloszem, ograniczona zakazami, nawet jak na tamte czasy surowymi. Czy w tym wywiadzie Jock Hilliman potraktował to jak żart? Bo jeśli nie, tajemnica spowijająca tę noc, kiedy zniknęła Gina, może być dużo prostsza niż się wydawało. Bruce wyjął zabraną z domu Kellena Zanta kopię pracy semestralnej Vanessy. Gina właśnie skończyła siedemnaście lat. Pokłóciła się z matką i wyszła z domu, wpadła do ciastkarni Cookie's na lody, a potem najprawdopodobniej wałęsała się wokół Green, aż zabrał ją do swojego samochodu DeShaun. Jedną z jej nauczycielek, nieżyjącą już niejaka Janet Spicer, miała dom na Green i widziała Ginę wsiadającą wraz z DeShaunem do skradzionego bmw. Koniec sprawy.

A może jednak nie?

Podszedł do sejfu i odsunąwszy pistolet, którego nie mógł nosić na terenie kampusu, jeśli nie był w mundurze, wyjął kolejny, zabrany z domu profesora Zanta materiał. Stronę z pamiętnika:

Zastępca szeryfa Nacchio w swoim raporcie napisał również, że tego samego wieczoru około dziewiątej zapukała do drzwi jednej ze swoich nauczycielek, niejkiej pani Spicer, prosząc o możliwość skorzystania z telefonu. Ten raport został później...

Później „usunięty”. Czyż nie to właśnie słowo pojawiłoby się, gdyby udało mu się znaleźć następną stronę? A może miało to być słowo „potwierdzony”?

Bruce rozważał ten problem. Może fakty były zgodne z pozorami. Załóżmy, że Jock w jakiś sposób sforsował ochronną zaporę postawioną wokół Giny przez jej rodziców i udało mu się spotkać z tą dziewczyną, a może nawet ją uwieść. W cukierni Cookie’s powiedziała swoim znajomym, że wraca do domu, ale w rzeczywistości miała umówione spotkanie ze swoim tajemniczym kochankiem, Jockiem Hillimanem. Może nawet ta awantura z matką stanowiła element podstępny. W końcu były walentynki i Gina z pewnością chciała spotkać się ze swoim chłopakiem. Dlatego też zaszła do domu pani Spicer, żeby zadzwonić do Jocka - w tamtych czasach nie było telefonów komórkowych! - a on podjechał po nią swoim jaguarem. Zgodnie z raportem likwidatora szkód, tydzień po zniknięciu Giny Joule jaguar został rozbity, i to w Scottsville, bynajmniej nie w pobliżu Tyler’s Landing. Ale raport, o czym doskonale wiedział wciąż siedzący w Brusie policjant, był tylko kawałkiem papieru.

Zgoda.

Założmy, czysto teoretycznie, że dysponująca pieniędzmi i władzą rodzina Hillimanów doprowadziła do sfałszowania tego raportu. Przekupiła likwidatora, warsztat blacharski, policję, każdego, kogo trzeba było przekupić. W takim wypadku związek był oczywisty. Gina Joule zmarła owej nocy po tym, jak wsiadła do jaguara, a im w jakiś sposób przez te wszystkie lata udało się utrzymać to w tajemnicy.

I właśnie to najprawdopodobniej odkrył Kellen Zant. Odkrył podstawy tej tajemnicy. Kellen dowiedział się, że uniwersytet jest związany, przez osobę jednego z swoich najwybitniejszych absolwentów, ze śmiercią, bądź przypadkową, bądź zamierzoną, Giny Joule. Bruce zastanawiał się, ile osób o tym wiedziało. I ile uczestniczyło w tym fałszowaniu faktów.

Ale jego entuzjazm opadł równie szybko, jak się pojawił. Hipoteza nie mogła być prawidłowa. Nikt nie zabijałby Kellena Zanta, aby ukryć fakty o morderstwie, jeśli morderca już nie żył. A Jock Hilliman ponad wszelką wątpliwość już nie żył.

„Praktycznie wszystkim się dzieliliśmy”.

Czy o to chodziło? Czy tu był pies pogrzebany? Czy chodziło o to, że Czterech Jeźdźców „wszystkim się dzieliło”?

Czy „wszystko” nie obejmowało też jaguara?

Problem polegał jednak na tym, że świadek widziała na Town Green Ginę rozmawiającą z DeShaunem Motonem, szesnastolatkiem, który tej nocy bez wątpienia ukradł samochód w Landing, a kilka dni później był ścigany przez policję, złapany i został zabity.

Sprawa zamknięta.

Ale inni świadkowie widzieli tylko, jak ta dwójka nastolatków ze sobą rozmawiała. Jedynie Janet Spicer utrzymywała, że widziała Ginę Joule wsiadającą do skradzionego samochodu. A nazwisko DeShauna, jako podejrzanego o dokonanie morderstwa, pojawiło się dopiero po zabiciu tego chłopaka.

Bruce jeszcze raz sięgnął po pracę semestralną Vanessy. Merrill Joule był jednym z najpopularniejszych profesorów na uniwersytecie. Miał też bardzo szerokie wpływy. Jego żona była kuzynką Cicero Hadleya, ówczesnego rektora uniwersytetu. Ojcem chrzestnym Giny był ówczesny pomniejszy funkcjonariusz Lombard Hall, niejaki Trevor Land.

Co powiedział Nate Knowland? Bruce zaczął przerzucać strony notesu. O, tu. Nate słyszał, jak w tę noc, kiedy ekonomista został zamordowany, Kellen Zant rozmawiał na Town Street z jakąś nieznaną czarnoskórą kobietą o Lemasterze Carlyle'u, a przede wszystkim, jak Zant szeptał, że rektor uniwersytetu jest dla nich za wielki.

Bruce podszedł do okna wychodzącego na ponurą parcelę, na której uniwersytet umieścił park starych autobusów szkolnych, które po przemalowaniu na kolory uczelni przetaczały się po terenie kampusu niczym karykatura skutecznego środka transportu. Zazwyczaj na tej parceli stały też pługi śnieżne, od największych do najmniejszych, ale ponieważ cały stan nawiedziła nieoczekiwana klęska odwilży, wszystkie pługi były w terenie, gdzie nie potrafiły poradzić sobie z błotem pośniegowym. Ależ on miał już dość tych zim w Nowej Anglii.

Ginę widziano z czarnoskórym mężczyzną.

A Jeźdźcy wszystkim się dzielili.

Nic dziwnego, że Julia Carlyle z taką stanowczością starała się go zniechęcić. Albo wiedziała, albo podejrzewała, że prawda wyglądała tak, jak sądził Bruce.

Lemaster Carlyle. Zbyt wielki jak na profesora Zanta.

Ale żeby zaraz morderstwo? Jeśli Kellen Zant nie dysponował dowodami zdecydowanie bardziej przekonującymi niż te fragmenty znalezione przez Bruce'a pod palnikami, ta reakcja sprawiała wrażenie bardzo... skrajnej. Z drugiej jednak strony, Bruce z własnego doświadczenia wiedział, że mordercy rzadko postępują racjonalnie.

Zadzwoił telefon, na linii bezpośredniej, a na wyświetlaczu pojawił się najmniej przez niego lubiany numer wewnętrzny.

- Komendant Vallely? Mówi Trevor Land. Najlepsze życzenia świąteczne. Może, wracając do domu, zajrzyłby pan na mój kraniec kampusu?

III

Usiedli w głębokich pluszowych fotelach przed kominkiem, który jakimś cudem wciąż działał. Być może był to ostatni kominek na terenie kampusu i samym swoim istnieniem prawdopodobnie łamał przepisy przeciwpożarowe. Musiały już upłynąć całe lata od ostatniego czyszczenia przewodów kominowych, ponieważ w powietrzu czuło się dym. Sekretarz zdecydował się zacząć rozmowę od dzisiejszego porannego nalotu na akademik, szepcząc o pewnym uszczerbku na reputacji szkoły. Bruce powiedział mu, że jego zdaniem ten nalot był omyłkowy i że już w imieniu uniwersytetu złożył w tej sprawie ostry protest.

- Zastanawiam się jednak, czy można było zająć się tym jakoś inaczej. Przecież tu chodziło o handel narkotykami i Bóg wie, co jeszcze.

- Mogłem zaarrestować ich między zajęciami gdzieś na terenie kampusu. Nikomu nic by się nie stało.

- Jasne. - Przykryte powiekami oczy skrywały myśli sekretarza. - Ale prokurator stanowa musi liczyć się z wyborcami, komendancie Vallely, a pan nie. Ostra krytyka uniwersytetu, czy też nagonka na niego, obojętnie, jak to nazwać, być może niewiele ma wspólnego z porządną robotą policyjną, ale politycznie jest zupełnie poprawna. A zwłaszcza kiedy pani prokurator wyszła na takiego durnia w związku ze sprawą Zanta.

- Tak, panie sekretarzu - odparł Bruce, słysząc, że już przechodzą do prawdziwego tematu spotkania. W unoszącym się z nielegalnego kominka dymie ten ciemny pokój stawał się jeszcze bardziej niewyraźny.

Sekretarz wyjaśnił, czego sobie życzy. Analiza postępów Bruce'a. Szczegóły przeprowadzonych przez niego rozmów. Ale ponieważ Gina Joule była chrześnicą Trevora Landa, siedzący w Bruce'ie gliniarz nie miał zamiaru wyjawiać mu wszystkich zebranych informacji.

- Wciąż jeszcze jestem na początku mojego śledztwa - powiedział.

Sekretarz skinął głową, prawie go nie słuchając. Bruce ledwo go widział przez powoli wypełniającą pomieszczenie mgiełkę.

- Rzecz w tym, że ten Zant niejednej osobie zalał za skórę. Naprawdę trudno mi powiedzieć, na czym polega problem i dlaczego wszyscy są wzburzeni, ale faktycznie tak jest. Codziennie dzwonią do nas absolwenci. Już nie mamy tylko jednego martwego profesora, ale dwóch, co za czasy, komendancie Vallely. Nastął ciężki okres dla naszej ukochanej uczelni. Gibbs zginął w wypadku, to prawda. W przypadku Zanta mówimy o napadzie rabunkowym. Trudno jednak wierzyć w zajaczkę wielkanocnego, prawda,

komendancie? W końcu jesteśmy ludźmi światowymi. Ale chyba jeszcze trochę za wcześnie na spuszczenie szalup ratunkowych, nie sądzi pan, komendancie Vallely? Przecież nie możemy dopuścić, żeby uczelnia ucierpiała, prawda? Musimy się zjednoczyć, że tak powiem. Racja, szefostwo na górze nie jest obecnie w najlepszej formie. No cóż, to nie jego wina. Problemy z córką i te wszystkie sprawy, cóż, niestety, tak to już jest. Do tego profesorowie co chwilę burzą się z tego czy innego powodu. To nie jest najlepszy moment, żeby zwracać się do rektora z prośbą o decyzję. Zgodnie z hierarchią służbową podlega pan pani prorektor, ale ona i tak zwróci się z pytaniem do rektora. Wydaje mi się, że przysłużylibyśmy się temu człowiekowi, gdybyśmy go nie kłopotali tymi sprawami. Chyba lepiej będzie, jeśli to ja o wszystkim będę informowany. - Oczy Bruce'a zaszyły łzami od dymu, który jednak zdawał się zupełnie nie przeszkadzać Trevorowi Landowi. - Tak trzeba, komendancie Vallely. Nie można dopuścić do tego, żeby naszej uczelni stała się krzywda. Potrzebujemy więcej dyskrecji. Nie ma co dręczyć profesorów, oni tego nie lubią, a potem tylko narzekają. Podobnie ze studentami. Na przykład ten Knowland. Był tu u mnie jego ojciec. Nie możemy zrażać absolwentów. Trzeba przyjrzeć się sprawie Zanta, to jasne, ale bez specjalnego hałasu. Mam dla pana pewną wskazówkę - na moment urwał, żeby zakręcić koniakiem w kieliszku.

- Będę wdzięczny - odparł Bruce, również kręcąc koniakówką, ale nie popijając, ponieważ dzięki żonie został abstynentem i nie miał zamiaru wycofywać się z żadnej ze złożonych jej obietnic. Dopiero teraz doszli do głównego punktu spotkania. Za wysokimi oknami zachodzące słońce kładło cienie na niewidocznych budynkach po drugiej stronie okrytego śniegiem trawnika.

- Tak. Dobrze. Ostatni punkt, komendancie. Ostatni punkt. Jest jeszcze inny powód, dla którego ci nasi absolwenci nie dają mi spokoju. Okazuje się, że tu nie tylko chodzi o ten skandal. Niektórzy z nich prowadzili jakieś interesy z Zantem. Jakieś badania, doradztwo, sam dobrze nie wiem. Większość z nich była zadowolona z jego pracy, i z tego należy się cieszyć. Wszyscy uważali, że to człowiek błyskotliwy. Ale kilku z nich, komendancie Vallely, chyba uważa, że on zabrał coś, co do nich należało.

- Na przykład co?

Sekretarz spuścił swój inteligentny wzrok i przyglądał się brunatnemu płynowi w kieliszku.

- Sam nie wiem, naprawdę. Tajemnice firmowe. Wewnętrzne informacje. Formuły. To nie mój zakres, komendancie. Ale cokolwiek zabrał, widać, że bardzo im zależy na odzyskaniu tej rzeczy.

- Czy może pan mi powiedzieć, czy była to jakaś rzecz materialna, powiedzmy jakiś

notes, może dokumenty, czy też coś takiego, co można przechowywać w głowie?

- Naprawdę, nie wiem. Ci absolwenci nie są zbyt rozmowni. Myślę, że trzeba szukać i jednego, i drugiego. Oni nie chcą, żeby o tym mówić, ale chcą to odzyskać. To zadanie dla detektywa. To raczej pańska specjalność, nie moja.

- Gdybym mógł porozmawiać z tymi absolwentami, to może...

- To nie wchodzi w rachubę, komendancie Vallely. Poufne źródła informacji, sam pan rozumie. Proszę mi wierzyć, znam ich nie od dziś.

Bruce postanowił spuścić z tonu i usunąć się w cień, co akurat było dosyć łatwe w tym olbrzymim gabinecie.

- Rozumiem - szepnął.

- Podejrzewam, że gdyby udało się panu im to znaleźć, komendancie, oni z pewnością będą panu wdzięczni. Będzie pan mógł prosić praktycznie o wszystko. - I znowu ten uniesiony palec, jak u rzymskiego cesarza. - Jedna rada. Komendancie Vallely, absolwentom nie należy się sprzeciwiać. Tak to już jest, władza demoralizuje. To jasne jak słońce. Ci nasi absolwenci to wcale nie są źli ludzie, ale przyzwyczaili się, że na swojej drodze nie napotykają przeszkód. - Jego inteligentne oczy rozjaśniły się radością. - I naprawdę się wkurzają, kiedy nie dostają tego, czego pragną.

- Rozumiem - powtórzył Bruce, czując, że już sam zaczyna się wkurzać.

- Sądzę, że wolałby pan nie sprzeciwiać się takim ludziom - rzekł sekretarz, dolewając sobie odrobinę koniaku. Lekki ruch tej inteligentnej głowy, a potem porozumiewawczy uśmiech, którym Trevor Land kończył każde spotkanie. - Tym naszym absolwentom - dodał i wypił.

IV

Wracając do domu po tym dziwnym spotkaniu, Bruce już rozumiał wspaniały plan Kellena Zanta. Dlaczego Zant miałby coś kraść swojemu klientowi? Coś wartościowego? Tu nie mogło chodzić o pieniądze - zgodnie z informacjami Ricka Chrebeta, ekonomista w dniu śmierci miał odłożone na koncie bankowymi kilka milionów, a jeszcze więcej miał w funduszu emerytalnym. Ale ponieważ był ekonomistą, całe życie postrzegał w kategoriach transakcji i efektywności. Jedynym powodem, dla którego mógł podjąć ryzyko kradzieży, mogło być uzyskanie czegoś, czego nie mógł uzyskać za pieniądze. Czyli ta rzecz nie miała służyć jego własnej przyjemności, zdobył ją dla jej wartości rynkowej, wymieniając ją za coś, czego nie mógł kupić za pieniądze.

Bruce miał pomysł, co to mogło być.

Zastanawiał się, czy sekretarz doszedł do tego samego wniosku, co on. Było to prawdopodobne. Trevor Land grał zupełnego głupca, ale w rzeczywistości należał do najbardziej przebiegłych ludzi na świecie. Bruce wątpił, czy zdołałby odgadnąć jego zamiary. Ten mały człowieczek z pewnością domyślił się już, co takiego Zant kombinował.

Trevor Land miał bzika na punkcie swojej chrześnicy Giny. Wszyscy tak mówili. Jeśli Zant zajmował się poszukiwaniem jej zabójcy, sekretarz miał wszelkie powody, żeby nakłaniać Bruce'a do dalszych działań.

Dokądkolwiek by to prowadziło.

Rozdział 25

Trzepotanie

I

To zwalista Tonya Montez, pierwsza Siostrzana Dama z Harbor County, była źródłem tej informacji, i chociaż w rzeczywistości wówczas nie miała zielonego pojęcia o swojej roli, to później, kiedy już przybyli reporterzy i zajęli się liczeniem szkód oraz ustalaniem winnych, puszyła się, jakby to ona była odpowiedzialna za tę trochę mniej skandaliczną z kolejnych decyzji Julii. I może, w pewnym sensie, tak właśnie było, przecież Kellen naśmiewał się, że plotka pełni ważne funkcje nadzorujące, może nie tyle ze względu na zawartą w sobie informację, co ze względu na informację pominiętą - ludzie wolą unikać pewnych niepopularnych zachowań, żeby nie stać się tematem plotek.

Nie żeby Tonya była plotkarką. Ależ skąd. Biedronki nie zniżały się do takich zajęć, wielokrotnie dawały świadectwo swojej pogardy dla plotkowania, kiedy dzieliły się, tłumiąc przy tym śmiech, głupimi historyjkami, które mniej zdyscyplinowane członkinie społeczności skrzętnie rozpowszechniały. Dlatego też kiedy we wtorek, zaraz po kolacji, Tonya mijiała ogromny dom na grzbiecie Hunter's Meadow Road, z pewnością nie myślała o plotkach. Tonya, oczywiście, mieszkała dobre osiem czy dziesięć mil stąd, na zachodnim skraju hrabstwa, z daleka od centrum bieli, ale jak przystało na wierną Siostrzaną Damę, odbyła tę podróż jedynie po to, aby osobiście omówić z Julią wydarzenia, które miały miejsce dwa tygodnie wcześniej podczas spotkania poświęconego planowanej prezentacji ich oddziału na Pomarańczowo-Białym Balu w Bostonie zaraz po Bożym Narodzeniu - z pewnością nie po to, żeby zebrać najnowsze plotki na temat szalonej córki, które później mogłaby rozpuścić po członkach Klanu mieszkających w Elm Harbor.

Kiedy Tonya zadzwoniła do drzwi i kiedy, ku jej zaskoczeniu, ciężkie skrzydło ochoczo otworzył mały Flew, okazało się, że Julia jest, jak to mawiała babcia Vee, nie w nastroju. Lemaster miał wrócić wcześniej i pomóc jej oprawić dosyć ładne dzieło sztuki afrokubańskiej, które wybrała w galerii w mieście. Jej zawsze tak obowiązkowy i zawsze tak chętny mąż przypomniał Julii o pękniętej zabytkowej ramce, którą kilka miesięcy wcześniej

kupiła ze zniżką od Franka Carringtona, zamierzając później ją naprawić. Chyba dokładnie odpowiada rozmiarem, stwierdził Lemaster, i mogą razem się tym zająć. Prawdopodobnie powinna była domyślić się, że przyśle jej w zastępstwie Flew. Lemaster był pracoholikiem zarówno w Białym Domu, jak i w federalnym sądzie czy na wydziale prawa; był już pracoholikiem, kiedy studiowali w Keplerze, zdecydowany, jak sam powiedział jej pewnego popołudnia w bibliotece szkoły teologicznej, nie przepuścić żadnej książki, jaka tylko wpadła mu w rękę, i ją przeczytać. W tamtych czasach Julia była głęboko oczarowana absurdalnością tego pomysłu. I chociaż zdawała sobie sprawę, że ten błyskotliwy młody prawnik, któremu wydawało się, że czuje powołanie do stanu duchownego, zamierza ją oczarować, w żaden sposób nie umniejszało to skuteczności tej jego strategii. Najprawdopodobniej też nieprzypadkowo tej samej nocy kochali się po raz pierwszy, między regałami w podziemiach biblioteki Keplera, już po jej zamknięciu, bo tam można było znaleźć Lemastera, a kiedy już się go odszukało, trzeba było to wykorzystać.

- Kilku bogatych absolwentów uniwersytetu nieoczekiwanie pojawiło się w miasteczku - przepraszająco wyjaśnił Flew, który coraz więcej czasu spędzał w ich domu, nawet pod nieobecność swojego pryncypała. Julia, choć niechętnie, zaczęła się już godzić z jego tajemniczą, ale ustaloną pozycją członka rodziny. Od czasu do czasu, po jednym czy drugim przeciągającym się do późna spotkaniu, zostawał nawet na noc w pokoju gościnnym, za namową Lemastera, który nie chciał, by młody człowiek wracał o tej porze do swojego mieszkania w miasteczku. Julia była zdecydowanie zbyt dobrze wychowana - albo też miała zdecydowanie zbyt dobre serce - żeby się temu sprzeciwić, i zaczęła już nawet powoli tolerować pedanterię tego człowieka, który chyba nie potrafił minąć kuchenki, żeby nie chwycić za ścierkę i specjalny płyn do czyszczenia i tak długo czyścić czarnej szklanej płyty, aż lśniła. Julia nie potrafiła go rozgryźć. Był szczupłym, przypominającym skrzata świńskim blondynem, jego doświadczenie i stopnie naukowe uzyskane na czterech kontynentach robiły duże wrażenie, i miał wyraźnie zbyt wysokie kwalifikacje na stanowisko, które, jak powiedział Lemaster, zajmował w nadziei, że pewnego dnia obejmie jakąś małą organizację typu nonprofit, a na razie satysfakcjonowało go przebywanie w cieniu wielkiego człowieka. Ale teraz Julia nie była usatysfakcjonowana. Niczym.

Bo trzeba przyznać, że zanim odezwał się dzwonek u drzwi, prawie całe ostatnie dwie godziny Julia spędziła w warsztacie zaimprovizowanym na niewykorzystanym stanowisku parkingowym w ich garażu na cztery samochody, narzekając na nieustannie dzwoniącą do niej Mary Mallard i skrzętnie informując małego Flew - ponieważ nie było w pobliżu jej męża, który mógłby wysłuchać jej tyrady - o swoich zamiarach, żeby coś z nią zrobić, i to jak

najszybciej.

- Ja się tym zajmę - powiedział skrzat, a ona, będąc w tym swoim obecnym stanie emocjonalnym, pomyślała, że Flew ma na myśli Mary, a nie dzwonek u drzwi. Skinęła głową i wytarła pot z czoła. Praca był cięższa, niż się spodziewała, tym bardziej, że połączenia w starym, rozmiękłym drewnie rozchodziły się i trzeba je było naprawić. Na szczęście Flew wykazał się wrodzoną zręcznością w zakresie odpowiedniego funkcjonowania przedmiotów i szybko zorientował się, pod jakim kątem należy wsuwać w połączenia wypełnioną klejem skórnym strzykawkę, podczas gdy Julia ścisnęła kawałki drewna. Następnie, kiedy Julia nadal trzymała kawałki na miejscu, nakładał taśmę maskującą.

- Dziękuję - powiedziała Julia.

Jeannie, obserwująca ich pracę, a także nie spuszczała oka z Jeremy'ego Flew, w którym się lekko podkochiwała, przeświadczona, że jest to tylko jej tajemnicą, zerwała się na nogi i doskonale naśladowując wznoszący się, melodyjny ton jego głosu, powiedziała:

- Ja się tym zajmę.

- Pozwól, żeby pan Flew tym się zajął - odrzekła jej matka.

Nie minęła chwila, a Flew był już z powrotem i jak porządny lokaj poinformował Julię, że przybyła „pani Montez” i czeka na nią na oszklonej werandzie.

- Ja to dokończę - dodał.

A Julia, teraz już zupełnie nie rozumiejąc, z jakiego to powodu jej mąż ciągle przysyła do ich domu tego dziwnego faceta, wytarła czoło ścierką i postanowiła zgodzić się na jego propozycję.

- Chodź ze mną, kochanie - odezwała się do swojej najmłodszej latorośli.

Jeannie, wpatrzona w swojego bohatera, odparła:

- Ja to dokończę.

- Jeans, powinnaś iść z matką - powiedział mały Flew, i dopiero słysząc te słowa, dziewczynka zeskoczyła ze swojej grzędy i pognęła do kuchni.

II

Tonya przyniosła ze sobą butelkę wina, apetyczne Napa Valley Chardonnay, ponieważ wiedziała, że Julia lubi wino, a poza tym wśród Siostrzanych Dam ostatnio mówiło się, że Julia sposepniała, więc Tonya miała nadzieję, że jeśli nie zdoła jej rozchmurzyć, to przynajmniej choć trochę jej poprawi humor. Usiadły więc w salonie i sączyły wino (o owocowym smaku, ale trochę zbyt trącające dębem, jak oceniła Julia, która w towarzystwie

Mony liźnęła nieco enologii), a Tonya, łagodna, rozłożysta kobieta, wielka zarówno ciałem, jak i duchem, trajkotała o wszystkim, tylko nie o tym, o czym najbardziej chciała. Jeannie wymknęła się z werandy, najpewniej obserwować pana Flew. Tonya przeszła do spraw związanych z działalnością Biedronek, swoim przewrotnie nadgorliwym tonem przypominając Julii, że wszystkie powinny być obecne na spotkaniu w domu Alice Henner (ach, moja droga, żebyś ty wiedziała, ta dziewczyna po drugim dziecku tak bardzo przybrała na wadze), kiedy upływał termin wpłacania pieniędzy na bilety zarezerwowane wyłącznie dla członków i ich gości.

- Rozumiem, że ty wybierasz się na bal? - Jasne sarnie oczy Tonyi uciekały w kierunku holu, prawdopodobnie w nadziei, że domyślny temat rozmowy sam się pojawi. Ale ten domyślny temat siedział na górze i odrabiał zadanie domowe albo rozmawiał przez komunikator internetowy z Janine Goldsmith, teraz po prostu Smith, czy też zamieszczał wpisy na swoim blogu o nazwie Gainful Nonsenses, czyli Przydatne Absurdy - jakby rzeczywiście zamieszczane tam absurdy miały się komuś przydać, chociaż dopiero czas miał pokazać, czy Vanessa utrzyma swoich czytelników po tym, jak rozstała się z krainą autentycznego morderstwa i powróciła do swojego zwyczajnego monotonnego świata średniowiecznych śpiewów, historii wojen i ucisku młodzieży. Anagram nazwy strony, pojawiający się po najechaniu kursorem, brzmiał SINFUL SANE N. E. SONG - i miał oznaczać grzeszną pieśń rozsądku Nowej Anglii. Zdaniem Julii nie była to szczególnie mądra nazwa, a Lemaster z zasady nie cierpiał blogów, ale doktor Brady z satysfakcją zauważał, że jego pacjentka używa słowa „rozsądek”.

Zasada Lemastera mówiła, że blogi zostały wymyślone po jego młodości.

- Tak, idziemy na ten bal. Nigdy go nie opuszczamy. - W rzeczy samej, Pomarańczowo-Biały Bal był dla Klanu wydarzeniem towarzyskim roku i jeśli nawet nie był już tak ważny dla młodych dam, które „wkraczały w towarzystwo”, wciąż jeszcze dla członków elity stanowił okazję przypomnienia sobie nawzajem, że pośród zgiełku i marnotrawstwa swej skrycie segregowanej egzystencji naprawdę istnieją i się liczą. - Ale uprzedzałam cię, że nie przyjdę na to spotkanie - ciągnęła Julia. - Pamiętasz? Musieliśmy być na kolacji w Białym Domu.

Tonya zakryła dłonią usta.

- Och, kochanie, przecież chyba nie mogłam tego powiedzieć Siostrzanym Damom, prawda?

- To nie był tajna kolacja, Tonya. Prezydent i Lemaster znają się od lat.

Pierwsza Siostrzana Dama położyła swoją miękką, nieproszoną dłoń na udzie Julii.

- Tak, ja wiem, ale ty chyba też nie chcesz, żeby to rozpowiadać.

- Nie chcę?

- Julio, nasi ludzie nie przepadają za obecnym prezydentem.

- Naprawdę? - zapytała Julia. Co prawda, podobnie jak i Tonya, Julia głosowała na jego przeciwnika, ale kobiety Veazie nie pozwalały tak łatwo sobą dyrygować. - Chyba musiały mi gdzieś umknąć wytyczne z Dowództwa Czerni.

Tonya, która już miała coś jej odburknąć, dostrzegła czający się w kątku jej wykrzywionych ust uśmiech, i jednak się rozpozgodziła.

- No dobrze, może trochę przesadziłam. Ale, kochanie, naprawdę muszę mieć pewność, że wybierasz się na bal. Właśnie po to tu przyszedłam. Żeby osobiście cię poprosić. Przecież to, w zasadzie, twoja rodzina dała mu początek.

- Czyli kim ja jestem, eksponatem?

- Daj spokój, Julio. Ty jesteś duszą towarzystwa.

Zasłona dymna, przypomniała sobie Julia. Ale z drugiej strony większość pozostałych osób pewnie na czas wpłaciła pieniądze, ponieważ ten bal był wydarzeniem najwyższej rangi - był prawie tak ważny jak te ciągnące się w nieskończoność dyskusje, czy wprowadzić poprawkę do punktu 3e statutu, zmieniając „ci” na „tamci”, albo też czy w zeszłym miesiącu podczas oficjalnego przyjęcia drugiego wieczoru regionalnej konferencji w Syracuse Bitsy Farnsworth miała na sobie tę samą sukienkę, co dwa lata temu, czy też - co za głupia baba! - tylko sukienkę, która wyglądała tak samo.

- Tonya, nie musisz mnie o to prosić. Powiedziałam, że będziemy.

Flew wsunął jasną głowę do salonu. Ramka była już gotowa. Gdzie Julia chciałaby to powiesić? Tak, faktycznie, biblioteka to świetny wybór. Znał doskonale miejsce, tuż nad dziełem w stylu Hepplewhite'a - można by zdjąć tę nieszczęsną grafikę Eschera. Czy będzie jej przeszkadzać, jeśli Jeannie mu pomoże? To dziecko ma świetne oko. Aha, on przygotował dla obu pań trochę sera i coś tam jeszcze. A tak przy okazji - lekko kłaniając się w stronę Toni - kim w zasadzie jest ta wspaniała istota? Jak to możliwe, że wcześniej się nie spotkali? Mogliby zostać prawdziwymi przyjaciółmi, powiedział do pierwszej Siostrzanej Damy. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

- Któż to jest, do licha? - zapytała Tonya, rumieniąc się, kiedy już zostały same.

- To Jeremy. Pan Flew. Pracuje dla Lemmiego. - Do salonu wszedł Rainbow Coalition i przysiadł na tylnych łapach wśród wysokich roślin pod wykuszowym oknem, nieruchomy jak porcelanowa figurka. Reflektory na dworze oświetlały trawnik opadający w stronę zbiornika wodnego. Po drugiej stronie skrzyły się światła odległych domów. - To taki

totumfacki, można by powiedzieć. Większość ludzi mówi do niego po prostu Flew.

- Ale co on tu robi? Chyba mówiłaś, że Lemaster jest w biurze?

- No tak, ale... w każdym razie Jeremy jest tutaj. - Tak, plotki. Tylko tego jej brakowało.

- Trochę dziwny, nieprawdaż? - Zapychała usta serem i krakersami.

- Powiem ci coś śmiesznego. Kilka dni temu byłam na zebraniu komitetu w domu Sandry Maxon. Alice wspomniała, że do jej biura zajrzał ten prawnik, on chyba nazywa się Tice, by zapytać ją o Kellena Zanta, nad czym pracował i tak dalej. Ona go, oczywiście, wyrzuciła. Tak czy owak by go wyrzuciła, zważywszy na jego charakter. A na to odezwała się Patrice Pomery: „Naprawdę? Ja też”. Podobnie Bitsy Farnsworth. Ona co prawda nie ma biura. Ona tylko siedzi i wydaje to, co jej mąż...

- Chcesz mi powiedzieć, że Tice rozmawia z wszystkimi Siostrzanymi Damami?

Tonya zakryła swoje okrągłutkie przekorne usteczka miękką brązową dłonią. Jej paznokcie świeciły dosyć wyraźnym odcieniem różu.

- Och, o wszystkich nie wiem. Z kilkoma. - Tonya była dyrektorką szkoły podstawowej i lubiła wysławiać się precyzyjnie. - Co chcesz przez to powiedzieć, moja droga? Znasz tego faceta?

- Zdarzyło nam się spotkać.

- Widzę, że nie było to udane spotkanie.

- Mnie pytał o to samo - odparła Julia, starając się nie wyróżniać.

- W takim razie czekam na moją kolej. - Kolejny kęs krakersa, tym razem zdumiewająco skromny. - Julio, ja zdaję sobie sprawę, ile masz kłopotów. Było ci ciężko. Ja to doskonale rozumiem. Moje dzieci zazdroszczą Vanessie. Im wydaje się, że jej życie jest pełne wrażeń. Nie mają pojęcia, jak jest naprawdę. Wiem, że ci ciężko. Wszyscy to rozumieją, moja droga, ale ludzie zaczynają gadać. Mówią, że Julia uważa się za lepszą od innych i to dlatego nie przychodzi na zebrania. Ja wiem, że to nieprawda, nawet jeśli nikt inny nie mieszka w pałacu. Możesz mi wierzyć, moja droga, gdyby to ode mnie zależało, mogłabyś przychodzić i wychodzić, kiedy zechcesz. Ale tak nie jest, chyba się zgodzisz? Przepisy wewnętrzne stawiają wymagania co do minimalnej obecności w każdym roku. Trzeba być na połowie spotkań. To tylko sześć rocznie. Możesz temu sprostać. Ludzie ustawiają się w kolejce, żeby się do nas zapisać - skłamała. - Ja nie chcę nikogo krytykować, ale możesz zostać zawieszona w prawach członka. Na szczęście jest klauzula odstępstwa w przypadku trudnej sytuacji, zgodnie z punktem dziesięć be podpunkt piąty, pod warunkiem że uzyska się zgodę większości komitetu wykonawczego, a następnie większości obecnych i

uprawnionych do głosowania na następnym zebraniu całego kolejnego...

Julia szukała chwili, kiedy będzie mogła jej przerwać, bo kiedy już Biedronka rozwinie skrzydła w pełnym trzepocie, jest niepowstrzymana jak zimowy wiatr, a zarazem równie krzepiąca.

- Tonya, stop. Zaczekaj. Zatrzymaj się na moment. Musisz im powiedzieć. Wszystkie muszą wiedzieć. Anthony Tice oznacza kłopoty. One muszą trzymać się od niego z daleka.

Dostrzegła drapieżny uśmiezek, wyczekiwanie na poufne informacje.

- Dlaczego tak mówisz, moja droga?

- Uwierz mi na słowo.

- Mogłabyś dać mi jakąś wskazówkę.

- Proszę, Tonya. Musisz mi zaufać. Ale nikt nie może przekazać mu żadnych informacji. - Zawahała się przed wypowiedzeniem kolejnych słów.

- Zwłaszcza, jeśli będzie pytał o mnie.

- A on może to robić? Może pytać o ciebie? - W podnieceniu aż zerwała się z sofy i bezwiednie usiadłszy na stołku fortepianowym, zaczęła przebiegać palcami po klawiaturze, wydobywając akord rozłożony, jak to nazywał nauczyciel fortepianu Julii. - Chcesz powiedzieć, że, no wiesz, o ciebie i Kellena?

- Proszę, przestań - powiedziała Julia, mając wrażenie, że zachowuje się nie tylko głupio, ale i bezczelnie.

- Co mam przestać?

- Przestań grać na fortepianie.

- Myślałam, że mam przestać drażnić się z tobą. - Zagrała kilka niezdarnych taktów z *Dźwięków muzyki*. - To chyba lubisz, prawda? Broadway?

Julia była coraz bardziej wzburzona.

- Tonya, możesz przestać? Proszę.

- Zaraz, zaraz, pamiętam. Pamiętam. Na tym fortepianie grał Duke Ellington.

- Tak, to prawda.

Podenerwowana Tonya zamknęła wieko.

- Naprawdę jesteś wymagająca, wiesz o tym?

- To u nas dziedziczne - odparła Julia, jakby się usprawiedliwiająca.

- Czyli... on może? - Podniosła się i zaczęła szukać swojego żakietu.

- Pytać o ciebie i Kellena? To o to mu chodzi?

Julia aż zadrżała na myśl o krążących opowieściach.

- Tonya, daj spokój. Nie było niczego takiego, jak ja i Kellen.

- Och, czyżby?
- To znaczy, od wielu lat. To się skończyło długo przed moim związkiem z Lemmiem. Stały przy drzwiach.
- Julio, moja droga...
- Hm...?
- Między tobą a Lemasterem wszystko w porządku?
- Znowu była zaszokowana.
- A co to za pytanie?
- Tylko się zastanawiałam.
- Ale dlaczego przyszło ci do głowy, żeby o coś takiego pytać? - Już cała dygotała z oburzenia. - Tonya, naprawdę!
- Nic takiego. Zapomnij, że w ogóle o to pytałam.
- Odwróciła się na pięcie.

III

Wieczorem tego dnia.

Julia zajęła się sprzątaniami sutereny, ponieważ cały dom wciąż jeszcze nie wrócił do normalnego stanu po przyjęciu piżamowym, zorganizowanym wczoraj przez Jeannie dla uczczenia rozpoczęcia ferii zimowych. W reżimie Lemastera każde z dzieci było odpowiedzialne za zachowanie swoich znajomych, według niego ta zasada miała kształtować motywację.

Przyjaciele Jeannie, wyłącznie przedstawiciele jaśniejszej nacji, zostawili za sobą spory bałagan. Mona Veazie nie wahałaby się skrytykować ich wychowania w obecności swojej córki, a i Julia była o krok od tego, żeby postąpić podobnie. Znalazła papierowe talerzyki z pizzą, której nie wolno było znosić na dół, i rozlane napoje. Wszędzie wałały się płytki DVD oraz gry wideo, w większości powyjmowane z opakowań. O stanie łazienki lepiej nawet nie mówić. Julia mogła poczekać na przychodzącą dwa razy w tygodniu kobietę zajmującą się sprzątaniami domu, ale od matki nauczyła się nigdy nie pozostawiać nieuprzątniętego bałaganu, a najniższy poziom ich domu bezdyskusyjnie zaliczał się teraz do tej kategorii. Jeannie, coraz silniej dążąca do doskonałości, postawiła sobie za niefortunny cel bawić się wyłącznie z dziećmi z dobrze sytuowanych rodzin w Landing albo z tymi, którzy mieli pieniądze, czy też z tymi, którzy byli w jakiś sposób związani z uniwersytetem.

Julia szorowała, podnosiła i odkurzała. Zdjęła pokrowce z materacy, potem poszła do

pokoju gościnnego i to samo zrobiła z łóżkiem i rozkładaną kanapą. Pokój przystrojony był plakatami musicali broadwayowskich, ale wyłącznie tymi, których tematem byli czarni, albo w których grali czarni, tę kolekcję zaczęła tworzyć jeszcze na Manhattanie, kiedy Kellen żartował sobie z jej ulubionych melodii z przedstawień. Broadway, jak mawiał Kellen, to muzyka białej Ameryki. „Ty zdajesz się przez cały czas uciekać przed trzema rzeczami” - mawiał. „Przed twoimi ludźmi, twoją przeszłością i twoim Bogiem”. Ale kiedy tak stała w sypialni w suterenie Hunter’s Heights, w otoczeniu Ethel Waters, Leny Horne, Paula Robesona i Earthy Kitt oraz kilkorga innych, uważała, że on nie miał racji. Tutaj byli jej ludzie. I tutaj też była jej przeszłość.

Ciekawe, co na widok tych plakatów pomyśleli sobie koledzy Jeannie.

Albo Astrid, która zawsze zatrzymywała się w tym pokoju.

Twoi ludzie i twoja przeszłość.

Julia usiadła ciężko na łóżku, z którego właśnie zdjęła pokrycie.

„Historia”, rzekł Frank Carrington, powtarzając słowa Kellena kupującego to stojące lustro. „Powiedział, że spodoba ci się to, bo uwielbiasz historię”.

Czy to możliwe...

Melodie musicalowe. Tonya naśmiewała się z niej, podobnie jak wcześniej Kellen, podobnie jak i wszyscy inni, bo Julia lubiła melodie z Broadwayu. Wszyscy znajomi znali jej gust.

Odwróciła się i spojrzała na plakat Leny Horne.

Jamajka, powiedział Kellen komuś w noc swojej śmierci. Wybierał się na Jamajkę. Nikt nie znalazł biletu na samolot ani żadnej rezerwacji. Nikt nie wiedział, co on miał na myśli. Ale Julia już wiedziała.

Słynna tytułowa piosenka z musicalu *Jamajka*. Słynna, przynajmniej wśród tych, którzy znali historię Afroamerykanów na Broadwayu. Lena Horne śpiewała o małej wysepce na rzece Hudson.

Podczas tej wyśmiewanej przez Kellena mowy na wydziale teologicznym, Lemaster nazwał Keplera „wyspą transcendentnej przejrystości na morzu świeckiego pomieszania”.

Czworobok Teologiczny Keplera, mała wyspa... na ulicy Hudson.

To była ta wiadomość Kellena. Wiadomość przeznaczona wyłącznie dla uszu Julii. Może rzeczywiście to jednak ona była jego Czarną Damą. Tej nocy, kiedy zginął, Kellen był na wydziale teologicznym, a jeśli nie życzył sobie, żeby ktoś inny zrozumiał tę jego wiadomość, mogło to oznaczać, że coś tam ukrył tak, że Julia, tylko Julia może...

- Mamusiu?

W drzwiach stała doskonała Jeannie.

- Chciałam pomóc ci posprzątać. Tamte dziewczynki zostawiły tu taki bałagan. -
Cmokała językiem dokładnie tak samo, jak babcia Vee, która zmarła dwadzieścia lat przed jej
narodzinami. - Och, już skończyłaś. - I odgrywając zaskoczenie, dodała: - Chyba się
spóźniłam. Szkoda.

I już jej nie było.

Rozdział 26

Persona grata

I

Bruce Vallely był nieszczęśliwy. Otrzymał polecenie przedstawienia administracji uczelni wstępnego budżetu na następny rok i właśnie nad tym pracował. Szkopuł jednak w tym, że nie dalej jak w zeszłym tygodniu otrzymał notatkę służbową, w której poinformowano go o czekającej jego wydział dwuipółprocentowej redukcji budżetu, stanowiącej część obejmującej całą uczelnię polityki obniżania kosztów funkcjonowania w związku ze spadkiem dochodów z inwestycji kapitałowych. Polecenia były jednak wyraźne - miał znaleźć możliwości wprowadzenia cięć bez zwalniania żadnych funkcjonariuszy, przesuwania w czasie „istotnych” zakupów sprzętu czy też osłabiania „samego bezpieczeństwa kampusu”. Może tacy sztukmistrze jak Penn i Teller nie mieliby z tym problemu, ale Bruce nie miał najmniejszego pojęcia, jak to zrobić. To on był tu jednak szefem i było to jego zadanie, siedział więc w swoim pełnym przeciągów biurze, nad żółtym bloczkiem papieru, próbując przeróżnych kombinacji cyfr, z których żadne nie chciały się odpowiednio sumować.

Wyjrzał przez okno na zajmujące parking uniwersyteckie autobusy pomalowane na kolory uczelni. Kilka z nich pokrytych było skorupą śniegu. Za półtora tygodnia Boże Narodzenie, nie będzie tu jednak Grace, która uczyniłaby z tego okresu święta.

Po raz pierwszy w życiu.

Otrząsnął się z tego nastroju i ponownie pochyliwszy się nad żółtym bloczkiem papieru, bawił się liczbami na kalkulatorze, próbując dojść, jak spełnić niemożliwe żądania administracji. Wyobrażał sobie, choć jego wyobrażenia były bardzo odległe i niewyraźne, jak muszą walczyć stanowi ustawodawcy i kongresmani, żeby w czasach ograniczonych środków skonstruować odpowiedni budżet. Bruce obiecał sobie, że nigdy już nie będzie uważał pracy polityków za łatwą. Zarówno media, jak i normalni wyborcy, suchej nitki na nich nie zostawiali, ale przecież tak naprawdę to oni musieli starać się osiągnąć coś niemożliwego, i czasem nawet im się to udawało.

Nie mógł skupić myśli na pracy. A przynajmniej nie na tej części pracy.

Myśli zajęte miał prowadzoną sprawą.

Na początku tego tygodnia, dzięki pomocy znajomego z Temple Baptist niezależnego kościoła baptystycznego, gdzie wraz z Grace chodzili się modlić, a on sam od czasu do czasu dalej to robił, poznał pochodzenie słoiczków z pokoju gościnnego w domu Kellena Zanta - były to kosmetyki upiększające produkowane przez należącą do czarnoskórych właścicieli małą firmę w Detroit, sprzedawane przez tylko jeden salon piękności w mieście. Tak się składało, że Julia Carlyle była stałą klientką tego salonu.

Co prawda równie dobrze mogła to kupić i zostawić w tym pokoju gościnnym jakaś inna czarnoskóra kobieta. Było tylko jedno ale - Kellen nie umawiał się z Murzynkami. On umawiał się z kobietami białymi.

Jedynym wyjątkiem była Julia.

Bruce nie potrafił jednak wyobrazić sobie Julii Carlyle przemyskującej do domu Kellena na Hobby Hill, i to nie dlatego, że ktoś mógłby ją zauważyć. To po prostu do niej nie pasowało. Zważywszy na idee jej Klanu, takie zachowanie wydawałoby się poniżej jej poziomu.

Czyżby jakaś inna czarna kobieta? Mówiąca z brytyjskim akcentem?

Bardzo to dziwne i robiło się coraz dziwniejsze.

Bruce z trudem skoncentrował się na budzecie. Wciąż siedział nad cyframi, kiedy odezwał się jego telefon i recepcjonistka poinformowała go, że dzwoni Rick Chrebet.

- Powinniśmy się spotkać - powiedział Rick.

II

- Nie bierz tego do siebie - powiedział Rick Chrebet.

- Dziękuję, ulżyło mi.

- Mówię poważnie, Bruce. To nie ma żadnego związku z twoją osobą.

Odwilż pozostała już tylko wspomnieniem. Ponownie nastała zimowa pogoda. Bruce Vallely głębiej wcisnął swoje słynne dłonie do kieszeni płaszcza, żalując, że nie włożył ciepłej kurtki. Schodzili razem ścieżką flisacką biegnącą wzdłuż cuchnącego Harbor Canal. Zamrożone błoto oddzielały od wody ponadmetrowe trzciny. Z prawej strony, po znajdującym się nad ścieżką wzniesieniu, biegła ulica Deepwater, którą przemykały, jakieś trzy czy cztery metry nad ich głowami, samochody, ponieważ ich kierowcy postanowili ominąć korki w godzinach szczytu i skrócić sobie drogę przez park. Teoretycznie teren graniczący z kanałem był parkiem. Ale tylko teoretycznie.

W praktyce cały ten teren był po prostu zaniedbany i opustoszały.

W wydziale policji żartowano, że Bóg poskładał Ricka Chrebeta z tego, co zostało mu po zrobieniu Bruce'a, bo Rick był - tę litanię potrafili wyrecytować wszyscy w brygadzie - niższy, chudszy, wolniejszy, spokojniejszy i bledszy od swojego partnera. W dawnych czasach, jakieś dwadzieścia lat temu, kiedy obaj byli nowicjuszami, można było jeszcze dodać, że Rick jest jaśniejszym blondynem, ale minione dziesięciolecie po równo przyprószyły ich głowy sporą siwizną. Bruce przeszedł już na emeryturę, Rick natomiast został właśnie pominięty przy awansie na kapitana i bliski był zrobienia tego samego, co jego partner, tyle że jemu ta praca się podobała.

Przez kilka minut szli w ciszy, słychać było tylko ich kroki na śniegu: jedna para ciężkich butów, jedna para lekkich, para ciężkich, para lekkich, współgrając w rytmie tak niezmiennym i przewidywalnym jak stara przyjaźń.

W końcu Bruce się odezwał.

- Jeśli nie chodzi tu o mnie, to co się dzieje? Nie ma już żadnego dochodzenia poza śledztwem w sprawie napadu rabunkowego. Wszystko inne zostało zamknięte.

- Mnie nie musisz tego mówić.

- Czy to rzeczywiście był napad rabunkowy? Tak wygląda ostateczna wersja?

Rick niósł w ręce długi kij. Rzucił nim teraz w trzciny, czym musiał zakłócić spokój zamieszkujących tam stworzeń, bo nagle dookoła zapanowało jakieś nieprzyjemne poruszenie.

- Mówiłem ci, że na tym to się skończy.

Bruce uniósł twarz w stronę zmizerniałego popołudniowego nieba. Jedynie jasna smuga stanowiła dowód, że gdzieś tam jeszcze znajdowało się słońce.

- Nagle nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać.

- Ja z tobą rozmawiam. - Bruce zauważył, że jego dawny partner jest wyraźnie rozłoszczony. - Mniejsza o to. Dokładnie wiem, co masz na myśli.

- No to powiedz, o co tu chodzi?

Partner zmierzył go wzrokiem.

- Dlaczego tak cię to interesuje? Przecież jesteś na emeryturze.

Bruce doskonale zdawał sobie sprawę, że nie na miejscu byłoby tu opowiadanie bajek o „wyjaśnianiu kilku szczegółów”.

- Rick, na mnie wywierają pewne naciski. Moi pracodawcy chcą mieć pewność, że wszystko zostało do samego końca sprawdzone. Sam wiesz, jak to jest.

Rick Chrebet nie wypowiedział się jednak, czy wie, jak to jest, czy też nie wie.

- Posłuchaj, Bruce. Ta sprawa jest trzymana w największej tajemnicy. I naszym ludziom niezbyt to się podoba. - Chwila przerwy. - Słyszałem, że Ben Church zagroził swoją rezygnacją. A Janey Wei po prostu wpadła we wściekłość.

Bruce próbował sobie wyobrazić, jak mała Janey wpada w szal, ale nie udało mu się to.

- Dlaczego tak się wściekli? Co się stało?

- Posłuchaj. My wykonujemy rozkazy, tak? Wydawane przez zwierzchników. Powiem to w ten sposób. Kilka dni po tym morderstwie gliniarze w Landing dreptali co prawda w miejscu, ale Ben i Janey mieli kilka tropów. Wyglądało na to, że uda im się zrobić z tego niezłą sprawę. Oni... no, mniejsza o szczegóły. W każdym razie posuwali się w śledztwie, rozumiesz?

Spacerując, dotarli na błotnisty skraj podmokłej łąki. Wysokie trawy sprawiały wrażenie zachwaszczonych i odpychających.

- Tak, mija kolejny dzień, Janey i Ben docierają do kolejnych informacji i chcą już przeprowadzić pewne przesłuchanie. Nie chodzi tu na razie o żadnego podejrzanego, ale mają jakiś trop. Jest ktoś, kto może wskazać im odpowiedni kierunek śledztwa. Chcą przesłuchać tę osobę, ale nagle okazuje się, że jest to delikatna sprawa w związku z... no z pewnych powodów. Muszą uzyskać odpowiednie zezwolenia. Spotykają się z ludźmi, którzy takie zezwolenia mogą wydać. Tu wracamy do kwestii zwierzchników, prawda? Potem czekają i czekają, a później, dopiero po jakichś dwóch czy trzech dniach, przychodzi rozkaz. Żadnych przesłuchań. Żadnych spekulacji. Minęło kilka tygodni i okazało się, że nie będzie już też żadnego dochodzenia. Koniec pracy. Mamy to nazwać napadem rabunkowym, zamknąć sprawę i przekazać wszystkie notatki i kartoteki, zaplombowane i podpisane. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

- Oczywiście.

- My też. A zwłaszcza Janey i Ben. Wiemy tylko, że w tej sprawie dzwoniła sama prokurator stanowa. Pojawiła się plotka, że to robota agentów federalnych. Mówiono też, że ta kobieta bała się, że niezamknięta sprawa może zaważyć na wynikach przyszłorocznych wyborów. W każdym razie góra zdecydowała, że całe siły policyjne mają odstąpić od tej sprawy. Od teraz szukamy tylko ludzi, którzy ewentualnie chcieli ukraść mu portfel i klucze. I to by było na tyle.

- A co na to Ben i Janey...

- Daj spokój, Janey ma małe dzieci, Ben też, chociaż od rozwodu zupełnie ich nie widuje. Pozaciągane kredyty hipoteczne. Odkładają na emeryturę. Pomyśl tylko, Bruce. Ja

wiem, że to trochę arbitralne podejście, ale napad rabunkowy wydaje się prawdopodobny. Może to nawet rzeczywiście był napad rabunkowy. Ludzie przyjmą takie wytłumaczenie. Mogą nas żywcem obdrzeć ze skóry, jeśli nie znajdziemy sprawcy, ale uwierzą w motywy.

Zbliżali się do końca ścieżki. Drogę zagradzał im pordzewiały rower, leżący nad ciemną i mało zachęcającą słonawą wodą w miejscu, w którym Bruce wraz ze swoim starszym bratem jeszcze jako dzieci spuszczały na wodę kajak. Nawet pływający po powierzchni lód sprawiał wrażenie zanieczyszczonego.

- Ta cała Therese Pappas - odezwał się Bruce - ta prokurator stanowa, to dobra znajoma Carlyle'ów, prawda?

Rick wzruszył ramionami.

- Podczas tego śledztwa nauczyłem się jednego, a mianowicie, że prawie wszyscy, może z wyjątkiem Kellena Zanta, to kumple Lemastera Carlyle'a. Trzeba przyznać, co prawda, że niektórzy się go boją, bo on całkiem niezłe zna wszystkich ludzi dzierżących władzę. W każdym razie, nikt złego słowa nie powie... - Przerwał i klepnął swojego dawnego partnera w plecy. Twarz miał napiętą. - Posłuchaj, Bruce. Ja nie dlatego chciałem z tobą porozmawiać. To, czy nam każą nazwać morderstwo Zanta napadem rabunkowym, czy czymś innym, to nie jest twój problem.

- W takim razie dlaczego?

- Ponieważ, i niech to zostanie między nami, obecnie nie jesteś osobą, którą można by nazwać persona grata, chyba tak to się mówi.

- O czym ty mówisz?

- Mieliśmy parę problemów. Zaginęły przechowywane u nas dowody. Wyobraź sobie, że nawet telefon Zanta zginął. W związku z tym pani Pappas nałożyła ostre restrykcje. Tu nie chodzi tylko o to, że nikomu z nas nie wolno o tym rozmawiać. Rozkaz jest bardzo precyzyjny. - Wylupiaсте oczy Ricka pełne były bólu, ale widać też było w nich jakąś determinację. - Osobą, z którą wyraźnie zakazano nam rozmawiać, jest niejaki Bruce Vallely, kierownik ochrony kampusu.

Po starym kanale pływały kawałki kry. Po drugiej jego stronie, w części miasta znanej jako Outer Elm, cierpliwi deweloperzy bagrowali teren w pobliżu brzegu i stawiali budynki mieszkaniowe, centra handlowe, place zabaw, promenadę. Jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności mieli tam mieszkać sami biali, powstawał oczyszczony etnicznie raj w samym środku miasta, i to w zupełnie rozsądnych cenach - przeznaczony głównie dla rodzin imigrantów w trzecim pokoleniu.

- Poważnie?

- Szczerze mówiąc, Bruce, jest jeszcze gorzej.

- Co znaczy gorzej?

Rick Chrebet nadal trzymał dłonie głęboko schowane w kieszeniach. Jego oddech rysował blade łuki w mroźnym powietrzu.

- Bruce, oni wiedzą, że ty prowadzisz dochodzenie na własną rękę. Wiedzą, że byłeś w domu Zanta. Ja nie należę do osób zaufanych pani Pappas, nic z tych rzeczy, ale mówi się, że rozważane jest oskarżenie cię o utrudnianie pracy policji.

Rozdział 27

Ponownie lustro Comynsa

I

Julia zabrała się za swoje zadanie w sposób metodyczny, ale jednocześnie dosyć impulsywny, była to ta dobrze jej znana kombinacja, która doprowadziła ją w życiu do wielu sukcesów i równie wielu porażek. Mary Mallard i Tony Tice zdawali się sądzić, że Kellen coś jej przekazał. Tę nadwyżkę, którą wcześniej zamierzał przechwycić. Te zapasy, których nie chciał sam przechowywać. Oprócz zaszyfrowanej wiadomości oraz przypadkowego, niechcianego prezentu w postaci krówek, na myśl Julii przychodził tylko jeden przedmiot, jaki z inicjatywy Kellena trafił do jej rąk.

Lustro.

Oprawne w srebro szylkretowe ręczne lustro wykonane przez Williama Comynsa z Londynu, które babcia Vee dała jej na krótko przed śmiercią i które Kellen najwyraźniej przez dwadzieścia lat trzymał przy swoim biurku.

Późnym wieczorem we wtorek, kiedy cały dom był już pogrążony we śnie, Julia wzięła to lustro ze stojącego w rogu sypialni małego biurka, gdzie wcześniej znalazła mu miejsce, i zaniósła je do kuchni, długiego, wspaniałego pomieszczenia z modnymi i kosztownymi blatami z czarnego granitu, które wspaniale prezentowały się w salonie wystawowym, ale po zapadnięciu zmroku zdawały się wysysać całe światło z powietrza. Kellen, podczas wydanego pięć lat temu przez Lemastera przyjęcia dla czarnoskórych pracowników uniwersytetu - była to jedna z niewielu jego wizyt w Hunter's Heights - zwrócił uwagę, że blaty kojarzą mu się z Klanem, tak twardym, ciemnym i mocnym, z dumą i determinacją zachowującym to wszystko, co było bezużyteczne w afrykańskiej Ameryce.

Julia powiedziała mu wtedy, żeby dał jej wreszcie spokój.

Teraz ułożyła lustro obok komputera stojącego na kuchennym stole, bezpośrednio pod lampką do czytania. Wyczyściła je i wypolerowała, ale widać było, że trzeba w nie włożyć dużo więcej pracy. Powinna zanieść je do fachowca, stwierdziła, patrząc to na jedną, to na drugą stronę. Proszę, Kellen, powiedziała do siebie w myślach. Jeśli ja jestem twoją

Czarną Damą, to odezwij się do mnie. Dlaczego dałeś mi to lustro? Co ono oznacza? Lustro, nadwyżka, ryzyko zapasów. I Jamajka. Po co poszedłeś tamtej nocy na wydział teologiczny? Nie potrafiła odnaleźć żadnej prawidłowości, doszukać się w tym żadnego sensu. Przesunęła palcami po delikatnym filigranie z tyłu lusterka, po pękach liści wzdłuż krawędzi, symbolu słońca pośrodku i otaczających go królewskich dekoracjach. Czowała rosnące rozdrażnienie i to nie tylko dlatego, że nie potrafiła pojąć znaczenia tego lusterka, jeśli w ogóle jakieś było, ale również dlatego, że Kellen tak je zaniedbał, dopuścił do tego, że zmatowiały powierzchnie tak się porysowały, że teraz z trudem odcyfrowywała słynny znak W•C, wśród tych wszystkich...

Znak?

Ponownie odłożyła lustro, ustawiła jasne światło. Znak Comynsa składał się z liter W i C, a między nimi umieszczone było małe kółko, uniesione na poziomie mniej więcej trzech czwartych wysokości liter. Choć był ukryty we wzorze, każdy ekspert wiedział, gdzie go szukać. Ale tutaj ten znak nie tylko był porysowany, on był zupełnie zatarty.

To nie była kwestia zużycia. To zrobiono celowo.

Odwróciła lustro do góry nogami i od razu dostrzegła, co się stało. Litery zostały... zmienione. Zmienione w taki sposób, że zauważyć to mógł tylko ktoś wiedzący o istnieniu tego znaku, a nikt oprócz Julii tego wiedzieć nie mógł.

Litera C była odwrócona, jej długą krzywiznę przecinało poziome rozcięcie. Natomiast w literze W lewa ukośna kreska była zupełnie wytarta, a środkowa część litery, która wskazywała w górę, obrócona była na bok i pokazywała w prawo.

Ależ w tym nie było żadnego sensu.

Zaraz, tak, był.

Przecież to było lustro.

Julia się uśmiechnęła. Wiedziała już, co Kellen zrobił, ale dla pewności zabrała lustro do łazienki. Uniosła je do lustra i oczywiście, z bliska, ale tylko w lustrzanym odbiciu, zmiana znaku stała się wyraźna. Już nie było napisu W•C. Teraz pojawiło się E•K.

Uśmiech zgasł na jej wargach. Czym, albo kim, do diabła, było E•K? Eddie Krueger? Nie, on na imię miał Freddy. Edward Kennedy? Ernst Kaltenbrunner? Elegancki Kellen? Może jednak źle to zrozumiała. Może źle odczytała ten nowy znak, a może zbyt się tym przejęła i próbowała wyczytać niezgrabne symbole w śladach normalnego zużycia, ponieważ pragnęła, żeby tam były. Będąc jednak osobą praktyczną, wzięła aparat cyfrowy i zrobiła lustro kilka zdjęć, zarówno jego odbiciu w lustrze, jak i leżącemu na blacie, w tym kilka zbliżeń znaku, i przeniosła je do swojego laptopa, a następnie przesłała je przez Internet na serwer Kodaka, gdzie przechowywała swoje cyfrowe obrazy.

Chociaż z natury nie była osobą cierpliwą, Julia wiedziała, że jeśli to lustro zawiera jakąś wiadomość, to ona, poświęciwszy na to trochę czasu, w końcu do niej dojdzie.

II

Wczesnym rankiem poprosiła Latishę o wezwanie Joego Poyntinga, a ten przybył niezwłocznie, najprawdopodobniej przestraszony, że pani dziekan odkryła jakiś przepis odbierający mu prawo do stypendium, jakiego poszukiwał, żeby przeprowadzić swoje badania w Bolonii. Ale Julia tylko odwróciła bloczek do notatek zapisaną stroną do dołu, bo wciąż pracowała nad kombinacjami „Shari Larid”, i co było rzadkością, zamknąwszy drzwi, zobowiązała młodzieńca do zachowania absolutnej tajemnicy. Dopiero potem zadała mu pytanie.

- Co wieczór do późna pracujesz w bibliotece. Zostajesz tam do zamknięcia, a czasami dłużej. Chciałabym się dowiedzieć, czy widziałeś tam kiedyś profesora Zanta.

- W bibliotece Keplera?

- Tak.

Joe skinął głową.

- Oczywiście, że go widziałem. Czasami wieczorem, czasami późnym popołudniem.

- Co tam robił?

- Pracował naukowo, jak sądzę. Nie pytałem go.

- Chodziło mi o to, co widziałeś.

Student siedział ze złączonymi kolanami i złożonymi rękami. Julia wyczuła, że raczej nie przepadał za Kellenem.

- Zazwyczaj wchodził do archiwum lub z niego wychodził.

To potwierdzało opowieść Vanessy. Tylko że...

- Jak często widywałeś go w archiwum?

- Wydaje mi się, że przynajmniej raz w tygodniu.

Oczywiście. Kellen przychodził na wydział teologiczny, kiedy Julia już go opuszczała, a to oznaczało, że nie wpadał tam tylko po to, żeby ją zirytować. I nie tylko w poszukiwaniu Vanessy, która w ostatnim roku w archiwum mogła być z pięć razy. Nie. Kellen Zant przychodził do Keplera, ponieważ pracował nad swoim własnym projektem.

I to w archiwum.

III

Lemaster obudził się, kiedy jego żona po cichu weszła do ich sypialni, a gdy już wsunęła się do łóżka, przygarnął ją do siebie. Julia z chęcią dała się przygarnąć. Była roztrzęsiona, zatroskana, zdezorientowana, trochę przerażona i gotowa przyjąć fizyczną otuchę płynącą z rzeczywistości ich wspólnego życia. Lemmie kochał się tak, jak robił wszystko - z namysłem, sumiennie, był absolutnym panem, i siebie, i wszystkiego dookoła. Był na tyle mężczyzną, żeby odczuwać dumę z jej rozkoszy, ale jednocześnie zdecydowanie nazbyt samokrytyczny, żeby móc wyobrazić sobie jakieś korzyści zawarte w chwilowym zrzeczeniu się swego panowania. W takich chwilach czułości czasami chwytala jego spojrzenie, jego posępne brązowe oczy czujne i cierpliwe, Lemaster myślący wyłącznie o jej potrzebach, chociaż przecież wystarczyłoby troszkę męskiego egoizmu, a przyjemność przeszłaby w rozkosz. Od czasu do czasu zdarzało się jej zastanawiać, czy coś może rozpalic jej męża, ponieważ przez te wszystkie wspólnie spędzone lata nigdy nie widziała, żeby on chociaż raz tak naprawdę stracił nad sobą kontrolę.

Julia zadurzyła się w nim już w tydzień po rozpoczęciu studiów w wyższej szkole teologicznej, kiedy miała okazję zobaczyć go, jak przejmuje kontrolę nad salą wykładową, w której występujący z gościnnymi wykładami profesor z Cambridge atakował przerażonych słuchaczy swoimi teoriami, dlaczego Bóg musiał być autorem całego zła; to Lemaster stawiał mu czoło, kiedy nawet większość kadry naukowej zdawała się zastraszona. Uwielbiała jego błyskotliwość, podziwiała, że już na studiach licencjackich uzyskiwał najlepsze wyniki w nauce, aż stał się gwiazdą wydziału prawa, a potem całego prawniczego świata, zanim w samym środku kariery zdecydował się odejść i sprawdzić, czy nie czuje powołania do kapłaństwa. Uwielbiała tę jego subtelnie urzekającą pewność siebie, nadnaturalny spokój, który wnosił do każdej sytuacji, nawet łóżkowej, stanowiąc antidotum na wyczerpujące podniecenie Kellena Zanta. Ogromnie spodobalo się jej też to, jak ich zaręczyny zatrzęsły całym Klanem, ponieważ Lemaster Carlyle, niezależnie od swoich cnót, tak naprawdę nie jest jednym z naszych, kochanie. A potem okazało się, że on należy do Empireum. Ci członkowie Empireum - czyż oni już nie wymarli, albo też nie wymierają? Czyż oni nie zbankrutowali? Jak to możliwe, żeby Julia, której babcia założyła Biedronki, wychodziła za członka jakiegoś zwykłego Empireum? I jakby tego było mało, on był Antylczykiem, miał bardzo ciemną skórę, a przecież w pewnych ciemnych i tajemnych zakamarkach wciąż jeszcze czaiły się głęboko zakorzenione uprzedzenia z dawnych czasów Harlemu.

Kiedy skończyli się kochać, Julia przywarła do męża, zastanawiając się, jakie to tajemnice on skrywa, których nie chce ujawnić ani Astrid Venable, ani Cameronowi Knowlandowi, co on wie o tych dawnych czasach w apartamencie Hillimana. Lemaster,

wychowanek katolickiej szkoły, narzucił sobie surowe ograniczenia zasad i obowiązków, a Julia podejrzewała, że to też w nim kocha, nawet jeśli takie cnoty jak lojalność i dyskrecja mogą stanąć na drodze poszukiwania prawdy.

- Jesteś dobrym człowiekiem - powiedziała, całując śpiącego męża w ramię. Przysunęła się bliżej niego. - Dobrym człowiekiem - powtórzyła w nadziei, że to prawda.

Rozdział 28

Nie licząc się z powagą

I

Do archiwum wydziału teologicznego wchodziło się przez coś w rodzaju kruchty, zamkniętej przesłoną z kutego żelaza, w najdalej na południe wysuniętej części wysokiej czytelnicy biblioteki Keplera. Julia zaglądała do biblioteki jak najrzadziej, ale w środę kroczyła dziarsko po skrzypiącej i nierównej drewnianej podłodze, którą częściowo pokrywały stare dywany. Jedną ze ścian zasłaniały rusztowania. Na pozostałych wysoko wznosiły się książki, okna i portrety wielkich kaznodziejów i teologów, którzy ukończyli Keplera. Ich twarze w większości sprawiały wrażenie rozczarowanych. Tutaj przeróżne wersje Biblii. Tam dzieła wielkich teologów albo streszczenia dzieł wielkich teologów, albo komputery, w których można znaleźć streszczenia tych streszczeń. Kilku studentów podniosło obojętny wzrok. Siedzący przy żelaznej kracie apatyczny recepcjonista udał, że sprawdza uniwersytecki identyfikator Julii. Chwilę później Julia zeszła po metalowych schodach i znalazła się w samym środku sanktuarium, w którym chwilowo nikt nie grzebał. Stanowiąca własność wydziału teologicznego kolekcja kazań, broszur i holograficznych listów, z których większość miała nieocenioną wartość, była dostępna „w obiegu zamkniętym”, czyli należało wypisać rewers, potem poczekać w małym gabinecie, aż pracownik archiwum lub jeden z jego pomocników przyniesie żądane dokumenty. Czytanie odbywało się przy jednym z kilku rozrzuconych po pomieszczeniu stolików. Z archiwum nie wolno było niczego wynosić, ale stałym bywalcom zapewniano tu wózek, na którym można było przechowywać papiery, kiedy czytelnik musiał poświęcać czas na takie błahostki jak zajęcia, rodzina czy sen. Dla zabezpieczenia cennego skarbu, urządzenia klimatyzacyjne i odwilżacze dbały o to, żeby przez cały rok wszystko było tu suche jak pieprz, i Julia, stojąc pośród długich stołów, boksów do czytania i ruchomych stalowoszarych półek na małych szynach, zdawała sobie sprawę, że przez resztę dnia będzie ją swędziała skóra.

Myśl.

Joe Poynting powiedział, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy nieraz widywał tu

Kellena, zazwyczaj późnym popołudniem lub wieczorem - to znaczy kiedy Julia, wychodząca do domu wczesnym popołudniem, raczej nie mogła go spotkać.

Archiwum.

W takim razie co on tu robił?

Podeszła do jednego z wózków i przesunęła palcami po stosie niebieskich teczek, z których każda związana była brązowym sznurkiem. Z opisów dowiedziała się, że ktoś zbierał informacje na temat kazań wygłaszanych we francuskich kościołach w czasach Komuny Paryskiej. Raczej nie pasowało to do Kellena. Na następnym wózku leżały pochodzące sprzed drugiej wojny światowej sprawozdania finansowe z ówczesnej Federalnej Rady Kościołów. Może Kellen zajmował się historią ekonomii...

- Czy mógłbym w czymś pomóc, pani dziekan?

Julia cofnęła rękę i opuściła ją wzdłuż ciała, jak dziecko przyłapanie na jakimś grzeszku, i odwróciwszy się z uśmiechem starego Hanoveru na twarzy, stanęła na wprost upiornego, lśniącego oblicza Roda Rutheforda, bibliotekarza i głównego archiwisty w Keplerze.

- Nie zauważyłam pana - powiedziała. - Przepraszam.

- Czy mógłbym w czymś pomóc? - powtórzył, a oficjalność tego powitania stanowić miała oznakę szacunku bardziej dla tradycji niż dla Julii.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mimowolnie naśladowała jego grobowy ton. - Ale mam pewne pytanie.

- Rozumiem.

- Ważne pytanie - ciągnęła, trochę bez sensu.

- Ważne. Słucham.

- Czy możemy porozmawiać na osobności?

- Ależ oczywiście. - Poprowadził ją do swojego pobielonego boksu, w którym znajdowały się tylko tanie metalowe mebelki, ponieważ Rod Rutherford sprzeciwiał się wydawaniu pieniędzy biblioteki na cokolwiek poza książkami. Usiadła naprzeciw bibliotekarza i dygocząc w tym sztucznie wywołanym chłodzie, mówiła przez kilka minut, trochę skracając, a trochę rozbudowując, ale w sumie, jak jej się wydawało, przedstawiając dosyć racjonalną wersję prawdy.

- Naprawdę chciałbym pani pomóc, pani dziekan - odezwał się bibliotekarz, kiedy już jej wysłuchał. - Ale obawiam się, że pani prośba jest niemożliwa do spełnienia.

- Ale przecież ja tylko proszę o informację, z jakich materiałów mógł korzystać profesor Zant.

- Niestety, ja nawet nie mogę potwierdzić, że on tu w ogóle bywał. - Roderick Rutherford obdarzył ją przepaszającym uśmiechem. Był odrażającym, wynędzniałym człowiekiem, bladym jak jaskiniowiec, pedantycznym i wyniosłym, który miał denerwujący zwyczaj materializowania się za twoimi plecami w korytarzu czy na parkingu, kiedy chwilę wcześniej byłeś pewien, że w okolicy nie ma nikogo. Julia nie знаła go zbyt dobrze, rzadko miała kontakty z biblioteką czy archiwum, ponieważ i jednym, i drugim zarządzał ten bibliotekarz, a i jedno, i drugie podlegało zmarłemu Borisowi Gibbsowi. Prawdę mówiąc, wciąż była czuła na punkcie swojej niechlubnej studenckiej przeszłości i rzadko zapuszczała się do niegdyś wspaniałej czytelni, a od czasu, kiedy opuściła uczelnię, ani razu nie wkroczyła do ogólnie dostępnej wypożyczalni. Zaraz po objęciu stanowiska dziekana zajrzała do archiwum, wróciła tu też półtora roku temu, wprowadzając Vanessę, która miała w tym miejscu zbierać informacje. - Tym bardziej nie jestem w stanie potwierdzić, jakie materiały on mógł czy też nie mógł wyciągać ze zbioru - mówił pan Rutherford.

- Czy ktoś inny może to wiedzieć?

- Ależ pani dziekan, ja nie mówię, że nie dysponuję takimi informacjami. Ale nie jestem w stanie pani ich przekazać. To absolutnie niemożliwe. - Uniósłszy palec, zakreślił wokół siebie okrąg, jakby chcąc przypomnieć jej o istnieniu szerszego świata. - Takie są przepisy, chyba pani o tym wie.

- Przepisy?

- Przecież pani z pewnością szanuje przepisy, pani dziekan. - Zacierał upiorne dłonie, jak chciwy przedsiębiorca pogrzebowy. - Bez przepisów człowiek żyje w anarchii. A biblioteka nie znosi anarchii. A tym bardziej nie znosi jej archiwum.

- Tak, ale...

- Takie informacje są ściśle tajne. Jako prodziekan z pewnością zdaje pani sobie sprawę z przepisu dwadzieścia dwa ce, mówiącego o prywatności zapisów bibliotecznych, przyjętego przez senat wydziału w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, po wprowadzeniu przez Kongres poprawki Buckleya, a następnie ratyfikowanego przez członków zarządu...

- Proszę mnie zrozumieć, panie Rutherford - on lubił formy oficjalne. - To jest bardzo ważne. Nie mogę wyjąć panu wszystkich powodów, ale...

- Nie wątpię, że to kwestia życia i śmierci. - W najmniejszym stopniu nie wydawał się przekonany. - Ale ja, z konieczności, służę innej muzie. Biblioteka stanowi skarbnicę wiedzy, pani dziekan. To tu się ją przechowuje. Dawniej przechowywanie wiedzy było zajęciem powszechnie szanowanym. Ale te czasy już minęły. Obecnie wiedza jest jednoznaczna z

pożądaniem. Jeśli coś jest nieprzyjemne, to nie może być prawdziwe. Powróciliśmy do początków średniowiecza. Dlatego też staramy się zachować swoją funkcję przez egzekwowanie przepisów. Jeśli ktoś pragnie grać według innych reguł, musi to robić gdzie indziej.

Siedząc po drugiej stronie biurka patrzącego na nią spode łba archiwisty, Julia zastanawiała się, czy przypadkiem ta niespodziewana przeszkoda jej się nie śni. Nie spodziewała się takiego oporu, ale pohamowała się i tylko się zastanawiała. Pocięszała się myślą, że tu nie chodzi o kolor jej skóry, chociaż nie była do końca o tym przekonana, ponieważ nawet na tak jawnie liberalnym kampusie często miała wrażenie, że pewne drzwi - czy to intelektualne, czy społeczne albo związane z reputacją - otwierają się szeroko tylko przed przedstawicielami jaśniejszej nacji. Ale Roderick Rutherford wszystkich bez wyjątku traktował protekcyjnie. Po spotkaniach z nim zawsze czuła się nie tyle zlekceważona, co przejęta dreszczem - kiedy mówił, miał zwyczaj odwracać nieco głowę i szeptać w taki sposób, że od tego ciarki ją przechodziły.

Postanowiła zacząć od nowa.

- Ja nie chcę prosić o wiele informacji. Wiem, że w ostatnim miesiącu przed swoją śmiercią profesor Zant był tu kilka razy, późnym wieczorem. Proszę tylko o...

- Późnym wieczorem? Ależ to nie może mieć nic wspólnego z nami. Archiwum jest zamykane o wpół do szóstej, chyba pani wie, przez sześć dni w tygodniu. Siódmego dnia odpoczywamy. To taki żart.

Ale ani on, ani ona nie roześmiali się. Za jego wąską głową na ścianie wisiał posępny portret słynnego abolicjonisty z Nowej Anglii. Wysoko u góry znajdowały się okratowane dwa poziomokłe okna, sięgające poziomu ziemi. Migające stopy rzucały cienie w kolorze sepii. W tym chłodnym pomieszczeniu był to jedyny znak, że słońce świeci.

- Z tego, co wiem, profesor Zant bywał tu o późniejszej porze.

- Nie wydaje mi się to możliwe, pani dziekan. Osobiście zamykam drzwi. Pani Bethe, oczywiście, też ma klucze, ale z pewnością nie wróciłyby, żeby wpuścić tu kogoś bez upoważnienia. Podejrzewam, że mogłyby się tu dostać straż kampusu, ale z pewnością narobiliby rabanu, nie znając kodu alarmu.

- Ale z pewnością Claire Alvarez mogłaby...

- Ależ skądże, nie. Pani dziekan Alvarez nie dysponuje żadnymi kluczami i nie zna kodów. Jestem przekonany, że tylko pani Bethe i ja znamy te kody.

- W takim razie... co pan robi, jeśli ktoś chce tu dłużej popracować? Suzanne de Broglie zawsze pracuje tu wieczorami.

- Profesor de Broglie mówi nam, jakich dokumentów potrzebuje, a my je zostawiamy w głównej czytelni. Składa rewers w recepcji, zabiera dokumenty do biblioteki wydziałowej i tam pracuje. Oczywiście, nie każdy może korzystać z takich udogodnień, ale nasza dobra pani profesor z wyjątkowym szacunkiem traktuje kolekcję.

- Czy Kellen Zant korzystał z podobnych udogodnień?

Jego dłonie ponownie zaczęły się poruszać, wędrowały wokół siebie i przeplatały się, jak dwa zupełnie oddzielne obiekty prowadzące jakąś nienaturalną walkę.

- Droga pani dziekan, chyba nie mogę nic takiego mówić.

Rozzłoszczona Julia pogrzyżała się w myślach. Biblioteka Roda Rutherforda stanowiła świat, w którym papierowe zapiski nie tylko istniały, ale też pełniły ważne funkcje. Tu gardzono informacjami w postaci elektronicznej. Wszystko było zapisywane, ponieważ, niezależnie od swojej wiary czy też niewiary w Boga, Roderick Rutherford z gorliwością neofity był wyznawcą dawnych czasów.

- W porządku. Nie może pan mi powiedzieć, z jakich materiałów on korzystał. Ale jeśli tu był, musi pan mieć jego podpisy. Musiał się podpisywać, wchodząc i wychodząc.

- Co do tego nie ma wątpliwości.

- Czy mogłabym więc zobaczyć ten rejestr? - Z trudem hamowała złość.

- Och, pani dziekan, to niemożliwe. Obawiam się, że to nie wchodzi w rachubę. Znowu wracamy do przepisu dwadzieścia dwa ce, który w pełni reguluje tę kwestię. Został przyjęty po pięciomiesięcznej debacie. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli prawo go zmieniać.

- Proszę, panie Rutherford. - Obiema dłońmi próbowała zasłonić się przed tą falą biurokracji. Archiwista umilkł, ale wyraz cierpienia nawet na moment nie ustąpił z jego twarzy. - Ja nie jestem jakąś zazdrosną studentką wydziału teologicznego, która pragnie się dowiedzieć, czy jej chłopak rzeczywiście danego wieczoru był w archiwum, czy nie. - Chociaż w swoim czasie odgrywała również tę rolę. - To jest związane z... no z tym, co się stało profesorowi Zantowi.

- Tak. To naprawdę wielkie nieszczęście.

- W takim razie rozumie pan, dlaczego...

- Czy dysponuje pani jakimś nakazem sądowym? Albo innym dokumentem wydanym przez sąd? - Spoglądał na jej dłonie, jakby próbował tam coś znaleźć. - A może jakimś upoważnieniem?

Pokręciła głową.

- Nie, ale jestem pewna, że pan rozumie...

- W takim razie bardzo mi przykro, pani dziekan. Chyba nie będę mógł pani pomóc.

Nagle naszła ją myśl.

- A gdybym przyszła tu z kierownikiem obrony kampusu?

- Rozumiem, że mówi pani o kierowniku ochrony. Kierowniku ochrony kampusu. - Kościsty palec wygniatał dołeczek w jego podbródku, a półprzezroczysta brew jeszcze głębiej się zmarszczyła. - Tak. Oczywiście. Niestety, pani dziekan, dopóki kierownik ochrony nie przyniesie odnośnego upoważnienia, również on odejdzie stąd z pustymi rękami. - Kręcił głową, jakby dla podkreślenia znaczenia swoich słów. - Bez nakazu sądowego. Bez upoważnienia. To zupełnie wbrew przepisom, pani dziekan. Naprawdę, powinna pani zwracać większą uwagę na przepisy.

Ostatnia próba. Schowała dumę do kieszeni.

- Panie Rutherford, pan wie, kim ja jestem. I wie pan, kim jest mój mąż.

- Oczywiście. I muszę powiedzieć, że zupełnie nie robi na mnie wrażenia to, co ludzie szepczą po kątach pod jego adresem.

- Tak, bardzo dziękuję. Tak. - Zebrała się w sobie. - Panie Rutherford, gdyby otrzymał pan bezpośrednio polecenie od rektora uniwersytetu, to pan...

Uniósł swoją kruchą dłoń, aby powstrzymać Julię.

- Pani dziekan, pozwoli pani, że wyprowadzę ją z powszechnego błędu. Obawiam się, że nie jestem pracownikiem pani męża. Podobnie zresztą jak i inni członkowie kadry uniwersyteckiej. Stanowisko rektora uniwersytetu jest bardziej, jakby to określić, honorowe niż kierownicze, przynajmniej w zakresie jego akademickiej misji. W każdym razie, jestem zmuszony w pełni przestrzegać przepisu dwadzieścia dwa ce.

Julia miała coś jeszcze powiedzieć, ale dostrzegła daremność podejmowanych prób. Przypominało to walkę ze źle zaprogramowaną maszyną. Lemaster uwielbiał biblioteki, książki i tradycję, ale Julia zdecydowanie wołała Internet. Odwróciła się i sztywnym krokiem ruszyła do wyjścia.

- Pani dziekan. - Tym razem głos był ciepły.

Nie chcąc już na niego patrzeć, rzuciła przez ramię.

- Tak, panie Rutherford.

- Proponowałbym pani dobrze przyjrzeć się przepisom. Może uda się pani znaleźć jakiś stosowny wyjątek.

Co za dużo, to niezdrowo. Cienka linia, dzieląca małostkowość od protekcjonalności, została już przekroczona. Ale kiedy Julia odwróciła się na pięcie, żeby w końcu pofolgować swojemu językowi, okazało się, że została sama na korytarzu.

II

Nakarmiła dzieci i Lemastera, zrelacjonowała wydarzenia dnia jako mało ciekawe, a potem ponownie wsiadła do escalade i pomknęła z powrotem w stronę Elm Harbor, wciąż jeszcze zirytowana i sfrustrowana po konfrontacji z Rodem Rutherfordem. Tuż po siódmej trzydzieści dotarła do domu Kimmer Madison, mieszkającej w pięknej starej wiktoriańskiej posiadłości na Hobby Hill, gdzie tymczasowy komitet, którego zadaniem miało być przygotowanie neutralnego oświadczenia na temat aborcji, zebrał się na zwołane na poczekaniu pogaduszki i degustację wina, w celu rozważenia możliwości zabrania się za jakąś pracę. Julia wniosła wkład w postaci zgrabnej butelki Saint-Hilaire Blanquette de Limoux, otrzymanej w prezencie od Mony, zagorzałej wielbicielki wszystkiego, co francuskie. Kimmer i Regina Thackery wymieniały plotki o innych kobietach, a ich oczy uwagi o Julii. Z rzucanych tu i ówdzie w ciągu ostatniego tygodnia aluzji odgadła, że wśród tutejszych Siostrzanych Dam rozeszła się jakaś wersja opowieści o jej spotkaniu z Bruce'em Vallelym, i teraz po raz pierwszy w życiu przyszło jej na myśl, że Lemaster ma szczęście, należąc do wymierającego męskiego klubu, zrzeszającego tylko czterystu członków, a nie do Biedronek, których oddziały trzepoczą po całych Stanach Zjednoczonych, a także w szesnastu innych krajach. Julia patrzyła w te ich ciekawskie oczy i zastanawiała się, co takiego te kobiety mogły słyszeć. W związku z tym, że nikt jej nic wprost nie powiedział, nie miała pojęcia, ile błędnych przypuszczeń może krążyć po okolicy. Kiedy tak jednak siedziała wygodnie na sofie i prowadziła dyskusję o polityce Waszyngtonu i ostatnich filmach, przy dochodzących z pierwszego piętra hałaśliwych odgłosach truchtania sześciolatniego syna Kimmer, Julia zbyt mocno czuła się członkiem rodziny Veazie, żeby zapytać wprost.

Siedziała więc i cierpiała, nie mogąc pozbyć się z głowy pewnego pomysłu, który przez cały dzień nie dawał jej spokoju. Od czasu do czasu ukradkiem spoglądała na zegarek, ale dopiero przed dziesiątą mogła wyjść, nie wzbudzając podejrzeń. Pomogła chwiejącej się na nogach Reginie Thackery przejść po śliskiej alejce przed domem. Zaczął padać deszcz ze śniegiem.

- Dojedziesz do domu?

- Wypiłaś tyle, co ja - oskarżycielskim tonem odezwała się wyraźnie rozgniewana Regina.

Julia ukryła uśmiech. W rzeczywistości sama piła bardzo ostrożnie i udało się jej ograniczyć spożycie alkoholu do jednego kieliszka wina musującego, co wystarczyło, żeby nabrać animuszu bez osłabiania zdolności do prawidłowej oceny sytuacji.

- Wydaje mi się, że idę prosto - zauważyła.
- To idź w swoją stronę, a ja w swoją.
- Może cię podwieźć?
- Nie musisz wszystkim matkować, Julio.

Regina odepchnęła ją, ale siła reakcji - przed czym Julia, jako była nauczycielka nauk ścisłych, mogłaby koleżankę przestrzec - zadziałała z dokładnie taką samą wartością, tylko w przeciwną stronę. Regina wyróciła się na trawę. Julia próbowała pomóc jej wstać, ale młodsza kobieta odrzuciła jej wyciągniętą dłoń.

- Mało ci kłopotów, jakie już masz ze swoją córką?
- Choć boleśnie dotknięta, Julia dzielnie się nie poddawała.

- Ja po prostu martwię się o ciebie.

- Kochana, tu jest Ameryka. - Z ogniem w oczach Regina stanęła na nogach. Niezbyt pewnie, co do tego nie było wątpliwości, ale zdecydowanie stała. - Nie będziesz mi mówić, co mam robić. Trzymaj się swoich zasad, jasne? A ja będę się trzymać swoich.

Zaskoczona, Julia nie zabrała przyjaciółce kluczyków, jak to wcześniej planowała, i nie przeszkodziła jej wpakować się do acury RL i odjechać oblodzoną drogą. Stała w miejscu, patrząc za odjeżdżającą Reginą. Ten jej ostatni, wściekły zarzut, jakby otworzył przed Julią nowe drzwi.

- Och, Kellen - odezwała się Julia do mroźnego powietrza. - Och, Kellen, ty cholerny spryciarzu.

Wsiadając do escalade, pamiętała, żeby odmówić krótką modlitwę za bezpieczeństwo Reginy, na wypadek gdyby ktoś jednak wysłuchiwał modlitw. Przede wszystkim koncentrowała się na swoim celu i na bezczelnej absurdalności tego pomysłu, który zamierzała właśnie wcielić w życie.

Zasady, pomyślała sobie. Nadszedł czas ustanowić własne zasady.

III

Śnieg z deszczem zamienił się w śnieg. Noc była bezksiężycowa. Julia wysiadła z samochodu w złowieszczym cieniu wieżowca Hillimana, gdzie w kilku biurach paliło się jeszcze światło, chociaż było już wpół do jedenastej. Za pomocą karty magnetycznej otworzyła boczne drzwi do Keplera i wchodząc do środka, zastanowiła się, czy Kellen przychodził tu o tak późnej porze, kiedy potrzebna była znajomość cyfrowego kodu dostępu do wejścia, oraz kto mu taki kod udostępnił. Chyba zwariowałaś, upomniała samą siebie głosem Mony. Zupełnie

zwariowałaś. Teraz już wiadomo, po kim ma to Vanessa. Z pewnością cię zamkną.

W słabo oświetlonym korytarzu jej kroki odbijały się echem przypominającym zatraskiwanie drzwi do celi. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była w szkole teologicznej o tak późnej porze, i wątpiła, żeby kiedykolwiek o takiej godzinie mogła być tu samotnie. W swoim gabinecie podlała kwiatki, pogmeraała przy idealnie uporządkowanym biurku i zabrała kilka notatek, które miała przejrzeć przed jutrzejszym spotkaniem z Iris Feynman, te dokumenty wcześniej celowo pozostawiła, aby mogły stanowić wymówkę dla jej powrotu, na wypadek gdyby ktoś zauważył jej obecność albo sprawdził cyfrowe zapisy.

Powróciwszy na korytarz, spotkała trójkę wyczerpanych studentów, którzy ogólnikowo dyskutowali o Kierkegaardzie, równie jak ona sama zdumionych obecnością prodziekana do spraw studenckich o tak późnej porze. Wesołym głosem życzyła im dobrej nocy i ostentacyjnie opuściła budynek. Włożywszy notatki do samochodu, rozejrzała się dookoła i następnie, nie dając sobie czasu do namysłu, ruszyła przez śnieg, tym razem nie do bocznego wejścia, lecz na tyły budynku, gdzie pod oknami opuszczonego klubu wciąż leżały sterty odgarniętego śniegu. Nie zważając na ogarniający jej nogi chłód, kucnęła przy starych ceglach i znalazła to, czego szukała, czyli szyb prowadzący do piwnicznych okien.

Do tych okien, które widziała wysoko u góry, kiedy siedziała w biurze Roda Rutherforda.

Z punktu widzenia archiwisty, okna były zaplombowane i zakratowane, ale w związku z tym, że kilkoro studentów obrało sobie panią prodziekana do spraw studenckich za spowiednika, parę miesięcy temu pewna młoda kobieta usiadła w gabinecie Julii i zobowiązawszy ją najpierw do zachowania tajemnicy, wyznała, że kiedyś późną nocą wślizgnęła się do archiwum, żeby pomazać portret byłego profesora oskarżonego o napastowanie seksualne.

- Jak się tam dostałaś? - zapytała Julia, nie mogąc wyjść z podziwu dla tupetu dziewczyny.

Studentka wytłumaczyła jej, jak to było. Pracowała w archiwum, żeby opłacić naukę, i kiedy wypełniała blankiety w biurze Roda Rutherforda, zauważyła, że śruby przy niektórych prętach były obluzowane. I potem, kiedy tylko zostawała sama w biurze, wchodziła na krzesło i przez kilka minut nad nimi pracowała. Kamieniarka miała już ze sto lat, pręty mogły o połowę mniej i poluzowanie ich nie przedstawiało najmniejszego problemu. Zostawiła je tak, żeby nie było widać, że ktoś przy nich majstrował, i następnie podważyła zasuwki, dzięki czemu nie dało się ich dobrze zamknąć, ale z dołu niczego nie było widać.

- I to wszystko tylko po to, żeby dorysować wąsy biednemu profesorowi Millikanowi?

- To nie były wąsy.

Nic dziwnego, że Roderick Rutherford wysłał portret do czyszczenia, nikomu słowem o tym nie wspominając.

Czy bibliotekarz zauważył to potajemne wejście swojej stażystki? Najwyraźniej nie, bo kiedy Julia nachyliła się w głąb szybu i pchnęła, okno otworzyło się z trzaskiem. Rozejrzała się na boki, po czym zsunęła w głąb szybu. Śnieg oblepiał jej eleganckie botki. Tak oto, nie zważając na konsekwencje, Julia poszła za radą usłyszaną kiedyś na Broadwayu. Bo kiedy Regina marudziła o tym, że należy postępować według własnych zasad, Julia przypomniawszy sobie o Elphabie, antybohaterce musicalu *Wicked*, która śpiewała, że ma już dość postępowania zgodnie z zasadami innych ludzi i że nadszedł czas zamknąć oczy i skoczyć.

Po tak długim i spokojnym małżeństwie z przyjemnością ponownie podjęła ryzyko.

Zamknęła oczy i skoczyła...

IV

...i zwała się jak kłoda, o mało nie uderzając głową w segregator i błyskawicznie zdając sobie sprawę z popełnionego błędu. Nie zabrała latarki. Nie pomyślała też wcześniej, jak się stąd wydostanie, i spoglądając teraz w górę na zwisające okno, zastanawiała się, czy w piekle jest zarezerwowany specjalny kąt dla ostatnich głupków. W bijącym z okna łagodnym blasku śniegu znalazła przełącznik i włączyła światłówki, doszedłszy do wniosku, że nikt nie będzie stał za budynkiem wydziału teologicznego i zaglądał w podziemia, żeby sprawdzić, czy światła są włączone, a już na pewno nikt z osób, które wiedziały, że archiwum jest zamykane i alarm jest włączany o siedemnastej trzydzieści, przez sześć dni w tygodniu, ponieważ siódmego dnia pan Rutherford odpoczywa.

Zastanawiało ją też, czy można nazwać to włamaniem, jeśli wślizgiwała się do zamkniętego budynku biblioteki, do której miała pełne prawo wejść przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Mniejsza o to.

Ruszaj śmiało.

W biurze Roda Rutherforda wszystkie szafki były pozamykane, ale Julii nie chodziło o jego kartoteki. Przeszła do gabinetu. Pomieszczenia archiwum były pozamykane na noc, ale również one nie stanowiły celu jej wizyty. Nie dzisiejszej nocy. Po podziurawionym linoleum przeszła do klitki pani Bethe, w której asystentka pana Rutherforda układała rewersy

biblioteczne w stojących za jej biurkiem długich szarych pudłach. Pudła były starannie poukładane, ale zupełnie niechronione, i Julia szybko je przejrzała.

Nie znalazła rewersu Kellena wystawionego w ostatnią noc jego życia.

Zmarszczywszy brew, sprawdziła jeszcze raz, kartka po kartce, praca nie była specjalnie trudna, ponieważ z archiwów wydziału teologicznego, niegdyś przedmiotu dumy Keplera, obecnie rzadko korzystano.

Julia sprawdziła cały listopad i cofnęła się do października.

W końcu udało się jej, gdzieś w środku miesiąca, znaleźć rewers z nazwiskiem Kellena. Uniosła go i przyjrzała się mu, potem jeszcze raz sprawdziła, chcąc mieć pewność, że widnieje tam nazwisko Zanta. Cofając się dalej, coraz szybciej, znalazła jeszcze kilka rewersów, na wszystkich wypisane były dokumenty z tego samego zbioru. Tom taki a taki, folio takie a takie, pochodzi z materiałów Merrila Barnes'a Joule.

Rok temu z tego samego zbioru korzystała Julia, pisząc swoją tragiczną pracę semestralną.

Julia usiadła ciężko na biurku, rozglądając się niewidzącymi oczami po niskim pomieszczeniu, a szum urządzeń klimatyzacyjnych ginał w huku krwi pulsującej w jej głowie.

Teraz już była pewna, czego dotyczyło to całe zamieszanie, czego chciała Astrid i Cameron Knowland, a także Tony Tice i Mary Mallard. Wiedziała już, jakąż to nadwyżkę starał się Kellen przechwycić i jakim ryzykiem zapasów tak bardzo chciał się podzielić. Jej podejrzania się potwierdziły. W chwili śmierci Kellen Zant prowadził dochodzenie w sprawie śmierci Giny Joule.

I bez względu na to, co o tym sądziła Vanessa, Kellen uważał, że jego odpowiedź ujawni prawdę o wyborach.

Rozdział 29

Inwestor

I

Lemaster Carlyle należał do ludzi, którzy woleli kolekcjonować znajomych niż przyjaciół, ale Marlon Thackery, mąż Siostrzanej Damy Reginy, był mu bliski jak nikt inny w Harbor County. Marlon odnosił sukcesy, prowadząc finanse w nowojorskiej firmie, i jeszcze przez poprzednika Lemastera został zatrudniony do zarządzania uniwersyteckimi darowiznami. Był mężczyzną wysokim, wyższym od Bruce'a Vallely'ego, ale tak chudym, że z przerażeniem patrzyło się na niego, w obawie, że najmniejsze niemiłe słowo może złamać go na pół, i tak beznadziejnie skromnym, że mijając go na terenie kampusu, kiedy zgarbiony, ze spuszczoną głową snuł się w swoich sprawach, można było wziąć go za afroamerykańskiego przedstawiciela klasy robotniczej spieszącego do pracy gdzieś w jakichś podziemiach; w każdym razie, cokolwiek by o nim powiedzieć, z pewnością nie rzucał się w oczy. Nawet w swoim jasnym, nowoczesnym biurze mieszczącym się w szklanym wieżowcu, w centrum, ze wspaniałym widokiem na plażę i ocean, wyglądał jak intruz siedzący za nie swoim biurkiem, a Bruce tylko czekał, kiedy przyjdzie szef i zajmie jego miejsce.

- Lemaster kocha swoją żonę - powiedział Marlon, nie odrywając wzroku od szklanego blatu biurka. - Skąd pomyśl, żeby podawać to w wątpliwość? - Mówił głosem ledwo głośniejszym od szeptu, ale nie było najmniejszej wątpliwości, że ten mężczyzna to geniusz finansów. Na półkach widać było porozstawiane golfowe trofea, a resztę miejsca zajmowały zdjęcia jego pięknej żony i trzech anielskich córek, zrobione w przeróżnych okresach ich życia, więc prawdopodobnie nie mógł spędzać całego czasu tak zamknięty w swojej skorupie. Powiadano, że jest wspaniałym ojcem. - To naprawdę dziwaczne pytanie.

- Nie powiedziałem, że nie kocha swojej żony. Zapytałem, jak on i jego żona się spotkali.

- I właśnie to wydaje mi się dziwnym pytaniem.

- To tylko zbieranie informacji o przeszłości profesora Zanta. Nic więcej. Proszę, panie Thackery. Proszę mi odpowiedzieć.

Zarządca finansowy wciąż nie był w stanie podnieść wzroku. Przez cały czas strzelał oczami w kierunku kilku widocznych monitorów, ale Bruce nie mógł odgadnąć, co oznaczają widoczne tam wykresy i cyfry. Przez stale otwarte drzwi co jakiś czas wpadali służalczy podwładni, przynosząc jakieś niesamowicie ważne notatki służbowe. Półprywatna firma zajmująca się rachunkami inwestycyjnymi uniwersytetu zatrudniała trzydziestu sześciu pracowników na dwóch piętrach, ale w końcu siedemnaście miliardów dolarów to sporo pieniędzy.

- Lemaster to dosyć trudny człowiek - rzekł w końcu Marlon Thackery.

- A Julia to Julia. Ona jest kochana. Wszyscy o tym wiedzą. Lemaster jest człowiekiem skoncentrowanym. Opanowanym. Potrafi skupić się na tym, co ważne. Jest imigrantem - dodał, jakby to miało wszystko tłumaczyć. - Dorastał w biedzie, teraz świat ma u swych stóp. Prawo. Polityka. Obie partie starają się pozyskać go dla siebie i chcą, żeby ubiegał się o jakiś urząd. Senatora. Gubernatora. Czy zdaje pan sobie sprawę, ilu łowców głów dzwoni do niego co miesiąc? Ile banków inwestycyjnych? Mógłby być dyrektorem naczelnym... Mniejsza o to. On to wszystko potrafi utrzymać w ryzach, bo sam siebie potrafi utrzymać w ryzach, a siebie potrafi utrzymać w ryzach dzięki temu małżeństwu. I choć Julia może nie zawsze zdaje sobie sprawę, że jest dla niego opoką, to tak właśnie jest. To małżeństwo jest dla niego wszystkim, bez niego nie byłby w stanie nic zrobić.

Bruce miał wrażenie, że wyczuwa w jego słowach jakiś podtekst, ale już po chwili pomyślał, że mu się to tylko przywidziało.

- Powiedział pan, że małżeństwo jest dla niego wszystkim. Nie Julia. Właśnie małżeństwo. Jakby był to jakiś symbol.

- Myślałem o Julii.

Nie, wcale tak nie myślałeś.

- Poznali się na studiach - powiedział Bruce.

- Na studiach teologicznych. Zgadza się. Lemaster był zastępcą prokuratora stanowego, wtedy się poznaliśmy, a potem prawnikiem na Wall Street. Zrezygnował, objechał świat, rok spędził w Afryce, pojechał na swoje Barbados, wrócił, popracował jako ochotnik na Brooklynie, a potem przyszło mu na myśl, że być może chciałby zostać księdzem kościoła episkopalnego. Zapisał się do Keplera, poznał Julię, porzucił studia, ożenił się. Został wykładowcą na wydziale prawa. Wędrówka się zakończyła. Lemaster się ustatkował. A potem to już sam pan wie, urząd sędziowski, Biały Dom i to wszystko.

To było już wszystko. Musiało być.

- Kiedy pan mówi, że się ustatkował...

- Chodzi mi o jego karierę. Momencik. - Postukał w klawisze, kliknął myszką. -
Przepraszam. Tym musiałem pilnie się zająć.

- Tylko o jego karierę?

- A o co jeszcze?

- A jego życie osobiste? Przed Julią musiały być jakieś inne kobiety.

- Oczywiście - odrzekł Marlon, z zaciśniętymi wargami, już w pełni skoncentrowany, a Bruce zorientował się, że zbliżył się do sedna tego, co było tak chronione.

- Ile miał lat, kiedy poznał Julię? Trzydzieści? Jak długo wcześniej pan go znał?

- Jakies pięć lat. Może sześć.

- Czy miał wiele kobiet?

I znowu powrót do klawiatury. Z pewnością gdzieś dochodziło do wahań kursów. Marlon Thackery ze wzrokiem przylepionym do ekranu odparł półgębkiem.

- To naprawdę nie jest pańska sprawa.

- Czy to znaczy, że pan mi nie powie?

- Tak. To właśnie to znaczy.

Gdyby to dochodzenie było oficjalne, albo też gdyby Marlon Thackery nie był tak ważną osobistością, Bruce mógłby starać się go zastraszyć. Ale rzeczywistość była taka, a nie inna. Spojrzał na rozpościerającą się za oknem wodę i postanowił obrać bardziej delikatny kurs.

- Powiedział pan, że Lemaster ustatkował się po spotkaniu Julii. Mówił pan, że wcześniej wędrował...

Fotel wykonał powrotny obrót.

- On już nie wędruje. Nigdy nie oszukałby swojej żony. Nie ten Lemaster, którego znam. Proszę nawet nie sugerować takich rzeczy. Szczerze mówiąc, mówienie czegoś takiego jest rzucaniem oszczerstw. Nie zdziwiłbym się, gdyby można było to zaskarżyć. Pan nie występuje tu jako osoba oficjalna. Nie może pan tym się zasłaniać.

- Ja nic takiego nie powiedziałem. Ale zastanawia mnie, dlaczego pan tak szybko temu zaprzecza. Pytam pana, jak on poznał swoją żonę, a pan odpowiada, że on skończył już z wędrownkami. Mówi mi pan, że Julia jest dla niego opoką. - Bruce otworzył nową stronę w notesie, ale tylko dla efektu. - Z pana słów rozumiem, że jego życie towarzyskie przed spotkaniem Julii było bardziej... złożone. Czy tak może być?

Chwila ciszy.

- Złożone. Zgadza się.

- Przez te pięć czy sześć lat, kiedy pan go znał, zanim oni się spotkali?

Dłuższa pauza.

- Tak sędzę.

- Czy wie pan, z kim chodził na randki w college'u?

- Czy to rzeczywiście ma jakiś związek z tym, co się stało Kellenowi Zantowi? - Senne oczy na moment błysnęły ogniem. - A może to jakaś pańska prywatna wojna?

- Proszę mi odpowiedzieć - ponaglił Bruce, z trudem się opanowując, a szept Grace dodawał mu otuchy. - Zdaję sobie sprawę, że może to się wydawać dosyć odległe.

- Odległe to mało powiedziane, to zupełnie inna galaktyka.

- A co było w Waszyngtonie? Kiedy półtora roku spędził w Białym Domu?

- A co miało być?

- Jego rodzina została tutaj. Czy pan wie, dlaczego?

- Podejrzewam, że nie chcieli komplikować dzieciom edukacji. Co to w ogóle za pytanie? Bruce, musi pan uważać. Bardzo uważać. - Rozległ się jakiś brzęk i Thackery z powrotem odwrócił się do ekranu komputera. - Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę, że poinformuję Lemastera o tej rozmowie - rzucił półgębkiem. - Chciałbym, żeby to było jasne.

- Oczywiście - odparł Bruce, który niczego innego się nie spodziewał. Być może nawet chciał trochę zdenerwować rektora przed nieuchronną rozmową z nim. Teraz jednak Thackery miał rację. Bruce nie występował już oficjalnie i musi zachować ostrożność. - Nawet nie próbowałbym prosić pana o nic innego.

- To dobrze. Bo nie zgodziłbym się. - Kolejna długa chwila oczekiwania, po której Marlon Thackery udzielił odpowiedzi na inne pytanie. - W tym okresie go nie znałem, ale chyba spotykał się z młodą kobietą z uniwersytetu katolickiego. To, oczywiście, było na długo przed spotkaniem Julii. - Jego niewesołe oczy ponownie się uniosły. - Ta rozmowa zaczyna być krępująca, Bruce. Dlaczego tak interesuje pana, co Lemaster robił w college'u? Czy też z kim? Najpierw Kellen Zant, a teraz pan.

- Czy chce pan powiedzieć, że Kellen Zant pytał pana o...

- Bruce, niech pan posłucha. Rozmawialiśmy o panu z Lemasterem. On nie jest pewien, co pan kombinuje. A ja również nie za bardzo wiem, co pan kombinuje. I mam też wrażenie, że pan sam nie za bardzo wie, co pan kombinuje. Ale powiem panu jedno. Z takim człowiekiem jak Lemaster Carlyle się nie zadziera. I wie pan, co jeszcze? Z taką kobietą jak Julia Carlyle też się nie zadziera. Bruce, oni nawzajem się chronią. I to zaciekle. Ochraniają swoją rodzinę. Naprawdę zaciekle.

- Co chce mi pan przez to powiedzieć?

- Ja żyję z analizowania liczb i stawiania prognoz. Zastanówmy się więc. - Nachylił

się nad nieskazitelnie czystym biurkiem. Komputer zapiszczał, ale on to zignorował. - Kuzynka Lemastera sprawia kłopoty i już jej nie ma. Cameron Knowland sprawia kłopoty i mówiąc między nami, ma problemy z Białym Domem, a może nawet rozważa możliwość ustąpienia ze stanowiska Starszego Członka Zarządu. Anthony Tice sprawia kłopoty i jak słyszałem, palestra przygląda się jego postępowaniu w kilku sprawach. Ja tylko pana ostrzegam. Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

Bruce się podniósł. A Kellen Zant też sprawiał kłopoty, krzyknął, ale nie do końca na głos.

II

Powróciwszy do swojego biura, Bruce patrzył na śnieżną zawieruchę i próbował uporządkować sobie wszystko w głowie. Trudno było mieć nadzieję, że słowa „Gina Joule” mogłyby wypsnąć się Marlonowi Thackery’emu. Ale ta wizyta nie poszła na marne. Finansista ostrzegał, że Lemaster może pozwać go do sądu, dał też do zrozumienia, że Bruce może stracić pracę. A Marlon był już drugą osobą, a może nawet trzecią, która ostrzegała go przed tym, co dzieje się z ludźmi, którzy narazili się Lemasterowi Carlyle. Nikt z nich jednak nie wspominał o użyciu siły, mówiono tylko o bezwzględny wykorzystaniu wpływów, kontaktów czy też innych możliwości, które akurat są pod ręką. Linia dzieląca nakłonienie palestry adwokackiej do przyjrzenia się prawnikowi, który nieustannie dręczy twoją żonę, i wynajęcie zabójcy, który miałby zająć się jej dawnym kochankiem, była tak wyraźna, że aż trudno sobie wyobrazić wyraźniejszą. Nikt nie przekraczał jej przypadkiem.

Odłożył notes i zaczął sprawdzać wiadomości. Jeden z funkcjonariuszy uszkodził sobie nadgarstek podczas gry w koszykówkę i najprawdopodobniej nie będzie mógł stawić się na służbie jutrzejszego wieczoru, kiedy Bruce, w związku z rozgrywkami hokeja, zamierzał wysłać trójkę funkcjonariuszy na znajdujące się na terenie kampusu lodowisko. Będzie musiał znaleźć kogoś innego. Na lodowisku ważne było, żeby umieć zapanować nad tłumem, a z kolei na zewnątrz istotne było kontrolowanie ruchu ulicznego. Na szczęście w wieczory, kiedy odbywały się mecze hokejowe, miasto zabraniało parkowania przy całej Town Street, a...

Zaraz, zaraz.

Z powrotem wyciągnął swój notes i otworzył go na pierwszej stronie.

Zeznanie Nathaniela Knowlanda: znaleźliśmy się na Town Street jakieś piętnaście po ósmej, może wpół do dziewiątej, mniej więcej wtedy. Właśnie staliśmy na ulicy i

zastanawialiśmy się, co mamy teraz robić, kiedy zobaczyliśmy ten samochód. To złote audi, to, w którym zabito Zanta, stało tam zaparkowane na ulicy.

To niemożliwe. To audi nie mogło stać zaparkowane na Town Street, z pewnością nie po siódmej trzydzieści, kiedy rozpoczynał się mecz. Było to niemożliwe, ulica przez całą noc była patrolowana przez policjantów, a w ciągu pięciu minut mógł przyjechać samochód, który odholowałby źle zaparkowane auto.

Nathaniel Knowland kłamał w żywe oczy.

Jeśli gdzieś widział Kellena Zanta - jeśli rzeczywiście ten młody człowiek w ogóle widział profesora - z pewnością nie było to na Town Street, kiedy ten wsiadał do swojego audi.

Trevor Land, po reprimendzie od tatusia Nate'a, ostrzegł Bruce'a, żeby w przyszłości starał się trzymać z daleka od tego świadka, Bruce nigdy jednak nie przywiązywał zbytnej wagi do ostrzeżeń. Sięgnął po telefon, ale automatyczna sekretarka Nate'a Knowlanda poinformowała go, że rozpuszczony mały bogacz wyjechał już na ferie.

Rozdział 30

Ponownie Old Landing

I

Postanowiła jeszcze raz odwiedzić Franka Carringtona i to nie tylko dlatego, że lubiła go nie mniej niż wszystkich pozostałych kupców przy Main Street, a on sympatyzował z mniejszościami i rozmawiał z Kellenem trzy dni przed jego śmiercią, ale przede wszystkim dlatego, że pamiętała o pewnym fakcie z przeszłości Franka - a kiedy go ostatnio odwiedziła, zachowywał się dosyć nerwowo.

Julia miała wrażenie, że wie, dlaczego tak było.

Na razie oboje udawali, że Julia przyszła z normalną wizytą. Na zapleczu sklepu wciąż znajdowało się kupione przez Kellena stojące lustro, ale teraz Frank umieścił na wystawie ładne lustro z początków dziewiętnastego wieku, w tak zwanym federalnym stylu, z okresu początków państwa amerykańskiego, z malowanym żeglarskim wzorem, identyczne jak to, które widziała i podziwiała w książce o muzeum w posiadłości Winterthur. Prosiła Franka, żeby rozejrzał się dla niej za czymś takim.

- Przez lata było w prywatnych rękach - powiedział Frank, rozpakowując lustro na blacie. - Moją klientką jest córka właścicielki. Matka zmarła, a ona sprzątała dom. Bardzo cenne - skłamał.

- Uhm.

- Zależy jej na szybkiej sprzedaży. Z pewnością można się targować.

- Tak, na pewno. - Czuła na sobie jego wzrok, kiedy oglądała lustro. Znowu ręce mu drżały. Tak było zawsze, ale dzisiaj ten ruch wydawał się jej intensywniejszy. Choroba? Podenerwowanie? Na coś czekał. Czasami wydawało się jej, że Frank nazbyt bacznie się jej przygląda, i właśnie dziś miała takie wrażenie. Zignorowała to jego spojrzenie. Zauważywszy patynę, zapytała, czym lustro było czyszczone. Niestety, Frank tego nie wiedział. Wskazawszy na delikatny lekki retusz malarski na białej dębowej ramie, zapytała, czy to oryginalne malowanie. Niestety, Frank nie umiał jej pomóc. Jak sam często oświadczał z pełną dumy skromnością, nie był człowiekiem wykształconym, ale od lat pracując w tym

biznesie, nauczył się niczego nie interpretować ani niczego nie gwarantować. Klient wchodził do jego sklepu, sam oglądał towary i dostawał to, co widział. A jeśli nie miał dobrego oka, to już jego problem.

- Wydaje mi się, że to było pomalowane w późniejszym czasie. - Podejrzliwie, nieufnie. Chciała to lustro. Chciała też uzyskać odpowiedzi. Czasami w życiu faktycznie chodzi o uzyskanie jednego i drugiego.

- Trudno mi powiedzieć.

- Cena powinna być niższa.

- Jeśli tak uważasz.

Dokonała szaleńczych obliczeń i zgodnie z naukami babci Vee, podała ostateczną cenę - „nigdy się nie targuj”, uczyła ją Amaretta. „Grzecznie przeproś i odejdz, ale odejdz. W ten sposób człowiek pozostaje bogaty”. Tylko przy Kellenie Julia nie potrafiła zważyć na tę radę. Nie potrafiła odejść. Dopiero Tessa musiała ją odciągnąć. Ale tym razem - obiecała sobie - tym razem rozstanie się z Kellenem. Rozstanie się z nim. Tak sobie obiecała.

Gdy tylko uzyska kilka odpowiedzi.

Frank zaczął opowiadać o innych klientach i wysokich kosztach, ale Julia była nieustępliwa, aż w końcu się ugiął, ponieważ on, podobnie jak i ona, zdawał sobie sprawę, że cena jest uczciwa.

Kiedy już ściskali sobie dłonie, Julia, starając się mówić jak najswobodniej, zapytała:

- Podobno byłeś kiedyś gliniarzem?

- Zastępcą szeryfa - odparł od razu, nie podnosząc wzroku od czytnika kart kredytowych, działającego przez łącza komutowane. - Ale to było dawno temu.

- Trzydzieści lat temu.

Chwila ciszy.

- Mniej więcej.

- Kiedy Gina Joule...

Odwrócił się na pięcie, jak figura na cokole trzymająca dłonie złożone do modlitwy.

- Podpisz tu, proszę - powiedział. Ręce mu drżały.

- Chciałam tylko zapytać...

- Wiem, o co chcesz zapytać.

- Frank...

- My o tym nie rozmawiamy.

- Kto o tym nie rozmawia?

Oderwał odcinek rachunku i podał go jej.

- Julio, ty tu jesteś przyjezdna. Nie należysz do starych mieszkańców Landing. Ale ja cię lubię. Lubię twoją rodzinę. Cieszę się, że tu jesteście. I sama wiesz, że moim zdaniem potrzeba nam tu mniejszości. Ale są pewne rzeczy - zerknął w kierunku przedniej części sklepu, gdzie miesiąc temu Jeannie rozbiła porcelanowy dworzec kolejowy, ale dzisiaj Julia była sama - o których nie jest bezpiecznie rozmawiać.

- Nie jest bezpiecznie?

- Ja nie należę do ludzi odważnych - dodał Frank i na dowód tego znowu spuścił głowę.

Julia stanęła tuż przed nim i zasłoniwszy mu widok, zmusiła go, żeby na nią spojrzeć.

- Posłuchaj mnie, Frank. Powiedziałeś, że wiesz, po co tu przyszedłam. Przyszedłam tu z powodu Giny. Z powodu tego, co wydarzyło się tamtej nocy. Byłeś policjantem. Zastępcą szeryfa. Przystępność w Landing nie jest szczególnie wysoka. Musiałeś pracować nad tą sprawą. - Patrzył na nią nieufnie. - Wszyscy mówią, że zrobił to DeShaun Moton. Ale widząc teraz twoją reakcję, podejrzewam, że ty nie jesteś o tym przekonany. - Cofnął się bezwolnie i pokręcił głową, nie przecząco, raczej w geście odmowy. Julia chwyciła go za ramiona, jakby chciała wytrząsnąć z niego odpowiedź. - Frank, proszę. To nie jest czysta ciekawość. To jest... to jest naprawdę ważne. Muszę to wiedzieć.

Zawahał się, przez chwilę przygryzał dolną wargę, widać było, że dręczy się, nie mogąc podjąć decyzji, aż w końcu podszedł do drzwi i odwrócił wiszącą tam tabliczkę z napisem „OTWARTE” na drugą stronę, gdzie widniał napis „ZARAZ WRACAM”. Następnie gestem zaprosił ją do pokoju na zapleczu. Julia, widząc, że on robi to wszystko, czego nie należy robić, jeśli nie chce się ściągnąć na siebie uwagi, zaczęła martwić się, jakież to nieszczęsne plotki mogą roznieść się po plotkarskim miasteczku, ale ruszyła za nim.

II

Usiedli przy stole roboczym, popijając kawę. Przez pękniętą szybę w oknie wślizgiwał się chłodny wiatr, ale Frank Carrington, typowy skąpiec z Nowej Anglii, nie miał zamiaru podkręcać ogrzewania. Po prostu trzeba nosić dodatkowy sweter.

Od razu przeszedł do rzeczy, jak oporny pokutnik, który nagle postanowił wszystko wyznać.

- Masz rację, Julio. Pracowałem nad sprawą Joule. Wszyscy tym się zajmowali. Pomyśl tylko. Całe służby policyjne składały się wówczas z posterunkowego, trzech jego zastępców i dwóch dyspozytorów. Oprócz nas byli stanowi i kilku śledczych wypożyczonych

nam z miasta. Zaczęły się naciski. Polityczne. Gazety. Wtedy nie było tu tylu profesorów. Miasteczko było... biedne. Stały, oczywiście, te wielkie domy nad wodą, ale większość mieszkańców to byli rolnicy, a na Main Street było jeszcze kilku kupców. Znajdujemy się w pewnej odległości od miasta i wówczas nie było jeszcze mody na takie miejsca. Rozumiesz chyba problem. Zabito dziewczynkę? Córkę jednego z niewielu naszych facetów z uniwersytetu? Tak. Pojawiły się więc naciski. I to mocne. W tamtych czasach posterunkowym był stary Arnie Huebner, a Tommy Highsmith był jego szefem. Tommy był pierwszym radnym w Nowej Anglii już od czasu, kiedy Mojżesz zniósł z góry Synaj tablice z przykazaniami, i chyba zbliżał się do osiemdziesiątki, ale w tamtym okresie Landing było miasteczkiem Tommy'ego. Arnie codziennie do nas przychodził i opowiadał, jak Tommy mu się skarży. A jeśli chodzi o tych Joule'ów, tak, oni mieli niesamowite znajomości. Dzwonił gubernator, jacyś ludzie z Waszyngtonu... chyba rozumiesz. Oni naciskali Tommy'ego, Tommy naciskał Arniego, a Arnie naciskał nas wszystkich.

Pił już drugą filiżankę kawy. Julia ledwo zaczęła swoją pierwszą. Poczęstował ją klejącą się drożdżówką, która wyglądała, jakby również dotarła tu z Mojżeszem. Za oknem popołudniowy wiatr zamiatał wczorajszym śniegiem.

- A do tego lokalne naciski. Rektor uniwersytetu. Rodzina Landów. Gina była jedną z nich. I rodzina Whistedów.

- Whistedów? To tak jak ten senator Whisted?

- Oczywiście. Chyba wiesz, że wówczas senator był studentem. Trzeba przyznać, że jego rodzina miała w tym stanie bardzo duże znaczenie polityczne. Zdajesz sobie z tego sprawę. Możesz natomiast nie wiedzieć, że Merrill Joule był jego ojcem chrzestnym. Mał był blisko związany z rodziną Joule'ów. Bywał u nich na kolacji kilka razy w miesiącu. A po śmierci Giny był jednym z tych, którzy najgłośniej domagali się sprawiedliwości. Ileż on mógł wówczas mieć lat? Chyba ze dwadzieścia jeden. Sam organizował grupy poszukiwawcze, oczywiście, dopóki nie wypłynęło jej ciało. A potem, kiedy już ją znaleźliśmy, telefonował pięć razy dziennie, domagając się wszczęcia działań. Trwało to mniej więcej tydzień, ale potem ktoś go chyba powstrzymał.

- Powstrzymał go?

Odpowiedziało jej tylko wzruszenie zmęczonych ramion. Frank przełknął kolejną porcję kawy, zrobił kwaśną minę, a potem z takim niepokojem spojrzał w stronę witryny sklepowej, że Julia nieomal zaczęła spodziewać się wtargnięcia jakichś opryszków.

- W każdym razie przestał nas nękać. Tylko tyle wiem. Ale my dalej szukaliśmy. Szczerze mówiąc, nie robiliśmy nic innego, tylko pracowaliśmy nad sprawą Joule.

Pauza.

- W każdym razie tak wygląda oficjalna wersja. I może nawet jest częściowo prawdziwa. Chociaż, zgadza się, były naciski, i to bardzo silne. Ale to nie wszystko. Julio, sama wiesz, Landing... ty pewnie sądzisz, że to dosyć konserwatywne miasteczko, i rzeczywiście tak jest. Ale w tamtych czasach, o, wtedy to dopiero byliśmy konserwatywni. Lubię myśleć, że teraz jesteśmy konserwatywni w użyteczny sposób. Ale wówczas, cóż, opacznie rozumieliśmy konserwatyzm. I trudno byłoby mówić o tym w sposób pozytywny. - Handlarz antykami kręcił się w kółko, jakby stół zbyt go ograniczał, a pomieszczenie na zapleczu było za małe. Grzebał po półkach, zaglądając to tu, to tam, jakby gdzieś tam mógł znaleźć dalszy ciąg swojej opowieści.

- Ale oni nie chcieli wyjaśnienia tej sprawy. Po prostu. Oni nie chcieli, Julio. Skoncentrowali się na DeShaunie prawie natychmiast po jego zastrzeleniu. Już nie było nikogo innego. Tylko DeShaun. Pojawiły się jakieś plotki o jej chłopaku, ale my nie podjęliśmy tego tropu. Były też inne tropy, których nie sprawdziliśmy. - Frank w końcu znalazł sobie miejsce i teraz wymachiwał nogami, siedząc na ławce wciśniętej między parę maszyn do szycia, typowych modeli z Nowej Anglii, z których jedna mogła być, choć wcale nie musiała, oryginalną maszyną Shaw & Clark z rodzaju „zamknięty filar”. - My skupiliśmy się wyłącznie na DeShaunie. Tak nam polecono i tak też zrobiliśmy. Posterunkowy Huebner wściekał się, co prawda, na to wszystko, ale co on mógł zrobić? Posada posterunkowego to bardzo atrakcyjne stanowisko, zwłaszcza w takim małym miasteczku jak nasze, gdzie zupełnie nie ma przestępczości. Dał więc sobie spokój.

- Kim byli oni? - zapytała Julia.

- Oni?

- Powiedziałeś, że to oni nie chcieli wyjaśnić sprawy. Powiedziałeś też, że oni wydali wam polecenie. Zakładam, że ci sami oni powiedzieli posterunkowemu, co ma robić. Kim byli oni?

Słowa wydobyły się z jego ust beznamienne i płaskie, jakby musiały przedzierać się przez odporne wargi.

- Nie wiem. Nikt z nas tego nie wiedział. Ale były naciski. Wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę. A posterunkowy powiedział...

Znowu był na nogach, stał odwrócony w drugą stronę, przyciskając twarz do szyby.

- To był taki dzień, jak dzisiaj - powiedział Frank, a Julia w pierwszej chwili pomyślała, że on popełnia błąd logiczny *non sequitur*. - Śnieg padał tak intensywnie, jakby ktoś tam na górze siedział i go wysypywał. Siedzieliśmy w naszej kwaterze. Tak to

nazywaliśmy, chociaż to był tylko taki żart.

W rzeczywistości dysponowaliśmy małym kącikiem w podziemiach ratusza, gdzieś na zapleczu. Chyba akurat dochodziła czwarta, ponieważ właśnie przyszedłem na służbę. Był tam Arnie oraz Ralphie Nacchio - już nie żyje - i pełniąca tego dnia dyżur dyspozytorka, Cheryl Wysocki. Ona przeniosła się na Florydę. W każdym razie byliśmy tam tylko we czwórkę, a Arnie poszedł na to wielogodzinne posiedzenie. W końcu wynurza się z tej śnieżnej burzy i mówi nam, słuchajcie, to tyle, możemy odłożyć krzesła na stół. To był jeden z jego typowych zwrotów, oznaczający, że nasze poszukiwania się skończyły. Było to jakieś trzy lub cztery dni po zastrzeleniu tego czarnego chłopaka. Może raczej cztery. Wszedł do środka, ociekając wodą, i powiedział nam, że sprawa jest zakończona i że mamy powrócić do codziennych obowiązków. A Ralphie, bo Ralphie zawsze miał niewyparzoną gębę, zapytał, o jakie dokładnie obowiązki mu chodzi. Ponieważ to właśnie Ralphie słyszał pogłoski o tym jej chłopaku, z którymi stanowi policjanci niczego nie zrobili. I to Ralphie znalazł też jakieś inne tropy. Z niego był niezły glina. W każdym razie, Ralphie powiedział, że jeśli wyjaśnianie zabójstw nie należy do naszych obowiązków, to chyba nie powinniśmy pracować w tym zawodzie. Arnie obrzucił go tym swoim spojrzeniem, którym dawał rozmówcy do zrozumienia, że jest bezczelny. Jakby chciał cię chwycić i wyrzucić za okno. Arnie powiedział, że chyba ostatnio nie pojawiły się żadne informacje, żeby on podlegał Ralphiemu. W każdym razie Ralphie się zamknął. Bardzo szanowałem Arnolda Huebnera. Ale to była już przesada. Arnie był porządnym facetem, ale w tej sprawie wypełniał rozkazy, a te rozkazy cuchnęły. Możesz uznać, że brak mi odwagi moralnej. Nic nie powiedziałem, ale nie mogłem już pozostać w policji. Sześć miesięcy później... może siedem... zrezygnowałem. Ralphie odszedł w następnym roku. I to wszystko.

- Nie - odezwała się Julia, a jej analityczny umysł zapanował nad targającą nią wściekłością. - Nie, Frank. To nie wszystko.

- Ja nic więcej nie wiem.

- Nie wydaje mi się. Nadal nie patrzysz mi w oczy. Coś przede mną ukrywasz.

- Julio...

- Tu kryje się coś więcej. A Kellen Zant wiedział, co to jest, prawda? Może nawet zapytał cię o to, kiedy przyszedł tu kupić lustro.

Odpowiedziała jej cisza, ale zanim handlarz antykami ponownie odwrócił się w stronę okna, jego broda na moment powędrowała w górę.

- Daj spokój, Frank. Dlaczego mi to powiedziałeś?

- Bo nadszedł już czas, Julio. Nadszedł czas, żeby położyć kres kłamstwom. Już czas,

żeby nasze miasteczko zapłaciło.

- Nasze miasteczko?

Jego wypełnione bólem i otoczone obwódką strachu oczy ponownie napotkały jej wzrok.

- Arnie prowadził dziennik - rzekł Frank. - I podejrzewam, że zapisał tam wszystkie powody, dla których uważał, że DeShaun tego nie zrobił. Może nawet napisał tam, kto jego zdaniem to zrobił. I jestem pewien, że napisał tam, kto naciskał go, żeby uznać DeShauna za winnego. - Przerwał na moment. - Julio, nikt nie wie, co się stało z tym dziennikiem. Ludzie w miasteczku wiedzą, że prowadził taki dziennik, ale nikt nie wie, gdzie może się znajdować. Nawet jego syn, Mitch, tego nie wie. Jakies dziesięć czy dwanaście lat temu Mitch wyznaczył nagrodę pieniężną za znalezienie dziennika. Nikt się nie zgłosił. - Rozejrzył się po sklepie, jakby spodziewając się znaleźć ten dziennik na jednej z półek. - A jeśli chodzi o mnie, to wydaje mi się, że on już nie istnieje.

- Dlaczego?

- Ponieważ nigdzie się nie pojawił. Pomyśl, Julio, postaw się przed takim pytaniem. Ktoś wywiera naciski na Arnolda Huebnera, żeby przestał zajmować się tą sprawą. Dziennik Arnolda Huebnera gdzieś znika. Gdybym to ja wywierał naciski i dostał w ręce ten dziennik, spaliłbym go. Nie trzymałbym go bez potrzeby.

Julia przypomniała sobie Tony'ego Tice'a, jak przed restauracją mówił jej o pewnej rzeczy, którą chciał kupić jego klient.

- Czy mówiłeś o tym Kellenowi Zantowi? - zapytała.

Frank odwrócił się od okna.

- Niby o czym?

- O tym dzienniku?

Powoli pokręcił głową, jakby pierwszy raz zetknął się z tym pomysłem.

- Przepraszam, Julio, ale już ci to mówiłem. Kellen Zant nie przyszedł tu rozmawiać o Ginie. Przyszedł do tego sklepu kupić to zabytkowe lustro.

Już stojąc w drzwiach i ostrożnie trzymając w ramionach swój zakup, Julia zadała ostatnie pytanie:

- A jeśli osoba, która go ma, nie jest tą osobą, która wywierała naciski?

Handlarz rozłożył swoje wiotkie dłonie.

- Chyba nie bardzo rozumiem.

- Ten dziennik. Dziennik Arnolda Huebnera. Może ten, kto zamknął to śledztwo, nie znalazł dziennika. Może ktoś ukrył go przed... przed złymi ludźmi?

- To chyba możliwe. - W jego głosie słychać było jakiś sceptycyzm. - Ale trudno mi powiedzieć. Bo gdybym ja go miał, to bym go ujawnił. Oczyszczyłbym imię tego biednego czarnego chłopaka.

- Wydaje mi się, że są jeszcze dwie inne możliwości - odezwała się Julia, jakby mówiła do siebie.

- Jakie?

- Może nadal jest ukryty, a dobrzy ludzie jeszcze go nie znaleźli. A może...

Pohamowała się jednak. Nie chciała przedstawiać tej najgorszej możliwości, że Kellen w jakiś sposób dorwał w swoje chciwe łapska dziennik Arnolda Huebnera i zamiast oczyścić DeShauna, wystawił go na aukcję.

- Może lepiej będzie, Julio, jeśli przez jakiś czas nie będziesz tu przychodzić. Można napytać sobie kłopotów, rozmawiając o takich rzeczach.

III

Julia wyszła ze sklepu z nowym nabytkiem, lustrem w stylu federalnym z książki o muzeum Winterthur, pod pachą, zamierzając wpaść do ciastkarni Cookie's przed jej zamknięciem, ale zanim to zdążyła zrobić, wpadła na skrawek czarnego lodu pod schodami. Nogi spod niej uciekły, lustro rozbiło się na chodniku, i kiedy jej głowa już miała uderzyć w najbliższą ścianę, czyjaś silna dłoń zdecydowała się pochwycić Julię.

A kolejne wydarzenia były już wyjątkowo zawikłane.

Mitch Huebner, potężnie zbudowany mężczyzna z czerwoną i po pijacku nieogoloną twarzą przykrytą wełnianą żeglarską czapką, mocno trzymał ją za ramiona i energicznym ruchem postawił na nogi, ale kiedy zobaczył, z kim ma do czynienia, stanął naprzeciw niej i wymachując grubym paluchem, zaczął domagać się, żeby Julia zaprzestała rozprowadzać kłamstwa o tym, jak to niby on uszkodził jej latarnie i odmówił pokrycia kosztów. Julia, zupełnie zdezorientowana upadkiem, a jeszcze bardziej zaskoczona zbiegiem okoliczności spotkania go zaraz po wysłuchaniu opowieści Franka, w pierwszej chwili nie miała zielonego pojęcia, o czym ten Huebner mówi. Powiedział, że takie oskarżenia odbijają się na jego interesach, a on przecież nigdy w życiu nie odmówił naprawienia wyrządzonej przez siebie szkody, tylko nie podoba mu się, kiedy się na niego naciska, żeby zapłacił za szkody, których nie wyrządził, ale dla niej wszystko, co on mówił, to były po prostu brednie, czyste brednie.

W pewnym momencie jednak Mitch nagle urwał swoją wypowiedź i odwróciwszy się, powiedział coś, co zabrzmiało jak „Uaah”! - dokładnie tak, jak prezentują to w komiksach - a

między nimi nieoczekiwanie wyrosła postać Jeremy'ego Flew, wznosząca dłonie w stronę wielkiego mężczyzny, jakby próbując zaprowadzić pokój, ale jednocześnie skutecznie odsuwając Mitcha od Julii - ryzykując własną osobą, jak sobie uzmysłowiła, gdyby pan Huebner zdecydował się przyłożyć wielką jak bochen chleba pięścią w szczupłą twarz małego człowieczka.

- Proszę zostawić panią Carlyle w spokoju - odezwał się Flew rozważnie. - Nie chcemy żadnych kłopotów.

- A kim, do diabła, pan jest? - zapytał ostrym tonem zdezorientowany Mitch. Zaczerwienione oczy zmierzyły Flewa, a następnie błysnęły w stronę Julii. - Ja nie sprawiam żadnych kłopotów. To ona sprawia kłopoty.

- Proszę więcej nie dotykać pani Carlyle.

- Ona wszystkim rozpowiada kłamstwa...

- Proszę - powtórzył Flew, a jego słowa brzmiały jak głos słodkiego rozsądku pośrodku zimowej ulicy. Kilku przechodniów zatrzymało się i przyglądało zabawnej scenie. Julia, równie zdumiona jak Mitch Huebner, nie miała najmniejszego pojęcia, skąd ten skrzat się tu wziął.

- To prywatna rozmowa - warknął Huebner, starając się przepchnąć obok Flew, ale ten przesunął się wraz z nim, wciąż stojąc między dwójką przeciwników.

- Proszę pana, proszę tego nie robić.

- Ta kobieta mnie zniesławia.

- Chyba chciał pan powiedzieć oczernia - zauważył Flew, wciąż się uśmiechając.

Słyszając to, Mitch Huebner położył dłonie na małym człowieku i z wściekłością odsunął go na bok, ale skończyło się na tym, że to ten większy mężczyzna znalazł się w pozycji siedzącej na zamrożonym chodniku, a Flew nadal stał z wysoko uniesionymi i rozłożonymi rękami. Kiedy Huebner zaczął się podnosić, Flew ponownie go pchnął. Można było odnieść wrażenie, że nie wkłada w to zbyt wiele siły. Nawet na moment uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Kim, do diabła, pan jest? - powtórzył Mitch, ale już zdecydowanie słabiej. Był potężnie zbudowany i od dawna budził przerażenie w mieszkańcach Landing. Trzydzieści lat temu był wielkim zabijaką w tutejszych szkołach, do dziś mieszkańcy Landing drżeli, wspominając tamte czasy. Ale teraz to on siedział tu na chodniku i najwyraźniej już nie spieszył się, żeby ponownie wstać. Julia poczuła dla niego współczucie.

- Przyjacielem pani Carlyle.

- Lepiej trzymaj się pan ode mnie z daleka.

- Proszę zostawić panią Carlyle w spokoju - jak automat powtórzył Flew.

- Jeremy, chwileczkę - odezwała się Julia.

- Ja tylko staram się...

- Pozwól mu wstać.

Mały człowieczek cofnął się pospiesznie, a pan Huebner podniósł się na nogi. Z wściekłością skierował palec w stronę Flew.

- Spróbuj jeszcze czegoś takiego, ty mały gnojku, a zobaczysz, kto będzie górą.

- Nie, dziękuję bardzo - odparł Flew, grzecznie się skłaniając. Nie opuszczał jednak swojego miejsca między tym wielkim mężczyzną a Julią, ona zaś dostrzegła w jego wesołych oczach coś, co ją przeraziło.

- Panie Huebner, pan ma rację. Przepraszam - powiedziała Julia.

- Co takiego?

- Przepraszam, że niesprawiedliwie pana oskarżałam. Jestem pewna, że to nie pan uszkodził moje latarnie i nie powinnam rozpowiadać, że to pana wina. Proszę mi wybaczyć. Mam nadzieję, że przez następne lata dalej będzie pan zajmował się naszym podjazdem.

Ucisnęła zdumioną rękę Mitcha, a jej drobna dłoń zginęła w jego ogromnej łapie.

- Jeśli można, chciałabym zadać panu pytanie.

- Jakie pytanie? - zapytał, nie spuszczać ponurego wzroku z Jeremiego Flew.

- Chodzi o pańskiego ojca...

- A co z nim?

- Ciekawa jestem, czy udało się panu znaleźć jego dziennik.

W podpuchniętych i zaczerwienionych oczach pojawił się błysk agresji, więc Flew, czując, że atmosfera znowu zrobiła się napięta, podszedł bliżej. Ale Huebner tylko spiorunował ją wzrokiem i odwróciwszy się na pięcie, odszedł sztywnym krokiem.

Odprowadzając Julię do jej samochodu, mały Flew nagle wybuchnął nerwowym śmiechem.

- Jeszcze nigdy tego nie robiłem. Od lat ćwiczę samoobronę, ale nigdy tego nie stosowałem w praktyce. I wiesz co? Teraz wiem, dlaczego ludzie idą na wojnę. To prawdziwa frajda!

- Kiedy się wygrywa - mruknęła pod nosem Julia, która zanim zdążyła odtrącić odwrót, dostrzegła w oczach Mitcha Huebnera upokorzenie i blisko z nim spokrewnione inne, mordercze uczucie, które zmagaly się ze sobą. Ale pan Flew wciąż nie potrafił pohamować swojego śmiechu zachwyconego kata, a Julia, brnąc przez śnieg, zapomniała zapytać, jakim cudem pojawił się właśnie wtedy, kiedy był potrzebny. Zbyt zajęta była rozmyślaniami nad

tym, kogo tak naprawdę jej mąż zaprosił pod ich dach.

I dlaczego.

Rozdział 31

Przyjacielska rada

I

Następnego popołudnia senator Malcolm Whisted przemawiał na wiecu wyborczym na skraju kampusu, co może nie było najlepszym pomysłem, zważywszy na środek sesji egzaminacyjnej, ale tylko ten termin zdołał znaleźć na wizytę w swoim rodzinnym stanie. W ciągu tego jednego dnia występował cztery razy, nie licząc nieoficjalnej herbaty ze studentami wydziału nauk politycznych, na którym to wydziale sam studiował, zanim przeszedł do Departamentu Stanu, a potem na studia doktoranckie, po czym podjął własną synekurę na uniwersytecie, a w końcu zajął się światem polityki. Tego wieczoru senator jadł kolację w domu swoich starych przyjaciół, Lemastera i Julii Carlyle'ów. Spotkaniu celowo nie towarzyszyła żadna zbiórka pieniędzy, ponieważ gospodarze występowali w podwójnych rolach - jako rektor i żona rektora uniwersytetu, a także jako bliscy przyjaciele senatora Malcolma Whisteda i jego żony, Maureen - a w żadnej z tych ról nie mogli być postrzegani jako jego zwolennicy.

Tak zdecydował Lemaster.

Ku zaskoczeniu meteorologów, pogoda się utrzymała, pojawili się więc wszyscy, którzy mieli przybyć. Dopóki nie zostanie dokończony remont posiadłości rektora, państwo Carlyle'owie mieli przyjmować gości na terenie kampusu, ale tym razem kolacja w domu oznaczała spotkanie w Tyler's Landing. Lista gości w Hunter's Heights obejmowała czterdzieści dwie osoby, nie licząc współpracowników. Jedzenie podano w formie bufetu. Większość gości jadła, trzymając jedzenie na kolanach, a tymczasem dawni koledzy z pokoju bardzo głośno wymieniali się opowieściami. Wśród przybyłych przeważali pracownicy uniwersytetu, którzy teraz przymilali się do senatora, prawdopodobnie usilnie zabiegając o miejsca w przyszłej administracji albo jedynie ekscytując się myślą, że wkrótce siły antychrysta zostaną wypędzone z Białego Domu. Niektórzy należeli do dostojników Elm Harbor. Niektórych można by nazwać znajomymi Carlyle'ów z Landing, ponieważ znalezienie „przyjaciół” chyba raczej przekraczało ich możliwości. W tym brudnym,

zniszczonym Elm Harbor, które Julia tak pospiesznie chciała opuścić, już w dniu ich przeprowadzki różnokolorowi sąsiedzi pojawili się na schodach ich domu z zapiekankami i świeżo pieczonymi ciastkami, i w ten sposób, na drodze wzajemnych zaproszeń, państwo Carlyle'owie dorobili się przyjaciół. Natomiast przez sześć lat spędzonych przy Hunter's Meadow Road, gdzie domy stały oddalone od siebie o całe lata świetlne, Julia poznała nazwiska może dwóch rodzin w najbliższym sąsiedztwie. Oto ukryta prawda o segregacji rasowej w samym sercu integracji. Żadnych aktów przemocy. Żadnych palonych krzyży. Nikogo nie obrzucono wyzwiskami. Nikt nie zaatakował jej rodziny. Po prostu ją ignorowano.

Ale na kolacji z Malcolmem Whistedem nagle wszyscy chcieli się pojawić. W większości ludzie tłoczyli się wokół honorowego gościa, który, podobnie jak wszyscy odnoszący sukcesy politycy, posiadał dar stwarzania pozorów, że całą uwagę poświęca twojemu drobnemu pytaniu czy też trosce, nawet jeśli jego umysł zajęty był jutrzejszym przemówieniem albo wstępniakiem z dzisiejszego wydania „Timesa”. Co chwilę podchodzili jego współpracownicy i coś szeptali - kolejny aspekt współzawodnictwa między kolegami z pokoju polegał na tym, kto będzie częściej wzywany do telefonu. Po drugiej stronie holu znajdowała się biblioteka wyposażona w osobną toaletę, dzięki czemu mogła służyć za dodatkowy pokój gościnny. Na ten wieczór senator przekształcił bibliotekę w swoje tymczasowe biuro, to tam odbierał telefony i odpowiadał na pytania współpracowników. W miarę upływającego wieczoru, coraz więcej czasu spędzał tam za zamkniętymi drzwiami.

Julia przemieszczała się w poczuciu obowiązku od jednej grupki do drugiej, żałując, że nie ma przy niej Lemastera, który po drugiej stronie pomieszczenia zajmował się tym samym. W oknie wykuszowym, w pobliżu fortepianu, Suzanne de Broglie z wydziału teologicznego wyjaśniała sennie nestorce społeczności Landing, Donnie Newman, że żadna moralna osoba nie mogłaby wspierać tej, opartej na polityce ropy za krew, hegemonii obecnej administracji. W ciepłarni Marcus Hadley, profesor prawa i dawny kumpel Lemastera, pouczał Gayle Gittelman, czołową adwokatkę hrabstwa, specjalizującą się w sprawach kryminalnych, że należałoby zignorować wsparcie dla bonów oświatowych wśród czarnoskórej biedoty w podupadłej części śródmieścia, ponieważ to tylko dowód skrupulatnego i rasistowskiego prania mózgu. Julia, która jeszcze jako mała dziewczynka uwielbiała radosne czarne szaleństwo przyjęć Klanu w Harlemie, znienawidziła zarozumiałe białe moralizatorstwo przyjęć w kampusie, w których musiała uczestniczyć ze względu na swój obecny status.

Lemaster od czasu do czasu rzucał jej uśmiech z drugiego końca pokoju, gdzie

zajmował się swoją pracą, albo nawet całował ją w przelocie, ale w tym momencie Julia już we wszystkim dopatrywała się podtekstów i podejrzewała swojego męża, że tylko udaje przed swoimi gośćmi.

W pewnym momencie, kiedy Julia starała się wywikłać z toczącej się w kącie salonu rozmowy o tym, jak rodzina może w dobrej wierze modlić się w tak szaleńczo prawicowym kościele jak ten pod wezwaniem świętego Macieja, Jeremy Flew postukał ją w ramię i zapytał, czy może porwać na chwilę panią Carlyle.

- Senator chciałby zamienić z tobą słówko - wyszeptał mały człowieczek, przekazując ją jednemu z ludzi senatora, który następnie zapukał do drzwi biblioteki. W środku Malcolm Whisted, w poluzowanym krawacie, siedział na biurku, wymachując jedną nogą, a jego elegancka żona, Maureen, wyczerpana siedziała bezwładnie na fotelu.

- Julio, dziękujemy za zaproszenie na kolację - odezwała się Maureen.

- Cała przyjemność, a także zaszczyt, po naszej stronie.

- Naprawdę, powinniśmy częściej się spotykać. Musicie się z nami skontaktować, gdy następnym razem będziecie w Waszyngtonie. - Słowo „musicie” zabrzmiało jak polecenie. - Nie możemy tak długo czekać na następną okazję.

- Zgadzam się - odpowiedziała Julia, daremnie starając się patrzeć na nich oboje.

Małżonkowie wymienili spojrzenia.

- Chciałbym wyjaśnić, co się stało z Astrid - rzekł senator.

- Ależ nie, przecież nie musisz...

- Julio, moja kampania musi być czysta. Absolutnie nie może być inaczej.

- Musisz to zrozumieć - poleciła Maureen, idealna żona polityka i jak twierdzili niektórzy, mózg ich zespołu. - Musisz pamiętać, jakim człowiekiem jest mój mąż.

Whisted rzucił jej gniewne spojrzenie, ale zanim jeszcze Julia zdążyła to dobrze zauważyć, przekształcił je w spojrzenie pełne miłości. Ton jego głosu oraz brzmienia w nim pewność siebie były doskonale dopasowane do udzielania odpowiedzi na pytanie reportera.

- Astrid Venable ciężko dla nas pracowała. Życzę jej jak najlepiej. Ale ona chciała obrzucić błotem naszych przeciwników, a my czegoś takiego nie robimy. - Nie spuszczał wzroku ze swojej żony. - My jesteśmy uczciwymi przeciwnikami.

- Rozumiem - odparła Julia, nerwowo pocierając dłonie za plecami.

- I prosimy naszych przeciwników o podobną uprzejmość - dodał senator.

- To zrozumiałe.

- Julio, nikt nie jest święty. Każdy z nas ma jakieś tajemnice z przeszłości. I ja, i ty.

Wszyscy.

Julia znieruchomiała.

- Mój mąż chce powiedzieć - wyjaśniała, choć zbytecznie, Maureen, mocno zaciskając powieki - że każdy z nas kiedyś potrafił zaszaleć. - Odsunęła siwiejące włosy z czoła. Już wcześniej zrzuciła buty z nóg. Dawno temu, zanim jej mąż zajął się polityką krajową, Maureen przekonywała wszystkich ludzi, że potrafi wróżyć z ręki i z aury. Pewnej nocy, podczas przyjęcia u Hamptonów, wróżyła Julii, przepowiadając jej całe dekady pełne serdeczności i radości. - Ja po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego komuś miałyby zależeć na wyciągnięciu jakichś brudów. Przecież to nie ma żadnego związku z tym, jak dany człowiek będzie rządził.

- Kampanie powinny skupiać się na ideach - powiedział senator.

- A nie na postaciach - dodała jego żona.

- Na przyszłości.

- A nie na przeszłości.

- Na tym, co człowiek teraz reprezentuje.

- A nie, kim był w przeszłości.

Pukanie do drzwi, jakiś współpracownik wetknął głowę do środka. Senator powiedział, że potrzebują jeszcze chwilki, i głowa zniknęła za drzwiami. Nagle wszyscy ruszyli się z miejsc. Senator poprawiał krawat. Maureen zakładała buty, a Julia zaczęła się wycofywać. Nieoczekiwanie jej dłoń znalazła się w ręce Whisteda, poczuła, jak on dwa razy ścisną jej dłoń i nadal jej nie puszczając, spojrzeniem swoich ciemnych, szczerych oczu próbuje przewiercić ją na wylot.

- Dołożymy starań, żeby kampania była czysta - powiedział i wyszedł na spotkanie swoich wielbicieli.

Maureen została nieco z tyłu.

- Julio.

- Tak, Maureen.

- Mój mąż jest porządnym człowiekiem. Musisz o tym wiedzieć.

Julia poczuła się zmęczona i, z niewiadomego powodu, przestraszona.

Wcześniej wydawało się jej, że to musiał być Łach. Jeśli był to jeden z Jeźdźców, to pewnie zrobił to Łach. Ale teraz nie była już tego taka pewna.

- Wiem o tym, Maureen. Zapewniam cię.

- Byliśmy młodzi. Wszyscy byliśmy młodzi.

- Rozumiem.

- Julio, posłuchaj mnie. - Chwyciła obie dłonie Julii w swoje ręce. Maureen była

kobietą wysoką i pomimo całej swojej powierzchownej elegancji, uroczo niezgrabną. - Nikogo nie obchodzi, co ktoś robił w młodości. Większość z nas w tym wieku robiła rzeczy, których teraz żałuje. Mój mąż robił rzeczy, których teraz żałuje. Ale nigdy, przenigdy, nikogo by nie skrzywdził.

- Maureen...

- Julio, mój mąż nie jest człowiekiem bogatym. - Nieoczekiwany uśmiech, który pojawił się niczym jakiś niespodziewany skarb. - Członkowie rodziny Whisted zawsze wierzyli w służbę społeczeństwu.

- Rozumiem - odparła Julia, choć nie rozumiała.

- Przykro mi ze względu na Astrid. Naprawdę mi przykro. Proszę, nie miej tego za złe mojemu mężowi. Ta kampania jest bardzo ciężka. I Astrid to rozumie.

- Maureen, możesz mi wierzyć, ja nie mam niczego za złe twemu mężowi.

- To dobrze. Tak się cieszę. - Przeciągle spojrzenie, jakby zastanawiała się, co jeszcze może powiedzieć. A potem elegancka zmiana tematu. - Odezwij się do mnie, jak tylko będziesz w Waszyngtonie. Koniecznie musimy więcej czasu spędzać razem.

- Dziękuję.

- A gdybyśmy mogli ci w czymś pomóc, to tylko zadzwoń.

- Obiecuję. - Próbowała się wyrwać, ale jej dłonie wciąż były uwięzione. - Dziękuję.

- Takie jest Landing - wyjaśniła Maureen, a jej oczy wwiercały się w nią jak świder. Czowała jej śliskie i ciepłe ciało. Julia wzdrygnęła się. - Pamiętam, jak jeszcze tu mieszkaliśmy. Landing wywiera na ludzi specyficzny wpływ. To, co tu się dzieje, zawsze jest takie...

Urwała, uściskała ją i wyszła.

II

W holu Julia pożegnała się z senatorostwem i przecierając zmęczone oczy, odprowadzała wzrokiem falę gości. Kilku ostatnich maruderów ciągnęło właśnie powoli do drzwi. Senator chciał, żeby ona zaprzestała swoich poszukiwań. To było bardzo proste. Malcolm Whisted pragnął, aby nadwyżka Kellena została głęboko schowana, podobnie też życzyła sobie jego żona.

A to oznaczało...

- Słyszałaś więc o Tisie? - Nieoczekiwanie pojawił się przy niej Marcus Hadley, człowiek biały, masywny i otwarcie prezentujący swoje racje. Jego rodzina związana była z uniwersytetem dłużej nawet niż rodzina Landów. Stryj Marcusa był jednym z poprzedników

Lemastera na stanowisku rektora, a jego dziadek odnalazł słynne skamieniałości dinozaura. W przeszłości, kiedy i Marc, i Lemaster byli jeszcze profesorami, wywiązała się między nimi rywalizacja - poważna rywalizacja, której zasad nikt prócz nich nie rozumiał - w celu ustalenia, który z nich jest najwybitniejszym wykładowcą na wydziale prawa. - O tym prawniku? Tym od reklam?

- Chodzi o Tony'ego Tice'a? - odparła, czując, jak ogarniają ją złe przeczucia.

- Tak. Lemaster mówił mi, że on cię dręczył.

Julia uzmysłowiła sobie, że przez cały czas trzyma w ręce kieliszek. Podala go kelnerowi, mając wrażenie, że wokół niej cały pokój drży.

- I co z nim? Co teraz zrobił?

- Pobił swoją narzeczoną. Słyszeliśmy to od Gayle Gittelman.

- Co? Co takiego zrobił?

- Tice. Ten Cwany Tice. - Przyglądał się jej. - Został aresztowany.

Rozdział 32

Dennison

I

W następny poniedziałek Julia i Lemaster pojechali do New Hampshire, żeby odebrać Aarona z Exeter, gdzie czternastolatek cieszył się wyjątkową popularnością, prawdopodobnie ze względu na swój szczególny urok, choć może też dlatego, że jego ojciec był rektorem uniwersytetu, na który miała nadzieję dostać się spora liczba absolwentów tej szkoły. Postanowili pojechać we dwójkę, ale podczas jazdy rozmowa wyjątkowo im się nie kleiła. Dzień wcześniej wieczorem zadzwonił z Cambridge Preston, z informacją, że nie przyjedzie do domu na Boże Narodzenie. Wraz ze swoją najnowszą dziewczyną wybierali się do Meksyku. Julia nie mogła wyjść ze zdumienia. Żadne z jej dzieci nigdy nie opuściło świąt Bożego Narodzenia. Błagała go. Klóciła się z nim. Ale Preston, jak zawsze, pozostał niewzruszony. Postanowiła nadłożyć drogi i odwiedzić go, jednak syn powiedział jej, żeby się nie kłopotowała - lecieli porannym samolotem.

Tonya Montez, główna Siostrzana Dama w okolicy, lubiła mawiać, że rodzicielstwo to proces polegający na obserwowaniu własnych dzieci, które powoli tracą zainteresowanie naszą osobą. W przypadku najstarszego dziecka Julii ten proces już się zakończył.

Na wszelki wypadek przejechali obok jego mieszkania. Nikt jednak nie zareagował na dzwonek.

- Pewnie już wyjechali - odezwał się Lemaster.

- Pewnie tak - odparła Julia, martwiąc się w duszy, że Preston ich lekceważy. Bardzo chciałyby dowiedzieć się, dlaczego ich pierworodny tak zdecydowanie starał się unikać własnych rodziców. Same dobre chęci jednak nie wystarczą, bo gdyby chęci były końmi, jak powiadała babcia Vee, to żebracy jeździliby wierzchem. W towarzystwie Prestona Julia zawsze czuła się jak żebraczka.

Wyjeżdżając z Cambridge, przejechali przez most prowadzący do Bostonu i zatrzymali się przy domu szeregowym stojącym w niekończącym się labiryncie wąskich i krzywych historycznych uliczek Beacon Hill. Chociaż zaparkowanie tu graniczyło z cudem,

Lemasterowi udało się tego jednak dokonać, i wcisnął mercedesa w miejsce, które na pierwszy rzut oka wyglądało, jakby mógł się tam zmieścić tylko dziecięcy rowerek. Aż zacisnął pięść z zadowolenia, ponieważ zmaganie się z przeciwnościami było jego konikiem, a ona ucałowała go w policzek, ponieważ jej hobby było składanie mu gratulacji. Niebo wyglądało na matowe i mgliste, jak zwykle przy ciężkim smogu lub brzydkiej pogodzie. Nogi obsuwały im się na nierównym brukowanym chodniku, musieli iść po śliskich kamieniach, ponieważ nie wszyscy właściciele domów byli równie sumienni w uprzątnięciu zimowego bałaganu. Zbudowane z mocnych cegieł domy były ciasne i kosztowne. Zaledwie kilka miało trawniki, które zasługiwałyby na tę nazwę. Okna wychodziły bezpośrednio na ulicę, podobnie jak w wielu miejscach Europy, i przechodząc, można było zauważyć sąsiadów, którzy spali, golili się, ubierali, obejmowali lub wykonywali którąkolwiek z całego spektrum czynności dopiero co przebudzonych ludzi. Julia też czuła się, jakby właśnie się przebudziła. Po raz pierwszy od wielu lat postanowiła podjąć ryzyko. Znajdzie te dowody Kellena i uratuje swoje dziecko, chyba że własna duma doprowadzi ją do upadku, co, musiała przyznać, zawsze jest możliwe.

Dom wyglądał jak wszystkie inne, różnił się jedynie tym, że stał na narożnej parceli i miał ogródek nieco większy od znaczka pocztowego, strzeżony przez niskie ogrodzenie z kutego żelaza, wołające o odmalowanie. Od drzwi wejściowych rozpościerał się wspaniały widok w dół wzgórza w kierunku parku Boston Common i na Public Garden. Mosięzna kołatka w kształcie orła z pewnością miała ze sto lat. Do środka wpuściła ich niespotykanej urody wysoka pielęgniarka, która z haitańskim akcentem wyszeptała, że pan Dennison czuje się dziś nieco lepiej. Lepiej niż kiedy? - zastanawiała się Julia, jednak nie śmiała zapytać. Pielęgniarka zaprowadziła ich wąskim korytarzem prosto na tyły domostwa, do komnaty, która mogła służyć za salon, jadalnię czy też salon gier, ponieważ w dawnych czasach Bay Dennison organizował rozgrywane na wysokie stawki partie pokera, w których mogli uczestniczyć potentaci ukryci przed czujnym okiem prasy, nie licząc, oczywiście, tych przedstawicieli prasy, którzy byli zapraszani do uczestnictwa w grze.

Starszy pan siedział na wózku inwalidzkim, po piersi opatulony kocami, zupełnie ignorując piękne widoki. W efekcie przebytych chorób bardzo stracił na wadze - jego ciało popełniło wszelkie wykroczenia, które tylko lekarzom przychodziły do głowy - ale wciąż widać było bezczelną masywność jego barków i zdecydowanie jego wydatnej, żółtej szczęki, przypominające o władzy, którą niegdyś dzierżył w sferze amerykańskiej polityki. Zazwyczaj towarzyszył mu chłopiec na posyłki, ale żaden nie zagrzebał długo u niego miejsca, a według słów Lemastera, jeden właśnie odszedł, a drugi jeszcze się nie pojawił. Na znajdującym się

przed Dennisonem stoliczku na kółkach leżały rozrzucone strony korekty do mającego się wkrótce ukazać trzeciego tomu jego bestsellerowej autobiografii, i kiedy goście weszli, pochylony, z ołówkiem w ręce, jak szalony poprawiał tekst, najwyraźniej podniecony możliwością wylania jeszcze większej porcji jadu, chociaż jeden Bóg raczył wiedzieć, kto jeszcze mu został do zmieszania z błotem.

- Momencik - burknął, nawet się nie odwracając.

- Proszę się nie spieszyć, sir - odezwał się Lemaster, a Julia spojrzała w stronę swojego męża, który sprawiał wrażenie gotowego stać i czekać cały dzień, jeśliby mu tylko kazano. W stosunku do nikogo innego tak się nie zachowywał. Prawdę mówiąc, nie słyszała, żeby do kogokolwiek zwracał się per „sir”. Nigdy nie była w stanie pojąć wszystkich aspektów związku swojego męża z tym człowiekiem. Ale jakieś trzydzieści lat temu kongresman Byron Dennison wprowadził dużo młodszego wówczas Lemastera na ścieżkę zawodowej chwały, biorąc go pod te same pojemne skrzydła, pod którymi zaczynały się kariery tylu innych Afroamerykanów z tego samego pokolenia, otwierając mu drzwi, usuwając przeszkody z jego drogi, a także, z upływem lat, pilnując, żeby z niej nie zбочzył.

W przeciwieństwie do większości wychowanków, Lemaster nigdy mu tego nie zapomniał.

- Niewiele czasu zostało - odparł starszy pan, gryzmołąc zapamiętałe czerwoną kredką. Zaglądnąwszy mu przez ramię, Julia zauważyła, że właśnie zmaga się z upiorami przeszłości, opisując swoich dawnych przyjaciół z ruchu na rzecz praw obywatelskich. Tak, właśnie na to czekał cały kraj.

- Wszystkich nas pan przeżyje, panie Dennison - odparł jej mąż.

- Być może, ale musielibyście odejść w ciągu najbliższych sześciu miesięcy.

- Trzeba myśleć pozytywnie.

- Możesz dać mi jakiś powód? - Przewróciwszy stronę, powrócił do swoich polemicznych bazgrołów. - Bo na przykład Zantowi pozytywne myślenie nic nie dało, prawda? Biedny dupek. Myślałem, że oni już skończyli z linczem na naszych ludziach.

Lemaster uśmiechnął się za plecami swojego mentora.

- Przywiozłem Julię.

Głowa uniosła się, wózek zatoczył koło, a na wyniszczonej szarej twarzy, z której zwisały luźne fałdy skóry, jakby gotowe zaraz się złuszczyć, rozlał się powitalny uśmiech. Jedno z oczu było mętne i przygasłe, ale drugie jak zawsze jasne i bystre.

- Faktycznie. Chociaż, prawdę mówiąc, nigdy na nią nie zasługiwałaś. Jest dla ciebie zbyt dobra, Little Master - Dennison zawsze tak go nazywał i pod tym względem nic się nie

zmieniło. Ale Lemaster go kochał, o czym wszyscy zresztą wiedzieli. Za dwa miesiące miało odbyć się przyjęcie urodzinowe staruszka, tradycyjnie huczna impreza z udziałem setek potentatów, wydarzenie, którego Lemaster nigdy nie opuścił, a obecnie pomagał też zorganizować. - A co u ciebie, Julio? Czy twoja piętnastka już zaczęła romanse? Bo ty powinnaś poszukać sobie kogoś lepszego, i to równie wspaniałej istoty, jak ty sama. Gdyby moim mężem był ten tutaj Little Master, już dawno bym go zostawił. Nie wiem, jak z nim wytrzymujesz. Jesteś świętą. Męczennicą. Pewnie pomnik ci postawią. Posłuchaj, możesz sobie wziąć mój. Na Kapitolu mają odsłonić moje popiersie. Co za kretyński pomysł. Ja się tam nie wybieram. Powiedzieli, że to tylko parę kroków. A ja pytam, czy wyglądam na kogoś, kto może zrobić parę kroków? Co za palanty.

- Miło cię widzieć, Bay - odparła, tylko uśmiechając się w odpowiedzi, ponieważ on nigdy nie oczekiwał odpowiedzi na swoje pompatyczne perory, a już przed laty poprosił ją, żeby zwracała się do niego, używając tego zdrobnienia, między innymi w ten sposób pokazywał Lemasterowi, gdzie jest jego miejsce. Wszystkim swoim protegowanym starał się pokazywać, gdzie jest ich miejsce, a Lemastera wyróżniało to, że chciał trzymać się tego miejsca. Julia podziwiała tę jego cechę, chociaż sama nie za bardzo wiedziała, dlaczego.

- Jak się ma twoja matka?

- Doskonale.

- Nadal mieszka we Francji? Romansuje z małym? - Mona mieszkała w pobliżu Tuluzy z dwadzieścia lat od niej młodszym Anglikiem, niejakim Hapem, co, jak mówiła Mona, było skrótem od słowa *happiness* - szczęście.

- Mówi, że nie wróci, dopóki nasz kraj nie powróci do demokracji.

Bay Dennison nigdy się nie śmiał, w pełnym tego słowa znaczeniu - wybuchął jakimś rzeniem zachwytu, pełnego rozbawienia i protekcjonalności, jakby tylko on potrafił postrzegać świat w całości i właśnie takim, jaki jest.

- Czekaj tatka latka. - Znowu rechot. - Pisz jakąś nową książkę? - Machnął ręką w stronę kartek leżących na stoliku. - Muszę kontrolować konkurencję.

Julia pokręciła głową. Mona już od ponad dziesięciu lat nie wydała żadnej książki, chociaż jej wściekle eseje wciąż wzbudzały zainteresowanie czytelników bardziej marginalnych publikacji kipiących słuszną nienawiścią lewicowych ugrupowań.

- Nikt ci nie będzie przeszkadzał, Bay.

- Kiedyś umówiłem się z nią. Może nawet ze dwa razy. Byłaś wtedy małą dziewczynką. - Otaksował ją spojrzeniem zdrowego oka, dokładnie w ten sam sposób, jakby to zrobił młodszy mężczyzna. Z tego, co mówił Lemaster, najgorszy guz mieścił się za tym

chorym okiem. - Mówiła ci o tym?

- Tak, Bay. Ty też mi mówiłeś.

- Byliśmy razem w Białym Domu. Wówczas prezydentem był Lyndon B. Johnson. Całą noc tańczyła. Lyndon też z nią tańczył. Nie chciał jej puścić. A biedna Lady Bird wsparła się na mnie i powiedziała: „Mogę z nim tańczyć, ale czy on przez cały czas musi się ślinić?” - Dennison się roześmiał, więc goście mu zawtórowali. Ta opowieść pojawiła się w drugim tomie jego wspomnień. Większość historyków oraz bliskich znajomych Johnsona była zdania, że zarówno te, jak i pozostałe jadłem zaprawione wspomnienia Baya, które często wywoływały wściekłe dementi, niewiele miały wspólnego z prawdą. Ale on roztropnie zabezpieczył się przed jakąkolwiek odpowiedzialnością, zniesławiając tylko zmarłych. - Ja lubiłem Johnsona. Ludzie nienawidzili go za Wietnam, ale on był z nich najlepszy. To on wprowadził ustawę o prawach obywatelskich. Projekt Great Society. Ustawę o prawie do głosowania. Potrafił siedzieć na zapleczu, popijać whisky i załatwiać interesy. Jeśli już coś z tobą ustalił, dotrzymywał słowa. A to właśnie jest ważne, Julio. Dotrzymywanie słowa. - Rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę Little Mastera, jakby spodziewając się sprzeciwu.

- Zgadzam się - odparł Lemaster jak na zawołanie.

Ale Byron Dennison nadal zwracał się tylko do Julii.

- A wiesz na czym polega obecny problem? Od czasów Nixona nie mieliśmy w Białym Domu nikogo, kto by potrafił porządnie się napić. Nie mam pojęcia, jak oni są w stanie cokolwiek załatwić bez alkoholu. Nic dziwnego, że ciągle skaczą sobie do gardeł. Moim zdaniem, w Waszyngtonie mamy zbyt dużo abstynentów.

- Może i masz rację. - Babcia Vee powiadała, że odwiedzamy umierających, bo chcemy, żeby oni pozwolili nam dalej żyć. Może to tłumaczy, dlaczego zawsze zgadzamy się z tym, co oni mówią.

- Nixona też lubiłem. Z nim można było ubić interes. Wystarczyło tylko pochować srebra i trzymać ręce na stole.

- Już to mówiłeś, Bay.

- Usiądź mi na kolanach.

- Nie mogę. Muszę uważać na ciśnienie krwi. - Dennison wybuchnął śmiechem, charkotliwym i wilgotnym, a Julia, uśmiechnąwszy się, chcąc zapewnić go o swoim pogodnym nastroju, zdobyła się na pytanie, które podsunęła jej jego wcześniejsza uwaga. - Bay, a ty go znałeś? Kellena Zanta?

Aż walnął w stół w rozbawieniu.

- Wszyscy znali tego starego kanciarza.

- Kanciarza?

- Potrafił wszystkich zmusić, żeby go zatrudnili. Dorobił się fortuny na tym, że był oficjalnym, autentycznym, dyplomowanym murzyńskim ekonomistą. - Jego zdrowe oko zwróciło się w jej stronę. Lemaster stał bez słowa, jak niemy obserwator sztuki. - Lubilem go. Tak, z niego był niezły kanciarz. Ale w moim stylu.

- Nie rozumiem.

- Jasne, że rozumiesz. Zant potrafił zadzwonić do jakiejś korporacji i powiedzieć: „Jak to możliwe, że nie ma u was żadnych czarnoskórych konsultantów?”. A potem groził, że pójdzie do telewizji i narobi wokół tego smrodu. I wiesz, co się działo? Oni go zatrudniali.

Pomimo obecności męża i szacunku dla tego starca, Julia nie potrafiła opanować pewnej oschłości w głosie.

- On był dobry w tym, co robił. Przecież te modele do obliczania odpowiedniej wyceny opcji...

I znowu ten śmiech. Jak większość ludzi przyzwyczajonych do sprawowania władzy, Byron Dennison wyżej cenił własne zdanie niż fakty przedstawiane przez innych.

- Był dobry w tym, co robił. A najlepszy był w zarabianiu pieniędzy dla Kellena Zanta. Pamiętam, jak opowiadał, że robi to dla klienta. A także że robi to dla społeczeństwa. Ale w rzeczywistości robił to dla Kellena Zanta.

- Ja tylko chciałam powiedzieć...

- Julio, nie musisz go bronić przede mną. Już ci powiedziałem, że go lubilem.

Julia splonęła się i próbowała coś odpowiedzieć, ale starszy pan chwycił ją za nadgarstek, przestał się śmiać i przyciągnął ją do siebie, żeby szepnąć jej coś do ucha.

- Zaufaj swojemu mężowi - wyszeptał, a ona poczuła, że jego gasnący oddech jest rozgrzany i wilgotny.

- Staram się - odparła Julia, bardzo zaskoczona. Tymczasem Lemaster zajął się podziwianiem wystawy osiągnięć swojego mentora.

Uścisk był stalowy.

- Bardziej się postaraj. To ważne.

Następnie przeszli do tej części wizyty, której Julia wprost nienawidziła. Po rytualnych uściskach, rytualnych drinkach i rytualnych pytaniach o dzieci, została grzecznie, ale stanowczo wyproszona z domu. Bay Dennison dokładnie przyjrzał się twarzy swojego protegowanego, a potem polecił Julii wrócić za godzinę. Już wcześniej zdając sobie sprawę, że w końcu ta chwila nadejdzie, ubrała się w luźne spodnie i tenisówki. Ostatecznie całą jesień spędziła zdecydowanie zbyt blisko ciastkarni Cookie's, mogła więc teraz trochę

poćwiczyć. Zostawiła mężczyzn samych, a oni znaleźli się w swoim żywiole, mogąc wspólnie snuć intrygi. Bay Dennison przez wiele lat był zwierzchnikiem Empireum, a Lemaster, przez te dwadzieścia lat, kiedy się z nim znała, nie podjął ani jednej poważnej decyzji bez wcześniejszego skonsultowania się z mentorem. I chociaż może Empireum nie było najbardziej liczącą się organizacją, to kontakty wciąż się liczyły i jej mąż starał się je pielęgnować.

Zastanawiała się, jakąż to decyzję ma teraz Lemaster podjąć.

Kupiła w kawiarni butelkę wody, a potem weszła do Public Garden, gdzie zaskoczył ją tłok. Na ziemi leżał jeszcze stary śnieg, ale ponieważ było kilka stopni powyżej zera, pogoda doskonale nadawała się na spacer. Julia trzymała się głównych alejek, kilkakrotnie przekraczając każdy z mostków, energicznym krokiem mijała posągi i pomniki, ponieważ ćwiczyła, a nie zwiedzała, i ciężko pracowała, gdyż wyszła z formy. Kiedy po raz trzeci mijała pozieleniałą figurę abolicjonisty Wendella Phillipsa, dostrzegła siedzącą na ławce i uśmiechającą się do niej Mary Mallard.

- Jeszcze niejednym cię zaskoczę - odezwała się pisarka.

II

Ponieważ Mary też miała na nogach tenisówki, wspólnie ruszyły na spacer. Zapaliła papierosa, ale Julia przekonała ją, żeby go zgasiała.

- Zmieniłaś się - stwierdziła Mary, poprawiając szal.

- Mam nadzieję.

- Podobasz mi się taka. Pozbierałaś się do kupy. Potrafisz patrzeć w oczy. Zrobiłaś się pewna siebie. Nawet inaczej chodzisz.

Julia nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Aż tyle zmian w kilka tygodni. - I dodała: - A co ty tu robisz, Mary? Wygląda na to, że mnie śledzisz.

- Aż od Elm Harbor? Musiałabym naprawdę jeździć jak szalona, żeby nikt mnie nie zauważył.

- Zgadza się, ale z ciebie jest szalony kierowca.

Mijały właśnie słynne bostońskie łodzie z łabędziami, odstawione na bok i przykryte na zimę. Na brzegu, pod czujnym okiem zakonnicy, grupka dzieciaków bawiła się w jakąś skomplikowaną formę berka.

- Jestem tu, ponieważ potrzebujesz pomocy, Julio. Sama sobie nie poradzisz.

- Przez większość życia sama sobie radzę.

- Mówię o odszukaniu tego, nad czym pracował Kellen. To jasne, że tego szukasz. W każdym razie dla mnie jest to jasne. - Machnęła ręką. - I dlatego też otacza cię taka aura. - Tym razem już sama się roześmiała. Ona również miała ze sobą butelkę z wodą i pociągnęła z niej długi łyk. - Mówię poważnie, Julio. Potrzebujesz mojej pomocy. Mogę uchronić cię przed kłopotami. Pomogę ci uniknąć błędów. Podzielę się z tobą informacjami i doświadczeniem.

- Mary...

- Mogę też powiedzieć ci coś, o czym ty nie wiesz.

- Na przykład?

Dotarli do grupy głazów. Mary usiadła, a Julia zaczęła się rozciągać.

- Na przykład o tym, że nie jestem jedyną osobą, która cię dzisiaj śledziła.

W pierwszym, trudnym do opanowania odruchu Julia chciała rozejrzeć się gwałtownie wokół siebie, chociaż nie miała najmniejszego pojęcia, czego, albo też kogo, miała szukać. Zaraz potem spojrzała jednak gniewnie na Mary.

- Wymyśliłaś to sobie.

Mary tylko wzruszyła ramionami.

- Może tak, a może nie. I o to właśnie chodzi. Nawet nie pomyślisz, żeby wziąć to pod uwagę. A nawet jeśli weźmiesz to pod uwagę, nie będziesz wiedziała, czego szukać.

- A ty będziesz wiedziała?

- Oczywiście. Chyba wiesz, jakie książki piszę. Od czasu do czasu zdarza mi się przyswoić, że ktoś prowadzi obserwację.

Tak, a przy okazji zdarza ci się przyswoić nieposkromioną pychę i paranoję, pomyślała Julia, ale na głos tego nie powiedziała. Mary miała rację.

Nie poradzi sobie sama. I co więcej, wcale nie chciała. Cudownie byłoby mieć współlnika. Pozostawało tylko pytanie, czy Mary Mallard jest odpowiednią osobą.

- Powiedz dokładnie, co ci Kellen powiedział.

- Cóż to za odmiana?

- Daj spokój, Mary. Pomyśl, że właśnie przechodzisz rozmowę kwalifikacyjną. Co Kellen kombinował? Co ci powiedział?

Pisarka westchnęła i spojrzała w stronę stawu. Rzeźbione kaczki z książki *Make Wayfor Duckling* połyskiwały ciemno w jasnym zimowym słońcu. Widać było, że Mary aż skręca, żeby zapalić, a Julia z perwersyjną dumą odmawiała jej tej przyjemności.

- Kellen odwiedził mnie kilka miesięcy temu. Poznaliśmy się, kiedy przeprowadzałam

z nim wywiad do książki o skandalach w księgowości korporacyjnej. Kellen dorobił się dużej kasy na swoich wykładach, a ponieważ wykładał o skandalach, ja... w każdym razie, spotkaliśmy się. On kochał kapitalizm, zupełnie nie przejmował się jego drapieżnością, wierzył, że rynki są w stanie same się regulować. I uwielbiał się spierać. Doszłam do wniosku, że nie ma sensu przeciwstawiać się mu, ponieważ zauważyłam, ile dla niego znaczy zwycięstwo. A jeśli cię to ciekawi, to przyznam ci się, że on przystawiał się do mnie kilka razy, ale nigdy nic z tego nie wyszło. - Położyła dłonie płasko na głazie, odchyliła głowę do tyłu i zamknąwszy oczy, chłonęła promienie słońca. - W każdym razie zeszłego lata zadzwonił do mnie i powiedział, że dotarł do czegoś, co może mnie zainteresować. Zaproponowałam, żebyśmy spotkali się na drinka, kiedy następnym razem będzie w Dystrykcie Kolumbii, i jakiś tydzień później tak właśnie zrobiliśmy. To chyba był koniec lipca, bo w sierpniu zwykle wyjeżdżam do Maine. Kellen opowiedział mi o Ginie Joule. Nigdy wcześniej o niej nie słyszałam. Kiedy zrelacjonował mi tę historię, odparłam, że takich opowieści są miliony. Zupełnie mnie to nie interesowało, dopóki nie widziałam w tym temacie na książkę albo przynajmniej na artykuł. Powiedział, że ta sprawa wygląda inaczej. Tu nie chodziło tylko o czarnego chłopaka zlincowanego za rzekome zabicie białej dziewczyny. Ten czarny chłopak umarł za kogoś innego, kogoś, kto ma znaczenie. Tak to Kellen określił. Ktoś, kto ma znaczenie.

- I wówczas zainteresowałaś się tym.

- Trochę. Choć nie za bardzo. W związku z moją pracą, ludzie cały czas próbują sprzedać mi takie lub inne historyjki. Ale kiedy opowiedział mi o apartamencie Hillimana i o tym, kto tam mieszkał, to już bardzo, ale to bardzo się tym zainteresowałam. Powiedział też, że najprawdopodobniej będzie w stanie udowodnić, że jeden z lokatorów apartamentu Hillimana przynajmniej spotykał się z tą dziewczyną, a już sam ten fakt mógł podważyć tę oficjalną wersję, może nawet zupełnie odmienić przebieg wyborów. Dodał, że jeśli wystarczy mu czasu, z pewnością zdoła więcej udowodnić. Planował wystawić tę informację na sprzedaż. Zamierzał zorganizować aukcję, bo chciał przechwycić nadwyżkę. Aukcję, w której wszyscy uczestnicy płacą. Nie wiem, co to za rodzaj aukcji, ale to akurat nie ma znaczenia. Zapytałam go, dlaczego mi o tym mówi. Ja nie płacę za informacje, dodałam, nawet jeśli takie informacje mogą odmienić wyniki wyborów. Powiedział, że potrzebuje kogoś, kto wie, jak należy przedstawić pewne rzeczy. Chciał, żebym to ja przygotowała opis jego znaleziska do tej aukcji. Odparłam, że w zasadzie niczym takim się nie zajmuję, ale muszę przyznać, Julio, że połknęłam haczyk. Chciałam mieć tę historię. Ale on zażądał, żebym przyrzekła mu, że nikomu o tym nie powiem. A ja żyję z tego, że piszę o sprawach, o których się dowiaduję, a

nie z tego, że trzymam je w tajemnicy. Dyskutowaliśmy o tym przez kilka tygodni, aż w końcu powiedział, że wyśle mi zachętę, która mnie przekona, że mogę mu zaufać. We wrześnie dostałam pocztą fotografię. Na kopercie nie było, co prawda, adresu zwrotnego, nie dołączył też żadnej wiadomości, ale na znaczku widniał stempel z Elm Harbor.

- Co było na tym zdjęciu? - zapytała Julia, ponieważ Mary zrobiła przerwę i zasnurowała usta, być może zaciągając się wyimaginowanym papierosem.

- Młody mężczyzna śpiący na sofie. To wszystko. Młody mężczyzna, przed dwudziestką, może po dwudziestce, śpiący na sofie. Zadzwoiłam do Kellena i powiedziałam, że to niewiele mi daje. Odpowiedział, że jeśli uda mi się rozpoznać tego mężczyznę, to on mi powie, gdzie to zdjęcie zostało zrobione. Poszukałam więc. Nie zajęło mi to zbyt wiele czasu, ponieważ wiedziałam, w jakich kręgach Kellen prowadzi swoje dochodzenie. Zdjęcie przedstawiało senatora Malcolma Whisteda z czasów studenckich. Kiedy powiedziałam o tym Kellenowi, on wysłał mi informację z adresem w Tyler's Landing. Sprawdziłam ten adres z okresu, kiedy senator był studentem, i oczywiście okazało się, że był to dom Merrilla i Anny Joule.

- To niewiele, jak na początek.

- Tak też mu powiedziałam. To samo, co powiedziałam ci na pogrzebie. To, że senator Whisted przespał się kiedyś u niej w domu, niczego jeszcze nie dowodzi. Rodzina Whistedów miała bardzo szerokie znajomości. Kellen zapytał, czy zrobiłoby to różnicę, gdyby powiedział mi, że wówczas młody Mal był pijany. Odparłam, że nie. Na studiach wszyscy ciągle są pijani. Kellen się roześmiał. Powiedział wtedy, że właśnie dlatego nazwał to zachętą.

- I to wszystko?

- Niezupełnie. - Mary zacisnęła wargi, widać było, jak bardzo chce zapalić. - Powiedział jeszcze, że ta cała sprawa w rzeczywistości dowodzi, dlaczego konsumpcja niekonkurencyjna jest w praktyce prawie niemożliwa.

- Możesz mi powtórzyć to sformułowanie?

Mary nie tylko spełniła jej prośbę, ale jeszcze pożyczyła Julii ołówek i papier, żeby mogła to sobie zapisać.

- To oznacza... - zaczęła pisarka, ale Julia uniosła dłoń. Nie potrzebowała wyjaśnień Mary. Ani też jej uprzedzeń.

- Dzięki. - Julia zerknęła na zegarek. - Muszę już iść.

- Lemaster jest u Baya Dennisona, tak?

- Naprawdę niezła jesteś, Mary.

- Sama o tym wiem, nie musisz mi mówić. - Podniosła się. - W takim razie umowa

stoi, co?

- Nie.

Twarz białej kobiety wyraźnie zmarkotniała.

- Ale ja przecież powiedziałam ci...

- Mary, posłuchaj. Częściowo masz rację. Ja rzeczywiście potrzebuję pomocy. I z pewnością mogłabym skorzystać z twojej oferty. Bardzo by mnie ucieszyło, gdybyś się zgodziła współpracować. Ale jeśli się zdecydujesz, musisz pamiętać, że to jest mój projekt, a nie twój, a ja udostępnię ci tylko te informacje, które sama uznam za właściwe. - Zastanowiła się przez moment. - I bez mojej zgody nie wolno ci niczego napisać.

- Czy wy z Kellenem na pewno nie byliście małżeństwem lub czymś w tym stylu? Mówicie zupełnie tak samo.

- Aha, jeszcze jedno. Dopiero po Bożym Narodzeniu.

Mary była zbulwersowana.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, Julio, że za dwa miesiące są prawybory w Iowa.

- Jeśli wcześniej sama rozwiążesz tę zagadkę, nie ma sprawy.

- A myślałam, że to ja jestem suką.

Julia uśmiechnęła się. Spodobał się jej rola szefowej.

Rozdział 33

Święta, święta

I

Boże Narodzenie przemknęło przez rodzinę jak billboard mijany przy autostradzie, najpierw jarzący się odległą iskierką, następnie zbliżający się i powiększający, i nagle zupełnie wyraźny, w pełnej krasie, radosny i łatwy do przeczytania, ale wystarczy jedno mrugnięcie okiem i już przechodzi do wstecznego lusterka, i znika za właśnie pokonanym zakrętem. Astrid przyjechała do nich z dziećmi, najwyraźniej doszło do zakopania topora między kuzynami, a nawet poszła na pasterkę do Świętego Macieja, gdzie Lemaster po nabożeństwie wykazał się niezwykłym brakiem taktu, narzekając tak głośno, że usłyszeli go wszyscy stojący obok, na szopkę przy ołtarzu. Przeszkadzała mu, jak sam mówił, nie blond biel Dzieciątka Jezus ani też wyraźnie aryjskie rysy Marii i Józefa, tylko obecność i liczba mędrców, czy też królów. Ewangelia Mateusza, jak argumentował przy kawie w holu parafialnym, nie określa dokładnie liczby mędrców, ale wyraźnie podaje, że odwiedzili Jezusa będącego dzieckiem (a nie niemowlęciem) w jego domu - nie zaś, jak podaje tradycja, w żłóbku, gdzie się urodził. To pasterze, a nie mędrcy, zostali poprowadzeni do żłobu. Błady jak trup i równie energiczny starszy opiekun parafii wymamrotał swoim pogrzebowym tonem, że to dzięki tradycji ludzie pozostali anglikanami, ale Lemaster pozostał niewzruszony. Tradycja to jedna sprawa, powiedział. Ignorowanie Ewangelii to druga.

W drodze do domu, prowadząc escaladę, dzielnie trzymający kurs na śliskich zakrętach Lemaster pomstował przed swoją żoną i częścią swojej rodziny - pozostali jechali z ciotką Astrid jej lincolnem navigatorem - na kościelny opór wobec czegoś, co dla niego jest szczerą prawdą. Kiedy w końcu głowa rodu na chwilę przerwała swój wykład, żeby nabrać powietrza w ogólnorodzinnej ciszy, siedząca z tyłu Vanessa nachyliła się do przodu między pluszowymi fotelami kubelkowymi i słodkim głosem zapytała, czy to faktycznie jest możliwe, że tylko tatuś może mieć rację, a wszyscy pozostali, którzy od wieków hołdowali tradycji, łącznie z tymi, którzy obchodzili, *eon mucho gusto*, Święto Trzech Króli, mylili się. Zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, ona ciągnęła dalej.

- Tak samo jest z podróżami świętego Pawła w pierwszym wieku. Nie znamy tych wszystkich miejsc, do których on się udał. Biblia nie podaje tych informacji. Ale tradycja uzupełnia odpowiedzi, prawda? Według tradycji podążył do Hiszpanii, tego nikt nie kwestionuje i w zasadzie nie podważa, mówimy więc, tak, dobra, prawdopodobnie podążył do Hiszpanii. Co jest zatem złego w tej tradycji, która mówi, że było trzech mędrców? W końcu w Biblii nie jest napisane, że była ich inna liczba.

Lemaster już zaczął udzielać odpowiedzi - łagodnie, jak zawsze, kiedy odpowiadał Vanessie - ale nagle przerwał, bo, podobnie jak pozostali pasażerowie samochodu, zauważył, że jej usta, chociaż nie wypowiadają już żadnych słów, wciąż się poruszają. Kiedy dotarli do Hunter's Heights, Jeremy Flew, który chyba nie miał własnego domu, czekał już z delikatnie alkoholizowanym ajerkoniakiem i zaraz pomógł dzieciom przygotować ciasteczka i mleko dla Świętego Mikołaja. Kiedy w końcu czwórka przedstawicieli najmłodszego pokolenia pognęła do łóżek, dorośli mogli zająć się pakowaniem prezentów - nie było wśród nich niczego od Mony, która zawsze zapomniała, a później tylko przeproszała. Julia chciała też posłać do łóżka Vanessę, ale ona odmówiła, oświadczając, że jest już za duża na takie głupoty. Usiadłszy w kuchni, piła jednego dietetycznego sprite'a za drugim i po raz kolejny czytała zniszczoną książkę o rzymskiej strategii wojskowej.

- Co robisz? - zapytała ją w pewnym momencie ciotka Astrid.

- Czytam.

- Pytam, dlaczego tyle czasu spędzasz na czytaniu o wojnach? Przecież wszyscy powinniśmy wspólnie pracować na rzecz pokoju.

Vanessa nawet nie podniosła wzroku.

- Przygotowuję się - odparła.

I tak właśnie upłynęła im wigilia.

II

Późne popołudnie wigilijne Bruce Vallely spędził w centrum handlowym w Norport, chociaż nie robił zakupów. Siedział w odległym kącie parkingu w swoim kabrioletcie mustangu i rozmawiał z Rickiem Chrebetem, który zdołał przekonać rodzinę, że wybrał się na ostatnie zakupy świąteczne. Rick powtarzał, że ryzykuje emeryturą. Zdecydował się jednak przekazać Bruce'owi trochę swoich notatek. Po powrocie do domu Bruce nie mógł wyjść z podziwu, ile udało się Rickowi zrobić przed przedwczesnym zamknięciem dochodzenia. Rozumując podobnie, choć niezupełnie tak samo jak Bruce, doszedł nawet do tego, że potencjalnym

podejrzany może być Lemaster Carlyle. Rick, człowiek mniej impulsywny niż jego dawny kolega z pracy, zadał sobie trud zdobycia informacji, którą Bruce przeoczył.

Uzyskał kopię życiorysu Lemastera.

Wystarczył jeden rzut oka, a cała teoria Bruce'a poleciała do kosza.

Gina Joule zniknęła w lutym 1973 roku, kiedy Lemaster był na przedostatnim roku studiów.

Życiorys nie pozostawiał tu żadnych wątpliwości: styczeń-czerwiec 1973 - studia w Oksfordzie.

Kiedy po Nowym Roku uniwersytet otworzy swoje podwoje, Bruce sprawdzi daty, żeby się upewnić, czy w życiorysie nie ma jakichś błędów. Ale już teraz wiedział, że to niemożliwe. Jeśli tylko przyszły rektor uniwersytetu nie przyleciał do Stanów na czas, żeby zabić Ginę Joule, i zaraz nie pognął z powrotem do Anglii, to trzeba było go wykluczyć z kręgu podejrzanych. Nie oznaczało to, co prawda, że nie mógł zamordować Zanta, ale poważnie zmniejszało prawdopodobieństwo takiego rozwiązania.

A to oznaczało, że Bruce będzie musiał, choć niechętnie, rozważyć inne możliwości. Odłożył pracę i poszedł do salonu, gdzie jego córka Laurie, która przyjechała z college'u, zajęta była ubieraniem choinki.

III

W Boże Narodzenie, pośród wiadomości o pomniejszym znaczeniu, przemknęła informacja o tym, że Cameron Knowland cichaczem wycofał swój udział w prezydenckiej kampanii ubiegania się o reelekcję. Jego biuro opublikowało list, tak naprawdę dopiero po tygodniu zauważony przez media, w którym elegancko przeprosił za „zaangażowanie się w działalność, która mogła sprawiać wrażenie, że staram się znaleźć informacje o skandalicznym zachowaniu czołowych kandydatów konkurencyjnej partii”. W wydanym następnie oświadczeniu Biały Dom podziękował mu za wieloletnią służbę oraz za przyjaźń okazywaną prezydentowi, ale nawet jednym słowem nie wyraził żalu z powodu rozstania. Jako pierwsza w rodzinie dowiedziała się o tym Astrid, ponieważ ktoś przysłał jej SMS-a, a ktoś inny do niej zadzwonił. 26 grudnia tej informacji poświęcono półtorej minuty w wieczornych wiadomościach. Astrid patrzyła w telewizor z niewyraźną miną. Julia już miała zapytać ją, w jaki sposób dotarły do niej plotki o tym, że podobno Lemaster stara się ukrywać jakieś brudy, ale zobaczywszy autentyczny smutek tej kobiety, nie śmiała się odezwać. Dzień później Astrid wraz z dziećmi wyjechała do domu. Tego samego wieczoru Julia oglądała program

Tessy. Niedysiejsze współlokatorki zdążyły już się pogodzić po tym, jak Tessa zawiodła zaufanie Julii. Zawsze tak to się kończyło. Julia już zawsze miała pamiętać o długu wdzięczności wobec Tessy za uratowanie jej życia, a Tessa już zawsze miała liczyć na jej wdzięczność. Tego wieczoru Tessa zastanawiała się, czy możliwe jest, że te dwa zwolnienia, Astrid Venable i Camerona Knowlanda, gdzie każde z nich było ważnym trybem w politycznej maszynie, sygnalizowały początek wzajemnych uprzejmości, tak oczekiwaną odmianę w porównaniu z kampaniami ostatnich lat.

Julia obawiała się jednak, że to początek czegoś innego, choć sama nie wiedziała jeszcze czego dokładnie. Pamiętała jednak, jak Lemaster, który podobno uważał Camerona za zbyt grubą rybę, żeby on mógł sobie z nim poradzić, późnym wieczorem mówił do telefonu komórkowego: „...ten gość ma piekielną czelność wchodzić jak jakiś pan i grozić mojej żonie w samym środku mojego kampusu. Nie mam zamiaru tego znosić. Tak, wiem. Wiem, ale nic mnie to nie obchodzi. Nie będę tego tolerować. Czy jasno się wyrażam? I to samo dotyczy tego Tice’a, który wszędzie rozpytuje o moją żonę. Nie mogę czegoś takiego tolerować w moim mieście. Czy to jest jasne?”.

Julia chciała wówczas podkraść się do męża i przytuliwszy się do niego, pomóc mu pokonać ten trapiący go ostatnio ponury nastrój. Nie zrobiła tego jednak, tylko wycofała się do łóżka i naciągnęła kołdrę na głowę, a przyczyną jej zachowania znowu był fakt, że Lemaster nadużył zaimka dzierzawczego.

Rozdział 34

Świat po drugiej stronie lustra

I

Czterdziesty trzeci wielki debiut towarzyski, Pomarańczowo-Biały Bal w Nowej Anglii zorganizowano jak zwykle w eleganckim hotelu w Bostonie, kilka dni przed Nowym Rokiem: najpierw koktajle, potem kolacja, a w końcu tańce, czasami trwające aż do białego świtu, tak właśnie balowała afroamerykańska śmietanka, na luzie, ciesząc się sukcesem i podziwiając się nawzajem. Biała Ameryka nie знаła niczego takiego i nic o tym nie wiedziała. To Biedronki zapoczątkowały tę tradycję, najpierw w Nowym Jorku, potem w Waszyngtonie, a teraz w ośmiu różnych rejonach kraju, jeszcze w czasach, kiedy dokonywane przez wielkie i trochę mniejsze rodziny ciemniejszej nacji wprowadzenie młodych kobiet do towarzystwa rzeczywiście odgrywało jakąś rolę, a wówczas można to było zrobić jedynie w tym miejscu. W obecnych czasach coraz mniej nastolątek okazywało zainteresowanie odgrywaniem roli debutantek. Ale Wielki Pomarańczowo-Biały Bal trwał. Członkinie Biedronek wciąż przywdziewały swoje tradycyjne białe suknie z jakimś pomarańczowym dodatkiem, a ich goście - kiedyś byli to wyłącznie mężowie - nosili białe krawaty, chociaż Julia, stojąc w sali balowej z Lemasterem oraz Marlonem i Reginą Thackery, zauważyła dwie czy trzy pary, w których oboje partnerów było w białych sukniach, stanowiąc wyraźny efekt dwuletnich zaciętych dyskusji.

- Wydaje mi się, że Bitsy ma tę samą sukienkę co w zeszłym roku - powiedziała Regina. Ich mała scysja na podjeździe domu Kimmer dawno już poszła w niepamięć.

- To nowa sukienka - zapewniła ją Julia. - Byłam z nią w sklepie, kiedy ją kupowała.

- Tak, wygląda identycznie, a do tego jestem pewna, że już widziałam tę torebkę.

- W zeszłym roku miała bez pleców.

- Ty to nazywasz plecami?

Lemaster i Marlon oddalili się w kierunku grupki zamożnych przedstawicieli mieszkającej w Nowej Anglii gałęzi nacji, i teraz szczęściu lub siedmiu mężczyznom łaskawie przyglądało się tłumowi, jakby doskonale zdając sobie sprawę z dzielącej ich różnicy klas - to

już nie te czasy, kiedy do Klanu należeli nieliczni i trudno było do niego się dostać. Lemaster robił to, co zawsze, opowiadał hałaśliwe dowcipy, a oni przez cały czas chichotali, potentaci w dziedzinie biznesu, polityki i sztuki, zauroczeni jego dowcipem, jakiego nigdy nie okazywał w domu. W takich sytuacjach Julia często miała wrażenie, że przeszli na drugą stronę lustra do magicznego świata, w którym Lemaster nie był tym czułym, a zdystansowanym człowiekiem, z którym dzieliła łóżko, tylko osobą potrafiącą każdego oczarować, a ona sama stanowiła centrum uwagi i zawiści innych kobiet. Stojąc w towarzystwie bezustannie plotkującej Reginy, Julia nastawiała ucha, starając się usłyszeć rozmowę mężczyzny, jak zawsze zafascynowana niesamowitym talentem męża do oczarowywania innych. Do jej uszu docierał jednak wyłącznie śmiech.

- Powinni zacząć tańczyć - odezwał się jakiś głos obok niej. - I ty też powinnaś to zrobić.

Julia odwróciła się i uśmiechnęła, ponieważ Aurelia Treene, choć miała już chyba z siedemdziesiąt pięć lat, wciąż należała do jej ulubionych powieściopisarek oraz ulubionych osób, chociaż spotykały się tylko z okazji takich wydarzeń jak to dzisiejsze. Aurie była kobietą wysoką, szczupłą i delikatną, patrzącą na wszystko spokojnie, trzeźwo i z rozwagą, jakby już wszystko w życiu widziała. W dawnych czasach ona i Mona były kumpelkami i rywalkami w Harlemie, chociaż Aurie pochodziła z Tennessee. Przynajmniej raz w roku odwiedzała ich dom przy North Balch Street. Obecnie mieszkała w Maine.

- Jak się ma twoja mama?

- Doskonale.

- To wspaniała kobieta. - Parkiet był zatłoczony i chociaż zespół grał bardzo głośno, Aurelia nie podnosiła głosu. Jakby znalazły się w jakimś polu ciszy. - Ona wciąż jeszcze może cię wiele nauczyć.

- Wiem. - Julia zamoczyła usta w szampanie. Delikatne dłonie Aurie były puste. Uzupełnienie jej sukni stanowił pomarańczowy szal. Przyszła sama, kilka razy zatańczyła, przeważnie z zaskoczonymi mężatkami, którym to bardzo pochwlebiało. - Tak rzadko się widzimy, a sama wiesz, jak ona nie cierpi rozmawiać przez telefon.

- Zważywszy na sytuację, to bardzo rozsądnie z jej strony.

- Na jaką sytuację?

- Na to, co się dzieje.

Tym razem Julia odwróciła się do niej.

- A co się dzieje?

Aurie uśmiechnęła się i postukała w czoło, jakby chcąc dać do zrozumienia, że Julia

przecież musi doskonale zdawać sobie sprawę, o czym ona mówi. Podszedł kelner z tacą pełną wysokich kieliszków z szampanem. Julia sięgnęła po nowy kieliszek. Aurie również wzięła, ale nie piła. Zmieniła temat.

- Musisz być bardzo dumna.

- Dumna?

Kieliszkiem pokazała w kierunku stojących mężczyzn.

- Z Lemastera. To ogromny zaszczyt. Ogromny. Niewielu dostępuje takiego wyróżnienia.

- Tak, oczywiście. Co prawda stanowisko rektora uniwersytetu wiąże się z pewnymi komplikacjami, a niektórzy wykładowcy chcieliby go udusić, ale...

- Nie to miałam na myśli.

- To co miałaś na myśli?

Palce Aurie uszczypnęły Julię w ramię jak kleszcze.

- Daj spokój, Julio. Całe życie gromadziłam cenne źródła informacji. Przede mną nie musisz skrywać swoich tajemnic.

- Jakich tajemnic? - Zażenowany uśmiech. - O jakim osiągnięciu Lemmiego zapomniałam? Bo lista jest tak długa - och, jakże ona nie cierpiała tej roli oddanej żony, nienawidziła tego! - trudno to wszystko spamiętać.

- To, że jest Bubbą.

- Niby kim?

- Bubbą. I tak oto rodzinna tradycja jest kontynuowana. - Kolejne uszczyknięcie, tym razem mocniejsze. - Nie musisz udawać. Oczywiście, ludzie z zewnątrz nie powinni nic wiedzieć, ale ja mam swoich informatorów wśród bractwa.

Julia tylko pokręciła głową, czując, że wszystko coraz bardziej się jej miesza. Może winny był szampan, bo znowu czuła się jak kretyńka na zjeździe geniuszy.

- Przepraszam, Aurie. Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym ty mówisz.

- Co ty opowiadasz? Czyżby podał ci prawdziwą nazwę? Powiedział ci, jak Empireum naprawdę nazywa swojego Bubbę, najważniejszą osobę po szefie? - Elektryzujące drżenie. - To wręcz wyśmienite, Julio. Naprawdę wyśmienite. Co on ci powiedział? No podziel się wiadomościami.

Julia stała jak wmurowana i tylko wpatrywała się w nią.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że mój mąż jest... pierwszym po szefie w Empireum?

- Nie wiedziałaś o tym? Och, Julio, tylko mi nie mów, że trafił ci się jeden z tych gości starej daty, którzy kultywują wszelkie tradycje, uważając, że nikt z zewnątrz niczego

nie może się dowiedzieć i tak dalej.

- Lemaster jest właśnie takim gościem starej daty.

- Czyli on przygotowuje następcę? Pracuje nad tym wszystkim?

- Następcę?

- Empireum rekrutuje ich w młodym wieku. Ale o tym pewnie wiesz. Wielu członków sposobi do tego własnych synów. Oczywiście, Bay Dennison nie miał dzieci... - Urwała na widok wyraźnego zaskoczenia na twarzy Julii. Na eleganckie rysy pisarki ni z tego, ni z owego opadła maska, zupełnie naturalnie, jakby ona wraz z Lemasterem rzeczywiście należeli do tego tajemnego świata po drugiej stronie lustra, natomiast Julia pozostała kimś obcym. - Ale to i tak nie ma znaczenia. Gratulacje. Proszę cię jednak, żebyś zapomniała o naszej rozmowie.

Kątem oka Julia dostrzegła zmierzającego w ich stronę Lemastera, machał do nich i uśmiechał się, najwyraźniej gotów ponownie zatańczyć dla swoich wielbicieli. Aurie zdawała się gotowa do odejścia.

- Zaczekaj - powiedziała Julia. - Poczekaj jeszcze moment. Powiedz mi jedną rzecz.

- Jedną. - Mówiła, jakby była rozzłoszczona, być może na samą siebie, że się wygadała.

- Wydaje mi się, że Lemaster dlatego nic mi o tym nie powiedział, bo Empireum jest już chyba starą organizacją, która powoli wymiera. - Obserwowała twarz Aurelii. - To stara i wymierająca organizacja, prawda? Mało ważny, podrzędny klub towarzyski, nikt go nawet nie wspomina, kiedy wymienia się te prestiżowe, co? Nie myślę się, prawda, Aurie? Prawda?

- Oczywiście, że tak.

- Jesteś tego pewna?

Powieściopisarka spojrzała na zbliżającego się Lemastera, a potem promiennym uśmiechem odprawiła Julię.

- Och, ty jesteś taka bystra. Taka bystra.

Aurie ucałowała Julię w koniuszek nosa i powróciła do swojej świty.

II

W hotelu mieli do dyspozycji trzy pokoje, jeden dla rodziców, drugi dla Aarona, a trzeci dla dziewczynek, ponieważ Vanessie udało się zwycięsko wyjść z ostatniej próby sił ze swoją matką i nie znalazła się wśród młodych kobiet tej nocy formalnie wprowadzanych do towarzystwa. Julia i Lemaster udali się na górę około pierwszej nad ranem. On położył się do

łóżka, a ona udała się na rodzicielski obchód. Aaron rozmawiał przez telefon komórkowy. Jeannie już spała, ale Julia usiadła razem z Vanessą i zaczęła oglądać uwielbianą przez córkę głupawą komedię, raz na jakiś czas rzucając okiem na swoje najmłodsze dziecko, by upewnić się, że śpi i nie wysłuchuje przerażająco ryszotkowego języka; choć może i tak go chłonęła. Julia i Vanessa wyciągnęły się na łóżku, trzymając się tak, jak to zwykle robiły. Trochę rozmawiały, trochę śmiały się z filmu, aż nagle Julia poderwała głowę i zauważyła, że Vanessa chrapie, a cyfrowy zegar poinformował ją, że dochodzi trzecia.

Cichaczem wróciła do swojego pokoju, ubrała się w koszulę nocną i wsunęła pod kołdrę, starając się nie budzić męża.

Ale on się obudził.

Pocałowali się i przez chwilę delikatnie pieścili, ale byli zbyt zmęczeni, żeby przejść do czegoś bardziej energicznego, więc tylko złożyła głowę na jego ramieniu, a on głaskał jej kark i rękę, tak jak lubiła. Rozmawiali o tańcach, o polityce wydziału i o tym, co Preston może kombinować w Meksyku. W pewnym momencie Julia zapytała męża, dlaczego nie powiedział jej, że został wybrany - nie miała pewności jakiego użyć słowa - na Bubbę.

- Chyba wiesz, Jules, że przysięgliśmy zachować tajemnicę.

- Ale mówiłeś mi, że Bay Dennison był... jak to nazywaliście tego szefa?

- Grand Paramount. Czasami znany też jako Autor. - W ciemnościach hotelowego pokoju rozległ się jego śmiech. Zawtórowała mu więc. Te wymyślne nazwy stanowiły jedną z tradycji ciemniejszej nacji. - Proszę bardzo. Wyjawilem ci tajemnicę Empireum. Zadowolona?

Pocałowała go.

- A ty jesteś... Bubbą?

Kolejna przerwa na reklamy, przed dalszą częścią wiadomości.

- Tak, Jules. Jestem Bubbą. Ale musisz zrozumieć, że nie możemy o tym rozmawiać.

- Czy mógłbyś mi tylko powiedzieć, co oznacza ten skrót Bubba? Aurie mówiła, że istnieje jeszcze inna nazwa, taka używana przez członków organizacji. - Cisza. Jeszcze raz spróbowała: - Powiedz mi, w takim razie, od jak dawna tam służysz.

- Od dziesięciu lat.

- Dlaczego tak długo? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- Ponieważ my jesteśmy ludźmi cierpliwymi.

Senny antrakt. Poznanie kilku sekretów męża sprawiło jej przyjemność, chociaż wyczuwała, że gdzieś głębiej kryją się jeszcze ciekawsze tajemnice.

- Lemmie?

- Uhm?

- Czy mogę zadać ci ważne pytanie?

- A te były nieważne?

Nie dała się zniechęcić.

- Aurelia powiedziała, że tradycja rodzinna jest kontynuowana. Co miała na myśli?

Czy na Barbados istnieje oddział Empireum?

I znowu kazał jej czekać.

- Aurelia ma za długi język - rzekł.

- Lemmie, co ona miała na myśli?

- Nie mam pojęcia, Jules.

- A co z następcą? Już wybrałeś?

Cisza.

- W takim razie powiedz mi coś innego. Czy Empireum to stara i wymierająca organizacja? Aurelia roześmiała się, kiedy ją o to zapytałam. Pamiętasz jak bardzo Mona się rozczłóściła, kiedy poinformowałam ją, że za ciebie wychodzę? Chciała, żebym miała męża z bardziej szacownego klubu. Sama to powiedziała. Wściekła się, kiedy ty nie chciałeś odejść z Empireum do Boule czy Gwardzistów. Pamiętasz? Śmiałyśmy się z tego, że ona tak poważnie traktuje scenę towarzyską. Lemmie, śmiałyśmy się z tego.

- Pamiętam.

- Ale mieliśmy rację, tak? A może też są pewne sprawy w Empireum, o których ja nic nie wiem?

- Oczywiście, że są pewne sprawy, o których ty nic nie wiesz. My nie rozmawiamy z ludźmi z zewnątrz, a ty, moja kochana, jesteś z zewnątrz.

To tyle, jeśli chodzi o ten trop. Ale wciąż jeszcze nie była gotowa rozstać się ze wspaniałym klimatem ciszy ogniskowej, więc spróbowała z innej beczki.

- Lemmie?

- Uhm?

- Pamiętasz tamten rok, kiedy zmarła Gina Joule?

- Została zamordowana. - Jak zawsze surowy i bezwzględny.

- Tak. - Z wdzięczności za te słowa objęła go mocno. - Tamten rok, kiedy ona została zamordowana. Ty wróciłeś wtedy z Anglii, kiedy dokładnie to było? W maju?

- W czerwcu.

- Czy wówczas ludzie wciąż jeszcze mówili o tym... morderstwie?

- Niespecjalnie. Raczej nie.

Zawahała się.

- A Mal? Albo Łach? Czy oni o tym rozmawiali?

- Naprawdę nie pamiętam.

- Bo mnie chodzi o to, że...

- Jules, już jest po trzeciej. Jutro czeka nas długa droga. - Wysunął się z jej objęć i przewrócił na drugi bok, pozostawiając ją zupełnie samą w zimnych ciemnościach.

Rozdział 35

Przyjacielska pogawędka

I

- Bardzo miło z pańskiej strony, że poświęcił mi pan trochę czasu - odezwał się Bruce Vallely z uśmiechem. Dopiero drugi raz był w gabinecie rektora i bardzo zależało mu, żeby nie zrobić jakiegoś fałszywego kroku, zwłaszcza po tym kłopotliwym wydarzeniu z Marlonem Thackerym.

Ale Lemaster Carlyle był przyjazny do granic możliwości.

- Nie ma o czym mówić, Bruce. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Chciałbym jeszcze raz wyrazić mój żal z powodu twojej straty.

- Dziękuję bardzo.

- Jak się ma Laurie? Studiuje na stanowym uniwersytecie w Pensylwanii, prawda? Jest gwiazdą bieżni?

- Można by tak powiedzieć.

Rektor uśmiechnął się i skinął głową. Nawet nie zerknął do notatek. Nie posadził Bruce'a po drugiej stronie swojego potężnego biurka, tylko gestem ręki zaprosił go na sofę, a dziarski asystent przyniósł im herbatę. Był pierwszy wtorek stycznia 2004 roku i uniwersytet dopiero zaczynał budzić się do życia po świątecznej przerwie.

- O ile się nie mylę, ona chce zostać weterynarzem, tak? A co u Bruciego? Wciąż jest postrachem marynarki wojennej? On chyba pływał na łodziach podwodnych?

- Tak, panie rektorze. USS Michigan, flota Pacyfiku. - Lemaster był w tym naprawdę dobry. Bruce musiał mu to przyznać. Przypomniawszy sobie, że powinien mieć się na baczności. W końcu rektor wciąż był podejrzany o morderstwo, nawet jeśli podejrzewał go tylko Bruce i może jeszcze Trevor Land.

- Nie chciał iść w ślady ojca do sił specjalnych?

Bruce był zaskoczony. Oko Lemastera błysnęło, jakby dla podkreślenia tego małego wyczynu. W żadnej historii jego służby nie było wzmianki o służbach specjalnych. Ktoś musiał dobrze wiedzieć, gdzie szukać, a także mieć kogoś wewnątrz organizacji, żeby

wykopać taką informację.

- Nie, panie rektorze.

- W takim razie powiedz mi, w czym mogę ci pomóc, Bruce. Rozumiem, że chodzi o naszego nieszczęsnego Kellena.

- Tak, panie rektorze.

Lemaster odezwał się wylewnie.

- Trevor mówił mi, że starasz się pomóc. Uważam, że to wyśmienity pomysł.

Bruce nie był pewien, czy kiedykolwiek słyszał, żeby ktoś poza filmami używał słowa wyśmienity.

- Po prostu wykonuję swoją pracę, panie rektorze.

- Bruce, możesz sobie darować tego pana rektora. Nie jesteśmy w wojsku, a przecież nasze żony doskonale się znały. - Założył nogę na nogę i powoli popijał herbatę, stanowiąc obraz absolutnego odprężenia. - Cieszę się, Bruce, że ty się tym zająłeś. Sam nie wierzę w tę wersję z napadem rabunkowym i jestem pewien, że też nikt inny w to nie wierzy. Mam nadzieję, że uda ci się znaleźć jakąś odpowiedź.

Bruce już zdążył wyjąć swój notes.

- Czy może pan mi powiedzieć, dlaczego nie wierzy w wersję z napadem rabunkowym?

- Może to kwestia przecucia? To wydaje się zbyt wygodne.

- Wygodne?

Rektor prychnął.

- Człowiek zostaje zabity w przeddzień spotkania z naszym Starszym Członkiem Zarządu, tak? A on z kolei mówi mi, że Kellen dysponował jakimiś informacjami, które miały mieć znaczenie w wyborach. Tak, Bruce, wydaje mi się to zbyt wygodne.

- Czy wie pan może, której stronie miały pomóc te informacje?

Przeczący ruch sztywnej głowy.

- Nie. Nie sądzę również, żeby Cameron coś na ten temat wiedział, ale możesz sam go o to zapytać.

- Czy mógłby pan scharakteryzować swoje kontakty z Kellenem Zantem?

- W zasadzie nie istniały. Dawno temu, zanim pobraliśmy się z Julią, ona była blisko związana z Kellenem. Z pewnością o tym wiesz. A od tego czasu, no cóż, nasza praca zawodowa raczej nas do siebie nie zbliżała. Przez większość czasu, kiedy ja byłem profesorem prawa, Kellen wykładał w Chicago lub Stanford. Tutaj wrócił na krótko przed objęciem przeze mnie funkcji rektora, ale był na wydziale ekonomii. A kiedy ja wyjeżdżałem,

to... to wyjeżdżałem.

- Rozumiem, że Kellen Zant i pańska żona pozostali przyjaciółmi?

Po raz pierwszy w trakcie ich rozmowy Lemaster Carlyle spuścił nieco z tonu.

- Sądzę, że tak.

- Czy to panu przeszkadzało?

- Że byli przyjaciółmi? Chyba tak. - Uśmiech zniknął z jego twarzy, ale Bruce szybko dostrzegł, że jego zwierzyzna nie jest, jak w pierwszej chwili mu się zdawało, urażona. Gładkie rysy nagle nabrały wyrazu zaangażowania. - Posłuchaj, Bruce. To wszystko zostanie między nami, dobrze? Rzecz w tym, że kiedy Kellen i moja żona byli blisko z sobą, on ją bardzo skrzywdził. Potrafił być bardzo grubiański. Wydaje mi się, że nie znęcał się nad nią fizycznie, lecz raczej psychicznie, co może być równie bolesne. Obawiałem się, że on znowu może skrzywdzić moją żonę.

Bruce skinął głową i coś zapisał. A potem, nawet nie podnosząc głowy, zapytał:

- Czy ma pan jakieś podstawy sądzić, że on ją krzywdził?

- Nie wiem, czy cię dobrze rozumiem?

Ale Bruce wiedział, że rektor doskonale go rozumiał.

- W ostatnich latach. Od kiedy Kellen Zant wrócił na uniwersytet. Czy w jakiś sposób skrzywdził pańską żonę?

- Mam nadzieję, że nie. - Ponownie rozparł się na krześle. - Wydaje mi się, że chyba wiedziałbym o tym.

Bruce odnotował to jego staranne dobieranie słów oraz brak wyraźnego zaprzeczenia, ale postanowił nie iść dalej tym tropem, tylko zachować sobie na przyszłość tę informację o unikaniu odpowiedzi.

- Chciałbym jeszcze zadać kilka pytań o tę noc, kiedy znaleźliście ciało.

- Oczywiście.

- Zatrzymał pan samochód, ponieważ mieliście wypadek.

- Niezręcznie się do tego przyznać, ale tak. - Pokręcił głową, jakby wyrażając żal za popełnione grzechy. Telefon zadzwonił kilka razy, ale Lemaster nie zwrócił na to uwagi. - Jest tam, co prawda, ostry zakręt, do tego wtedy była burza. Ale przecież ja od sześciu lat jeżdżę tą drogą. Nigdy nie zdarzyło się, żebym nie zauważył tego zakrętu.

- Czy istniał jakiś szczególny powód, dla którego mógł pan nie zauważyć tego zakrętu? Jakiś jeleń w lesie czy coś w tym rodzaju?

- Obawiam się, że nie. Nie mam żadnego wytłumaczenia.

- Nie zwolnił pan, bo zobaczył ciało w rowie?

I znowu z twarzy zniknął wyraz serdeczności, a w jego miejsce pojawił się zimnokrwisty karierowicz, przyjaciel prezydenta Stanów Zjednoczonych i miliarderów.

- Rozumiem, Bruce, dlaczego musisz zadać to pytanie. Sam byłem prokuratorem. Dokładnie znam procedury. Pozwól jednak, że zaoszczędzę ci czasu. Ja nie zabiłem Kellena Zanta. Nie zorganizowałem też tego w taki sposób, żeby ktoś inny go zabił. Kiedy zdarzył się ten wypadek, nie miałem pojęcia, że jego ciało tam leży. Rozumiemy się?

- Tak, panie rektorze. Nie zamierzałem stawiać takich pytań.

- Ale nie wypełniałbyś swojej pracy, gdybyś się nad tym nie zastanawiał.

Bruce puścił tę uwagę mimo uszu, ponieważ już dostatecznie długo był urzędnikiem, żeby zdawać sobie sprawę, że w tym wypadku nie ma dobrej odpowiedzi.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, panie rektorze, jeśli można.

- Proszę.

- Zgodnie z relacją obecnych tam osób, trzykrotnie wychodził pan z kolacji, żeby odebrać telefony dzwoniące na pana komórkę.

- Chyba tak.

- Rzecz jednak w tym, że o ile mi wiadomo, pan bardzo skrupulatnie stara się nie odbierać komórki podczas posiłków, a zwłaszcza oficjalnych, jeśli tylko sytuacja tego nie wymaga. Czy mogę pana zapytać, kto do pana dzwonił i czy rzeczywiście zdarzyło się coś wyjątkowego?

Po kolei wyliczał je na palcach.

- Jeden telefon był od mojej córki, która poszła do kina. Chciała umówić się, o której ją odbierzemy. Drugi był z Białego Domu. Zawsze odbieram telefony prezydenta, tego najważniejszego prezydenta, ale tym razem powiedziałem mu, że jestem zajęty sprawami uniwersyteckimi i zapytałem, czy mogę później oddzwonić. - Najwyraźniej wyraz twarzy Bruce'a go rozbawił. - Tak, tak się czasami robi. On też jest tylko człowiekiem.

- A trzeci telefon?

Lemaster Carlyle zmarszczył brew.

- Pamiętam tylko o dwóch. Jesteś pewien, że były trzy?

- Tak mi powiedziano.

- Cóż, muszę to sprawdzić w swoich zapiskach i zobaczę, co mi się uda znaleźć. - W jakiś magiczny sposób, prawie niezauważenie, Lemaster zdążył już postawić Bruce'a na nogi i przemieścić go do drzwi. Ucisnęli sobie dłonie. - Bruce, bardzo dziękuję, że się tym zająłeś. Naprawdę. Wszyscy to doceniamy.

Bruce spróbował wystrzelić swoją ostatnią strzałę.

- Aha, prawie zapomniałem.

- Bruce, proszę. To zagranie jest stare jak świat.

Wspólnie się roześmieli, ale widać było, że dobry humor rektora zaczyna się kończyć, choć może właśnie do tego Bruce chciał go doprowadzić. Powrócił dziarski asystent, z wyraźnym zadaniem pozbycia się gościa. Bruce nagle przypomniał sobie, że gdzieś już go widział, ale nie pamiętał gdzie.

- Chodzi o te rozmowy z komórki. Czy odbierał je pan z prywatnego telefonu, czy ze służbowego?

Zmarszczenie brwi.

- Córka z pewnością dzwoniła na moją prywatną komórkę. Podejrzewam, że Biały Dom podobnie.

- A ten trzeci telefon?

- Już mówiłem. Nie pamiętam trzeciego telefonu.

II

Po powrocie do swojego biura Bruce przejrzał notatki z przeprowadzonych rozmów. Tak, co do tego świadkowie byli zgodni, Lemaster odebrał trzy telefony, a jeden ze świadków twierdził nawet, że cztery. Dwie rozmowy były krótkie, co mogło oznaczać ustalenie pory odebrania córki i poinformowanie prezydenta Stanów Zjednoczonych, że Lemaster później oddzwoni, zachowanie stanowiące taki pokaz pewności siebie lub nieposkromionej pychy, że Bruce'owi aż dech zaparło. Trzecia rozmowa trwała długo. Również co do tego wszyscy byli zgodni.

Bruce ogromnie żałował, że nie może działać oficjalnie. Gdyby tak dysponował nakazem sądowym. Sprawdziłby billingi telefoniczne, konta bankowe, wyciągi operacji z kart kredytowych, te wszystkie miejsca, w których ludzie pozostawiają porzucane części swojego życia. Ale nie miał takich możliwości. On tylko wyświadczał przysługę swoim przełożonym i uniwersytetowi. Mógł tylko zadawać pytania.

To znaczy, mógł zadawać pytania, jeśli udało mu się znaleźć jakichś świadków.

Z tyłu notesu sporządził listę osób, z którymi wciąż jeszcze chciał się spotkać. Znajdował się wśród nich Nathaniel Knowland, który kłamał, mówiąc, że widział Kellena Zanta w noc jego śmierci, i który jeszcze nie wrócił na uczelnię na kolejny semestr. Bruce rozmawiał z Carol Lewin, która mogła udowodnić, że w noc śmierci Zanta nie było jej w miasteczku. Ale zaczynało mu już brakować świadków.

Z jakichś powodów wciąż tkwiło mu w głowie to ostrzeżenie od Ricka Chrebeta - na policji ginęły dowody, zniknął nawet telefon komórkowy Kellena Zanta. Ale dlaczego? Z pewnością wszystkie żądane informacje można było uzyskać od operatora sieci komórkowej. Telefony komórkowe. Zaraz. Przerzucając szybko strony notesu, zauważył pewną możliwość, którą wcześniej przeoczył. Tej nocy, kiedy zmarł Kellen Zant, dwie pierwsze rozmowy Lemaster Carlyle przeprowadził ze swojego prywatnego telefonu. Załóżmy, na razie tylko załóżmy, że tę trzecią przeprowadził z telefonu służbowego.

Bruce wyciągnął katalog uniwersytetu. Oczywiście, biuro telekomunikacji podlegało sekretarzowi uniwersytetu. Zatelefonował do Trevora Landa.

- Zastanawiałem się, panie sekretarzu, czy mógłby pan uzyskać billingi jednego z telefonów komórkowych.

- No nie wiem, komendancie Vallely, szczerze mówiąc wątpię, czy odnośne przepisy...

- W takim razie rozumiem, że pan się zgadza.

Rozdział 36

Huebner

I

Julia od zawsze wiedziała, że Mitch Huebner mieszka gdzieś tam daleko, jak mawiała babcia Vee, ale dopiero kiedy wysiadła z samochodu na podwórzu przed drzwiami jego samotnej, stojącej w Easy Woods, chałupy uzmysłowiła sobie, że określenie „szalony” byłoby tu zbyt łagodne. Stała w miejscu, rozglądając się ze zdumieniem. Mitch miał, oczywiście, psa, brudną czarną bestię, która wabiła się Goetz, i kiedy on siedział w kabinie pługa, warczała, ślinała się i śmierdziała, a teraz zjeżyła się na widok obcego, powstrzymywana przez zaciskający się na jej karku łańcuch, dla jej niewprawnego oka wyraźnie zbyt cienki, żeby powstrzymać psa zdecydowanego rzucić się do ataku. Zauważyła stojące tu i ówdzie sągi drewna, niektóre schludnie przykryte brezentem, a inne porozrzucane po ziemi, prawdopodobnie potrącone przez pijanego kierowcę pługa.

Dom był parterowy, z ciemnego drewna, w ścianie przed sobą dostrzegła dwa okna z powybijanymi szybami i dziury zapaćkane kreozotem lub smołą. Przy drzwiach stał wyrzeźbiony w ciężkiej kłodzie, ale niedokończony, totem z twarzą, która mogłaby przerazić samego diabła. Na dachu przybito pionowo krzyż z powiązanych i pomalowanych na złoty kolor dwóch gałęzi, nadając temu ponuremu budynkowi wygląd kościoła na głębokiej prowincji południa Stanów, gdzie protestancki fundamentalizm wciąż jest bardzo silny, tyle że pozbawiony tej charakterystycznej, rozkrzyczanej radości. Nigdzie nie było widać półciężarówki pana Huebnera, ale na ceglach stała karoseria starego forda pick-upa i Julia od razu zrozumiała, że właściciel rozmontował to auto na części zamienne do pojazdu, którym obecnie jeździł. Pan Huebner należał do ludzi jeżdżących wyłącznie samochodami, które potrafią sami naprawić. Kiedyś słyszała, jak nie szczędził ostrych słów pogardy, wypowiadając się na temat nowego pokolenia mechaników samochodowych, którzy podłączają silnik do komputera, żeby dowiedzieć się, co źle funkcjonuje, i ściągają z Internetu programy naprawcze, a słuchający go, zawsze politycznie poprawny Lemaster, szczytający się tym, że z każdym jest w stanie wejść w komitywę, kiwał poważnie głową, zgadzając się z

każdym jego słowem.

Julia nie chciała przyjeżdżać tu sama, ale wiedziała, że nie ma specjalnego wyboru. Dzieci były w szkole, z wyjątkiem Aarona, który miał jeszcze tydzień wolnego. Lemaster wyjechał z miasteczka. Nigdy nie nadarzy się lepsza okazja sprawdzenia, czy się nie myli, czy Kellen Zant przyjechał tu i zabrał dziennik dawno już zmarłego Arnolda Huebnera, który był miejskim posterunkowym w czasach, kiedy zginęła Gina.

Uważając na Goetza, który obnażał zębiska, warczał i wypluwał pieniące się smugi śliny, zupełnie się jednak nie ruszając z miejsca, Julia powolutku zbliżyła się do domu.

- Dobry piesek - mruzczała, bo czytała kiedyś, że takie słowa podobno rzeczywiście pomagają. - Dobry piesek. Miły piesek. Grzeczny piesek.

Pies kłapnął na nią pyskiem, ale z bezpiecznej odległości. Może zaliczał się do tchórzliwych.

- Dobry piesek. Tak. Tak. Widzisz, ja nie mam złych zamiarów. - Ręce trzymała w górze, tak żeby pies widział, że są puste. Zastanawiała się, czy zwierzę wyczuwa na niej zapach kota i czy to stanowi dla niego jakąś różnicę. - Grzeczny piesek. Miły piesek...

Goetz opuścił potężny łeb na swoje włochate łapy. Drżał, być może z zimna, chociaż miał bardzo gęstą sierść. Stojąca za nim buda wyglądała na zdecydowanie zbyt małą. Z językiem wywieszonym z pyska przyglądał się Julii badawczo.

- Tak. Dobry piesek, grzeczny piesek.

Dotarła już do drzwi. Obok stała szufla do śniegu, z tak brudnym i starym trzonkiem, że mogłaby stanowić muzealny eksponat. Mitch Huebner oczyścił ścieżkę ze śniegu, ale była bardzo wąska. Julia zapukała do drzwi, ponieważ nie znalazła żadnego dzwonka i ponieważ zdążyła już zgadnąć, że nikogo nie ma w domu, a to prawdopodobnie nawet jej odpowiadało.

- Panie Huebner? - zawołała.

Nic. Spróbowała zajrzeć przez usmarowane szyby, ale przypominało to zagłębienie do czyjegóż snu, ponieważ wszystko spowite było cieniem, przez który przemykały smugi jakiegoś białego poruszenia. Przebiegł ją dreszcz.

- Panie Huebner? Jest tam pan?

Nic.

- Panie Huebner! To ja, Julia Carlyle. Chciałabym z panem porozmawiać.

Mocniejsze stukanie w drzwi. Między drzewami coś się poruszyło i głowa psa natychmiast odwróciła się w tamtą stronę, podobnie zrobiła też głowa Julii. Najwyraźniej zakłóciła spokój jakiemuś gniewnemu ptakowi, wyglądał jak myszołów rdzawosterny, i Julia próbowała przypomnieć sobie, czy myszołowy odlatują zimą na południe. A jeśli odlatują,

rozmyślała, dlaczego ten ptak postanowił tu zostać? Odczekała chwilę, ale wśród zaśnieżonych drzew panowała cisza. Popatrzyła w stronę błotnistej drogi gruntowej, którą przyjechała, ale tam też nie dostrzegła żadnych śladów życia. Śnieg skrzypiał głośno między drzewami. Eglomiś, pomyślała, zupełnie bez związku.

- Jak myślisz? - zwróciła się z pytaniem do psa. - Czy tatuś jest w domu? - Tak w jej dzieciństwie nazywano właścicieli psów.

Zwierzę obrzuciło ją wściekłym spojrzeniem, z jego pyska zwisał różowy, gruby jęzor.

- Sam tu zostałeś? - Ponownie zapukała. - Panie Huebner, ja tylko na chwilkę.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Zawahała się i rozejrzała dookoła. Goetz patrzył na nią apatycznie, ciężko dysząc. Zastanawiała się, ile pies może mieć lat. Nie wiedziała nawet czy to pies, czy suka. Ciekawe, co robił teraz Anthony Tice. Czy Bruce Vallely nadal zajmuje się tą sprawą. Pomyślała też o tym, dlaczego oba sztaby wyborcze skoncentrowały się na tym samym brudzie, i który z tych złych ludzi to zrobił. Zastanawiała się, czy Lemaster ją kochał, czy tylko spełniał swój obowiązek wobec niej. Zastanawiała się praktycznie nad wszystkim, co tylko przyszło jej do głowy, tylko nie nad tym, dlaczego jej dłoń nacisnęła klamkę i dlaczego jej instynkt, zazwyczaj tak godny zaufania, zapewnił ją, że drzwi będą otwarte, bo i rzeczywiście były. Jeszcze raz zawołała pana Huebnera, ale już tylko na pokaz.

Czubek jej buta dotknął progu.

Pies zaatakował bez ostrzegawczego warknięcia. Słyszał było jedynie trzask pękającego cienkiego łańcucha.

II

Lemaster powiedział kiedyś, trochę kpiąco, a trochę z podziwem, że Julia przypomina owada, który potrafi myśleć każdą częścią ciała, nie tylko mózgiem. Tę akurat uwagę wypowiedział w ich małżeńskim łóżu pewnego romantycznego poranka dawno temu, ale Julia, istota reagująca instynktownie, zdawała sobie sprawę, że ta sama niesamowita prędkość dokonywania wyborów charakteryzowała ją również w życiu codziennym. Dlatego też nie musiała podejmować decyzji, że nie ma czasu rzucać się do domu i próbować zamknąć za sobą drzwi, wiedziała to już wtedy, kiedy Goetz siedział jeszcze spokojnie na podwórzu, zdawała sobie z tego sprawę tak samo, jak z tego, które kompaktki znajdują się w zmieniaczu płyt w escalade i którą bluzkę miała na sobie Jeannie przy śniadaniu, były to takie informacje,

na których nigdy nie skupiłaby uwagi, dopóki nie okazałoby się, że są jej potrzebne. Nie była w stanie wyprzedzić psa, nie mogła mu się wymknąć, nie mogła za niczym się schować. Nie miała dość czasu, żeby obmyślić jakiś rozsądny plan. W pobliżu była tylko ta szufla, którą już trzymała w ubranych w rękawiczki dłoniach, ponieważ odruchowo chwyciła ją, kiedy tylko dostrzegła ruch psa.

Julia odwróciła się w miejscu, nieomal tracąc równowagę, kiedy pies skoczył na nią.

Mocno zamachnęła się szuflą, jak przy grze w softballa, tak jak przed laty w Hanover High, i z impetem trafiła w łeb zwierzęcia.

Jakby uderzyła w litą skałę.

Dłonie ją zapiekły, a Goetz nie doskoczył do niej, tylko trafiony upadł na werandę, gdzie potrząsnął pyskiem, przez chwilę szukał na śliskim lodzie oparcia dla łap, a potem, tocząc wściekłą pianę z pyska, odwrócił się i ponownie na nią ruszył, tym razem już warcząc. Obawiała się, że udało się jej tylko zranić jego dumę.

Przerażona Julia zamachnęła się kolejny raz, ale teraz już nie trafiła w głowę, tylko w górną część tułowia psa.

Pies zawył z bólu, ale nie ustawał w wysiłkach. Ciężkie łapy oparły się na jej kurtce, przytłaczając Julię swoją masą, zwierzę przewróciło ją na plecy. Julia zaczęła krzyczeć. I ona, i Goetz zwalili się na lód, jednocześnie zadrżeli od uderzenia i przez chwilę byli tak samo oszołomieni. Ostrze szuflki znalazło się między jej twarzą a kłapiącym pyskiem psa. Po upadku Julia była ogłuszona, ale też pobudzona, kręcący ją w nosie i ustach cuchnący zapach błyskawicznie ją ocucił jak najlepsze sole orzeźwiające. Pysk przyciskał się do szuflki, a dzikie czarne oczy patrzyły na nią z nienawiścią, ale zwierzę było zbyt głupie, żeby zrozumieć, że nie uda mu się tak po prostu odsunąć metalu nosem. Prędzej czy później jednak, metodą prób i błędów, dojdzie do tego. Julia już wcześniej poznała co to paniczny strach, ale to uczucie nigdy nie było tak intensywne. Jej serce zdawało się gotowe do ucieczki, zupełnie nie zważając na pozostałą część jej ciała.

Próbowała zerwać się na nogi, ale była na to za mała, a może też kąt był za mały, a może, co najbardziej prawdopodobne, ten pies po prostu był za wielki. Udało się jej uwolnić rękę spod szuflki, ale tylko dostarczyła bestii celu. Zwierzę, próbując odgryźć jej palce, zatopiło kły w rękawiczkę. Instynktownie wyszarpnęła rękę, zostawiając we wściekłym pysku rękawiczkę, a gruby mrozoodporny materiał pomiędzy zębami ogłupił psa. Kiedy kłapał paszczą, warczał i skrobał się łapą po pysku, Julia wyciągnęła spod niego nogę i mocno go kopnęła. Goetz starał się ją przytrzymać, ale znowu się poślizgnął i udało się jej spod niego wytoczyć. Próbowała wstać, ale weranda była zbyt oblodzona. Chwilę później znowu na nią

wskoczył, tym razem znalazł się na jej plecach, nie było już chroniącej ją wcześniej szufli, została tylko kurtka, była taka cienka, a jego szczęki tak blisko, Julia krzyczała i niezgrabnie próbowała uderzać psa, w pewnym momencie wydawało się jej, że słyszy jakiś krzyk, ale prawdopodobnie to ona sama krzyczała, a w każdym razie Goetz nie ustępował, więc tylko znowu krzyknęła...

Dźwięk wystrzału zaskoczył ją zupełnie.

III

Ciężar zniknął. Julia leżała na ziemi i dyszała panicznie przestraszona, przez moment nie mogąc ruszyć się z miejsca.

- Głupia suka - usłyszała czyjś głos, a na te słowa krew ponownie zaczęła krążyć w żyłach Julii, która przewróciła się na plecy, jeszcze drżała z przerażenia, ale nadal była gotowa podjąć wyzwanie, aż w końcu dostrzegła Mitcha Huebnera, który ze smutkiem spoglądał na swojego psa.

Goetz nie dostał. Przynajmniej tak się Julii wydawało, chociaż trudno było powiedzieć, zważywszy na to całe czarne futro. Ale był mocno przerażony, a raczej była przerażona i skuliwszy uszy, czołgała się z powrotem do przekrzywionej budy. Wyglądało na to, że zwisający spod pachy Mitcha Huebnera karabin wykonał swoje zadanie i ją przestraszył.

Mitch jeszcze nie spojrzał w stronę Julii, stał tylko na stopniu swojego pick-upa, którego pocięty żółty pług skierowany był w stronę chałupy, jakby za chwilę miał zrównać dom z ziemią. Kiedy Mitch zgasił silnik samochodu, Julia spodziewała się, że zaraz wsunie karabin z powrotem za fotel, ale on tego nie zrobił. Dopiero teraz zauważyła, że wśród nalepek widocznych na szybie za zagłówkiem kierowcy niektóre noszą nazwy organizacji tak skrajnie prawicowych, że na ich tle Krajowe Stowarzyszenie Posiadaczy Broni Palnej wyglądało jak Krajowa Rada Kościołów. Zszedł z półciężarówki i ostentacyjnym krokiem podszedł do psiej budy, w której Goetz wciąż jeszcze leżała nadąsana, dopóki pan nie stanął nad nią w rozkroku i mrucząc jakieś słowa, które miały ją uspokoić, nie podał jej czegoś, co w pierwszej chwili Julii wydało się kością, ale co zaraz potem rozpoznała jako hamburgera. Zwierzak szybko się podniósł i usiadł przed swoim panem, na jego pysku pojawiła się ta charakterystyczna dla psów, które chcą być lubiane, przypominająca uśmiech mina, i zabrał się do rozszarpywania mięsa, wkładając w tę czynność wiele entuzjazmu, który niewątpliwie wolałaby zademonstrować rozszarpując Julię.

- Przepraszam za psa - odezwał się pan Huebner, teraz stojąc około metra od werandy, wciąż jeszcze nie patrząc na swojego gościa, który na pewno nie spodziewał się słów przeprosin, ale zdążył już nawet obmyślić jedną czy dwie wymówki. - Zrywa wszystkie łańcuchy. Kiedyś w końcu kogoś skrzywdzi. Nigdy nie była specjalnie opanowana. - Ciężkie westchnienie. - Pewnie wkrótce trzeba będzie ją zastrzelić, ale lubię staruchę.

- Mógłby pan postawić ogrodzenie - zasugerowała Julia, siadając na ziemi i rozcierając pośladki, obolałe od zderzenia z lodem. Przyływ adrenaliny powodował, że oddech miała urywany. Nawet nie zapytał, jak ona się czuje.

- No można. Ale to by kosztowało.

- Musi pan coś z nią zrobić. - Wciąż sapała i dyszała. - Sam pan powiedział, że może kogoś skrzywdzić.

- Ma już słabe zęby.

- Moim zdaniem wyglądają na bardzo ostre.

- Niewiele brakowało i zabiłbym głupią sukę. - Pokręcił głową. Daszek kraciatej czapki zasłaniał wyraz jego twarzy. - Nigdy tego nie musiałem robić. Chyba nieźle ją pani wystraszyła.

- Ona jest niebezpieczna.

- Ludzie do mnie nie przychodzą. I nikogo się dzisiaj nie spodziewałem. - W końcu uniósł wzrok, wciąż trzymając karabin pod pachą. Jego jak zawsze pokryta szczeciną twarz była czerwona, jakby przez kilka ostatnich poranków wolał zajmować się piciem niż goleniem. Miał na sobie stare dzinsy i myśliwskie buty, które wiele mil już przeszły, oraz lekką wiatrówkę, jakby na potwierdzenie tego, że jego korzenie zbyt głęboko sięgały w piaszczysto-ilastą glebę Nowej Anglii, żeby miał go przestraszyć jakiś niewielki chłód.

- Ja nie chciałam się tu panu narzucać. Ale nie mogłam się do pana dodzwonić. Pukałam i wtedy nagle drzwi się otworzyły, a wtedy ona...

- Niczego by pani nie zrobiła, gdyby nie próbowały pani wejść do środka.

- Ale ja...

- Pani Carlyle, czy weszła pani do mojego domu?

Została przyłapana przez białego, a tego najbardziej nie lubiła. Mitch Huebner złapał ją na gorącym uczynku. I był uzbrojony. Przez moment jej usta poruszały się bezgłośnie i dopiero po chwili udało się jej odpowiednio poukładać słowa.

- Może wsunęłam stopę.

- Może i tak. - Opuścił lufę karabinu. - Mnie wychowano, że coś takiego nazywa się naruszeniem czyjejs własności.

Chwila przerwy. Zdała sobie sprawę, że on oczekuje od niej uprzejmości za swoją uprzejmość.

- Przepraszam, panie Huebner. Nie chciałam. Pańskie drzwi były otwarte.

Być może te zimne oczy mieszkańca Nowej Anglii już jej wybaczyły, ale chyba w niewielkim stopniu.

- Czy mogę pani w czymś pomóc, pani Carlyle?

- Hm, tak, oczywiście. Jeśli ma pan chwilkę, chciałabym zadać panu kilka pytań. - Julia drżała na całym ciele, częściowo jeszcze z szoku, częściowo ze świeżego strachu, a częściowo z zimna. Zwłaszcza jej palce były zimne. Zastanawiała się, gdzie Goetz mogła porzucić jej pogryzioną rękawiczkę.

- Ale nie o latarnie. Ja ich nie uszkodziłem, pani Carlyle. - Mówił tonem opryskliwym i jednocześnie stanowczym. - Przez lata zdarzyło mi się uderzyć w jedną czy dwie latarnie, czasami w skrzynkę na listy, raz nawet w ścianę przysypaną śniegiem. Wiem, co się wtedy dzieje. Nie uderzyłem w pani latarnie.

Uśmiechnęła się do niego, chociaż z trudem, bo zęby szczękały jej z zimna i adrenaliny.

- Już panu to powiedziałam, panie Huebner, ale mogę to powtórzyć. Nie obwiniam pana o te latarnie. - Roztarła obolały łokieć. - Wiem, że pan ich nie przewrócił. Przepraszam, że w ogóle tak pomyślałam.

A teraz to on powinien się zastanowić. Uspokoila go. Czego jeszcze mógł chcieć? Po chwili wzruszył ramionami i niezgrabnym krokiem wspiął się na werandę.

- Proszę wejść, jeśli pani na tym zależy - rzekł, znowu nie patrząc na nią. Pan Huebner wydawał się trochę zbyt podenerwowany, chociaż kwestia lamp została już załatwiona, i Julia wyczuła, że rzadko odwiedzały go kobiety, być może poza takimi, które przesiadywały w barach na cieszącym się złą sławą krańcu drogi nr 48.

Idąc za jego przykładem, Julia Carlyle przekroczyła próg i zanurzyła się w świecie jego szaleństwa.

Tu wszystko było jakieś nienormalne. Nieznacznie, ale zdecydowanie nienormalne.

W kamiennym palenisku zobaczyła nie tylko spalone kłody, ale długie, osmalone sadzą noże, które pan Huebner najwyraźniej tam rozgrzewał. Nad kominkiem znajdowało się brudne lustro, ale trudno było oprzeć się wrażeniu, że przynajmniej w pewnej części ten brud znalazł się tam celowo, jakby dziecko upaśćkało powierzchnię lustra mazakiem. Być może to lustro zazwyczaj było przykryte - leżący na podłodze z nieheblowanych desek nadgryziony przez mole koc, niegdyś niebieski, chyba miał odpowiedni rozmiar. Wszystkie okna, oprócz

jednego w drzwiach, miały pozamykanie okiennice, i w każdym tkwiła gałązka jakiegoś zielska - wrzosu? - przymocowana do szpary między skrzydłami. Nad okiennicami czarną farbą wymalowane były krzyże. W pokoju znajdowało się dostatecznie dużo broni palnej, krótkiej, długiej i półautomatycznej, żeby wywołać małą wojnę, a może nawet ją zakończyć. Po obu stronach głównego wejścia stały dwie figury Madonny wielkości odpowiedniej do umieszczenia w ogrodzie, wyglądające jak słupki systemu alarmowego w sklepie wideo. Szczelnie zamknięte drzwi musiały chyba prowadzić do kuchni, łazienki, a może i do sypialni, chociaż Julia miała wrażenie, że pan Huebner zazwyczaj sypia na starej kanapie z czerwonej skóry, pod kocem przystrojonym kolejnymi prymitywnie narysowanymi krzyżami. Wzdłuż bocznej ściany biegł transparent nawołujący do supremacji białych.

Tak, pomyślała Julia, to świetny pomysł.

Pośrodku pokoju pan Huebner zdjął rękawice i wraz z czapką rzucił je na stół. Sięgnął po opakowanie czekoladowych markiz z masą waniliową, które prawdopodobnie leżały tu od zeszłego roku, zawinięte u góry z sumiennością grzecznego dziecka.

- Czy mógłbym pani coś zaproponować? - zapytał, wciąż nie patrząc na nią.

- Dziękuję bardzo - odrzekła Julia, która stała wyjątkowo nieruchomo. Czuła się jakaś nadęta, a do tego wciąż bardzo przestraszona. Drzwi frontowe stały otworem. Nie poprosił jej o ich zamknięcie, ale gdyby tak zrobił, rzuciłaby się do swojego samochodu, ponieważ wolałaby ponownie zмагаć się z Goetz niż znaleźć się sam na sam z Mitchem Huebnerem za zamkniętymi drzwiami tego jego zwariowanego pokoiku. Szaleństwo tego człowieka było czymś żywym, ono w nim płonęło, i chociaż stała w pewnej odległości, czuła, że może je wdychać, jak bierny palacz i z czasem sama może się rozchorować.

- W takim razie... o co chciała mnie pani zapytać?

- Tak...

Jego wzrok powędrował za jej spojrzeniem w stronę flagi głoszącej supremację białych. Zachichotał.

- Proszę się tym nie przejmować. Chodzi tylko o to, żeby ją odstraszyć. To nic nie znaczy.

Julia poczuła, że wkracza w chłodny, drażniący strumień niemożliwości.

- Kogo odstraszyć?

Popatrzył na nią gniewnie, a jego oczy, bezbarwne i błyszczące, były puste, jak oczy martwej istoty mijanej nocą na drodze.

- Pani chyba zna odpowiedź. W przeciwnym razie nie przysłaby pani tutaj.

Julia powstrzymała odruch zwilżenia warg językiem. Wiatr na dworze wzmógł się.

Pies zawył, a ciągnący po pomieszczeniu przeciąg nawet przez kurtkę łaskotał ją po krzyżu. Nie zapyta. Zdecydowanie zrezygnowała, nawet podświadomie, z tego, żeby go zapytać.

I niepewnie powróciła do swojej kwestii.

- Pan... pan znał tego profesora, którego zabito. Kellena Zanta.

- To o to chodzi?

- On był u pana. Szukał dziennika pańskiego ojca.

- Może. - Skrzyżował silne ramiona na piersiach. Nie zdjął wiatrówki, pod którą, z tego co Julia mogła się domyślić, mógł skrywać jeszcze jeden lub nawet dwa karabiny. - A co pani do tego?

Ponownie uniosła wzrok, przyglądając się brudnemu lustru, zakrytym oknom i porozrzucanym po pomieszczeniu symbolom religijnym. Wszystko tu wyglądało na bardzo stare.

- Pański ojciec był posterunkowym, kiedy zginęła Gina Joule. Rodzina Joule'ów zrobiła wokół tego wiele hałasu, ale wkrótce sprawa została zamknięta. Obwiniono za to DeShauna Motona. Wszyscy się z tym zgodzili. Pański ojciec uczestniczył w konferencji prasowej. - Bacznie obserwowała jego twarz. - Oczywiście, doszło potem do zamieszek i Landing na jakiś czas okryło się złą sławą. Ten skandal zakończył karierę pańskiego ojca. Można nawet powiedzieć, że zakończył też karierę Huebnerów w Landing. Przed śmiercią Giny rodzina Huebnerów odgrywała tu znaczącą rolę. A później pański ojciec... - nie chciała powiedzieć, że Arnold Huebner zapił się na śmierć, chociaż, zgodnie z tym, co mówiła Vera Brightwood, w zasadzie tak się stało - jak by to powiedzieć, popadł w niełaskę. Obie pańskie siostry wyjechały z miasteczka. Pan został, ale wyniósł się pan tutaj, gdzie nie musi się pan przejmować...

Zamilkła, na nowo rozglądając się po pomieszczeniu.

- A to wszystko tu? To dla Giny, tak? - Ciarki, znowu poczuła ciarki. Nawet kiedy mówiła te słowa, Julia zdawała sobie sprawę, że nigdy w to nie uwierzy. Ważne było jednak tylko, czy pan Huebner w to wierzy.

- Ona pana... prześladowuje. Ona pana nawiedza. - Julia czekała, ale Mitch Huebner okazywał twardość głazu z Nowej Anglii. - Dlaczego? Bo pański ojciec podał niewłaściwe nazwisko zabójcy? - Pokazała na figury Madonny. - Ma pan nadzieję ją odstraszyć? Te krzyże. A to jest czosnek, prawda? Tam na oknach.

Widząc nieoczekiwanie pojawiający się karabin, Julia gotowa już była uciekać, ale Mitch tylko złamał broń i wyrzucił łuskę na dłoń.

- A jeśli tak, to co? - zapytał, spuściwszy wzrok.

- Pański ojciec nigdy w to nie uwierzył. Nigdy nie wierzył, że zrobił to DeShaun. Przynajmniej nie był o tym przekonany. Napisał o tym w swoim dzienniku. I właśnie o to tu chodziło. To tego szukał profesor Zant. Dziennika pańskiego ojca. - Próbowała przypomnieć sobie słowa Franka. - To była potężna rodzina, prawda? Oni chcieli zapewnić sobie bezpieczeństwo. Kellen powiedział panu, że uda mu się to udowodnić, a w zamian chciał dostać ten dziennik.

- Pani Carlyle, on mógł sobie tego chcieć, ale ja nie mógłbym mu tego dać. Dziennik zaginął.

- Tak wszyscy myślą. Ale nie jestem pewna, czy mogę w to wierzyć.

- Ja nawet wyznaczyłem nagrodę...

- Słyszałam o tym. Ale wydaje mi się, że ta nagroda była tylko zasłoną dymną. Sądzę, że pan przez cały czas miał ten dziennik, tylko udawał pan, że go nie ma, bo nie chciał się pan pakować w kłopoty. I myślę, że Kellen nakłonił pana, żeby pan mu go dał. Może obiecał przywrócić sprawiedliwość. Nie mam pojęcia. Ale sądzę, że dał mu pan ten dziennik, i właśnie dlatego był tak pewien, że on wie...

- Co on wiedział, pani Carlyle?

- Kto naprawdę zabił Ginę Joule.

IV

Julia nie chciała pozostawać w tym domu, a Mitch Huebner nie chciał opuszczać swojego terenu, więc w drodze kompromisu przeszli na werandę, gdzie ona mogła uważnie obserwować Goetz, która nadąsana leżała skulona przy zerwanym łańcuchu. Oboje trzymali po puszcze budweisera, ponieważ Julia nie chciała zrazić Mitcha odmową. Kiedy on złapał piwo, ona je powoli sączyła.

- Powiem pani coś zabawnego. Nikt nigdy mnie o nic nie zapytał. Oni wszyscy myślą, że jestem wariatem, że chodzę brudny, i uważają, że jestem od nich gorszy. I choć wszyscy zawsze zastanawiali się, co tak naprawdę wydarzyło się tamtej nocy, nikt nigdy o nic mnie nie zapytał. Kiedy rok, może półtora roku temu przyszła do mnie pani córka, Vanessa, była pierwszą osobą od długiego czasu, pani Carlyle. Może nie byłem zbyt uprzejmy. Niewiele jej powiedziałem. W końcu nic jej nie byłem winny. Ale powiedziałem jej, że mojego ojca o mało co nie wyrzucili z miasteczka, kiedy nie udało mu się znaleźć mordercy Giny. W tamtych czasach Landing było inne niż teraz, kiedy są tu ci wszyscy goście z uniwersytetu albo menedżerowie czy kto tam jeszcze. Byliśmy małym rolniczym miasteczkiem. Kiedy

wprowadziła się rodzina Joule'ów, było tu może ze dwóch albo trzech profesorów, i wszyscy mieszkali w pobliżu Town Green. Ale myśmy ich potrzebowali, pani Carlyle. Ich wpływów. Ich pieniędzy. Najbogatszym człowiekiem w miasteczku był wówczas pan Brightwood, tato Very, który zarządzał bankiem. Ale w każdym dużym mieście, a nawet w Elm Harbor jego skromny majątek niewiele by znaczył. Dlatego też wprowadzenie się rodziny Joule'ów było dla nas ważnym wydarzeniem. Podobnie jak i innych profesorów.

Śmiech Mitcha Huebnera odpowiadał posturze wielkiego mężczyzny, ale czuło się w nim jakąś nutkę smutku. Wiatr zrzucił śnieg z grubych, samotnych drzew.

- W każdym razie - ciągnął dalej - ojców naszego miasteczka już opanowało to marzenie, żeby przemienić Landing w coś, co nazwali sypialnią. Chcieli ściągnąć do nas ludzi, którzy stąd dojeżdżaliby do pracy. Większość z nas sądziła, że nasze władze nie mają pieprzonego pojęcia, o czym mówią, ale takie było marzenie. I nie byłoby żadnych problemów, gdyby Gina była tutejszą dziewczyną. Ale ona była córką profesora, pani Carlyle. Rozumie pani, dlaczego to było takie ważne? Jeśli Landing nie potrafiło rozwiązać tego problemu, jak można myśleć o ściągnięciu tu nowych mieszkańców? Merrill Joule próbował pociągnąć za wszystkie dostępne mu sznurki. Znał gubernatora. I ówczesnego rektora uniwersytetu, był nim Cicero Hadley, człowiek, który walczył o wprowadzenie praw obywatelskich, a stary Cicero był blisko związany z administracją Nixona, pojawiły się więc również naciski ze strony władz federalnych. A rodzina pani Joule miała w kieszeni prasę i przysyłali tu ludzi, żeby nagłośnili tę całą sprawę.

Julia ponownie powróciła myślami do pracy Vanessy.

- Ale ta sprawa nigdy nie była nagłośniona. Pojawiło się zaledwie kilka wzmianek w stanowych gazetach, to wszystko.

Pan Huebner skinął głową i pociągnął spory łyk piwa. Julia zanurzyła usta w swoim. Nie cierpiała piwa, ale smak nie był tak zły, jak pamiętała z przeszłości. Dźwięki zimowego lasu ukoili jej nerwy. Zastanawiała się nawet, czy łagodnieje z wiekiem, czy to piwo poprawiło jej humor.

- Zgadza się, pani Carlyle. Ta sprawa nigdy nie została nagłośniona. Z tego, co słyszałem od mojego taty, to Merrill Joule zmienił zdanie. Jego córkę spotkała śmierć albo coś jeszcze gorszego, a stawianie miasteczka w kłopotliwej sytuacji nie przywróci jej życia. W rzeczywistości, rodzina Joule'ów nigdy nie uwierzyła, że zrobił to ten czarny chłopak. Merrill chciał nadal naciskać, żeby dowiedzieć się, co się z nią stało, ale nie robił już tego w sposób publiczny. On był liberałem, pani Carlyle. I to starej daty. I nie mam tu na myśli tych bzdur o stylu życia. Był człowiekiem, który wierzył w potrzebę poświęcenia, w pomoc

nieszczęśliwym. W tamtych czasach nasze miasteczko było biedne. Nie tak jak teraz. Merrill Joule nie chciał, żeby jego osobista tragedia jeszcze bardziej je zubożyła. A pani Joule, cóż, ona obiecała utworzyć fundusz imienia Giny, który pomagałby dzieciom z Landing dostać się do college u. Ale zanim zdążyła to zrobić, ona... no, miała swoje problemy.

Również to Julia pamiętała z pracy Vanessy. Po śmierci córki, Anna Joule odbyła roczną podróż do Europy. Po powrocie szybko zapadła na zdrowiu i następne dziesięć lat życia spędziła w kolejnych zakładach psychiatrycznych, upierając się, że jej córka rozmawia z nią nocami. Natomiast Merrill odebrał sobie życie albo też utonął przez przypadek, w środku nocy, przy miejskiej plaży, pięć lat po tym, jak zginęła tam Gina.

- Proszę mi powiedzieć o tym dzienniku.

- Cały czas mówię pani o tym dzienniku. - Mitch Huebner przybrał ton filozoficzny. Ten mężczyzna wciąż ją zaskakiwał i zaczęła się zastanawiać czy to, co ludzie brali za jego sposób myślenia i pozorny brak zainteresowania kwestiami intelektualnymi, nie było tylko pozą. - Bo chodzi o to, że pani ocenia na podstawie tego, co ludzie w miasteczku mówią. Ale oni nie mówią wszystkiego. Ani pani. Ani pani córce, Vanessie. Wy jesteście ludźmi z zewnątrz. I to nie tylko dlatego, że od niedawna tu mieszkacie. Również dlatego, że... no, ponieważ was tu nie było, kiedy to się zdarzyło. Może pani popatrzeć na dowolną miejscowość w Nowej Anglii, pani Carlyle, i zobaczy pani biegnącą pośrodku linię. Po jednej stronie są ludzie, którzy nie znają tajemnic. A po drugiej są tacy, którzy byli tam od zawsze, którzy trzymają się historii miejscowości jak drzewo trzyma się korzeni. Jeśli odetnie się te ich tajemnice, poda się je do publicznej wiadomości, całe miasteczko szybko zwiędnie i zniknie porwane następnym burzowym wiatrem północno-wschodnim. - Odstawił piwo i przechylił głowę na bok. - I jest też jeszcze inny powód. Inny powód, dlatego ludzie nie opowiedzą pani tej historii. Proszę się nie obrazić, pani Carlyle, ale pani nie jest też... biała.

- A jaka to różnica?

- Jest pewna różnica. Przykro mi, pani Carlyle, ale takie jest życie.

Zmusiła się do zachowania wyjątkowego spokoju.

- Panie Huebner, na czym polega ta tajemnica? Co skrywają mieszkańcy Landing?

Kolejny długi łyk piwa. Pił już trzecie piwo, a może nawet czwarte. Julia trzymała w rękach drugą puszkę, chociaż nie pamiętała, czy dopiła pierwszą.

- Tak, pani Carlyle. Ma pani rację. Kiedyś miałem dziennik ojca. Znalazł się w szafie na dokumenty w piwnicach ratusza, wraz z kupą gratów po moim tacie, które mieli wyrzucić. Ale już go nie mam. Dałem go profesorowi Zantowi, jak pani mówiła. - Błyskawicznie uniósł rękę, zanim zdążyła zadać oczywiste pytanie. - Nie wiem, co on z tym zrobił. I nigdy nie

czytałem tego dziennika. Nawet go nie otworzyłem. Może pani nazwać mnie tchórzem. Ale tak naprawdę, to ja nie chciałem się dowiedzieć. Ale mój ojciec zawsze mówił, że Gina miała jakiegoś chłopaka. Spotykała się z jakimś chłopakiem z college'u.

- Ja też o tym słyszałam - powiedziała Julia, nieco rozczarowana. - Czy właśnie to jest w tym dzienniku? Nazwisko tego chłopaka?

Skinął głową, wciąż wpatrując się w las.

- Najprawdopodobniej. Ale mój ojciec powiedział mi coś jeszcze, pani Carlyle. Tego wieczoru, kiedy zginęła Gina, pewien świadek widział, jak ona wsiadała do samochodu z DeShaunem...

- Pani Spicer. Jej nauczycielka.

- Zgadza się. Pani Spicer. Ta kobieta zmieniła zeznania. - Chyba oczekiwał, że Julia powie mu teraz, że o tym też wie, ale tym razem ona zachowała więcej rozsądku. - Mój tato mówił mi, że później odwiedził tę kobietę i wydobył z niej prawdę. Wygląda na to, że najprawdopodobniej tego wieczoru Gina zadzwoniła do jej drzwi, tak jak pani Spicer początkowo mówiła. Ale to nie było wszystko. Gina zapytała, czy mogłaby zadzwonić. Pół godziny, może trzy kwadransy później na podjeździe pojawia się ogromny sportowy samochód, a w środku dwóch gości.

- Dwóch!

- Zgadza się. Dwóch gości. W wieku studenckim. Biali. Jeden z nich dzwoni do drzwi, ale pani Spicer widzi też tego drugiego w samochodzie. Gina obejmuje chłopaka, ale kiedy wychodzi na dwór - pani Spicer przez cały czas patrzy przez okno - kiedy Gina dochodzi do samochodu, sprawia wrażenie, jakby nie spodziewała się tego drugiego chłopaka. Gina zamienia parę słów ze swoim chłopakiem, wygląda na wściekłą, ale wsiada do samochodu. To wtedy po raz ostatni ją widziano. - Mitch Huebner wzruszył ramionami i pociągnął kolejny łyk piwa. - Kiedy mój tato zapytał ją, dlaczego zmieniła zeznania, pani Spicer powiedziała mu, że się bała. Tato myślał, że może chodziło o pieniądze... - Urwał i przechylił głowę na bok. Chyba coś usłyszał, co umknęło jej uwadze, gdzieś w lesie. - Pani Carlyle, czy przyjechała pani tu sama?

- Tak. Tak, oczywiście. - Odwróciła się w stronę, w którą on patrzył, ale dostrzegła tylko fascynujące, milczące piękno zaśnieżonego lasu. - Dlaczego pan pyta?

- Jest pani tego pewna?

- Oczywiście, panie Huebner.

Ostrożnie sięgnął po stojący przy drzwiach karabin i położył go na kolanach.

- Ktoś jest w lesie i robi straszliwy hałas, starając się być cicho - powiedział.

- Może dzieciaki...

- Tu dzieciaki nie przychodzą, pani Carlyle. Mitch Huebner to wariat. Mitch Huebner to prawicowy szaleniec. Mitch Huebner zjada dzieci na śniadanie. One się mnie boją.

Julia spojrzała w drugą stronę, ale niczego nie dostrzegła.

- Jeleń...

- Albo goście z Marsa. Nie, to jakiś człowiek. Ale jeśli za bardzo się zbliży, Goetz się tym zajmie. - Wykonał szybki ruch ręką i potężne psisko zerwało się w pełni sił na nogi i zniknęło wśród ośnieżonych drzew. - Na czym to ja skończyłem?

- Na tym, co pański ojciec powiedział panu o nocy, kiedy zniknęła Gina Joule.

Mitch Huebner skinął głową.

- Znałem Ginę. Niezbyt dobrze. Tak trochę. Kiedy to się zdarzyło, ja miałem jakieś trzynaście, może czternaście lat. Widywałem ją w miasteczku. Patrzyłem na nią tak jak trzynastoletni chłopcy zaczynają patrzeć na dziewczyny o kilka lat starsze. Nigdy nie widziałem jej z żadnym chłopakiem. To przez tych jej rodziców. Ale nie dlatego, żeby jej nie kochali. Ona była ich jedynym dzieckiem, mieli problemy, żeby w ogóle się urodziła, i starali się ją chronić, jakby była najdroższą istotą na ziemi. Większość z tutejszych chłopaków po prostu bała się z nią umawiać. Gina była prawdziwą piękną, ale Merrill Joule budził przerażenie. Mogła mieć każdego chłopaka, taka była ładna.

Julia ukryła uśmiech za kolejnym łyżkiem piwa. Ależ ten Mitch Huebner musiał być w niej zadurzony.

- Mówi pan, jakby miał pan... o niej bardzo dobre zdanie.

- To nie tylko chodziło o mnie, pani Carlyle. Tak było ze wszystkimi. Ludzie po prostu z natury ją lubili. Może to dlatego... - otrząsnął się z zamyślenia, chyba dotarło do niego, co ona myśli, bo przechylił swój siwawy podbródek na bok i pokręcił głową. - Ale nie chciałbym, żeby pani źle mnie zrozumiała. Ja pochodziłem z zupełnie innego świata. Co prawda mój ojciec był posterunkowym, ale Gina należała do środowiska uniwersyteckiego, a miasteczko i środowisko uniwersyteckie to były dwa różne światy. - Kolejny łyk, tym razem mniejszy. - W każdym razie mój tato powiedział mi kiedyś, że z władzami miasta nie da się walczyć. Chodzi o to, pani Carlyle, że w tamtych czasach istnieli ludzie tak wielcy, że byli praktycznie nietykalni. Nie tak jak teraz, kiedy prasa ugania się za każdym politykiem, który nie potrafi utrzymać portek na tyłku. Nie, w tamtych czasach... - Znowu przerwał i z bronią w ręku zerwał się na nogi, a Julia zdążyła się odwrócić, żeby usłyszeć jakiś gniewny krzyk w lesie i szczekanie Goetz. - Chodźmy sprawdzić, co tam się dzieje - powiedział i pospiesznie zaczął przekopywać się przez śnieg.

Julia podążyła za nim, bynajmniej nie dlatego, że zależało jej na pójściu do lasu, ale chciała usłyszeć koniec tej historii. Wkroczyli między drzewa, głównie iglaste, tak wysokie i gęste, że już po chwili zupełnie stracili słońce z oczu. Był środek dnia, ale Julia miała wrażenie, że idą o zmierzchu.

- To wszystko należy do pana?

- Proszę mówić ciszej - szepnął, zdumiewająco lekkim krokiem podążając za swoim psem.

- Ale kto...

- Proszę, pani Carlyle. Proszę mi zaufać.

Dotarli do jakiejś polany. Stała tam Goetz, radośnie merdając ogonem. Spod jej łapy wystawał błyszczący czarny mokasyn, który musiał należeć do mężczyzny o wyjątkowo dużych stopach. Czubek buta był pogryziony. Mitch Huebner przykucnął i uniósł buta na lufie karabinu.

- Proszę, proszę. To chyba drogi but.

- Tak, to prawda - odparła Julia beznamiętnym głosem.

- Chce pani? Mnie raczej nie przydają się takie eleganckie buty.

Julia pokręciła głową. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

- Mnie też - odrzekła.

Mitch Huebner wzruszył ramionami i rzucił buta do lasu, ale Goetz pomyślała, że to zabawa, i natychmiast przyniosła go z powrotem.

Po powrocie do domu, Julia podjęła rozmowę:

- Panie Huebner, proszę posłuchać. To co mówił pan o Ginie...

- Mój tato powiedział, że każdy musi wybierać, z czym chce walczyć, i dla wszystkich zainteresowanych było lepiej, żeby on wybrał jakiś inny cel.

- Pan znalazł ten dziennik dziesięć lat temu.

- Zgadza się, pani Carlyle.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy jeden z Jeźdźców ubiegał się o pierwszą kadencję w senacie, a drugi o pierwszą kadencję jako gubernator.

- Powiedział pan komuś, że go ma? To znaczy dziesięć lat temu?

Zagadkowe wzruszenie ramion.

- Ale dał pan go Kellenowi Zantowi. I już nigdy więcej nie zobaczył pan tego dziennika.

- Uhm.

Zawahala się nad następnym, oczywistym pytaniem.

- A jakie to ma znaczenie, że nie jestem biała?

Mitch Huebner pokręcił głową. Czy to miało oznaczać sprzeciw? Odmowę? A może tylko starą, dobrą powściągliwość mieszkańców Nowej Anglii?

- Czy... - dopuściła do siebie myśl o tym ostatecznym okropieństwie - czy chce pan powiedzieć... ten jej chłopak, ten student... czy on był... czarny?

- Ci chłopcy, którzy zabrali ją do samochodu, byli biali.

- Panie Huebner, ja muszę to wiedzieć. Muszę.

Wciąż grobowa cisza.

Czując, że już zupełnie traci grunt pod nogami, Julia podjęła jeszcze jedną próbę.

- I tylko Kellen wiedział, z kim ona tamtego wieczoru się spotkała.

Skinął głową, nagle ogarnięty potrzebą wypolerowania zderzaka półciężarówki za pomocą jakiejś suchej i brudnej szmaty.

- Rozumie pani, dlaczego ja nie chcę wiedzieć? - Rzucił szmatę na tylne siedzenie samochodu. - Za to go zabili.

- Rozumiem.

- Wydaje mi się, że na panią już chyba czas.

- Chyba tak. - Powiedziała beznamiętnym głosem. Zbyt wiele się wydarzyło. Lemastera nie było wówczas w kraju, przypomniała sobie. Nawet jeśli znał tę dziewczynę, a Mitch Huebner przecież nawet nie potwierdził, że ten jej chłopak był czarny, Lemastera nie było wtedy w kraju. - Dziękuję panie Huebner, że poświęcił mi pan tyle czasu.

Chwilę później siedziała już w samochodzie, ale zanim zdążyła uruchomić silnik, za oknem pojawiła się twarz Mitcha, uśmiechał się niepewnie, a w ręku trzymał jakiś mały pakunek.

- Co to jest?

- To od profesora Zanta. Prosił, żeby pani to przekazać.

Zalał ją strach zmieszany z wściekłością.

- Miał mi pan to dać? I tak długo pan z tym czekał?

- Powiedział, że bym pani to dał, jeśli będzie mnie pani wypytywać o dziennik mojego ojca. I tylko wtedy. - Odsunął się od samochodu, ale już bez uśmiechu. - Wydaje mi się, że na panią już chyba czas - powtórzył.

Przejechała jakiś kilometr przez las, szeroko otwartymi oczami wyglądając mężczyzny, który zgubił błyszczącego nowego mokasy. Jakiś elegant, na przykład Tony Tice - słyszała, że wyszedł za kaucją. Nie dostrzegłszy nikogo, zjechała na pobocze i otworzyła paczuszkę.

Oczywiście.

Kolejne lustro.

A raczej kawałek lustra.

Do rączki taniego lusterka, kupionego w sklepie Luma Gift's, wciąż jeszcze przymocowana była cena. Lusterko złamane zostało na dwie nierówne części, w związku z czym ujrzała odbicie tylko połówki swojej twarzy, co zdawało się jej zupełnie stosowne. Obok znajdowała się wizytówka firmy geodezyjnej z napisem - A. W. ACME, LAND SURVEYORS - a poniżej, skreślone zygzakowatym, pochylonym w lewo pismem Kellena Zanta widniało słowo „sekretarz?”.

Tak, to na pewno bardzo się jej przyda.

Odwróciwszy wizytówkę, znalazła wiadomość napisaną tym samym charakterem pisma:

Najdroższa J. Zabierz lustro do szlachetnego człowieka. A jeśli nie możesz znaleźć Shari Larid, jedź pociągiem. Twój na zawsze, K.

I znowu te jego gierki słowne. Kompletne bzdury.

Ale pod lusterkiem był ukryty skarb. Dwie pozótkłe kartki wydarte z zaginionego dziennika. Julia rozejrzała się po drodze, poprawiła się w fotelu i zaczęła czytać.

Rozdział 37

Dwa spotkania

I

Julia знаła firmę geodezyjną Acme, ponieważ to ona wykonywała jakieś rysunki potrzebne do uzyskania zgody na budowę Hunter's Heights. Był to proces, który ciągnął się w nieskończoność, ponieważ Landing rzucało im pod nogi kolejne kłody, aż w końcu Lemaster wybrał się do pierwszego radnego miasteczka ze swoim przyjacielem, Jerryem Nathansonem, wspólnikiem zarządzającym w największej kancelarii prawniczej w miasteczku, a ten uprzejmie oszacował potencjalne koszty, które poniesie miasteczko w wyniku sprawy sądowej prawdopodobnie wygranej przez Carlyle'ów. Władze ustąpiły, dom został zbudowany i przez jakiś czas Tyler's Landing kipiało od zawiści. Fakt, że Lemaster i Julia posiadali tak wspaniały dom i taki niedostatek miejscowych przyjaciół, wywołał u Mony dreszcz nacjonalistycznej rozkoszy, kiedy Julia po raz pierwszy opowiedziała jej tę historię, podczas spaceru po winnicy położonej za domem jej matki w Plaisance-du-Touch. „Powinnaś czuć się szczęśliwa” - oświadczyła Mona - „że macie coś, czego biali pragną i nigdy nie zdobędą. Oprócz światowców pokroju Oprah Winfreys i Tigera Woodsa, niewielu z naszych ludzi może się czymś takim pochwalić”. Mona oświadczyła też, że jest nawet na to odpowiednie słowo, o którego wymyślenie na poczekaniu Julia ją podejrzewała, chociaż później pojawiło się w kilku esejach tej wielkiej kobiety: Afrofaktofilia. To słowo, jak powiedziała Mona, najwyraźniej się nim podniecając, określało pożądanie, jakim ludzie rasy białej (bo ona, podobnie jak Lemmie, skrupulatnie ich tak nazywała) darzyli dzieła (*objects*, jak to określiła) zebrane lub stworzone przez ludzi z afrykańskiej diaspory - kolejny ulubiony przykład jej żargonu. „Oni nas nienawidzą, ale uwielbiają nasze cenne i piękne rzeczy” - tłumaczyła. - „Patrzą z zazdrością”. A potem spojrzała na córkę oczami kokietki i przez tę oszałamiającą chwilę Julia myślała, że chyba przynajmniej trochę rozumie, dlaczego jej matka zawsze polowała na białych, i to tylko i wyłącznie, białych mężczyzn. „A czasami pragną nas samych, naszych cennych i pięknych osób”.

Podobnie jak Kellen pragnął Julii i robił wszystko, nawet po swojej śmierci, żeby

wciągnąć ją do swojego świata.

Firmę Acme znalazła w przerobionej stodole w podleskiej części miasteczka i porozmawiała z Amy Warren, będącą tą „AW.”, kobietą, do której zwracało się, używając tylko inicjałów, i zatrudniającą przede wszystkim mężczyzn, ponieważ w tym zawodzie kobiety traktowane były jak niezły dowcip. Tak się złożyło, że Amy rzeczywiście pamiętała Kellena Zanta i nawet rozmawiała z policją po jego śmierci. Był u niej tylko jeden raz, powiedziała, poinformowała też ich, że oglądał nadmorskie posiadłości i mógł potrzebować wykonania jakichś badań.

- Dałam mu swoją wizytówkę.

- I co potem?

- Już nigdy więcej o nim nie słyszałam.

Bo w rzeczywistości Kellenowi nie chodziło o zbadanie działki, stwierdziła Julia, jadąc z powrotem do miasta, tylko o zbudowanie domu. Po raz kolejny postawił zasłonę dymną. Albo dawał jakiś sygnał. Tu nie chodziło o dom. Chodziło o ten sygnał i, też po raz kolejny, Julia zaczęła podejrzewać, że to ona miała być jego odbiorcą. Wszystko, co zostało nagrymolone na wizytówce, miało jakieś znaczenie, a Kellen wyobrażał sobie, że Julia do tego dojdzie.

II

W związku z tym, że druga strona wizytówki była bardzo niejasna, Julia zaczęła od tej głównej strony. W końcu sekretarz uniwersytetu nazywał się Land - dosyć słaby punkt zaczepienia, ale na razie lepszego nie miała. Spotkali się na herbacie w klubie wykładowców, ale Trevor Land wyznał, że on niestety prawie nie znał tego człowieka, w dzisiejszych czasach tylu jest profesorów, i wszyscy są bardzo zajęci.

- Liczy się tylko postęp, tak, wszystko w imię postępu. Rozgłos albo śmierć, tak to teraz wygląda. Ale chyba staje to na drodze naszych akademickich dążeń, pani dziekan.

Wymamrotała coś, co miało oznaczać, że się z nim zgadza.

Ich rozmowa przeszła na kwestię wniosku o wotum nieufności, o jaki starali się niektórzy z wykładowców; był to atak na jej męża inspirowany chyba przez szereg sił, zwłaszcza po jego decyzji o połączeniu wydziału Gender Studies ze studiami feministycznymi, zgodnie z zaleceniem jego budżetowej grupy roboczej, ale przede wszystkim w związku z jego bliską znajomością z aktualnym głównym lokatorem Białego Domu.

- Lemmie uważa, że ten wniosek nie będzie głosowany - powiedziała Julia.

- Ja nic o tym nie wiem. Nie jestem członkiem senatu. Ja, pani dziekan, nie zajmuję się polityką. Żyj i daj żyć innym, taka jest moja dewiza. Ja tylko dbam o naszą instytucję. - Nieśmiały uśmiech. - Moim zdaniem pani mąż jest najlepszym prezentem, jaki trafił się uniwersytetowi od dziesięcioleci.

Odwzajemniła jego uśmiech.

I w tym momencie ją zaskoczył.

- Jak rozumiem, pani dziekan, pani i profesor Zant byliście przyjaciółmi, przynajmniej w pewnym sensie.

- W pewnym sensie - zgodziła się ostrożnie, starając się ukryć za małą kanapką swoje szybko rosnące zakłopotanie.

- Pytam tylko dlatego, że miał znajomych i popleczników wśród naszych absolwentów. Wielu. Jeśli mogliby w czymś pomóc, wystarczy tylko ich poprosić.

- W czym pomóc?

- We wszystkim, co tylko może wyniknąć, pani dziekan. We wszystkim, co może wyniknąć.

Najwyraźniej czekał, zrzucając ciężar odpowiedzialności na Julię, która w końcu zdobyła się na odwagę.

- Gina Joule była pańską chrześniaczką.

- Rzeczywiście.

- Sądzę, że Kellen Zant mógł próbować dojść do tego, co tak naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. - Odpowiedziało jej milczenie. - Tak, a do tego są też te krążące po Landing historie. Stare historie. Że być może oficjalna wersja ówczesnych wypadków...

Jego dłoń, kredowobiała i władcza, powstrzymała jej dalsze komentarze.

- Pani dziekan, to nie są miłe tematy do rozmowy.

- Rozumiem. Ale nikt nie był tak blisko z Merrillem Joule'em jak pan. - Kiedy sekretarz uznał, że nie należy tego zakwestionować, poczuła się nieco ośmielona. - Senator Whisted był chrześniakiem Merrilla Joule'a. Zastanawiałam się, jak dobrze znał tę rodzinę.

- Rodzina Whistedów to tego typu ludzie, którym zależy na tym, żeby wszystkich znać, pani Carlyle. Wydaje mi się, że to chyba pomaga w polityce. - Wyczuła niesmak w jego kulturalnym głosie. - Młody człowiek niewątpliwie bywał w tym domu na okolicznościowych kolacjach czy czymś w tym stylu.

- Czyli znał Ginę?

- Sądzę, że tak.

To potwierdzało historię Mary - to zdjęcie.

- Czy on miał swoje zdanie na temat tego, powiedzmy, czy przedstawiona przez policję wersja wydarzeń była prawdziwa? Czy to ten czarny chłopak był, że tak powiem, zabójcą?

- Mało kto chce dyskutować z policją. Ale w końcu najważniejsza jest rodzina i tego typu sprawy. Raczej można chyba uważać, że zrobiliby wszystko, żeby ich ochronić, raczej coś takiego. Ale w końcu to nie jego zadanie, żeby karać, nie, nie, dziękuję bardzo. To samo powiedział Merrill. I Anna. I młody Whisted. Zemsta nie przywróci jej życia, coś w tym stylu. Lepiej jest budować niż burzyć.

- Młody Whisted? Chodzi o Malcolma? - Sekretarz powoli sączył herbatę, ale nic nie odpowiedział. Julia odstawiła filiżankę i rozejrzała się po klubie wykładowców, ale nikt ich nie podsłuchiwał. - Taką rozmowę z nimi mógł pan przeprowadzić tylko, jeśli Merrill, Anna i Mal Whisted wiedzieli, kto to zrobił, i jeśli ta osoba wciąż żyła.

- Powinna pani spotkać się z komendantem Vallelym.

- Z Bruce'em? Po co?

- Proszę porozmawiać z komendantem Vallelym - powtórzył. Popijał herbatę, robiąc przy tym minę, która oznajmiała całemu światu, że wszystkie zmiany prowadzą tylko ku gorszemu. - Wydaje mi się, że komendant zajmuje się sprawą śmierci profesora Zanta, chyba robi coś w tym stylu. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby był w stanie udzielić pani odpowiedzi na pozostałe pytania.

- Już się spotkaliśmy, i jeśli mam być szczerą, niezbyt spodobało mi się jak on...

- Patrzcie, patrzcie, któraż to już godzina. Bardzo miło się z panią rozmawia, pani Carlyle, ale robota czeka. Co prawda, moglibyśmy się spotkać po południu, jak będzie pani chciała. Z chęcią odwiozę panią do domu czy coś w tym stylu. Ale podejrzewam, że dysponuje pani własnym środkiem transportu, prawda?

Kiedy obładowana nowymi zmartwieniami opuszczała klub wykładowców, nie zauważyła Bruce'a Vallely'ego, siedzącego w czerwonym mustangu, zaparkowanym po drugiej stronie ulicy.

III

Śledzenie Julii Carlyle stanowiło mniej istotne i rzadziej wykonywane zajęcie w prowadzonym przez Bruce'a dochodzeniu. Nie spodziewał się, że ona ni z tego, ni z owego zatrzyma się na poboczu, sięgnie do zbutwiałego pnia i wyciągnie to, nad czym Kellen

pracował. A nawet jeśli zamierzała coś takiego, nie miał żadnych podstaw, żeby uważać, że zrobi to akurat w ciągu jednej z tych trzech czy czterech godzin tygodniowo, które poświęcał na jej obserwację. Nigdy jednak nie wiadomo. Jakkolwiek małe były szanse, że ona napotka odpowiedź na zagadkę, kiedy on będzie miał ją na oku, jeśli w ogóle nie będzie jej śledził, te szanse malały do zera.

Śledzenie na ulicach miasta jej eskalade, auta potężnego i mocnego, ale gładko poruszającego się z równomiernym warkotem silnika, nie sprawiało żadnych problemów. Julia nie skierowała się w stronę autostrady. Wyglądało na to, że woli wracać do domu okrężną drogą. Trzymał się za nią w dogodnej odległości półtorej przecznicy, dostatecznie blisko, żeby mu nie umknęła, na przykład wykonując jakiś nieoczekiwany skręt, a dostatecznie daleko, żeby nie mogła dostrzec go w swoim wstecznym lusterku.

Kiedy wyjechała poza miasto i skierowała się do miejscowości Langford, Bruce jeszcze bardziej zwolnił, zwiększając dzielący ich dystans, ponieważ ruch na drodze był niewielki. Langford sprawiało wrażenie złożonego w całości z galerii handlowych i stacji benzynowych. Julia jechała bardzo szybko. Bruce słyszał, że Julia lubi podśpiewywać, siedząc za kółkiem, i teraz zastanawiał się, w jakiej muzyce gustuje. Mówiono, że Lemaster lubi hip-hop. Trudno było mu w to uwierzyć, ale z gustami tak już jest, że...

Ktoś jeszcze za nią jechał. Mały, biały sedan. Bruce nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie zwolnił. Ale kiedy Julia zjechała na tę samą co zawsze, stację benzynową, żeby zatankować pożerającego wręcz benzynę swego SUV-a, sedan zaparkował po drugiej stronie ulicy, pod fast foodem. Bruce nawet nie zwolnił. Przejechał obok i zatrzymał się przy małym biurowcu, skąd mógł w bocznym lusterku obserwować jej samochód.

Zgadza się. To było dosyć logiczne. Wiele osób interesowało się tym, co Kellen Zant kombinował. A im więcej z tych osób wierzyło, że zostawił coś Julii Carlyle, tym większe było prawdopodobieństwo, że ktoś zacznie ją śledzić.

Założył, że nikt nie zamierza jej skrzywdzić. Raczej chodziło o to, żeby znaleźć to, co ona chciała znaleźć.

Ruszamy.

Biały sedan przemknął obok niego, wykonując ten sam manewr co wcześniej Bruce, przez chwilę jechał z przodu, prowadząc obserwację, ale zrobił to mniej płynnie. Kierowca zjechał na pobocze kilka przecznic dalej. Kiedy Bruce dostrzegł jego twarz, był tak zaskoczony, że o mało co nie zauważyłby nadjeżdżającego samochodu Julii.

Wrzucił bieg i ruszył dalej.

Rozpoznał kierowcę białego sedana. Był to ten dziarski mały pomocnik, który

wprowadzał go i wyprowadzał z gabinetu Lemastera Carlyle.

Rozdział 38

Ponownie Main Street

I

Powróciwszy do Landing po swojej tajemniczej rozmowie z Trevorem Landem, Julia w świeżo padającym śniegu zaparkowała samochód na Main Street. Wsiadła z auta z zamiarem wskoczenia do Cookie's na krótkie zakupy, które jak zawsze miała zrobić pod pozorem sprawiania prezentów dla innych oraz żelków do słoika na biurku Lemastera w Lombard Hall. Wprost płonęła gniewem.

Bruce Vallely. Czy Trevor Land naprawdę myślał, że ona będzie rozmawiać z Bruce'em Vallelym? Z tym samym Bruce'em Vallely, który, gdyby go tylko trochę zachęcić, wydobyłby na światło dzienne powiązania Vanessy z Kellenem? I który, zgodnie ze słowami Siostrzanej Damy Reginy Thackery, podczas rozmowy z jej mężem zadał o kilka pytań za dużo o Lemastera?

Julia pomyślała, że może lepiej byłoby, gdyby Bruce Vallely przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Och, to był dosyć miły człowiek, mówiła sobie, idąc pospiesznie chodnikiem i starając się uspokoić. Niezdarny i niezbyt taktowny, ale chyba nie miał ani krztyny złośliwości. Grace niewątpliwie go uwielbiała. Ale ryzyko, które pociągała za sobą jakakolwiek forma współpracy...

Cukiernia była zamknięta.

To dziwne. Nawet najstarsi mieszkańcy nie pamiętali, żeby Vera Brightwood szła na jakiś urlop, i nigdy nie chorowała. Lemaster śmiał się, mówiąc, że ona pozbyła się zarazków, obdarowując nimi, pod postacią swoich diatryb, klientów.

Julia sprawdziła godzinę, ale ledwie minęła druga, a cukiernia zazwyczaj była otwarta do wpół do piątej. Vera nie pracowała w niedziele i poniedziałki, ale dziś był piątek. Próg został odsnieżony i posypany solą, a to oznaczało, że wcześniej sklep musiał być otwarty, ponieważ Vera, zbyt skąpa, żeby płacić komuś za wykonanie tej pracy, sama musiała to zrobić. Julia zapukała, zajrzała przez okno, by się upewnić, ale sklep był pusty. Zaskoczona, poszła do oddalonego o trzy budynki sklepu Luma's Gifts, żeby zapytać Laurleen Maddox,

jedyną przyjaciółkę Very, czy główną plotkarę w Landing spotkał jakiś wypadek albo śmierć w rodzinie.

Ale ten sklep również był zamknięty.

Julia stała na chodniku, zagryzając wargę. Czy w Landing trwało jakieś specjalne święto? Nie, widziała, że kwaciarnia jest otwarta. Podobnie Greta's Tavern, agencja nieruchomości, księgarnia i drogeria sieci CVS, stojąca na parceli zajmowanej w przeszłości przez wspaniały dom, w którym Anna i Merrill Joule wychowywali swoją córkę. Spojrzała na drugą stronę ulicy. Sklep z antykami również był zamknięty. Czyżby Frank, powodowany swoim strachem, wyjechał z miasteczka? Ale w takim razie gdzie były Vera i Laurleen? Odruchowo skierowała się w stronę księgami, ponieważ prowadzący ją Daniel Weiss, były profesor specjalizujący się w Szekspirze, często wspomagał Lemastera w wyszukiwaniu antykwarycznych pozycji. Danny mógł wiedzieć, co tu się dzieje.

Ale jego asystent powiedział, że pan Weiss wyszedł dzisiaj wcześniej. Mówił, że ma jakieś spotkanie.

- Och, faktycznie - powiedziała Julia, niezdarnie próbując coś wymyślić na poczekaniu. - Zapomniałam. Przecież Danny i mój mąż są dzisiaj umówieni na lunch.

- Naprawdę? Hm. Może doszło do jakiegoś nieporozumienia. Wydawało mi się, że pan Weiss mówił, że ma spotkać się z panią Brightwood.

Wyszedłszy na ulicę, Julia zastanowiła się nad sytuacją. Co ją tak trapiło? Przecież to nie jej sprawa węszyć za znajomościami między sklepikarzami na Main Street, a jeśli nawet kilkoro z nich postanowiło spotkać się w piątkowe popołudnie, z pewnością nic jej do tego. Sama należała do kilku klubów towarzyskich w Landing - żeby tylko wspomnieć Koło Białego Gdakania - i знаła to ich zamiłowanie do sprawdzania lojalności członków przez wyznaczanie spotkań o wyjątkowych godzinach.

Ale w rzeczywistości Julia tylko teoretycznie spierała się z własnymi przekonaniem. Siadając za kierownicą samochodu, uznała, że nie może to być czysty zbieg okoliczności.

Trevor Land, który okazał się ojcem chrzestnym Giny Joule, mówi jej, żeby dzisiejszego popołudnia pojechała do Landing na spotkanie. I nagle, przy samej Main Street, grupka odwiecznych mieszkańców Landing również gdzieś znika - właśnie z powodu jakiegoś spotkania.

„Powie ci coś jeszcze, co słyszałem o twoim znajomym Kellenie”, mówił jej przy lunchu Boris Gibbs. „Parę osób w Landing było na niego nieźle wkurzonych”.

Julia odetchnęła głęboko. Może zachowywała się jak ta Mallard, wszędzie dopatrując się spisku, ale kiedy tak siedziała w samochodzie, bębniąc palcami po kierownicy, doszła do

wniosku, że musi się tego dowiedzieć.

Instynkt wskazał jej, gdzie zacząć poszukiwania.

Julia pojechała na północ, szybko opuściła Main Street, a potem teren miejscowości. Po drodze spoglądała w lusterko wsteczne. Widziała coraz bardziej rozproszone domostwa stojące na zalesionych działkach, a kiedy przejechała przez wąski mostek, znalazła się w bardziej wiejskiej części Landing, otoczona szerokimi polami pokrytymi nieskazitelną bielą i naszpikowanymi dostateczną ilością kamiennych murów i wiejskich domów, żeby zainspirować całą armię poetów Nowej Anglii.

Padający śnieg przeszedł w deszcz.

Obrała okrężną drogę, ale zrobiła to celowo, ponieważ zauważyła za sobą jakiś samochód i zastanawiała się, czy on za nią pojedzie. Kiedy eskalade wspiął się na wzgórze, ten samochód wciąż widziała z tyłu, jakieś pół kilometra. Przemknęła przez kępę drzew iglastych, a kiedy zerknęła w lusterko, wciąż był. Skręciła z szosy na prawie nieodśnieżoną polną drogę i zatrzymała się, dosyć odważnie, czekając, aż ten śledzący ją samochód minie ją, na wszelki wypadek trzymając w dłoni telefon komórkowy.

Nic.

Julia bębniła palcami, patrzyła na drogę, spoglądała na zegarek, patrzyła jak niebo zmienia kolor z bladoniebieskiego na szary. Po karoserii samochodu dudniły ciężkie, zamrożone krople. W końcu doszła do wniosku, że musiała się pomylić i powróciła na drogę. Pięć minut później ponownie znalazła się w otoczeniu drzew. Znalazła Pleasant Road. Wtulony między drzewa na końcu ślepej uliczki znajdował się należący do Very Brightwood dom, matowoczerwony i kryty dwuspadowym dachem.

Julia nawet na moment nie zwolniła. Wykonała szeroki zakręt, zarzuciło ją na śliskim asfalcie, i pognęła w przeciwną stronę.

Na podjeździe domu Very stały trzy lub cztery samochody. Jednym z nich był ford pick-up Franka Carringtona. Stojące obok niebieskie infiniti kilka razy widziała przy Hunter's Heights. Właścicielem tego samochodu był Trevor Land.

„Parę osób w Landing było na niego niezłe wkurzonych”.

Może ci wszyscy wkurzeni ludzie w końcu się razem zebrali.

II

Julia ledwo zdążyła do domu przed przyjazdem szkolnych autobusów i teraz słuchała Jeannie, trajkoczącej coś o szkole, i dochodzącego z piętra śpiewu Vanessy. Zadzwoiła pani dziekan,

by omówić kwestię przyszłotygodniowej konferencji z wymagającymi księgowymi z Lombard, ale Julia, choć zaangażowała się w rozmowę o szczegółach, czuła w sobie rosnący brak zainteresowania sprawami wydziału teologicznego. Przez cały czas wyglądała przez okno w salonie, jakby spodziewając się, że spotkanie w domu Very skończy się gniewnym marszem aż do Hunter's Heights. Pomyślała, żeby zadzwonić do Lemastera, obecnie przebywającego w Waszyngtonie, ale sama nie bardzo wiedziała, co mu powiedzieć. Wysłała e-maila do Mary Mallard, w którym w skrócie napisała jej, że być może niektórzy ze starszych mieszkańców Landing coś kombinują, a potem nakarmiła dzieci i kazała im odrabiać zadania domowe. Znalazszy się w małżeńskiej sypialni, zwinęła się na łóżku z Rainbow Coalition, nalala sobie lampkę wina i włączyła jakiś stary film. Kiedy ponownie otworzyła oczy, dochodziła już jedenasta.

Jeannie doskonale położyła swoją doskonałą siebie do łóżka, ale Vanessa siedziała w kuchni przy błyszczącym czarnym blacie, z miską cheeriosów pod ręką, i pospiesznie odrabiała zadanie domowe, za które zdecydowanie za późno się zabrała. Julia stanęła przy zlewie, a jej mózg zajął się tkaniem poplątanych nici spisków, starając się sformułować pytanie, których tylko jedna osoba na całym świecie - ta osoba siedząca przed nią - nie uznałaby za szalone. Ale zanim zdążyła zadać to pytanie, Vanessa się odezwała.

- Och, mamó, kiedy spałaś, Mary próbowała się z tobą skontaktować. Podobno to coś ważnego.

- Mary? - odparła Julia, zaskoczona. Podobnie jak Mona, pisarka unikała rozmów telefonicznych, jeśli nie było to bardzo ważne. - Mary Mallard?

Vanessa skinęła głową, zapamiętając szlifując tłumaczenie z francuskiego.

- Uhm.

- Prosiła, żebym do niej oddzwoniła?

- Ona nie dzwoniła.

- Chcesz powiedzieć, że ona przyszła do naszego domu?

- Nie, mamó, nie. - Za warkoczykami pojawił się cień uśmiechu. Vanessa, podobnie jak Kellen, lubiła bawić się słowami. - To był e-mail.

- Przysłała ci e-maila? Nie wierzę.

- Nie, mamó. Przysłała tobie e-maila.

- Czytasz moją pocztę elektroniczną?

- Naprawdę powinnaś zmieniać hasło częściej, a nie raz na kilka lat.

Julia mówiła głosem bezbarwnym ze złości. I strachu.

- Ile przeczytałaś?

- Dostatecznie dużo, żeby się zorientować, że marnujesz swój czas. To zrobił DeShaun. Nikt inny. Tylko DeShaun. Chyba pamiętasz, że jestem światowej klasy specjalistką w sprawie Giny Joule. - Nawet na moment nie oderwała nosa od książki. W ciszy nocy jej głos nabrał nutki łagodnej i kojącej, jak głos dorosłego autorytetu. Następujący chwilę później wybuch był prawdziwym zaskoczeniem. - Dlaczego wy obie nie pilnujecie swoich spraw? To był DeShaun! Czy nie możesz wreszcie dać mi spokoju? Dlaczego pozwalasz tej kobiecie kierować sobą? Nigdy w nic się nie angażowałaś, więc dlaczego teraz się angażujesz? - Vanessa dygotała na całym ciele, ale udało się jej mówić głosem względnie spokojnym, tylko lekko drżącym. - W każdym razie, w tym e-mailu Mary napisała, że znalazła tego świadka, który... mniejsza o to. Sama możesz sobie to przeczytać.

- Kochanie, dlaczego jesteś taka zdenerwowana i rozzłoszczona? Co się stało?

- Nic. - Odwróciła stronę, udając, że jest zajęta czytaniem. - I co teraz? Będziesz szukać Shari Larid?

Julia położyła drżącą dłoń na ramieniu Vanessy.

- Kochanie, ty nie możesz być w to zamieszana. - Uparta, wściekła cisza. - Mówię poważnie. To dla twojego dobra.

- A kto chce być w to zamieszany? Ty i twoi obrzydliwi przyjaciele.

- Obiecaj mi, że będziesz trzymać się od tego z daleka. - Złożyła pocałunek na jej czole. Vanessa wciąż nie chciała spojrzeć na matkę. Nagle Julia, przypomniawszy sobie coś, poderwała się. - I nigdy więcej nie czytaj cudzych e-maili! Powinnaś o tym wiedzieć!

- To był DeShaun. - Znowu ta jej litania. Dziewczyna, wyczerpana, zupełnie opadła z sił. Doktor Brady wielokrotnie napominał państwa Carlyle'ów, żeby Vanessa dobrze się wysypiała. - Tylko marnujesz czas.

- Tu nie chodzi o to, że ja ci nie wierzę. Ale chyba powinnam zmienić hasło.

- Dobry pomysł.

Julia usiadła przed komputerem, kliknęła i zmarszczyła brwi.

- Kochanie?

- Hm?

- Możesz mi pokazać, jak to się robi?

Rozdział 39

Wspólna modlitwa

I

Na ogół w niedzielę rodzina Carlyle'ów chodziła na nabożeństwo w Norport do Świętego Macieja Apostoła, anglikańskiego kościoła, który, zdaniem jego zarozumiałego proboszcza, odwrócił się od powszechnego odstępstwa od wiary. Diecezja episkopalna pozwoliła sobie mieć inne zdanie, a wynikły z tego spór sądowy o ustalenie właściciela kościelnego budynku wciąż jeszcze nie został rozwiązany. Kiedy po raz pierwszy pojawiła się kandydatura Lemastera Carlyle'a jako potencjalnego rektora uniwersytetu, uniwersytecka gazeta wysłała reportera, żeby uczestniczył w nabożeństwach w kościele Świętego Macieja przez kilka tygodni z rzędu, a potem opublikowała artykuł, w którym z wyraźnym oburzeniem stwierdzała, że proboszcz, ksiądz Freed, zdawał się uważać Biblię za Słowo Boże spisane z Bożej inspiracji. Dwóch profesorów z wydziału teologicznego wypowiedziało się na temat zagrożeń wynikających z takiego punktu widzenia.

Dwa niedzielne poranne nabożeństwa ściągały zintegrowanych rasowo parafian, stanowiących mieszkankę imigrantów z Karaibów wychowanych zgodnie z tradycją eklezjalnego nurtu Kościoła anglikańskiego, dla których podejście amerykańskiego odłamu było zbyt chaotyczne i niechlujne - mężczyźni przychodzili bez krawatów, ksiądz stał przed ołtarzem przodem do wiernych, zamiast podczas konsekracji chleba i wina odwrócić się w stronę Boga, a tak przy okazji, co to za bzdury z wyświęcaniem kobiet na biskupów? - oraz zawziętych przedstawicieli białej śmietanki, porozrzucanych spadkobierców starych rodzin z Nowej Anglii, których dopiero czekało pogodzenie się z Modlitewnikiem Powszechnym poprawionym ćwierć wieku temu.

Lemaster swoją energię czerpał z tradycji. Dla niego sama idea kościoła niosła w sobie ciągłość instytucji, której oddano pod pieczę historyczne nauczanie apostołów - tę „schedę”, jak wciąż nazywali to tradycjoniści, w której wierny, wiodący krótkotrwałe życie w wierze i bojaźni, nie śmiał zmienić ani jednego przecinka. Dla jego dzieci kościół Świętego Macieja był jedynym, jaki poznały. Julia nigdy nikomu nie wyjawiała, że przesłodzony zapach

kadzidła, niezmiennie co roku taki sam, chociaż na szczęście nieobecny od Popielca do liturgii Wigilii Paschalnej, zawsze zdawał się przekształcać muzykę organów w denerwującą ścieżkę dźwiękową ze starych filmów o Drakuli z Belą Lugosim, które w sobotnie późne noce oglądała na stojącym na jej komódce czarno-białym telewizorze, choć do tej synestezji nie śmiałyby się przyznać swojemu mężowi, żeby nie uznał jej za niedostatecznie pobożną. Może błędem byłoby powiedzieć, że eucharystia w kościele Świętego Macieja była dla Lemastera czymś najważniejszym w życiu, ale w rzeczywistości liczba rzeczy ważniejszych nie była wielka. Lemaster, chociaż tak liberalny na zewnątrz, dom prowadził w sposób tradycjonalistyczny. Jeśli czegoś pragnął, zawsze to uzyskiwał. I dlatego też, w trzecią niedzielę po Bożym Narodzeniu, rodzina Carlyle'ów musiała stawić czoło burzy powodującej gołoledź, w której prowadzenie samochodu było ryzykownym przedsięwzięciem, aby jak zawsze dojechać do Norport na sumę o jedenastej.

II

Proboszcz rozłożył przed sobą poplamione dłonie i uroczyście wygłaszał tradycyjne, pochodzące z Modlitewnika Powszechnego w wersji z 1928 roku, wezwanie do wiernych, bo ksiądz Freed i cała jego kurcząca się trzódka nawet słyszeć nie chcieli o żadnej innej.

- Wy, którzy szczerze i gorąco żałujecie za swoje grzechy i darzycie miłością i miłosierdziem swojego bliźniego, i zamierzacie wieść nowe życie, postępując zgodnie z boskimi przykazaniami, i odtąd już iść drogą świętości: zbliżcie się w swojej wierze, i przyjmijcie ten święty sakrament dla waszego pocieszenia i klękając nabożnie, złożcie pokorne wyznanie Bogu Wszechmogącemu.

We wspaniałej ciszy rozbrzmiewającej szuraniem nóg, wierni zsunęli się ze swoich ławek i opadli na obite czerwona skórą klęczniki. Również rodzina Carlyle'ów, czyniąc tak nieodmiennie od lat, przyjęła właściwą pozycję, jak nieobecny Preston, domowy dowcipniś, to nazywał.

Wszyscy, z wyjątkiem Vanessy, która, pociągając nosem, została na miejscu.

Jej ojciec, klęcząc z pochyloną obok niej głową, zmarszczył brew i pociągnął ją za rękaw.

Vanessa pokręciła głową i wyszarpnęła się. Bliźniacze świece na głównym ołtarzu zamigotały, jakby poruszone wiatrem. Ktoś kichnął. Ktoś inny stęknął.

- Kochanie, musisz wyznać wiarę - syknął Lemaster.

- Nie.

- Jeśli nie wyznasz wiary, nie możesz przyjąć sakramentu.

- To nie przyjmę.

Ojciec wykrzywił twarz.

- Ale przecież właśnie o to chodzi w modlitwie eucharystycznej.

- Wiem.

- Vanesso, co się stało? - zapytał, wciąż szeptem, ale inni już na nich patrzyli, nie tylko Julia i dzieci, ale pani Galloway, krytycznie spoglądająca z ławki bezpośrednio przed nimi, oraz pozostali przy życiu członkowie ogromnego klanu Traynora tuż za nimi. Jedną z rzeczy, których Lemaster szczerze nie cierpiał, a o czym jego żona doskonale wiedziała, było popełnianie nietaktu wobec białej publiczności.

- Nic - burknęła Vanessa, na tyle głośno, że można było usłyszeć ją przy ołtarzu. Jeannie uniosła wzrok w zdumionym zachwycie.

- Vanesso - zaczęła Julia, głaszcząc jej rękę. - Kochanie, daj spokój.

I głośniej:

- Kochanie, daj spokój.

- Nie! - krzyknęła Vanessa, po czym zerwawszy się na równe nogi, przecisnęła się obok ojca do nawy i ruszyła w stronę przedsionka, czy też, jak to się nazywa w anglikańskim dialekcie, do narteksu. Julia już miała się podnieść i pójść za nią, ale Lemaster gestem nakazał jej nie ruszać się z miejsca. Pomyślała, że to on ma zamiar pójść, ale jej mąż tylko spuścił głowę nad starannie złożonymi dłońmi wspartymi o oparcie poprzedzającej ich ławki i powrócił do swojej cichej, skruszony modlitwy. Julia poszła w jego ślady, zamykając oczy powstrzymywała zbierające się łzy, prosząc Boga o wybaczenie i dla niej, i dla Vanessy, i również dla Lemastera.

Po chwili jednak ogarnął ją szal miłości macierzyńskiej. Podniosła się i nawet nie próbując tłumaczyć się mężowi, wyszła do nawy i ruszyła za swoją córką.

III

- Ja już nie mogę przyjmować komunii - powiedziała jej Vanessa po kilku minutach wspólnego spaceru w ciszy po pokrytej skorupą zmarzłego śniegu głównej ulicy Norport. Przemknęło obok nich kilka samochodów, ale cała otaczająca je dzielnica handlowa była w zasadzie opustoszała.

Julia skinęła głową, jakby ta informacja była najbardziej oczywistym i zdroworozsądkowym stwierdzeniem na całym świecie. Zastanawiała się, co w tej chwili robi

Lemaster i dlaczego za nimi nie poszedł. Pewnie właśnie prowadził Jeannie do balasek przed ołtarzem, pomyślała.

- Rozumiem - odparła.

- Nie zapytasz mnie dlaczego?

- Chcesz, żebym cię o to zapytała?

- Och, mamó, nie róób tego. Wystarczy, że mój psychiatra ciągle mnie tak pyta.

Przyznając jej rację, Julia spróbowała objąć córkę ramieniem, ale ona wywinęła się jej.

- Dobrze, powiedz mi, dlaczego już nie możesz przyjmować komunii?

- Ponieważ nie darzę miłością i miłosierdziem swojego bliźniego.

- Wymachiwała ręką w jedną i drugą stronę ulicy. - Przecież tak mówi modlitwa, prawda? Nie darzę miłością i miłosierdziem swojego bliźniego i...

Julia ponownie spróbowała, i znowu bezskutecznie, objąć córkę ramieniem.

- Ależ kochanie, to nie znaczy dosłownie darzyć miłością i miłosierdziem wszystkich swoich bliźnich.

Vanessa usztywniła się.

- Nie? W takim razie, co to znaczy? - Kiedy Julia próbowała znaleźć jakąś stosowną odpowiedź, jej córka znowu zobojętniała. - Zresztą nieważne. Przepraszam, mamó. Bo pomyśl. Ja... Pomyśl. To nie jest twoja wina, wiesz? Po prostu... - przez chwilę tak krótką, że Julia później zastanawiała się, czy rzeczywiście to widziała, oczy Vanessy wypełniły się łzami; ale po chwili ponownie były suche. - Ja już tego nie mogę robić. Już nigdy.

- I właśnie po to, kochanie, przed komunią jest spowiedź. - Julię, której wiara w szczególności anglikańskiej tradycji była co najwyżej niekompletna, znużyła już dialektyka. Ale wyczuwała bliskość tej traumy, przed którą ostrzegali ich Vincent Brady. - Nawet jeśli mnie tego nie możesz powiedzieć, i tak możesz to wyznać Bogu.

- Posłuchaj, ja nie chcę o tym rozmawiać, dobrze? Czy mogłybyśmy po prostu o tym nie rozmawiać? Dlaczego wy zawsze musicie o wszystkim rozmawiać?

Czasami Julia uświadamiała sobie, że zaczyna się mądrzyć, zanim jeszcze zdążyła powiedzieć coś niestosownego.

- Rozumiem, że mówiąc „wy”, masz na myśli twojego ojca i mnie.

Vanessa zatrzymała się przed witryną tanich małych delikatesów, w której najwidoczniej pozostawiono po zamknięciu mięso, co zdaniem Julii było zdecydowanie mało rozsądnym pomysłem, nie mówiąc już o pogwałceniu chyba z szesnastu przepisów sanitarnych.

- Mam na myśli wszystkich. Wszyscy zawsze chcą rozmawiać. I wszyscy chcą, żebym mówiła. Ale są takie rzeczy, o których po prostu nie można mówić!

- Nie można mówić ze mną? Czy nie można mówić z kimkolwiek?

- Dlaczego robisz się taka? - Vanessa już krzyczała, ponownie odwracając się od niej i niepewnym krokiem idąc dalej. - Słuchaj. Ja już nie chcę chodzić do kościoła. Już nie chcę się spowiadać. Już nie chcę rozmawiać z Bogiem.

- Nie wierzysz w Boga.

- Tego nie powiedziałam. Powiedziałam tylko, że już nie chcę z nim rozmawiać. Nigdy więcej...

Przerwała i ruszyła spieszonym krokiem, a Julia wyciągała nogi, żeby nadążyć za wyższą od siebie córką.

- Vanesso, proszę. Powiedz, co się stało? - Tym razem udało się jej objąć ją, ale miała wrażenie, że trzyma w ramionach wijącego się węża. - Czy ktoś coś ci zrobił? Kellen? Czy chodzi o Kellena? Vanesso! Przestań!

- Słuchaj, dajmy temu spokój, dobrze? Zapomnij o tym, co ci mówiłam. Przepraszam, że wyszłam z kościoła. Po prostu zapomnij o tym.

Również Julia łatwo wpadała w złość, chociaż, korzystając z rad Brady'ego, nauczyła się mitygować, zwłaszcza w towarzystwie Vanessy. Ale czasami było to bardzo trudne. Odezwała się, starając się mówić jak najłagodniej, chociaż i tak bardziej szorstko niżby sobie tego życzyła.

- Vanesso, ja cię kocham. W ogień bym za tobą poszła. Przecież o tym wiesz. Nie wiem, z czym masz kłopoty, ale cokolwiek to jest, ja tylko chcę ci pomóc. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Zgodnie z jej obawami, ta przemowa odbiła się od ściany.

- Szczęśliwa! Ty chcesz, żebym była szczęśliwa!

- Tak, kochanie. Oczywiście, że tak.

- To powiedz senatorowi Whistedowi, żeby wycofał się z kampanii.

- Co ma zrobić?

- Ma otrzymać nominację, prawda? - I znowu te błyskawiczne łzy, pojawiające się i znikające. - Nie pozwól więc im na to!

- Kochanie...

- Tato może to załatwić, prawda? Jednym telefonem może zwalniać ludzi. Jeśli powie Whistedowi, żeby się wycofał, to on się wycofa.

Julia stała z rękami w kieszeniach i dygocząc na wietrze, nie chciała poddać się tej

nęcej możliwości, że zagadka została rozwiązana. Chciała, żeby to był Łach, ale obecnie dowody wskazywały inaczej. Kellen posłał Mary zdjęcie Mala Whisteda. Maureen Whisted ostrzegła Julię, że wszyscy mają w swojej przeszłości jakieś ciemne tajemnice. Mitch Huebner zabrał się za poszukiwanie dziennika swojego ojca dziesięć lat temu - mniej więcej w czasie, kiedy Mal Whisted prowadził swoją pierwszą kampanię w wyborach do senatu. A teraz Vanessa, samozwańcza specjalistka w tej sprawie, która cały czas uparcie twierdziła, że winny był DeShaun, jednak uważała, że Malcolm Whisted powinien wycofać się z prawyborów.

Julia odezwała się tonem łagodnym, choć nieubłagany.

- Czy to ma coś wspólnego z Giną?

Vanessa uniosła podbródek, a jej szerokie usta zaczęły się poruszać. Przez wspaniałą chwilę Julia sądziła, że jej drugie z kolei dziecko zamierza przedstawić jej wyjaśnienie. Po chwili Vanessa pokręciła głową.

- Posłuchaj. To nawet nie był mój pomysł, rozumiesz? On mi powiedział...

Zakryła usta i ponownie pokręciła głową, a wiatr rozwiewał jej kurtkę. Były już tak blisko, tak boleśnie blisko. Julia odezwała się łagodnie.

- Już dobrze, kochanie, mów.

Vanessa próbowała. Uniosła dłoń, jakby chcąc ukazać odpowiedź i znowu zaczęła:

- On mi powiedział, żebym spróbowała...

I jeszcze raz urwała.

- Kto ci powiedział? Kto i co ci powiedział?

- Nieważne, mamó. Mniejsza o to.

- Ale kochanie...

- Nie. - Wyciągnęła przed siebie ręce z dłońmi odwróconymi w dół, na znak wyrzeczenia się, który stosowała już jako dziecko. Potrafiła być uparta, jak jej barbadoski ojciec, a życie z tą dwójką czasami przypominało odsysanie tlenu z powietrza. - To już jest skończone, jasne? Po prostu daj temu spokój.

„Musicie być stanowczy, ale kochający” - radził Brady. - „Nie zasypujcie jej pytaniami. Nie naciskajcie zbyt mocno. Ale nawet ani na chwilę nie zapominajcie, i jej też nie pozwólcie zapomnieć, kto z was jest dzieckiem a kto rodzicem”.

- Dobrze, Vanesso. Nie musimy o tym rozmawiać. Przynajmniej nie w tej chwili. Ale teraz wracamy do środka. - Delikatny pokaz siły, mający przypomnieć córce, że charakter z Harlemu może być równie silny jak ten z Barbadosu.

- Nie.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, nie. Nie pójdę tam.

Więcej siły.

- Vanesso, ja tu nie przeprowadzam badania opinii publicznej.

- A ja nie wyrażam opinii. Ja stwierdzam fakt. Nie mogę tam wejść. - Po chwili uspokoiła się. - Posłuchaj. Naprawdę nie mogę tam teraz być. Przepraszam. Ja nie chcę być niegrzeczna. Ale nie mogę tam wrócić. Po prostu nie mogę. Nie zmuszaj mnie, proszę.

Julia przyjrzała się zatroskanej twarzy swojego dziecka, dostrzegła zbierającą się w jej oczach wilgoć i poczuła, że w jej własnych też kręcą się łzy. Och, Vanesso, co się z tobą dzieje? Co się stało?

- W takim razie zostanę tu z tobą.

- Przecież nie musisz.

- Ale chcę.

- Nie. Nie, wszystko jest w porządku. - Dotknęła płaszcz matki w geście jednocześnie czułym i lekceważącym. - Naprawdę. Wracaj tam. Może jeszcze zdążysz dostać hostię.

- Vanesso...

- Nic mi nie będzie, mamó. Naprawdę. Obiecuję, że niczego nie spalę, dobrze?

- Ja nie to chciałam...

- Mamó, ja jestem już dużą dziewczynką. Po prostu chcę być sama przez kilka minut, to wszystko. - Patrzyła na nią błagalnym wzrokiem.

- Mamó, proszę. Zaufaj mi.

Wiedziała, co w takiej sytuacji powiedziałby Lemaster, ale tym razem to nie on decydował. Vincent Brady radził im okazywać więcej zaufania Vanessie, a Julia postanowiła spróbować.

- Dobrze, kochanie. Wrócimy za piętnaście minut. Może szybciej.

- Spotkamy się przy samochodzie.

- Obiecujesz?

Vanessa klepnęła matkę w ramię.

- Nie martw się. Powiedziałam, że się spotkamy, to się spotkamy.

- Zgoda.

Ale się nie spotkali.

Dopiero po kolejnych dziesięciu godzinach udało im się ją odnaleźć.

CZEŚĆ III

CZYSZCZENIE RYNKU

Oczyszczanie rynku - w ekonomii proces, w wyniku którego rynki dążą do równowagi; charakteryzuje się wzrostem podaży nadążającej za rosnącym popytem albo spadkiem popytu w reakcji na wysokie ceny. Większość ekonomistów zgadza się co do tego, że oczyszczanie rynku przebiega bez specjalnej potrzeby ingerencji z zewnątrz, ale wielu też sądzi, że przy braku mechanizmów regulacji dzisiejsze złożone rynki często nie czyszczą się wydajnie. Wciąż trwają zaciekle dyskusje, czy interwencja wpływa na polepszenie, czy pogorszenie funkcjonowania rynków.

Rozdział 40

Ponownie Eston

I

- Mówiłem ci, Julio, żebyś nie miała dzieci - wyszeptał Byron Dennison, a jego mocna twarz wykazywała napięcie charakterystyczne dla agonii.

- Och, Bay, nic takiego nie mówiłeś. - Wytarła mu usta płócienną serwetką. Wbrew swej potężnej woli, znalazł się ponownie w szpitalu, zupełnie bezradny, kiedy kilka układów fizjologicznych w jego organizmie równocześnie zbłądziło z dobrej drogi. Niewątpliwie członkowie jego rodziny, jeśli miał członków rodziny, wkrótce zbiegną się do jego łóżka. Politycy i osoby z pierwszych stron gazet już dostatecznie długo się pokazywali, robiąc sobie tu zdjęcia i kłamiąc o swoim uwielbieniu dla tego oto zrzędlivego starca, ale czuwanie przy umierającym pozostawiono przede wszystkim małej garstce akolitów, w większości nazbyt zajętych swoimi karierami, żeby za wiele czasu poświęcać na czuwanie. Lemaster był tu w tym tygodniu trzy razy. - Ty powiedziałeś tylko, że na świecie są dwa rodzaje ludzi, jedni są rodzicami, a drudzy się bawią.

Kaszlnął, zaśmiał się i zacharczał. Jego dłoń poderwała się, ale nie powędrowała w żadnym określonym kierunku. Leżał w prywatnej sali, eleganckiej i drogiej, ale i tak wyczuwało się tu to wszystko, z powodu czego omijamy łukiem szpitale, chcąc uniknąć tego zapachu. Chociaż ciało Byrona gasło, jego jedyne zdrowe oko błyszczało żywo, a lotny umysł jak zawsze był bystry.

- A ty się bawiłaś? Ty i Little Master? Widzisz? I co, nie miałem racji? - Poprawił się na łóżku. Julia pomogła mu ułożyć poduszki. Właśnie odwiozła Aarona do szkoły i postanowiła nadłożyć drogi, by wybrać się na kilka dni do Bostonu, przede wszystkim żeby zobaczyć się z Byronem, ale także, żeby spotkać się z Mary Mallard. - On cię kocha, Julio. Powinnaś o tym pamiętać. Kocha cię ze wszystkich sił. Posłuchaj mnie. To człowiek zraniony. Do diabła, tak jak my wszyscy. Little Master to człowiek zraniony, a ja też jestem zraniony. Niech będzie, ty jesteś zranioną kobietą, ale z kobietami jest inaczej. Ty masz prawo być zraniona. Ale my nie.

- Bay, to chyba trochę anachroniczny pogląd.

- Ja też jestem trochę anachroniczny. I Lemaster jest trochę anachroniczny. On jest od ciebie osiem lat starszy, Julio. Te osiem lat to wiele. On jest z innego pokolenia. Nie zapominaj o tym. Pozwól, że powiem ci, jaka jest największa różnica między mężczyznami a kobietami. My nie obnosimy się z naszymi ranami jak z medalami. My nosimy nasze medale jak rany. Rozumiesz? - Lewa strona jego ust nie domykała się. Ponownie ją oczyściła. - Kiedy mówię, że on kocha cię ze wszystkich sił, właśnie to mam na myśli. Nigdy by cię nie skrzywdził. Przenigdy. Ani ciebie, ani dzieci.

- Nikt w odpowiedniej sytuacji...

- Masz na myśli nieodpowiednią sytuację. A on nie jest po prostu kimkolwiek. To Little Master. Do tego stopnia pochłaniają go obowiązki i zobowiązania, że nie ma wolnej chwili, żeby tak naprawdę zastanowić się kim jest. Gdyby cię zdradził, już następnego dnia wiedziałabyś o tym. On nie byłby w stanie normalnie funkcjonować. Jesteś jego żoną, ale ja znam go dużo dłużej niż ty. To ty, Julio, powodujesz, że jego świat się nie rozpada. Koniec wykładu.

I rzeczywiście zakończył. Opadł z sił, zamrugał powiekami, zaczął ciężiej oddychać. Jeden z wielu monitorów zmienił tempo pikania, a Julia zastanowiła się, czy nie wezwać pielęgniarki. Mogła go odwiedzać tylko jedna osoba naraz, ale nikt nie czekał w kolejce, a poza tym Bay poprosił ją, żeby chwilę z nim została.

- Może czegoś potrzebujesz? - zapytała.

- Tylko łapówki dla świętego Piotra. - Julia uśmiechnęła się. Zdrowe oko odszukało ją. - Widzisz? Widzisz? Właśnie czegoś takiego nigdy nie mógłbym powiedzieć Little Masterowi. On nie cierpi, jak się żartuje z jego wiary.

- On potrafi być nieco... napuszony.

- Bzdury. Little Master nie jest napuszony. On po prostu nie ma poczucia humoru.

- Bay...

- Wiem. Wiem. Chodzi o tamtą sprawę. - Nagle uniósł ręce i położył je na jej dłoni. Trzymała chłodne ciało, grzała je swoim ciepłem. - Ja radziłbym ci o tym zapomnieć.

Jego słowa zaskoczyły Julię.

- O czym zapomnieć?

- Posłuchaj mnie. Musisz zająć się swoją córką. Jest też twoja najmłodsza. I twoja praca, twoje małżeństwo, i tysiące innych rzeczy do zrobienia. Niektórzy ludzie marnują życie, starając się w jakiś sposób wpłynąć na kampanię polityczną. - Jego kaszel był głuchy i suchy. - Niech oni tym się zajmują, Julio.

- Mnie nie chodzi o politykę. Mnie chodzi o sprawiedliwość.

- Sprawiedliwość. - Ton jego wypowiedzi niewiele się różnił od szyderstwa. - Pozwól, że coś ci powiem. Ludzie, którzy chcą sprawiedliwości, są przyczyną większych okropieństw niż cała reszta tych... Mniejsza o to. Nieważne. Ja jestem stary. Ledwo żyję. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Czego jak czego, ale tego Julia z pewnością nie chciała. Jego rady pragnęła głównie dlatego, że on, w przeciwieństwie do większości jej dorosłych rówieśników, był człowiekiem dojrzałym. Za szerokim oknem widziała, jak popołudniowe słońce powoli zachodzi na czystym, idealnym niebie.

- Jeśli jeden z kandydatów zabił tę dziewczynkę...

- Chyba wiesz, co powiedział Lincoln. W polityce przepisy o przedawnieniu powinny mieć wyjątkowo krótkie terminy.

- Daj spokój, Bay. Nie mówimy tu o przygodzie seksualnej z nieodpowiednią kobietą czy też o machlojkach z podatkami. Mówimy o osobie, która zabiła nastolatkę i to ukryła. A jeśli jeden z nich to zrobił, nawet jeśli jest senatorem czy prezydentem...

- Jeśli. Może. Być może. Potencjalnie. Źródła podały. To właśnie niszczy naszą demokrację, Julio. Wszystko warunkowe. Ale jeśli coś znajdzie się w telewizji albo w Internecie, musi być prawdą. A przynajmniej jest prawdziwe, jeśli dla nas jest korzystne. Bo jeśli pomaga złym, w naszym mniemaniu, ludziom, to wtedy jest to, oczywiście, podła, wstrętna, stronicza polityka, prawda? - Ku jej zdumieniu udało mu się prawie usiąść. Jedno z urzędów gwałtownie zaprotestowało i skaptowało też drugie. - Jeśli dysponujesz faktami, nie jakimiś plotkami, nie pomysłami czy podejrzeniami, jeśli masz w ręku rzeczywiste fakty, dowody, wtedy możesz przedstawić te fakty władzom. FBI. CIA. Komu chcesz, mnie to nie obchodzi. - Wyczerpany, ponownie opadł na poduszkę. - Ale jeśli nie masz? Jeśli dysponujesz tylko plotką, insynuacją, anonimowym źródłem, tym całym badziewiem? Nikomu tego nie pokazuj. Daj sobie z tym spokój. To jest rada starego człowieka. A teraz możesz ją sobie zlekceważyć, gratisowo. - Zamknął oczy.

Nastąpiła przerwa, ponieważ pojawiła się pielęgniarka, która zaczęła krzątać się, uwijać i coś notować rysikiem na palmtopie. Bay flirtował z nią bez specjalnego entuzjazmu. Siostra obdarzyła go zmęczonym uśmiechem. Julia z ulgą przywitała tę przerwę w rozmowie, ponieważ nie wiedziała, co ma powiedzieć. Władze! No tak, oczywiście, Bay mógł coś takiego pomyśleć, sam od lat będąc częścią struktury władzy. Julia pamiętała, że gdy była jeszcze w Dartmouth, czarnoskórzy studenci, a wraz z nimi ona, siadywali i potępiali wszystkich członków ciemniejszej nacji, którzy mieli jakieś prawdziwe wpływy, na

podstawie podstępnej teorii zakładającej, że sam sukces stanowił dowód ich braku lojalności.

Zwłaszcza o kongresmanie Byronie Dennisonie szeptano, że miał potężnych białych popleczników, bogatych ludzi, którzy wspomagali go w karierze, nikt nawet nie pomyślał o tym, że nie było innej drogi do Kongresu. Ale teraz, kiedy Byron wspomniiał o władzach, w pierwszej chwili spanikowana Julia pomyślała o Vanessie, której związek z Kellenem z pewnością mógłby stanowić ciekawy temat dla władz. Poza tym, Byron Dennison zdawał się brać stronę Lemastera w dyspucie, którą ona i jej mąż wielokrotnie już ćwiczyli. Przez te wszystkie lata wiara jej męża w oficjalną władzę raz na jakiś czas stawała się powodem ich sporów. Julia, podobnie jak wiele innych osób wyniesionych do przywilejów i perspektyw w czarnoskórej Ameryce, wyczuwała w sobie jakąś zwrotną podejrzliwość wobec aparatu rządowego. Może był to wpływ Szalonej Mony, która nieustannie prawila kazania swoim licznyim zwolennikom, mówiąc, że Stany Zjednoczone są źródłem większości zła na świecie. Może był to wpływ branży public relations, w której, w jednym ze swoich innych wcieleń, Julia chciała robić karierę. A może - jak Lemmie sam był skłonny argumentować, choć bardzo tym ją ranił - winna temu była sama Julia, która utożsamiała swój własny los z tymi, którzy mieli mniej szczęścia wśród społeczności, z ludźmi, z którymi prawie w ogóle nie miała kontaktu, kiedy dorastała w New Hampshire, a potem też niewiele.

Kiedy pielęgniarka ponownie zniknęła, Byron Dennison usiadł oparty na poduszkach, z trudem oddychając.

- Bay?

- Wciąż tu jestem.

Polizwała wargi, żałując, że nie może zwilżyć gardła.

- Bay, chodzi o to, że ja nie mogę pójść z tym do władz. Nie mogę. - Na chwilę głos ją zawiódł. - Przykro mi.

- To twoja sprawa, a nie moja. Już ci powiedziałem, jeśli chcesz, możesz zlekceważyć moją radę. - Tym razem jego kaszel był suchy, bez porównania bardziej nieprzyjemny. - Wyjawię ci jeszcze jedną tajemnicę. Jeśli dziewczyna nie chce ci powiedzieć, gdzie była, to znaczy, że ma swoje powody. Bystra dziewczyna. Zawsze ją lubiłem. Popuściła sobie trochę cugli. Ale tak, Julio, zachowują się konie czystej krwi. A twoja córka Vanessa jest czystej krwi. Odziedziczyła dobre geny. Ale mniejsza o to. Nie słuchaj tego, co ja mówię. Jestem człowiekiem zmęczonym.

- Bay...

- Cicho. Śpię.

- Wcale nie śpisz.

Uśmiechnął się, wciąż nie otwierając oczu.

- Jak mówiłaś, gdzie ją znalazłaś? W klubie tanecznym?

- Prawdę mówiąc, to kierownik ochrony kampusu ją znalazł, to on ją znalazł w tym klubie. Jej koleżanka Smith, Janine Goldsmith, przyjechała po nią pod kościół i zawiozła ją na stację kolejową. Vanessa pojechała do Nowego Jorku. Nie chce powiedzieć dokąd. Mówi, że nie znalazła tego, czego szukała. Wsiadła w powrotny pociąg i taksówką pojechała do klubu.

- Może ona po prostu potrzebowała chwili wytchnienia.

- Może. - Julia uspokoiła się. Wcześniej była bardzo rozzłoszczona. Podobnie jak Lemaster, który jednak wściekał się na doktora Brady'ego, nie na Vanessę. Zamierzał zwolnić go, gdy tylko znajdzie nowego terapeutę. - Ale nie wydaje mi się. Myślę, że tu raczej chodziło o... Mniejsza o to. Rzecz w tym, że Vanessa ma teraz poważny zakaz w domu. Nie wolno jej spotykać się z Janine, nie może z nią rozmawiać, kontaktować się przez komunikator internetowy, nic z tych rzeczy. - Julia urwała, ponieważ nagle cała sala się zachwiała, uszy bolały ją od ryku urzędów, ale podejrzewała, że to najprawdopodobniej huczała krew w jej żyłach. - W każdym razie, Bruce Vallely odszukał ją w tym klubie, kiedy tańczyła z gośćmi dwa razy od niej starszymi. Powiedziała, że chciała się zabawić, zanim będzie na to za stara. Zabawić się tak, jak Gina nie zdążyła. - Znowu potrzebowała chwili, żeby pozbierać się, przypomniawszy sobie, jak Vanessa powiedziała tylko, że nie miała wyboru. - A do tego była za młoda, żeby wpuścić ją do klubu, nawet jeśli nic tam nie piła. Wyobrażam sobie, że Lemaster zdążył już załatwić im cofnięcie koncesji na sprzedaż alkoholu.

- I bardzo dobrze.

- To ty go tego nauczyłaś, prawda?

- Czego?

- Jak wykorzystywać władzę. I kiedy.

Otworzył zdrowe oko i zaraz nim przewrócił. Na szarej skórze widniały krople potu.

- Wszystkim im powiedziałem. Korzystajcie z władzy, jak tylko chcecie. Bogaćcie się. Pomagajcie biednym. Róbcie, co chcecie. Ważne jest, żebyście z niej korzystali, i nie ustawajcie w tym. Jeśli zostawicie władzę na boku, ktoś inny ją przejmie. Z władzy trzeba korzystać, bo w przeciwnym razie nie jest rzeczywista. - Zakasłał. - Jeśli z niej korzystasz, ludzie dochodzą do wniosku, że jesteś silnym człowiekiem, przyzwyczajają się do robienia tego, czego chcesz, a to daje ci więcej władzy. Nawet nie próbuj używać jej do poszukiwania sprawiedliwości. Ludzie są rzeczywisti, a sprawiedliwość to coś abstrakcyjnego. A z abstrakcją mamy do czynienia wtedy, kiedy zaczyna się zabijanie.

Julia, będąc empirykiem, nie cierpiała pojęć abstrakcyjnych i między innymi właśnie

dlatego bardzo rzadko przekraczała próg sali wykładowej, od kiedy zaczęła pracę w wyższej szkole teologicznej. Słuchając jego słów, podenerwowana pogryzała dolną wargę.

- Bay, posłuchaj, chciałabym jeszcze cię prosić...

- Żeby nie mówił Little Masterowi o naszej rozmowie. Pamiętam.

- Przepraszam, że stawiam cię w takim położeniu, Bay. Zwłaszcza teraz.

- Julio, ja jestem strażnikiem wielu tajemnic. Ludzie chcą, żebyśmy właśnie z tego żyli.

My dochowujemy tajemnic. - Usłyszała jakieś bulgotanie. - Jestem staromodny. Nauczono mnie, że tajemnice zabiera się do grobu. Dzisiaj, kiedy zwierzysz się komuś z tajemnicy, taka osoba od razu myśli, do którego reportera by tu zadzwonić. Zupełny brak prawości. Żadnego honoru. I Bóg mi świadkiem, nie ma już żadnej lojalności. Nie potrafią trzymać języka za zębami. Chcą tylko zobaczyć swoje nazwisko w gazecie, nawet jeśli to nazwisko to „anonimowe źródła” czy też „osoby dobrze poinformowane”. A reporterzy wcale nie są lepsi. Zupełnie im się pomylił porządek rzeczy. Zdają się myśleć, że jeśli ktoś nie był notowany, to znaczy, że mówi prawdę. Jakby człowiek honorowy zdradzał zaufanie kolegów. Przepraszam. Koniec wykładu. Możesz zlekceważyć moje słowa.

Ledwo go słyszała.

- Rzecz w tym, że Lemaster jest pod wielkim... naciskiem. Nie sądzę, żeby on zrozumiał, dlaczego ja muszę to zrobić.

Cichy, ciężki rechot.

- Nie martw się, Julio. Ja zrozumiałem. A teraz mnie posłuchaj. Słuchasz?

- Oczywiście. - Uścisnęła jego dłoń, bo nie miała pewności, czy Bay ją widzi.

- Co bym zrobił, gdybym był na twoim miejscu? Czego chciałbym się dowiedzieć?

- Tak?

- Nie interesowałoby mnie, gdzie moja córka spędziła ten czas w Nowym Jorku, ale dlaczego moja córka spędziła ten czas w Nowym Jorku. Powiedziałem ci, że ona jest bystra. A do tego jest zdeterminowana, podobnie jak jej matka. Zastanawiam się, czy miała...

Oczy ponownie się zamknęły i zasnął.

II

- Co dokładnie Kellen powiedział ci o tej Czarnej Lady? - zapytała Julia. Wraz z Mary siedziała w Cambridge, w restauracji znajdującej się przy placu naprzeciwko hotelu Inn at Harvard, w którym Julia zatrzymała się na noc. Bez powodzenia starała się skontaktować ze swoim synem Prestonem i wybrała ten hotel, żeby być blisko niego, ale w głębi duszy

podejrzewała, że on nie będzie odbierał telefonów aż do jej wyjazdu. - Zanim go aresztowano, Tony Tice wypytywał Biedronki. Najprawdopodobniej sądzi, że jedna z nas jest tą Czarną Damą.

Mary grzebała w sałatce z grillowanego kurczaka z rukolą. Tej potrawy nie było w menu, ale tak omamiła kelnera, że przyrządzono jej coś takiego. Jak wielu nałogowych palaczy, jadła ostrożnie. Tłoczący się przy sąsiednim stoliku hałaśliwi studenci działali na nie uspokajająco. Mary zapewniła Julię, że jeśli zależy im, żeby nikt nie usłyszał, o czym będą mówić, najlepiej będzie znaleźć się w tłumie.

- Tyle że Czarna Dama pomagała mu w jego pracach. A do tego była jedną z jego dawnych miłosnych przygód. - Na jej twarzy pojawił się cierpki uśmiech. - Nie bój się, to nie mogła być twoja Vanessa, bo Kellen powiedział, że Czarna Dama już od jakiegoś czasu była w okolicy i sporo widziała.

Julia w zamyśleniu żuła rozpływającego się hamburgera.

- I to kolejny powód, dla którego sądziłaś, że chodzi o mnie? Bo byłam jedną z jego dawnych przygód?

- Chyba że sypiał z jakąś inną Siostrzaną Damą. - Zobaczyła wyraz twarzy Julii. - Przepraszam. Potrafię być brutalnie szczerą.

- Nie przeczę.

Mary uniosła liść rukoli na widelcu, ale po namyśle odłożyła go z powrotem na talerz.

- Ale wtedy doszłam do wniosku, że się mylę. Zrozumiałam, że ta Czarna Dama, która pomagała mu w poszukiwaniach, i ta jego nowojorska dziewczyna, która miała przejąć od niego ryzyko zapasów, to dwie zupełnie różne osoby.

- Jedna z jego dawnych przygód - powiedziała Julia, a w jej głowie zaczął rodzić się pomysł, ale nie taki, którym mogłaby się podzielić z Mary.

- Powiedz mi teraz, co łączyło Tice'a z Kellenem - poleciła jej.

- Ty naprawdę lubisz dyrygować ludźmi, wiedziałaś o tym?

- Jeszcze jak - odparła Julia, potajemnie podniecona swoją nową osobowością, dużo bliższą tej jej sprzed lat niż ta, którą dzieliła z Lemasterem łożem i życiem. Zniknęła Podróbka. Powróciła Perła.

- Wiem tylko tyle co powiedział mi Kellen. Tony miał klienta, który zamierzał złożyć ofertę w aukcji o nadwyżkę. Odniosłam wrażenie, że ten klient zajmuje się czymś podejrzanym, a gdyby Kellen potrafił udowodnić to, co miał nadzieję udowodnić, chyba sama rozumiesz, dlaczego to ma sens.

- Powiadają, że klienci Tony'ego to mafiosi albo terroryści czy...

- Albo koalicja potentatów naftowych z Teksasu czy Doliny Krzemowej. Julio, oni są równie niebezpieczni. I równie skorumpowani. - Mary była bardzo poważna. - Nie daj się zwieść arbitralnym podziałom, co jest legalne a co nie. Kimkolwiek są ci klienci, jeśli tylko są gotowi zapłacić za tę nadwyżkę, to znaczy, że są niebezpieczni. - Pogrzebała w sałatce i w końcu udało się jej znaleźć grzybka, którego mogła zaakceptować. - Pamiętaj, ktoś zabił Kellena. I być może również twój znajomego, Borisa. Bóg jeden wie kogo jeszcze.

Julia skinęła głową, ale nie na znak zgody. Wcisnęła frytkę do ust. Zarówno w położonym w podupadłej części śródmieścia salonie piękności, jak i w programie radiowym Kwame Kennerly'ego miała okazję nasłuchać się szalonych teorii spiskowych, i łatwo było zapomnieć, że również biali potrafią we wszystko uwierzyć.

- To Tony skontaktował się z Kellenem czy było na odwrót?

- Dobre pytanie. Sama o to zapytałam Kellena. Ale, niestety, nigdy mi nie odpowiedział - odparła Mary, jednocześnie odsuwając od siebie talerz z sałatką. - Chodzi o to, że Kellen planował zorganizowanie aukcji w celu sprzedaży swoich zapasów. Nazywał to aukcją, w której wszyscy płacą. Znasz taki typ aukcji? Musiałam sprawdzić to znaczenie. To taka aukcja, podczas której płacisz oferowaną kwotę, niezależnie od tego czy wygrasz licytację, czy nie.

- Dlaczego ktoś miałby coś takiego robić? To bez sensu.

- Jeśli się nad tym zastanowić, okazuje się, że wcale nie. Ludzie składają niższe oferty, ponieważ wiedzą, że stracą pieniądze, jeśli ich oferta nie wygra. I jeśli uda ci się odgadnąć wysokość ofert innych, możesz zdobyć przedmiot licytacji za cenę niższą niż w innych aukcjach. Szalone było tu natomiast myślenie Kellena, kiedy zaczął sprawdzać, co będzie, jeśli cała sprawa pozostanie tajemnicą. Skończyłaś już?

Julia uśmiechnęła się. Zrozumiała. Pięć minut później spacerowały w chłodnym wieczornym powietrzu po Harvard Yard. Większość bram zamknięto już na noc, a w potężnych georgiańskich domach akademickich widać było jasno rozświetlone okna. Mary zdążyła już zapalić drugiego papierosa.

- Kilka razy spotkałam się z Bruce'em Vallelym - odezwała się Julia. - Trevor Land mi to poradził. I wiesz co? On nie jest taki straszny. Jest niezgrabny, ale nawet miły.

- No proszę, proszę.

Julia stuknęła ją łokciem.

- Daj spokój. Podzielił się ze mną kilkoma ciekawymi informacjami. Udało mi się nawet ułożyć pewną chronologię wydarzeń.

- Mów.

- Tej nocy, kiedy Gina zginęła, widziano, jak rozmawiała z DeShaunem. To prawda. Ale jest coś jeszcze. Jeden ze świadków, pewna nauczycielka powiedziała, że widziała Ginę żywą po tym, jak miała wsiąść do samochodu z DeShaunem. Ale później zmieniła swoje zeznania. Powiedziała, że się pomyliła. - Julia zadrżała. - Zgodnie ze słowami Mitcha Huebnera, ona nie tylko widziała Ginę. Wpuściła ją do swojego domu i pozwoliła jej zatelefonować. Pół godziny później na jej podjeździe pojawił się jakiś sportowy samochód, a w nim dwóch młodych mężczyzn. Jeden z tych facetów wysiadł. Gina kłóciła się z nim, ale w końcu cała trójka odjechała tym samochodem. To tyle.

Przez chwilę szły w ciszy. W końcu Julia zaczęła mówić dalej.

- Powstaje pytanie, kim byli ci dwaj chłopcy? Mitch Huebner utrzymuje, że Gina miała chłopaka i wymykała się na spotkania z nim. A Bruce mówi, że tej nocy został rozbity jaguar Jocka Hillimana. Jock sam się przyznawał, że specjalizował się w uwodzeniu córek kadry uniwersytetu. W tamtych czasach było to wyjątkowo ryzykowne, nawet bardziej niż obecnie. Nie każdy zabierał się za coś takiego. Podejrzewam, że to Jock był jej chłopakiem.

- A Mal Whisted przyjacielem domu?

- Ale to wcale nie znaczy, że Łach nie mógł być w tym samochodzie. Nie wiemy, którzy dwaj tam byli. - Zagryzała wargę. - Trzeba przyznać, że to mógł być Jock i ktoś, o kim nie pomyślałyśmy.

- Ale sama w to nie wierzysz i ja też nie. - Teraz przyszła kolej na Mary. - Mówiłam ci, że znalazłam tego świadka. To facet, który był na studiach w tej samej grupie co prezydent, i który mówi, że jest gotów złożyć oficjalne zeznania. Mieszka gdzieś na Środkowym Zachodzie. Zarzekał się, że tego wieczoru Łach był na imprezie w klubie studenckim i tak się spił, że zasnął na sofie. Całą noc tam przespał. Ten gość to pamięta, ponieważ była to impreza z okazji walentynek, a Łach przyszedł z kobietą, która wyszła z kimś innym i facet się rozkleił. Jeśli więc ten człowiek mówi prawdę, to tamtej nocy Łach nie mógł być w samochodzie.

- Trochę to zbyt pięknie się układa - stwierdziła Julia.

- Zgadza się. Świadcowie pojawiają się akurat wtedy, kiedy są potrzebni. - Wypuściła kłąb dymu. - Musimy jednak pamiętać, że ten facet nie przyszedł sam do mnie, to ja musiałam go odszukać. Sama nie wiem, Julio. Nie wydaje mi się, żeby on to wymyślił.

- Czy to on użył słowa „rozkleić się”?

- A co to za różnica?

- Możesz myśleć, że jestem uprzedzona, ale taki zwrot niezbyt pasuje mi do gwary studenckiej. - Kozaczki Julii chrzęściły zgodnie na śniegu.

- A tak przy okazji, do ilu kumpli Łacha zadzwoniłaś, zanim znalazłaś tego, który chciał mówić?

Mary się uśmiechnęła.

- A myślałam, że to ja jestem specjalistką od teorii spiskowych. - Przeszła do następnego tematu. - Próbowałam znaleźć jakieś źródło w rodzinie Hillimana. Ale oni są bardzo skryci, żyją za wieloma murami otaczających ich prawników i służących. Nie potrafię do nich dotrzeć. Rozmawiałam ze znajomym, który napisał o nich książkę, i on powiedział, że sam też nie ma żadnych porządnych bezpośrednich źródeł informacji. Nie sądzę, żebyśmy mieli jakiś pożytek z Hillimanów. - Zawahała się. - Ale udało mi się coś dowiedzieć o twoim chłopaku. Zaraz, nie denerwuj się. O Brusie Vallelym. Kiedy służył w siłach specjalnych w Ameryce Środkowej, prawie na śmierć pobił jakiegoś biedaka z CIA, ponieważ Agencja nie chciała ratować informatora, na którego polowały szwadrony śmierci. Bruce Vallely to człowiek nad wyraz opiekuńczy.

- Tak? - Julia sama nie wiedziała, jak potraktować tę informację. Obejrzała się przez ramię. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. - Czy kilka tygodni temu mówiłaś poważnie? O tym, że mogę być obserwowana?

- Oczywiście.

- Dlaczego tak uważasz?

Końcówka papierosa rozjarzyła się czerwono, kiedy Mary się zaciągała.

- To przecucie. Kiedy obracasz się wśród ludzi, którzy żyją ze śledzenia innych, a ja dużo czasu między nimi spędziłam, po prostu to wyczuwasz. Kilka razy, nawet w Harbor County, byłam niedaleko ciebie, a ty nic nie zauważyłaś. I podejrzewam, że nie jestem jedyna. Ważni ludzie trapią się tym, co robił Kellen, Julio. Ludzie bardzo wpływowi. Oni chcieliby wiedzieć, co kombinujesz.

- W zeszłym tygodniu miałam wrażenie, że jedzie za mną jakiś samochód.

- Nie zdziwiłoby mnie to.

- A w moim komputerze było to najnowsze oprogramowanie szpiegowskie...

- To chyba potwierdza moje zdanie, prawda? Potężni ludzie, Julio.

- Masz kogoś na myśli?

- Pracuję nad tym.

- Czy teraz jesteście śledzone?

- Nie wydaje mi się. Nigdy nie można być pewnym, ale nie wydaje mi się. - Wypuściła dym przez nos. - Moi znający się na rzeczy koledzy mówili mi, że kampusy uniwersyteckie to w rzeczywistości trudne obiekty. Pełno wokół studentów, którzy siedzą, nic

nie robią i zupełnie się nie wyróżniają. Co innego dorośli. Dorośli na kampusie dokądś zmierzają. W dzisiejszych czasach uniwersytety to domena dzieciaków.

- Mam taką nadzieję.

- Z powodu tego twojego wyglądu w zeszłym miesiącu - powiedziała pisarka, uśmiechając się. - To naprawdę było bardzo odważne. Żeby włąmywać się do podziemi swojego własnego budynku. Ale, Julio, chyba zdajesz sobie sprawę, że musiałaś zostawić tam odciski palców.

- Przemyślałam to. Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku. Odciski moich palców mają prawo znajdować się w bibliotece.

- I na zakratowanym oknie dwa i pół metra nad podłogą?

- No dobra, to może tego jednak nie przemyślałam. - Łaskoczący dym w nosie rozbudził dawne pragnienie, ale zdecydowana była oprzeć się mu. Studenci przechodzili w małych grupkach, z podniesionymi kapturami stawiali opór wiatrowi. Ale Julia pochodziła z New Hampshire, a Mary z Maine, i żadna z nich nie przyznałaby się, że temperatura im przeszkadza. - Ale ważne jest, że się pomyliłam.

- Pod jakim względem?

- No wiesz, jest pewien student, niejaki Joe, który ma wobec mnie dług wdzięczności. Chciałam się dowiedzieć, do jakiej właściwie części dokumentów rodziny Joule zaglądał Kellen, ale nie chciałam wzbudzać podejrzeń archiwisty, który już i tak za mną nie przepada. Dałam więc numery temu studentowi i poprosiłam, żeby poszedł do biblioteki, udając, że potrzebuje ich do własnych badań. A on to zrobił.

Skręciły w ślepią uliczkę i po chwili wróciły po swoich własnych śladach, żeby się z niej wydostać. Julia miała wrażenie, że Mary celowo prowadzi ją tą drogą, żeby sprawdzić, co się dzieje za nimi. Na skwerze rozległ się wybuch zagniewanych głosów, jakaś para ogniście z sobą zrywała, przynajmniej tymczasowo. Jeszcze w Dartmouth Julia i Kellen przeszli kilka takich krzykliwych potyczek na samym środku Green, tak bardzo nienawidząc się nawzajem, że potem musieli wrócić do łóżka, żeby to sobie udowodnić.

- To było rozsądne - powiedziała Mary. - To znaczy, żeby użyć do tego studenta. I jakie to były cytaty?

- Nic specjalnego. To właśnie było zabawne. Kellen u góry każdego rewersu napisał „Kolekcja Merrilla Joule’a”, ale żaden z numerów na rewersie nie pasował do niczego w dokumentach rodziny Joule. Joe pomyślał, że to dziwne i zapytał panią Bethe, to asystentka archiwisty, zapytał panią Bethe, czy może mu powiedzieć, do jakich dokumentów mogą te numery pasować. Tylko że ona odmówiła. Powiedziała, że przepisy tego zabraniają. On musi

udokumentować autentyczną akademicką potrzebę skorzystania z każdej kolekcji, a kartka zapisana numerami nie jest taką potrzebą.

- Taka kobieta to prawdziwy skarb. Chcesz jednego? - zaproponowała jej papierosa. Nałogowcy nie znoszą cierpieć w samotności.

Julia z trudem odsunęła paczkę.

- Ta dwójka prowadzi naszą bibliotekę w taki sposób, jakby za wszelką cenę nikt nie mógł się dowiedzieć, co tam się znajduje. Podejrzewam, że Rod Rurherford nie mniej wydaje na środki bezpieczeństwa niż na same książki. - Zatrzymały się. - Czy ty myślisz o tym samym co ja?

- Dodatkowe zamki, alarmy, kraty w oknach - odparła Mary - i personel, który nikomu nie ufa, którego nie można namówić na odejście od przepisów i który zmusza cię do pozostawienia tuzina zapisanych rejestrów, jeśli w ogóle uda ci się dostać do środka.

- Idealne miejsce do schowania rzeczy, które nie mają być znalezione - powiedziała Julia.

- Na przykład kartki z dziennika Arnolda Huebnera. I ewentualnie inne formy nadwyżki.

- Doskonale - podsumowała Julia. I dodała: - Tylko że nie możemy tam się dostać.

- My nie. Ale ty możesz.

- Niby jak?

- Nie mam pojęcia. Ale nie martw się. W ostatnich tygodniach co chwilę wyskakiwałaś z czymś nowym i błyskotliwym. Jestem pewna, że coś wymyślisz.

Julia miała co do tego wątpliwości, ale nie zaprotestowała.

- A gdy już tam się znajdę, czego mam szukać?

- To też pozostawiam tobie.

- Bardzo miło z twojej strony.

- Mówię poważnie. To właśnie tobie pozostawił wskazówki. Nie mnie, Tony'emu ani komuś innemu. Tobie Kellen je zostawił, więc tylko ty możesz je zinterpretować.

Julia wzięła się pod boki.

- A kiedy ja będę nadstawiać głowę, zakradając się do archiwum Keplera i przeglądając te wszystkie dziesiątki tysięcy dokumentów albo ile ich tam mają, szukając kilku luźnych kartek z dziennika, co ty właściwie zamierzasz robić?

- Zajmować się zbieraniem informacji. Rozmowami. Notatkami.

- Czyli niczym.

- Będę ciężko pracować nad przygotowaniem propozycji mojej książki.

- Ale ja pytam, co zamierzasz zrobić, żeby mi pomóc?

Mary zrobiła wymyślną minę, wygniatając palcem dołeczek w podbródku.

- No, wiesz, w liceum byłam cheerleaderką. - Roześmiała się w zimową noc. - Hura, hura!

Rozdział 41

Ciemna materia

I

Julia nie powiedziała Mary wszystkiego. Kiedy już znalazła się sama, przejechała przez wąskie uliczki Cambridge i nie mogąc znaleźć dostatecznie dużo wolnego miejsca, żeby zmieścić swój samochód, zaparkowała go pod osobliwym kątem w odległości trzech przecznic od adresu, pod który zmierzała. Zdawała sobie sprawę, że jeśli naciśnie na dzwonek, jej syn znajdzie jakąś wymówkę, więc zaczęła się kręcić w pobliżu drzwi do niskiego budynku, dopóki nie wyszła z niego grupka studentów, i wtedy wślizgnęła się do środka, a jeden z nich usłużnie przytrzymał jej drzwi. Zanim jeszcze doszła do mieszkania, z trzeciego piętra dobiegły ją podniesione głosy. Postanowiła jednak zapukać, na tyle głośno, żeby ją usłyszano przez hałas. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i mniej więcej dwudziestoletnia ruda dziewczyna, z oczami opuchniętymi od płaczu, warknęła:

- Co jest?

Chwilę później pojawił się Preston, niski, krępy i doskonale kompletny, on nie potrzebował nikogo, a już na pewno rodziców czy zapłakanej dziewczyny.

- No proszę - rzekł. A do dziewczyny: - Możesz w to wierzyć lub nie, ale ta niezła laska to moja matka. - Zapadła cisza, każde z nich czekało, że to drugie ją przerwie. - Chyba możesz wejść.

Salon i kuchnia były brudne, a na oglądanie pozostałych pomieszczeń Julii nie zaproszono.

- Megan nie jest wybitną gospodynią domową. Ale czego się spodziewać? Ona jest od historii, nie od ścisłych. - Po ojcu miał olśniewający uśmiech, ale oczy lśniły zimną Nowej Anglii. - No dobra, zapomniałem. Ty też nie jesteś od ścisłych, prawda, mamó? Ty jesteś biologiem. Biologiem teologiem.

Usiedli po dwóch stronach rozchwianego stolika. Megan podała kawę i czerstwe rogaliki, a potem się ulotniła. Julia próbowała zagaić rozmowę, nawet powiedziała Prestonowi, jak bardzo za nim tęskni, ale dla niego rozmowa była przyjemnością, którą mógł

dzielić wyłącznie ze swoimi rówieśnikami. W towarzystwie syna czuła się niepewnie, a nawet jak ktoś od niego gorszy. Mary Mallard nie poznałaby jej.

- Co chcesz, mamó? Chyba nie przyjechałaś tu poplotkować. Gdybyś zadzwoniła, zaoszczędziłbym ci kłopotu.

- Aż tak bardzo mnie nienawidzisz?

- Nie nienawidzę cię - odparł w sposób tak brutalny, że Julia nie mogła tego nie zauważyć.

- Preston, o co chodzi? Chodzi o twojego ojca?

- Mamó, po co tu przyjechałaś?

Julia uzmysłowiła sobie, że syn w jej towarzystwie czuje się równie nieswojo jak ona w jego. Nie mieli wspólnego języka. Pamiętała go jako małego chłopczyka, który w jej objęciach upajał się każdym nowym osiągnięciem. Wszyscy zawsze powtarzali, że Preston będzie synkiem mamusi, a Vanessa córeczką tatusia. Podobnie jak większość uogólnień formułowanych przez dorosłych na temat dzieci, również to okazało się nietrafione.

- Czy twój ojciec rozmawiał kiedyś z tobą na temat tego swojego bractwa? - zapytała Julia. - Empireum? Mówił może, że będziesz... no, jego następcą?

- Oczywiście. - Widać było, że rozbudziła jego zainteresowanie, ale czekał na jej następny ruch. - Jak feudał ze swoim pierworodnym. Prawo majoratu.

- A ty się nie zgodziłeś?

- Nie interesują mnie te bzdury. Te całe stare rody. Tradycje. Te wszystkie bzdety. - Megan popłakiwała w sąsiednim pokoju, ale Preston był zbyt dumny, żeby to zauważyć. - Ja staram się odkryć znaczenie ciemnej materii, a on martwi się ciemniejszą nacją.

- Ciemna materia?

- Podstawowy element wszechświata. Z równań wynika, że... Mniejsza o to, i tak nie zrozumiesz. Mamó, po co przyjechałaś?

Podniecenie. Kellen mówił o znaczeniu czegoś ciemnego.

- W tym momencie chciałabym, żebyś powiedział mi, czym jest ciemna materia.

- Poważnie?

Skinęła głową.

- We wszechświecie jest za mało materii. I to w zasadzie wszystko. Jesteśmy w stanie wykryć jedynie mniej więcej jeden procent materii i energii, które w nim powinny być. To właśnie wynika z równań. Grawitacja, promieniowanie tła, wszystkiego brakuje. I ta inna materia, materia, której nie potrafimy odnaleźć, jest nazywana ciemną materią. Kiedyś myślano, że są to martwe gwiazdy albo neutrino, ale te hipotezy zostały odrzucone. Niektórzy

fizycy sądzą, że to mity, ale większość z nas uważa, że to rzeczywista materia. Jest gdzieś tam albo nawet tutaj, i przez cały czas przez nas przechodzi. - Mówiąc teraz o swojej pracy, ożywił się i wymachiwał rękami w przód i w tył, jak człowiek pływający w miejscu. - A my po prostu nie potrafimy jej wykryć. Rozumiesz. Tuż pod powierzchnią. Nie potrafimy jej znaleźć, ale wiemy, że musi gdzieś tam być. A chodzi o to, mamó, że ten widziany przez nas wszechświat to tylko drobna cząstka rzeczywistości. Jest tak cienki, jakby to było złudzenie. Gdyby udało się nam znaleźć ciemną materię, wtedy naprawdę wiedzielibyśmy, co tu się dzieje.

To musiało być to. To, co Kellen chciał, żeby ona zrozumiała. Ciemna materia znajdowała się pod powierzchnią: „co naprawdę się dzieje”. A Preston sam, niepytany, zrobił dla niej tę aluzję. Ciemna materia. Ciemniejsza nacja. To Empireum spopularyzowało termin „ciemniejsza nacja”. To, co wirowało na naszych oczach, było złudzeniem. Ciemna materia, ukryta ręka Empireum - to była tajemna rzeczywistość.

Ale czym była ta ukryta rzeczywistość? Czym Empireum się zajmowało?

II

Preston nie mógł się doczekać, kiedy w końcu pozbędzie się jej z mieszkania. Powiedział, że musi iść do laboratorium, może nawet nie kłamał. W kuchni Megan pobrzękiwała czymś jak szalona. Stojąc już w drzwiach, Julia odwróciła się do syna.

- Twoja przyjaciółka jest chyba bardzo miła.

- To tylko zabawka.

Aj!

- Tęsknię za tobą - powiedziała. - Wszyscy za tobą tęsknimy.

- To urocze, mamó.

I znowu niewypał. Spróbowała jeszcze raz.

- Powiedziałeś, że nie nienawidzisz mnie. Czy to oznacza, że nienawidzisz ojca?

Na jego twarzy odmalowała się złośliwość, gorąca i wyraźna. Już miał jej coś odpowiedzieć, ale, zdyscyplinowany jak ojciec, postanowił zaczekać, aż ona odkryje swój plan, dopiero potem miał go obalić, tak jak potrafił przeczekać swoich przeciwników, kiedy zajął trzecie miejsce podczas młodzieżowych mistrzostw Stanów Zjednoczonych w szachach.

- Muszę już iść - odrzekł.

- Czy to dlatego nigdy nie przyjeżdżasz do domu, Prestonie? Z powodu tego, co ojciec powiedział ci o Empireum? - Przelknęła ślinę, zamknęła oczy i zaatakowała: - Co on ci

powiedział?

- Nie, mam. To nie dlatego.

- To dlaczego? Dlaczego toczycie ten spór?

- To nie jest żaden spór. Po prostu się nie lubimy. - Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że temat został zamknięty. Julia wiedziała, że nie należy naciskać. Mówiono, że Preston przypomina matkę, ale ten twardy wzrok, zacięte usta, to jego „postanowiłem”, to był cały Lemaster.

- Dobrze, Prestonie. Już dobrze. - Zastanawiała się, czy któreś z jej dzieci jeszcze kiedyś jej zaufa.

Ton głosu syna nieco złagodniał.

- A jak się ma Nessa? Jak sobie radzi z tym, co się dzieje wokół Giny?

- Jest wyjątkowo silna, zważywszy... - Julia zakryła usta dłonią. O mały włos nie zauważyłaby jego pomyłki. - A co niby dzieje się wokół Giny? Preston, skąd wiesz o tym, co się dzieje?

- Ja tylko chcę się upewnić, że u niej wszystko jest w porządku. Z tymi wszystkimi jej ucieczkami i znikaniem.

- A kto ci o tym powiedział? Albo o tym, że ma to jakiś związek z Giną?

- Julia sama sobie udzieliła odpowiedzi na to pytanie. - To Vanessa, tak? Nie utrzymujesz żadnych kontaktów z rodziną, ale okazuje się, że wiesz, co się dzieje u Vanessy. Nie rozmawiacie przez telefon, byłyby jakieś ślady na rachunkach. - Przypomniała sobie tamtą noc, kiedy Smith u nich spała, i ekran komputera, z którego Vanessa pośpieszonym kliknięciem usuwała okno komunikatora internetowego, gdy tylko matka weszła do pokoju.

- Rozumiem. Kontaktujecie się z sobą. Ona ci wszystko opowiada. A ty... ty też jej coś mówisz, prawda?

- To moja siostra i kocham ją - odparł, jakby broniąc się.

- W to nie wątpię. Nie wątpię. - Julia się rozzłościła. Było jej głupio, że niczego nie zauważyła. „Powiedział, żebym spróbowała”, mówiła Vanessa. - I to, co się dzieje wokół Giny... tak to nazwałeś, prawda? Ale chyba zapomniałeś powiedzieć mi, że ta cała sprawa z Giną to był twój pomysł. Rok temu Vanessa chciała pisać na inny temat. Ale miesiąc później oświadczyła, że zajmie się tym, co się stało z Giną. A kto mógł ją do tego nakłonić, jeśli nie ty? - Syn nic nie odpowiedział. - Prestonie, co się stało? Z jakiegoś powodu sam zrezygnowałeś z tego tematu, a potem namówiłeś siostrę, żeby się za to zabrała. O co tu chodzi?

- Mam, to był po prostu interesujący temat. To wszystko.

- Nie, Prestonie. To nie wszystko. Jesteś taki sam jak twój ojciec. Ty nigdy niczego nie robisz dla zabicia czasu, zawsze musisz mieć jakiś określony powód. - Wyczytała zniecierpliwienie w jego przystojnej twarzy. - Dlaczego powiedziałaś siostrze, żeby zmieniła temat? - Chociaż w tym momencie jej pytanie miało już znaczyć: „O co ci chodzi?”

- Za nic na świecie nie skrzywdziłbym Nissy.

- I ty mówisz o krzywdzeniu jej? Jej obsesja na punkcie Giny zaczęła się dopiero wtedy, kiedy ty poleciłeś jej zająć się pisaniem tej pracy! A właśnie to wyrządza jej największą krzywdę!

- Mamo, nie zamierzam już rozmawiać o Ginie. - Na jego twarzy na moment zagościł chłopięcy uśmiech. - A teraz wybac mi, ale muszę pójść nałgać trochę mojej dziewczynie. Chyba sama wiesz jak to jest.

- Co to ma zna... - W tym momencie zrozumiała, i przez wyraźną chwilę była równie rozgniewana jak on. - Był u ciebie Kellen Zant, prawda? Może nawet naopowiadał ci jakichś dawnych historyjek o twojej matce. A potem zapytał cię o to samo, o co ja cię pytam. A ty, co ty mu powiedziałaś?

- Że nie wierzę w duchy, Świętego Mikołaja ani w wygodnych małych czarnych chłopaczków, którzy pojawiają się w odpowiednim momencie, żeby dać się obwinić o zabicie ślicznych małych białych dziewczynek.

- Twoja siostra jest chyba przekonana...

- Mamo, już ci powiedziałem, nie będę o tym rozmawiać. Koniec. - Wypuścił z płuc dużo powietrza. Julia wiedziała, że jego następne ustępstwo będzie już ostatnim. - Ale opowiem ci o tacie.

- A co twój ojciec ma wspólnego z...

- Nie chodzi o Ginę. O Empireum. Pytałaś, co on mi powiedział. - Przesząpił z nogi na nogę, rzucił okiem na zegarek, spojrzął przez ramię, a potem chwycił Julię za rękę i siłą zaciągnął ją do słabo oświetlonego korytarza. - Pamiętasz z Biblii? Jak Szatan zabrał Jezusa na górę i pokazał mu wszystkie królestwa świata, a potem powiedział mu, że może to wszystko dostać, jeśli tylko upadnie i złoży mu pokłon? - Preston cofnął się do mieszkania. - To właśnie Lemaster Carlyle, mamo. To właśnie twój mąż. Ten diabeł.

- Ale co to ma znaczyć?

- To, co słyszysz. Kusił mnie ziemską władzą. A co ja, kurwa, mam zrobić z ziemską władzą? Mamo, ja wykonuję ważną pracę. Na bazie gwiazd położonych po niebieskiej stronie gałęzi horyzontalnej badam absorpcję promieniowania alfa serii Lymana w widmach kwazarów. - Ale w tym momencie drwił z niej i oboje o tym wiedzieli. - Proszę, następnym

razem zadzwonił przed przyjazdem. Niegrzecznie jest tak zaskakiwać ludzi.

Zamknął drzwi.

III

Kobiety w rodzinie Veazie nigdy nie płakały, więc Julia brnęła po pokrytych śniegiem ulicach, zmuszając swój umysł do przeanalizowania informacji, ponieważ wyciągnęła z Prestona tyle, ile się dało. To Kellen chciał, żeby to usłyszała. Cały czas sobie to przypominała. Kellen chciał, żeby wysłuchała opowieści Prestona, i jeśli nawet brakowało jej szczegółów, przynajmniej znała ogólny zarys. Każdy członek Empireum miał przygotować młodego następcę, więc Lemaster próbował zwerbować swojego starszego syna. Ale Preston odrzucił jego pochlebstwa. Trwający między ojcem a synem spór nie był źródłem nienawiści, którą jej syn darzył ojca, był jej efektem. Czy Lemaster później zwrócił się do Aarona? Ale Julia wypytywała syna w drodze do Exeter i była przekonana, że on o niczym nie wiedział.

Odrzucony przez Prestona, Lemaster pewnie zaczął szukać kogoś spoza rodziny.

Jakiegoś młodego czarnoskórego mężczyzny. Studenta? Byłego pisarza sądowego? Bezradnie pokręciła głową. Zbyt wiele było różnych możliwości, a ona dysponowała zbyt ograniczonymi informacjami.

Ciemna materia. Ukryta moc we wszechświecie. Lemmie uparcie utrzymywał, że Empireum było zaledwie jakimś mało znaczącym męskim klubem w Harlemie. Z tego, co mówiła Aurie, wynikało, że było to coś więcej, podobnie teraz twierdził Preston - a Kellen to wyraźnie potwierdzał.

„Kusił mnie ziemską władzą”.

Władzą nad czym? Co, na Boga, Empireum mogło mieć wspólnego z nadwyżką Kellena? I ze zbieraniem informacji na temat Giny Joule?

„Nie potrafimy jej znaleźć, ale wiemy, że musi gdzieś tam być”.

Wiesz co, Prestonie? Dokładnie to samo czuję.

Minęła samochód i zaszła dwie przecznice dalej, chyba nawet celowo, a kiedy wracała, zauważyła za sobą jakąś kobietę, która równie nagle się odwróciła i zaczęła gorączkowo szukać w kieszeni komórki. Może chciała odebrać nieoczekiwany telefon. Może podążała tropem Julii. A może to paranoja Mary Mallard wyprawiała psikusy umysłowi Julii. Na moment zawahała się. Ale jej samochód był zaparkowany po tamtej stronie, właśnie za tą nieznaną. Julia przyspieszyła, idąc prosto w kierunku tej kobiety, która stała przy witrynie sklepowej i ze spuszczoną głową mówiła coś do telefonu. Julia zbliżyła się do niej. Spłoszone

oczy spotkały spojrzenie drugich spłoszonych oczu.

Mijając ją, Julia zdobyła się na zuchwały uśmiech.

- Musisz to robić trochę lepiej - powiedziała.

Zaskoczona kobieta cofnęła się o krok. Ale już po chwili jej twarz złagodniała. Jeszcze raz sięgnęła do kieszeni i wyjęła nie pistolet, nóż ani rachunek za latarnie na podjeździe, ale kilka zmiętych banknotów dolarowych.

Wręczyła je Julii.

- Mam nadzieję, że to ci się przyda - powiedziała i powróciła do rozmowy telefonicznej.

Rozdział 42

Kolejny spacer na plaży

I

- Ja powiedziałem mu tylko - stwierdził Lemaster, a na jego strapionej twarzy odmalował się wyraz zaskoczenia - że tacy ludzie jak Byron Dennison mogą pomóc mu w karierze. A on się roześmiał. Nigdy nie słyszałem, żeby Preston śmiał się tak mocno. Powiedział, że oni nie mogą mu pomóc, ponieważ nie mają pojęcia o nauce. Kiedy próbowałem wytłumaczyć mu, że tu nie o to chodzi, odparł, że jego nie interesuje mój tryb życia. Tak właśnie to nazwał. Mój tryb życia. Nie wytłumaczył, co przez to rozumie.

Siedzieli w mercedesie, wracając z kolejnej imprezy uniwersyteckiej, uroczystej kolacji otwierającej konferencję pozbawionych wpływów analityków polityki zagranicznej.

- Trzeba mi było powiedzieć - odezwała się Julia, z zamkniętymi oczami zagłębiając się w skórce fotela. Nawet w jej własnych uszach te słowa brzmiały nieśmiało. Już w Landing Julia była zdecydowanie mniej pewna siebie niż wcześniej, kiedy zrobiła takie wrażenie na Mary Mallard, a może to Mary dodawała jej większej otuchy niż własny mąż. - I co, jaki teraz masz plan? - Usiadła prosto. - Zwerbujesz Aarona?

Lemaster długo się nie odzywał, a tymczasem mercedes z cichym warkotem silnika sunął przez wstrętny, zimowy deszcz.

- Jestem trochę ograniczony naszymi zwyczajami - w końcu powiedział. - Na razie nie mam żadnego protegowanego.

Podjęła kolejną nieśmiałą próbę.

- Ale to nie ma żadnego znaczenia, prawda? Za kilka lat Empireum zostanie zlikwidowane, tak?

- Julio, wcześniej czy później my wszyscy zostaniemy zlikwidowani.

W domu Vanessa gromiła swoją ciotkę w kolejnych partiach scrabble, bo Astrid lojalnie stawiała się na posterunku w chwili kryzysu. Julia przypomniała córce, że jutro trzeba iść do szkoły, na co Vanessa pogodnie odparła, że formalna edukacja jest zwyczajem, a nie potrzebą. Posłusznie udała się jednak do swojego pokoju.

- Mamy z Astrid do pogadania - rzekł Lemaster ostrzegawczym tonem, a Julia odparła, że i tak zamierzała wcześniej położyć się spać. Zajrzała do Jeannie i cichym krokiem udała się do małżeńskiej sypialni.

Z lustra w łazience spojrzęła na nią wynędzniałe oblicze. W jej owalnej twarzy pojawiły się nowe bruzdy, a może dopiero teraz je zauważyła. Oczy miała szerokie i jakieś zabiedzone. Niegdyś gładkie wargi były posiniaczone od ciągłego zagryzania i wykrzywione od grymasów, dokładnie w ten sposób, przed którym przestrzegala ją matka, jeśli jej Perelka nie będzie się uśmiechać. Podejrzewała, że to kłopoty przyspieszały proces jej starzenia się, ponieważ czuła się zupełnie wyczerpana. W przeszłości tylko raz widziała taką właśnie twarz patrzącą na nią z lustra, tamtej nocy, gdy wzięła całą fiolkę tabletek, ale wówczas miała zaledwie dwadzieścia lat i była na tyle niedoświadczona, żeby uznać, że ten szczególnie głęboki ból stanowi wyjątkową cechę jej istnienia, a ponieważ nikt inny nigdy czegoś podobnego nie doświadczył, był on zupełnie niezrozumiały dla całego świata poza jej własnym umysłem.

Wczoraj w Keplerze Julia bez żadnego powodu warknęła na zaskoczoną tym Iris Feynman. Po zebraniu w sprawie budżetu Iris zauważyła, że Julia wygląda na wycieńczoną, na co Julia odparła, że męczy ją to stałe oczekiwanie od niej uśmiechów. Kiedy godzinę później Clay Maxwell zajrzał do nich, jak to miał w zwyczaju, żeby podzielić się opowieściami o czasach świetności wydziału teologicznego, Julia powiedziała mu, że jest bardzo zajęta, ale nie wspomniała, że tego ranka najbardziej zajmuje ją lądanie samej siebie za opryskliwość wobec Iris. A potem zadzwoniła dziekan i zapytała, czy Julia dogadała się z Tonym Tice'em.

Głosy na parterze przybrały na sile.

Słyszała krzyki Astrid. Tak, to się jej zdarzało.

- Od przyszłego tygodnia - wyszeptał później sennym głosem jej mąż - pan Flew będzie tu prawie cały czas.

- Tutaj? - Leżała przyciśnięta do niego i bardziej rozbudzona niżby sobie tego życzyła.

- To znaczy, w naszym domu?

- Uhm.

- Ale dlaczego, Lemmie?

- Uporządkuje moje biuro. Trzeba przejrzeć mnóstwo papierów. To tylko na kilka tygodni.

- Cóż, wszyscy nie możemy się tego doczekać - odparła i dalej leżała z otwartymi oczami, zamartwiając się i nie mogąc zasnąć.

II

Rankiem Julia ponownie wybrała się z kuzynką męża na spacer po plaży. Z pełną premedytacją nie zatrzymała się na Main Street. Po tym denerwującym doświadczeniu, które przeżyła po herbacie z Trevorem Landem, trzymała się z daleka od samego miasteczka, ku zaskoczeniu rodziny robiąc zakupy wśród pospólstwa w centrach handlowych przy drodze numer 48. Problem polegał na tym, że nie potrafiła spojrzeć na witryny Cookie's, Old Landing czy księgarni, jednocześnie nie zastanawiając się, o czym ich właściciele rozmawiali tamtego popołudnia w domu Very i czy był tam z nimi sekretarz uniwersytetu. Zaczęła postrzegać zimę jako twierdzę chroniącą Landing wraz z jego tajemnicami przed takimi ludźmi z zewnątrz jak ona. Zimno przenikało takiego outsidera do szpiku kości, spowalniało go i w końcu zupełnie go zatrzymywało - chyba że, oczywiście, wcześniej wyjechał z miasteczka. Zastanawiała się nad takim rozwiązaniem, i nawet zapytała Lemastera, czy nie dałoby się jakoś przyspieszyć prac nad rezydencją rektora.

- Jeśli nie będzie ci przeszkadzać dach spadający na głowę.

Ale nie tylko Landing zaczęło wywoływać w niej niepokój, również kampus przestał być dla niej domem. Wzięła sobie kolejny dzień wolnego. Iris Feynman ostrzegła ją już, że po Keplerze zaczęły krążyć plotki, jak to Julia za dużo sobie pozwalała, wykorzystując fakt, że jest pierwszą damą uniwersytetu. Jak powiedziała Iris, Claire Alvarez zapewniała wszystkich, którzy tylko ją o to pytali, że wydział teologiczny na pewno nie jest miejscem, na którym karze się ludzi za dbałość o potrzeby ich rodzin. Ale Clay Maxwell zadzwonił, żeby przypomnieć jej, że chociaż dziekan zachwala ją jak może, wcale nie jest w tym szczerą. Julia odparła mu, że jeśli ktoś inny chciałby objąć jej stanowisko, ona z radością się go zrzeknie.

Tym razem, kiedy Julia z kuzynką męża doszły do bramki, nikt ich nie zatrzymał, strażnik ledwo uniósł wzrok znad czytanego komiksu, być może dlatego, że wszyscy już w miasteczku słyszeli o tym, jak to mieszkająca w Landing żona rektora uniwersytetu nie mogła dostać się na plażę. Kwame Kennerly przez miesiąc o tym mówił w swoim programie radiowym. Oczywiście nie zdradził, kto go o tym poinformował, i chociaż niektórzy w miasteczku podejrzewali o to Julię, ona nigdy nie zrobiłaby niczego tak pokrętnego, chociaż bardzo chętnie rozpowiadała o tym wśród Siostrzanych Dam. A jeśli kilka z nich postanowiło przekazać to dalej, no cóż, to już nie była sprawa Julii - w końcu Biedronki były przeciwne plotkowaniu.

Astrid, obecnie pracująca w waszyngtońskim biurze nowojorskiej kancelarii prawniczej, drażniła się z Julią, mówiąc, że powinna nakłonić męża do zarobienia większych

pieniędzy, ponieważ Lemaster, z wynoszącą prawie milion dolarów pensją rektora uniwersytetu, był rodzinnym biedakiem.

Julia zmieniła temat rozmowy.

Tak, odparła Astrid, jej pierwszym źródłem był Kellen Zant.

Tak, powiedziała powtórnie, odpowiadając na następne pytanie, widziała się z Kellenem na krótko przed jego śmiercią, ale - wyraźnie to podkreśliła - nie tamtego wieczoru.

Bo trzeba przyznać, podsunęła Julia, że Astrid często z nim się widywała.

- To twoje kosmetyki były w jego domu, prawda? - Bruce Vallely podzielił się z nią kilkoma ciekawostkami ze swojego śledztwa, starając się pozyskać ją do współpracy.

- Chyba że należały do jakiejś innej jego kobiety.

- Przyjeżdżałaś tu, żeby się z nim spotykać? I nie odezwałaś się do nas?

Astrid prychnęła.

- I co byś wtedy zrobiła?

Julia, na przemian targana zdumieniem i zazdrością, nie podjęła tematu.

To możliwe, stwierdziła Astrid, że ktoś mógł ich widzieć razem. Zachowywali ostrożność, ale każdy popełnia błędy. Jednak tamtego wieczoru nie była w Elm Harbor, a poza tym zupełnie nie rozumiała, jak jakiś rasistowski biały chłopaczek mógł nie odróżnić akcentu barbadoskiego od brytyjskiego.

I rzeczywiście, tak, powiedziała - Julia podsuwała jej po jednym problemie do rozwiązania, żeby ułatwić jej zadanie - tak, to Kellen się z nią skontaktował, a nie na odwrót.

- To się zaczęło jakieś sześć miesięcy temu. Powiedział, że dysponuje materiałem, który może wpłynąć na wyniki wyborów. Ja, oczywiście, zainteresowałam się tym. Każdy prawomyślny Amerykanin by tak zrobił. Użyłabym wszelkich niezbędnych środków, żeby pozbyć się tej ekipy. Musiałam pojechać w delegację do Nowego Jorku, a Kellen przyjechał tam pociągiem. Poszliśmy na herbatę do hotelu Stanhope, gdzie i tak wszyscy po cichu plotkują, i wtedy ten sukinsyn zrobił mnie w konia. Po pierwsze, powiedział, że chce pieniądze. Stwierdził, że nie pozwoli mi przejąć nadwyżki z jego pracy, co ja zrozumiałam jako jakiś głupi dowcip ekonomiczny. Odparłam, że będzie źle widziane, jeśli okaże się, że płacimy za poszukiwanie informacji kompromitujących naszych przeciwników, a nasz wizerunek w gazetach ulegnie pogorszeniu. Z niego był chciwy kutas, co? Powiedział, że w takim razie zachowa to dla siebie.

Astrid paliła papierosa i Julia ustawiła się pod wiatr. Mewy wyglądały na zainteresowane, jakby papieros mógł być jakimś jedzeniem, które zaraz zostanie wyrzucone.

- Po drugie, nie chciał powiedzieć mi, której ze stron te dowody mogą zaszkodzić.

Stwierdził jeszcze, że nasza strona i tak przegra, więc nie ma to aż tak wielkiego znaczenia. I stojąc tak tam przede mną, powiedział, że gdybym go zaczęła błagać, gdybym ładnie poprosiła, to może by mi powiedział. Skąd u niego było tyle niegodziwości?

- I co, błagałaś go?

- Walnęłam go w twarz.

- W samym środku Stanhope?

- Na chodniku.

- Tak, on potrafił człowieka do tego doprowadzić.

Astrid spozrzała na nią, jakby spodziewając się jakiejś obelgi, po czym uśmiechnęła się blado i wrzuciła niedopałek do wody. Julia odwróciła głowę z obrzydzeniem.

- Po trzecie, powiedział, że to jeszcze nie wszystko. A potem zaprosił mnie na kolację. Tak, on potrafił być czarujący. Chyba sama o tym wiesz. - Otrząsnęła się, jakby próbując zrzucić z siebie te wspomnienia. - A potem jedno pociągnęło za sobą drugie.

- A wasz związek...

- Nie było żadnego związku. Nie próbuj narzucić temu jakiejś formalnej struktury. Od czasu do czasu z sobą sypialiśmy, i tyle. Jestem pewna, że Kellen spotykał się z innymi kobietami, sukinsyn. - Julia dostrzegła jakąś niepewność, ale kiedy Astrid odezwała się ponownie, była już zupełnie spokojna. - Julio, ja o was nic nie wiedziałam. Jeśli cię to interesuje, mogę ci powiedzieć, że Kellen dochowywał twoich tajemnic. Myśmy nieźle się bawili, Julio. Nie będę temu zaprzeczać. Ale kiedy teraz patrzę na to z perspektywy czasu, ja nie byłam w jego typie. On lubił kobiety białe i potrzebujące oparcia w mężczyźnie. Sądzę, że Kellen sypiał ze mną, żeby w jakiś sposób zdobyć nad tobą przewagę. On chyba liczył na to, że dowiesz się o tym.

„Ale ja nie jestem biała” - niemal zaprotestowała Julia, chociaż Kellen zawsze powtarzał, że uwielbia miodową skórę, której ona sama tak często nienawidziła. - „A z drugiej strony, z pewnością potrzebowałam oparcia w mężczyźnie”.

- Trwało to tylko kilka miesięcy - mówiła Astrid. - Skończyło się... jeszcze chyba przed wrześniem. A potem w listopadzie zadzwonił do mnie z pytaniem, czy dalej mnie to interesuje. To było w środę przed jego śmiercią. Sądziłam, że pyta, czy interesuje mnie jego osoba, ale Kellen mówił o tych informacjach. Chciał się spotkać w Nowym Jorku. Ja do tego czasu zdążyłam już się wypłakać i nie zamierzałam wszystkiego zaczynać od początku. Poprosiłam go, żeby powiedział, co ma do powiedzenia. Wtedy on zrobił się jakiś nieswój, mówił, że jego telefon może być na podsłuchu, ale w końcu stwierdził, że jeśli chcę zdobyć ten materiał, muszę złożyć mu konkretną ofertę, i to szybko. Dodał, że zamierza to sprzedać

w ciągu dwóch dni. Organizował aukcję i miałam mu od razu przedstawić swoją ofertę. Powiedział jeszcze... powiedział, że jeśli mu coś się stało, to ja i tak będę mogła zdobyć ten materiał. - Wyjęła kolejnego papierosa, ale po chwili zmieniła zdanie i z powrotem wcisnęła go do kieszeni. Prychnęła. - Odparłam, że się nad tym zastanowię. Dwa dni później odstrzelono mu głowę.

„Sprzedać w ciągu dwóch dni”. Wracając do samochodu, Julia wciąż powtarzała w myślach to zdanie. „Sprzedać w ciągu dwóch dni”. Przypomniała sobie, że w sobotę rano miał zjeść śniadanie z Cameronem Knowlandem. Ale oni wcześniej się nie spotkali, nie mógł więc mieć pewności, że dojdzie do transakcji.

„W ciągu dwóch dni”.

- Julio? - odezwała się Astrid.

- Zamyśliłam się. Przepraszam.

- Zauważyłaś, że żaden reporter nie grzebie w uniwersyteckich czasach prezydenta? Nie cierpię tej zмовy milczenia. Powinnaś zadzwonić do swojej dawnej współlokatorki, do Tessy, i powiedzieć jej, żeby odkryła ten skandal.

- Sama do niej zadzwoń - odparła Julia tonem bardziej lodowatym niż zamierzała. Ale ogarnęła ją jakaś wściekłość, której powodów nie śmiała dochodzić.

- Zadzwońabym - odrzekła Astrid rzeczowym tonem. - Ale nikt już nie odbiera moich telefonów.

- Jestem pewna, że to nieprawda. - Ale uściśnęła dłoń Astrid, na wypadek, gdyby to jednak była prawda.

Kellen zadzwonił do ludzi senatora w środę i planował spotkać się z człowiekiem prezydenta w sobotę, a to oznaczało, że osoba, z którą widział się w piątek, nie była po żadnej ze stron. Mary miała rację. Interesował się tym jeszcze ktoś inny.

Może był to ten ktoś, z kim Kellen spotkał się tamtego wieczoru.

Kolejny oferent, który z jakiegoś powodu zwrócił się przeciw niemu i...

Julia zatrzymała się.

Na masce jej samochodu siedział Tony Tice.

III

- Czy byłbyś tak łaskaw zejść z mojego samochodu?

Jego piękna głowa przechylona była w stronę olśniewającego zimowego słońca.

- Nie przedstawiś mnie swojej pięknej znajomej? - zapytał.

- Tony Tice. Astrid Venable. Tony ostatnio był aresztowany za pobicie swojej dziewczyny. A jeśli nie przestanie za mną chodzić, znowu trafi do aresztu.

- Wyszedłem za kaucją, a ktoś mnie w to wrobił. Na pewno nie skończy się to w sądzie.

- Z pewnością - powiedziała Julia tonem tak lodowatym, jak tylko potrafiła.

- A jeśli chodzi o ponowne aresztowanie mojej osoby - zeskoczył z samochodu i stanął w śniegu jak pomnik własnej trwałości - to trzy lata temu pozwałem do sądu policję kampusu i wygrałem. Z największą przyjemnością pozwę również Lemastera.

- Ty chyba masz jakąś frajdę ze śledzenia mnie. Wydaje mi się, że to twojego buta zjadł pies Mitcha Huebnera.

Prawnik nie raczył jej nawet odpowiedzieć. Sięgnął do kieszeni w kurtce, ale wyraźne wybrzuszenie okazało się tylko telefonem komórkowym. Przyjrzał się wyświetlaczowi.

- Chciałbym dać ci ostatnią szansę na współpracę ze mną. Obawiam się, że moi klienci są niezadowoleni.

- Ostatnią szansę, zanim co się zdarzy?

- Zanim złożę pozew przeciw tobie. - Uśmiech nie schodził z jego twarzy. Ale Julia wyczuła w jego słowach jakąś desperację. - Zwrot zajętej ruchomości. Sprawa w sprawie zwrócenia przez pozwanego własności powoda, którą pozwany bezprawnie...

- Wiem, co oznacza zwrot zajętej ruchomości - skłamała. - O jaką ruchomość chodzi?

- O to, co Kellen zostawił. Zgodnie z prawem należy to do mnie, Julio. Albo raczej zostało to wcześniej sprzedane moim klientom. Nie jesteś więc właścicielką. To moi klienci są właścicielami. Możesz mi to oddać teraz albo poczekać, aż sąd cię do tego zmusi.

Zadzwoił jego telefon. Przez chwilę słuchał, a potem powiedział:

- Nie, ona jest tutaj. Właśnie z nią rozmawiam. Tak. - Schował telefon. - Przepraszam.

- Kto to był?

- Julio, czy ty naprawdę chcesz, żebym podał cię do sądu? - Rozłożył szeroko ręce. - Pomyśl o tym. Pod przysięgą wszystko wyjdzie na jaw. Czarna Dama, twój wcześniejszy związek z Zantem, Vanessa, po prostu wszystko. Czy ty naprawdę chcesz, żeby twoje dzieci czytały o tym w gazetach?

W tym momencie po raz pierwszy odezwała się Astrid.

- Weź go rozjedź - powiedziała.

Rozdział 43

Niewinna prośba

I

Bruce odebrał telefon od Gayle Gittelman, siedząc przy swoim biurku i przeglądając akta osobowe Jeremy'ego Flew, które niezawodna Turian zdobyła dla niego pod zupełnie innym pretekstem. Flew miał trzydzieści dwa lata. Pojawił się w zeszłym roku, wraz z nowym rektorem. Zrobił licencjat na stanowym uniwersytecie Michigan, kilka lat studiów podyplomowych w Georgetown, w szkole dla służby dyplomatycznej, po czym osiem lat w Departamencie Stanu, rok w firmie konsultingowej, o której Bruce nigdy nie słyszał, a obecnie był asystentem rektora. Bruce szukał jakiegoś powiązania z uczelnią, ale niczego nie znalazł. Szukał też jakiegoś powiązania z Lemasterem, ale również niczego nie znalazł. W aktach nie było żadnych referencji. W życiorysie pojawiło się kilka nazwisk emerytowanych dyplomatów. Formularze zdrowotny i ubezpieczenia na życie nie wymieniały żadnych osób na jego utrzymaniu.

Najbardziej Bruce'a zaintrygowała służba w Departamencie Stanu. „Różne misje zagraniczne”, tylko tyle wyczytał w opisie. Bruce'owi Vallely'emu nieobce były takie luki w oficjalnych rejestrach. Każdy przeglądający jego życiorys znalazłby tam podobną lukę, ponieważ większość zadań, które wykonywał w epoce Reagana w trakcie służby w siłach specjalnych w Ameryce Środkowej, pozostała już na zawsze tematem tabu. Zastanawiał się, jaką to pracę, będącą tematem tabu, mógł wykonywać Jeremy Flew i gdzie, a także czy w noc śmierci Kellena Zanta to nie on zaczął tę, będącą tematem tabu, rozmowę telefoniczną z Lemasterem Carlyle'em - na przykład mówiąc mu, gdzie powinien mieć ten „wypadek”.

No dobrze, to tylko spekulacje. Z tym Bruce się zgadzał, nawet jeśli nie był gotów zgodzić się z tym, przy czym upierał się Marlon Thackery - że jego nieustanne skupianie się na Lemasterze Carlyle'u trąci jakąś wendettą. Jego celem nie była rehabilitacja własnych rodziców - twierdził Bruce - nie kierował się też swoją urazą do elity czarnoskórych Amerykanów. Nie. On jedynie starał się odkryć, co przydarzyło się Kellenowi Zantowi.

Podbudowany tym ponownym potwierdzeniem słuszności swoich pobudek, Bruce po

raz kolejny otworzył kartotekę osobową Jeremy'ego Flew, i właśnie w tym momencie zadzwoniła recepcjonistka, która poinformowała go, że ma telefon od Gayle.

Bruce znał Gayle przelotnie, jak starsi gliniarze zawsze na ogół znają głównych prawników prowadzących sprawy karne w danej miejscowości. Trudno było mówić o wzajemnym uznaniu między długoletnim oficerem śledczym a panią adwokat, która ze sporym sukcesem reprezentowała wiele spośród osób przez niego aresztowanych, ale z pewnością Bruce zdawał sobie sprawę zarówno z klasy umysłu Gayle, jak i z jej poważnego podejścia do spraw zawodowych. Nie należała do osób, które marnują innym czas.

I dlatego też odebrał ten telefon.

- Mój klient chciałby z panem porozmawiać, i to dzisiejszego ranka, jeśli to tylko możliwe - odezwała się prawniczka. - Muszę pana ostrzec, że to dosyć delikatna sprawa, ponieważ on obecnie oczekuje na proces.

Pewnie Kwame Kennerly, pomyślał Bruce, ponieważ gwieździe radia stale zdarzały się aresztowania za protestowanie przeciw temu czy tamtemu.

- W jakiej sprawie?

Moment wahania, jakby nawet w tej chwili Gayle Gittelman żałowała, że jej klient nie wybrał kogoś innego.

- Prosił, żebym powiedziała panu, że on dysponuje informacją na temat tego, co naprawdę stało się z Kellenem Zantem.

- A dlaczego nie układa się z prokuratorem stanowym?

- Jeśli panu to powie, proszę się ze mną podzielić wiedzą.

Następnie Gayle podała mu nazwisko klienta, a Bruce sięgnął po swoją kurtkę.

II

Anthony Tice zamierzał powiedzieć Bruce'owi jak najmniej i chyba był zachwycony tą perspektywą. Dla byłego policjanta ten człowiek stanowił przeciwieństwo Gayle Gittelman, jako przeciwnik nie budził w nim ani szacunku, ani podziwu. Tony zawsze należał do tych prawników, którzy nie potrafili inaczej powoływać się na przywileje swojego klienta, jak tłumiąc śmiech, ponieważ on nie tyle podkreślał święty obowiązek, ile starał się wyciągać asa z rękawa.

- Wiesz, jak jest, Bruce - powiedział, jak zawsze po imieniu, bo zawsze udawał, że wszyscy są jego przyjaciółmi, zwłaszcza kiedy było wprost przeciwnie. - Nie utrzymałbym się w tej profesji, gdybym rozpowiadał tajemnice swoich klientów. Straciłbym całą klientelę.

Straciłbym uprawnienia adwokackie - zakończył z dumą. - Chyba mnie rozumiesz, Bruce. Ja już cię sprawdziłem. Znam twoją przeszłość.

Bruce skinął głową, na znak, że rzeczywiście zrozumiał. Siedzieli naprzeciw siebie przy stole konferencyjnym w gabinecie Gayle Gittelman. Samej Gayle nie było.

- To dlatego chciałeś się ze mną zobaczyć? - Zachował kamienny wyraz twarzy. - Chcesz, żebym pomógł ci wyjść z twoich aktualnych kłopotów?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. - Nieskazitelnie białe zęby błysnęły w szerokim, wabiącym uśmiechu. - Ja znam tego typu zмовy i wiem, jak sobie z tym radzić.

- Dręcząc Julię Carlyle? - Zaledwie kilka godzin po tamtym incydencie Lemaster zadzwonił do Bruce'a, żądając, żeby kierownik ochrony kampusu na dobre przegonił tego gościa. Rektor uniwersytetu był tak rozzłoszczony, że Bruce nawet spodziewał się pytania, czy ktoś mógłby go od tego nieznośnego prawnika uwolnić, czy jak to się mówi. - Odniosłem wrażenie, Tony, że wpadłeś w panikę. Chyba masz poważne kłopoty.

- Dlaczego tak uważasz?

- Najpierw zostajesz aresztowany. Potem zawracasz głowę pani Carlyle. A teraz szukasz mojej pomocy. Wygląda na to, że jesteś zdesperowany.

- Powodem mojego aresztowania - odparł prawnik z oburzeniem - było to, że za szybko robiłem postępy. Za bardzo się zbliżyłem do tego, co Kellen ukrył.

Prawnik położył dłonie na stole, z nadgarstkami tak blisko siebie, jakby czekał na kajdanki. Bruce zastanawiał się, czy Cwany Tony naprawdę tak wierzy w swoje umiejętności odrzucenia oskarżenia. Bystre oczy przebiegały po surowej twarzy starego policjanta. Bruce w swojej karierze aresztował już przeróżnych ludzi: takich, o których z góry wiadomo było, że nie odsiedzą swojego wyroku, takich, którzy mogli za kratami odnaleźć Boga, a także takich, którzy przez cały czas odsiadki będą obmyślać zemstę i wyjdą z więzienia jeszcze gorsi niż kiedy tam trafili.

Jego zdaniem Anthony Tice należał do tej ostatniej kategorii.

- Skoro tak mówisz - odparł były policjant po chwili.

Groźny uśmiech.

- Bruce, ja wiem, co o mnie myślisz. Wiem, co wszyscy o mnie myślą. I o moich... klientach. Ale właśnie dlatego Kellen do mnie trafił. Właśnie w związku z tymi klientami, których wszyscy nienawidzą.

Bruce skinął głową i nic nie powiedział. Wiedział z doświadczenia, że jeśli ktoś rzeczywiście chce się przyznać, zrobi to przed tym, na kogo akurat trafi, nie musi to być przesłuchujący funkcjonariusz, może to być barman, dziewczyna, nieznajomy z pociągu.

- Kellen posiadał coś bardzo cennego i chciał się dowiedzieć, ile pewien mój klient może za to zapłacić. Porozmawiałem o tym ze swoimi klientami, a oni to przemyśleli i poprosili o jakiś dowód. Kellen dał im coś, co nazwał zachętą. Była to kartka z pewnego dziennika. Muszę przyznać, że zrobiło to wrażenie na moich klientach. Trochę się potargowali, negocjacje trwały przez jakiś czas, ale w końcu dobili targu. Ja nie byłem stroną w tej transakcji, Bruce. Byłem tylko pośrednikiem. Oczywiście, pośrednik dostaje prowizję.

- Oczywiście.

Tony zmarszczył brwi, ale nie doszukał się zniewagi w tonie jego głosu. Bruce zastanawiał się, czy jego rozmówca należy do tych potężnych białych ludzi, którzy nie lubią być przesłuchiwanymi przez czarnych. Ale w końcu to on go tu zaprosił.

- Kłopoty zaczęły się - ciągnął Tice - kiedy moi klienci zgłosili się do mnie i powiedzieli, że podobno, jak dowiedzieli się od swoich znajomych, Kellen proponował innym ludziom sprzedaż tej samej rzeczy, którą miał sprzedać im. Moi klienci, Bruce, to ludzie cierpliwi, ale chyba rozumiesz, że to ich wyprowadziło z równowagi. Spotkali się ze mną i poprosili, żebym przypomniał Zantowi o zawartej umowie. Moi klienci nie lubią, jak ktoś próbuje wystawić ich do wiatru.

- I co, spotkałeś się z nim? Z Kellenem Zantem.

- Spotkałem się z nim. A on roześmiał mi się w twarz. Powiedział, że dojdzie do aukcji, a moi klienci mogą w niej uczestniczyć na takich samych warunkach jak inni. Powiedziałem mu, że ich to nie interesuje. Odparł, że w takim razie znajdzie innego kupca. Następnego dnia ktoś taki miał przyjechać do miasteczka i mieli dobić targu.

Bruce turlał ołówek po blacie stołu tam i z powrotem, bo już kiedyś zauważył, że skupianie uwagi rozmówcy często wspomagało jego chęć mówienia. Podobnie jak solidny policzek, więc, nie podnosząc wzroku, zapytał:

- Czy to twoi klienci go zabili? A może zrobił to dla nich ich prawnik?

- Moi klienci nie mieli powodu krzywdzić Kellena. Ani ja. Im zależało na tym, co on miał do zaoferowania.

Ale Bruce'owi przyszło na myśl, że ten prawnik jest zbyt cwany, a jego historyjka zbyt prosta. Kellen Zant nie był głupcem. Z pewnością nie zawarłby umowy z takimi ludźmi, jakich reprezentował Tice, żeby zaraz potem zrywać ją dla zysku. Klienci Tice'a mieli raczej mało przyjemne metody egzekwowania strat za zerwanie kontraktu. Chyba bardziej prawdopodobne było, że to Cwany Tony poinformował klientów o zawarciu umowy, zanim jeszcze Zant wyraził zgodę. I może ten prawnik już dostał swoją działkę. W takim razie nic dziwnego, że miał kłopoty.

- Twei klienci chyba też są zrozpaczeni - zasugerował Bruce.

- Moi klienci nie należą do ludzi, którzy wpadają w rozpacz. - Tony opuścił wzrok na swoje dłonie. - To oni doprowadzają innych do rozpacz.

- A ty jesteś zrozpaczony? To dlatego mnie wezwałeś?

- Bruce, musisz zrozumieć sposób myślenia moich klientów. Oni określili sobie pewien cel i do niego zmięrzają. W sposób wojskowy. W zorganizowany sposób. Wyraźnie zmięrzając do celu. To ludzie podobni do ciebie, Bruce. - Powrócił jego tupet. - Sądzę, że mógłbyś im pomóc.

- Chyba żartujesz.

- Chodzi o to, Bruce, że jak dotąd udało mi się przekonać ich, żeby nie interweniowali. Żeby się nie angażowali, tylko czekali na rozwój wypadków. Jak już mówiłem, to ludzie cierpliwi. Ale nie będą czekać w nieskończoność. Jeśli nie uzyskają żadnych konkretnych wyników, prędzej czy później mogą zdecydować się na bardziej radykalne kroki. A oni nie należą do ludzi, którzy będą się przejmować, że przy okazji komuś może coś się przytrafić.

- Sądząc z opisu, to rozrywkowa ekipa.

- Mogę cię zapewnić, że wcale tak nie jest.

Bruce zakołysał ramionami i z satysfakcją obserwował, jak prawnik nagle się skurczył.

- Dlaczego nie powiesz mi wszystkiego?

- Wszystkiego?

- Zant powiedział ci, że następnego dnia do miasteczka przyjeżdża inny kupiec. Mogę się założyć, że chodziło o Camerona Knowlanda. Knowland i Zant mieli w sobotę razem zjeść śniadanie, ale w piątek wieczorem Zanta zastrzelono. A to oznacza, że widziałeś Zanta tego wieczoru, kiedy został zabity. To wtedy się pokłóciliście. I dlatego też tak się martwisz. Ty nie tylko martwisz się swoimi klientami. Ty martwisz się policją, prawdziwą policją. Przed zamknięciem dochodzenia bałeś się, że dowiedzą się o waszym spotkaniu tamtego wieczoru i ciebie obarczą winą za tę zbrodnię.

- Nikt nie mógłby mnie skazać. Ja tego nie zrobiłem.

- Może i nie. Ale byłbyś skończony, już gdybyś trafił do aresztu. - Złożył swoje wielkie dłonie tak, żeby Tice mógł je wyraźnie widzieć. - Tony, powiedz więc mi wszystko. Powiedz, co się stało w noc śmierci Zanta.

I prawnik powiedział.

Wszystko miało być bardzo proste. W piątkowe popołudnie Tice zadzwonił do biura Zanta, a ten zgodził się spotkać z nim o piątej trzydzieści na parkingu pod wieżowcem Hillimana. Spóźnił się kilka minut, ale przyniósł kolejną zachętę. Kolejną kartkę z dziennika, powiedział Tony, na której ktoś nagryzmoilił, że strażnik na plaży nabawił się szczególnego przypadku „sklerozy”. Nieznany autor napisał o krążących po miasteczku dużych pieniądzech, ale w tym miejscu strona się kończyła. Tony wziął tę zachętę, niemniej jednak przedstawił stanowisko swoich klientów. Zgodnie z przypuszczeniem Bruce’a, Kellen wyparł się jakiegokolwiek z nimi umowy. Tony odparł, że jego klientom to się nie spodoba. Kellen zastanowił się, a potem powiedział prawnikowi, żeby spotkali się na tym samym parkingu za dwie godziny - to znaczy o wpół do ósmej. Następnie wsiadł do samochodu i odjechał.

- Ale ty pojechałeś za nim.

- Próbowałem. Ale w związku z meczem hokeja na drogach był duży ruch. Ja zaś nie znam zbyt dobrze terenu kampusu. Skręcił w jakąś uliczkę, a kiedy tam dojechałem, już go nie było.

Tony zaczął jeździć w kółko po terenie kampusu, w nadziei, że gdzieś zobaczy samochód Zanta. Jego klienci dzwonili dwa razy, domagając się informacji o postępach, a on dwukrotnie zapewniał ich, że właśnie nad tym pracuje. Piętnaście po siódmej wrócił na parking, na którym zobaczył audi Zanta. Przykryte było dosyć grubą warstwą naniesionego przez burzę śniegu i Tice zdał sobie sprawę, że został wystrychnięty na dudka. Ekonomista najwyraźniej objechał budynki, wiedząc, że jest śledzony, i wrócił na parking, gdzie z pewnością Tice nie będzie go szukać. Prawnik usiadł więc w samochodzie i zajął się obserwacją audi i wejścia do wieżowca Hillimana, a o siódmej czterdzieści pięć Zant zaskoczył go, stukając w szybę jego samochodu. Nadszedł z drugiej strony.

- Z jakiej drugiej strony?

- Gdzieś z dołu. Nie wiem. Z centrum sztuki, wydziału teologicznego, tam w dole jest wiele budynków.

Zant zaprosił Tony’ego na przejażdżkę. Prawnik wsiadł do audi i pojechali do Tyler’s Landing. Tice ciągle pytał, gdzie jadą, a ekonomista powtarzał, żeby się nie martwił, on tylko chce mu coś pokazać. Mniej więcej piętnaście po ósmej wjechali na Main Street, i w tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Zanta. Kellen zatrzymał samochód, polecił prawnikowi poczekać, a sam wysiadł z auta i odebrał telefon. Był zły i podenerwowany. Dużo krzyczał. Nawet siedząc w samochodzie, Tice słyszał urywki rozmowy.

W pewnym momencie Zant krzyknął: „Nie możesz tego zrobić”. Na koniec powiedział: „Nie, jestem w mieście. Przyjadę do ciebie”.

Następnie, wyraźnie dygocząc, Zant otworzył drzwi i polecił prawnikowi wysiąść. Powiedział, że nastąpiła zmiana planów. Wskazał mu znajdującą się po drugiej stronie ulicy Greta's Tavern. „Idź tam i zamów sobie filiżankę kawy czy co tam chcesz. Jeśli w ciągu godziny nie wrócę, zadzwoń po taksówkę i zapomnij o dzisiejszym wieczorze”. Kiedy Zant nie powrócił, prawnik zadzwonił po taksówkę.

- Mówił, gdzie jedzie?

- Nie.

- Albo z kim rozmawiał przez telefon?

- Nie.

- I nic o tym nie powiedziałaś policji?

Pokręcił głową.

- Policja ze mną nie rozmawiała.

- Ale z klientami rozmawiałaś, prawda? Może nawet zadzwoniłeś do nich z samochodu, kiedy Zant gadał przez telefon? Albo z knajpy, czekając na taksówkę? - Bruce skinął głową, jakby na potwierdzenie swoich teorii. - Zadzwoniłeś do swoich klientów i powiedziałeś, że najprawdopodobniej on będzie przez jakiś czas zajęty w Landing, więc wysłali kogoś, żeby przejrzał jego dom.

- Ja tego nie potwierdzę.

- Wcale nie musisz. I nie musisz się martwić. Wiem, że nie zabiłeś Zanta. Ani też twoi klienci. Zbyt wielką wartość przedstawiał dla nich żywy.

Na nowo podniesiony na duchu prawnik odprowadził go do drzwi salki konferencyjnej. - Masz rację Bruce. Jestem w tarapatkach. Muszę coś pokazać moim klientom. Musisz mi pomóc. Mówią, że ty jesteś upartym detektywem. Wiem, że uda ci się odnaleźć tę nadwyżkę Zanta.

- Nie ma żadnego powodu, dla którego miałbym ci pomagać.

- Z pewnością nie chciałbyś, żeby moi klienci wkroczyli do akcji. Mogę ich powstrzymać tylko wtedy, jeśli powiem im, że jesteś gotów podzielić się rezultatami swoich poszukiwań.

Bruce czuł rozkoszne podniecenie nadciągającego starcia.

- Nie boję się twoich klientów.

Cwany Tony położył mu rękę na ramieniu.

- Bruce, nie tylko ty jesteś w to wplątany, więc lepiej zastanów się nad tym, dobrze?

Kiedy Bruce znalazł się w przedpokoju, wyskoczyła do niego Gayle Gittelman.

- Udało się panu dowiedzieć czegoś ciekawego? Czegoś, co mogłoby mi się przydać?

- Pani klient - odparł Bruce - nie jest miłym człowiekiem.

- Tak? - Stała na palcach i szepnęła: - Jego klienci są jeszcze gorsi.

Rozdział 44

Gniazdo

I

Dla romantycznych demografów, nie wspominając już o bywalcach restauracji, miasto Elm Harbor było rozkosznie zróżnicowane etnicznie, zaledwie w jednym kwartale przy Henley Street w pobliżu kampusu można było spotkać kuchnie rosyjską, etiopską, koreańską, włoską, irlandzką, malezyjską czy grecką, i to wszystko tylko po północnej stronie ulicy. „Żywy pomnik różnorodności” - jak lubił mawiać burmistrz o tej smętnej metropolii, którą tak niemoralnie rządził.

A przynajmniej tak wyglądała wersja oficjalna.

Mieszkańcy Gniazda, jak niepochlebnie nazywano najgorsze z trzech czarnych pod względem etnicznym przedmieść, mogliby przedstawić inną wersję. Gniazdo zaczynało się trzy przecznice na północny zachód od kampusu i biegło dalej co siłą, przez następnych dziesięć lub dwanaście - granica była równie niepewna jak patrole policyjne - i z własnej woli wchodziło tu zaledwie kilku studentów, poza garstką idealistów, czyli studentów, którzy w ramach wolontariatu udzielali korepetycji dzieciakom z podstawówki lub prowadzili drużyny skautów, w związku z czym przez swoich kolegów uważani byli za ekscentryków albo po prostu głupców. Dla tych, którzy żyli i zazwyczaj umierali w Gnieździe - Gniazdowników, jak sami siebie nazywali, prawdopodobnie w akcie solidarnej samoobrony - miasto Elm Harbor pod względem demograficznym było bardzo proste: byli tu czarni i byli biali, i w absolutnie żadnym jednym miejscu, z wyjątkiem może biura opieki społecznej czy budynku sądu, te dwie części nie mogły się spotkać.

Gniazdownicy uważali, że pozostałej części miasta to się podoba.

Julia Carlyle nie podzielała zdania Gniazdowników na temat miasta, ale, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, nawet przed Lemmiem, często podzielała zdanie miasta na temat Gniazdowników. Dla Julii Gniazdo było mrocznym i niebezpiecznym miejscem, gdzie na każdym rogu czatowały ponure bandy hip-hopowców, w każdej chwili gotowych użyć przemocy.

Teraz pani empiryk na własnej skórze poznawała fakty. Nie miała specjalnego wyboru.

Minęła osiedle domów czynszowych, niskich i ciągnących się bez końca, kilkupiętrowe budynki z czerwonej cegły, postawione przynajmniej czterdzieści lat temu przy założeniu, że biedota potrzebuje jakiegoś przejściowego lokum w drodze do uzyskania statusu członków klasy pracującej. Matki młodsze od Vanessy siedziały na gankach z dziećmi w jasnoniebieskich wózkach spacerowych, chłonąc zimowe powietrze, słuchając muzyki przez słuchawki i flirtując z chłopakami, jakby, mając już po jednym dzieciaku czy po dwa, gotowe były na następne.

Pomiędzy osiedlami domów czynszowych stały rzędy domków jednorodzinnych. Może w swoim czasie były nawet eleganckie. Obecnie niektóre z nich były pozamykane na głucho, w oknach innych widniały kraty, a w kilku można było dostrzec ślady życia. Na jednym z podwórek dwóch chłopców, może trzyletnich, obrzucało się śnieżkami. Tani samochód sportowy zatarasował przed nią pół ulicy tylko dlatego, że kierowca wypatrzył jakiegoś znajomego i chciał sobie z nim pogadać. Kiedy Julia mijała ich łukiem, dostrzegła zawistny wzrok, który ciągnął się za błękitnym mercedesem, podobnie jak ich muzyka, której nie szczędzili nikomu w okolicy, a gusty mieli bardzo zbliżone do Lemastera, niskie tony były podkreślone tak mocno, że aż pod mostkiem czuła dudnienie tego rytmu.

Znajdowały się tu też placówki handlowe i usługowe, oznaczone tanimi szyldami, większość z nich zajmowała się żywnością, paznokciami i włosami czy wynajmem mebli, trójcą podstawowych potrzeb ludzi jej rasy. Dostrzegła zakłady pogrzebowe. Był też fryzjer męski. I kościoły, do wyboru, do koloru, od Episkopalnego Afrykańskiego Kościoła Metodystycznego przez Baptystów i zdumiewającą rozpiętość ekumenicznych parafii po proste witryny sklepowe, w których jakaś zwalista kobieta z powołaniem - jak to lekceważąco określał Lemaster - ustanawiała się biskupem, nazywała swoją misję świątynią i z miejsca wchodziła do interesu.

Dotarła do poszukiwanej ulicy.

Ostro zahamowała, o mały włos nie przegapiwszy zakrętu, ale mercedes spisał się znakomicie, zakręcając elegancko bez chybotania i palenia gum. Nie miała trudności z odnalezieniem adresu: mały, schludny domek pokryty zieloną farbą, choć widać było, że jeszcze trochę należałoby w niego włożyć, z zaciągniętymi zasłonami, a na podwórzu, oparty o niskie ogrodzenie z drucianej siatki, plastikowy rower trójkołowy, któremu pozostały tylko dwa kółka.

Nadal była w Gnieździe, więc nim wysiadła z samochodu, rozejrzała się bacznie

dookoła, a potem energicznie weszła na ganek przed domkiem, nie tracąc mercedesa z oka, choć wcześniej włączyła alarm. Na jej dzwonek odpowiedziały zwinne kroki w korytarzu. Po jednej stronie drzwi znajdowało się pionowe okienko, w którym teraz poruszyła się zasłonka. Wyrzała czarna twarz, ale zanim Julia zdążyła uśmiechnąć się najpiękniej, jak potrafiła, twarz już zniknęła. Julia usłyszała kwilenie dziecka, ale ten dźwięk mógł dochodzić z innego domu. Po chwili rozległ się metaliczny zgrzyt otwieranych zasuw i łańcuchów, a ona uzmysłowiła sobie, że okna nie są zakratowane. Lemaster twierdził, że teren z wysokim odsetkiem przestępczości można rozpoznać po kratkach w oknach.

Drzwi się otworzyły i Julia o mało nie krzyknęła ze zdumienia.

Stojąca przed nią kobieta była kilka lat od niej starsza i sporo ładniejsza, jeśli w ogóle można tego typu rzeczy mierzyć, miała gładszą skórę, dłuższe kości i piękniejszą twarz. Jej dyskretny strój, jak oceniła Julia doświadczoneym okiem, był skrojony oszczędnie, tanie kolczyki w kształcie kół miały złoty kolor, a spłaszczone loki wyglądały na wyraźnie przesadzone. Poruszała się jednak z jakąś władcą swobodą, jakby świat był miejscem, które, choć z trudem, ale pokonała.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała głosem chropawym i wyważonym.

- Przepraszam. Ja szukam, chyba, pani matki - wydusiła z siebie Julia.

- Mojej matki?

- Szukam Theresy Vinney. To znaczy, matki DeShauna Motona. - Nagle przyszło jej do głowy, że to może być siostra DeShauna, co nawet ułatwiłoby jej zadanie.

- To ja jestem Theresa Vinney. Jestem matką DeShauna.

Chwila ponownej oceny. Cała wiedza Julii o życiu była kulawa. Ale dlaczego ta kobieta nie mogłaby być matką DeShauna? Trzydzieści lat temu zmarł jako szesnastolatek. Jeśli była jeszcze nastolatką, kiedy on się urodził, obecnie byłaby po sześćdziesiątce. Julia gapiała się na nią głupio. Oczy kobiety były bardzo szeroko otwarte, a otaczająca je skóra przygnieciona zmartwieniami. Oczywiście. Sześćdziesiąt lat jak nic. Julia doszła do wniosku, że jej wcześniejsza ocena była wynikiem jakiejś halucynacji - ta kobieta wyglądała raczej na udręczoną niż piękną, na bardziej spiętą niż władcą.

- Przepraszam, pani Vinney. Nazywam się Julia Carlyle. Ja... ja pracuję na uniwersytecie. Czy mogłaby pani poświęcić mi kilka minut?

- Nie jestem mężatką. - Zmarszczyła brwi, jakby czekając na wyraz zdziwienia w jej oczach. - Może pani do mnie mówić panno Terry.

Julia skinęła głową z szacunkiem.

- Bardzo zależałoby mi na chwili rozmowy, panno Terry. Chciałabym porozmawiać.

- O czym?

- O tym, co naprawdę zdarzyło się tej nocy, kiedy zginął pani syn.

II

Dom był ciasny i ciemny, ale czysty. Usiadły w pokoju od frontu, na meblach najprawdopodobniej z wyprzedaży lub wziętych na kredyt, obitych puszystym zielonym materiałem, pokrytym plastikowymi pokrowcami, jakich już prawie nikt poza podupadłą częścią śródmieścia nie używał. Ściany udekorowane zdjęciami dzieci, wnuków, bratanków i bratanic w liczbie dostatecznie wielkiej, żeby zrobić wrażenie na Julii, która już tak dawno straciła brata, że trudno jej było nawet wyobrazić sobie, że ktoś jest w stanie ich wszystkich spamiętać. Na stoliku w kącie stała para błyszczących sportowych trofeów, przypominających jakieś zapomniane bożki, a Julia podejrzewała, że młodzi ludzie, którzy je niegdyś zdobyli, już nie byli tak dobrzy w tamtej dyscyplinie. Panna Terry podała kawę rozpuszczalną w filiżankach nie do kompletu, jedna z nich stanowiła pozostałość po jakimś starym zestawie ceramicznym, a na drugiej widniało logo sieci fast foodów.

Takie dziewczęce pogaduszki, postanowiła Julia, jadąc tutaj. Tak chciała to rozegrać.

Tyle że panna Terry nie była dziewczynką.

Theresa Vinney przyznała, że przeżyła na tej ziemi sześćdziesiąt jeden lat, w ciągu których urodziła piątkę dzieci. Miała szóstkę wnucząt, przynajmniej o tylu wiedziała, i dwoje prawnucząt. Julia próbowała policzyć pokolenia, ale musiała się poddać. Być może jej chłopcy, jak tłumaczyła panna Terry z rozbijającą, ale jednocześnie pełną powagi szczerością, obdarzyli ją większą liczbą, ale ani ona, ani, jak podejrzewała, oni o tym nie wiedzieli. Niepoprawna empiryk dokonała obliczeń. DeShaun Moton miał szesnaście lat, kiedy go zastrzelono. Jeśli ta kobieta mówiła prawdę o swoim wieku, oznaczałoby to, że ta twarda, elegancka, dosyć piękna i religijna kobieta, siedząca przed nią na plastikowym pokrowcu, który marszczył się za każdym razem, kiedy sięgała po swoją kawę, urodziła DeShauna w wieku piętnastu lat.

Julia przekazywała pieniądze na program zapobiegania ciąży nieletnich, a nawet popierała, napotykając przy tym rozbawione obrzydzenie swojego męża, rozdawanie prezerwatyw w szkołach publicznych. Ale nigdy nie miała bezpośredniego kontaktu z ludźmi przez siebie wspieranymi. Nie pracowała w opiece społecznej, rzadko też udzielała się jako wolontariusz - własna praca i dzieci wystarczająco ją zajmowały. Kiedy ksiądz Freed mówił o oddawaniu Bogu jednej dziesiątej naszego czasu, talentów i skarbu, Julia zazwyczaj

stwierdzała, że wystarczy dzielić się skarbem. Mimo zainteresowania problemem, który ona, podobnie jak wiele innych osób, określała hasłem „dzieci mają dzieci”, Julia nigdy nie spodziewała się, że ten problem może usadowić ją w saloniku od frontu i podawać jej kawę.

- Nie jest pani stąd - odezwała się panna Terry, a w jej beznamiętnym wzroku można było dostrzec jakieś oskarżenie.

- Ach nie, proszę pani.

- Nie dorastała pani w tym mieście?

- Nie, proszę pani. Wychowałam się w Hanoverze.

- Gdzie jest Hanover? - zapytała, zupełnie niespeszona.

- Hm, w New Hampshire.

Leniwe przesłuchanie ciągnęło się dalej, głos panny Terry przypominał powątpiewający głos belferki.

- A teraz, gdzie Julio mieszka?

- W Landing - wyznała żalonym tonem, słowa paliły ją jak świeża zdrada własnego narodu. Czuła, że Klan znalazł się gdzieś bardzo daleko.

- W Tyler's Landing?

- Niestety tak.

- To tam, gdzie podobno DeShaun zabił tę dziewczynę. - Pauza.

- I gdzie go zabili.

- Tak, zgadza się. Bardzo mi przykro, panno Terry.

- Niewielu z naszych ludzi tam mieszka.

- To prawda.

- Ilu?

- Nie wiem dokładnie. - Przypomniała sobie jednak, jak Beth Stonington, pośredniczka handlu nieruchomościami, która sprzedała im działkę, z miejsca podała tę liczbę, kiedy ją o to zapytali, jakby co tydzień po miasteczku krążyła aktualna lista z odnotowywanymi na bieżąco wszelkimi wyjazdami i przyjazdami. Kellen Zant mówił na to „rachowanie czarnuchów”.

- Sami biali?

- Prawie sami.

Panna Terry skinęła głową. Wiszący za nią oprawiony w ramy plakat reklamował zorganizowaną dawno temu w uniwersyteckim muzeum wystawę na temat Underground Railroad - tajnej organizacji pomagającej zbiegłym niewolnikom w ucieczce do wolnych stanów i Kanady przed 1863 rokiem. Za jej krzesłem na podłodze wały się egzemplarze

popularnych magazynów ciemniejszej nacji - „Ebony”, „Essence”, „Jet”. „Ebony” co roku umieszczał nazwisko Lemastera Carlyle’a na liście stu najbardziej wpływowych w kraju czarnoskórych Amerykanów.

Julia podejrzewała, że jej mąż znajduje się w pierwszej piątce.

- Byłam kilka razy w twoim miasteczku, Julio. Kiedyś tam sprzątałam po domach. - Skrzywiła twarz w grymasie. - Nie dziwię się, że białym tak się tam podoba. Tam wszędzie panuje tak idealny porządek i nie ma tam żadnych naszych ludzi. Ale my? Nasi ludzie? Powiedz mi, Julio, dlaczego zdecydowałaś się tam zamieszkać?

Julia już setki razy udzielała odpowiedzi na to pytanie, w rozmowach z koleżankami ze studiów, z Siostrzanymi Damami, z Moną, rodziną Lemastera. Ale teraz, siedząc twarzą w twarz z matką DeShauna, miała wrażenie, że gładkie i wymuskane wyjaśnienie rani jej gardło jak cierń.

- Chcieliśmy, żeby dzieci miały jak najlepiej. Wiadomo jak to jest. Dobre szkoły, tego typu sprawy.

- Uhm.

- A do tego... mnie raczej podoba się atmosfera Nowej Anglii.

- Uhm.

- Ale przede wszystkim chcieliśmy, żeby nasze dzieci dorastały w miejscu, które naszym zdaniem będzie bezpieczne.

Te słowa nieco poruszyły pannę Terry.

- Tak, bezpieczne. Mój DeShaun z pewnością był bezpieczny. W otoczeniu ośmiu gliniarzy trudno być bardziej bezpiecznym.

- O tym właśnie chciałabym porozmawiać - odezwała się Julia po dosyć kłopotliwej chwili ciszy.

- Tak, ale ja nie chcę o tym rozmawiać. - Oczy jasne i wyzywające.

- Wystąpiliśmy na drogę sądową, ale odstąpiliśmy od tego już wiele lat temu. Dlaczego chcesz grzebać w tej przeszłości? - Gniewny śmiech. - Ośmiu gliniarzy i DeShaun nie żyje. A i tak myślę, że tu nie ma o czym mówić.

W Julii obudziła się matka.

- Panno Terry, proszę. Potrzebuję pani pomocy. - Przypomniała sobie, jak na tyłach sklepu Frank Carrington uparcie twierdził, że DeShaun był niewinny, a także jak w Hunter’s Heights Vanessa upierała się, że DeShaun był winny. - Nie nachodziłabym pani, gdyby sprawa nie dotyczyła mojej córki. A ona ma kłopoty.

Oczy zwięziły się w mieszance podejrzliwości i współczucia.

- A co tu może pomóc grzebanie w przeszłości?

- Kilka miesięcy temu w Landing znaleziono... zwłoki. Murzyna. Profesora. Nie wiem, czy coś pani o tym słyszała. - Panna Terry nic nie odpowiedziała, z kamiennym wyrazem twarzy zdecydowana zmusić Julię do wyjaśnienia wszystkiego. - Ten mężczyzna, który został zabity... ten profesor... sądzę, że on próbował dowiedzieć się, co zdarzyło się tamtej nocy. On sądził, że DeShaun był niewinny. - Starsza kobieta wciąż siedziała nieruchomo jak głaz. - Panno Terry, to ja znalazłam te zwłoki, a moja córka... moja córka zbierała informacje o DeShaunie i wydaje mi się, że znalazła coś, co doprowadza ją do obłądu. - Już. Powiedziała. Jeszcze nigdy Julia nie wyraziła tego tak wyraźnie, nawet Lemasterowi, jak teraz wyznała tej obcej kobiecie, która nawet w tym momencie wciąż ją obserwowała i czekała. - Proszę. Ja muszę się dowiedzieć.

- Czego musisz się dowiedzieć, Julio?

- Dlaczego wycofaliście powództwo.

Rozdział 45

Opowieść panny Terry

I

Zanim przeszła do historii DeShauna, panna Terry najpierw przedstawiła rozwlekłą opowieść o własnej przeszłości. Przez większość czasu wiodła życie pełne grzechu i zrobiła wiele rzeczy, z których nie mogła być dumna.

- Urodziłam się przy tej tutaj ulicy, w szpitalu uniwersyteckim, a dorastałam na tych osiedlach, które kiedyś były tam, w South Elm. Wówczas nie tylko czarni tam mieszkali. Byli tam też biali i trochę przedstawiciele innych kolorów. Moja matka była zatrudniona na uniwersytecie. Nazywano ją „specjalistką do spraw żywienia trzeciej klasy” czy jakoś tak, ale wszyscy wiedzieliśmy, że była kucharką. Ojciec był woźnym w szkołach publicznych. Kiedy był małym chłopcem, pucował buty dzieciakom z uniwersytetu. Wiesz, jak to wyglądało? Nie? Wystawał z innymi chłopakami pod oknami akademika, z których wyrzucano buty, to znaczy ci studenci wyrzucali, a małe czarnuchy biły się o nie. Potem ci chłopcy - ci którzy wygrali - zabierali buty z sobą do domu, w nocy je czyścili i rano przynosili do bocznych drzwi akademika. Do środka nie wchodzili. W tamtych czasach kolorowi mieli tam zakaz wstępu.

Rozsiadła się na fotelu.

- Mój ojciec zawsze powtarzał, że w życiu najważniejsza jest godność. Był woźnym, ale zawsze miał czyste buty, i gdy tylko szedł gdzieś z wizytą albo kiedy nie musiał nosić swojego uniformu, wkładał garnitur i krawat. Wydaje mi się, że miał tylko jeden garnitur, czarny, z wyświeconym siedzeniem, ale wkładał go zawsze, kiedy tylko mógł. A do tego białą koszulę. W wolne dni spacerował po okolicznych ulicach w czarnym garniturze i białej koszuli. Wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy, ale wszystkie dzieciaki w okolicy, nawet łobuzy, one wszystkie go szanowały, Julio. I wszystkie go słuchały. To było jeszcze w tych czasach, kiedy mogłaś zbesztać dziecko sąsiada, jeśli zachowywało się nieodpowiednio, mogłaś złapać je za kark, potrząsnąć nim i kazać mu iść do domu, żeby nie zostało aresztowane, postawione przed sądem czy co tam jeszcze.

Panna Terry urwała, a jej uśmiech, towarzyszący temu spokojnemu wspomniani, rozpląnął się w jakimś delikatniejszym i smutniejszym wyrazie, szarpanym przez inny zestaw wspomnień. Sięgnęła na foliową tackę po ciasteczko, odgryzła mały kawałek i odłożyła je z powrotem. Julia, choć czuła do siebie odrazę za swoją odruchową mizofobiczną ostrożność, dokładnie odnotowała w myślach, które ciasteczko panna Terry ugryzła, gdzie leżało na tacce i czy dotykało innych.

- W domu była nas szóstka dzieciaków i może dla niego to było za dużo, bo dostał ataku serca i umarł, kiedy ja miałam osiem lat. I pochowaliśmy go w tym samym czarnym garniturze. Moją matkę pochowano zaledwie dwa lata temu. Miała osiemdziesiąt siedem lat. Była twardą kobietą, ze wszystkich sił starała się utrzymać rodzinę razem, Julio. Ale czasy zrobiły się trochę szalone, a większość z nas, dzieciaków, cóż, my też w tych czasach zaczęliśmy trochę szaleć. Ale nie wszyscy. Moja średnia siostra poszła nawet do college'u, pojechała do Hampton, ma na imię Rebecca i poślubiła uroczonego mężczyznę. Obecnie Rebecca jest nauczycielką w Wirginii, gdzie mieszka rodzina jej męża. A jeden z moich braci, Benjamin, mówiliśmy na niego Neebie, też wyniósł się z tego miasta, ale w inny sposób, wstąpił do piechoty morskiej. Teraz w stolicy stanu prowadzi sklep z częściami samochodowymi. Ta dwójka wyrwała się stąd. A reszta z nas, cóż, myśmy zostali tu, w tym miasteczku, po kolei pakując się w jakieś tarapaty. Jeden z braci zmarł w więzieniu. Najmłodszy brat, pięćdziesięciopięcioletni, żyje na ulicy. Mam jeszcze jedną siostrę, najmłodszą. Raz robi tak, raz robi siak. Teraz mówi, że jest czysta, ale wciąż mieszka na ulicy.

Julia pomyślała o liceum w Hanoverze i o marzeniach, zupełnie realnych, które snuły jej nastoletnie koleżanki, z których żadna nie była czarna: medycyna, inżynieria, mikrobiologia, prawo. Niektóre z nich ponad wszystko chciały zostać mamuškami, ale wówczas wyobrażały sobie - a potem w zasadzie osiągnęły - to samo co Julia: rodzenie dzieci po założeniu stabilnej rodziny. W tym kraju można tak było dorastać. Ale można też było tak, jak opisywała to panna Terry.

- Nie chcę powiedzieć, że wszyscy kończą na ulicy - ciągnęła dalej panna Terry. - Jeśli posłuchasz, co mówią o nas biali, dowiesz się, że w tej części miasteczka wszyscy są albo alfonsami, albo dziwkami, albo biorą narkotyki, albo nimi handlują. Ale w rzeczywistości, Julio, większość mieszkających tu ludzi pracuje na swoje utrzymanie. Nie jest łatwo, bo o pomoc można tu prosić tylko Boga, ale jest to możliwe. Problem jednak polega na tym, że wielu ludzi, a zwłaszcza dzieciaki, nie potrafią tego robić.

Panna Terry odgryzła kolejny kawałek ciasteczka.

Julia w końcu wyczuła rytm rozmowy i doszła do wniosku, że nie powinna się wtrącać. I chociaż bardzo chciała, nie przerywała kobiecie.

- Dzieci urodziłam, kiedy byłam jeszcze za młoda, żeby coś wiedzieć o świecie. Nie miałam pojęcia, jak je wychowywać. Nie wiedziałam, co należy zrobić, żeby nie być, jak to mamusia mówiła, „przy nadziei”. I nie używałam też rozumu danego mi przez Boga, więc nie wiedziałam, że przede wszystkim powinnam umieć odmawiać. Byłam dzika, jak moja najmłodsza siostra. Ona brała przykład ze mnie. Ode mnie uczyła się, jak się zachowywać. A ja nauczyłam ją samych najgorszych rzeczy. Spaprała sobie życie, bo najpierw widziała, jak ja to robię.

- Każdy z nas dokonuje własnych wyborów - wtrąciła odruchowo Julia, zupełnie zapominając o swoim chwilę wcześniej poczynionym postanowieniu.

- Phi. Tak mówią ludziom tam na przedmieściach? Bo tutaj, na naszej plantacji wydaje się nam, że mamy być wzorami do naśladowania. Każdy z dorosłych powinien pokazywać każdemu dziecku, jak ma postępować. A każde starsze dziecko ma pokazywać każdemu młodszemu dziecku, jak ma postępować. Nasz ojciec, zanim umarł, w kółko nam to powtarzał. A po jego śmierci, ja już nie chciałam być wzorem do naśladowania. Chciałam zajmować się swoimi sprawami i nie troszczyć się o nikogo innego. To tak jak z tym koszykarzem - jak on się nazywał? - który powiedział, że on nie zamierza być wzorem dla dzieciaków.

- Charles Barkley.

- Barkley. Racja. Zawsze uwielbiałam oglądać go, jak grał w piłkę, ale, och, Julio, on tak się mylił, kiedy mówił o byciu wzorem. To nie my podejmujemy decyzję. My nie wybieramy. Moja najmłodsza siostra robiła dokładnie to co ja, bo widziała, że ja to robię. A kiedy już miałam własne dzieci, one też robiły to co ja, i to, co inni młodzi, bo widziały, że tak postępujemy. Teraz jestem kobietą religijną i żałuję, że nie zmieniłam się wcześniej, na tyle wcześniej, żeby pomóc moim dzieciom, Julio. Ale ja wtedy nie rozmawiałam z Bogiem, tylko od czasu do czasu zdarzało mi się wzywać jego imienia nadaremnie. A DeShaun, cóż, on był małym dzikusiem. A z czasem robił się coraz dzikszy. Sądziłam, że może sobie z nim jakoś poradzę, bo do tego czasu już sama znalazłam wybawienie. Mimo to, bez ojca, próbowałam wszystkiego, ale to była ciągła wojna. Zapisałam go do drużyny skautów, zapisałam go też na organizowane po lekcjach zajęcia na uniwersytecie, miał tam tak zwanego starszego brata, ale po krótkim czasie DeShaun nie chciał tam chodzić. - Wzdrygnęła się na wspomnienie dalszej części tej historii. - Grzech pychy. Myślałam, Julio, że sobie z nim poradzę. Podejrzewam jednak, że tak naprawdę to jestem słabą kobietą, gdzieś

tam w głębi duszy, tam gdzie to ma znaczenie, bo niezależnie ile bym się modliła, Julio, ten chłopak zawsze był nie na moje siły. Och, z pewnością siedział w nim diabeł. Zamierzałam pozbyć się go z domu, jego wygłupy były zbyt częste i robił za dużo zła, ale zanim zdążyłam wcielić mój zamiar w życie, on ukradł ten samochód i został zastrzelony.

To nieoczekiwane i gwałtowne zakończenie opowieści nie wywołało w jej oczach łez, tylko aroganckie spojrzenie, jakby rzucała wyzwanie rozmówcy i czekała na jej ostrą reakcję. Julia zdawała sobie sprawę, że musi postępować bardzo ostrożnie.

- Bardzo mi przykro, panno Terry. Chciałam tylko zadać kilka pytań.

- Julio, pozwól, że ci to ułatwię. - Mówiła chłodnym głosem. - Mój DeShaun to był kawał drania. Kradł samochody. Dwa razy aresztowano go za napaść. Kiedy zginęła ta dziewczyna, on był w Landing. I ja w to wierzę. Znał Landing, bo ja kiedyś tam sprzątałam po domach. I tamtego wieczoru ukradł samochód. I w to wierzę. Powiadali, że rozmawiał na Green z tą dziewczyną. W to też wierzę. To prawda, że złożyliśmy pozew do sądu. Ale wycofaliśmy powództwo. Nie uzyskaliśmy ani ugody, ani nic podobnego. Po prostu odstąpiliśmy. Zadowolona?

- Nie.

- Dlaczego? Czego nie powiedziałam?

- Podobno wierzy pani, że DeShaun tamtej nocy był w Landing. Wierzy pani, że ukradł ten samochód. I wierzy pani, że tamtego wieczoru rozmawiał z Giną. Nie powiedziała pani natomiast, czy wierzy, że on ją zabił.

Cisza.

- Panno Terry, nikt nigdy nie przeprowadził ekspertyzy sądowej. Nic nie łączyło Giny z tym skradzionym samochodem. Nawet nie wiemy, czy w ogóle się w nim znalazła. - W malutkim, ciemnym pokoiku podekscytowana Julia nachyliła się do przodu i patrzyła, jak panna Terry wzdraga się przed jej słowami. - To pewnie już pani wie. I podejrzewam, że dlatego złożyła pani pozew. Ale pozwolę sobie teraz powiedzieć coś, czego pani może nie wiedzieć. Po tym, jak Gina Joule rozmawiała z DeShaunem na Greek - powtarzam, po tym - pojawiła się w domu jednej ze swoich nauczycielek, cała i zdrowa.

I znowu cisza, ale teraz już pełna napięcia, jak ciemna kwantowa piana przed Wielkim Wybuchem.

- Nie sądzę, żeby wierzyła pani w to, że to DeShaun zabił tę dziewczynę. Nie sądzę, żeby pani kiedykolwiek w to uwierzyła. I sądzę, że właśnie dlatego złożyła pani pozew, bo pani w to nie wierzyła. I sądzę, że wycofała pani powództwo, bo ktoś pani za to zapłacił. - Theresa Vinney tylko parsknęła i pokręciła głową, ale nic nie odpowiedziała. - Sądzę też, że

to ktoś inny zabił tę dziewczynę, ktoś potężny i bogaty. Sądzę, że zostało to zatuszowane. Sądzę, że kiedy pojawiła się ta sprawa z DeShaunem, skwapliwie ją wykorzystali. - Julia nie mogła już znieść tego milczenia panny Terry. Czowała gniew, narastający w niej samej, matczyny, słuszny i czysty.

- Sądzę, że ktoś przyszedł tu, do tego domu, może nawet siedział na tym samym miejscu co ja teraz, i powiedział, że jeśli pani wycofa pozew, da pani... no ile?... dziesięć tysięcy? Pięćdziesiąt? Sto? Panno Terry, ile on pani zaproponował?

- Po co się do tego mieszasz? - zapytała starsza kobieta.

- Pragnę sprawiedliwości.

- Sprawiedliwości. - Kolejne drwiące prychnięcie, tym razem kojarzące się jej z Bayem Dennisonem. - Julio, ja pochowałam trójkę z pięciorga swoich dzieci, jedno przez narkotyki, drugie przez AIDS i DeShauna, i żadne z nich nie zostało wybawione od grzechów. A mój mały DeShaun został zastrzelony po tym, jak ukradł samochód. Mówili, że to on zabił tę białą dziewczynę, a tutejsi ludzie gotowi już byli roznieść całe miasto. Ale ja jestem jego matką i wycofałam pozew, dzięki czemu wszystkie protesty się zakończyły. Ludzie powrócili do normalnego życia. A teraz ty tu przychodzisz, siedzisz w moim saloniku, pijesz moją kawę i mówisz, że wpadłaś tu, ot tak, żeby mnie poinformować, na wypadek gdybym się martwiła, że to nie DeShaun zabił tę dziewczynę, a potem mnie obrażasz, mówisz, że wycofałam pozew, bo jakiś czarny mężczyzna przyszedł do mnie i dał mi pieniądze. Ja jestem kobietą religijną, Julio, a nie jakimś chciwym małym odmieńcem. I dlatego też uważam, że najlepiej będzie zostawić to tak jak jest. Wszyscy wiedzą, że to DeShaun zabił tę dziewczynę. Niech już tak zostanie. - Panna Terry z trudem wstała na nogi. - A teraz, moja droga Julio, jeśli pozwolisz, chciałabym się zająć paroma obowiązkami w kościele. Oczywiście jednak chciałabym ci podziękować, że zadałaś sobie trud i dzisiejszego ranka przyjechałaś tu do mnie, żeby ze mną porozmawiać, i niech cię Bóg błogosławi w drodze powrotnej do twojego pięknego przedmieścia.

- Nie mówiłam, że ten mężczyzna, który dał pani pieniądze, był czarny - odezwała się Julia.

II

Panna Terry zaproponowała, żeby się przeszły trzy przecznice dalej w kierunku kościoła, ponieważ, jak powiedziała Julii zaraz po wyjściu z domu, obawia się, że może być podsłuchiwana. Ci biali, powiedziała, nie potrzebują czarnych, którzy nie potrafią pilnować

swojego nosa, i najpierw wszędzie założyli podsłuchy biednemu doktorowi Kingowi, a dopiero potem go zastrzelili.

- Naprawdę pani nie wiedziała, że on był czarny? - zapytała.

- Dopiero pani mi to powiedziała.

- Chyba powinnam nauczyć się trzymać ten mój głupi język za zębami.

Sąsiedzi znali pannę Terry i ją szanowali. Być może wychowały ich matki, które na nich krzyczały, bo właśnie w ten sposób ona komunikowała się ze wszystkimi, oprócz Julii, rycząc na całe gardło, żeby się uspokoiili. I, o dziwo, te jej wrzaski skutkowały. Kiedy nakrzyczała na małe dzieci za rzucanie śnieżkami w samochody, dzieciaki przestały to robić, a kiedy pogoniła czternastoletnich handlarzy narkotyków, ci tylko zwiesili głowy i sobie poszli. Trzeba zdobyć sobie szacunek ludzi, tłumaczyła jej po drodze panna Terry, szurając po chodniku swoimi czarnymi plastikowymi botkami z wyściółką ze sztucznego futerka. Muszą wiedzieć, że nie rzucasz słów na wiatr. Ponownie skojarzyła się Julii z Byronem Dennisonem, przyszło jej nawet na myśl, że tajniki władzy wszędzie muszą być takie same i że wszyscy potężni ludzie je znają.

Julia odparła, że się z nią zgadza.

- I naprawdę jesteś pewna, że chcesz się w to pakować? - zapytała panna Terry, kiedy skręcały w Third.

- Tak, panno Terry.

- To w związku z twoją córką. Wspominałaś o tym.

Julia westchnęła, zastanawiając się, co ma odpowiedzieć, aż w końcu postanowiła powiedzieć prawdę.

- Tak. Ale to tylko część prawdy. - Oczy panny Terry patrzyły na nią pytająco. - Chodzi też o tego człowieka, który zginął w Landing. Tego profesora. Otóż, ja go, hm, znałam. Kiedyś coś nas łączyło. Chociaż nie. Szczerze mówiąc, to też nie jest prawdziwy powód. - Religijna kobieta czekała cierpliwie. - Tu chodzi też o mnie samą. Wydaje mi się, że jestem tego typu osobą... przez całe życie pozwalałam, żeby inni się mną opiekowali. Chronili mnie przed światem. I przez dwadzieścia lat czułam się bezpieczna. A teraz nadszedł czas, żebym przynajmniej częściowo spłaciła dług.

Kiedy miały przejść przez kolejną ulicę, panna Terry zatrzymała się i cierpliwie czekała na zmianę świateł, więc i Julia zaczekała, choć czekanie było wbrew jej naturze. Panna Terry machnęła ręką do kogoś znajomego, a potem wzięła Julię pod ramię. Pokazała na budynek, w którym sprzedają kokainę. Pokazała na budynek stanowiący siedzibę jakiejś partii politycznej, poza okresami wyborów zupełnie opustoszały.

- Założmy, że masz rację co do minionych wydarzeń, Julio - powiedziała. - Ja, co prawda, nie zgadzam się z tobą, ale założmy, że masz. Założmy, że wycofaliśmy pozew w zamian za pieniądze. Julio, tą sprawą interesowali się wszyscy w miasteczku. Wybuchły zamieszki. Jeśli więc nic nie powiedzieliśmy o otrzymaniu jakiejś małej gotówki, musieliśmy mieć jakiś diabelnie ważny powód.

- Rozumiem, panno Terry.

- To nie była chciwość.

- Nie, proszę pani.

Dotarli do kościoła, klockowatego budynku, który w przeszłości musiał być jakimś magazynem. Obecnie, wymalowany na biało i wyposażony w wysokie okna, był Domem Wiernej Światości, o czym świadczyła jego nazwa, wypisana ognistoczerwonymi i wysokimi na ponad metr literami wraz z upamiętnionym niewiele mniejszymi literami imieniem założyciela, które nie brzmiało Jezus. Ozdobne drzwi zamknięte były na cztery spusty, ale panna Terry poprowadziła Julię przez wielki, prawie pusty parking do umieszczonych z boku drzwi ewakuacyjnych. Czując panujący w środku chłód, Julia pomyślała, że prawdopodobnie oszczędzali pieniądze, w dni powszednie przykręcając termostat. W świątyni zamiast ławek znajdowały się składane krzesła, i Julia odniosła wrażenie, że może tu wygodnie pomieścić się prawie tysiąc osób. Zapytała, ilu wiernych tu przychodzi.

- W większość niedziel czterystu. Pięciuset. Dwa razy więcej w Boże Narodzenie i Wielkanoc.

- To robi wrażenie - odparła Julia, myśląc o opornej parafii anglikańskiej Lemastera, w której pięćdziesięciu wiernych na nabożeństwie oznaczało sukces, a przekroczenie setki wielki cud.

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. To dzieło Pana.

- Uhm - odrzekła Julia, powstrzymując się, żeby nie zacząć obgryzać skórek u paznokci, i zastanawiając się, po co panna Terry ją tu przyprowadziła.

Minąwszy kilku zadbanych parafian, którzy z radością, jak się Julii wydawało, powitali pannę Terry, przeszły do tylnego korytarza - ta cała przestrzeń była wręcz gigantyczna - i doszły do klasy szkółki niedzielnej. Na ścianach widniały sceny z Biblii i cytaty z obu Testamentów. Na kalendarzu z listą obecności, na którym z boku wypisano jedno pod drugim nazwiska dzieci, widniały plusy i minusy. Wszyscy bohaterowie scen biblijnych byli czarni.

Usiadły na dwóch dziecinnych krzeselkach, po dwóch stronach niskiego stolika i patrzyły na siebie nawzajem.

- Kiedy DeShaun dorastał, nie miał takiej salki. W tamtych czasach nie było tego kościoła. Żadne z moich dzieci tu się nie wychowywało. Ale większość z moich wnucząt zaczęło edukację albo tu, albo w podobnym miejscu w innym kościele. Ja zbliżyłam się do Boga dopiero w podeszłym wieku, ale większość z tutejszych dzieciaków wychowuje się w tym kościele. Co niedzielę słuchają słowa Bożego, śpiewają hymny, są ochrzczone.

Julia już miała się z nią zgodzić, ale postanowiła jej nie przerywać.

- Mamy tu całą masę małych dzieci, Julio. Tak jest w większości okolicznych kościołów, ale zwłaszcza w naszym. Zazwyczaj to matki je tu przyprawiają. Ich ojcowie, przykro o tym mówić, niezbyt interesują się tym, co Bóg może im zaoferować, chociaż Bóg wie, że tego potrzebują. Większość z nich... cóż, trudno im zawracać głowę, żeby poślubili matki swoich dzieci. Kiedyś było tak, że gdy młoda dama zachodziła w ciążę, jej ojciec i bracia następnego dnia szli do domu młodzieńca, grożąc, że się z nim policzą, jeśli on nie zrobi tego, co należy, i kilka miesięcy później mieliśmy tu wesele.

Julia zarumieniła się i spuściła wzrok, na nowo przypominając sobie, jak to ciotka Lemastera oskarżyła ją, że zmusiła go do małżeństwa. Panna Terry nie zauważyła jej zmieszania.

- Tak, ale to było kiedyś - ciągnęła. - A teraz, Julio? Musielibyśmy ich szukać po więzieniach albo na cmentarzach. Albo gdzieś na rogu ulicy. Bo najprawdopodobniej właśnie tam moglibyśmy znaleźć takiego ojca. I tam też znajdujemy braci. A oni mówią: „Zjeżdżaj stąd”.

Julia żałowała, że nie ma tyle cierpliwości ile Lemaster.

- Panno Terry, czy mogłybyśmy porozmawiać o DeShaunie...

- Ależ Julio, ja o niczym innym nie mówię. Musisz zrozumieć, co my tu próbujemy zrobić. Staramy się ściągnąć dzieci do kościoła, ponieważ dla większości z nich kościół jest jedyną nadzieją. Chodzą do szkoły, mogą się tam ubierać, jak im się żywnie podoba, nigdy słowa nie słyszą o Bogu, słuchają natomiast o seksie, o tym, żeby byli sobą i byli niezależni. Cóż, może dla mieszkających na bogatych przedmieściach białych dobrze jest mówić dzieciom, żeby były niezależne, żeby były sobą, czegokolwiek się tam uczą. Ja tam nie wiem. Ale wiem, że dla naszych dzieciaków to prawdziwe nieszczęście, Julio. Po prostu nieszczęście. Jakaś głupia dziewczyna zachodzi w ciążę z jakimś głupim chłopakiem, a biali mówią, że oni nie muszą się pobierać i że nie należy ich do tego nakłaniać. A my się podporządkowujemy. Robimy to, co mówią nam biali. Pomyśl, Julio, my tu wciąż żyjemy jak na plantacji. Biali ustalają reguły. Biali powiedzieli, że w szkole nie ma być Boga, więc nie ma w szkole Boga. Biali mówią, że nie wolno zabraniać dzieciom seksu, więc one uprawiają

seks. Biali mówią, że to żaden wstyd, kiedy dziewczyna jest przy nadziei, więc nikt już się tego nie wstydzi. Jak powiedziałam, to biali ustalają zasady. A potem wracają do swojego wielkiego domu. A tutaj, na polach? Nikt nie pyta nas o zdanie. Żyjemy więc na rogu ulicy albo w domu Pana. Tutaj nie ma trzeciego wyjścia.

Każde jej słowo poruszało Julię do żywego. Każde wypowiedziane zdanie stanowiło tezę, z którą Julia pragnęła dyskutować. Ale nie śmiała obrazić Theresy Vinney, na pewno nie teraz, kiedy była już tak blisko. Musiała się skupić.

- A DeShaun...

- DeShaun wybrał róg ulicy, Julio, i to go zabiło. On był podły, Julio. Od kiedy przyszedł na świat, chciał, żeby wszystko było tak, jak on sobie życzy. Ten chłopak nigdy nikogo nie słuchał. Tego wieczoru, kiedy zginął, już powiedziałam mu, że wyrzucę go z domu. Skończyło się na tym, że nie zdążyłam tego zrobić. A ty teraz pragniesz sprawiedliwości? - Szerokim ruchem ręki ogarnęła udekorowany kościół z całym jego wielkim prezbiterium i licznymi klasami. - To jest nasza sprawiedliwość, Julio. Nie jakiś tam wymyślony program rządowy. Ten budynek. Ten budynek to wszystko, co mamy. I niczego więcej nie potrzebujemy.

Julia właśnie miała się sprzeciwić, ale panna Terry jeszcze nie skończyła. W korytarzu ktoś śpiewał, fałszując, popularny w latach sześćdziesiątych kawałek z Motown, ale jakiś ostry głos polecił artyście się zamknąć..

- Julio, posłuchaj mnie. To prawda, że złożyliśmy pozew. I zgadza się, potem go wycofaliśmy. Ale nie powiem ci, dlaczego tak zrobiliśmy. Jedno ci tylko powiem. Bóg dokonał tu cudu. Zbudowaliśmy ten kościół. Zbudowaliśmy tę szkołę. Mamy kilku ofiarodawców. Co pół roku przekazują nam okrągłą sumkę, a każdy cent idzie na kościół lub szkołę. Z roku na rok się rozwijamy. Staramy się nauczyć nasze dzieciaki tego, czego biali nie chcą, żebyśmy się nauczyli, jak bardzo Bóg nas kocha i jak odróżnić dobro od zła. Niewiele możemy zapłacić, więc nie mamy takich nauczycieli jak u was na przedmieściach, ale robimy, co tylko możemy. - Przez moment Julii przyszła do głowy absurdalna myśl, że w tych surowych oczach dostrzegła oskarżenie, jakby matka DeShauna wiedziała, że ona była kiedyś nauczycielką i czekała, żeby zgłosiła się na ochotnika do pomocy. Ale panna Terry zbierała tylko siły, żeby na nowo podjąć swój wykład. Palcem dźgała powietrze. - DeShaun już nie żyje, a jeśli ty chcesz odgrzebywać te sprawy, cóż, żadna historia w gazecie nie przywróci mu życia. Ale dzięki tej szkole, Julio, dzięki temu kościołowi, może uda się nam uratować kilkoro dzieciaków przed wstąpieniem na tę drogę, którą podążył DeShaun. - Jej głos złagodniał. - Ty kiedyś byłaś nauczycielką, prawda?

Julia obruszyła się, szybko się jednak reflektując i odzyskując panowanie nad sobą.

- Uczyłam w szkole publicznej przez... - przerwała, uzmysłowivszy sobie, że nie zauważyła najważniejszego. - Skąd pani wie, że byłam nauczycielką? To Kellen Zant pani powiedział, tak? Ten zabity profesor. Przyszedł do pani, żeby porozmawiać o pani synu.

Theresa Vinney skinęła głową.

- To było chyba zeszłej wiosny. Może na początku lata. Zapytał mnie o to samo co ty, czy jakiś czarny mężczyzna zapłacił mi za wycofanie pozwu.

- Pytał o czarnego mężczyznę?

- Tak powiedziałam.

To takie proste, nagle zdała sobie sprawę Julia. Powinna była to dostrzec. Teraz wyraźniej widać było motywy kierujące Kellenem. Może rzeczywiście jego interesowały nie tylko pieniądze. Do dzisiejszego dnia Julia nie odgadłaby, że ten człowiek, który starał się uprzętać w okolicy dowody po śmierci Giny, był czarnoskóry. Nawet teraz wiedziała o tym tylko dlatego, że Theresa Vinney się wygadała. Kellen znał już tę informację, zanim tu przybył. Być może doszedł do tego, czytając ten dziennik. A może wiedział, bo słyszał o tym od...

- Panno Terry?

- Tak, moja droga?

- Co pani powiedziała profesorowi Zantowi, kiedy pytał panią, czy ten czarnoskóry mężczyzna proponował pani pieniądze?

- Powiedziałam, że Bóg przygotował dla niego plan. - Poklepała Julię po kolanie. - Posłuchaj Julio, naprawdę przykro mi z powodu tego, przez co przechodzi twoja córka. Poproszę wszystkich w naszym kościele, żeby się za nią modlili. Ale sądzę, że ty powinnaś wrócić do domu i dziękować Bogu. Julio, musisz zatroszczyć się o swoje dzieci. I pozwól, że my zatroszczymy się o swoje.

Rozdział 46

Jeszcze dwa spotkania

I

- Mam prawie wszystko, o co prosiłaś - powiedział Bruce Vallely. - Nie wszystko, ale prawie.

Siedząca po drugiej stronie stołu Julia Carlyle skrzywiła się. Zdaniem Bruce'a sprawiała wrażenie osoby nieco rozpuszczonej, ale może po prostu przyzwyczała się, że wszystko idzie po jej myśli. Bruce wiedział, że to Trevor Land nakłonił ją do rozmowy z nim. Z kolei Julia zaproponowała mu w zamian swoją pomoc, ale nalegała, żeby się wymienili informacjami.

- W takim razie musi nam wystarczyć to, co mamy - odparła Julia.

Kiedy tak siedzieli w restauracji sieci Ruby Tuesday w centrum handlowym w Norport, Bruce czuł, jak władza wymyka mu się z rąk i przechodzi na Julię. Jeszcze nie tak dawno temu uważał tę kobietę za słabą i rozpieszczoną, pierwowzór księżniczki z bogatego przedmieścia, z jakich jeszcze w college'u nieustannie się naśmiewali jego kumple, wywodzący się z klasy pracującej. Ale pod tą delikatną powłoką kryła się prawdziwa stal. Przypomniał sobie, jak to Marlon Thackery ostrzegł go przed sprzeciwianiem się Julii i jej mężowi. - Powiedz, co dotąd udało ci się uzyskać - poleciła mu Julia, jakby był jej pracownikiem.

Bruce z trudem powstrzymał uśmiech.

- Niewiele - odrzekł, przesuwając po blacie kolejną kopertę do jej kolekcji. - Z publicznych danych wynika, że klub Empireum nie zbankrutował, ale niewiele im do tego brakuje. Jest właścicielem budynku klubowego w Brooklynie, zastawionego już chyba z dziesięć razy. W przeszłości mieli ładną posiadłość w Hampton's, gdzie zamierzali postawić bardzo luksusowy ośrodek rekreacyjny dla czarnych. Dwadzieścia lat temu został zajęty. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych mieli hotel w Atlantic City, ale obecnie ten teren stanowi część parkingu przy kasynie, a Empireum niczego tam już nie posiada. Wydaje mi się, Julio, że niezbyt dobrze im się wiedzie.

- Hmmm.

- Czy mogę zapytać, po co ci te informacje?

- Tak.

Odczekał chwilę, po czym zmarszczył brwi.

- Co, tak?

- Tak, Bruce, możesz zapytać. Ale ja ci tego nie powiem. - Poklepała go po dłoni, robiąc to instynktownie, ponieważ uważała, że dotykanie ludzi pozwala nawiązać z nimi lepszy kontakt. - Ale jestem ci wdzięczna. Naprawdę. Zadzwoiłam do ciebie, bo nikt inny nie przyszedł mi do głowy.

- Czy ma to jakiś związek z twoim mężem?

- Przepraszam, Bruce, ale nie będę o tym rozmawiać.

- On należy do Empireum, prawda? - Bruce pochylił się nad stołem, starając się, żeby ten gest był raczej błagalny, a nie groźny. - Julio?

Energicznie pokręciła głową.

- Bruce, proszę, nie naciskaj.

Coś w jej oczach zaniepokoiło go, a i ona być może coś zauważyła w jego, bo położyła rękę na stole. Zaczęła bębnić palcami.

- W porządku - rzekł Bruce. - W takim razie teraz twoja kolej, żeby przekazać mi informacje.

Tylko że ona niewiele miała do przekazania. Nie, przed znalezieniem ciała Kellena nikogo ani niczego nie widziała. Nie, nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie on wybierał się tego wieczoru ani co mogła znaczyć ta „Jamajka”.

- Tamtego wieczoru był na wydziale teologicznym, prawda? - zapytał Bruce. Było to zupełnie uzasadnione przypuszczenie po jego rozmowie z Tonym Tice'em, który niewątpliwie doszedł do podobnego wniosku. Bruce wiedział, że się nie pomylił, widząc reakcję Julii, wyraźnie starającej się nie zareagować na jego słowa. - Po co on tam przyszedł, Julio? Czy coś dla niego zostawiłaś? A może on coś zostawił dla ciebie?

Pokręciła głową, bardziej w geście odmowy niż zaprzeczenia.

Bruce kontynuował.

- A ta sprawa z Giną Joule? Czy sądzisz, że Kellen Zant mógł zajmować się śmiercią Giny Joule? Bo mnie się wydaje, że to prawdopodobne.

- Nie wiem.

- A może doszedł do tego, że morderstwo zostało popełnione przez kogoś wysoko postawionego? Czy to dlatego został zastrzelony?

Rozłożyła ręce i obdarzyła go swoim krzywym uśmiechem.

- Naprawdę, Bruce, niewiele mogę pomóc.

- Sama sobie nie poradzisz, będziesz potrzebowała pomocy - rzekł, ale Julia była już zbyt zajęta obliczaniem, jak podzielić rachunek.

II

Julia znalazła Joego Poyntinga w studenckim pokoju cichej nauki, gdzie starał się ułożyć próbne kazanie na zajęcia z homiletyki. Chciała dowiedzieć się, co znaczy ekonomiczny termin „niekonkurencyjna konsumpcja”, a Joe, po raz kolejny, miał być jej mężem.

- Mówimy o konsumpcji, że jest oparta na konkurencji - powiedział - kiedy korzystanie z dóbr przez jedną osobę mniej pozostawia dla drugiej. Spójrzmy za okno. Widzi pani te mewy? Walczą o jedzenie. Kiedy jedna z nich coś zje, jej konsumpcja jest konkurencyjna wobec innych ptaków, które już tego nie mogą zjeść. Rozumie pani?

Julia skinęła głową.

- Kiedy natomiast to, że ja korzystam z jakichś dóbr, nie wpływa na pani możliwość korzystania z tych samych dóbr, konsumpcja nie jest konkurencyjna. Jeszcze raz popatrzmy na te mewy. Widzi pani słońce odbijające się od ich skrzydeł? Tę tęczę? To bardzo piękny widok, a fakt, że ja to oglądam, nie obniża pani zdolności do oglądania. Oboje możemy to konsumować. Brak konkurencji. Rozumie pani?

Zrozumiała i podziękowała mu.

Sprawa dotyczyła konsumpcji niekonkurencyjnej, powiedział Kellen Mary i wysłał jej zdjęcie Malcolma Whisteda. Malcolm Whisted, przyjaciel rodziny. Przekraczało to już, co prawda, granice podłości, żeby o ludzkiej istocie mówić jako o konsumowanej, ale być może właśnie to Kellen miał na myśli. Jeśli Gina miała jednego chłopaka, to konsumpcja była konkurencyjna. Ale jeśli miała, powiedzmy, więcej chłopaków - to konsumpcja byłaby niekonkurencyjna.

I właśnie to Kellen próbował im przekazać. Ci dwaj chłopcy, którzy tamtej nocy zabrali Ginę do jaguara, zamierzali się nią podzielić. Załóżmy, że to Jock był jej chłopakiem. Może jeden ze współlokatorów był trochę zazdrosny o to, co kolega zdobywa. A Jock, najbardziej lubiący zabawę w ekipie wielbicieli zabawy, powiedział: „Jasne, jak ona zadzwoni następnym razem, zabierz się ze mną. Podzielimy się”.

Dzielić się ludzką istotą jak zabawką erotyczną.

Niekonkurencyjna konsumpcja.

Tylko że Gina nie była gotowa podzielić się swoją osobą. Gina zaczęła się bronić.

I przegrała.

Zatroskana Julia właśnie rozważała ten problem w głowie, kiedy nieoczekiwanie zupełnie o nim na moment zapomniała. Doznała olśnienia. Mewy.

Mewy.

Ten Kellen i jego gry słowne.

Julia wyciągnęła bloczek do notatek, na którym zapisywała beznadziejne anagramy słowa „Shari Larid”, tajemniczej nauczycielki na zastępstwie, której nikt nie potrafił znaleźć. Nic dziwnego, że nikt jej nie potrafił odszukać. Ona istniała w postaci wiadomości przeznaczonej dla ucha Julii. Opisując ją jako nauczycielkę na zastępstwie, Kellen dał Julii wskazówkę. Larid to gatunek mewy, a jeśli zastąpić słowo Larid podstawowym słowem oznaczającym mewę, czyli Guli, otrzymuje się Shari Guli, co jest anagramem...

Rozdział 47

Sugar Hill

I

W sobotę matki należące do mieszczącego się w Harbor County oddziału Biedronek zebrały najmłodsze dzieci - Biedroneczki - i wybrały się na Manhattan, gdzie wszyscy zjedli lunch w oszałamiającej restauracji z ery kosmicznej, o stosownej nazwie Mars 2112, a potem poszli na popołudniowy spektakl *Króla Lwa* na Broadwayu. Towarzystwo zabrało się kilkoma samochodami, i Julia, prowadząca escalade, wiozła Kimmer Madison oraz Bentleya, jej dwa lata młodszego od Jeannie syna. Julia z radością uciekłaby choć na chwilę od swoich zmartwień, gdyby ta wyprawa rzeczywiście jej taką ucieczkę zapewniała. Było jednak inaczej. Zaplanowała nieplanowany postój. Postanowiła zaskoczyć tym swoich pasażerów w drodze powrotnej do domu.

Przez większość drogi do miasta Kimmer nieustannie prosiła Julię o ściszenie radia, co chwilę odbierając kolejny telefon, ponieważ w dzisiejszych czasach dla prawników, a także dla innych prawdziwych profesjonalistów, biuro nie ma naturalnych granic. W przerwach między tymi pilnymi telefonami uśmiechała się promiennie do siedzących na tylnym siedzeniu i wzajemnie ignorujących się dzieciaków, nieustannie szepecząc przy tym: „Kto wie, co czeka tę dwójkę w przyszłości?”, ponieważ Kimmer, podobnie jak Julia, pochodziła z jednego z królewskich rodów ciemniejszej nacji i trapiła się przyszłością tradycji.

Przedstawienie wszystkim ogromnie się spodobało, nawet tym najmniej sentymentalnym wśród matek - jak Kimmer - oraz tym, które, jak Julia, już wcześniej je widziały, a dzieci głośno domagały się pozostania w mieście na kolację, ale pomimo błagań, karawana spakowała się i o wpół do szóstej wszystkie samochody ruszyły z miasta.

Wszystkie z wyjątkiem escalade.

Julia powiedziała, że musi się gdzieś zatrzymać.

- Jeśli masz trochę czasu - dodała do Kimmer.

- Ile to jest trochę? - Już patrzyła na zegarek. Widząc, że została na tym przyłapaną,

uśmiechnęła się w zaraźliwy sposób. Kimmer lubiła się bawić, a do tego była harda i bystra. Miała już dwóch mężów i łatwo było wyobrazić sobie następnych, czekających już na nią w kolejce.

- Zajmie nam to w sumie pół godziny. Nie więcej.

- Pół godziny?

- Będziesz mogła poczekać z dziećmi w samochodzie. Na miejscu nie będzie mnie jakieś dziesięć minut.

- Gdzie jedziemy?

- Do Harlemu.

- Julio, już prawie szósta.

- Tam nie zamykają.

II

Ostatnim razem, kiedy Julia Carlyle widziała trzykondygnacyjną rezydencję miejską przy Edgecombe Avenue i West 145th Street, były z nią wszystkie jej dzieci, wszystkie szczęśliwe. Było to siedem lat temu, kiedy Julia, w towarzystwie Tessy, pokazywała im Harlem, snując ledwo pamiętane historie i naśladując babcię Vee. Sama niezbyt się wówczas paliła do tego pomysłu, ale dzieci głośno się tego domagały, więc zawiozła je, żeby mogły się trochę pogapić na słynną rezydencję Veazie, nie zatrzymując się i nikogo nie wypuszczając z samochodu, przemknęła w nadziei, że nie zauważą, jak ta niegdyś dumna budowla, sceneria tyłu matczynych opowieści, popadła w oplakaną ruinę.

Kiedy dzisiejszego wieczoru wciskała samochód w miejsce, które wydawało się dla niego dostatecznie duże, niczego więcej nie oczekiwała. Wiedziała, że to daremny trud, ale musiała spróbować.

Na wypadek gdyby nie udało się jej rozwiązać anagramu zwrotu „Shari Larid”, Kellen zaaranżował wszystko w ten sposób, żeby pan Huebner przekazał jej wiadomość. Wsiadł do pociągu, napisał Kellen, doskonale znając gusty muzyczne swojej byłej ukochanej: Broadway i brzmienie big-bandów, najlepiej w interpretacji artystów jej nacji. Wyjaśnienie wiadomości było banalnie proste - Ella Fitzgerald i Duke Ellington wykonali słynną piosenkę Billy’ego Strayhorna o przejazdce pociągiem linii A do Sugar Hill w Harlemie.

Sugar Hill, najwyższy punkt Harlemu, gdzie w swoim czasie, ukryci przed szerokim światem członkowie elity ciemniejszej nacji, ulokowani wygodnie w mieszkaniach i domach szeregowych umeblowanych równie pięknie jak te na Park Avenue, patrzyli z góry na

należących do średniej klasy czarnuchów mieszkających w domach Strivers Row, wokół 138th Street i dalej na południe, na niższe klasy stłoczone w tym, co mieszkańcy Sugar Hill drwiąco nazwali Doliną. To Sugar Hill, gdzie Amaretta Veazie brylowała wśród swego legendarnego dworu jako jedna z tych „caryc o jasnej karnacji”, jak nazywał je Adam Clayton Powell Junior - matrony, które rządziły elitą Harlemu. Amaretta, jedna z założycielek stowarzyszenia Siostrzanych Dam, Amaretta, która, podobnie jak całe jej pokolenie, starała się ograniczyć członkostwo w Klanie do garstki starych rodów, uważając, że ekskluzywność stanowi dar dla przyszłych pokoleń, Amaretta, która, podobnie jak i pozostałe caryce, poniosła porażkę. Ciemniejsza nacja okazała się zbyt wielka i zbyt utalentowana, albo to integracja była zbyt kusząca, w każdym razie Klan się rozprzestrzenił i rozmył.

Ta miejska rezydencja, w której, zgodnie z legendą, powstało stowarzyszenie Biedronek. I gdzie, w dawnych czasach, Amaretta przechowywała swoją słynną kolekcję lusterek.

Kellen przysyłał jej lustra i przypominał jej o historii, bo chciał mieć pewność, że ona zrozumie, o co mu chodzi.

Julia nie wiedziała, w jaki sposób Vanessie udało się do tego dojść, ale rezydencja Veazie również dla jej córki stanowiła miejsce przeznaczenia. Julia była o tym przekonana. Vanessa wcześniej niż jej matka zdała sobie sprawę, że ten dom znajduje się w centrum tajemnicy Kellena, i z jakiegoś powodu zapragnęła samotnie go odwiedzić. Problem polegał jednak na tym, że Vanessa nie pamiętała adresu i myślała, że uda się jej rozpoznać budynek. Jak większość czarnoskórych Amerykanów, którzy nigdy tu nie mieszkali, Vanessa nie doceniała ogromu Harlemu, całych setek kwartałów. Przeszukiwanie Harlemu w niczym nie przypominało przeszukiwania małego miasteczka w Nowej Anglii. Szansa na przypadkowe znalezienie jednej rezydencji miejskiej pośród tych wszystkich uliczek i bulwarów niegdysiejszej stolicy ciemniejszej nacji była praktycznie równa zeru.

I to też odkryła Vanessa.

Nic też dziwnego, że w końcu zdecydowała się przetańczyć tę noc, najpierw w klubie w Elm Harbor, a potem, o czym wiedziała już tylko jej matka, do pieśni żałobnych za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju.

Julia nie miała najmniejszego pojęcia, dlaczego Kellen chciał, żeby udała się do domu Amarett, ale była absolutnie pewna, że tego właśnie pragnął.

Wysiadła z samochodu. Poprosiła Kimmer, żeby została w samochodzie z dziećmi.

- Wchodzisz do środka?

- Najwyżej na dziesięć minut. Prawdopodobnie nie ma ich nawet w domu.

- Daj spokój, Julio. Jesteśmy w samym środku Harlemu. - Prawniczka rozejrzała się dookoła, jakby spodziewając się armii zbiegłych przestępców z uzi przygotowanymi do strzału.

- Rozejrzyj się dookoła. Tutaj jest już zupełnie przyzwyczajenie. Nic nam tu nie grozi.

- Ale...

- Proszę. Ja muszę to zrobić.

Prawniczka spojrzała przeciągle w twarz Julii, a potem przez dłuższą chwilę rozglądała się po okolicy. Wsunęła się za kierownicę.

- Będę jeździła w kółko - powiedziała, bo ponad wszystko nienawidziła siedzieć w miejscu.

Julia odwróciła się i ruszyła po schodach w górę.

III

W ten wczesny zimowy wieczór budynek był jasno oświetlony, w oknach wisiały gustowne zasłony, cegły były idealnie zaspoinowane, a śnieg skrzętnie uprzątnięto ze schodów. To musi być jakieś złudzenie, stwierdziła Julia. Jej nieposłuszny umysł ciągnął ją prawie cztery dekady wstecz, do czasów, kiedy wraz z bratem i kuzynami bawiła się na tym właśnie chodniku, czekając, aż służąca babci Vee wezwie ich wszystkich na kolację. Ale kiedy obejrzała się przez ramię, zobaczyła swój samochód i Kimmer próbującą wyprowadzić potężne auto, żeby ruszyć w trasę wokół kwartału. Odwróciwszy się, Julia zauważyła połyskujące nowe przyciski domofonu i uzmysłowiła sobie, że ten elegancki stary dom został przerobiony na mieszkania, po jednym na piętrze, łącznie z suteroną z jej otoczonym murem podwórzem na tyłach.

Sugar Hill powracało do życia. Jedna z najlepszych nieruchomości na Manhattanie - tak pisał „Times”, jak również jej ulubione blogi agentów pośrednictwa handlu nieruchomościami.

Wspaniale. Czyli posiadłość Veazie stała się czymś w rodzaju wspólnoty. Co teraz?

Uniosła lusterko, które wcześniej wcisnęła do kieszeni, ale na jego zamglonej powierzchni ujrzała tylko własne odbicie, zmarszczone brwi wyrażały niepewność.

Kellen powiedział jej, żeby zabrała je ze sobą, ale nie miała pojęcia po co. Była w kropce. Kiedy już miała wrócić do samochodu, dojrzała jakiś ruch po prawej stronie. W wykuszowym oknie na parterze stał jakiś mężczyzna i pałac cygaro, obserwował ją.

Dobra, świetnie.

Uśmiechnęła się i pomachała ręką, jakby byli starymi znajomymi, wyciągnęła palec w stronę drzwi i nacisnęła drugi przycisk od dołu, mając nadzieję, że to odpowiedni. Mężczyzna zniknął i chwilę później drzwi wydały elektroniczny jęk, zapadka szczęknęła i Julia weszła do korytarza.

Pomarańczowo-biały wzór płytek na podłodze holu był dokładnie taki jak w jej wspomnieniach. Drewniane ściany lśniły po niedawnej renowacji, dołożono skrzynki na listy, na wprost zaś, tam gdzie powinno znajdować się przejście do salonu, stały jakieś solidniejsze drzwi, wzmocnione metalowymi prętami, a w nich ten sam mężczyzna, z tym samym cygarem w ręce, patrzył na nią z pytającym wyrazem brązowej twarzy tak gładkiej i pewnej siebie, że przypominał jej się Kellen. Za mężczyzną znajdował się korytarz i otwarte drzwi do jego mieszkania, z którego dochodziły dźwięki smooth jazzu.

- Czy ty jesteś Margot? - zapytał mężczyzna.

- Ja? Och, nie. Nie. Ja, hm, kiedyś tu mieszkałam. A raczej spędzałam tu czas. - Wyciągnęła rękę na powitanie. - Jestem Julia. Julia Carlyle.

Uścisk jego dłoni był wilgotny i pełen rozczarowania.

- Nie mogłaś tu mieszkać, Julio. Jestem dopiero drugim właścicielem tego mieszkania. - Zmarszczył brwi, rzucając okiem nad jej ramieniem, jakby starał się dostrzec kogoś ważniejszego. - Na pewno nie jesteś Margot? - Nerwowy, przepaszający uśmiech. - Umówiłem się na randkę w ciemno.

- Moja babcia była tu właścicielką. Całego budynku.

- Retta Veazie?

- Amaretta Veazie. Zgadza się.

- Słyszałem o niej. Kiedyś mówiono na nią Retta. - Zaciągnął się cygarem, podszedł do niej i strząsnął popiół na ulicę, przypominając jej tym gestem o Mary Mallard. W kosztownej koszuli i poluzowanym krawacie sprawiał wrażenie znużonego i zamożnego. - W czym mógłbym pani pomóc, pani Carlyle?

- Załatwiałam sprawy w mieście, przejeżdżałam nieopodal i no, prawdę mówiąc, nie wiedziałam, że budynek został przebudowany. Musiałam się zatrzymać i popatrzeć. - Wzruszyła ramionami, zdając sobie sprawę, że za dużo mówi, jak zresztą zawsze, kiedy jest zdenerwowana. - Nie miałam zamiaru sprawiać panu kłopotu. Po prostu chciałam spojrzeć, jak to miejsce teraz wygląda.

- Ależ nie, to żaden kłopot, pani Carlyle. Proszę wejść. Właśnie przygotowałem sobie drinka.

Julia zawahała się. Nie wyczula próby uwiedzenia, a w końcu przecież cały pomysł

zatrzymania się tu miał na celu zajrzenie do wnętrza mieszkania z lusterkim, które teraz leżało w jej kieszeni. Ale coś, co jeszcze pół godziny temu było absolutnie pewne, teraz rozmyło się w jakiejś bardziej rozległej mgłę, i już nie była tak pewna swoich zamiarów. Ta cała sprawa z lustrami była śmieszna. Lustro to tylko szkło, srebrzenie i...

„i czasami eglomisie”...

...wymyślna rączka, całość stworzona ludzką ręką w jakimś warsztacie lub fabryce, a nie drzwi do przeszłości czy przyszłości albo ukrytego nadprzyrodzonego świata, gdzie wszyscy pod innym kątem patrzą na rzeczy. Gdyby weszła do środka, zachowałyby się jak idiotka. I nieważne, co jej zdaniem Kellen chciał jej powiedzieć.

Uśmiechnęła się i cofnęła.

- Nie, dziękuję bardzo. Przepraszam, że pana niepokoiłam. Proszę wracać do swojego drinka. - Stojący w drzwiach mężczyzna długo ciągnął dym z cygara, ale nie ruszył się z miejsca, a jego przenikliwe orzechowe oczy mierzyły ją. Zanim jeszcze Julia zdążyła zorientować się, że zanoszą się na kłopoty, przez chwilę zastanawiała się, skąd ten człowiek mógł wiedzieć, że ona jest mężatką. - Mam nadzieję, że wkrótce doczeka się pan umówionej osoby - powiedziała, teraz już szybciej się wycofując. - Jeszcze raz dziękuję.

W tym momencie gdzieś z głębi mieszkania odezwał się znajomy głos.

- Julio, może byś jednak poświęciła nam kilka minut. Wejdz, proszę.

IV

Cameron Knowland skinął na nią gestem właściciela, z czego natomiast wywnioskowała, że to do niego należy to mieszkanie, a może nawet cały budynek.

- No proszę, co za niespodzianka - odezwała się, bo musiała coś powiedzieć.

- Mam nadzieję, że nie zaliczysz jej do nieprzyjemnych.

- To zależy od tego, co my tu wszyscy robimy.

Cameron uśmiechnął się. Julia rozejrzała się dookoła. Sufity równie wysokie jak pamiętała z przeszłości. Kosztowne umeblowanie stanowiło dowód współczesnego bezguścia, któremu żadne pieniądze nie mogły nadać pozorów dobrego smaku. Uśmiechający się do niej przez okno mężczyzna należał do Klanu - wyczuwała to w jego sposobie mówienia, w jego ubraniu i postawie, w której nie było ani tego tragicznie niedbałego lekceważenia charakterystycznego dla młodych ludzi z jej nacji, ani nerwowej pewności siebie osób, które od niedawna zasmakowały fortuny. Mógł być z dziesięć lat młodszy od Julii i od razu widać było, że to Cameron jest tu szefem, a ten czarnoskóry mężczyzna jego sługusem.

Nawet przez myśl jej nie przeszło, że może być inaczej.

- Przepraszam za ten melodramat, Julio. - Przysiadł na skraju długiego stołu. - Tak się złożyło, że akurat załatwiałem sprawy w mieście. Moi ludzie poinformowali mnie, że przyjeżdżasz...

- Jacy ludzie? - zapytała ostro.

Cameron uśmiechnął się.

- Moi ludzie poinformowali mnie, że przyjeżdżasz, a wiem, że od czasu śmierci Zanta nie byłaś w Harlemie. Miałem nadzieję, że to może być dobra okazja. I nie myliłem się. - Ton jego głosu świadczył o tym, że rzadko bywało inaczej.

- To jest... twoje?

- Kiedyś należało do Kellena. Wiedziałaś o tym? Kupił ten budynek, kiedy tylko wystawiono go na sprzedaż.

- Skąd wiedziałaś, że przyjeżdżam? - zapytała tonem nieodmiennie beznamiętnym. Kiedy Cameron wciąż tylko się uśmiechał, spróbowała zadać inne pytanie. - Tony Tice. To ty jesteś jego tajemniczym klientem?

Przynajmniej udało się jej wywołać na jego twarzy delikatne zmarszczenie brwi, świadczące o lekkim zakłopotaniu.

- Wyjątkowo niemiły człowiek. Oczywiście, że nie. Po śmierci Kellena Tice skontaktował się ze mną i zaproponował... Mniejsza o to. Nie, Julio. Nie mam z nim nic wspólnego i nie chcę też mieć z nim nic wspólnego.

- To dobrze - powiedziała, zupełnie szczerze.

Miliarder rozejrzał się po pokoju.

- To piękne mieszkanie. Mówiono mi, że w dawnych czasach ten cały dom był piękny. Sugar Hill. - Powtórzył tę nazwę. - Jeszcze kilka miesięcy temu nawet nie wiedziałem o jego istnieniu. Ale kiedyś tu było serce Harlemu, prawda? Twojego Harlemu. Twojej rodziny. I tych innych starych rodów.

- Tak.

- Nie musisz się obawiać, Julio. Nikt nie chce cię skrzywdzić.

- Nie obawiam się. - Przetarła oczy. - Tylko mam już dość tego ciągłego okłamywania mnie.

Cameron Knowland zeskoczył ze swojego miejsca i przykucnął przed Julią.

- Julio, kiedy ja cię okłamywałem? Czy powiedziałem ci choć słowo nieprawdy? - Ale nie tak łatwo było ją przekonać. - Szukamy tego samego. Nadwyżki Kellena. Rozejrzyj się. Kupiłem to mieszkanie od wspólnoty mieszkaniowej. Kupiłem je z całą zawartością.

Mniejsza o to jak. Są pewne sposoby. Kluczowa była zawartość. Chciałem zachować je dokładnie takim, jak je zostawił Kellen. Wiele czasu spędził na wystroju wnętrza, dopilnował, żeby wszystko było tak, jak sobie życzył. Przynajmniej raz na miesiąc tu przyjeżdżał. Nie wiedziałaś o tym?

- Nie, Cameronie. Nic o tym nie wiedziałam.

- W każdym razie tak było. A wiesz, co jest na ścianach jego gabinetu? - Wskazał na jedno z drzwi. - Twoje fotografie, właśnie to. Albo wasze wspólne zdjęcia. Wydaje mi się, że twój były miał prawdziwego bzika na twoim punkcie, Julio. - Wyprostował się. - Powiem ci coś jeszcze. Nie tylko ty jesteś na tych zdjęciach. Są tam też twoje dzieci.

- Moje dzieci?

Skinął głową.

- Możesz tam pójść i sama sprawdzić.

Posłuchała go i posłusznie udała się do gabinetu, w którym ściany pokryte były materiałem w przydymionym różu, jej ulubionym odcieniu. A na nich, oczywiście, zdjęcia samej Julii, zdjęcia Julii z Kellenem, zdjęcia Julii z dziećmi, albo jako powiększenia z czasopism, albo też zrobione - jak teraz jej się wydawało - ukradkiem. Drżącym palcem dotknęła jednej z fotografii, na której widać było całą czwórkę jej dzieci kręcących się niespokojnie na jej kolanach, pamiętała to zdjęcie, wycięte z zamieszczonego w magazynie „Ebony” artykułu o dorosłych dzieciach pewnego pokolenia Harlemu. O mały włos nie zaskoczyłyby ją własne łzy, ale to nowa Julia je zaskoczyła.

- Sądzę, że przygotowywał to miejsce dla ciebie - odezwał się stojący za nią Cameron.

- Dla mnie? A co to ma oznaczać?

- Sądzę, że miało to być wasze gniazdko.

Odwróciła się na pięcie, gotowa rzucić mu się do oczu.

- Nie, nie, Julio, nie. Uspokój się. Nie chcę tu sugerować niczego niestosownego, mówię tylko o wyobraźni biednego Kellena. Wydaje mi się, że on chciał przygotować to miejsce, a potem je tobie sprezentować. On chciał cię odzyskać, Julio. Próbował walczyć o ciebie.

Sama nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać, zachowała więc uporczywe milczenie. Ale gdzieś w głębi umysłu coś ją łechtało.

Cameron machnął ręką.

- Pewnie zastanawiasz się, dlaczego to kupiłem.

- Tak.

- Miałem nadzieję, że ta nadwyżka jest gdzieś tutaj. Ukryta. Ta odpowiedź. Jakaś

wskazówka. Cokolwiek. Zważywszy na spędzony przez niego tutaj czas, nie wierzę, że nic tu nie zostawił.

- Sądziłam, że nie jesteś zaangażowany w walkę o ponowny wybór prezydenta.

Zachichotał, aż jego cały brzuch zatrzęsł się z rozbawienia.

- Och, Julio. Wpływy twojego męża są ogromne, ale nie są nieograniczone. Ludzie mojego pokroju robią to, co sami chcą. My po prostu wolimy nie obnosić się z tym, co robimy. A poza tym - poderwał się i zaczął chodzić po pokoju - nie wszystko musi być dla innych. Ja nie jestem altruistą. Bardzo bym się ucieszył, gdyby wybory wygrał aktualny prezydent, ale jeśli mu się to nie uda, to trudno. Właśnie dlatego to kupiłem. Nie rozumiesz? Jeśli istnieje jakaś możliwość odszukania tego, czym zajmował się Kellen, to ja chcę to znaleźć. Chcę zdobyć ten dowód. I nie obchodzi mnie, komu ten dowód może zaszkodzić. Jeśli to dowód, że prezydent źle postąpił, schowam tę informację gdzieś głęboko. A jeśli to dowód przeciwko senatorowi Whistedowi, zachowam go i jeśli Whisted wygra, wykorzystam go, żeby nowy prezydent nie zszedł z właściwej drogi.

I właśnie o to chodziło. No, prawie. Prawie. Mogłaby nawet przeoczyć tę perfidię w jego motywacji, uświadamiając sobie, że już prawie dotarła do celu.

- Albo gdyby okazało się, że jest to dowód przeciwko prezydentowi - powiedziała powoli - też mógłbyś go użyć, żeby prezydent nie zszedł z właściwej drogi.

Skrzyżował ręce na piersiach.

- Pewnie tak.

- Ale nie masz tego dowodu, prawda?

- Jeszcze nie.

Nieomal się uśmiechnęła.

- Przykro mi.

- Julio. Daj spokój. Nie przysłaś tu bez powodu. Kellen zostawił ci jakąś wiadomość. Jakąś wskazówkę. Ty czegoś szukasz. - Ponownie machnął ręką. - Proszę bardzo, nie przeszkadzaj sobie.

- Przykro mi, Cameronie. Naprawdę nie jestem w stanie ci pomóc.

- A ja jestem w pełni przekonany, że możesz mi pomóc. Nie musisz się spieszyć. Rozejrzyj się.

- Nie mam zbyt dużo czasu...

Inwestor skinął ręką i zaraz pojawił się jego czarny pacholek.

- Wyjdź, proszę, na dwór i powiedz pani Madison, że pani Carlyle zostanie tu jeszcze kilka minut. Albo zaczekaj. Zaprosz ich do środka. Znajdź jakieś ciasteczka czy coś

podobnego dla dzieci.

- Naprawdę musimy już jechać - odezwała się Julia, ale pacholek już zniknął za drzwiami. A poza tym, w końcu Cameron był przecież tym dobrym starym panem Knowlandem, który, jak to Jeannie kiedyś radośnie określiła, był właścicielem uniwersytetu.

Co, w zasadzie, było prawdą.

V

Rozejrzała się więc po mieszkaniu. Mogła odejść. Nie sądziła, że Cameron próbowałby ją zatrzymać. Mogła wsiąść do escalade, odjechać z Kimmer i dziećmi do domu, do Landing, i raz na zawsze zapomnieć o Kellenie i jego nadwyżce. Ale nie zrobiła tego. To pragnienie, które aż tu ją doprowadziło - pragnienie rozwikłania tajemnicy, nie dla samej tajemnicy, ale żeby uratować Vanesę - mocno trzymało ją w swoich szponach. Kellen poprowadził ją z powrotem do czasów jej dzieciństwa, do dni, kiedy Amaretta Veazie starała się - chociaż elitarna społeczność Harlemu wokół niej powoli odchodziła w zapomnienie - nadal prowadzić salon, w ten sam sposób, jak swego czasu robiły to ona i pozostałe caryce.

„Nieustannie uciekasz przed trzema rzeczami” - powiedział kiedyś.

- „Przed swoimi ludźmi, swoją przeszłością i swoim Bogiem”.

Dzięki panie Terry, Kellen zaprowadził ją z powrotem do jej ludzi, a tu, w sercu Harlemu, przywołał jej przeszłość. Podejrzewała, że następny będzie Bóg, ale nie miała pojęcia, jak to zdoła zrobić.

- Julio?

- Cisza! - krzyknęła, w głębi duszy uradowana, że może uciszyć miliardera.

I podziałało.

Stała przed korytarzem i wpatrywała się w wysokie lustro - kolejne stojące lustro - przypomniała sobie, jak w dzieciństwie patrzyła na Sidneya Poitier i Harry'ego Bellafonte, którzy tu stali i poprawiali sobie krawaty i kołnierzyki, zanim zanurzyli się w tłumie oczekujących na nich uczestników przyjęcia u Veaziech. Pewnego razu, kiedy miała jakieś pięć lat, gościem honorowym był Martin Luther King. A innym razem Hubert Humphrey organizował tu zbiórkę pieniędzy. A potem nadszedł ten nieszczęsny dzień wiosną 1972 roku, kiedy Mona, wspomagana przez swoje dzieci, wsadziła wścickłą i opierającą się babcię Vee do swojego plymoutha kombi i ruszyła w długą podróż do Hanoveru. Kiedy Kellen usłyszał tę historię, powiedział...

To było właśnie to.

Odeszła od lustra i wycofała się z powrotem do mieszkania. Cameron nie spuszczał jej z oczu, dzieci jadły lody przy stole kuchennym, a Kimmer kręciła się koło nich jak jakiś ochroniarz. Pacholek Camerona gdzieś zniknął.

- Przyjechałam tu kilka razy z Kellenem - odezwała się, sama nie za bardzo wiedząc, dlaczego zdecydowała się snuć tę opowieść, ale instynktownie czuła, że opowieść odwróci jego uwagę. - Kiedy byliśmy... z sobą. Chciałam pokazać mu Harlem. Ale wszystko było inne. Ten dom był w opłakanym stanie. Zabity deskami. Wślizgnęliśmy się tu jednak. Odsunęliśmy jakiś kawałek sklejki i weszliśmy przez okno.

„Kiedyś kupię ten dom” - obiecał Kellen, stojąc pośród brudu. „Dla nas”. Pocałunek. „Dla ciebie”. Kolejny pocałunek. „I dla naszych dzieci”. I jeszcze jeden. „Zbyt wiele tu historii, żeby ją zmarnować”.

„Nie cierpię historii” - stwierdziła.

„Gdybym miał taką historię jak ty, uwielbiałbym ją” - odrzekł i jeszcze tego samego wieczoru udał się na spotkanie, o którym zapomniał jej powiedzieć, po czym nie było go aż do rana.

- Co jeszcze pamiętasz? - podpytywał Cameron z tyłu, zupełnie niepotrzebnie ją ponaglając.

- Odwiedziliśmy to miejsce chyba dwukrotnie, kiedy byliśmy z sobą, i za każdym razem się włamywaliśmy. - Roześmiała się. - Nawet nie wymienili desek. Za drugim razem w jednym z pokoiw mieszkał jakiś bezdomny. Chciałam wyjść, ale Kellen wykopał go stamtąd.

- Czy przyszliście tu jeszcze kiedyś?

- Nie.

Tak. To ostateczne pożegnanie. Zebrawszy resztki odwagi rodziny Veazie, Julia wsiadła w pociąg i pojechała do miasta, żeby powiedzieć temu mężczyźnie, który zrujnował jej życie, że ktoś inny być może je uratuje. Spotkali się na lunchu w restauracji U Sylvii - jednej z jego ulubionych, prawdziwej legendzie Harlemu - i Julia, spojrzawszy mu w oczy, powiedziała, że jest w ciąży i że wychodzi za Lemastera. Obserwowała emocje odmalowujące się na jego pięknej twarzy. Gniew. Zdumienie. Zazdrość? Nigdy nie udało się jej tego rozwikłać. Przez te wszystkie miesiące, które Julia spędziła z Lemasterem - nawet kiedy już z nim mieszkała - Kellen od czasu do czasu dzwonił do niej albo przesyłał jej wiadomość, czasami starając się ją utrzymać, a czasami próbując ją uwolnić. Wysłuchawszy tej wiadomości, odczekał chwilę, potem się uśmiechnął, pogratulował Julii i nachylił się nad stolikiem, żeby ją pocałować, lekko, w usta. Następnie pojechali metrem na Sugar Hill, żeby

po raz ostatni tam się rozejrzeć.

Miesiąc później objął stanowisko na chicagowskim uniwersytecie, tak naprawdę nigdy nie pożegnawszy się z nią.

Ale tego dnia na początku 1983 roku wczolgali się przez to samo okno, chociaż tym razem było dokładniej zabite deskami. Kellen podszedł do kominka, nad którym ozdobnie rzeźbiona stolarka była jedyną pozostałością wiszącego tam kiedyś ogromnego dekoracyjnego lustra. Odwróciwszy się teraz, zauważyła nowe lustro, ale w tej samej drewnianej ramie. Podczas tej wizyty w 1983 roku, Kellen wyjął z marynarki szwajcarski szczyrzyk i wyciął w filigranie ich inicjały oraz datę. Julia, wraz z nieodstępującym ją na krok Cameronem, przeszła przez pokój. Spojrzała w lustro i zamiast odbicia prześladowanej przez zniecierpliwionego miliardera kobiety w średnim wieku zobaczyła podenerwowaną dwudziestoparolatkę w ciąży, czującą, że własne życie wymyka się jej spod kontroli, przejmowanej przez kogoś innego. Uśmiechnęła się, ale to odbicie młodszej Julii wyglądało na bliskie łez.

„Przestań” - powiedziała bezgłośnie.

„Nie potrafię” - odparła sobie również bezgłośnie.

Z rozpalonymi policzkami Julia przesunęła palcami po drewnianej ramie, starannie omijając to miejsce. Pamiętała jak Kellen wrył KZ & JV i rok, 1983. Potem próbował, bez skutku, przyciągnąć ją i uwięzić w pocałunku, zdecydowanie bardziej namiętym niż to niewinne cmoknięcie w restauracji. W tym momencie Julia odczuwała zarówno dumę, jak i żal, oba te uczucia wywołane tą nową umiejętnością odmawiania mu. Kiedy teraz przyjrzała się bliżej, zauważyła, że podobnie jak na lustrze Comynsa, również i tu litery zostały zatarte, ukryte, a rysy trwale już zachowane pod lakierem.

- Znalazłaś coś? - zapytał Cameron.

- Jeszcze nic.

To nie przez przypadek, ale dzięki własnej inteligencji dotarł na szczyty w swojej dziedzinie. Pokazał na rysy.

- Co to jest?

- Nie wiem.

- Tu jest napisane 83, a potem widać jakieś znaki. - Zbliżył się. - Nie potrafię ich odcyfrować.

- Wydaje mi się, że one nic nie znaczą.

- Dlaczego Kellen miałby coś takiego tu wryć? To musi coś znaczyć.

- A czemu sądzisz, że Kellen to zrobił?

Odeszła od lustra i zbliżyła się do wychodzącego na podwórze za domem okna, przy

którym Amaretta kazała jej całymi godzinami siedzieć na krześle z kutego żelaza i ćwiczyć właściwe zachowanie przy stole. Również tu bacznie przyjrzała się listwom i odbiciom.

- Nic - powiedziała.

- Zastanów się - zasugerował.

- Próbowałam się zastanawiać. Nic innego nie robić.

Ruszyła do kuchni, po drodze głaszcząc Jeannie po ramieniu. Tu wszystko było nowe, ale i tak otworzyła na chybił trafił kilka szafek. W jadalni zachował się stary gzyms, więc udała, że mu się przygląda. Sprawdziła stolarkę w obu sypialniach.

Pokręciła głową.

- A co z tymi wszystkimi lustrami, które próbował ci przesłać? - Najwyraźniej Starszy Członek Zarządu dokładnie odrobił zadanie domowe. - Przecież one muszą coś znaczyć!

Julia pokręciła głową.

- Sądziłam, że mają doprowadzić mnie tutaj. Ale nie widzę tu niczego, co bym... umiała rozpoznać. - Smutne wzruszenie ramion. - Może ja go źle zrozumiałam. A może ty.

- Chyba nie chcesz powiedzieć...

- Nic tu nie ma. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - To koniec, Cameronie. Ja nie potrafię tego znaleźć. Ty nie potrafisz tego znaleźć. Jeśli rzeczywiście coś można znaleźć, musi być schowane gdzie indziej. Ja już skończyłam.

- Skończyłaś?

- Skończyłam poszukiwania. Mam już dość. Muszę zająć się rodziną...

- Nie możesz teraz przestać!

- Mogę i tak zrobić. Ja nie mam już do tego sił. Cameronie, Kellen nie był dobrym człowiekiem. Jeśli chcesz, szukaj sobie dalej. Ale ja już z tym skończyłam.

- Dobrze. Dobrze. - Jego wściekłość była tak wielka, że ledwo ją słyszał. Jeśli Julia nie mogła mu pomóc ani przeszkodzić mu, nie miała dla niego żadnego znaczenia. Wciąż jeszcze był wzburzony, kiedy ona, zabrawszy Kimmer i dzieci, wyszła przed dom, gdzie czarny sługus ostatnie pół godziny spędził na pilnowaniu samochodu. Znalazła to, po co tu przysłała.

VI

- Czyli to był wielki Cameron Knowland - wyszeptała Kimmer, kiedy Julia zablokowała drzwi samochodu. Na ulicy panowały już ciemności, ale jednocześnie odświeżająca cisza. - Dlaczego chciał spotkać się z tobą w Harlemie? Bo to chyba nie była jakaś schadzka, co?

- To długa historia.

- Zważywszy na sobotnie korki, mamy przed sobą wiele godzin.

- Może kiedy indziej. - Gryzmołała jak szalona, rysując powykrzywiane linie, które zapamiętała z tych wyrzeźbionych w boazerii przez Kellena obok liczby 83. Zawijasy były bardzo wymyślne, ozdobione szeryfami i zakrętami, utrudniając odczytanie ich wspak. Ale Julia, mając z sobą lusterko, nie miała z tym żadnych trudności. Obecnie odczytany wspak wyrzeźbiony napis mówił BCP. A ponieważ Kellen nie tknął cyfr, doszła do wniosku, że nadal oznaczały to samo, czyli napis brzmiał BCP 83.

Nie miała pewności, gdzie Kellen chciał ją posłać, żeby prowadziła dalsze poszukiwania, ale tym razem miała przynajmniej jakąś hipotezę.

- Mamusiu - odezwała się Jeans, ciągnąc ją z tyłu za rękaw.

- Nie martw się, skarbie. Już jedziemy do domu. Możesz przespać całą drogę.

- Nie, mamusiu, nie o to chodzi. Popatrz tam. Popatrz.

Spojrzała w stronę wskazywaną przez córkę, na niewielki skwer po drugiej stronie ulicy. Kimmer już zdążyła zająć się swoim telefonem.

- I co tam mam zobaczyć? - zapytała swoją najmłodszą córkę.

- On tam był, mamusiu! - Jeannie była jednocześnie podekscytowana i zaniepokojona.

- Był tam! Już go nie ma, ale tam był!

- Kto taki?

- Jeremy! - Aż kopała w oparcie fotela kierowcy, żeby uzmysłowić jej głupotę tego pytania. - Pan Flew! Siedział tam na ławce!

Julia roześmiała się nerwowo, zdając sobie sprawę z baczego wzroku Kimmer.

- Kochanie, przecież on teraz pracuje w naszym domu w Elm Harbor. Musiało ci się zdawać.

„Przynajmniej mam taką nadzieję” - pomyślała, ale nic już nie powiedziała. Może Jeannie zauważyła Jeremy’ego, a może nie. Julia, oczywiście, podejrzewała od pewnego czasu, że ktoś ją śledzi, i to nie tylko dlatego, że tak jej powiedziała Mary Mallard. Czuła na sobie baczne spojrzenia osób zupełnie jej obcych, paliły ją jak gorący oddech na karku. Być może niektórzy z nich pracowali dla Camerona Knowlanda. A jeśli zamierzała dokończyć swoje zadanie, nie mogła sobie pozwolić na wyśledzenie. Kierując się z Sugar Hill na Madison Avenue i na most przez East River do Bronksu, a potem dalej do Nowej Anglii, Julia wpadła na nowy pomysł. Od pewnego czasu nie mogła wręcz opędzić się od nowych pomysłów, od momentu, który Mary określiła jej wyzwoleniem, a Lemaster nazywał czymś dziwnym, co się z nią dzieje, niemniej jednak niektóre z tych pomysłów były naprawdę niezłe. Tym razem zainspirowały ją nieustanne pogaduszki Kimmer. Telefony komórkowe.

Chodziło o telefony komórkowe. Zgodnie ze słowami Bruce'a Vallely, telefon komórkowy Kellena zniknął z policyjnego depozytu. Tony Tice, podobnie jak Kimmer, chyba nie potrafił obyć się bez swojego aparatu. Julia powróciła myślami do tej nocy, kiedy spała u nich Janine Goldsmith, jeszcze zanim Vanessa dostała, jak to sama określiła, szlaban na Smith. Julia przyłapała dwie nastolatki, kiedy bawiły się urządzeniem służącym do klonowania numerów telefonicznych, skonstruowanym według planów znalezionych w Internecie.

Telefony komórkowe. No jasne.

Zastanawiała się, czy Smith próbowała kiedyś skonstruować... Hmm.

Rozdział 48

W grupie bezpieczniejszej

I

W niedzielny wieczór odbywało się kolejne zebranie komitetu Biedronek i tym razem nikt nawet nie próbował udawać braku zainteresowania tym, co słyhać w rodzinie Julii, a zwłaszcza u Vanessy. Siostrzane Damy wręcz oblepiły Julię swoim roztrzepanym zainteresowaniem. W końcu dopiero sporo po dziesiątej Julia skierowała swój samochód w stronę domu. Wyczerpana ich kotłującą się troską, chciała już tylko rzucić się do łóżka.

Jechała przez miasteczko. Rzadko korzystała z drogi ekspresowej, zwłaszcza w nocy, preferując zacisze ulic miasta. Ale te były opustoszałe. Sporadyczne płatki śniegu prześlizgiwały się przez snopy światła jej reflektorów, jakby zakłopotane faktem, że jest ich tak mało. W nocy powrócą, z dumą, w towarzystwie trylionów kumpli. W grupie bezpieczniejszej - ta sama teoria, która nadal umacniała Biedronki i Empireum, i z tuzin innych grup, do których aspirowali czarnoskórzy Amerykanie z klasy średniej. W przeszłości, kiedy większość odnoszących sukcesy zawodowe przedstawicieli ciemniejszej nacji wciąż jeszcze była wykluczana z towarzyskiego życia białych, takie męskie i żeńskie stowarzyszenia czy kluby służyły wypełnieniu potrzeby kontaktowania się z ludźmi o podobnym wykształceniu i osiągnięciach. Nawet obecnie, po usunięciu już większości formalnych barier, czarnoskórzy Amerykanie na wyżynach zawodowych zdawali się odczuwać potrzebę odrzucania od czasu do czasu publicznej maski, która przyniosła sukces w szerszym, bielszym świecie - i ucieczki przed drobnymi szeptami i zniewagami, których istnienia potajemnie się obawiali - a spędzania czasu z odnoszącymi sukcesy przedstawicielami własnej nacji.

W grupie i tak bezpieczniejszej.

A Julia Carlyle, dorastająca w Hanoverze w otoczeniu białych dzieci, która przez większość życia miała białych znajomych i która obecnie mieszkała w Tyler's Landing, w samym sercu bieli, czuła te same potrzeby.

Zatrzymała się, żeby zatankować samochód jak zwykle na stacji Exxon przy drodze numer 48 w Langford - kochała swój samochód, ale on co dwa dni domagał się pełnego baku

paliwa - i po wybraniu ustawień dystrybutora weszła do środka na filiżankę wstrętnej kawy. Kiedy znalazła się przy swoim samochodzie i, lekceważąc ostrzegawczy znak, wyjęła telefon, z zaparkowanego w pobliżu sedana, który zajechał na stację kilka sekund po niej, wysiadł chudy mężczyzna w wiatrówce i zapytał, czy mógłby zamienić z nią kilka słów.

- Spiesz się - odparła Julia, głosem swojej matki, ponieważ doszła do wniosku, że chodzi o pieniądze, chociaż zagadujący ją mężczyzna nie wyglądał wcale na nędzarza. Natychmiast przestała tankować paliwo i odłożyła wąż z dystrybutora. Nie czekała na paragon. - Przepraszam - powiedziała, sięgając do drzwi.

- Pani Carlyle, zajmę pani tylko chwilę.

Na moment sparaliżowało ją zdumienie wywołane dźwiękiem własnego nazwiska, a ten jeden moment wystarczył nieznanemu. Położył rękę na jej ramieniu, ale Julia wyrwała się mu.

- Proszę mnie nie dotykać. - Nagle zauważyła, że mężczyzna wybrał taki moment, kiedy na stacji nie było żadnych innych samochodów. Gęsta czupryna na jego głowie była w jakimś nieokreślonym brązowym kolorze. W jednym uchu miał diamentowy kolczyk. - Kim pan jest?

- Chciałem tylko zadać kilka pytań.

- Nie udzielę żadnych odpowiedzi.

- Obawiam się, że będę zmuszony nalegać.

- Proszę mnie zostawić w spokoju - warknęła i szybkim ruchem otworzyła drzwi. Mężczyzna ponownie chwycił ją za ramię, tym razem mocniej. Zaszokowana, próbowała walczyć, ale trzymał ją w stalowym uścisku. Starał się odciągnąć ją od samochodu. Chlusnęła mu kawą w twarz i zamachnęła się, chcąc uderzyć go na odlew, ale mężczyzna był już na kolanach. Powodem tej zmiany pozycji nie była parząca kawa, tylko założony mu przez Bruce'a Vallely'ego nelson.

Bruce zrobił krok w tył i mężczyzna podniósł się z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, nic nie mówiąc.

- Skąd się tu wziąłeś? - zapytała Julia, zaskoczona i przerażona. W grupie bezpieczniej, bez dwóch zdań. Drżąc na całym ciele, podjęła decyzję, może trochę bezsensowną, że już nigdy w życiu nie zatrzyma się, żeby zatankować samochód.

- Sądziłem, że trzymasz się z daleka od reporterów - powiedział Bruce.

- Reporterów?

Bruce skinął głową. Na jego bujnych włosach osiadł leciutki śnieg. Jedną rękę trzymał na ramieniu nieznanego. Druga była gdzieś schowana.

- Ten dżentelmen jest reporterem. Powiedz pani Carlyle, że jesteś reporterem.

- Jestem reporterem - potwierdził nieznajomy bezbarwnym głosem. W normalnych warunkach Julia zauważyłaby, że coś tu nie gra. Ale adrenalina wypacza ocenę. A poza tym miała już dość dziennikarzy jako takich i ostatnio nawet nie odpowiadała na telefony Tessy.

- My sobie z tym dżentelmenem teraz porozmawiamy. - Bruce wskazał gestem na samochód mężczyzny i szatyn ruszył w tamtą stronę. - Dowiem się, dla kogo on pracuje, i dopilnuję, żeby już cię nie kłopotał.

- Zaczekaj - odezwała się Julia. - Co ty tu robisz?

- Kupuję paliwo.

- Ale...

- Przepraszam, ale musimy już iść.

Kiedy dwóch mężczyzn odjechało już samochodem nieznajomego, Julia w końcu zauważyła mustanga Bruce'a, stojącego po drugiej stronie ulicy na parkingu zamkniętej od dawna kwiaciarni.

II

Powróciwszy bezpiecznie do domu i uspokoiwszy się dwiema lampkami przyjemnego rieslinga Monterey, Julia postanowiła działać pod wpływem tego impulsu, który pobudził ją w Harlemie, kiedy zauważyła, że Kimmer nawet na chwilę nie potrafi odłożyć telefonu. Również Tony Tice, kolega Kimmer po fachu, nie potrafił żyć bez komórki. Julia gotowa już była zapisać morderstwo Giny na konto Malcoma Whisteda, ale powstrzymała ją determinacja Camerona Knowlanda. Będzie musiała porozmawiać z Mary, która powiedziała, że też znalazła jakąś zaskakującą informację. Obie kobiety miały spotkać się za kilka dni. Tymczasem Julia zauważyła Vanessę siedzącą w kuchni przed lśniącem czarnym komputerem, obok którego czekało nadgryzione jabłko i szklanka mleka, z nosem w wypożyczonym ze szkolnej biblioteki tomikiem poezji Emily Dickinson.

- Gina miała rację - odezwała się dziewczyna, nie podnosząc głowy.

- Gina?

- Zawsze uważałam, że Dickinson jest przeceniana, ale to nieprawda. Jest genialna. - Przewróciła stronę. - Albo była. Nigdy poezja specjalnie mnie nie brała, ale posłuchaj tego.

- Kochanie...

- Posłuchaj. - Znalazła poszukiwany fragment.

*Uniesienie - to wyprawa
Duszy śródlądowej w stronę
Morza - poza domy - cyple -
Gdzie Wieczności głębie słone*⁷

Vanessa przesunęła palcem po wierszach, jakby zapamiętując je dotykiem, a po chwili wsunęła płócienną zakładkę do tomiku i go zamknęła.

- Umieszczę to na swoim blogu - powiedziała i odwróciwszy się na kuchennym taborecie, zaczęła wymachiwać książką, jak straszący ogniem piekielnym kaznodzieja dzierzący swoją Biblię. - Ta kobieta rozumiała śmierć.

Julia szukała odpowiednich słów.

- Tak się cieszę, że znalazłaś...

- Bohaterkę - dokończyła jej córka. - Nie martw się, mam, nie zamierzam zbyt szybko połączyć się z jej duszą.

- Och, ach, no, dobrze.

Przez kilka minut Julia zajmowała się pracą przy zlewie, szorując to, co wymagało szorowania, i płuczac to, co trzeba było wypłukać. Wciąż jeszcze wspólnie spędzały te późne godziny. Lemaster i Jeans drzemali na górze, a pan Flew w suterenie. Vanessa, prawdopodobnie wyczuwając, że matka ma do niej jakąś sprawę, została przy blacie, czytając i cmokając. Julia czekała, aż w końcu nie mogła już wytrzymać.

- Kochanie? - Odezwała się swobodnie, prawie beztrosko, ledwo unosząc wzrok znad wycieranych blatów. - Pamiętasz tę elektroniczną zabawkę, którą bawiłyście się z Janine w zeszłym miesiącu? Tym, no, tym urządzeniem do klonowania numerów telefonów?

Na gładkie policzki Vanessy wystąpiły kolory. Gotowa była rzeczywiście się zdenerwować.

- Kazałaś nam przestać, więc przestałyśmy, jasne? I wcale się nie bawiłyśmy. To nie była zabawka.

- Nie, nie, ja rozumiem. Ja rozumiem. - Uniosła ręce na znak pokoju. Kochanie, ja nie chcę cię krytykować. Chciałam cię zapytać o pewne, no, inne urządzenie, które Janine z pewnością ma gdzieś pod ręką.

- Smith.

⁷ E. Dickinson, *Uniesienie - to wyprawa*, tyt. oryg. *Exultation is the going...*, przeł. S. Barańczak, cyt. za: E. Dickinson, *Wiersze wybrane*, Kraków 2000, s. 27.

- Racja. Smith. Dopóki nie skończy się przemoc.

- Nie, teraz mówisz o ślubie milczenia. Jej imię jest protestem przeciwko konsumpcjonizmowi i reżimowi.

- Och, zgadza się. Racja. Przepraszam. - Odłożyła szmatkę, oparła się o blat i wyjaśniła córce, o co jej chodzi.

Vanessa kilkakrotnie pokręciła głową, aż w końcu odezwała się:

- Te rzeczy są nielegalne. Może w niektórych miejscach. W większości miejsc. I prawdę mówiąc, ten stan jest jednym z takich miejsc. A w zasadzie, cały ten kraj.

- Czy ona ma coś takiego? Chcę tylko tyle wiedzieć.

- Dlaczego? - odparła wyzywająco. - Co zamierzasz zrobić, jeśli ona taktycznie to ma?

- Chciałabym to pożyczyć. Ale nie chcę, żeby ona o tym wiedziała.

Brew Vanessy zmarszczyła się w zamyśleniu.

- Po co ci to?

- Sprzedam to do Hollywood. Będę temu oddawać cześć w wolnym czasie. Postawię na kominku. Jakie ma znaczenie, po co mi to?

- Tylko pytam, - odrzekła ostrym tonem, a potem nadała się. - Nie musisz zaraz skakać mi do oczu.

Julia złagodniała.

- Przepraszam, kochanie. Powiedzmy, że to ma być mój as w rękawie.

Córka przemyślała to.

- Jak?

- Co, jak?

- Jak chcesz to pożyczyć, żeby Smith o tym nie wiedziała?

- Och, to akurat jest łatwe. Ty pożyczysz to od Smith, a ja pożyczę to od ciebie.

Vanessa natychmiast pokręciła głową.

- Nie mogę tego pożyczyć. Mam szlaban na Smith. Nie mogę się z nią widywać, nie mogę z nią rozmawiać. Nie mogę kontaktować się z nią za pomocą komunikatora internetowego, e-maili czy SMS-ów ani w żaden inny sposób. Nie wolno mi nawet siedzieć przy niej w stołówce. A zatem nie mogę tego pożyczyć.

Julia wsparła się pod boki.

- Vanesso Amaretto Carlyle, znam cię od tej nocy, kiedy wyszłaś z mojego łona, piszcząc i walcząc nieustannie. Jesteś Veazie, od swoich pięknych warkoczyków po swoje piękne brązowe palce u stóp. Zawsze robisz to, co chcesz. Nie uwierzę, że przestrzegasz wszystkich tych zasad tylko dlatego, że tak ci powiedzieliśmy, i wcale by mnie to nie

zdziwiło, gdybym się dowiedziała, że wcale ich nie przestrzegasz. - Uniosła dłoń, aby uprzedzić krzyk sprzeciwu. - Nie, wysłuchaj mnie. Nic mnie nie obchodzi, czy wcześniej złamałaś zasady, czy nie. Teraz dostajesz dyspensę. Zachowaj dyskrecję. Niech nikt się nie dowie, co zamierzasz. Ale pożycz to od Smith i przekaz mi to.

Vanessa stała z otwartymi ustami.

- I pewnie nie chcesz, żebym o tym powiedziała tacie, co?

- Ja się zajmę twoim tatą.

- Tak. Z pewnością.

- A to co ma znaczyć?

Nieoczekiwany uśmiech, jak odwilż w zimie.

- To znaczy, że podoba mi się ta nowa matka. Bardzo ją lubię.

Julia uśmiechnęła się.

- Wiesz co, kochanie? Ja też ją lubię.

III

Przynajmniej częściowo zbiegowi okoliczności należało przypisać to, że Bruce Valley natknął się tego wieczoru na Julię zaczepianą przez nieznanego. Nie śledził jej co wieczór. Był sam jeden, musiał zajmować się całym swoim wydziałem i każda minuta, którą udało mu się skraść na rzecz sprawy Zanta, była tą samą minutą, której nie mógł poświęcić na bardziej pożyteczne zajęcia. Obserwacja zajmowała najwięcej tego cennego czasu, dlatego też tak rzadko się w nią angażował. Ale z drugiej strony martwiło go ostrzeżenie Tice'a, że jego klienci mogą przejść do działania. A ten prawnik nie mylił się. Oni nie będą tracić czasu na zajmowanie się Bruce'em. Jeśli już zaczną kogoś szukać, będzie to osoba, która naprawdę może dostarczyć im informacji.

Na przykład Julia Carlyle, którą Tice uważał za Czarną Damę Zanta.

Jechał za Julią aż na jej spotkanie w domu Tonyi Montez, następnie spotkał się ze znajomymi na kolacji, a potem zdążył wrócić na czas, zanim ona wyszła. Postanowił pojechać za nią, by sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi - a zwłaszcza, czy nie dostrzeże gdzieś Jeremy'ego Flew - ale okazało się, że natrafił na tego nieznanego.

Bruce obserwował i czekał, aż w końcu zainterweniował, widząc, że mężczyźna chwytają za ramię.

Nieznanomy przestał stawiać opór, kiedy poczuł na swoich plecach broń Bruce'a, ale nie mógł wiedzieć, że przepisy uniwersyteckie zabraniają funkcjonariuszom policji

uniwersyteckiej, łącznie z jej kierownikiem, nosić broń w cywilu ani tego, że to, co poczuł na plecach, jest tylko drewnianą rurką. Zaparkowali samochód na miejskim parkingu, ukryci za żółtymi szkolnymi autobusami. Przesłuchanie nie należało do przyjemnych. Po znalezieniu broni za pasem nieznajomego, Bruce mógł przekazać tego człowieka policji, ale znalazł coś jeszcze - strzykawkę i plastikowe kajdanki. Bruce nie spieszył się z decyzją. To nie był jakiś zbir, wysłany, żeby zastraszyć Julię Carlyle. To był człowiek, który zamierzał zabrać ją z sobą.

Najwyraźniej klienci Tony'ego Tice'a przeszli do działania. Stawka gry zmieniła się, a Bruce musiał teraz postarać się przywrócić ją do dawnych warunków, i to szybko.

Po przesłuchaniu mężczyzny Bruce zawiózł go do uniwersyteckiego szpitala i wymachując swoimi dokumentami, opowiedział jakąś historyjkę, zdając sobie sprawę, że nieznajomy nie zaprzeczy jego słowom. Wróciwszy do mustanga, zadzwonił do prawnika i powiedział mu, że zgadza się na układ. Jeśli Bruce Vallely odnajdzie nadwyżkę Kellena Zanta, przekaże ją klientom Tony'ego.

Rozdział 49

Ponownie lustro Comynsa

I

Mary Mallard przysłała i wysłała, zgodnie z obietnicą przynosząc zdumiewające informacje. Według jej źródeł, prezydent Stanów Zjednoczonych i senator Malcolm Whisted odbyli ostatnio przynajmniej dwa, a może trzy, nieformalne spotkania. Wkrótce mają zostać opublikowane przecieki z tych spotkań, powiedziała Mary, informujące o tym, że rozmawiali o polityce zagranicznej, ponieważ każdy z nich chciał wypaść jak na bezstronnego prezydenta przystało. Ale źródła Mary podały, że spotkania odbyły się bez współpracowników i że były długie.

W odpowiedzi Julia opowiedziała jej o spotkaniu z Cameronem Knowlandem w Nowym Jorku. Ale tylko dla siebie zachowała, co tam znalazła. Nic też nie powiedziała Mary o lustrze Comynsa.

Po wyjściu Mary Julia zajrzała w kalendarz rodzinny. Jedno z tych spotkań miało miejsce, kiedy Lemaster był w Waszyngtonie. Ale gdy zapytała go o to, powtórzył tylko powiedzenie Baya Dennisona, że plotka wcale nie staje się bardziej wiarygodna, kiedy plotkarz nie podaje swojego nazwiska.

- To nie zabrzmiało jak zaprzeczenie - powiedziała Julia.

- Wydaje mi się, że nikt mi niczego nie zarzucał - odparł spokojnie. Tymczasem szukała BCP 83. Kellen obiecał przywrócić ją jej Bogu, i Julia sądziła, że BCP oznacza Book of Common Prayer, Modlitewnik Powszechny. Ale kiedy sprawdziła wszystkie egzemplarze w domu - zarówno wersję z 1928 roku, ulubioną przez Lemastera, oraz bardziej współczesne teksty używane przez przeważającą większość kościołów episkopalnych - ani ze strony 83, ani też z jakiegokolwiek innej nie wypadły żadne informacje, kartki ani zdjęcia. Całe popołudnie spędziła w bibliotece Keplera, przeglądając wszystkie wydania tej książki, jakie tylko udało się jej znaleźć, we wszystkich dostępnych językach, ale wyszła stamtąd rozczarowana. Doszło nawet do tego, że zaczęła wymyślać wymówki, żeby odwiedzić biura kolegów na wydziale teologicznym, u których na półce mógł stać egzemplarz tej książki.

Potem stała, rozmawiając z Suzanne de Broglie lub Clayem Maxwellem o spotkaniach wykładowców lub aktualnym stanie urządzeń technicznych, i jakby od niechcienia, sięgała po stojący w pobliżu Modlitewnik Powszechny.

Ale bez powodzenia.

Pewnego popołudnia wcześniej przyszła na spotkanie z Claire Alvarez, którą zatrzymano na jakiejś imprezie na kampusie. Asystentka zaprosiła Julię, żeby zaczekała w gabinecie pani dziekan. Kiedy kilka minut później Claire weszła do swojego pokoju, jej zastępczyni stała na drabinie na kółkach i z wysokiej półki w szklanej szafce ściągała wiekowy egzemplarz Modlitewnika, w którym, zgodnie z długą tradycją, każdy z dziekanów dodawał nową dedykację, przed przekazaniem go następnemu. Claire Alvarez nie wyraziła zaskoczenia. Uśmiechnęła się błogo, ponieważ tylko w ten sposób okazywała niezadowolenie, i stwierdziwszy, że ona sama również czerpie inspirację, od czasu do czasu czytając, co inni tam napisali, delikatnie wyjęła tom z palców Julii.

Ale Julia na tyle długo trzymała tę książkę, żeby stwierdzić, że nic nie wciśnięto do środka.

Po zakończeniu spotkania pani dziekan położyła rękę na ramieniu Julii i głosem ociekającym słodyczą i sympatią powiedziała, że podobno dziekan do spraw studentów ostatnio opuściła kilka dni w pracy. Oczywiście nie chodzi o to, żeby ktoś sprawdzał obecność, ale czy u niej w domu wszystko w porządku? Naprawdę? I z Vanessą też? Tak? To cudownie, wprost cudownie. A tak przy okazji, gdyby przez przypadek nadarzyła się sposobność, chyba nie przeszkadzałoby to Julii, prawda - oczywiście, jeśli tylko coś takiego wypłynęłoby podczas rozmowy - ale może wspomniałaby swojemu mężowi, że wydział teologiczny wciąż ma nadzieję na przychylne rozpatrzenie wniosku o przyznanie dodatkowych środków na pomoc w remoncie dachu kaplicy.

Jeszcze tego samego wieczoru Julia pojechała do kościoła Świętego Macieja, ponieważ świątynia była otwarta do późna w związku z cotygodniowymi spotkaniami modlitewnymi, i chociaż głupio się przy tym czuła, ponad godzinę spędziła na porządkowaniu modlitewników w ławkach

- „nie, proszę, nie potrzebuję pomocy, poradzę sobie, dziękuję!” - ale wciąż bez rezultatu.

Innego dnia, w Keplerze, po wydziałowym lunchu odciągnęła Suzanne de Broglie na bok, ponieważ Suzanne spędzała w archiwum więcej czasu niż ktokolwiek inny z wykładowców. Suzanne, która w towarzystwie zawsze robiła się niecierpliwa, ucięła jej, zanim jeszcze Julia zdążyła dokończyć pytanie. Najniższa kondygnacja podziemi,

powiedziała. To był poziom najrzadziej używanych zbiorów. Najniższa kondygnacja podziemi.

Kiedy nadszedł piątkowy wieczór, Julia, wciąż podniecona, usiadła do fortepianu, ponieważ granie stanowiło jedną z form jej relaksu. Jeannie spała u znajomych, a Lemaster znowu wyjechał, więc w domu była tylko Julia i Vanessa. Vanessa zamknęła drzwi do swojego pokoju i można było podejrzewać, że założyła słuchawki na uszy. Nie należało jej przeszkadzać. Julia wykonała więc kilka palcówek i zaczęła grać. Tym razem nie były to utwory klasyczne, ale ulubione kawałki z Broadwayu. Zagrała składankę z musicalu *Król i Ja*, a potem kolejną z *Dźwięków muzyki*, raz na jakiś czas przerywając, ponieważ instrument najwyraźniej domagał się strojenia. Przypomniała sobie Tonyę Montez siedzącą przy klawiaturze i zastanowiła się, czy ta najważniejsza Siostrzana Dama mogła coś uszkodzić, zatrzasnąwszy pokrywę. Zirykowała się. Fortepian wart był fortunę. Grywał na nim, i to często, sam Duke Ellington. A Tonya potraktowała go jak...

Zaraz.

Czy to możliwe?

Julia poszła na piętro do małżeńskiej sypialni, otworzyła szufladę swojej toaletki i wyjęła lusterko babci Vee, zwrócone jej przez Setha Zanta po tym, jak Kellen więził je przez dwadzieścia lat. Włączyła światła w garderobie, uniosła do góry lusterko Williama Comynsa i przyjrzała się temu, co znajdowało się z tyłu. Tak, dokładnie tak, jak wcześniej myślała. Znak W•C był zatarty, a w jego miejsce znalazły się odwrotnie zapisane litery, które, po przekształceniu układały się w napis E•K.

Lustro babci Vee. E•K.

Imiona Duke'a Ellingtona, jak wiedzieli fani jazzu i wszyscy członkowie ciemniejszej nacji w pewnym wieku, brzmiały Edward Kennedy.

Edward Kennedy Ellington.

Powróciwszy na dół do salonu, przyjrzała się fortepianowi. Nawet nie zastanawiała się, jak Kellen mógłby dostać się do domu i coś tu schować. Wystarczyła jej wiedza, że tak zrobił. To właśnie dlatego przyjechał do jej domu w noc swojej śmierci. Chciał zabrać to, co wcześniej tu zostawił, ale zobaczył samochód opiekunki, wpadł w panikę, zawrócił i wracając na drogę, przewrócił latarnie.

Julia zaczęła poszukiwania. Zajrzała do taboretu przy fortepianie, ale były tam tylko nuty. Zajrzała pod spód. Zajrzała do wnętrza fortepianu. Pod fortepian. W każdą szczelinę. I nic nie zobaczyła. Ani wydrapanej wiadomości, ani kartki papieru, ani zdjęcia.

Zupełnie nic.

Podniosła się, rozczarowana i spocona. No dobra, pomyliła się. Załóżmy, że dobrze odgadła znaczenie liter E•K, ale pomyliła się co do fortepianu. Czy Kellenowi mogło chodzić o rezydencję miejską Amarettę w Harlemie, tam gdzie kiedyś ten fortepian stał? Ale przecież właśnie tam była...

Usłyszała za sobą odgłos kroków.

- Zatańcz ze mną - powiedziała Vanessa, głosem delikatnym i pieszczotliwym. - Tak jak w zeszłym miesiącu. Spodobało mi się to.

- Już późno, kochanie. Wydaje mi się...

- Tylko przez chwilę, dobrze? Proszę.

Czy mogła odmówić? Zatańczyły więc, w pokoju dziennym, lekko, do dźwięków smooth jazzu. Może nawet trochę popłakały, ale żadna z nich nie chciała na ten temat rozmawiać. Było już dobrze po pierwszej, kiedy Julia na palcach poszła do swojej sypialni. Skorzystała z toalety, odwiesiła szlafrok i znalazła na poduszce długą, białą kopertę. Przypomniał się jej ten dawny zwyczaj córki pozostawiania dookoła skrawków papierów, żeby powiedzieć mamusi, że ją kocha.

Ech, ta dziewczyna, pomyślała sobie Julia, uśmiechając się.

Ale w tym momencie dostrzegła zwisające z koperty kawałki taśmy i kawałki szelaku wiszące na taśmie.

- Czy tego szukałaś? - zapytała Vanessa, która znowu zakradła się od tyłu.

II

- Wszystko musisz znaleźć - powiedziała Julia głosem pełnym frustracji i podziwu. Jako dziecko Vanessa popsuła niejedną wigilię, radośnie oznajmiając, że znalazła miejsce, w którym mamusia i tatuś schowali prezenty. W końcu zaczęli chować je poza domem.

- Prawie wszystko - odparła Vanessa, wyraźnie z siebie zadowolona.

- Czy ty...

- Czy je czytałam? Uhm. To strony z dziennika jakiegoś faceta. - Wyjęła kopertę z rąk matki, ale tylko po to, żeby wyciągnąć plik papierów i wręczyć go jej. - Są tam wszystkie powody świadczące o tym, że nie mógł tego zrobić DeShaun. Na przykład to, że w samochodzie nie było odcisków palców Giny ani jej krwi, a także wniosek, że jeśli nawet ktoś widział ich rozmawiających, wcale nie musi to oznaczać, że ona w ogóle wsiadła do tego samochodu. Popatrz na ostatnią stronę. - Julia, szybko czytając, już znalazła to miejsce. - Widzisz, co on tu pisze? Chciał dalej prowadzić dochodzenie, ale mu nie pozwolono. Napisał,

że wraz ze swoim zastępcą poszli na to spotkanie, na którym otrzymali rozkaz przerwania poszukiwań.

Musiała na chwilę przerwać, żeby jej usta nadały się za umysłem. - Ale on nie napisał, kto był na tym spotkaniu. Nie wiem, czym ty się przejmujesz - ciągnęła Vanessa, ale jedna ręka wciąż jej drżała. - To był DeShaun. A wszyscy, którzy mówią, że było inaczej, kłamią. Jestem światowej klasy specjalistką...

- Kochanie, dlaczego tak się uparłaś?

- Nie uparłam się. Ja mam rację.

- Zdajesz sobie sprawę, że ja muszę to sprawdzić. Muszę mieć pewność.

Nagle jej głos ścichł.

- Wiem.

Julia po raz trzeci przeczytała kartki. Nie było tam nic nowego, oprócz jednego drobiazgu.

Julia spojrzała na córkę. Warkoczyki opadły jej na twarz, przez co głos zdawał się bezcielesny.

- Mamo? Dobrze się czujesz?

- To wszystko zmienia - stwierdziła Julia.

Rozdział 50

Dom zabawek

I

Frank Carrington mieszkał w pięknym, choć podniszczonym domu wiktoriańskim niedaleko Town Green - czyli tego miejsca, w którym zgodnie z oficjalną wersją wydarzeń biedny DeShaun Moton zabrał do samochodu Ginę Joule owego wieczoru, kiedy rzekomo ją zamordował. Julia stała przed wejściem do domu. Ze starych rynien zwisały sople lodu. Coś mówiło jej, że nie powinna tu przychodzić, a zwłaszcza nie powinna przyprawiać z sobą Vanessy, która jednak nie chciała czekać w samochodzie. Sama Julia czuła się jak nastoletnia oszustka. Odebrała córkę z domu Smith, gdzie Vanessa potajemnie poszła pożyczyć urządzenie, które w tej chwili leżało spokojnie w torebce matki. Nie mogła czekać ani dnia dłużej, ponieważ na sklepie Old Landing zawisł napis ZAMKNIĘTE, a Vera Brightwood powiedziała, że Frank wyjeżdża z miasteczka.

- Wpadłam zobaczyć się z Shirley - skłamała, zanim jeszcze Frank dobrze otworzył drzwi; dwa dni wcześniej pani Carrington poślizgnęła się na lodzie i upadając, poturbowała się, a to dało Julii potrzebną wymówkę. Co z jej kostką?

- Już lepiej. - Spojrzał nad jej ramieniem w stronę Vanessy, która kręciła się na chodniku. - Wysłałem ją do rodziny w Vermont. - Pochylił głowę. - Ja też pewnie tam pojadę.

- Dlaczego?

- Ostrzegałem cię, Julio. Powiedziałem, że o pewnych sprawach nie powinniśmy rozmawiać. Ale ty zmusiłaś mnie, żebym ci o nich powiedział i... no, są pewni ludzie, którzy nie są ze mnie zadowoleni. Powiedzmy to w ten sposób. - Dostrzegł jej spojrzenie. - Och, nie, nie martw się. Ty jesteś małżonką wielkiego Lemastera Carlyle. Nikt nie śmie cię tknąć. Ale mnie tknąć mogą wszyscy.

Julia zapytała, czy jednak ona i Vanessa mogłyby na chwilę wejść, na co on odparł, że nie ma już nic więcej do powiedzenia. Po chwili jednak i tak je wpuścił, jak zresztą Julia się spodziewała, ponieważ ona była jego najlepszą klientką, a on należał do ludzi, którymi łatwo dyrygować.

- Uważajcie na zabawki - ostrzegł, prowadząc je do niskiego pokoju na tyłach domu.

- Zabawki?

- Uhm.

Okazało się, że chodzi o zabawki wojskowe. Modele samolotów, czołgów, okrętów, malowanych żołnierzyków poustawianych w uporządkowanych i - jak Julia podejrzewała - idealnie prawidłowych szeregach. Nad tym wszystkim dominowały ekspozycje, mapy i bitewne dioramy, które leżały wszędzie dookoła, przedstawiany przez nie teren był żmudnie dopracowany, obejmował wzgórza, malutkie zielone drzewa, drogi i rzeki oraz karteczki z miejscami i datami, ustawione wzdłuż małych plastikowych markerów oznaczających armie i floty.

Julię, która kochała pokój, przeraził ten widok.

Chcąc jednak być uprzejmą, zapytała o to Franka, który wyraźnie się ożywił i zabrał je na wycieczkę po wielu bitwach, w których nigdy nie uczestniczył, ale najwyraźniej lepiej mógł je poprowadzić niż dowodzący w nich generałowie - Termopile, pierwsza bitwa pod Manassas, druga bitwa pod Manassas, Waterloo, bitwa o Ardeny i inne, o których ona zapomniała natychmiast po tym, jakie tylko wskazał - a Vanessa, co do której Julia żywiła nadzieję, że zrobi dobre wrażenie, stała jak mebel, spętana nieśmiałością. Frank przestawiał figurki na tablicach czułymi palcami.

- To naprawdę robi wrażenie - wyszeptała Julia.

A potem usiedli w trójkę w pokoju i popijali dietetyczną colę. Pośrodku pomieszczenia znajdował się jeszcze niedokończony, najambitniejszy projekt Franka, diorama zajmująca większą część podłogi. Po całym dywanie porozrzucone były farbki, kawałki kartek i plastikowe armie, a Julia wyobrażała sobie, jak biedna Shirley próbuje nakłonić go, żeby po sobie posprzątał.

- Czym więc mogę ci służyć? - zapytał w końcu. - Bo jak już ci powiedziałem, nie będę wracał do sprawy Giny Joule.

Vanessa poruszyła się na dźwięk tego imienia, ale zaraz ponownie zapadła w odrętwienie.

- Znalazłam część dziennika - odezwała się Julia.

- Naprawdę? Dziennika Arniego?

- Tak.

Skinął głową i prawie się uśmiechnął.

- Powinnaś więc pójść z tym na policję. Zanieść tam te papiery. Wydobyć prawdę na światło dzienne.

- Niestety, zbyt mało udało mi się znaleźć, żeby to zrobić. Ale już ta posiadana przeze mnie część pozwala postawić ciekawe pytanie. - Spojrzała na córkę, która zdawała się drzemać. - W zeszłym miesiącu powiedziałaś mi, że tego dnia, kiedy ogłosił zamknięcie dochodzenia, Arnold Huebner był na jakimś zebraniu. Tę decyzję podjął dopiero po zakończeniu tego zebrania. Pamiętasz?

- Pamiętam. - Ale w jego oczach znowu pojawił się wyraz udręczenia. Frank był jej najlepszym źródłem informacji, być może jedynym żyjącym, ale chyba czegoś się bał.

- W swoim dzienniku Arnold Huebner też tak pisze. Pisze o zebraniu. Ale nie pisze, z kim było to zebranie. - Skoro to go nie zachęciło, Julia mówiła dalej. - Ale ty wiesz, prawda? Ty wiesz, z kim on się wówczas spotkał.

- Z naszym pierwszym radnym. To żadna tajemnica.

- Kto jeszcze tam był? - Uparte milczenie. - W dzienniku Arnold Huebner pisze, że to „oni” kazali mu zaprzestać działań. Nie była to jedna osoba, ale przynajmniej dwie. Kto więc jeszcze? Odwagi, Frank. Czytałam to z dziesięć razy. I wiesz, co jeszcze ci powiem? Arnold Huebner nie napisał, że poszedł na zebranie. On napisał „poszliśmy”. A ty byłeś jego pierwszym zastępcą. Nie Ralphie Nacchio. Ty. I sądzę, że to ty byłeś na tym zebraniu, Frank. Myślę, że wiesz, kto polecił Arnoldowi Huebnerowi zamknąć tę sprawę. I myślę, że właśnie dlatego się boisz, ale z tego samego też powodu przez te wszystkie lata szukałeś tego dziennika. Podziwiałeś Arnolda Huebnera i widziałeś, jak oni go złamali. Ty chcesz, żeby zabójca Giny, kimkolwiek jest, stanął przed sądem. Ale nie chciałeś narażać swojej rodziny. Potrzebowałeś pośrednika. Potrzebowałeś mnie...

Vanessa nagle zakryła twarz i widząc ten znak, Julia zreflektowała się, że się zagalopowała, jeszcze zanim Frank Carrington wybuchnął.

- Nie masz prawa tak mówić! Nie masz prawa! - Zerwał się na nogi, a na jego uprzednio łagodnym obliczu wystąpiły plamy wściekłości i strachu. W dłoniach trzymał nożyczki z małymi ostrzami i długą rączką, służące mu do przycinania plastiku na zabawki. Zdawało się, że gotów jest kogoś nimi dźgnąć. Odłożył je jednak i wskazał na drzwi. - Wyjdź stąd. Natychmiast. Wyjdź, Julio. Nie żartuję.

- Ja nie chciałam...

- Powiedziałem ci, że nie będę o tym rozmawiać. Przez trzydzieści lat o tym nie rozmawiałem i nie mam zamiaru teraz zaczynać. Nie, Julio. Nie chcę słuchać twoich argumentów. Ty potrafisz człowieka przekonać. Nie otwieraj już ust i wyjdź. Po prostu wyjdź.

Chociaż Julia na przemian protestowała i przytyła się, Frank odprowadził gości do

drzwi, a jego wściekłość trzaskała w powietrzu jak błyskawica, której nie towarzyszy grzmot. Powiedział, że wyjeżdża do Norwich, najprawdopodobniej jutro, i już nigdy nie wróci do tego potwornego miasteczka. Milcząca Vanessa odwróciła głowę, jakby była obrażona albo jakby usłyszała dźwięki, które uszły ich uwagi.

Kiedy znaleźli się na schodach, nękani zimnym wiatrem, Frank uspokoił się z trudem. Wciąż był tak samo rozzłoszczony, ale opanował się.

- Przepraszam, Julio, że na ciebie krzyknąłem. Ale nie chcę już o tobie słyszeć.

- Rozumiem - odparła Julia, pokonana. - Przepraszam.

- Złe czasy nastały w Landing. To wszystko.

- Rozumiem - powtórzyła, ponieważ nic innego nie przyszło jej do głowy. Uważała Franka Carringtona za człowieka, którym łatwo manipulować, ale strach potrafi działać cuda.

Vanessa stała przy niej, zawstydzona niepowodzeniem ich misji i oczywistym zastraszaniem, do którego posunęła się jej matka. Dziewczyna nerwowo szukała możliwości odwrócenia tej porażki w zwycięstwo, jak to zawsze potrafili zrobić podziwiani przez nią generałowie. Nagle pojawiła się przy niej Gina, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, gwałtownie próbując przyciągnąć jej uwagę, a Vanessa, przez chwilę jeszcze z drżeniem opierając się - „Jeśli za długo będziesz wpatrywać się w te rzeczy, sama się przemienisz w coś takiego!” - odwróciła się, żeby jej wysłuchać. Gina wspięła się na palce i przez następne pół minuty szeptała jej coś do ucha, aż w końcu Vanessa skinęła głową.

- Panie Carrington? Czy mogłabym skorzystać z toalety?

Były policjant westchnął, jakby chciał powiedzieć, że zawsze tak się kończy, ale zaraz szerzej uchylił drzwi i wskazał w stronę korytarza.

- Drugie drzwi po lewej - powiedział.

Vanessa odwróciła się do matki.

- Zaraz wrócę.

- Poczekam tu, kochanie.

Martwiła się o nią. To było naturalne.

- Możesz już uruchomić samochód i włączyć ogrzewanie - powiedziała Vanessa.

- Wolę zaczekać.

- Nic jej nie będzie - odezwał się Frank, rozzłoszczony.

- Pan ma rację, mamó. Nic mi nie będzie. Obiecuję. Ale musisz poczekać w samochodzie. - Nachyliła się i pocałowała matkę w czoło. - Zaufaj mi - dodała łagodnie. - Proszę.

II

Vanessa pospieszyła do toalety - rzeczywiście musiała tam iść - i usłyszała zamykanie drzwi frontowych, a potem dudniący głos sprzedawcy antyków polecający jej, żeby dała znać, kiedy już skończy. Stanęła przed lustrem, poprawiając warkoczyki i słuchając dalszych rad Giny, jednocześnie zbierając się na odwagę. Jesteś tu, mówiła Gina. Dlaczego miałabyś tego nie znaleźć?

Wyszła z toalety.

- Panie Carrington? - zawołała.

Ze znajdującego się w pokoju dziennym studia doszedł ją ponownie głos, w którym trudno byłoby doszukiwać się serdeczności.

- Chyba znajdziesz drogę do drzwi.

- Chciałam pana jeszcze o coś zapytać.

- Przykro mi, ale nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Vanessa zeszła do pokoju, w którym sprzedawca antyków nakładał niebieską farbę na dioramę, powodując, że rzeka nabierała kształtów, zataczała łuk na kształt ostrza litery V, a druga rzeka, już pomalowana, odkłamała się w jej stronę, tymczasem Gina szeptała, że Vanessa sobie poradzi, poradzi sobie, tak, i słyszała Franka Carringtona, który chciał wiedzieć, co ona tu jeszcze robi, a ona patrzyła i patrzyła, i przeglądała całe setki map przechowywanych w zdumiewającej pamięci, której nikt nigdy nie darzył szacunkiem, ponieważ oni nie szanowali tego, co ona tam umieszczała, aż w końcu rozbłysło światło i niedoszła studentka szepnęła gdzieś z jej głębi: „Wołga”.

Frank ponownie zaczynał się złościć i już najeżył się, żeby ją wyrzucić, ale ona wciąż stała ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

- Na co tak się gapisz? - zapytał ostrym tonem.

Vanessa wskazała na dolny prawy róg dioramy.

- Ten teren nie jest dobrze zrobiony.

- Co powiedziałaś?

- Jest zbyt zielony. Nie powinno tam być drzew i trawy. To w większości była jałowa ziemia.

Jego oczy rozszerzyły się, wypełnione przestraczem i wściekłością.

- Panienko - gdyby nie była dziewczyną, pewnie powiedziałby „chłopcze”. - Przykro mi to mówić, ale gównu wiesz. Wybacz moją łacinę.

Podeszła bliżej, wciąż trzymając wyciągnięte palce.

- To są stepy kałmuckie, prawda? Na południe od Stalingradu.

- Tak sądzisz?

- To operacja Blau, lato tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, kiedy Niemcy jeszcze wygrywają. Ogromnie mi się to podobało.

- Przesunęła ręką nad makietą. - Czwarta armia pancerna najpierw zakręca na południe, a potem uderza ponownie na północ, a do obrony stepów nie było nikogo, z wyjątkiem jakichś marynarzy ściągniętych z Syberii czy skądś tam.

- Mieli czołgi. T-34.

- Tam byli tylko marynarze. Może jakaś piechota morska. Nie było czołgów.

- Barbarossa - poprawił, przyglądając się jej. - Nie Blau.

- Nie. W lecie to była już operacja Blau. Gdyby Hitler zdecydował się zająć tylko pola naftowe, a nie upierał się przy zajęciu miasta, mógł wygrać tę wojnę. Dzięki Bogu, że jako wojskowy był takim głupkiem.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

Vanessa pozwoliła sobie na uśmiech.

- Chyba lubię czytać.

- O wojnach?

- Tak.

- O słynnych bitwach? O tym wszystkim?

- Uhm.

Frank Carrington w zasadzie nie uśmiechał się - Vanessie wydawało się, że mięśnie jego twarzy nie robią takich rzeczy - ale chrząknął i wykrzywił twarz w grymasie, który mógł oznaczać rozkosz na widok dawno utraconego krewnego lub przerażenie, kiedy człowiek dowiaduje się o pozytywnym wyniku testów.

- Zabawne hobby, jak na dziewczynę.

Vanessa skinęła głową.

- W szkole wszyscy uważają mnie za wariatkę.

- To zabawne. W tym miasteczku też uważają mnie za wariata.

Szukała odpowiedniej odpowiedzi. Podsunęła ją Gina, wielbicielka Emily Dickinson.

- To jest nas dwoje - wyrecytowała Vanessa pod dyktando Giny. - Nic nie mów.

III

Siedząca na dworze w samochodzie Julia zaczęła się denerwować. Jak długo można korzystać

z toalety? Zastanawiała się, czy rozsądnie było zostawiać Vanessę samą. Nie mogła przestać o tym myśleć. Zazwyczaj tak zdecydowana, Julia teraz rozważała, czy powinna zadzwonić do drzwi. Słońce schowało się za niską zimową chmurę, zabierając z sobą jej pewność siebie. Drżała na całym ciele, więc podkręciła ogrzewanie, kierując nawiew na nogi, chociaż od otulającego ją ciepła robiła się senna. Nadszedł znajomy sen, ucieczka przez zimowy las, potworne stworzenie chwyciło ją zębami za pięty...

Stukanie w szybę, jak szarpanie szponów na zwłokach.

Julia podskoczyła przerażona i zaraz otrząsnęła się ze snu. Przy samochodzie, po stronie pasażera, stała Vanessa i przytupywała z zimna.

Dziwne, ale Julia nie pamiętała, żeby zamykała drzwi.

- Co ty robiłaś tam tyle czasu? Martwiłam się o ciebie.

- Rozmawialiśmy.

- O czym?

- O tym, po co tam poszliśmy.

- O tym zebraniu?

Vanessa skinęła głową.

- Ale najpierw o Stalingradzie.

Stopa Julii nacisnęła na hamulec, ale escalade wciąż jeszcze znajdował się na podjeździe.

- O czym?

- O Stalingradzie. Najgorszej bitwie drugiej wojny światowej, a może i w całej historii. Skończyła się zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku i najprawdopodobniej odmieniła losy tej wojny.

- Ach. - Chwila przerwy, podczas której obie czekały, aż ta druga się odezwie. - Ach, i do czego doszliście w sprawie... Stalingradu?

Długo musiała czekać na odpowiedź, która odbijała się echem, grobowym, odległym i zaprawionym tragedią, jakby Vanessa wygłaszała mowę na pogrzebie odbywającym się gdzieś bardzo daleko.

- Że tak naprawdę cenimy sobie życie tylko tych ludzi, których dobrze znamy. Wszyscy jesteśmy gotowi poświęcać życie innych.

Julia, dotknięta do żywego, dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że nie było to adresowane bezpośrednio do niej. Postanowiła puścić tę uwagę mimo uszu.

- Rozumiem - było jej jedyną odpowiedzią.

- Ty w to nie wierzysz, prawda? - Czyżby dostrzegła pogardliwy uśmiezek? Nie, to

tylko typowa sardoniczna niewinność, za pomocą której Vanessa oceniała świat wykraczający poza jej umysł i zdolności postrzegania. - Albo nie sądzisz, że wierzysz.

- Uważam, że każde życie jest cenne - odparła cicho, ale zdecydowanie Julia.

- Nawet nienarodzone?

O Boże! Pomocy! Vanessa nigdy nie zasięgała opinii matki na temat moralności, a Julia, sama niezbyt pewna własnych poglądów etycznych, wołała, żeby tak zostało.

- Ja, no wiesz, nie jestem do końca przekonana, że w takich przypadkach mówimy o prawdziwym życiu.

- Ksiądz Freed uważa, że tak właśnie jest.

- Ludzie mają różne opinie na ten temat - odparła Julia, starając się wyjść z tego konwersacyjnego zaułka, chociaż nie pamiętała, żeby tam się wycofywała. - Nawet różne religie mają, no, różne zdania. I to dlatego, och, dlatego nikt nie ma prawa narzucać, no... ach, swojego punktu widzenia na dyskutowane kwestie... - Skończyły jej się pomysły. Zgubiła wątek. To wszystko zdawało się tak jasne i oczywiste, kiedy siedziało się w Keplerze i biadoliło nad zamachem na najbardziej podstawowe prawa człowieka, ale kiedy siedziało się w tym za bardzo rozgrzanym samochodzie ze swoją błyskotliwą i dociekliwą córką, wszystko wydało się Julii mętne i niepewne. Drżącym głosem powiedziała: - Może powinniśmy, no, kiedy indziej o tym porozmawiać.

Vanessa zdawała się nie zauważać jej rozterki, ale Julia podejrzewała, że córka tylko skrywa swoje spostrzeżenia, bo to jej dziecko widziało wszystko, chociaż Lemaster zdawał się nie rozumieć tego faktu.

- Dobrze - odrzekła.

Jechały przez Town Green. Na przedniej szybie samochodu zaczęły tańczyć lekkie tumany śniegu.

- Vanesso?

- Hmm?

- A co pan Carrington powiedział ci o tym zebraniu?

- Zrobił się dużo miłszy, kiedy dowiedział się, że znam bitwę pod Stalingradem. Pomogłam mu przy tej jego dioramie. Popęnił kilka błędów.

- Błędów?

- Topograficznych. Nazwa jednej miejscowości. Droga, którą podążała Szósta Armia. Nie uwierzysz, ale kazał im przekraczać Don na południe od Kałaczu.

Szybkie spojrzenie. Kim było to nad wiek rozwinięte dziecko? Co jeszcze działo się w tej główce, skrywane przed widokiem publicznym? Czym Bóg obdarzył to stworzenie?

I skąd wzięła się ta myśl?

- Co jeszcze?

- Ach, on wie dużo więcej niż ja. - W przeciwieństwie do większości bystrych nastolatków albo bystrych dorosłych, Vanessa potrafiła bez zażenowania uznać tę prawdę, być może dlatego, że tak rzadko zdarzało się jej spotykać takie przypadki. - Wiele dowiedziałam się o wojnie. Nawet dał mi książkę do przeczytania. - Uniosła mocno sfatygowany tom autorstwa niejakiego Keegana. - Powiedział, że jeśli będę chciała, to mogę ją sobie zatrzymać.

- Vanesso...

- Czy wiedziałaś, że w wielu filmach są nieprawidłowości? Łucznicy nie potrafili przebić zbroi i dlatego bardzo często - kiedy konnica nosiła zbroje? - atakowanie za pomocą strzał miało wyrzucić tylko efekt psychologiczny. Chodziło o uderzenie i hałas. Żadnej specjalnej szkody. Tylko o przestraszenie.

Sfrustrowana tym jej pokrętnym wywodem, Julia zapytała wprost:

- Co się stało na zebraniu?

- Właśnie do tego przechodziłam - odparła Vanessa, jakby miała to być najmniej ważna część rozmowy. - Na zebraniu był pierwszy radny, szeryf Huebner, pan Carrington i czarnoskóry mężczyzna.

- Co takiego?

- Czarnoskóry mężczyzna. I wyglądało na to, że on tam rządzi. - Twarz Julii poszarzała, ale jej córka kontynuowała radosnym głosem. - Wysoki, szeroki w barach, z lekką nadwagą. Skóra prawie żółta. Nie przedstawił się, ale pan Carrington sądzi, że mógł to być jakiś kongresmen. Mamo, dobrze się czujesz?

Nie, z pewnością nie mogła powiedzieć, że czuje się dobrze. Była wściekła, że została wprowadzona w błąd, i śmiertelnie przerażona. Ale zachowała spokój w głosie.

- Mówiłam, że nie chcę cię w to wciągać.

- Gdyby nie ja, nic byś nie wiedziała - odgryzła się Vanessa.

A może ja nie chciałam wiedzieć, stwierdziła Julia, ale nie powiedziała tego na głos. Postanowiła wrócić rano do Bostonu i wprost zapytać Byrona Dennisona, co robił w Landing dziesięć dni po śmierci Giny Joule oraz - z tego co Julia wiedziała - rok później w Elm Harbor, kiedy przekonywał rodzinę DeShauna, żeby odstąpiła od pozwu.

Ale jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniono ze szpitala z informacją, że Bay ponownie zasnął - tym razem już na dobre.

Rozdział 51

Mona

I

W drugim tygodniu lutego, pomimo ostrych sprzeciwów Lemastera i mając na względzie dobro swojej córki, Julia poleciała do Paryża, tam przenocowała w jednym z tych rozkosznych hotelików porzucanych przy bocznych uliczkach, i porannym pociągiem pojechała na południe do Tuluzy, gdzie w starym czerwonym renault 18 GTX czekał na nią Hap, towarzysz życia Mony. Był stale przygaszonym, ciągnącym za sobą nogami mężczyzną po pięćdziesiątce, ze zgarbionymi plecami, jakby przytłoczonymi całymi dziesięcioleciami ciężkiej pracy, i z ponurym uśmiechem kierownika sali w restauracji, który nie może doczekać się, kiedy to wreszcie się skończy. Walczył z rozklekotaną pięciobiegową ręczną skrzynią biegów, jakby to był jego stary wróg, i niewiele się odzywał, kiedy mknęli przez przedmieścia, a potem wiejską okolicę, przecinając zagajniki i bezkresne pola. Julia była zadowolona, że po drodze mogła się zdrzemnąć, oglądać widoki i przede wszystkim rozważać w kółko, jak rozmawiać z matką, która pominęła sporą część ich rodzinnej historii.

- Ucieszy ją twój widok - zauważył w pewnym momencie Hap.

- Z pewnością - burknęła Julia, na co on umilkł na dłuższą chwilę.

Mały domek był zniszczony i ozdobiony sztukaterią, z czerwoną dachówką oraz czerwonymi markizami nad niektórymi oknami i metalowymi ramami nad tymi oknami, gdzie markiz nie było. W ogrodzie, w przeważającej części brunatnym, leżał świeży niespodziewany śnieg, a Julia zastanowiła się, czy to przypadkiem nie ona przywiozła go tu z sobą. Hol wyłożony był czerwonym marmurem. Podobny kolor miały postrzępione bieżniki. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżała, Julia miała wrażenie, że wzięła nazbyt wielką dawkę kolorów, i pragnęła, żeby Mona zmieniła wystrój domu; choć nie było pieniędzy na takie zbytki, ponieważ Mona, która nie miała szczęścia wyjść za oszczędnego imigranta w pierwszym pokoleniu, spędziła życie na dzieleniu się swoim spadkiem z każdym, kto był w potrzebie, przedstawił jej jakąś łzawą historię albo miał czarujące oczy. Na tyłach domu znajdował się las. Dwie sypialnie na parterze wychodziły na okolony murem ogród, w

którym wyblakłe kafelki, rozchybotane meble z kutego żelaza i nieczynna fontanna stanowiły ostrzeżenie, że i życie w końcu wysycha. Tuż za wzniesieniem obumierały winnice. W przeszłości Mona nawet sądziła, że przyniosą jej zyski, ale okazało się, że rosła tam wyjątkowo marna odmiana winogron.

- Zaraz zejdzie - odezwał się Hap, tonem zmęczonych przeprasin.

- Może czegoś sobie życzysz?

- Dziękuję - odparła Julia, pamiętając, że jej matka zawsze lubiła, kiedy córka na nią czeka.

Mona zajmowała główną sypialnię na górze, Hap sypiał obok kuchni w pokoju, który w przeszłości musiał być służbówką, a Julia miała zająć pokoje gościnne po drugiej stronie domu. W tych rzadkich przypadkach, kiedy odwiedzała matkę z jednym ze swoich dzieci lub z większą ich liczbą, zamieszkiwała wraz z nimi w tych pokojach gościnnych, dużo bliżej Hapa niż Mony, choć Julia jeszcze nie doszła do siebie po tym matczynym odrzuceniu. To był świat jej matki.

Mona pojawiła się na szczycie schodów, malutka i łobuzerska, stała tam zawinięta w szlafrok i głośno smarkała w chusteczkę. Uśmiechnęła się niepewnie na powitanie, wiedząc, że Julia nie przyjechałaby tu wyłącznie w celu rodzinnego spotkania. Pozwoliła się uścisnąć, ale odwróciła się, jeszcze zanim Julia gotowa była ją puścić, tłumacząc się jakimś wirusem wyniszczającym jej drobne ciało, chociaż rzeczywisty powód mógł być zupełnie inny.

- Straciłaś na wadze, kochanie?

- Ależ skądże. Od zeszłego roku przytyłam ponad dwa kilogramy.

- Tak, zawsze o to dbałaś. Z taką uwagą pilnowałaś swojej figury. A i chłopcy nie spuszczali z niej oka. - Kichnęła, a potem udzielił się jej nastrój córki. - Tak, moja droga, w tamtych czasach byłaś flirciarą. Oj byłaś. Ale wcale nie chcę powiedzieć, że teraz jesteś taka sama.

Kolejną cechą Mony było to, że nigdy nie dało się przewidzieć, z której strony ta słodka i bezpretensjonalna kobieta może zaatakować.

- Miło cię znowu widzieć - odezwała się z nadzieją Julia, ale właśnie pojawił się Hap niosący herbatę i krakersy, uwalniając Monę od kłopotu udzielania odpowiedzi. Julia poszła się rozpakować i trochę się podąsać. Przy kolacji Mona narzekała. Narzekała na to, że bliskość Airbusa spowodowała wzrost cen. Na to, jakie to okropne, że tylu Amerykanów tu przyjeżdża, żeby urządzać „polowania” w parku safari. Na to, że Stany Zjednoczone są głównym sponsorem światowego terroryzmu. Opowiadała, jak bardzo podoba się jej to, że Francuzi nie pozwolili muzułmańskim dziewczynom nosić w szkole chust na głowach, i

chciałaby, żeby również w Ameryce je skonfiskowano, razem z krzyżami i małymi znaczkami z czerwono-biało-niebieskimi flagami. Żaliła się na wszystko, co tylko przyszło jej do głowy, tylko nie poruszała kwestii, która ściągnęła jej córkę do Francji. Rozprawiała z nerwową energią więźnia, który zdaje sobie sprawę, że kiedy skończą się słowa, przyjdzie czas na osądzenie... i bardzo szybko się zakończy.

Julia wypytywała ją o dawne czasy, sondowała ją, naciskała, próbowała zwabić. Ale nie mogła trafić do celu.

- Empireum zawsze było bardzo dziwnym bractwem - powiedziała Mona, ostentacyjnie z trudem wspinając się po schodach, rozkoszując się swoim słabym zdrowiem. - Oczywiście, to było jeszcze przed ich upadkiem. Przed bankructwem i tym wszystkim. Och, ależ to byli apetyczni goście! W całym kraju było ich najwyżej czterystu. Czterystu kolorowych dżentelmenów najwyższej klasy, jak powiadał ich oddział. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo ekskluzywna jest ta organizacja, ale jej członkowie nigdy się tym nie przechwalali. Szczerze mówiąc, moja droga, w tamtych czasach członkom tego stowarzyszenia nie wolno było nawet przyznawać się, że ono w ogóle istnieje. To nigdy nie byli ludzie pretensjonalni. I niezbyt ugrzecznieni. Tacy spokojni ludzie sukcesu, którzy nigdy nic nie mieli do powiedzenia na przyjęciach. - Była już w połowie schodów, głos ciągnął się za nią jak dym z parowozu wspomnień. - Powiem ci coś, kochana. Wówczas tego nie widziałam, ale wiesz, jacy oni wtedy byli? Ci z Empireum? Jak spokojny, ponury dzieciak w szkole, który nie należy do paczki, nigdy z nikim nie rozmawia i nie ma kolegów, taki dzieciak, którego się nie zauważa, aż pewnego ranka pojawia się z dubeltówką i postanawia zmusić świat, żeby zwrócił na niego uwagę.

Poszła spać.

II

Rano pojechały do Montech, żeby zobaczyć pochylnię wodną, która jak zwykle była w naprawie, a potężna maszyna nie pracowała. Normalnie maszyna prowadziła bramę, która wypychała w górę wodę wraz z łódką czy barką, pozornie wbrew sile grawitacji. Mona lubiła opowiadać, jak to pewnego dnia z powodu wycieku oleju gumowe opony ześlizgnęły się z szyn, przechylając jednostkę z turystami zmierzającymi w górę pochylni, a może nawet wysypując kilku do brudnej wody, ale Julia, która jechała tą pochylnią w latach osiemdziesiątych, zaraz po tym jak zakończono budowę, kiedy Mona zabrała ją i małego Prestona do Francji - wkrótce po śmierci Jaya - nie wiedziała, czy ma wierzyć matce, czy nie.

Julia miała tyle pięknych wspomnień, zwłaszcza z Tuluzy, ale Mona potrafiła znaleźć czystą przyjemność w ich psuciu. Francuzi na tę pochylnię mówili „Le Pente d’Eau”, a Julia uwielbiała tę nazwę ze względu na to, jak wibrowała na języku. Całość przypominała jeden z technicznych cudów świata - czy gdzieś jeszcze można zobaczyć, jak woda płynie pod górę?

Gdyby tylko Julia wiedziała, jak z taką łatwością wspinać się na stojące przed nią góry - już od dwudziestu czterech godzin była w Plaisance-du-Touch i jeszcze nie poruszyła swojej sprawy.

A Mona jeszcze jej nie zachęciła.

Zabierając przygotowany przez Hapa prowiant, dwie kobiety szły przez chwilę przez las, wybierając ścieżki, na których prawdopodobieństwo zderzenia z pędzącymi rowerzystami było najmniejsze. Przyjeżdżając do Mony, Julia za każdym razem spodziewała się, że matka nagle się zestarzeje - ale nigdy tak się nie działo. Jej matka, już dobrze po siedemdziesiątce, wciąż wykazywała tę samą chudą energię, którą Julia pamiętała ze swojego dzieciństwa, kiedy w poszukiwaniu odpowiedniego oddziału odpowiedniej grupy dzieci z Klanu, Mona wozila Julię i Jaya po całej Nowej Anglii - do Providence na przyjęcie bożonarodzeniowe, do Bostonu na bal z okazji debiutu towarzyskiego i do Springfield na bal z okazji zakończenia gimnazjum. Choć babcia Vee była mocno zaangażowana w działalność klubową, a rodzina Veazie uczestniczyła w powołaniu jednej czy dwóch międzyuczelnianych murzyńskich grup oznaczonych greckimi literami, Mona zawsze była kimś w rodzaju pasożyta, czepiając się swoimi dokładnie ogryzionymi pazurkami wszelkich możliwych rozwiązań problemu wychowania dzieci w Hanoverze przy jednoczesnym wcielaniu w życie idei mówiącej, że przyjaciele jej dzieci muszą wywodzić się głównie z ciemniejszej nacji, przy czym wbrew swoim egalitarystycznym poglądom miała na myśli to, co babcia Vee nazywała lepszą połową tej nacji.

Właśnie minęło południe i okoliczne wysokie drzewa stały pośród drobnych okrągłych cieni, wyglądających jak ciemne kałuże. Julia przypomniała sobie jak przez mgłę, że Montech leży na terenie zalewowym i większość drzew jest rozrzucona w niewielkich zagajnikach, ale tu las był gęsty. W powietrzu czuło się zapach wody i trzciny. Po półgodzinnej włóczędce w prawie zupełnej ciszy, w chłodnym popołudniowym słońcu, Mona wskazała na małą polanę niedaleko nieruchomego stawu.

- Tutaj.

Julia uśmiechnęła się, słysząc jej słowa.

- Zawsze zatrzymujemy się w tym samym miejscu.

Jej matka uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Wiesz, jaka ze mnie konserwatystka.

Usiadły więc na dogodnie ułożonych pniakach i zjadły kanapki, słuchając zwierząt, a niekiedy i ludzi, w ukryciu przemykających przez zarośla. W oddali słychać było szmer silnika, krzyki ludzi, gdzieś zatrąbił klakson.

- Masz jakiś problem - zagaiła Mona.

- Uhm.

- Chodzi o Lemastera? Znowu cię źle traktuje?

Julia machnęła ręką, jakby chciała zabić muchę, choć w pobliżu nie było ani jednej.

- Mono, Lemaster to prawdziwy anioł. Ciągłe ci to powtarzam. On nigdy by mnie nie skrzywdził.

- Moja droga, ja czytam gazety. W „Herald Tribune” pisano, że jest jednym z najpoważniejszych kandydatów do stanowiska ministra sprawiedliwości.

- Nie mogę rozmawiać o...

- To dla tych ludzi. W rzeczywistości pracowałby dla tych ludzi. Chyba nigdy nie zrozumie ludzi takich jak on.

Miała na myśli czarnych ludzi takich jak on, powtarzając słowa Astrid.

Julia odchyliła się do tyłu i oparłszy dłonie na drewnie, uniosła twarz, aby poczuć słońce. Zastanawiała się, czy tam w górze, ale w ogóle gdzieś tam, jest Bóg, który na nich patrzy, słucha ich i już wie, jak to wszystko się skończy. Łatwiej było jej znosić obecność Mony, kiedy nie musiała patrzeć w te jej malutkie, ciemne, kochające, błagalne, szlachetne, szalone i boleśnie uczynne oczy.

- Nie będę z tobą rozmawiać o Lemasterze, dobrze? Po prostu nie będę. - Stanowczo, ale ostrożnie, nie chcąc podnosić głosu na matkę, na wypadek gdyby Dziesięcioro Przykazań było prawdziwych. - Mono, ja nie po to tu przyjechałam.

- To po co tu przyjechałaś? - Jej głos brzmiał żałośnie. - Czego chcesz? Zawsze czegoś chcesz.

- Mono...

- Ale to prawda, moja droga. Zawsze okazuje się, że jest jakiś plan. Wiem, wiem. Ty tylko potrzebujesz rady. Można by pomyśleć, że nie masz żadnych znajomych, z którymi mogłabyś porozmawiać.

Lekki wiatr targał rękawem jej grubej kurtki. Julia starała się zachować spokój. W rzeczywistości Mona wcale tak nie uważała, ona po prostu chciała, żeby córka ją uspokoiła: Tak, tak, mamo, najbardziej cenię sobie twoje rady. Ale Julia już wiele lat temu zmęczyła się schlebaniem matce. Jeśli sama jej obecność we Francji, pozostawienie swojej zagubionej i

cierpiącej rodziny w domu nie stanowiły dostatecznego dowodu oddania Julii, nie miała nic innego do zaoferowania.

- Mono, ja po prostu chciałam porozmawiać - powiedziała, prawie dławiąc się cisnącymi się jej na usta niepokornymi słowami. Wciąż jednak nie potrafiła przejść do rzeczy.

- Czy możemy to zrobić? Możemy porozmawiać?

- Przecież rozmawiamy - powiedziała Mona, dotykając kolana córki. - Czy to nie jest rozmowa?

- Nie, Mono. Nie. Ty robisz to co zawsze. Ty mówisz. A ja ma siedzieć cicho i słuchać.

- W takim razie przepraszam. - Zraniona, przyłożyła dłoń do szyi.

- Ale nie trzeba krzyczeć na własną matkę.

- Przecież nie krzyczę - krzyknęła jednak, bo Mona ją do tego sprowokowała. Każda rozmowa z Moną Veazie przypominała odbywany na własne ryzyko spacer po polu minowym prawości. Zazwyczaj można było to przetrwać, jeśli nie poruszało się amerykańskiej polityki. Ale każde nastąpienie na tę minę wywoływało wybuch.

- W takim razie podnosisz głos.

Julia zaczęła mówić szybko, chcąc uprzedzić bardzo prawdopodobną litanię żalów i pretensji o te wszystkie drobiazgi, którymi Julia, wciąż co miesiąc wysyłająca jej dwa tysiące z ich cennych dolarów, zraniła ją przez lata.

- Mono, proszę, posłuchaj. Muszę zadać ci kilka pytań. - Wiele trudu kosztowało ją wydobyć z siebie następnych słów, ale wiedziała, co jest niezbędne, żeby zawrzeć pokój z matką. - Potrzebuję... potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o Vanessę.

Na twarzy Mony pojawił się uśmiech, olśniewający i pełen satysfakcji.

- To dlaczego od razu tego nie powiedziałaś?

III

- Tyle razy mówiłam ci, że jesteś zbyt wymagająca wobec tej dziewczyny - Mona przerwała jej, gdy tylko zrozumiała albo doszła do wniosku, że rozumie, o co córka chce zapytać. - Przede wszystkim nie powinnaś była wychowywać jej z tymi wszystkimi białymi dziećmi. Mówiłam ci, jeśli nasza rasa ma ocaleć, każdy z nas musi mieć...

- Więcej znajomych czarnych niż białych. Wiem, Mono, wiem.

- Ale nie w związku z tym nie robisz, prawda? Vanessa ma samych białych kolegów, tak?

- Nie samych...

Oczy Mony lśniły satysfakcją.

- Wiem. Wiem. Zna piosenkę o Jacku i Jill, była w Biedroneczkach, a w tym waszym kościele jest kilkoro czarnych dzieciaków. Mówiła mi o tym, moja droga. - Uniosła drobną dłoń, odpierając jakikolwiek sprzeciw. - Ale oni się nie liczą. To nie są jej przyjaciele. Jej przyjaciółmi są białe dzieci w szkole średniej.

- Ty tak samo mnie wychowywałaś - warknęła Julia, rozzłoszczona i zbita z tropu, co zresztą prawdopodobnie było zamiarem jej matki.

- A ty nie powinnaś powtarzać moich błędów - bardzo zadowolona doradziła jej Mona.

Przez chwilę spierały się w milczeniu. Julia palcem stopy trąciła koszyk na prowiant. Minęła ich pędem jakaś dwójka rowerzystów - chyba mężczyzna i kobieta, pomyślała Julia, ale ledwo jej mignęli i dostrzegła tylko ciemne włosy powiewające pod jasnymi kaskami. W dole, w okolicy kanału, jakieś dzieci się śmiały. Dzień zapowiadał się jasny i piękny, ale zaczęło się chmurzyć, choć może to tylko jej nastrój się zmieniał.

- Mono, proszę, wysłuchaj mnie - odezwała się w końcu Julia, nie patrząc na matkę. - To prawda, popełniłam błędy w wychowaniu Vanessy. W wychowaniu pozostałych dzieci też. Ale nie chcę teraz rozmawiać o moich błędach. Na pewno nie dzisiaj. Chcę porozmawiać o historii.

- O historii?

- W zeszłym miesiącu na balu zorganizowanym z okazji debiutu towarzyskiego spotkałam twoją koleżankę, Aurelię Treene. I wiesz, co ona mi powiedziała? Że mój mąż jest Bubbą w Empireum. I dodała, że kontynuuje rodzinną tradycję. Ale przecież Lemaster jest imigrantem w pierwszym pokoleniu. Czyli ona musiała mieć na myśli rodzinę ze strony Veazie. - Na moment urwała. - Mono, powiedz mi. Czy dziadek Vee należał do Empireum? Czy Preston Veazie był może nawet, no, Bubbą w Empireum?

Jej matka roześmiała się.

- Ależ tak, moja droga. Był.

- I kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

- Jakoś nigdy się nie zgadałyśmy na ten temat. Bynajmniej nie skrywałam tego przed tobą - pospiesznie dodała Mona. - Po prostu nigdy nie było powodu o tym rozmawiać.

- W takim razie porozmawiajmy. Kiedy wychodziłam za Lemastera, a ty byłaś zła, że on należy do Empireum, to nie dlatego że oni są niewielką i mało znaczącą organizacją, prawda?

Cisza.

- Mono, posłuchaj. Teraz już mi się nie wywiniesz. - W końcu podniosła wzrok, ale z Mony był stary wyjadacz i zachowała twarz pokerzysty. - Ta sprawa Giny Joule, na której punkcie Vanessa ma bzika? Empireum było w jakiś sposób zamieszane w to, co działo się później. Chcę się dowiedzieć w jaki sposób. I dlaczego. Chcę wiedzieć co twój dawny chłopak, Bay Dennison, tam robił. - Jej matka nadal czekała. - A pytam tylko dlatego, że nie mogę poradzić sobie z problemami w domu, i wydaje mi się, że Aurelia chciała mi uzmysłwić istnienie powiązań między tymi sprawami. Mono, daj spokój. Wiesz o tym coś, czego ja nie wiem. Chyba już czas, żebyś mi o tym powiedziała.

- O czym mam ci powiedzieć, moja droga?

- Czym tak naprawdę jest Empireum.

Rozdział 52

Empireum

I

- Kochana, musisz sobie wyobrazić, jak to było w tamtych czasach. Kiedy naprawdę żyliśmy jak dwie różne nacje. Ciemniejsza nacja. Jaśniejsza nacja. To Empireum wymyśliło te określenia, moja droga. Albo przynajmniej je spopularyzowało. W tamtych czasach członkowie Empireum byli niesamowicie ważni. - Znowu spacerowały, ścieżką kluczącą między drzewami. Gdzieś w pobliżu bulgotała niewidoczna woda. Powiało świeżym chłodem i Julia pomyślała, że może nadchodzą kolejne opady śniegu. - W tamtych czasach, kiedy tworzono te wszystkie grupy. Niewielu z naszych było wykształconych, a ci, którzy mieli wykształcenie, cóż, oni studiowali fizykę, grekę albo Konfucjusza, ale pracę mogli znaleźć tylko w jakimś wielkim mieście przy załadunku albo czasami, jeśli mieli szczęście, mogli zostać przedsiębiorcami pogrzebowymi lub nauczycielami w szkołach. Ci wszyscy błyskotliwi, profesjonalni, wykształceni mężczyźni, również kilka kobiet, ale w większości mężczyźni, byli zupełnie odizolowani przez świat białych. Dlatego też, oczywiście, czuli potrzebę łączenia się z innymi podobnymi do siebie. Z tego środowiska wyrosło wiele z tych klubów, moja droga.

- Patrząc z góry na pozostałych członków ich rasy.

- Może i tak. Może i tak. Nie oceniamy ich, moja droga. Jeszcze nie czas. Rzecz w tym, że nie było im łatwo. Mieli duże, bardzo duże trudności. Kluby stanowiły dla nich miejsce, w którym o wszystkim mogli zapomnieć, próbowali stworzyć sobie miejsce, w którym można było prowadzić intelektualną rozmowę albo przynajmniej porozmawiać z ludźmi, którzy tyle samo widzieli.

Julia była zbyt zmęczona na taki wykład.

- Mono, proszę. Nie przebyłam tej całej drogi, żeby teraz wysłuchiwać lekcji historii. Nie interesuje mnie, jak powstały te stowarzyszenia. Chcę się dowiedzieć o Empireum.

- Z powodu twojego Lemastera. Bo on jest Bubbą.

- To nie jest jedyny powód.

- To jaki jest ten inny, moja droga?

- Od kiedy rozmawiałam z Aurelią, wciąż chodzi mi po głowie pewne wspomnienie z dzieciństwa. To było w Hanoverze. W listopadzie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Pamiętam datę, bo właśnie ponownie wybrano Nixona. Wówczas babcia Vee mieszkała z nami. Przyszło do ciebie kilku ludzi i wspólnie śledziliście wyniki wyborów. Byłam wtedy dzieckiem, ale pamiętam, jak tam siedzieliście i patrzyliście, kiedy kolejne stany przypadały Nixonowi, i wszyscy mieliście podobny wyraz twarzy, jakby ktoś wam skopał... powiedzmy, nieźle was skopał. Pamiętasz tamten wieczór?

- Oczywiście, że pamiętam, moja droga. Wówczas jeszcze byliśmy rodziną. Miałam was oboje. Ciebie i Jaya, moja droga. - Uśmiechnęła się i musnęła palcami ramię Julii, jakby zastanawiając się, czy ma ją uścisnąć. - Ale, Boże drogi, jestem zaskoczona, że ty to pamiętasz. Mieliśmy regularną imprezę. W tamtych czasach było nas tylko kilkoro na wydziale. To znaczy czarnych. Byliśmy przygnębieni. I wściekli. Zebraliśmy się razem i się upiliśmy. - Kąciki jej szerokich ust opadły z dezaprobatą na to wspomnienie. - Ale że ty to pamiętasz? Ile ty miałaś wtedy lat, moja droga? Cztery? Pięć?

- Dwanaście. - Jedno dziecko zostało jej na świecie, a Mona nawet nie potrafiła zapamiętać, ile ma lat. Julia musiała powstrzymać się, żeby na nią nie naskoczyć. - Ale w pewnym momencie babcia Vee poczuła się zmęczona. Kazałaś mi odprowadzić ją do łóżka. Kiedy wychodziłyśmy z pokoju, ona powiedziała coś przedziwnego. Teraz już wiem, że wówczas babcia Vee nie wszystko już kojarzyła, i w następnych latach zupełnie o tym zapomniałam, ale ostatnio wciąż o tym myślę. Powiedziała, że to tylko dowód, że Klan nie powinien mieszać się do wyborów. Powiedziała też, że Klan powinien wyciągnąć wnioski z lekcji z roku pięćdziesiątego szóstego. Mono, o czym oni mówili? Co się wydarzyło w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku? I co się wydarzyło w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim?

- W obu przypadkach republikanie wygrali o włos. To się stało.

- Nie. Nie o to mi chodziło. Powiedziała: „Jak zwykle postawili na złego konia”. Kazałaś jej się uciszyć, ale niełatwo było zamknąć usta babci Vee. Wyprowadziłam ją do przedpokoju, ale ona nadal krzyczała. Mówiła, że ciągle próbują i ciągle coś zawalą. Powiedziała też: „A Paramount to prawdziwy kretyn”.

Kiedy ścieżka się rozwidliła, Mona wybrała bardziej zarośnięte jej odgałęzienie. Las otaczał je teraz szczelnie, przesłaniając to niewielkie ciepło, które przyniósł dzień. Stara kobieta szła tanecznym krokiem z przodu, a Julia starała się za nią nadążyć. - Musiałaś się przesłyszeć, moja droga - rzuciła przez ramię. - Babcia musiała myśleć o Perrym Mounce. To

był chłopak z Harlemu, poznałaś go, ale byłaś wtedy bardzo mała i pewnie nie pamiętasz, ale biedny Perry ogromnie chciał zdobyć wpływy. Był zaangażowany w kampanię innego kandydata, nawet nie McGoverna. Jego kandydat jednak nie zdobył nominacji. To biedny Perry postawił na złego konia. Tak wygląda nasza historia, moja droga. Czarnuchy zawsze stawiają na przegranych. I to tłumaczy, dlaczego jesteśmy w tym miejscu, a nie dużo dalej.

- Ona nie powiedziała „Perry Mount”. Powiedziała „Paramount”.

- Jestem pewna, że tak nie powiedziała.

- Powiedziała. Właśnie tak powiedziała. - Julia dogoniła matkę na ścieżce. - A potem powiedziała... powiedziała coś takiego: „Trzeba było słuchać Prestona”. Przez lata zastanawiałam się, co miała na myśli. Ale niedawno, tydzień czy dwa temu, Lemmie powiedział mi, że Paramount to tytuł głowy Empireum, i wszystko stało się jasne. Ona mówiła, że to Empireum postawiło na złego konia, ponieważ ich przywódca jest kretynem. Byli zaangażowani w wybory, prawda?

- Och, no wiesz, koalicje wyborcze są skomplikowane...

- Przestań wreszcie, Mono. Przestań. Skończ z tymi gierkami. Koniec tego udawania. Powiedz mi. - Mona nigdy nie podnosiła pewnych siebie, orzechowych oczu, ale tym razem to uczyniła. Julia parła dalej. - Daj spokój. Babcia nie wyrażała ogólnych opinii na temat naszej rasy. Była na to zbyt przebiegła. Ona z wami się drażniła. Uważała, że zdradza tajemnice.

- Zmarszczenie brwi. - I powiedziała coś jeszcze, Mono. Ty chyba tego nie słyszałaś. Odprowadziłam ją do pokoju, jak co wieczór. Kiedy ułożyłam ją w łóżku i opatuliłam kołdrą, powiedziała, że im potrzebny jest albo nowy autor, albo nowy plan. Nie wiedziałam, o czym ona mówi. Ale jej nie chodziło o ciemniejszą nację. Powiedziała „im”, a nie „nam”. A głowa Empireum to nie tylko Paramount, prawda? Znany jest także jako Autor. Sądzę, że babcia Vee mówiła o Empireum. Sądzę, że oni coś próbowali zrobić w sprawie wyborów, ale nie udało im się to. - Jej matka w końcu zareagowała. Widać to było wyraźnie. Poruszona, pognęła do przodu. - Mono, co to było? Co oni zrobili?

- Nic, co mogłoby cię zainteresować.

- Mono, ja nie jestem dzieckiem.

- Pod pewnymi względami jesteś. - Uniosła szczupłą dłoń, jakby chcąc powstrzymać jakikolwiek protest. Wygłaszała jedno ze swoich przemówień. - Może masz rację, moja droga. To nie grzech wiedzieć, prawda? To tajemnice rozdzielają ludzi. Niewiedza. W tym jest niebezpieczeństwo. Moja droga, jesteśmy istotami myślącymi. Naszym przeznaczeniem jest oddychanie prawdą. Potrzebujemy jej do życia. Kiedy upragniona prawda jest przed nami

skrywana, wdychamy kłamstwa, żeby się nie udusić. - Blade oczy sposepniały. - Dobrze, moja droga. Mniejsza o to. Chcesz wysłuchać tej historii, to ci ją opowiem. Ale możesz mi wierzyć, Julio Anno, będziesz żałować, że ją słyszałaś.

II

Dotarły do kolejnego rozwidlenia. Mona zamrugała powoli i z namysłem, zerknęła w jedną i drugą stronę, trzymając pięść przy ustach, a Julia miała wrażenie, że matka nie jest pewna, którą ścieżką powinny pójść. Gotowa była czekać i zmusić Monę do zapytania kogoś o drogę, ale zanim córka zdecydowała, jak długo matka powinna cierpieć, minęła wahającą się starą kobietę i położywszy dłoń na jej pokurczonym ramieniu, wybrała ścieżkę biegnącą w lewo, lekko w górę, w kierunku jakiejś polany. Kiedy ruszyły, Mona chyba się odprężyła, a słowa znowu gładko popłynęły.

- Jak mówiłaś, to było w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Mieszkałam wówczas w domu, przygotowując pracę dyplomową na uniwersytecie Columbia. Musisz jednak zrozumieć jedną rzecz, moja droga, że w tamtych czasach najpotężniejszym czarnoskórym człowiekiem w kraju - wówczas mówiliśmy Murzyn - najpotężniejszym Murzyńcem w kraju, i może też najsylniejszym, był Adam Clayton Powell. Poznałaś go. Byłaś jeszcze malutka. Nie możesz go pamiętać. Widywałaś jego pierwszą żonę na Vineyard. Nieważne zresztą. Chodzi o to, że Adam miał tak wielkie wpływy, że potrafił nakłonić Eisenhowera do zniesienia segregacji rasowej w bazach wojskowych i w kinach, i to wszystko jeszcze zanim Sąd Najwyższy rozstrzygnął sprawę Browna na korzyść zniesienia segregacji rasowej w szkołach. Zdumiewający człowiek. Podobnie jak wcześniej jego ojciec, był pastorem Abisyńskiego Kościoła Baptystów przy sto trzydziestej ósmej. Całymi latami był też członkiem Kongresu. Demokrata, ma się rozumieć, choć wówczas nie było niczego złego w byciu republikaninem. Podejrzewam, że większość Klanu głosowała na republikanów. Nie mówię tu o większości Murzynów, ale o większości Klanu. No cóż, czasy były inne. Ale Adam był demokratą. I nagle, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku zaszokował cały świat, popierając kandydaturę Eisenhowera na prezydenta. Kandydatem demokratów był wówczas kochany Adlai Stevenson. Naprawdę przeuroczy człowiek. Nie miał, co prawda, zbyt wielkich szans, ale nigdy nie wiadomo. Zwłaszcza gdyby udało mu się zebrać głosy wszystkich Murzynów. W tamtych czasach demokraci nie mieli wyłączności na głosy Murzynów. Nie mogli uważać, że my jesteśmy na każde ich zawołanie i nic w zamian nam nie dawać, jak to jest obecnie. Nasi przywódcy byli na tyle mądrzy, że czasami

wchodzili w układy z republikanami zamiast wyzywać ich od najgorszych i w ten sposób gwarantować, że nigdy nas nie wysłuchają. Mniejsza o to. Rzecz w tym, że Adlai starał się uzyskać poparcie wszystkich murzyńskich przywódców. A tu nagle Adam oświadcza, że zamierza poprzeć Eisenhowera. Zupełnie tym zaskoczył biednych demokratów. Oczywiście Stevenson chciał spotkać się z Powellem. Spotkali się więc potajemnie. Zgadnij gdzie?

- W domu babci Vee?

Ścieżka zrobiła się bardziej stroma. Julii szło się coraz ciężiej, a jej matce jeszcze trudniej, ale żadna z nich nie chciała jako pierwsza zaproponować przystanku. Jeśli Mona była poruszona tym, że Julia, wtrącając odpowiedź na retoryczne pytanie, popsuła dramaturgię chwili, nie dała tego po sobie poznać.

- Właśnie, moja droga. W miejskiej rezydencji Veazie przy Edgecombe Avenue. Właśnie tam, w gabinecie mojego ojca. Twój dziadek nie tylko był gospodarzem, ale również sędzią tego spotkania. W tamtym czasie spotykałam się z gościem o imieniu Eddie i tego wieczoru wychodziliśmy wspólnie z domu. Staliśmy w holu. Dochodziły do nas urywki rozmowy. Adam powiedział, że ma już dosyć wspierania partii, której zobowiązania wobec południowego skrzydła są tak wielkie, że jej program nie jest w stanie zapewnić nawet lekkiego poparcia dla wyroku sądu w sprawie Browna, a także partii, która, posiadając większość w Kongresie, nie potrafi przegłosować federalnego prawa zakazującego linczu. Powiedział, że jeśli demokraci nic więcej nie potrafią zrobić, spróbuje zwrócić się do republikanów. Adlai odparł, że jeśli zostanie wybrany, wprowadzi poważne zmiany, ale Powell nie chciał ustąpić. Wydaje mi się, że dla Stevensona jasne było, że to spotkanie jest tylko na pokaz, a Powell nie miał najmniejszych zamiarów negocjować. Był zdeklarowanym poplecznikiem Eisenhowera. Tak przynajmniej myślałam. Ale mój ojciec wtedy przyłapał nas na podsłuchiwanie w holu. Wściekł się i zatrzasnął drzwi. - Mona się uśmiechnęła. - Nigdy nie byłaś w takiej sytuacji, prawda? Że podsłuchiwałaś w holu? W Hanoverze zawsze dbałaś, żeby twój kawaler na ciebie czekał. Podobało ci się to, prawda? Facet czeka na ciebie na dole, aż będziesz gotowa zrobić swoje wejście. A oni czekali. Doprowadziłaś do tego, że jedli ci z ręki. Zawsze ci się to podobało, co? Kiedy faceci szaleli na twoim punkcie? Byłaś wtedy niesamowitą flirciarą. Zresztą, mniejsza o to.

Julia aż kipiała w środku, ale zachowała spokój.

- Tego wieczoru rozmawialiśmy o tym z Eddiem. On też usłyszał co nieco z tego spotkania. I oboje doszliśmy do wniosku, że Powell musi mieć jakiś inny powód. Tu nie chodziło tylko o prawo linczu czy o zbyt duże wpływy demokratów z południowych stanów w partii. Nie. Zbyt wiele było w nim pasji. Powell nie był głupi. Musiał wiedzieć, że w

kwestii praw obywatelskich Eisenhower ma wątpliwości, których nie miał Stevenson. Ale Powell był zdecydowany nie popierać tego roku demokratów, niezależnie od tego, co by mu zaproponował Stevenson. A Eddie miał swoją teorię, dlaczego tak było. Powiedział: „Być może Powell nie lubi pozostałych popleczników Stevensona”. To takie proste.

Wyszły spomiędzy drzew na grzbiet z widokiem na pola i skupiska miniaturowych wiosek. Mona była u kresu sił. Julia od razu to zauważyła. Matce drżały ręce.

- Jeśli chcesz, możemy tu odpocząć.

Jednak Mona zbyt była pochłonięta swoim opowiadaniem, żeby zwrócić na to uwagę. - W każdym razie zapytałam o to moją matkę. Babcię Vee. To było kilka dni później. Właśnie się stroiliśmy, miałyśmy iść na coś organizowanego przez Biedronki. To chyba było jakieś czuwanie przy zwłokach. Ubrałyśmy się na pomarańczowo-biało, bo jak umiera Siostrzana Dama, na czuwanie wkłada się barwy Biedronek. Racja, o tym już wiesz. Czasami zapominam. Mniejsza o to. I wtedy ją zapytałam. Zapytałam Amarettę. A ona spojrzała na mnie w ten szczególny sposób, Julio. Wiem, jak byłaś mała, mówiłaś, że potrafisz patrzeć na ciebie, jakbyś była najmarniejszą istotą na ziemi. Takie moje spojrzenie „jak mogłaś mnie zawieść”. Ale już mówiłam ci, że miałam to po Amaretcie. Tylko że jej spojrzenia były jeszcze gorsze. Spojrzała na mnie tak, jakbym przez samo postawienie tego pytania zdradziła cały Klan. I wiesz, moja droga, co ona mi odpowiedziała? „Musieliśmy spróbować, kochanie”. Tylko tyle. Nic więcej nie powiedziała. Zdaję sobie sprawę, że może mówiła tylko o samym spotkaniu. O przywróceniu spokoju w partii demokratycznej. Ale ja miałam inne wrażenie. Miałam wrażenie, że ona mówi o czymś ważniejszym. A dla Amaretty tylko jedna rzecz była tak ważna, żeby zasługiwać na ten rodzaj... pełnej uwielbienia abstrakcji. I nie był to Bóg. Ani Ameryka. Ani też Harlem czy ciemniejsza nacja. Klan. Tylko Klan. Dla Amaretty nie istniało żadne inne „my”. Przyszło mi na myśl, że chciała powiedzieć, iż Klan podjął ryzyko i przegrał. Jakby Klan postawił, i to wiele, na Adlaia Stevensona, a Adam Clayton Powell wszystko popsuł.

Julia pokręciła głową.

- W takim razie nie rozumiem o co tyle hałasu. Klan popierał Stevensona. On przegrał. I co z tego?

- Moja droga, wcale nie wydaje mi się, żeby Empireum się kończyło. Mam wrażenie, że mają się zupełnie dobrze. Jak zawsze tajemniczy, ale rosną w siłę.

- Chcesz przez to powiedzieć, że te wszystkie historie, jacy to są starzy i mało znaczący to... to tylko przykrywka?

- Ja po prostu sądzę, że oni coś kombinują. Oni zawsze coś kombinują.

- Na przykład co?

Zacząły wracać w dół wzgórze. Mona robiła małe kroki, prawie drobiła, a Julia musiała teraz uważać, żeby za bardzo się nie wysforować.

- Ja już jestem stara, Julio Anno, i nie powinnaś zbyt poważnie brać moich słów. Ale Aurelia miała błędne informacje. Twój dziadek nie był Bubbą. A raczej on nie był tylko Bubbą. W późniejszym okresie został Grand Paramountem. Przez dziesięć lat wszystkim zarządzał, przed Bayem Dennisonem. I chociaż miała to być wielka tajemnica, to Preston nie miał żadnych tajemnic przed twoją babcią. I posłuchaj, co babcia Vee powiedziała mi już po latach. Oni, Empireum, zawsze mieli obsesję na punkcie stanowiska prezydenta.

- To znaczy, że chcieli mieć na niego wpływ?

- Nie, moja droga. Oni chcieli decydować, kto nim może zostać. - Las wokół nich przerzedził się. Mona zbliżała się już do kresu sił, a także do końca swojej opowieści. - Na temat tej nocy w pięćdziesiątym szóstym babcia Vee powiedziała mi, że Empireum wystawiło Stevenсона. Oni nie tylko go wspierali. Oni mieli na niego jakiś wpływ. I ponownie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim. I nie był to McGovern. Jeden z innych przedstawicieli Partii Demokratycznej. Ale coś się wydarzyło i nie zdobył nominacji. Musisz wiedzieć, Julio, że zdaniem twojego dziadka, jeśli chciało się coś uzyskać od białych, trzeba było walczyć ich własną bronią. Oni nigdy nie zrobią niczego dobrego z poczucia sprawiedliwości, powiedział. Mogą to zrobić tylko ze względu na własny interes. Musimy mieć własnego kandydata, powiedział twojej babci. Tak samo, jak to robili biali. Potrzebowaliśmy człowieka, który spełniałby nasze prośby nie dlatego, że męczyłoby go jego własne sumienie, ale dlatego, że nie miałby innego wyjścia.

- Szantaż - wyszeptła Julia. - Mówisz o szantażu.

- Tego nie jestem pewna, Julio Anno. To jest możliwe. Ja wiem tylko, że Empireum doszło do wniosku, że musi mieć własnych potężnych białych, których można postawić w takim położeniu, że nie mają wyboru i muszą pomóc naszym ludziom. Taki pomysł miał dziadek Vee. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że Empireum sprawowało władzę nad Adlaiem Stevensonem?

Długa chwila wahania, podczas której stare oczy Mony patrzyły w lustrzane odbicie jej własnej młodości.

- Adlai był porządnym człowiekiem. Uczciwym. Człowiekiem z zasadami. Nie wydaje mi się, żeby można było nad nim panować. - Ponownie skoncentrowała się na swojej córce. - Nie, moja droga. Bardzo bym się zdziwiła, gdyby okazało się, że Empireum nad nim

panowało. Ale możliwe, że im się tak wydawało. - Smutny chichot. - Te powiązania sięgają głęboko wstecz, moja droga. Do starych rodów. I naszych, i ich. Czarnych i białych. To całe dziesięciolecie, a nawet więcej. To nie zawsze musi być kwestia przymusu. Czasami chodziło raczej o... obopólne korzyści własne.

Julia ożywiła się.

- Czy masz na myśli przejście? To, że niektóre stare białe rodziny w rzeczywistości są starymi czarnymi rodzinami? - Wręcz nie mogła tego pojąć. - Czy to chcesz powiedzieć?

Ale Mona pokręciła głową.

- Och, nie, moja droga, nie. Zupełnie nie. Och, coś takiego jest prawdopodobne. To jest możliwe. W tamtych czasach warunki były wprost okropne. Jeśli trafiła ci się okazja uciec z ciemniejszej nacji i przyłączyć się do świata białych... tak, to możliwe. Ale nie o to mi chodziło. Ja tylko chcę powiedzieć, że może istnieć wspólnota interesów. Może dojść do tego, że stare białe rodziny i stare czarne będą współpracować. Nie myśl, że tu tylko chodzi o samo Empireum. - I znowu ten jej śmiech, jak podenerwowanego widza oglądającego tragedię. - Julio, ja już jestem starą kobietą i starym głupcem. Nie powinnaś traktować mnie zbyt poważnie. W moim wieku umysł potrafi już płać figle. - Chwiała się na nogach. - Jestem zmęczona, Julio. Muszę wracać do domu i się położyć.

- Jesteśmy już przy samochodzie.

- Już nie chcę więcej rozmawiać.

- Proszę. Jeszcze tylko jedno.

- Zabierz te ręce ode mnie, Julio Anno.

- Przepraszam. Przepraszam. - Nawet nie zdawała sobie sprawy, że trzyma matkę za ramię. Ścisła ją, naprawdę mocno, w gniewie, tak jak chwyciła Kellena, kiedy patrzył na nią nie tak, jak ona chciała, albo w ogóle nie patrzył. - Proszę, Mono. Powiedz mi. Mówisz, że Empireum zbierało informacje o potężnych ludziach i potem używało ich, żeby... żeby poprawić warunki życia naszej społeczności? Czy to chcesz powiedzieć?

- Tak powiedziała mi Amaretta. - Mona pokręciła głową. - Ale nie wydaje mi się, żeby ktoś wiedział to na pewno.

- Ale to musi być prawda, Mono. Byron Dennison był w Landing półtora tygodnia po śmierci Giny Joule i najwyraźniej wydawał tam polecenia. Po cóż innego miałyby tam się pojawiać?

- Moja droga, ja w tym czasie byłam już kobietą zamężną. Mieszkałam w New Hampshire. Skąd mogłabym to wiedzieć?

- Daj spokój, Mono. Przecież z nim chodziłaś. Chcesz mi powiedzieć, że on nigdy nie

wspomniał o żadnym planie?

Jej uśmiech ponownie był lekceważący i babciny.

- Jeśli Bay Dennison miał być jakimś tajnym manipulatorem, jak zdajesz się sądzić, moja droga, dlaczego pozwolił sobie na to, że ktoś go widział? To wszystko jest bardzo dziwne.

Doszły już do samochodu. Mona poprosiła córkę, żeby prowadziła samochód, a Julia, która manualną skrzynię biegów obsługiwała tylko podczas wizyt u matki, zgodziła się. Przez całą drogę do domu samochodem szarpało i cały się trząsał. Mona ani razu się nie poskarżyła. Oczy miała mocno zamknięte i jeśli nawet nie spała, to z wyraźnym zadowoleniem udawała, że śpi.

III

Julia miała nigdy nie dowiedzieć się na pewno. Leżąc tej nocy w łóżku i próbując znaleźć wygodną pozycję na wiekowym, zapadającym się materacu, nie mogła się nadziwić, jak wielka część życia ciemniejszej nacji odbywała się za zasłoną nieświadomości. Większość czarnoskórych Amerykanów i prawie wszyscy biali nie wiedzieli nic o istnieniu starych rodów oraz o ich pieniądzech, edukacji i tradycjach. A o tajemnicach ich ekskluzywnych męskich i żeńskich stowarzyszeń osoby z zewnątrz wiedziały o wiele mniej niż im się wydawało. O Empireum, najbardziej ekskluzywnej grupie ze wszystkich, nikt nic nie wiedział. I teraz to wszystko kłębiło się w jej głowie. Grand Paramount. Adlai Stevenson. Bubba. Kellen Zant, obiecujący wydobyć na światło dzienne informacje na temat wyborów, a potem zastrzelony. Drzemała, na poły na jawie, na poły we śnie, przeglądając wydarzenia ostatnich trzech miesięcy.

I nagle zobaczyła.

Nie całość. Pozostało jeszcze wiele szczegółów do wyjaśnienia. Ale, leżąc tu w tym przegrzanym pokoju gościnnym na parterze popadającej w ruinę rezydencji jej matki w Plaisance-di-Touch, Julia Veazie Carlyle dostrzegła zarys planu Empireum i w końcu zrozumiała, co Kellenowi wydawało się, że wie. Pozostawało tylko pytanie, czy on miał rację.

Spała kiepsko i śniła o śniegu.

IV

Julia nie spodziewała się, że tak trudno będzie jej rozstać się rano z Moną, i to nie dlatego, że

matka okazywała jakieś wyrzuty sumienia, ale dlatego, że to córka była ich pełna. A Mona w żaden sposób nie pomagała jej w przeprasaniu. Zachowywała się, jakby wczorajsza rozmowa w ogóle się nie odbyła. Przy śniadaniu, kiedy jak zwykle Hap kręcił się wokół nich, Julia nagle dostrzegła w swojej matce zarówno więcej, jak i mniej niż zawsze w niej widziała. Mona była stara, coraz słabsza i przygnębiona. Hap opiekował się nią, a Mona, choć w młodości taka żywa, była już w wieku, kiedy potrzebowała tylko, żeby ktoś się nią opiekował.

Ale co było w tym tak straszego?

- Przepraszam, Mono - odezwała się, mając nadzieję, że nie zabrzmie to drętwo.

- Za co, kochanie?

- Za to, co ja... wczoraj ci powiedziałam. Przykro mi.

- To hormony - powiedziała jej matka, tak samo, jak mawiała, kiedy Julia była nastolatką i skakały sobie do gardeł. Tym razem tylko Mona się roześmiała.

Przy posiłku Hap grał rolę arbitra, dbając o to, żeby rozmowa nie zeszła na jakiś temat, który mógłby jeszcze bardziej zdenerwować jego ukochaną. Po śniadaniu Mona oświadczyła, że jest wyczerpana.

- Ale i tak się cieszę, że przyjechałaś, moja droga.

- Ja też.

Julia szła obok matki krótkim korytarzem po splekany parkiecie. Drzwi do głównej sypialni prosiły się o nową warstwę farby. Bezmyślnie marzyła o tym, że gdyby wygrała na loterii, mogłaby należycie zadbać o Monę. Ale w tym momencie odezwał się w niej empiryk, który przypomniał jej, że nie ma co gdybać, a większość ludzi na świecie żyła w zdecydowanie gorszych warunkach.

Mona wzięła dłonie córki w swoje ręce, leciutko je uściśnęła i uśmiechnęła się.

- Moja droga - powiedziała - nie powinnaś mnie słuchać. W moim wieku człowiek ma już skłonność do bajdurzenia. I wydaje mu się, że wszystko wie.

- Myślałam, że obecnie siedemdziesiątka to nowa pięćdziesiątka.

- Tak? Bo czuję się jak stara dziewięćdziesiątka.

- Kocham cię, mamó - nieoczekiwanie wyrwało się Julii.

Mona wyglądała na dosyć zadowoloną, jak człowiek cieszący się na wiadomość o ponownym małżeństwie jakiegoś dalekiego krewnego.

- Ja też cię kocham - odparła, wciąż błędząc gdzieś daleko swoimi orzechowymi oczami. - Ale posłuchaj mnie, moja droga. Ja nie mam pojęcia, co się dzieje w... Ameryce. Nie potrafię zrozumieć tego kraju. Nawet nie wiem, czy kiedyś w przeszłości potrafiłam. Ale wiem jedno. To nie jest dobre miejsce dla naszych ludzi. Dla Murzynów. Dla ciemniejszej

nacji. Dla Afroamerykanów. To nie jest dobre miejsce. Nigdy takie nie było i nigdy nie będzie. - Uniosła dłoń, powstrzymując sprzeciw córki. - Moja droga, jesteś częścią Klanu. Możesz to traktować jak pewną formę swobody, ale to jest jak to lustro tutaj. - Pokazała. - Ludzie w lustrze wcale nie są wolni, prawda? Robią tylko to, co pozwalają im robić ludzie po tej stronie lustra. Kiedy my się poruszamy, oni poruszają się w ten sam sposób. Kiedy my mówimy, oni mówią. A kiedy przerywamy, oni też przerywają.

- Wydaje mi się, że to opisał już Lewis Carroll.

- Posłuchaj mnie, moja droga. Chcesz wiedzieć, co babcia Vee powiedziała mi o Empireum? O ich wielkim planie? Masz rację. Ona już nie była sobą. Sama nie wiem, ile w tym było prawdy, a ile urojeń. A nawet jakiejś fantazji. Ale pomyśl, Julio, jeśli to prawda? Jeśli Empireum nie wymiera? Jeśli skrywają się w cieniu, gdzieś w lustrze, gdzie nie można ich dostrzec, i spiskują, intrygują, starając się zmusić białych do robienia rzeczy słusznych? - Wzruszyła ramionami, wyczerpana. - Tak tylko się zastanawiam, czy ktoś może im powiedzieć, że się mylą?

Nagle puściła rękę córki i zamykając drzwi za sobą, jeszcze raz skryła się na swoim dobrowolnym wygnaniu.

V

Nieusatysfakcjonowana, ale zdając sobie sprawę, że od początku była na to skazana, Julia w końcu wyjechała, odwieziona na stację do Tuluzy przez Hapa, po drodze bezskutecznie rozmyślając nad prawdziwym charakterem jego związku z Moną. Przy bramce na dworcu uściśnął ją niezgrabnie i wręczył jej reklamówkę, zawierającą zapomniane, pięknie zapakowane prezenty gwiazdkowe dla dzieci. Julia poprosiła, żeby przekazał podziękowania Monie, choć podejrzewała, że to on je kupił, i to zupełnie niedawno. Pociąg odjechał z piętnastominutowym opóźnieniem - we Francji była to katastrofa narodowa. Podróż trwała sześć godzin i Julia ponownie większość tego czasu przespała, opędzając się od prób nawiązania rozmowy przez przyjazną parę młodych Amerykanów, którzy usiedli naprzeciw niej i bardzo przypominali tę zakochaną parę, którą minęły z Moną dwa razy na ścieżce w Montech. W Paryżu zatrzymała się w tym samym hotelu, nagle odnosząc wrażenie, że i recepcjonista za kontuarem, i czytający gazetę w holu mężczyzna, i windziarz są elementem jednego wielkiego spisku. Chłopak, który przyniósł jej śniadanie, obserwował ją z ukosa, kiedy ona stała w szlafroku, czekając, aż on wszystko ustawi, i zastanawiała się, czy jego uwagę przykuły jej nogi, czy też ktoś nim kierował.

Na lotnisku okazało się, że opuszczenie tego kraju może być trudniejsze niż opuszczenie Mony. Zobaczyła szeroko otwierające się oczy funkcjonariusza, kiedy przesunął jej paszport pod skanerem. Strażnik zaprowadził ją do małego pomieszczenia na uboczu, gdzie pod czujnym okiem dwóch mężczyzn w garniturach dwie umundurowane kobiety sprawdziły jej bagaż. Jeden z tych mężczyzn był z amerykańskiej ambasady i powiedział, że jest tu, żeby zabezpieczyć jej prawa, ale przez cały czas nie spuszczał oczu ze stołu. Kobiety przejrzały jej kosmetyki i brudną bieliznę. Rozpakowały nawet spóźnione prezenty gwiazdkowe, w których znajdowała się, jak się okazało, niezbyt oryginalna turystyczna tandeta. Jedyne jej samej nie przeszukali - chyba byli skłonni to zrobić, ale powstrzymał ich przedstawiciel ambasady - i całe szczęście, ponieważ właśnie przy sobie Julia ukryła zawartość długiej szarej koperty, którą znalazła wciśniętą do reklamówki między prezentami.

W końcu, z typowo francuską niechęcią, zezwolono jej odejść. Przedstawiciel ambasady przeproszał ją i warknął coś do nich po francusku, ale Julia pamiętała, że amerykański ambasador był jednym z najbardziej zaufanych kumpli prezydenta. Być może w ramach rekompensaty linie lotnicze przeniosły ją do pierwszej klasy. Przez godzinę drzemała, pohamowując naturalną skłonność do pośpiechu, ponieważ wciąż mogła być obserwowana. Następnie poszła do toalety, gdzie wyjęła z ukrycia trzy strony, wcześniej znalezione w kopercie. Po raz już chyba piąty od ubiegłej nocy przeczytała dokument prawny. Powróciwszy na miejsce, ponownie włożyła kartki do koperty, którą wsunęła do bagażu podręcznego. Wezwała stewardessę i zapoznała się z wyborem win na pokładzie - a ponieważ leciała liniami Air France, było z czego wybierać. Dopiero po wypiciu dwóch lampek wina jej ręce przestały się trząść.

Dokument stanowił przyznanie się do przypadkowego zamordowania Giny Joule 14 lutego 1973 roku lub prawdopodobnie tego dnia. Podpisany został przez tego trzeciego współlokatora Lemastera w apartamencie Hillimana, zmarłego Jonathana „Jocka” Hillimana.

Rozdział 53

Przyjazd

I

Lemaster nie chciał jednak wierzyć w ani jedno jej słowo. Po tych wszystkich latach potrafiła już odróżnić chłodną trzeźwość pełnego zachwytu zaskoczenia od delikatnej racjonalności ostrożnego sceptycyzmu. Czekał na nią za stanowiskiem lotniskowej ochrony, uśmiechał się do niej i machał, a potem wręczył jej zrobiony przez Jeannie na lekcjach kwiatek, który miał jej powiedzieć, jak bardzo jest kochana. Kiedy znaleźli się w samochodzie, opowiedziała mu fragmenty całej historii, tym razem zastanawiając się, na ile może mu ufać, a także, na ile on sam jej ufa.

- Ci ludzie są moimi przyjaciółmi - powiedział łagodnym tonem, kiedy jego żona już skończyła. - Chciałbym, żeby to było jasne. Ty, oczywiście, już o tym wiesz, ale chciałbym to podkreślić. Może nie jestem tak do końca obiektywny, ale znam tych trzech gości od ponad trzydziestu lat. No, Jocka może trochę krócej, zważywszy, że jego już nie ma wśród nas.

Julia obserwowała męża, siedząc w toczącym się przez noc mercedesie. Kolejne słupki milowe znikwały wzdłuż Hutchinson River Parkway, małe, błyszczące zielenią w światłach reflektorów, ostro rysujące się na tle drzew i niekończącej się bieli za nimi. Zadzwoiła do niego przed wejściem na pokład samolotu, prosząc, żeby odwołał limuzynę i spotkał się z nią na lotnisku. Prosiła, żeby przyjechał sam - to znaczy bez pana Flew. Nie chciała powiedzieć przez telefon, dlaczego o to prosi, a Lemaster na szczęście nie wypytywał. Wiedziała jednak, że nadszedł czas, żeby zrzucić ciężar z piersi, jak to mawiała babcia Vee.

Albo przynajmniej trochę się nim podzielić. Powiedziała mężowi o przeszukaniu na lotnisku i z jego reakcji domyśliła się, że wkrótce amerykański obserwator zostanie przeniesiony na placówkę w jakimś rojąącym się od komarów zaścianku. Opowiedziała mu o zeznaniu, ale opuściła, przynajmniej na razie, kwestię Empireum, sądząc, że on nie będzie chciał o tym rozmawiać.

- Chcesz powiedzieć, że nie powinnam w to wierzyć?

- Czy nie wydaje ci się, Jules, że to jest wyjątkowo dogodne? Tak się akurat złożyło,

że twoja matka miała pod ręką pisemne oświadczenie Jocka Hillimana, na wypadek gdybyś o to zapytała. - Westchnął i pokręcił głową, tak jak robił zawsze, kiedy wspominał Monę. - A jeśli chodzi o Mala i o prezydenta, nie będę ukrywał, że to nie są ludzie doskonali. To prawda, robili rzeczy, których powinni się wstydzić. Straszne rzeczy.

- Zawahał się. - Takie rzeczy, o których myślała Astrid. Mal i Łach są tak samo... winni. Oni nie są święci, nie są aniołami. Są niedoskonałymi, grzesznymi istotami ludzkimi, tak jak my wszyscy. - Stanowczo skinieniem głową, jakby chciał podkreślić znaczenie tych słów, może przed samym sobą. Odwrócił się, unosząc dłoń w otwartym apelu. - Straszne rzeczy, Julio. I jeden, i drugi. Oraz, owszem, rzeczy, w sprawie których od czasu do czasu szukali u mnie porady. Rzeczy, o których nie wolno mi mówić. Ale to, co ty sugerujesz, Jules, to nie są jakieś drobne grzeszki ani młodzieńcze wybryki. Ty mówisz o morderstwie. Albo, jeśli był to wypadek, ewentualnie o nieumyślnym spowodowaniu śmierci. Ale tak czy owak, chodzi o odebranie komuś życia. Największa zbrodnia w historii wszystkich cywilizowanych społeczeństw.

Uszczypnęła się w nos i przetarła oczy, zastanawiając się, czy to jej mózg był wyjątkowo ociężały po tym lataniu tam i z powrotem przez Atlantyk, czy też to jej mąż jest wyjątkowo tępy. Czy on ma zamiar rozmawiać o tym dowodzie, czy nie?

- Jules, posłuchaj. Nie wyobrażam sobie, że któryś z nich mógłby zrobić coś takiego, o czym ty mówisz. Ani teraz, ani wówczas. - Zmienił pas, żeby wyprzedzić jadący powoli mikrobus. Nadal mówił tonem spokojnym i czułym. Przynajmniej raz nie słyhać było wściekłego hip-hopu. Radio nastawione było na muzykę klasyczną. - A jeśli któryś z nich zrobiłby coś takiego, na przykład przez przypadek, sądzę, że byłby tak przepełniony wyrzutami sumienia i przerażeniem, że nie mógłby normalnie funkcjonować. Wszyscy wiedzieliby, że zdarzyło się coś strasznego.

- Ciebie tam nie było - przypomniała mu Julia. - Studiowałeś na Oksfordzie. To było w lutym. Ty wróciłeś w czerwcu. Minęły cztery miesiące i wszystko mogło się uspokoić.

Natrafiła jednak na jego upór, na Mount Everest, na który od nowa trzeba było się wspiąć.

- Zgoda. Niech będzie. Nie jestem wszechwiedzący. Mogłem się co do nich pomylić. Oni mogli mnie oszukać. A jeśli tak zrobili, cóż, nasuwa się oczywista odpowiedź, że zrobił to Jock. - Stuknął w leżącą na jej kolanach kopertę. - Masz jego zeznanie i wygląda na to, że wierzysz w jego autentyczność. Z tego, co mi mówisz, wynika, że jego jaguar został rozbity tej samej nocy, kiedy zginęła Gina, a Bruce Vallely sądzi, że jego rodzina to zatuszowała. A zatem, jeśli rzeczywiście się mylę, najprawdopodobniej mylę się co do Jocka. - Julia siedziała

jak wmurowana w tropikalnie gorącym samochodzie i nie odzywała się, osaczona wątpliwościami, a jej starannie przygotowana hipoteza rozpadała się pod atakiem jej własnego niepokoju, bo jej wielką zaletą było zdecydowanie, ale nie pewność siebie. Stymulowało ją podejrzenie, że wątpliwości Lemastera również jego samego nękają. - No dobra. Ale spójrzmy na to z innej strony. To przyznanie się do winy wydaje się zbyt dogodne. Wracamy więc do teorii, że zrobił to Mal albo Łach. A to by oznaczało, że jeden z nich, i Bóg jeden raczy wiedzieć ile jeszcze osób, przez te wszystkie lata skutecznie ukrywał informację o morderstwie popełnionym w czasie studiów. I wiedziałby, gdzie wynająć płatnego zabójcę, który zabiłby Kellena Zanta, kiedy ten zbyt blisko zbliżył się do odkrycia tajemnicy. - Na jego twarz powrócił już uśmiech, co prawda nie było to już ciepłe wspaniałe powitanie w spokojniejszym świecie, którym uwiódł ją dwadzieścia lat temu, teraz patrzył na nią arogancki, a nawet bezczelny uczonek, który nigdy się nie mylił i chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli. - Tak, Jules, jedyna ewentualność to tajny spisek, w celu ukrywania straszliwej zbrodni przez te wszystkie lata. Ale chyba możemy sobie tu pozwolić na zastosowanie brzytwy Ockhama. Nie wprowadzajmy zbędnych bytów. Pozwól, że zaproponuję prostsze wyjaśnienie twoich odkryć, nawet jeśli stawiają one Kellena w nieco mniej korzystnym świetle.

Julia wiedziała, że jej mąż wyczuwa błyskawicznie rosnące w niej napięcie - a nawet celowo je wzbudził. Czekala na to, że obali jej argument, tak jak zawsze to robił.

- Ten spisek mógłby być dużo mniejszy, Jules, i mógłby nie mieć nic wspólnego z rzeczywistymi wydarzeniami sprzed trzydziestu jeden lat. - Oczy miał skupione na biegnącej przed nimi drodze. Jego drobne, kompetentne dłonie poruszały się po kierownicy cicho i władczo. - Twoje dowody pochodzą z trzech źródeł. Kellen Zant, Mona Veazie i ta Mary Mallard. Zgadza się?

- Chyba tak. Tak.

- A które z nich jest powszechnie uważane za źródło godne zaufania?

Zrobiło to na niej wrażenie, co zresztą najwyraźniej było jego celem.

- Dobrze, mądrało. Jeśli ta trójka wspólnie spiskowała, choć tylko Bóg może wiedzieć w jaki sposób, to dlaczego to robili? Jaki byłby cel takiej konspiracji?

- Pieniądze - odparł Lemaster.

- Co?

- Pieniądze, Jules. Tylko o tym pomyśl. - Płynnie zjechał na stację benzynową, gdzie władczym tonem oznajmił swoje potrzeby bezczelnemu białemu ekspedientowi, który zaczął wlewać paliwo do baku. Lemaster odwrócił się do swojej żony i dotknął jej policzka z taką

delikatną i zaskakującą czułością, że aż westchnęła. - Jules, posłuchaj mnie przez chwilę. Nie, posłuchaj. Ci mężczyźni, o których mówisz, nie Jock, ci pozostali, jeśli cokolwiek łączy ich, nawet przez jakieś konotacje czy insynuacje, z zamordowaniem nastoletniej dziewczyny, to ich kariery są już skończone.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że Mary, Kellen i Mona zaplanowali jakiś szantaż?
- wyrzuciła z siebie. - Że fabrykowali dowody? Rozpuszczali plotki? Wykorzystali mnie i Vanesę, żeby im pomóc?

- Zdaję sobie sprawę, że to trochę naciągane. I nie mówię, że w coś takiego wierzę. Ale wydaje mi się to dużo bardziej prawdopodobne niż ta nabrzmiała winą trzydziestoletnia cisza, w którą zaangażowanych musiałoby być tak wielu ludzi, że po prostu nie mogłaby pozostać tajemnicą. Staram się wyobrazić sobie, jak ogromna musiałaby być ta akcja tuszowania faktów, i nawet nie jestem w stanie ogarnąć liczb. A do tego jest jeszcze kwestia podrzucenia dowodów, które wskazywałyby na DeShauna Motona...

- Nie widzę, w czym jeden spisek jest gorszy od drugiego - odparła posępna i, co pewnie było jego zamiarem, zdezorientowana.

- Nie chodzi o to, że jest gorszy. Jest mniej prawdopodobny.

- W takim razie, jak wytłumaczysz zachowanie Anthony'ego Tice'a? Albo Astrid? Astrid mówiła, że Kellen dysponuje dowodem, który może...

- Zmienić wynik wyborów. Tak. Ale to byłoby prawdą, nawet gdyby dowody były sfabrykowane. - Zapłacił niegrzecznemu sprzedawcy, dał mu nawet spory napiwek, ponieważ światowiec Lemaster Carlyle wszystkim daje napiwki, nawet jeśli nie w gotówce. Ponownie wyjechał na autostradę. - Nie mówię, że w to wierzę. Sam nie wiem, w co wierzyć. Powiem ci jednak, w co naprawdę wierzę. Sądzę, że Kellen coś kombinował. I sądzą też, że Tony Tice coś kombinował. A teraz dodatkowo sądzą, że ta cała Mary Mallard też coś kombinuje, i mam zamiar tym się zająć. - Tym razem jego głos zabrzmiał groźnie. - Mam już tego dość. Oczywiście, nie ciebie. Chodzi o nich. Nikt nie będzie traktował mojej żony w ten sposób. I nie chodzi tylko o moją żonę. Już najwyższy czas, Jules, żeby biali dali sobie spokój. I nie obchodzi mnie, jacy oni są potężni. Już minęły czasy, kiedy mogli tak po prostu...

- Ktoś za nami jedzie - powiedziała.

II

Jeśli dobrze się przyjrzeć w nocy, można rozróżnić światła reflektorów. Te miały błękitny odcień ksenonu i były bliżej rozstawione niż w większości samochodów, co mogło sugerować

jakieś niskie sportowe auto. Między reflektorami, nieco poniżej ich linii, lśniły dwa światła przeciwmgielne. Trudno było nie dostrzec tego trapezoidalnego układu. Zauważyła go, kiedy wyjeżdżali z lotniska, a potem na autostradzie VanWyck, i nawet kilka samochodów za nimi w kolejce przy wjeździe na płatny most. Ten sam zestaw świateł dostrzegła też wiszący w ciemnościach przy stacji benzynowej.

Nadchodzi taki moment, kiedy zbieg okoliczności przestaje już być zbiegiem okoliczności. Powiedziawszy o tym mężowi, zaczęła obgryzać kłykcie, jak to robiła w dzieciństwie, dopóki Mona nie posmarowała ich jodyną, i teraz czekała, aż mąż zacznie się z niej naśmiewać.

- Od jak dawna? - zapytał.

Julia, zaskoczona, usiadła prosto.

- Co?

- Od jak dawna nas śledzą?

- Od lotniska. Byli też na stacji benzynowej. Lemmie...

- Który to?

- To te ksenonowe reflektory...

- Widzę. - Gładko przemknął na pas służący do wyprzedzania i przyspieszył. Poczowała pieszczotliwą falę ulgi. - Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

- Sądziłam, że mi nie uwierzysz.

- Bez sensu. - Wyciągnąwszy rękę, zmierzwił jej włosy, a potem wcisnął pedał gazu. Mercedes skoczył do przodu, prędkościomierz przekroczył sto czterdzieści kilometrów na godzinę, ale samochód tylko trochę drżał. Julia odwróciła głowę. Tamte światła zaczęły zostawać w tyle. Spojrzała przed siebie i głośno krzyknęła. Jej oczom ukazał się ostry zakręt, Lemaster nacisnął pedał hamulca, potem znowu nacisnął pedał gazu, a auto, którym tylko minimalnie zarzuciło, posłusznie wykonało polecenie.

- Lemmie, zwolnij!

- Trzymaj się.

- Wylecimy z drogi... ach!

Zanim podążający za nimi samochód dojechał do zakrętu, Lemaster ostro skrzył kierownicą w prawo, zaskakując tym kierowcę, któremu zajechał drogę, po chwili już też następny kierowca został z tyłu, a oni mknęli po wyjeździe z autostrady. Wjechali w jakąś aleję i na ulicę miasta gdzieś w Westchester County. Kiedy ona z trudem łapała oddech, on ukrył ich zgrabnie pod estakadą, dzięki czemu ich samochód był z góry niewidoczny, odczekał jakieś dziesięć czy piętnaście sekund - wieczność pokonywana z dużą prędkością - a

potem ruszył i przejechał obok fast foodów i stacji obsługi pojazdów, aż dostrzegł mały bar.

- Napijmy się czegoś - powiedział.

- Lemmie, trzeba do kogoś zadzwonić.

- Nie, nie trzeba. Chodźmy do środka. Musimy porozmawiać. I uwierz mi, oboje musimy się napić.

Spojrzała mu w twarz. Czy aż tak bardzo zdenerwowało go to, że ktoś go śledzi? A może znowu jej ustępował?

- Lemmie, o co chodzi? Co się stało?

Jego uśmiech był łagodny i krzepiący. Znowu dotknął jej twarzy, a kiedy się odezwał, od razu zrozumiała, dlaczego już od momentu spotkania był wobec niej taki ciepły, dlaczego tak delikatnie z nią rozmawiał o tym spisku, a nawet dlaczego tak zaangażował się w ucieczkę przed samochodem, który miał za nimi jechać, choć on nawet przez moment w to nie wierzył.

- Mieliśmy wypadek - powiedział.

Rozdział 54

Ponownie Hobby Hill

I

- To mała niespodzianka, komendancie Vallely - powiedział sekretarz uniwersytetu, stojąc w drzwiach swojego eleganckiego wiktoriańskiego domu przy Hobby Road. Był bez marynarki, z poluzowanym krawatem, a na nogach miał wygodne pantofle. - Człowiek ceni sobie swoją prywatność. Chyba nie zapraszałem pana, a przynajmniej nie przypominam sobie czegoś takiego. Może byłby pan łaskaw wyjaśnić powód swojej wizyty.

- To nie mogło czekać - odparł Bruce, mówiąc poważnie.

- Nie do końca rozumiem, komendancie Vallely.

- Panie sekretarzu, nie przychodziłbym tutaj, gdyby to nie było pilne. Proszę, czy mógłbym wejść?

Trevor Land przez chwilę się zastanawiał. Był piątek, przed chwilą minęła ósma, a Bruce ostatnią godzinę spędził w zaparkowanym w pobliżu samochodzie, czekając na przybycie sekretarza, a potem dając mu kilka minut na zadomowienie się. Bruce nie miał wyboru. Każdy gliniarz wiedział, że łatwiej jest wyprowadzić świadka z równowagi, jeśli się go zaskoczy. Ale być wyprowadzonym z równowagi a być dokładnym to dwie różne sprawy.

W końcu sekretarz usunął się na bok. Hol był szeroki i ładnie urządzone, meble ciężkie, stare i, na niewprawne oko Bruce'a, cenne. Na ścianach, zarówno tu na dole, jak i wzdłuż schodów, wisały obrazy olejne przedstawiające wiejskie pejzaże. Dla Bruce'a przede wszystkim świadczyły o dużych pieniądzach. Trevor Land mieszkał samotnie od śmierci żony, która zmarła dziewięć lat temu. Przez aromat pasty do mebli Bruce wyczuwał zapach odgrzewanego jedzenia i uświadomił sobie, że przerwał starszemu panu kolację.

- Przepraszam, jeśli przychodzę nie w porę, panie sekretarzu...

- Zakładam, że ma pan po temu powody. - Poprowadził go do małego gabinetu wyłożonego boazerią z bogatego i ciemnego drewna, na półkach stały pięknie oprawione pierwsze wydania, na ścianach wisały kolejne krajobrazy. - Proszę usiąść, komendancie Vallely.

Usiadł na sofie, ponieważ krzesła przed biurkiem wyglądały na chwiejące się i kosztowne. Na niskim stoliku obok stała ciężka drewniana szachownica, z figurami ustawionymi w skomplikowanych pozycjach.

- Właśnie jadę z apartamentu Nathaniela Knowlanda - zaczął Bruce, na co Trevor Land wybuchnął - to znaczy, wyduł wargi, odchylił głowę do tyłu i zaczął coś powoli szeptać tak cicho, że Bruce musiał zamilknąć, żeby to usłyszeć.

- To nie moja sprawa, mówić komuś jak ma wykonywać swoją pracę. Ale można by oczekiwać, że jak się o coś rozsądnego poprosi, to druga strona powinna to uszanować. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, komendancie Vallely, ale wydaje mi się, że już rozmawialiśmy o młodym Knowlandzie. Pamięta pan, jego ojciec przyszedł do mnie i poprosił, żebyśmy, w ramach przysługi, zostawili jego syna w spokoju. Tak to już jest, nasi absolwenci są jacy są i bez bardzo ważnego powodu nie trzeba im się sprzeciwiać. Należy zatem podejrzewać, że miał pan taki bardzo ważny powód. Bo w przeciwnym razie, nawet nie chcę wyobrażać sobie, jakie mogą być tego konsekwencje.

- Ja to w pełni rozumiem, panie sekretarzu. I oczywiście ma pan rację. Nie wybrałbym się do apartamentu Nathaniela Knowlanda, nie mając ważnego powodu. Ale taki powód miałem. - Trevor Land skinął głową z lekkim pobłażaniem. Wybierając sofę do siedzenia, Bruce zmusił go, ze względów grzecznościowych, do zajęcia miejsca w jednym z foteli, pozbawiając go w ten sposób tej atmosfery zastraszenia towarzyszącej siedzeniu za biurkiem niewiele mniejszym od tego w Lombard Hall. - Musiałem tam się udać, kiedy zdałem sobie sprawę, że jego opowieść jest nieprawdziwa. To nie mogło tak wyglądać. Tej nocy, kiedy zginął profesor Zant, na Town Street w związku z meczem hokeja obowiązywał zakaz parkowania.

- Odczekał chwilkę, aż ta informacja dotrze do sekretarza. - Dlatego też profesor nie mógł być tam widziany, kiedy wsiadał do samochodu. A jeśli Knowland i jego koledzy tej nocy rzeczywiście byli na Town Street, nawet jeśli byli pijani, z pewnością zauważyli, że nie było tam zaparkowanych żadnych samochodów, więc w razie potrzeby z pewnością wymyśliliby sobie lepszą historyjkę.

- Cóż za fascynująca spostrzegawczość, komendancie Vallely.

- Prawdę mówiąc, niespecjalnie. Musiałem być kretynem, że wcześniej się tego nie domyśliłem. Nathaniel Knowland tego wieczoru nie był w pobliżu Town Street i nie widział profesora Zanta. Ani na Town Street, ani nigdzie indziej. To dlatego nie mógł powiedzieć tego policji. Oni mają spore możliwości sprawdzenia tego. Odszukaliby tych jego wymyślonych kolegów. W ciągu godziny znaleźliby dziury w tej historii, ale ponieważ ja

musiałem pracować samotnie, przez trzy miesiące gonilem w piętke, próbując dojść do tego, po co Zant miałby tam być.

- Fascynująco logiczne rozumowanie, komendancie Vallely. A czy młody Knowland potwierdził te pańskie spekulacje?

- Doskonale zdaje pan sobie sprawę, że nie. Pojechał do domu. Zrobił sobie semestr wolnego.

- Co za szkoda. - Trevor Land zacisnął blade wargi. Sprawiał wrażenie niewzruszonego i nieporuszonego, jak jeden z tych wielkich wiaźów, które dały miastu Elm Harbor jego nazwę, z korzeniami tak głęboko zapuszczonymi w zmarzniętą ziemię Nowej Anglii, że dopiero bomba zmiotłaby go z nóg. - Rozumiem zatem, że nie może pan potwierdzić swojego logicznego rozumowania, tak? To tylko spekulacje. Szkoda.

Bruce pokręcił głową.

- To nie są spekulacje. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

- Nie mam nic przeciw snuciu przypuszczeń, ma się rozumieć. Rozumowanie, spekulacje, domysły, te wszystkie elementy ludzkich zdolności intelektualnych. - Zadumanymi oczami wpatrywał się w krajobraz za plecami Bruce'a. Światło z kinkietów było zdumiewająco jasne, być może stanowiąc wsparcie dla słabnącego wzroku. - Ale z drugiej strony, komendancie Vallely, rozumowanie to nie to samo co fakty, prawda? - Surowy ruch głowy, coś między skinieniem a poleceniem odejścia. - Proszę powiedzieć mi, po co młody Knowland miałby zadawać sobie tyle trudu? Po co miałby zmyślać tę całą historię, a potem uciekać?

- Nie sędzę, żeby to zrobił.

- Proszę to powtórzyć.

- Nathaniel Knowland nie wymyślił tej historii - powiedział Bruce, nachylając się nad dzielącym ich ozdobnym małym stolikiem. - On ją tylko powtórzył.

- W takim razie naturalnie aż się prosi postawić pytanie, skoro nie młody Knowland wymyślił tę historię, to kto, prawda?

- Nie wiem, kto ją wymyślił. Wiem natomiast, kto kazał Nathanielowi mi ją opowiedzieć.

- I któż to mógł być, komendancie Vallely?

- Pan.

Sekretarz uniwersytetu, człowiek z klasą i dobrze wychowany, zachował lodowaty spokój, z rezerwą ukazując lekkie rozbawienie, jak zawsze, kiedy Bruce go spotykał. Poruszył tylko swoimi wymuskanyymi malutkimi ustami, jakby coś przeżuwał, i rzekł:

- To fascynujący pomysł, komendancie Vallely.

- Poparty logicznym rozumowaniem.

- Tego należało się spodziewać.

- Czy mogę się nim podzielić?

- Proszę bardzo. - Złożył ręce na kolanach, jak uważny uczeń.

- Zaczniemy może od założenia, że Nate Knowland kłamał. Kłamał wymyślnie.

Dlaczego miałby to robić? Z pewnością nie chciał się bronić przed władzami. Gdyby sam nie zaczął opowiadać o obecności profesora Zanta na Town Street, władze nie zwróciłyby na niego żadnej uwagi. A zatem kłamał, żeby pomóc komuś innemu, nie sobie, a przynajmniej nie bezpośrednio sobie. - Bruce zatarł ręce z zadowolenia. - Powstaje zatem pytanie, kto mógłby zyskać na tym, że ja uwierzyłbym w to, że tamtego wieczoru widziano profesora Zanta na Town Street, w towarzystwie czarnoskórej kobiety mówiącej z brytyjskim akcentem. Pierwsza odpowiedź, najbardziej oczywista, sugeruje, że morderca na tym zyskuje, jeśli profesor Zant był w tym momencie w zupełnie innym miejscu, które zabójca chce ukryć.

Nawet we wściekłych zarzutach Trevora Landa czuło się spokojną pewność stojących za nim bardzo starych pieniędzy.

- Oczywiście, komendancie Vallely, nie jest pana zamiarem imputować, że ja...

- Że pan zabił Kellena Zanta? Nie, nie, panie sekretarzu. Oczywiście, że nie. Proszę pozwolić mi kontynuować. - Ponownie się uspokoił. W korytarzu głośno tykał zegar szafkowy. - Nie, jak już powiedziałem, moją pierwszą myślą było, że zabójcy zależało na przekonaniu mnie, że Zant był w jednym miejscu, podczas gdy w rzeczywistości był gdzie indziej. Cóż łatwiejszego, jak sprowokować mnie do poszukiwań mitycznej czarnoskórej kobiety mówiącej z brytyjskim akcentem i rozmyślenia nad tym, gdzie ta dwójka odjechała? Ale później przyszło mi na myśl, że ten morderca, jeśli jego główną motywacją było zatuszowanie zbrodni, narażałby się na ogromne ryzyko. Nathaniel Knowland z pewnością nie jest uosobieniem dyskrecji. Mógł podzielić się tą opowieścią z kolegami.

- Doskonale pan to przemyślał, komendancie Vallely.

- W związku z tym doszedłem do wniosku, że ta cała historia musi mieć jakiś inny cel niż tylko wprowadzić w błąd. I znaczenie mają tu szczegóły. Aby to wyjaśnić, muszę powiedzieć panu, że od początku sceptycznie traktowałem tę historię, właśnie z powodu tych szczegółów. Przede wszystkim Nate Knowland zdawał się zdecydowanie zbyt pewny tego, że

jako pierwszy do samochodu wsiadł Zant, a dopiero po nim ta tajemnicza czarna kobieta. Nie sądzę, żeby tak to zostało wymyślone od początku. Podejrzewam, że to ozdobnik wymyślony przez samego Nate'a, a kiedy go dodał, wycofanie się z tego było już trudne, nawet kiedy widać było, że mam co do tego wątpliwości.

Sekretarz głaskał w dłoniach figurkę skoczka, którą porwał z szachownicy. Wisząca na ścianie tablica honorowa uświęcała czterdzieści lat służby dla uniwersytetu.

- Można by zapytać, dlaczego miał pan wątpliwości?

- Ponieważ Kellen Zant był znanym kobieciarzem, mówiono, że potrafi każdą kobietę oczarować. Taki mężczyzna z pewnością otworzyłby drzwi przed kobietą.

- Czasy się zmieniają, komendancie Vallely. Nie zawsze na lepsze, ale się zmieniają. Można mówić o kurtuazji, ale żyjemy w epoce, kiedy to jest już niemodne.

- Tak, ale Kellen Zant wychował się w małym miasteczku na Południu, gdzie maniery mają większe znaczenie i... w każdym razie, nabrałem podejrzeń. To był pierwszy szczegół. Ale są jeszcze dwa inne, w które początkowo w pełni uwierzyłem, dużo ważniejsze. Pierwszy to ta czarna kobieta z brytyjskim akcentem, a drugi to miejsce - to znaczy Town Street. Podejrzewam, że te szczegóły zostały opracowane z wielką starannością, i to wyłącznie dla mojej osoby. Zwłaszcza ta czarna kobieta z brytyjskim akcentem była sprytnym pomysłem, bo odwoływała się do moich, powiedzmy, uprzedzeń. Ja, oczywiście, powinienem założyć, że Nate Knowland jako biały może pomylić akcent brytyjski z barbadoskim. Miałem dojść do wniosku, że tą idącą tamtego wieczoru z profesorem Zantem czarnoskórą kobietą była Astrid Venable, kuzynka Lemastera Carlyle'a.

- Czy można zapytać, dlaczego autor tej historii chciał, żeby pan tak myślał?

- Wyobrażam sobie dwa powody. Astrid Venable pełniła wówczas funkcję starszego doradcy senatora Malcolma Whisteda. Gdyby się okazało, że jest zamieszana, choćby były to tylko plotki, w zabójstwo profesora Zanta, z pewnością nie zwiększyłoby to szans senatora na fotel prezydenta. A po drugie, to umiejscawia śmierć Zanta nieco bliżej tronu.

- Tronu?

- W konsekwencji. Jeśli związek Astrid Venable ze śmiercią Zanta mógłby zaszkodzić karierze senatora Malcolma Whisteda, z pewnością zniszczyłoby to karierę Lemastera Carlyle'a.

- Jak rozumiem, komendancie Vallely, sugeruje pan, że ktokolwiek byłby pomysłodawcą tej historii, celem miało być zaszkodzenie jednej lub drugiej karierze?

- Tak, wydaje mi się to prawdopodobne. Dlatego też pomyślałem, oczywiście, o Cameronie Knowlandzie, ojcu Nate'a i wielkim entuzjście prezydenta. Być może Cameron,

za pośrednictwem swojego syna, wykorzystał to morderstwo, żeby zaszkodzić senatorowi.

Przez moment dwaj mężczyźni rozważali sytuację. Wzrok Bruce'a padł na szachownicę, na te dwie armie, jedną czarną, drugą białą, wечно się zmagające. Gdy tylko jedna bitwa się kończyła, ponownie ustawiano figury i wszystko zaczynało się od nowa. Nieoczekiwanie poczuł się okropnie zmęczony.

- To naprawdę fascynujące, komendancie Vallely. Ale problem w tym, że to nie do końca pokrywa się z faktami. Cameron Knowland był największym entuzjastą w powołaniu Lemastera na to stanowisko, to po pierwsze. Był mu wierny przez pierwsze najtrudniejsze miesiące, to po drugie. A po trzecie, komendancie Vallely, akurat wiem, że oni już od bardzo długiego czasu są przyjaciółmi.

- Tak, panie sekretarzu, o tym też pomyślałem. A poza tym Astrid Venable kategorycznie zaprzecza, jakoby miała być tego wieczoru w Elm Harbor. Znała go, przez jakiś czas spotykali się na stopie towarzyskiej, dwa dni wcześniej z nim rozmawiała, ale tego wieczoru nie widziała się z nim. Tak się składa, że zdaje się mówić prawdę, ponieważ tego wieczoru była na Uniwersytecie Tekszańskim na forum poświęconym mediom i polityce. Może nawet pan to widział na kanale C-Span. - Bruce uśmiechnął się. - I dlatego też doszedłem do wniosku, że celem tego kłamstwa, zakładając, że to jest kłamstwo, nie mogło być doprowadzenie do upadku Lemastera Carlyle'a. Mogło tu chodzić o Astrid Venable albo o Malcolma Whisteda, ale nie o rektora. A to prowadzi mnie do tego drugiego szczegółu, który, moim zdaniem, został przygotowany specjalnie dla mnie.

- A cóż to za szczegół, komendancie Vallely?

- Lokalizacja. Town Street jest położona w odległości zaledwie dwóch przecznic od wieżowca Hillimana, gdzie znajdowało się biuro Zanta, ale jednocześnie stanowi tylne ograniczenie czworoboku Keplera, wydziału teologicznego, którego prodziekanem jest Julia Carlyle. Tak się składa, że Julia Carlyle w przeszłości była też kochanką Kellena Zanta, a z tego, co udało mi się ustalić, wynika, że on do dnia swojej śmierci miał na jej punkcie obsesję. Podejrzewam, że autorowi tej historii zależało, żebyśmy nabrali podejrzeń, że Kellen Zant znalazł się na Town Street, ponieważ wcześniej tego wieczoru był w Keplerze. I nie ma tu znaczenia dlaczego. Miałem skupić uwagę na tej dwójce, na Kellenie Zancie i Julii Carlyle, i zacząć rozważać możliwości.

- To już naprawdę, komendancie Vallely, zaczyna być chore. - Uniósł swoje gładkie białe dłonie, jakby na dowód swojej niewinności. - Oczywiście, wolność seksualna, znak nadchodzących czasów i tak dalej. Tak się składa, że mam akurat poglądy skrajnie liberalne. Każdemu wolno robić, co chce. Ale akurat Julia Carlyle nie wydaje mi się być kobietą,

która...

- W pełni się z panem zgadzam, panie sekretarzu. Zgadzam się. Ale rzecz w tym, że autor tej historii chciał, żebym właśnie w ten sposób myślał.

Na twarz sekretarza powróciła nadąsana mina. Jego oczy wędrowały po półkach z książkami. Być może tam czekała odpowiedź.

- I pan poważnie uważa mnie za, jak to pan określił, autora tej historii?

- Nie, panie sekretarzu. Nie sądzę, że pan to wymyślił. Sądzę, że pan to tylko przekazał dalej. Potrzebował pan naocznego świadka, którego mógłby pan zmusić i zastraszyć, najlepiej syna potężnego ojca, którym mógłby mnie pan poszczuć, żebym był jeszcze bardziej zawzięty, po uświadomieniu sobie, że bogaci absolwenci uniwersytetu nie życzą sobie, żebym dalej prowadził śledztwo. - Nie słysząc sprzeciwu, Bruce pewnym siebie głosem mówił dalej. - A następnie, podsunąwszy mi wcześniej tę historię, mógł pan nadzorować postępy w mojej pracy, zapewniając przez to swoje nieustanne powątpiewanie, że ja będę nieodmiennie wierzyć w słuszność tych podejrzeń.

- A mógłby mi pan powiedzieć, jak właściwie udało mi się zmusić młodego Knowlanda? Zważywszy, że on faktycznie ma, jak to pan raczył określić, potężnego ojca.

- Właśnie dzięki temu potężnemu ojcu. O to mi właśnie chodzi. - Bruce z trudem potrafił usiedzieć na sofie. Chciał podnieść się i przechadzać po pomieszczeniu, ale sekretarz mógłby opacznie to odebrać. - Nathaniel Knowland nie jest orłem w szkole, zbyt wiele czasu zajmuje mu zabawa, żeby poważnie traktował zajęcia. Ale jednocześnie martwił się, co zrobić, żeby nie rozczarować ojca. Jego troski wzrastały w miarę jak pogarszały się jego stopnie. Podejrzewam, że pan wlał nieco otuchy w jego serce. Zawarliście układ, który pozwolił mu zostać na uczelni. Bierze urlop na jeden semestr, a potem jesienią wraca z czystym kontem.

- I w ten sposób wracamy do początku, komendancie Vallely. Nawet jeśli by czysto teoretycznie przyjąć pańską hipotezę, należałoby teraz wyobrazić sobie istnienie jakiejś osoby posiadającej, proszę wybaczyć, dostatecznie wielkie wpływy, żeby nakłonić mnie do udziału w tym nikczemnym planie, jak również motywację, żeby wprowadzić pana w błąd, zarówno w sprawie uczestnictwa Astrid Venable, jak i potencjalnego związku między Kellenem Zantem a Julią Carlyle.

- Zgadza się. A teraz do rzeczy. Moja obecność tu dzisiaj wieczoru wynika z tego, że muszę potwierdzić, i to pilnie, czy to, co właśnie panu powiedziałem, jest prawdą. Nie mogę powiedzieć panu dlaczego, ale ta gra zrobiła się niebezpieczna. Dołączyli pewni nowi gracze. Musimy raz na zawsze położyć kres temu kłamstwu, bo w przeciwnym razie...

cóż, komuś może coś się stać.

Oczy Trevora Landa zwężyły się. Wyglądało na to, że kalkuluje - jeśli wybierze jedno, zyska to, jeśli drugie, tamto. Polityka uniwersytetu zmieniała się i wirowała, ale sekretarz zawsze wychodził z wszystkiego obronną ręką. Pracował pod czterema rektorami, z czego dwóch odeszło nie z własnej woli. Nigdy nawet się nie potknął.

- Bardzo dobrze, komendancie Vallely - odezwał się w końcu. - Załóżmy, że panu wierzę. Ma pan już taką osobę na myśli? Jakąś osobę, która miałaby odpowiednią motywację i odpowiednie... koneksje?

- Tak, panie sekretarzu. Mam. I sądzę, że pan doskonale wie, o kim myślę.

I znowu uśmiech, tym razem bardziej sardoniczny niż rozbawiony. Najwyraźniej Trevor Land podjął już decyzję. - Może jednak powiedziałby mi pan?

- Lemaster Carlyle.

- To naprawdę fascynujące, komendancie Vallely. A czy byłby pan łaskaw powiedzieć mi, dlaczego rektor uniwersytetu miałby...

Zadzwoił telefon komórkowy Bruce'a.

Zignorował go.

- To mi o czymś przypomniało - rzekł sekretarz. Podniósł się z fotela, ale skinął ręką, żeby jego gość nie wstawał. Wziął kopertę z biurka. - Prosił pan o billingi. - Podał je Bruce'owi. - A teraz, jeśli może mi pan wybaczyć, komendancie Vallely, wydaje mi się, że możemy zakończyć nasze spotkanie. Trzeba wrócić do kolacji, zanim zupełnie wystygnie. Proszę dalej nie ustawać w wysiłkach, komendancie. Proszę kontynuować pracę, jak pan dotychczas to robił.

Wracając do samochodu, Bruce oddzwonił do swojej zastępczyni, Turian.

Drżącym głosem powiedziała, że jakiś profesor został poważnie ranny. Kolejny wypadek, którego sprawca zbiegł, na parkingu przed biurem w Langford, niedaleko granic Tyler's Landing.

- Kto to był?

- Kierownik zakładu psychiatrii wieku dojrzewania na wydziale medycyny. Niejaki Brady, Vincent Brady.

Rozdział 55

Nieprecyzyjne informacje

I

- Jak Vanessa sobie z tym radzi? - zapytała Mary Mallard.

- Sama nie jestem pewna. - Julia pomieszała swoją kawę. Siedziały w kawiarence ze świeżymi bajglami na rogu King i Hudson, do której, jak już wcześniej w Białym Domu zauważyła Mary, Julia wpadała z Kellenem, żeby przekąsić coś na szybko. - Jest bardzo... zamknięta w sobie. Nie dopuszcza innych do swoich myśli. Skrywa się za tyloma maskami i pod tyloma warstwami, że choćbyś nie wiem ile ich zdjęła, nigdy nie dotrzesz do sedna.

- Może trzeba się pogodzić z tym, że jej sedno to jej własna sprawa. Może świat nie powinien się wtrącać.

- Może tak.

- Dzieci potrzebują dużo przestrzeni - powiedziała Mary, głosem przepełnionym autorytetem kobiety, która nie wychowała ani jednego dziecka.

- Może.

- Policja twierdzi, że to był wypadek, tak?

Julia skinęła głową, bardziej zakłopotana niż zazwyczaj. Był wtorek. Wcześniej była na uroczystym lunchu w Lombard Hall i dlatego też siedziały z Mary tylko przy kawie. Nie chciała przychodzić na to spotkanie. Nic nie powiedziała Mary o Empireum. - Jego sekretarz twierdzi, że zginęła jego teczka, ale policja zdaje się uważać, że po wypadku został okradziony.

- Coś ostatnio w okolicach kampusu dużo tych wypadków z uciekającymi sprawcami.

- Mary bębniła palcami, wierciła się na ławce i na szereg innych sposobów dawała znać, że jest gotowa zapalić. Na dworze słońce świeciło jasno, ale temperatura spadła grubo poniżej zera, a chłodny wiatr jeszcze pogarszał sprawę. - Julio, posłuchaj. Nic ci nie grozi. Twojej rodzinie też nic nie grozi. Gdyby chcieli cię dopaść, to już by to zrobili. - Odczekała, aż jej słowa dotrą do Julii. - Jeśli to, co się stało z Bradym, to był wypadek, to świetnie. Ale jeśli zależało im na jego teczce, to znaczy, że zależało im na czymś, co w niej było, i jestem

gotowa się założyć, że tym czymś jest kartoteka Vanessy. Chcą się dowiedzieć, co Vanessa powiedziała swojemu psychiatrze, bo chcą się dowiedzieć, co Kellen jej powiedział.

- Nie wydaje mi się, żeby Kellen coś jej powiedział. Ona nie wiedziała, nad czym on pracuje.

- Starają się trzymać na dystans, Julio. Martwią się. Ktokolwiek to zrobił, ktokolwiek naprawdę zabił Ginę, obawia się, że prawda wyjdzie na jaw. - Szybko uśmiech, a potem tak dobrze znane Julii energiczne spojrzenie. - Ale wracajmy do sprawy. - Postukała w kopertę. - Zgadzam się z Lemasterem. To zeznanie jest diablo dogodne.

- Chyba tak.

- Zauważyłaś, że to kserokopia?

- I co z tego?

- Ciekawa jestem, ile jest jeszcze takich kopii. - Dalej bębniła tymi swoimi palcami. - I dlaczego twoja matka miała akurat ten egzemplarz i mogła ci go dać. - Bębnienie, bębnienie. - To mógł być jakiś pomysł, specjalnie przygotowany, na wypadek gdyby ktoś za bardzo zbliżył się do prawdy. - Palce litościwie się zatrzymały. - Powstaje pytanie, ilu ludzi ma takie kopie? I dlaczego twoja matka ci ją dała?

- To nie jest jedno pytanie, lecz dwa.

Zupełnie stosownie, pisarka zignorowała tę uwagę. Ale od razu przeszła do następnego.

- Czego nie chcesz mi powiedzieć?

- Większości szczegółów mojego życia - odparła Julia z werwą.

Mary nawet nie spróbowała się uśmiechnąć.

- Pozwól, że coś ci powiem. Mogłabym zająć się innym tematem na książkę. Bardzo ciekawa wypowiedź demaskatorska pewnego lobbyisty i lewa kasa na Wzgórzu Kapitolu.

- To może lepiej, żebyś się tym zajęła.

- Tak sądzisz?

- Lemmie uważa, że powinnam dać sobie spokój.

- Ale ty tak nie uważasz. - Wzięła do ręki kopertę. - Nie oszukasz mnie, Julio. Planujesz coś nikczemnego, a do tego może nawet nielegalnego. Chcę w tym uczestniczyć.

- Wracam do archiwum.

- Po co?

- Na wypadek, gdyby to zeznanie było kłamstwem. Jak sama powiedziałaś, jest diablo wygodne. - Teraz ona zaczęła bębnić palcami, i to Mary ją do tego zmusiła. - Dysponuję tylko kilkoma stronami dziennika. Za mało, żeby za to płacić. Albo, żeby za to zabić. Musi być ich

więcej. Jestem pewna, że właśnie to Kellen zostawił w bibliotece.

- Kiedy tam idziesz?

Julia wzruszyła ramionami.

- Udało ci się odczytać kilka wskazówek Kellena, prawda? - zapytała Mary.

Kolejne wzruszenie ramionami.

Pisarka była pełna optymizmu.

- Wciąż mi nie ufasz, prawda?

- Nie wiem, kiedy tam pójdę. - Chwila przerwy. - Ale chyba nie potrzebuję twojego pozwolenia.

- Tak... co to chciałaś powiedzieć? Znowu jestem cheerleaderką?

- Hurra, hurra - odparła Julia.

II

Julia zdążyła do domu przed przyjazdem szkolnych autobusów. Jeannie wpadła jak zwykle pełna energii, Vanessa noga za nogą wspinała się po schodach, niosąc na swoich wątłych barkach ciężar historii - niezauważenie w weekend minęła rocznica śmierci Giny i dzisiejszego ranka przy śniadaniu Vanessa zrobiła z tego wielką aferę. Jeremy Flew, który nadal zajmował się porządkowaniem gabinetu Lemastera, objął kuchnię we władanie, żeby przygotować specjalną kolację, a Julia postanowiła się nie sprzeciwiać.

Jeannie uparła się, żeby mu pomóc, i w tym wypadku Julia również postanowiła się nie sprzeciwiać.

Odczekała, aż usłyszy cierpliwe polecenia wydawane przez Jeremy'ego i niefrasobliwe chichotanie Jeannie, i kiedy już wiedziała, że ta dwójka jest w pełni zajęta, poszła poplotkować do pokoju Vanessy. Dziewczyna leżała na łóżku płasko na plecach, z zamkniętymi oczami i założonymi słuchawkami cichutko łkała, słuchając swoich żalobnych pieśni. Julia przysunęła sobie krzesło na kółkach sprzed biurka i usiadła, zmartwionym wzrokiem wpatrując się w leżącą postać. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można się czuć, kiedy twój terapeuta zostaje ciężko ranny, niemal zabity. Delikatnie klepnęła córkę w ramię. Vanessa rozchyliła powieki, ukazując przerażające, przestraszone, zatrwożone oczy, które dopiero po chwili rozpląnęły się w łagodnym uśmiechu. Zsunęła słuchawki z głowy i usiadła, wyciągając skądś książkę, ale Julia dostrzegła ślady łez.

- Chciałam dać odpocząć oczom - odezwała się Vanessa. - Siedziałam nad zadaniem domowym.

- Dobrze się czujesz?

- Uhm.

Minęło kilka długich sekund.

- Kochanie?

- Hmm? - Z nosem w książce.

- Czy mogę zadać ci pytanie?

- Chyba już zadałaś.

- Bardzo zabawne. - Julia podsunęła się bliżej. - Posłuchaj, kochanie. Czy Kellen wspominał kiedyś... o kimś, kogo nazywał Czarną Damą?

Vanessa odwróciła stronę i leniwym gestem sięgnęła po butelkę wody Perrier. Przetłokanie zdawało się trwać wiecznie.

- Wydawało mi się, że miałyśmy już o tym nie rozmawiać.

Julia zagryzła wargę. Wkraczała na obcy teren i nie wiedziała nawet, czyje wojska patrolują granicę.

- A mnie się wydawało, że ustaliłyśmy, że kobiety z rodziny Veazie nie zważają na reguły innych ludzi. - Przerwa. - Jak wiedźma Elphaba.

- Nie.

- Nie jak Elphaba?

- Nie, Kellen nigdy nie wspominał Czarnej Damy. Przykro mi, mamo.

Kiedy już rozczarowana miała wymknąć się chyłkiem, dostrzegła cień uśmiechu na czarującej twarzy Vanessy i uzmysłowiła sobie, że córka położyła jakiś delikatny nacisk na imieniu Kellena. Zerknęła przez ramię, ale drzwi nadal były zamknięte.

- Kochanie, co chcesz mi powiedzieć?

- To, że Kellen nigdy nie wspominał Czarnej Damy.

- Kellen nigdy jej nie wspominał. - Zrozumiała. - Czyli ktoś inny wspominał.

Odwróciła kolejną stronę.

- Uhm.

Ponownie wraz z córką doszły do pytania za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Wymusiła z siebie ton pełen delikatnej cierpliwości.

- Kto, kochanie? Kto wspominał o Czarnej Damie?

- Na pogrzebie Kellena.

- Na pogrzebie Kellena - powtórzyła Julia, jednocześnie zastanawiając się, czy to była Mary Mallard, ale to oznaczałoby, że rozmowa z Vanessą jest tylko dreptaniem w miejscu. Chwilę później przypomniała sobie jednak, że podczas pogrzebu Mary i Vanessa ani przez

chwilę nie były same.

- Na pogrzebie Kellena ktoś wspominał o Czarnej Damie. - Przeglądała w głowie obecne tam osoby: była żona Kellena, Nadia, stryj Kellena, Seth, tłum w domu Seta...

- Uhm. Pamiętasz, jak stałam z dziećmi, które opowiadały mi dawne historie o Arkadelphii? Wściekłaś się, kiedy opowiedziałam tę historię o wojnie secesyjnej? W każdym razie, oni mają tam taką legendę. W tych okolicach są te college, nawet bardzo ładne, widziałyśmy je, pamiętasz? No więc wiąże się z nimi legenda. Była tam pewna studentka, którą chłopak rzucił dla innej laski. - Zakręciła językiem w ustach, a jej twarz na moment pomarszczyła się, kiedy myśli prawdopodobnie powędrowały do Casey'a, który od pewnego czasu nie dzwonił. - W każdym razie według legendy ona rzuciła się z dzwonnicy, a od tamtego czasu jej duch nawiedza teren kampusu.

- I to jest ta Czarna Dama?

- Zgadza się. Mówią na nią Czarna Lady z Arkadelphii.

- To część jego przeszłości - szepnęła Julia, głównie do siebie, zastanawiając się, jak mogła przeoczyć coś tak oczywistego. Czyżby jednej z jego kobiet rzeczywiście udało się skończyć z sobą? Będzie musiała znaleźć wymówkę, żeby pojechać do Arkadelphii, ale skąd ma wiedzieć, czego szukać...

- Aha, mamó - Vanessa, nie odrywając oczu od książki, przewróciła się na brzuch, sygnalizując koniec rozmowy równie jednoznacznie jak Lemaster, kiedy odwracał wzrok do komputera. - Jest jeszcze jedno.

- Co takiego, kochanie?

- Chodzi o tę Czarną Damę. Ona jest biała.

III

Julia stała w oknie salonu, tuż obok fortepianu Steinwaya, obserwując nocny korowód świateł reflektorów Hunter's Meadow Road, po której przejeżdżało zdecydowanie zbyt wiele samochodów, jak na względnie niewielką liczbę domów na wzgórzu. Zawsze wyobrażała sobie, że w niejednym z tych aut siedzą ciekawscy mieszkańcy miasta, którzy chcieli zobaczyć wspinały dom wybudowany przez czarną rodzinę, może aby się pogapić albo poszydzić, a może po prostu spróbować zrozumieć to dziwne nowe zjawisko afroamerykańskiego bogactwa - ponieważ na ile wiedzieli biali Amerykanie, przed wprowadzeniem na przykład działań wspierających grupy wcześniej dyskryminowane, żaden czarnoskóry nigdy nie miał pieniędzy ani wykształcenia.

A może niektóre z samochodów jej samej nie spuszczały z oka. Julia czuła, że ktoś tam jest, stale ją obserwując, i tylko czeka, aż ona wyłoni się z nadwyżką Kellena, gotowy wyrwać to z jej rąk i zanieść to... komuś innemu. Wiedziała o tym, ponieważ Mary jej to powiedziała, ponieważ w Paryżu zdarzyło się to, co się zdarzyło, ale też dlatego, że to wyczuwała, tak jak w nagłej delikatnej zmianie kierunku zimowego wiatru mieszkańcy Nowej Anglii potrafią wyczuć cichutki szept obłoków, których nie widać, bo są za horyzontem, a za nimi ma nadejść zbierająca się burza, choć na razie niebo jest przejrzyste i wspaniale błękitne.

Starła się, korzystając ze wszystkich dostępnych możliwości, wymknąć się tej inwigilacji, którą czuła, choć nigdy jej nie zauważyła. Wypożyczenie od Smith tego małego urządzenia, ukrytego obecnie w schowku w escalade, stanowiło część jej planu.

Teraz musiała opracować nowy plan.

Czarna Dama była biała.

Julia czuła się głupio.

Już od tygodni starła się odnaleźć współnika Kellena w tym przestępstwie, tę kobietę, którą nazwał Czarną Damą, nie zdając sobie sprawy, że Czarna Dama skrzętnie podąża za nią. Myślała, że jest taka mądra, a tu okazało się, że jej biały cień przechytrzył Julię, zmyloną założeniem, że Czarna Dama jest czarna, a do tego jest Siostrzaną Damą, i że Czarna Dama nigdy nie będzie tak przebiegła, żeby odwrócić od siebie podejrzenie, sama wymieniając to określenie.

Postanowiła przygotować się i zeszła do pokoju gościnnego w suterenie.

Mały Jeremy Flew nie spał i ubrany od stóp do głów otworzył przed nią drzwi, zanim jeszcze zdążyła zapukać.

- Dobry wieczór, pani Carlyle - odezwał się, jakby jej wizyta nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

- Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

- O czym?

- Raczej o kim niż o czym.

- W takim razie proszę uznać moje pytanie za odpowiednio poprawione. - Trudno jednak było dostrzec na jego twarzy uśmiech.

- Czy pamiętasz, jak odciągnąłeś ode mnie pana Huebnera wtedy na Main Street?

- Oczywiście.

- Otóż jest jeszcze ktoś inny, kogo chciałabym nie dopuszczać do siebie.

- Obawiam się, że mogła pani niedokładnie zrozumieć co ja...

- Proszę, Jeremy. Wiem, kim tu jesteś. Nie powiem, żeby mi się to podobało, ale ja to rozumiem.

- Tak - odparł po małej chwili.

- Czy w takim razie pomożesz mi? Proszę.

- Być może. - Baczne oczy połyskiwały blado i prostolinijnie. Miał na myśli dosłownie to, co powiedział. Przyszło jej na myśl, że on musi kogoś najpierw zapytać. - A kim jest ta osoba, przed której obecnością miałbym panią chronić?

- To kobieta o nazwisku Mary Mallard.

Rozdział 56

Ponownie Norport

I

- Rick Chrebet wyjechał na wakacje - powiedział Bruce Valley. - Wraca w przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że twoje pytanie może poczekać.

Ponownie siedzieli w restauracji Ruby Tuesday, ale tym razem Julia była bardzo wymagająca i tajemnicza. Chciała, żeby Bruce przekonał swojego dawnego partnera, porucznika Chrebeta, aby ten udzielił jej odpowiedzi na jedno pytanie. Nie powiedziała Bruce'owi, jakie to pytanie, ale najwyraźniej sądziła, że ta odpowiedź ujawni... w zasadzie ujawni prawie wszystko.

- Ale zorganizujesz to spotkanie? - zapytała.

- Oczywiście.

- W takim razie, dobrze - odrzekła Julia, jakby wszystko było już ustalone. - Opowiedz mi teraz o doktorze Bradym.

- A co tu opowiadać? To był wypadek. Typowy wypadek, którego sprawca zbiegł. Tylko że ty oczywiście w to nie wierzysz. Ja też. - Chwila przerwy. - Może więc powiedziałaabyś, czego oni szukali?

Julia zawahała się, najwyraźniej rozdarta niepewnością, aż w końcu zdecydowała się podrzucić mu malutką ceną informację.

- Vanessa nie ma pojęcia o tym, co się dzieje. Chciałabym, żeby to było jasne. Ona nic nie wie. Ale niektórym ludziom wydaje się, że jest inaczej. Z mojego gabinetu zginęła kartoteka, a też możliwe jest...

- Chcesz powiedzieć, że ktoś próbował zabić Vincenta Brady'ego, żeby zajrzeć do jego kartoteki?

Julia wzruszyła ramionami i ugryzła hamburgera. Nie była przekonana do żadnej teorii.

- Ale dlaczego od razu zabijać? Nie mogli włamać się po prostu do jego biura?

- Vanessa ma nowego terapeutę. Nazywa się Sara Jacobstein. Wypisaliśmy niezbędne

wnioski, żeby Sara miała dostęp do wszystkich akt Vanessy, ale wtedy okazało się, że zgodnie z informacjami gabinetu doktora Brady'ego, wiele kartotek zaginęło. Nie ma śladów włamania, nikt nie uruchomił alarmu.

- I sądzisz, że Brady miał z sobą te kartoteki? W swojej teczce?

- Może.

- Ale po co miał nosić je z sobą?

Wykrzywiła twarz w uśmiechu.

- Od tego mamy gliniarzy. Żeby znaleźć odpowiedzi na takie pytania. Może nad nimi pracował. Może chciał je sprzedać. Wszystko jest możliwe.

Kiedy już zegnali się na parkingu, Bruce podjął jeszcze jedną próbę.

- Julio, sama sobie z tym nie poradzisz.

- Z czym?

- Proszę, nie bawmy się w jakieś gierki. Są pewne sprawy, o których nie masz pojęcia.

Pojawiły się zainteresowane strony. Kellen Zant rozpętał burzę. I to nie tylko polityczną. To dużo więcej. Bardzo bym nie chciał, żebyś...

Urwał.

Przez dłuższy czas stali tak, patrząc na siebie, i po chwili oboje zaczerwienili się i odwrócili wzrok.

- Bruce? - odezwała się, kiedy już się rozstawali.

- Tak, Julio?

- Kim był ten człowiek? Ten, który zaczepił mnie na stacji benzynowej Exxon?

- To był reporter. Przecież ci mówiłem. - Wyglądało na to, że nagle spieszo mu było uwolnić się od niej.

- Z jakiego czasopisma?

- Z jednego z tych tabloidów. Nie pamiętam nazwy.

- W każdym razie dziękuję ci. - Przyjacielski uścisk. - Za wszystko.

- Spojrzała mu prosto w oczy. Jej własne, jak sobie uzmysłowiła, były bardziej szare niż piwne. - Chciałabym, żebyś wyświadczył mi jedną przysługę. - I znowu krzywy uśmiech.

- I to wielką.

- O co chodzi?

- Przestań mnie śledzić.

- Co?

- Bruce, chciałabym, żebyś przestał za mną chodzić. Jestem całkowicie bezpieczna. - Cofnęła się, w pełni panując nad sytuacją. - Po prostu czekaj na mój telefon.

II

Bruce obserwował ją z pewnej odległości, kiedy wsiadała do escalady, drobna, elegancka, kompetentna kobieta, zaciekle broniąca swojej rodziny. Nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek sprawdzał powiązania Vanessy z Kellenem Zantem. To dlatego upierała się zrobić to sama. To dlatego chciała, żeby Bruce trzymał się na dystans. Przynajmniej miał nadzieję, że Julii zależało na ochronie tylko tej tajemnicy. Bo w przeciwnym razie Julia chroniłaby to, co odkrył Zant, albo, co byłoby jeszcze gorsze, chroniłaby tę osobę, której odkrycie Zanta dotyczyło.

Zastanawiał się, czy wiedziała, że Jeremy Flew dużo częściej niż Bruce depta jej po piętach, i czy wie o nim tyle samo co Bruce.

I czy też zdawała sobie sprawę, że chyba nikt nie miał pojęcia, gdzie ten mały człowieczek przebywał owej nocy, kiedy zastrzelono Zanta.

- Uważaj na siebie - rzucił Bruce, bardzo cicho.

Było dla niego zupełnie jasne, choć Trevor Land w żaden sposób tego bezpośrednio nie potwierdził, że to Lemaster jest autorem absurdalnej historyjki, którą opowiedział mu Nathaniel Knowland, ozdabiając ją na swój sposób. Rektorowi uniwersytetu jakoś udało się doprowadzić do zamknięcia dochodzenia, a potem zręcznie poprowadził Bruce'a tak, że to on, a nie Rick Chrebet i jego zespół, wpadł na trop. Czemu miało służyć zamknięcie śledztwa, żeby zaraz potem je otworzyć? Dlaczego Lemaster chciał, żeby kierownik ochrony kampusu chodził za jego żoną, poszukując dowodów istnienia jakiegoś powiązania? Nie potrafił poradzić sobie z tym pytaniem, ale wyczuwał, że odpowiedź znajdowała się na wyciągnięcie ręki, ukryta wśród już zebranych przez niego informacji, i gdyby tylko udało mu się trochę poruszyć tym wszystkim, prawda sama wpadłaby mu w ręce.

Rozdział 57

Ponownie bibliotekarz

I

Tym razem Julia pewnym krokiem weszła do pracowni w archiwum, dzierżąc w dłoni kserokopie rewersów Kellena. Jesteś już nowym człowiekiem, powtarzała sobie, choć gdzieś w głębi drżała na myśl, że znowu może zostać odprawiona z kwitkiem. Jesteś nowym człowiekiem. Celowo wybrała późną popołudniową porę, ponieważ rano ruch był większy, a za cel obrała panią Bethe, a nie Rodericka Rutherforda, ponieważ powszechnie wiadano, że pani Bethe raz na jakiś czas pozwala sobie na uśmiech.

Ale nie dzisiejszego dnia.

- Te numery nie pasują do dokumentów w sprawie Joule - wyjaśniła jej pani Bethe, której aż dech zapało, że ktoś może myśleć inaczej. - Te wszystkie pozycje znajdują się w innych zbiorach.

- Wiem o tym.

Pani Bethe oddała jej rewersy.

- Proszę więc wpisać nazwy odpowiednich zbiorów we wskazanym miejscu. Zgodnie z przepisami należy...

- Tak, pani Bethe, wiem, co mówią przepisy. Ale skoro ma pani już te numery, chyba wystarczy tylko udać się do wskazanej półki i przegródki, żeby je znaleźć, prawda? Wydaje mi się, że nie ma tu żadnych praktycznych przeszkód, prawda?

Pani Bethe nosiła prowincjonalne okulary, sznur pereł i bliźniak. Już od ćwierć wieku pełniła funkcję asystentki w archiwum i nie widziała różnicy między różnicą zdań a bezczelnością.

- Proszę zaczekać - rzuciła i zebrała rewersy, na moment wlewając w serce Julii wspaniałą nadzieję. Ale zaraz ją zniszczyła, przechodząc przez małe pomieszczenie do biura głównego archiwisty.

No to pięknie.

Chwilę później pojawił się Roderick Rutherford, który, pocierając dłońmi, jakby przed

chwilą trzymał w nich coś brudnego, podszedł do niej, a pani Bethe powróciła do swojej klitki.

- Słucham, pani dziekan, w czym dzisiaj moglibyśmy pomóc?

- Chciałabym, żeby pan udostępnił mi kartoteki z tej listy. - Podała mu stronę, na którą skopiowała numery folio i tomów. Bibliotekarz przez chwilę się temu przyglądał, ściągnąwszy brwi, a jego wymuskane usta poruszały się, jakby wymawiał te cyfry.

- Czy mogę zapytać, do czego ich pani potrzebuje?

- Czy nie wystarczy sam fakt, że ich potrzebuję?

- Ależ nie, droga pani dziekan, absolutnie nie. Archiwa są dostępne wyłącznie dla uczonych, którzy są autentycznie zainteresowani materiałami znajdującymi się w naszej kolekcji. - Zwrócił jej kartkę. - Nie mogę zezwolić pani na przeglądanie tych kartotek bez uzasadnionego naukowego powodu.

Znowu - tylko nie to!

- Panie Rutherford, a co można zaliczyć do naukowych powodów?

- Założmy, że pisze pani książkę lub artykuł, który wymaga od pani, żeby...

- Zgadza się, właśnie to robię.

- Co pani robi, pani dziekan?

- Piszę artykuł. Artykuł na temat tego, co trzydzieści lat temu stało się z Giną Joule.

Proszę. Mam już naukowy powód.

Rod Rutherford nieczęsto się uśmiechał. Widząc teraz jego uśmiech, Julia już wiedziała, dlaczego tak rzadko to robił, i miała nadzieję, że nieprędko ponownie to zobaczy. Uśmiech był wąski i arogancki, nie poruszał żadnej innej części twarzy, która pozostawała skupiona na niej - taki jasny promienny uśmiech, jakiego można się spodziewać na twarzy małego chłopca dla zabawy odrywającego skrzydełka żywemu motylowi. Albo uśmiech nastolatki palącej ojcowskiego ciemnogrnatowego mercedesa na Town Green w rocznicę śmierci Giny Joule.

- Niestety, pani dziekan, problem polega na tym, że ja pani nie wierzę.

- Proszę?

- Uważam, pani dziekan, że pani mnie okłamuje - mówił spokojnie. - Nie ma żadnego artykułu.

- Kłamie?! Oskarża mnie pan o kłamstwo?!

Ten jej wybuch zupełnie zaszokował panią Bethe, która właśnie kończyła pracę - a to oznaczało, że lekko odwróciła głowę w stronę długiego stołu do pracy, jakby wsłuchiwała się w jakąś odległą muzykę, niepewna, czy ją rozpoznaje. Nawet nie spojrzawszy w ich stronę,

podeszła do ciężkich drzwi zamykających podziemia, przekręciła zamek i ustawiła alarm. Potem wyszła.

- Zgadza się, pani dziekan. Oskarżam panią o kłamstwo. Oczywiście, w normalnych warunkach nie byłaby to moja sprawa. Ale ponieważ nie wierzę w pani autentyczne cele naukowe, nie mogę zgodzić się na pani prośbę. - Rozłożył szeroko ręce. - Gołym okiem widać, że pani nadal stara się dowiedzieć, jakie dokumenty profesor Zant przeglądał, jeśli w ogóle je przeglądał. A odnośne przepisy zabraniają mi udzielania takich informacji. Chyba już to pani mówiłem.

- Tak, panie Rutherford, mówił pan. Przepis dwadzieścia dwa ce, to chyba pan wspominał. Przyjęty przez senat uczelni w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, zgodnie z poprawką Buckleya.

- Zgadza się, pani dziekan.

- Tylko że poprawka Buckleya została przyjęta przez Kongres dopiero w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku. Sprawdziłam to. Sam pan mi radził bliżej przyjrzeć się przepisom, więc tak też zrobiłam.

Jego brwi delikatnie się zmarszczyły.

- Być może się pomyliłem.

- Nie wydaje mi się. Pan nie popełnia takich błędów. Chyba że robi pan je celowo. - Ze swojej torby na ramię wyjęła uczelniany regulamin. Odnalazła żadaną stronę. - Jest tu coś jeszcze. Oto przepis dwadzieścia dwa. Tu nic nie ma o kwestii prywatności, prawda? On dotyczy dwóch rodzajów komitetów wydziałowych, stałego i tymczasowego. - Stukała palcem w odnośny fragment regulaminu. - I są tylko dwa podpunkty, a oraz ce.

- To fatalnie. - Jego długie blade dłonie znowu wykonywały ten ruch, jakby się myły. - Bardzo fatalnie.

Julia lekko się uśmiechnęła.

- Niezły pan jest, panie Rutherford. Naprawdę niezły. Nigdy bym nie odgadła, że ta cała pana historia to tylko pozory. Ale, jak już powiedziałam, pan nie popełnia takich błędów. Celowo udzielił mi pan tej fałszywej informacji. Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego pan to zrobił.

Pokręcił głową.

- Niestety, nie mogę naruszyć tajemnicy. Niezależnie od tego, jaki punkt przepisów ma tu zastosowanie, nie jestem w stanie powiedzieć pani, czy profesor Zant tu był ani jakie kartoteki przeglądał.

- Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego pan wymyślił tę opowiastkę o przepisach.

- Przepisy, pani dziekan, istnieją dla dobra całej społeczności. Dla każdego z nas.

- Ja tylko...

- I naszych rodzin.

- Naszych rodzin?

Zignorował jej zaskoczenie.

- I nie ma pani żadnego upoważnienia? Jakiegoś nakazu ani czegoś podobnego?

- Nie, ja...

Och!

Człowiek szlachetny. Rod. Metal szlachetny. Czy to możliwe?

- Proszę zaczekać - powiedziała, starając się mówić głosem na tyle władczym, na ile tylko potrafiła. - Proszę tu zaczekać.

- Ojejku. - Spojrzał na zegarek. - Jak ten dzień ucieka. Już wpół do szóstej. Trzeba zamykać na noc.

- Pięć minut - rzuciła i nie czekając na jego odpowiedź, pobiegła do swojego gabinetu. Otworzyła torebkę i wyjęła pęknięte lustro ze sklepu Luma's Gift. Dwie minuty później już znowu stała przed Rutherfordem.

- A co niby ja mam z tym zrobić, pani dziekan? - wyszeptał bibliotekarz, spod zmarszczonych brwi patrząc na lustro położone na jego podkładce na biurko. - A co to właściwie jest?

- Pan dobrze wie, co to jest. - Taką przynajmniej miała nadzieję. - To moje upoważnienie.

- Raczej mało prawdopodobne.

- Ma pan gdzieś schowaną drugą połówkę. Powinien pan sprawdzić, czy do siebie pasują. A wtedy powinien mi pan dać to, czego chcę.

Ponownie pokręcił głową, odmawiając przyjęcia podanego przedmiotu.

- Gdybym rzeczywiście był w posiadaniu tej drugiej połówki, jak to pani nazwała, nie musiałbym tracić czasu na sprawdzanie, jak to pani określiła, czy do siebie pasują. Na pierwszy rzut oka byłoby to widać.

- Czy chce pan powiedzieć...

- Jest już wpół do szóstej, pani dziekan. Archiwum jest już zamknięte.

- Panie Rutherford, pan nie może tak po prostu...

- Obawiam się, że jestem zmuszony. - Podniósł się już na nogi, chudy i imponujący. - Niestety, pani dziekan, nie jestem w stanie już więcej pani pomóc w tej sprawie. Przepisy jednoznacznie określają porę zamykania archiwum.

- Nie może pan tak po prostu przerwać tej rozmowy.

- Myli się pani dziekan. - Szarpał się z ciężką kurtką zimową, która bardziej podkreślała niż skrywała jego wychudłą postać. - Właśnie to mogę zrobić.

Włożył czapkę, wyłączył wszystkie światła oprócz jednego, wiszącego bezpośrednio nad stołem, przy którym wcześniej siedzieli, i wyszedł.

Julia stała, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia.

Dźwięk przekręcanego zamka. Włączyło się czerwone światło.

Alarm został włączony. A Julia Carlyle została sama, zamknięta w archiwum.

II

W pierwszej chwili pomyślała, że to musi być przypadek. Rod Rutherford, wytrącony z równowagi jej żądaniami, jak zawsze na koniec dnia wykonał przewidziane czynności, wychodząc z archiwum dokładnie o wpół do szóstej, ponieważ zawsze tak robił, z wyjątkiem niedziel, kiedy odpoczywał. Ale to było absurdalne. Z pewnością wśród przewidzianych czynności było sprawdzenie archiwum, czy przypadkiem nikt się nie ukrył, żeby zakłócić doskonale warunki przechowywania wiedzy.

A może było wprost przeciwnie. On celowo ją tu zostawił.

Tak czy owak, odpowiedź była jasna. Julia zaczęła walić pięściami w ciężkie podwójne drzwi prowadzące na schody i wzywać go, potem wołała już kogokolwiek - ale oczywiście nikt nie mógł jej usłyszeć, ponieważ po zamknięciu archiwum cała ta część biblioteki była opustoszała.

No to pięknie.

Tym razem wspinaczka do okna nie wchodziła już w rachubę. Kraty zostały naprawione. Już wcześniej zdążyła to sprawdzić.

W nadziei chwyciła za swój kapryśny telefon komórkowy, ale kiedy podniosła klapkę, okazało się, że do podziemi, otoczonych metalowymi belkami i betonem, nie dociera żaden sygnał. Na biurku archiwisty stał aparat telefoniczny, ale słuchawka była zablokowana za pomocą zamka, który przypominał jej studenckie czasy, kiedy niezapłacone telefony stanowiły istotny problem budżetowy, a Julia nie miała do niego klucza. Wyjrzawszy przez drzwi, zauważyła, że telefon pani Bethe jest zabezpieczony w podobny sposób.

No to pięknie, Julio. Naprawdę pięknie. Archiwista zamknął cię w środku. Teraz to możesz już tylko sięść i czekać, aż przyjdzie Eglomiś i cię pożre. Albo aż ktoś wpakuje ci kulkę w tę twoją głupią łepetynę.

Ze wszystkich sił starała się uspokoić.

Przecież musi być jakiś powód.

Pierwsza hipoteza - Roderick Rutherford ubabrał swoje wypielegnowane paluszki w poszukiwaniach nadwyżki Kellena. Kellen nie żyje. Boris Gibbs nie żyje. Bruce Valley próbował ją ostrzec, że jeśli nie da sobie spokoju, ona również może skończyć tak jak oni. Może więc rzeczywiście gdzieś tu czał się Eglomiś, a ona była następna w kolejce.

Zadrzała na całym ciele i podniósłszy się, ponownie zaczęła walić pięścią w drzwi i krzyżeć. Zdawała już sobie sprawę, że nikt jej nie usłyszy, ale nie mogła znieść bezczynności.

Kiedy paniczny strach już zupełnie ją opuścił, Julia z powrotem usiadła na ziemi.

Druga hipoteza - nikt tu nie czekał, żeby ją zabić. A to oznaczało, że w tym szaleństwie Rodericka Rutherforda był jakiś sens. Przecież jutro rano ktoś otworzy archiwum i od razu ją tu znajdzie, a ona zadba o to, żeby bibliotekarz stracił pracę, a może nawet trafił do więzienia. A to oznaczało, że on raczej nie spodziewał się, że Julia na niego doniesie.

A dlaczego nie?

Nie miała najmniejszego pojęcia. Może byli po tej samej stronie. Podeszła do drzwi zamykających podziemia i je pchnęła. Światelka zamrugały gniewnie. Oczywiście, żeby wejść, trzeba znać kod dostępu. Alarm na drzwiach zewnętrznych, kombinacja dla drzwi wewnętrznych, a tylko Roderick Rutherford i jego asystentka znali oba te kody. Takie były przepisy, mające zabezpieczyć przed kradzieżą...

Przepisy.

Przepisy?

Co takiego on jej powiedział? Przepis 22 c. Nieistniejący przepis.

Na panelu były cyfry i litery. Nacisnęła 2, 2, C i pchnęła drzwi.

Czerwone światelka zamigotały.

Dobra, nie odgadła. Ale archiwista skłamał nie tylko, podając ten numer, ale też, podając rok, w którym przepis został przyjęty.

Spróbowała kombinacji 2, 2, C, 1, 9, 7, 3.

Bez efektu.

Co jeszcze mówił?

„Został przyjęty po pięciomiesięcznej debacie”.

Nacisnęła 2, 2, C, 5. Nic. Potem 2, 2, C, 1, 9, 7, 3, 5. Nic. Próbowała różnych kombinacji tych samych cyfr i liter, ponieważ stanie przy drzwiach i naciskanie kolejnych potencjalnych kombinacji zamka przynajmniej zdawało się nieco rozsądniejsze niż siedzenie

w kącie i ryczenie jak zarzynany bawół.

Aż w końcu się udało.

Pięć miesięcy oznaczało kombinację pięciu cyfr i liter.

Nacisnęła 2, 2, C, 7, 3. Światelko zmieniło kolor na zielony. Metaliczny trzask, wilgotny i ciężki w chłodnej ciszy. Pociągnęła za klamkę, a masywne drzwi lekko poddały się pod jej ręką.

Rozdział 58

Automatyczne poziomowanie

I

Światła były wyłączone, ale uzbroiła się w latarkę zabraną z biurka bibliotekarza. Również w tej części budynku okna były zakratowane i wychodziły na parking, więc gdyby włączyła górne światło, nie można było bagatelizować możliwości, że jej obecność zostanie zauważona. Omiotła snopem światła ogarniające ją ciemności. Skrzyło się na szklanych witrynach zawierających cenne księgi i holografy, a ta wystawka wydała się jej dosyć zabawna, zważywszy na to, że nikt nie miał tu wstępu. Na końcu tego małego, niesamowitego muzeum znajdowała się winda. Zobaczyła typowe drzwi z okienkiem w kształcie rombu i wytartą mosiężną płytką z jednym pękniętym plastikowym przyciskiem i dwiema lampkami: WOLNE i ZAJĘTE. Lampka WOLNE świeciła blado. Żeby wejść do windy, trzeba było ręcznie otworzyć drzwi, chwycić za rączkę i odsunąć zasuwane skrzydło. Głupi system, beznadziejnie przestarzały, ale Claire Alvarez nie uzbierała jeszcze pieniędzy na remont. Zamknawszy te wszystkie urządzenia za sobą, Julia na moment zawahała się, zanim nacisnęła przycisk drugiego poziomu podziemi, gdzie, zgodnie z tym, co mówiła Suzanne de Broglie, nikt nigdy nie bywał. Gdzieś z wyżej położonej części biblioteki dobiegł ją świst i pomruk silnika. Kiedy winda z chrzęstem ruszyła, Julia odniosła wrażenie, że słyszy jakiś inny dźwięk, dochodzący jakby z pracowni, ale przecież tam nikogo nie mogło być. Rozległby się alarm. Rozejrzała się po wąskiej kabinie windy. Kiedy Julia była studentką, ta część biblioteki należała do głównych zbiorów, dostępnych dla wszystkich posiadaczy uniwersyteckiej legitymacji. Pamiętała, jak jechała tą samą windą do tego samego podziemia innej zimowej nocy, prawdopodobnie bardziej podenerwowana niż teraz, szukając wielkiego Lemastera Carlyle'a, osiem lat od niej starszego, który powiedział jej, że będzie do późna pracował.

Po długich rozważaniach i głośnej sprzeczce z Tessą, postanowiła pozwolić mu się uwieść. A ponieważ, jak zawsze, działała pod wpływem impulsu, zdecydowała od razu przejść do czynów, więc skoro on był w bibliotece, no cóż, niech będzie biblioteka...

Zajmij się tym, po co tu przyszedłeś, poleciła sobie stanowczo, bo tamto minęło już całe

wieki temu. Polizała wargi. Winda jechała bardzo wolno. Umieszczona na poziomie oczu odklejająca się czerwono-biała nalepka ostrzegała nieostrożnych: KABINA NIE POSIADA FUNKCJI AUTOMATYCZNEGO POZIOMOWANIA, WYCHODZĄC NALEŻY ZACHOWAĆ SZCZEGÓLNA OSTROŻNOŚĆ. Nieźle. Gdybym była osobą zachowującą szczególną ostrożność, przede wszystkim nie byłoby mnie tutaj.

Chwyciwszy torebkę obiema rękami, w ten sposób chcąc powstrzymać ich drżenie, Julia Carlyle jechała w dół, obserwując skrzypiące piętra po drugiej stronie drzwi, przez okropną chwilę mając wrażenie, że ta winda wiezie ją do samego piekła, gdzie czeka ją kara za grzechy, i że już nigdy nie zobaczy swojej rodziny. A zaraz potem pomyślała, choć również to musiało być wytworem jej wyobraźni, że ten dźwięk, który usłyszała, zanim winda ruszyła w dół, był trzaskaniem otwieranych na górze podwójnych drzwi.

Nie ma co, to na pewno Eglomiś idzie po nią.

Nie. To nie on. Klucze mieli tylko Rod Rutherford i pani Bethe. Rutherford ją tu zamknął, a pani Bethe z pewnością nie przyszłaby tu, żeby ją wypuścić. A to oznaczało, że na górze nie było nikogo. Skończ z tym, Julio. Zajmij się tym, po co tu przyszłaś.

Bez względu na czerwoną nalepkę, Julia i tak się potknęła, wychodząc z windy. Wszystko jej się wywaliło. Zbierając torebkę i rozsypane kserokopie, zauważyła, że podłoga kabiny znajduje się jakieś pięć centymetrów poniżej poziomu podłogi. NIE POSIADA FUNKCJI AUTOMATYCZNEGO POZIOMOWANIA, w rzeczy samej.

Zasunęła za sobą kratę i weszła na najniższy poziom biblioteki. Jakże dawno tu nie była. Zatrzymała się na chwilę, wciągając przez nos powietrze i wsłuchując się w prądy powietrza, aż w końcu doszła do wniosku, że jest tu sama.

Szła wzdłuż rzędów pomalowanych na stalowoniebieski kolor regałów, jej kroki dźwięczały na metalowych płytach podłogi, prawie zupełnie nie zwracała uwagi na wiekowe książki i stare broszury, starannie poukładane stosy folio kazań, sprawozdań, listów, dzienników i protokołów stanowiących niezwykłą historię religii w Nowej Anglii. Jej wzrok nie zatrzymywał się na pozycjach znajdujących się na półkach. Patrzyła na litery i cyfry. Nie myliła się. Wiedziała, że ma rację. To właśnie tutaj, w trzewiach wydziału teologicznego, Kellen ukrył brakujące fragmenty swojej nadwyżki. Ukryte za szyfrem, który tylko Julia potrafiła odczytać, schowane w miejscach, do których tylko Julia mogła pójść. Nie potrafiąc za życia wywabić Julii z jej świata, ekonomista po swojej śmierci zapewnił sobie jej obecność w swoim świecie.

Chwilami sądziła, że jego celem nie było dążenie do sprawiedliwości, lecz mściwość.

- To chyba trochę egocentryczne, Jules - powiedziała, sama przerażona wiernym

naśladowaniem delikatnie korygującego tonu męża. - Nie zawsze chodzi o ciebie.

- Ale Kellenowi chodziło o mnie - odparła mu słowami, których nigdy nie powiedziała by Lemasterowi prosto w twarz. - Poza tymi chwilami, kiedy było inaczej.

Była już blisko. Liczby na półkach coraz bardziej pasowały do wypisanych na trzymany w dłoni formularzach. Wszędzie pełno było kurzu. W przeszłości ze zbiorów stale korzystano, kiedy naukowcy i studenci sądzili, że można uzyskać jakąś wiedzę z czytania słów wielkich myślicieli minionych wieków w języku, w którym zostały one przez nich zapisane - na drukowanych stronach, a nie na ekranie komputera. Obecnie już chyba nikt nie dba o takie miejsca - nikt poza garstką tradycjonalistów, jak jej mąż, ludzi, którzy lubią wziąć do ręki odzwierciedlenie minionych pokoleń, być może jako przypomnienie, że gmach moralności i rozumu, na którego zbudowanie strawili swoje życie, jest mniej przemijający niż wydawałoby się to tym, którzy przeskakują przez idee za pomocą myszki i klawiatury. Trwałość wymaga czasu - nic, co potrafi przetrwać, nie zostało szybko zbudowane.

- Czas zacząć - powiedziała Julia.

Dotarła do pierwszego z miejsc zaznaczonych przez Kellena, zakurzonego kąta ze zbiorem osiemnastowiecznych kazań. Odnalazłszy odpowiednie litery i cyfry, wyciągnęła z niebieskiej teczki z tuzin gęsto zapisanych kartek, z wyblakłym atramentem, autorstwa jakiegoś mało znanego...

Jakiś dźwięk, gdzieś w ciemnościach przed nią.

Instynktownie skierowała światło w stronę przejścia między regałami, ale nic nie zobaczyła.

To musiał być łomot. Julia była tego pewna. Łomot książki spadającej z półki, na przykład strąconej nieuważnie położoną ludzką ręką. Ale nie na tym poziomie, stwierdziła. Piętro wyżej.

Był tu ktoś jeszcze.

Ale kiedy zgasiła światło i intensywnie się wsłuchała, wokół panowały absolutne ciemności i cisza.

Dosyć tych bzdur z latarką.

Po omacku odszukała na ścianie włącznik światła, nacisnęła go i natychmiast odskoczyła, słysząc świst uruchamianego silnika.

Jej tętno i oddech powróciły w okolice normy, kiedy uzmysłowiła sobie, że był to tylko dźwięk rozklekotanej windy wezwanej na wyższy poziom biblioteki.

Nie miało to nic wspólnego z jej osobą.

Tylko że biblioteka była zamknięta, drzwi do archiwum podłączone do systemu

alarmowego i z wyjątkiem Julii, nikogo tu nie powinno być.

Spokojnie. Spokojnie. Może winda jest tak zaprogramowana, że automatycznie wraca na górę. Silnik przestał pracować. Przesuwne, ręcznie otwierane drzwi nie szczęknięły - słyszałyby to tu na dole.

Była sama.

Z powrotem do pracy.

W środku mało znanego kazania jeszcze mniej znanego osiemnastowiecznego kaznodziei znalazła wciśniętą schludną białą kopertę, taką jak Kellen przylepił pod jej fortepianem. Kolejną znalazła wepchniętą we wczesny szkic zapomnianej monografii arystotelesowskiego pojęcia Boga, autorstwa mało ważnego religioznawcy sprzed stu lat. I na koniec, filuternie wtuloną w program dorocznego przedstawienia satyrycznego zorganizowanego przez studentów Keplera z rocznika 1953, roku, w którym urodził się Kellen, znalazła trzecią.

Właśnie wcisnęła ją do torebki, kiedy odgłosy kroków na metalowych schodach skłoniły ją do podniesienia baczego wzroku.

- Proszę natychmiast stąd wyjść - wyszeptał Roderick Ryan Rutherford, a jego upiorna twarz, wykrzywiona w maskę dezaprobaty, unosiła się nad nią wśród zaciemnionych regałów.
- Z pewnością zdaje sobie pani dziekan sprawę z tego, że nie wolno pani przebywać samotnie w archiwum. Takie zachowanie jest absolutnie wbrew przepisom.

Podobnie jak obejmowanie i całowanie archiwisty w policzek, ale i tak to zrobiła.

II

Nigdy się nie dowiem, dlaczego to zrobił, mówiła sobie, pospiesznie zмирzając do swojego biura. Co do tego, że Rod Rutherford pomagał Kellenowi przy tym jego projekcie, nie było wątpliwości. Przekazał jej wskazówki już podczas pierwszej wizyty, a potem, kiedy przyszła z upoważnieniem w dłoni, udawał, że odmawia, ale zostawił ją samą w archiwum, żeby mogła zajrzeć do zbiorów. Po odczekaniu odpowiedniego czasu, powrócił, żeby ją wypuścić, i chociaż zdecydowanie odmówił jej możliwości zabrania dokumentów z sobą, cierpliwie czekał, aż ona je skseruje - ale uparł się, że obciąży jej uniwersyteckie konto za wykonanie tych odbitek. Grzecznie, choć stanowczo, odmówił udzielenia odpowiedzi na jej pytania, powołując się na obowiązek dochowania tajemnicy. Po jej wyjściu został jeszcze w środku, najprawdopodobniej kręcąc się po bibliotece i odkładając wszystko na miejsce.

Dlaczego pomagał Kellenowi? Matka Roda była bibliotekarką w Keplerze, pierwszą

kobietą na tym stanowisku, a on pomagał jej w czasie letnich wakacji, rozwijając własne zainteresowanie tą tematyką. Był za młody, żeby interesować się Giną Joule, ale nie za młody, żeby ją znać. Może rodziny Rutherfordów i Joule'ów były bliskimi znajomymi. Może ten związek był bardziej luźny - albo bardziej oczywisty.

Nigdy się tego nie dowie, a sam pan Rutherford nigdy jej tego nie powie. Poufność. Lojalność. Tajemnice. Kłamstwa. Czy cały świat tak funkcjonował, czy też była to jakaś specjalność tej uczelni w Nowej Anglii? Bo przecież poza krótkim pobytem na Manhattanie, gdzie poznała może dwa nazwiska sąsiadów, tak naprawdę nigdzie indziej nie mieszkała.

Prawdopodobnie częściowo pod wpływem paranoi archiwisty, pozamykała drzwi prowadzące do sekretariatu i do gabinetu, a potem usiadła przy biurku w towarzystwie jedynie lampki do czytania i zabrała się za badanie znalezisk.

Koperty były dogodnie oznaczone cyframi 1, 2 oraz 3, pochyłym pismem Kellena, zaczęła więc od pierwszej i jak się okazało, najgrubszej. Cały szereg listów od Merrilla Joule'a do żony, która po śmierci Giny wyjechała do Europy. Czytała, czując, że coraz bardziej ją to wciąga.

4 kwietnia 1973

Najdroższa Anno,

mam nadzieję, że ten list zastanie Cię w dobrym zdrowiu i że Ty wraz z Margaret wciąż korzystacie z wakacji za granicą. Tutaj wszystko po staremu. Prezydent Nixon stara się wymigać i wykręcić, ale sądzę, że już niedługo będzie musiał ustąpić. Na uniwersytecie pogoda ostatnio była zbyt zimna na antywojenne demonstracje, ale wyobrażam sobie, że z nadejściem wiosny wszystko zacznie się na nowo. W Landing sytuacja powoli się uspokaja, i to tak, jak przewidywałaś. Muszę skłonić się przed twoją przenikliwością. Proszę, abyś pamiętała, że sprawiedliwość może przybierać różne formy. Przez całe swoje życie dążyliśmy do sprawiedliwości, która raczej polegać powinna na rozdawaniu, a nie karaniu. Czy powinniśmy to teraz porzucić tylko dlatego, że zginął ktoś z naszej rodziny? Naszym wrogiem jest zły system, nie źli ludzie. Eduard ma rację. Naszym zadaniem nie jest poszukiwanie dalszej kary, lecz naprawianie świata, najlepiej, jak potrafimy. Dobrym przykładem jest tu to, co się dzieje w tym kościele. Ważne, aby teraz pójść dalej...

W tym kościele - panna Terry? Czyżby ta przybierająca różne formy sprawiedliwość skłoniła ich, żeby oni - co? - zapomnieli o zemście w zamian za coś lepszego?

Julia nie była w stanie określić, ile listów wymieniła ta para przed kolejnym, który

Kellen gdzieś wynalazł. Ale teraz ton listu wyraźnie się zmienił. Zniknął gdzieś uspokajający, nieomal protekcyjny pan domu, który ledwo zauważał żalobę swojej żony czy też przyznawał się do swojej własnej, w jego miejsce pojawił się natomiast człowiek spanikowany.

12 października 1973

Najdroższa Anno,

mam tylko chwilę na skreślenie tego listu. Siedzę właśnie w biurze Kena Steinberga, tak, wiem, co myślisz o prawnikach, ale Ken to prawie rodzina, a ja, szczerze mówiąc, potrzebuję jego porady. Sytuacja się zmieniła. Jestem obserwowany. Tak, wiem, tak sądzi każdy paranoik. Ale przecież mnie znasz, kochanie. Nie mam skłonności do konfabulacji. Jestem obserwowany. Czuję ich czarne oczy na mnie, nawet kiedy ich nie widzę. Czuję w pobliżu ich oddech. Oni wykonali swoją robotę. Wszystkich zmylili, kierując ich w złą stronę. Przesłoniли to, co powinno być oczywiste. Dałem im słowo, że przyjmuję ich wizję sprawiedliwości, a jednak nie wierzą, że dotrzymam warunków umowy. Nie sądzę, żeby mogli kontrolować pocztę Stanów Zjednoczonych. Ale kto to może wiedzieć. Proszę Cię jednak, uważaj. Jestem zdania, że powinnaś przedłużyć swój pobyt w Europie, dopóki nie dam Ci znać, że jest już bezpiecznie...

Julia ponownie przeczytała kluczowe zdania. „Wszystkich zmylili, kierując ich w złą stronę”. Sfabrykowali dowody? Sfabrykowali alibi? „Jestem obserwowany”. Zadrzała. „Czuję w pobliżu ich oddech”.

- Wiem dokładnie, jak się czujesz - powiedziała.

Trzeci list był datowany prawie pięć miesięcy później. W swojej pracy Vanessa napisała, że po śmierci Giny Anna Joule wyjechała w długą podróż po Europie. Najwyraźniej skorzystała z rady męża.

7 marca 1974

Najdroższa Anno,

zniszcz ten list zaraz po przeczytaniu. Obawiam się, że wszystko się wali. Czekają nas losy Nixona. Nie da się tego zatuszować. Zawsze znajdzie się jakiś donosiciel. Zawsze. I znowu Twoja mądrość się sprawdziła. Lepiej jest dążyć do prawdy. Szkoda, że Cię nie posłuchałem. Ale jeszcze nie wszystko stracone. W przeciwieństwie do Nixona, my mamy jakiś wybór. Przyjaciele nas nie opuścili. I uważam, że nasza długotrwała walka o sprawiedliwość bardzo

nam się tu przydaje. Jesteśmy dobrymi ludźmi, i ty, i ja. Nie jesteśmy jakimiś potworami. Popelnialiśmy błędy, ale błędy to nie to samo co zło, prawda? Droga do piekła nie musi być wybrukowana błędnymi ocenami, zwłaszcza że zrobiliśmy co w naszej mocy w tej sytuacji. Zadbaliśmy, aby nasza ukochana córka nie umarła nadaremnie. Jeśli się mylimy, to najwyżej przesadziliśmy z miłością bliźniego.

Chcąc umieścić listy we właściwym kontekście, Julia otworzyła drugą kopertę, w której, jak się okazało, znajdowały się kolejne strony z dziennika posterunkowego:

Nie potwierdziło się alibi żadnego ze studentów, ale mamy się tym nie zajmować. A ponadto, zważywszy na te wszystkie krążące pieniądze, nikomu nie mogę ufać. Nawet swoim ludziom. Nawet samemu sobie.

Wciąż za mało. Z pewnością nie były to jeszcze wszystkie dowody zebrane przez Kellena.

Z niepokojem sięgnęła po ostatnią kopertę. Kolejna kserokopia...

Julia nagle poderwała głowę. Usłyszała trzask otwieranych drzwi prowadzących z korytarza do sekretariatu, chociaż była przekonana, że je zamknęła. Przypomniała sobie dźwięk windy jadącej w górę, kiedy ona sama była w podziemiach biblioteki, i jak wówczas pomyślała, że winda została zaprogramowana na powracanie na główne piętro, ale dopiero teraz przyszło jej na myśl, że Rod Rutherford zawsze korzystał ze schodów, a tej zdezelowanej, starej windy najprawdopodobniej nie można było programować w ogóle.

Julia nie miała gdzie się schować. Siedziała nieruchomo, czekając aż wpadnie tu Eglomiś.

Drzwi otworzyły się szeroko i Julia zamarła.

- Naprawdę niezła jesteś - powiedziała Mary Mallard z uśmiechem.

- Dobra jesteś w te klocki.

III

Julia już zerwała się z miejsca, pospiesznie wciskając wszystko z powrotem do kopert.

- A ty skąd tu się wzięłaś? - zapytała ostrym tonem. - Jak tu się dostałaś?

Uśmiech Mary nieco zbladł.

- Rozumiem, że nadal mi nie ufasz.

- Nie życzę sobie, żebyś pojawiała się w moim pobliżu.

- Co się stało? Sądziłam, że mam być twoją cheerleaderką. - Machnęła niewidzialnymi pomponami. - Nie pamiętasz? Hurra, hurra?

- Chyba wysłałam ci e-maila z informacją, że nie powinniśmy się spotykać.

Pisarka ponownie się uśmiechnęła.

- Cóż, wbrew temu, co mogłaś usłyszeć, ja nie daję sobą tak łatwo dyrygować.

- I co, Mary? Przyszłaś tu i... co? Śledziłaś mnie?

- Trochę.

Julia pokręciła głową.

- Jak się tu dostałaś? - powtórzyła, przez cały czas uważając, żeby znajdowały się po dwóch stronach biurka.

- Z dostaniem się do budynku nie było żadnych kłopotów. Czekałam, aż wyjdzie stąd paru studentów, a oni przytrzymali mi drzwi. Dziewczyny nikt nie podejrzewa o złe zamiary.

- Uniosła trzymany w ręce klucz. - A jeśli chodzi o gabinet, cóż, przyznaję, że zwędziłam ci je w Bostonie, potem zrobiłam duplikat kluczy i wsunęłam ci je z powrotem do torebki podczas naszego spaceru w parku Common. Nieźle, co?

Usta Julii poruszały się bezgłośnie.

- To podłe.

- Dobra, może i jestem podła, a nie jestem czarująca. Praca nad książkami, jakie piszę, co nieco mnie nauczyła.

Julia patrzyła za jej plecy, zastanawiając się, co się stało z Jeremym Flew albo też, czy myliła się w swojej ocenie jego obowiązków.

- Okłamałaś mnie - powiedziała.

- W jakiej sprawie?

- Mówiąc o Czarnej Damie. Sprytnie to wymyśliłaś.

- Co wymyśliłam?

- Żeby tak udawać. - Wcisnęła już koperty do torebki. Jednocześnie wymacała gaz łożawicy, który Lemaster kazał jej nosić. Nigdy go jeszcze nie użyła, ale ani myślała pozwolić, żeby ten materiał dostał się w niepowołane ręce. Nie wiedziała, dla kogo Mary pracuje. Wiedziała tylko, że chce, by ta kobieta na zawsze zniknęła jej z oczu. - A teraz, Mary, proszę, nie chcę już nigdy z tobą rozmawiać ani też cię widzieć. Proszę, wyjdź stąd.

Dziennikarka rozłożyła szeroko ręce, a na jej kaczek twarzy pojawiła się nadąsana mina.

- Julio, ja nie wiem o czym ty mówisz.

- Mówię o tych wszystkich bzdurach z Czarną Damą. Od początku mnie oszukiwałaś.

- Nieprawda, Julio. Nigdy cię nie oszukiwałam.

- Nie? A pamiętasz, jak mnie sprawdziłaś przed spotkaniem w Białym Domu? Ale ja w końcu też zmańdrałam. Też cię sprawdziłam. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś spokrewniona z prezydentem?

Twarz Mary pociemniała.

- Żartujesz sobie, tak? Znalazłaś to na tej idiotycznej stronie internetowej. Wcale nie jesteśmy spokrewnieni. Nasze pokrewieństwo to jakaś dziesiąta woda po kisielu. A to znaczy, że być może mamy wspólnego przodka, który podpisywał Deklarację Niepodległości. Daj spokój, Julio. Rozumując w ten sposób, moja rodzina jest spokrewniona z prawie wszystkimi prezydentami. - Uśmiech rozpaczy. - A twoja pewnie też.

- Po prostu sobie idź.

- Julio, co jest w tych kopertach? Kogo ochraniasz?

- Nikogo. Chcę, żebyś sobie poszła.

Mary pokręciła głową.

- Tego nie mogę zrobić. Za parę tygodni ruszą prawybory w Iowa. - Pokazała na torebkę Julii. - Musimy skorzystać z tego, co tam masz, Julio. Nie możemy pozwolić, żeby facet, który chce zasiąść w Gabinetcie Ovalnym, uniknął kary za morderstwo.

- Wychodzę. - Obeszła biurko dookoła. - I proszę, nie próbuj mnie śledzić.

- Julio, zaczekaj. Stój. Powiedz mi, co się dzieje.

- Mary, zejdź mi z drogi.

Dziennikarka wyciągnęła rękę.

- Powiedz mi, co jest w...

Julia nacisnęła zawór gazu łzawiącego, tryskając jej prosto w twarz.

Rozdział 59

Luty 1973

I

- Masz szczęście, że ona nie chce cię pozwać - powiedział Lemaster.

- Musiałam się bronić!

Jej mąż pokręcił głową. Stał przed toaletką z lustrem i ćwiczył z hantlami.

- Może zdołalibyśmy doprowadzić do jej aresztowania za włamanie się i bezprawne wkroczenie. Ale wiadano, że się przyjaźnicie. Żaden sąd nie uwierzy, że ona cię zaatakowała. - Zrobił krótką przerwę. - Nawet ja w to nie wierzę.

Julia aż się spociła, tak była zdenerwowana i wściekła na samą siebie, i skryła się, naciągając koce na głowę. Nigdy wcześniej nie zaatakowała nikogo gazem. Sądziła, że będzie jak w filmach, czarny charakter będzie sapać, trzeć oczy, upadnie na ścianę, kiedy ona obok niego przebiegnie. Ale Mary tylko wrzasnęła, jej ręce uniosły się do gardła, a ciało wpadło w drgawki, jeszcze zanim upadła na podłogę, gdzie zwinęła się jak płód, na przemian targana torsjami i wymiotując, aż w końcu Julia przestała ją przytulać i przeproszać na chwilę dostatecznie długą, żeby wykręcić 911. Pół nocy spędziła na pogotowiu, czekając na informację o jej stanie.

Lemaster ćwiczył rankami, przed wyjściem na uniwersytet. Julia właśnie miała położyć się spać.

- A tak w zasadzie, to o co wam poszło? - zapytał. - O co walczyłyście?

- Chcę dowiedzieć się, co zdarzyło się tej nocy, kiedy zginęła Gina. Co naprawdę się zdarzyło.

- Ja wtedy byłem w Anglii, Jules. Nie było mnie tu.

Julia zerwała koc z głowy i usiadła.

- Otwórz moją torebkę.

- Hmm?

- Moją torebkę.

Z pogodną miną podał jej torebkę, wcześniej odkładając ciężarki, i usiadł przy niej na

łóżku, ubrany w strój sportowy. Otworzył wąską podręczną torbę. Znalazł koperty.

- O to chodzi?

- Zajrzyj do koperty oznaczonej numerem trzy.

Spełnił jej prośbę, patrząc z rosnącym zdeprymowaniem na kartki z listów i strony dziennika. Jego dobry humor znikł zupełnie, kiedy dotarł do ostatniego dokumentu.

- Nie - powiedział.

- Tak - odparła.

- To niemożliwe.

- A jednak. - Julia usiadła na łóżku. - Kochanie? Chyba już czas, żebyś wyjawiał mi prawdę.

Trzymał w dłoni kserokopię lotniczego biletu powrotnego. Po chwili przeniósł wzrok na Julię, a ona, widząc jego udręczoną minę, chciała go objąć i już zawsze chronić, zaraz po tym jak rozstała się z myślą, żeby już nigdy na niego nie spojrzeć.

Bilet był wystawiony na lot z Londynu do Bostonu, datowany na luty 1973 roku, na nazwisko Lemastera.

- Przyleciałeś na urodziny Baya Dennisona - powiedziała Julia. - Nigdy ich nie opuściłeś.

II

Ubrali się ciepło i zeszli po opadającym w dół trawniku w stronę zbiornika wodnego za domem, a ich wysokie buty przyjaźnie chrzęściły na śniegu.

- Nie wiem wszystkiego - odezwał się Lemaster. - A w zasadzie nawet niewiele wiem. Albo nie wiedziałem. Teraz wiem już więcej. - Spojrzał na nią. Julia starała się zachować jak najbardziej obojętny wyraz twarzy.

- Tak. Masz rację. Wróciłem na urodziny Baya. Po przyjeździe miałem jeden wolny dzień, więc wybrałem się na kampus.

- Spotkać się z kolegami?

- W zasadzie nie. Chciałem zajrzeć do książek i rzeczy, które zostawiłem w apartamencie Hillimana. Chciałem sprawdzić, czy nikt ich nie ruszał. Moi współlokatorzy mieli zwyczaj przekładać moje rzeczy. Wydawało im się, że to jest zabawne. Przyjechałem czternastego wieczorem i w domu nikogo nie było. Kiedy sprawdziłem rzeczy, okazało się, że jakimś cudem wszystko jest na miejscu. Przywitałem się z kilkoma osobami w akademiku, ale ponieważ byłem wyczerpany po podróży, poszedłem spać, zakładając, że rano pojedę

samochodem na przyjęcie. - Dotarli do ogrodzenia. Lemaster chwycił się go, jakby bał się upaść. Zaczął mówić silniejszym głosem. - A potem, mniej więcej o... gdzieś o drugiej albo trzeciej w nocy obudziłem się. A raczej obudził mnie jeden z moich współlokatorów. Powiedział, że ma wielki kłopot. Stało się coś strasznego.

- Który współlokator? - zapytała, ale wyprzedzała opowieść.

- Zapytałem, co się stało. Nie chciał mi powiedzieć. Mówił tylko, że wpadł w tarapaty i... no, może oni wszyscy byli w tarapatach. Był pijany, płakał i się bał. Bardzo się bał. A ja, musisz pamiętać Jules, miałem wtedy dwadzieścia lat. Nie byłem pewien, co mam zrobić. Powiedziałem mu, żeby się przespał, a rano wszystko będzie lepiej wyglądać. Położył się do łóżka. A ja wtedy wstałem, ubrałem się, zabrałem swoje rzeczy, wsiałem do samochodu i wyjechałem. Pojechałem prosto do Bostonu. W zasadzie tak, wydaje mi się, że opuściłem go w potrzebie. Ale musisz wiedzieć, Jules, że moi koledzy z pokoju często się upijali, często pakowali się w kłopoty i zawsze prosili mnie, żebym się tym zajął. Mówili na mnie Wielki Brat. I wydaje mi się, że nie miałem zbyt wielkiej chęci im pomagać. To ja przyjeżdżam do Stanów na zaledwie siedemdziesiąt dwie godziny, a ten gość chciał, żebym cały swój pierwszy dzień spędził na rozwiązywaniu jakichś jego problemów? Nie, dziękuję. Pojechałem prosto na przyjęcie do Bostonu.

Znowu ruszyli wzdłuż ogrodzenia. Julii zrobiło się już zimno, ale nie chciała przerywać.

- Tego samego wieczoru odbyło się przyjęcie. W pewnym momencie znalazłem się sam na sam z Bayem Dennisonem i powiedziałem mu, co się stało. Chyba nawet poprosiłem go o rozmowę. Może on po prostu zapytał mnie, jak tam leci. Nie jestem pewien. W każdym razie opowiedziałem mu o swoim koledze. Bay przemyślał sprawę, a potem rzekł, że powinienem wrócić i przekazać swojemu współlokatorowi, że jeśli sprawa jest faktycznie tak poważna, niech przyjedzie do Bostonu i opowie tę historię Bayowi, a on zobaczy, co da się zrobić. Pomyślałem sobie, że to świetne wyjście, Bay potrafi rozwiązywać problemy, ten mój kolega ma dobre koneksje, może jednak będę mógł coś im pomóc. Następnego dnia, to był już szesnasty, pojechałem z powrotem do Elm Harbor, odnalazłem kolegę i powiedziałem mu, żeby wybrał się porozmawiać z Bayem. Zapewniłem go, że Bay będzie w stanie rozwiązać jego problem. W tamtych czasach sądziłem, że Byron Dennison wszystko może. I może faktycznie tak było.

- Pojechał tam? - zapytała Julia, kiedy jej mąż na jakiś czas umilkł.

- Tak. Pojechał. Ja w tym czasie byłem już z powrotem w Anglii. Nie wiedziałem, o jaki problem chodziło ani też jak Bay to załatwił. Ale mój współlokator napisał list, w którym

informował mnie, że wszystko w porządku i że jest moim dłużnikiem. Wystarczy, że o coś poproszę, a on da mi wszystko, co tylko będę chciał. I teraz, i już zawsze.

Na przykład załatwi pozbycie się Camerona Knowlanda, pomyślała Julia, ale tego nie powiedziała. Albo zwolnienie Astrid. Na przykład zamknięcie śledztwa albo wpakowanie Tony'ego Tice'a do aresztu.

- Po moim powrocie w lipcu okazało się, że moi współlokatorzy zrobili się wyjątkowo troskliwi. Jeśli wcześniej byłem Wielkim Bratem, to teraz byłem już Panem i Władcą. Czułem się z tym dziwnie. Miałem wrażenie, jakbym ich wszystkich uratował, podczas gdy w rzeczywistości żadnego z nich przecież nie uratowałem. Ja tylko wysłałem jednego z nich na spotkanie z Bayem. Ale oni i tak zaczęli wyświadczać mi przysługi, chociaż ich o to nie prosiłem, i stale powtarzali, że są moimi dłużnikami, że wystarczy, jak tylko poproszę, i tak dalej. Oczywiście, nie odrzucałem ich pomocy, chociaż byłem nieźle zakłopotany. Nie miałem pojęcia, co oni zrobili ani też co zrobił Bay.

- To zeznanie - podsunęła mu Julia, ale Lemaster chciał wszystko powiedzieć na swój sposób.

- Skończyłem studia, poszedłem do pracy. Potem zmieniłem pracę, poszedłem na wydział teologiczny, tam cię poznałem i pobraliśmy się.

- Zapomniałeś powiedzieć, że się zakochałeś.

- To się rozumie samo przez się. - Doszli do granicy posiadłości, schowanej głęboko w zimowym lesie, i zataczając koło, wracali inną drogą. - W każdym razie, w tym czasie byłem już w Empireum. Jako mało ważny członek. Tak zwany Legionista.

- Oni nie są na wymarcu, co?

- Nie. Raczej nie. Są... w podziemiu. - Zawahał się. Teraz nie mówił o własnych doświadczeniach, lecz o rzeczach, co do których złożył przysięgę, że ich nigdy nie wyjawia. - To stanowi część ich strategii, Jules. Ważną część. Pozostawanie w ukryciu.

- Jakiej strategii?

- Mającej na celu pomoc naszej społeczności. Posłuchaj, Jules. - Przyspieszył kroku i aż sapała, żeby za nim nadążyć. - Weźmy pod uwagę hipotetycznego studenciaka, z bogatej rodziny z szerokimi koneksjami, uczącego się w jednej z najbardziej prestiżowych uczelni. Jego rodzina wiąże z nim wspaniałe plany. Jest tylko jeden problem, otóż ten chłopak zakochuje się po uszy w siedemnastoletniej córce jednego ze swoich profesorów. A ten chłopak nie należy do ludzi, którzy kiedykolwiek musieli uczyć się, jak oprzeć się pokusie. Zawsze pod ręką była jego rodzina i wyciągała go z wszelkich tarapatów, w jakie on tylko mógł się wpakować. Wszystkich mogą kupić. Zaczyna więc flirtować z... tym dzieckiem. Bo

ona jest jeszcze dzieckiem. Ale dziewczyna zaczyna odpowiadać tym samym. I wkrótce ta dwójka zaczyna się wspólnie wymykać. Co prawda nie idą na całość, jak to się kiedyś mówiło. Ale i tak idą daleko, ten student i nastolatka.

A potem, pewnego wieczoru, jeden z jego współlokatorów zapalał chęcią przyłączenia się do zabawy. Powiedział: „Dlaczego tylko ty masz z nią się bawić? Przecież wszystkim się dzielimy. Powinieneś podzielić się z nami?”. Może nawet się posprzeczała. Zupełnie hipotetycznie. A może ten pierwszy chłopak od początku był do tego skłonny, ponieważ... ponieważ jest zepsuty do szpiku kości. I jeszcze tego samego wieczoru wybrali się samochodem na poszukiwanie tej dziewczyny. Są walentynki, a dziewczyna wypracowała sobie doskonały sposób na spotkanie się ze swoim chłopakiem, kiedy tylko zechce. Klóci się z matką i wychodzi z domu. Bardzo proste. I oczywiście tego wieczoru ona i jej matka zaczynają krzyczeć na siebie i nasza hipotetyczna nastolatka wypada z domu. Chłopak przyjeżdża po nią samochodem. Tylko że w samochodzie zamiast jednego chłopaka jest dwóch, i do tego podпиты. I to nieźle. Może początkowo dziewczyna ma jakieś obiekcje, ale w końcu wsiada do samochodu. Jadą na plażę. Tam nasz pierwszy student - ten jej chłopak - zasypia w aucie. Tymczasem ten drugi, równie bogaty i zepsuty jak ten pierwszy, ten chłopak chce się zabawić. Może ona nawet początkowo współpracuje. A może od razu się broni. W każdym razie sprawy zachodzą dalej niż ona planowała. Mówi mu, żeby przestał. Ale on nie przestaje. Nigdy w życiu nie musiał przestawać. Jego rodzina przekupiła już z tuzin dziewczyn. Cóż znaczy jedna więcej? Zabiera się więc za nią brutalnie.

Dotarli już do domu. Meble na patio przykryte były śniegiem.

- I ona zaczyna uciekać - powiedziała Julia.

- Zgadza się. Ona ucieka. Cały czas mówimy hipotetycznie. Jest środek zimy, a ona ucieka plażą. Tam jest strażnik. Nastoletni chłopak. Zawsze tam jest. Tylko że biedna dziewczyna biegnie w przeciwną stronę. Nie w kierunku budki strażnika. Biegnie w stronę wody. A nasz studenciak ją goni. Jest pijany w sztok, pamiętasz, a i ona może coś wypić. Dogania ją w chwili, kiedy dziewczyna dobiega do wody. Może walczą. Może ona tylko zamachnęła się i go uderzyła, a on jej oddał, tylko dużo mocniej niż mu się wydawało. W każdym razie ona wpada do wody. I już się nie podnosi.

- Zwilżył wargi językiem. - Hipotetycznie.

- Racja - odparła Julia, patrząc na zegarek. Wkrótce będzie musiała wejść do domu, żeby upewnić się, że dziewczynki zdążą na szkolny autobus. - Hipotetycznie - powtórzyła jak echo.

- Wybucho panika. Nasz studenciak próbuje ocucić dziewczynę, ale nie wie, jak to

zrobić. W końcu daje sobie z tym spokój. Pozwala, żeby woda ją zabrała. Może nawet ją pchnął. Nie wiem. Wskakuje z powrotem do samochodu, próbuje obudzić kumpla, ale mu się to nie udaje. Zmyka więc na kampus, bo tam jest bezpiecznie. Kampus to dom. Stamtąd można zadzwonić do rodziny i powiedzieć im, żeby przyjechali i naprawili to, co on nabroił, tylko że tym razem jest to trochę poważniejsza sprawa niż uwiedzenie, które, o czym może zapomnieliśmy, samo w sobie jest przestępstwem kryminalnym. W końcu udaje się mu obudzić swojego kolegę, ale oczywiście nie mówi mu, co się stało. Zataczając się, wchodzą po schodach, potem do apartamentu, a tam... wiesz co? Wyobraź sobie, że wrócił ich współlokator, który wyjechał. Ten, na którego mówią Wielki Brat.

- Ich czarnoskóry współlokator.

Lemaster uśmiechnął się ponuro.

- Nasz studenciak budzi go i zaczyna bełkotać, w jakie to tarapaty się wpakował, a półtora dnia później Wielki Brat wraca i każe mu jechać do Bostonu spotkać się z pewnym magikiem. Nasz studenciak jedzie tam. Magik go wysłuchuje. Następnie zadaje dwa pytania. Czy ktoś widział ich na plaży? Tylko strażnik. Czy jego kolega z pokoju coś pamięta? Nie. Magik mówi, że zajmie się tym. I nie mijają dwadzieścia cztery godziny, a on ma gotowy plan. Bo tymczasem dowiedział się, że w tym miasteczku jakiś czarnoskóry chłopak ukradł samochód. Plan polega na tym, żeby zrzucić winę na tego czarnego chłopaka. Ale na wszelki wypadek, gdyby coś źle poszło, jest jeszcze plan rezerwowy. Trzeba przekonać tego pijanego współlokatora, tego, który przez cały czas spał, że to on popełnił tę zbrodnię, a ten drugi studenciak przespał całe wydarzenie. Magik spotyka się też z tym drugim studentem i przekazuje mu odwrotny plan. Tak to zorganizujemy, że to twój kumpel będzie winny, mówi. Jest tylko jeden warunek. Obaj muszą podpisać oświadczenia...

- Dlaczego mieliby to zrobić?

- Ponieważ magik postawił ich między młotem a kowadłem. Podpiszcie oświadczenie i całej sprawy jak by nie było, ale my będziemy mieli te oświadczenia na wypadek, gdybyśmy, załóżmy, potrzebowali kiedyś od was przysługi. Albo nie podpisujecie i próbujecie szczęścia w sądzie, pamiętając jednak, że magik może zeznawać na waszą niekorzyść, a on dzierży w swoich rękach sporą władzę. Może nawet wystarczającą, żeby pokonać bogate rodziny. A już na pewno dostatecznie dużą, żeby narobić im sporych kłopotów. I oczywiście niezależnie od tego, czy wygrają, czy przegrają, przyszłość chłopaków legnie w gruzach. A w takiej rodzinie jak ich człowiek jest wychowywany z myślą o przyszłości. - Lemaster też spojrzął na zegarek.

- Czas zbudzić dzieci.

- Lemmie, zaczekaj. - Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Co się stało?

- Od jak dawna o tym wiesz?

Jego ciemne oczy patrzyły łagodnie, ponownie uspokojone, w zgodzie z samym sobą i z nią.

- Dopiero kiedy zostałem wybrany na Bubbę.

- To znaczy, że przez te wszystkie lata...

- Nie wiedziałem, co się wydarzyło. Podejrzywałem, że ma to jakiś związek z Giną - jakżeby inaczej? - ale nie wiedziałem i nie pytałem. A ciekawe było to, że moi współlokatorzy, cóż, oni chyba byli przekonani, że ja wszystko o tym wiem. Bo przez te wszystkie lata, kiedy tylko prosiłem ich o jakąś przysługę, oni moją prośbę spełniali. - Przytrzymał otwarte drzwi. - Oczywiście ja nie proszę zbyt często.

Dzieci z łoskotem zbiegły po schodach. Julia kazała Lemasterowi czekać, chociaż on lubił wcześniej wychodzić do pracy. Ale jeszcze nie skończyli, o czym oboje wiedzieli. Jeremy Flew szorował kuchnię, kiedy Julia odprowadzała dzieci do szkolnego autobusu.

III

- Zastanawiasz się, co ten magik chciał osiągnąć. Mogę ci to dokładnie powiedzieć. On i jego... klub... mieli taką teorię. Zgodnie z ich teorią, Ameryka nic nie daje za darmo. Ich zdaniem Ameryka nie przejdzie na drugą stronę ulicy, żeby pomóc czarnoskóremu człowiekowi, chyba że zostanie do tego zmuszona. I dlatego też zajmują się, i robią to już od długiego czasu, zbieraniem niekorzystnych informacji o ludziach posiadających władzę. A także o ludziach, co do których istnieje uzasadnione przypuszczenie, że taką władzę mogą zdobyć. Dziennikarze i politycy opozycji lubią rozgłaszać tego typu informacje i usuwać ludzi ze stanowisk, ale dla naszego hipotetycznego magika takie podejście to szaleństwo. Bo co zyskasz, jeśli, znalazłszy jakieś brudy na ważną figurę, wykorzystasz to, żeby usunąć ją ze stanowiska? Tylko bezsilnego polityka i twoje brudne ręce, a ani jedno, ani drugie na nic się już nie przyda. Lepiej zostawić takiego człowieka na stanowisku i dać mu do zrozumienia, czym dysponujesz, a potem od czasu do czasu szturchnąć go w kierunku sprawiedliwości. W ten sposób masz i potężnego polityka, i czyste ręce, a on i tak robi to, co ty chcesz. Oczywiście, nie przez cały czas - dodał pospiesznie Lemaster. - Trzeba z tego korzystać oszczędnie, bo w przeciwnym razie cały układ by się zawalił. Ale poszturchiwania. Właśnie w to oni wierzą. W poszturchiwania.

Dostrzegł wyrzut w oczach Julii.

- Daj spokój, Jules. Ileż to razy sama mi mówiłaś, że żadna z partii tak naprawdę nie dba już o ciemniejszą nację? Że republikanie myślą tylko o obniżeniu podatków i budowaniu armii, a demokratów interesuje tylko aborcja i prawa gejów? Czyż nie to zawsze powtarzasz, przynajmniej prywatnie? Chyba widzisz, że nasz hipotetyczny magik i jego klub akurat zgadzają się z tobą. Oni nie sądzą, że dla statusu Afroamerykanów może mieć jakiegokolwiek znaczenie, która partia jest u władzy. Dla nich istotne jest tylko, czy u władzy są ludzie, na których mogą w jakiś sposób wpływać.

- A ty się z tym zgadzasz? - zapytała bardzo cicho. - Uważasz, że on ma rację?

- Ja rozumiem takie stanowisko. Zostawmy to już. - Właśnie wiązał krawat. Widział, że żona nie jest usatysfakcjonowana jego odpowiedzią. - Jules, posłuchaj. Załóżmy, że uda ci się dowieść, kto ją zabił. Nie sądzą, żeby ci się to udało, ale załóżmy, że jest to możliwe, choć minęło już tyle lat. Załóżmy, że uda ci się tego dowieść, upublicznisz dowody, a on już resztę życia spędzi w więzieniu. Czy to przywróci życie tej zmarłej dziewczynie? Czy to w jakiś sposób pomoże naszym ludziom? - Surowo pokręcił głową, na wypadek gdyby nie udało się jej odgadnąć prawidłowej odpowiedzi na te pytania. - Nie, Jules. Nie. Tylko w ten sposób to ma jakiś sens. Tylko w ten sposób sprawiedliwość może naprawdę przynieść coś więcej niż to, że będziemy mogli poklepać się po plecach. Emocjonalnie jest w tym mniej satysfakcji, nie ma w tym katharsis, ale to daje trochę dobra prawdziwym ludziom.

Włożył marynarkę, obrócił się w jedną stronę, potem w drugą, patrząc, jak układa się miękka wełna.

- Lemmie, nie. Nie możesz teraz przerwać.

- Już powiedziałem ci więcej niż powinienem.

- Proszę. Mamy to oświadczenie Jocka. Czy to on ją zabił? Czy może był tym jej chłopakiem, który pijany spał na tylnym siedzeniu?

- A co to za różnica?

- Ten twój magik mógł szantażować dwóch ludzi tą samą zbrodnią!

- To podwójna sprawiedliwość, nie sądzisz?

Pokręciła głową.

- Sądzą, że to był Łach. Od początku myślałam, że to Łach. I wydaje mi się, że to oświadczenie Jocka to tylko przykrywką. O tym myślał Merrill Joule, mówiąc o kierowaniu wszystkich w złą stronę. Podejrzewam, że Mona miała tę odbitkę, ponieważ jakoś tak to zorganizowano, że wśród elity są ludzie, którzy znają prawdę, a jeśli ktoś zbyt blisko się do niej zbliży, oni podsuwają takiej osobie to oświadczenie Jocka, żeby zgubiła trop. - Wstała, wciąż

jeszcze nieubrana do pracy. - Myślę... jeśli Łach to zrobił... mam nadzieję, że on cierpi. Zasłużył sobie na cierpienie.

- Nie ma znaczenia, kto to zrobił. Naprawdę. Powiem ci coś, Jules. Oni wszyscy byli winni. Bogaci, pijani zarozumiali studenci. Wszyscy jesteśmy śmiertelni i niedoskonali, ale dorastamy, a oni wyrosli na dosyć prawych ludzi. I bardzo dobrze. Ale ty pytałaś mnie o przeszłość. Niech będzie. Możemy rozmawiać o przeszłości. Wówczas oni byli potworami. Robili, co chcieli, i uważali, że ktoś posprząta za nich cały bałagan. A ponieważ mieli taką pozycję, a nie inną, zazwyczaj ktoś to robił. To był ich wspólny punkt widzenia, wspólny dla większości białych, przynajmniej w Ameryce, a zwłaszcza dla tych bogatych, niezależnie od umiejscowienia na scenie politycznej. Codziennie widzę coś takiego na uniwersytecie wśród ludzi lewicy i codziennie widzę to w Waszyngtonie wśród ludzi z prawicy. W każdym razie oni mieli to podejście ludzi poszkodowanych przez los. Świat dał im wszystko, ale wyglądało na to, że ich zdaniem to jeszcze wciąż za mało. Ktoś ich zranił. Ktoś zabrał im coś albo odmówił im czegoś, czego oni pragnęli. Siedzą sobie i jeden drugiego umacniają w przekonaniu, że gdzieś tam są źli ludzie, którzy chcą ukraść im zabawki. - Podszedł do okna. Na dworze spadały miękkie płatki śniegu. Ale Lemaster myślami był bardzo daleko. - I powiem ci coś jeszcze. To nie ja stworzyłem ten plan. Nic o tym nie wiedziałem. Kiedy pierwszy raz o tym usłyszałem, może rok temu, sądziłem, że to... jakieś szalone. Z pewnością nielegalne, może i niemoralne, ale w stu procentach szalone. Nawet rozmawiałem z niektórymi członkami rady, żeby to zakończyć. I wtedy Grand Paramount wziął mnie na bok. Pomyśl o tym, powiedział. Kosztowało nas to wiele wysiłku. Wiele planowania. Wówczas uważałem, że to jest złe, Jules. Ale teraz nie jestem tego już taki pewien. Co myślę obecnie, kiedy się rozglądam dookoła, kiedy słucham, co nasze elity bełkoczą, w kraju, w którym rozwiązywanie problemów rasowych i klasowych stanowiło główny cel naszej polityki, kiedy widzę, jak jaśniejsza nacja przechodzi do innych kwestii, zostawiając ciemniejszą nację samej sobie? Obecnie uważam, że nasz hipotetyczny magik chyba się nie mylił, mówiąc o Ameryce...

Wyszedł z domu.

Julia, pozostawiona z własnymi myślami, nie była przygotowana na zajmowanie się abstrakcjami. Nadal trzymała się bardziej konkretnych problemów, na przykład kto zabił Ginę Joule. Zastanawiała się, kogo chronił jej mąż. Oświadczenie można sfalszować. Do złożenia oświadczenia można zmusić. Niezależnie od tego, ile dowodów wskazuje na Jocka lub Łacha, nie mogła pozbyć się uporczywego wrażenia, że Maureen Whisted, podczas tego spotkania w gabinecie na dole w wieczór tej kolacji, była przerażona myślą, że magazyn Kellena może

zawierać dowód winy jej męża.

Rozdział 60

Porównywalna władza

I

Bruce siedział w swoim służbowym samochodzie, ciemnym buicku centuiy, w końcu znalazłszy na Hudson Street miejsce do zaparkowania, skąd miał dobry widok na wejście na wydział teologiczny. Bębniąc palcami po kierownicy, obserwował drzwi przez świeże mięciutkie płatki śniegu, ponieważ z tego, co zdążył zauważyć, tylko z tego wyjścia korzystała Julia. Nie zastanawiał się nad szczególną inwersją tej chwili - czarny gliniarz starał się dowiedzieć, dlaczego biały człowiek śledzi czarną kobietę - ale doszedł do wniosku, że już nadszedł czas, żeby trochę porozmawiać z panem Flew. Chciałby go zapytać, na przykład, gdzie był i co robił między ósmą a dziesiątą wieczorem w dzień śmierci Kellena Zanta. Albo też czy był w centrum handlowym w Norport w ten dzień, kiedy przejechano Borisa Gibbsa.

Ale nawet bardziej niż na rozwiązaniu zagadki tego przestępstwa zależało mu na zdobyciu informacji, w jakim to cudacznym sposób taki człowiek jak Lemaster Carlyle mógł zatrudnić Jeremy'ego Flew, bo pomyślał, że Flew trafił do tej pracy przez niesamowity zbieg okoliczności był dla niego po prostu nie do przyjęcia.

Do roboty.

Julia zeszła pewnym krokiem po frontowych schodach w towarzystwie jakiejś pary studentów, którzy pożegnali się z nią radośnie i powlekli się na kampus. Julia zatrzymała się na moment, kręcąc głową, jakby lustrowała wzrokiem ulicę, i być może, świadomie czy podświadomie, właśnie to robiła. Po pewnym czasie nawet mózg amatora wyczuwa obserwację. Kiedy spojrzenie Julii przesunęło się po jego samochodzie, Bruce z rozwąga nie poruszył się, ponieważ chowanie czy odwracanie twarzy mogło jedynie przykuć jej uwagę.

Była blada. Zmartwiona. Nawet przerażona. A któż by nie był, dźwigając ten cały ciężar?

W końcu ruszyła w stronę parkingu, szczelnie owijając szyję szalikiem. Weszła po trzech stopniach na marnie odśnieżony asfalt i dwa razy poślizgnęła się w drodze do swojego samochodu.

Bruce odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na Keplera, gdzie oczywiście dostrzegł małego Flew, wychodzącego przez boczne wyjście i zmierzającego w kierunku parkingu. Bruce musiał szybko podjąć decyzję. Mógł zatrzymać asystenta rektora już tu na miejscu i tu też go wypytać, pozwalając Julii odjechać bez nadzoru, albo mógł jechać za Flew podążającym za Julią. Miał jednak przecucie, że Jeremy Flew, były wolny konsultant pracujący dla Departamentu Stanu, wypatrzy go w ruchu ulicznym. Lepiej zakończyć ten bałagan tu, na miejscu. Ale Bruce nie miał zamiaru nie doceniać podejrzanego. Wyjął ze schowka swojego smitha & wessona 64 i wsunął go do nieprzepisowej kabury przy pasie. Powoli otworzył drzwi, przynajmniej raz wdzięczny za wielką, białą, pierzastą ciszę szybko padającego śniegu, i pobiegł truchtem po zasypanej ścieżce za czworobokiem Keplera.

Julia była już prawie przy swoim samochodzie, z opuszczoną głową i bladą twarzą spieszyła się, ale w pewnym momencie jakby się potknęła, jakby coś ją śmiertelnie przeraziło. Bruce zastanawiał się, czy Flew to zauważył. Zastanawiał się też, czy to nie Flew był tego przyczyną.

Z kolei dziarski Flew nie spieszył się, ostrożnie stawiając kolejne kroki, być może obawiając się, że nadmierny pośpiech może wywołać poruszenie i Julia się odwróci. A może był pewien, że wie, dokąd ona się wybiera, i w związku z tym nie musiał się spieszyć.

Bruce wyznaczył sobie trasę pozwalającą mu go przechwycić i zrobił to tak doskonale, że kiedy Flew dotarł do śliskich od śniegu stopni wyprowadzających na parking, on wyłonił się z cienia rzucanego przez granitową twierdzę wydziału teologicznego.

- Dobra, panie Flew. Już daleko pan zaszedł.

Niski mężczyzna zatrzymał się, ale wzrokiem omijał Bruce'a, patrząc za Julią, która właśnie wsiadała do samochodu.

- Czym mogę panu służyć, panie Vallely?

- Musimy porozmawiać.

- Ale nie teraz.

- Tak, panie Flew. Właśnie teraz.

Spojrzenie oczu skrzata omiotło Bruce'a, jakby mierzył go wzrokiem, a potem ponownie pomknęło w stronę Julii.

- Obawiam się, panie Vallely, że mam pilną sprawę do załatwienia.

- Na przykład śledzić Julię Carlyle, żeby sprawdzić, co ona kombinuje?

- To pilna sprawa. Przepraszam pana.

Flew wykonał ruch, jakby chciał go ominąć. Bruce, dużo od niego większy, przez cały czas swoim wielkim ciałem zastawiał temu małemu człowieczkowi drogę na parking. -

Obawiam się, że zmuszony jestem nalegać.

- Nie sądzę, żeby pan był w stanie mnie tu zatrzymać.

- Jeśli kwestionuje pan moje kompetencje...

- Nie, panie Vallely, absolutnie nie. Doskonale zdaję sobie sprawę, że zostały panu powierzone specjalne obowiązki. Ale nie wierzę, że jest pan w stanie mnie tu zatrzymać.

- Nie wiem, co prawda, co pan przez to rozumie, ale może najlepiej będzie...

Wszystko, zdarzyło się bardzo szybko i zupełnie nieoczekiwanie, choć później Bruce przyznał, że chyba już się starzeje. W jednej chwili jego dłoń spoczywała na ramieniu małego człowieczka, a już w następnej ten sam mały człowieczek powalił go na plecy w śnieg, zachowując przy tym zdumiewającą delikatność. Jedną, kluczową, jak się okazało, chwilę zajęło zaskoczonemu Bruce'owi pozbieranie myśli, ale właśnie ta jedna chwila wystarczyła Flew. Zanim eks-oficer śledczy stanął na nogi, specjalny asystent Lemastera był już w połowie parkingu, gnając do białego sedana, którego wcześniej dostrzegł Bruce. Wyciągnięcie pistoletu na asystenta rektora w samym środku kampusu nie wchodziło oczywiście w rachubę, a poza tym, Bruce już od miesiący nie był na strzelnicy. Oцениwszy odległość i swoje szanse, nie skierował się w stronę Flew ani w stronę escalade, który właśnie wyjechał na Hudson Street, lecz w kierunku wyjazdu z parkingu. Kiedy samochód zbliżał się do szlabanu, nacisk kół powodował załączenie się przełącznika, który podnosił ramię szlabanu. Cała operacja trwała kilka sekund, i to miała być jego druga szansa przechwycenia Jeremy'ego Flew.

Ale kiedy Bruce podniósł się i rozejrzał po parkingu, biały sedan nadal stał przykryty świeżym śniegiem, a dziwny mały człowieczek gdzieś zniknął.

II

Zirytowany Bruce rozważył stojące przed nim możliwości. Julia odjechała, a jemu nie udało się złapać Flew. Mógł zadzwonić do Julii na komórkę, ale co miał jej powiedzieć? Że ona jest w niebezpieczeństwie? Nie miał żadnych podstaw, żeby tak sądzić - gdyby Flew chciał ją skrzywdzić, już dawno temu mógł to zrobić - a poza tym gdyby to ostrzeżenie okazało się fałszywym alarmem, już nigdy nie zaufałyby Bruce'owi. Mimo to i tak postanowił zadzwonić, ale odpowiedziała mu tylko poczta głosowa.

Nie zostawił żadnej wiadomości.

Postanowił natomiast spróbować dowiedzieć się, dlaczego wyjechała w tak wielkim pośpiechu, ponieważ gdyby zrozumiał jej zamiary, może odgadłby cel jej podróży.

W sekretariacie była tylko Latisha. Foxon wyszła już kilka godzin wcześniej. Młoda

kobieta podniosła się, w jej oczach krył się strach.

Niezręcznie przeprosił, że ją przestraszył, a potem rzekł:

- Muszę się dowiedzieć, gdzie udała się pani dziekan Carlyle.

- Pojechała do domu.

- Jest pani pewna?

Latisha pokazała na zegar.

- Dochodzi szósta. Miała zebranie rady wydziału. Ona nie cierpi zostawać po godzinach.

Bruce pokręcił głową. Widział twarz Julii i był przekonany, po prostu wiedział, że malował się na niej strach.

- Co robiła bezpośrednio przed wyjściem?

- A dlaczego musi pan to wiedzieć? - zapytała młoda kobieta, zupełnie sensownie.

- Boję się, że ona może znaleźć się w tarapatkach.

- Czy to pan jest powodem tych tarapatów?

- Mam nadzieję, że nie. Ja tylko chcę jej pomóc.

Latisha przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami. Mijały cenne sekundy, ale Bruce nie miał zamiaru jej popędzać. W końcu powiedziała:

- Pan wie, kim jest jej mąż, prawda?

- Oczywiście.

- I zdaje pan sobie sprawę, że jeśli pan kłamie, on pana zniszczy.

- Tak.

Po wejściu do biura, Bruce przejrzał całą jego zawartość, przyglądając się tylko i niczego nie dotykając, jakby oczekiwał, że coś rzuci się mu w oczy.

Pod klawiaturą znalazł tylko wizytówkę, przypiętą, żeby wiatr jej nie zdmuchnął. Napis brzmiał A. W. ACME, LAND SURVEYORS, a poniżej, zygzakowatym pismem Kellena Zanta, dopisek „- Sekretarz?”. Bruce wziął ją do ręki.

- Czy wie pani, co to jest? - zapytał Latiszę.

Szeroko otworzyła oczy i pokręciła przecząco głową.

- Pani jest sekretarzem, to znaczy sekretarką pani dziekan Carlyle. - Wskazał na gryzmoły. - To pani?

- Nie jestem sekretarką - odparła, jednocześnie z dumą i przestachem. - U nas już nie ma takich stanowisk. Jestem asygentką administracyjną klasy trzeciej.

Bruce zaczął myśleć na głos.

- Ma pani rację. Przepraszam. Na uniwersytecie nie ma już sekretarek. Jest,

oczywiście, jeden sekretarz...

Urwał i oboje w milczeniu przyglądali się wizytówce.

- Czy ktoś dzwonił do pani dziekan na chwilę przed jej wyjściem?

- Kiedy jest w gabinecie, sama odbiera telefony.

- Rozumiem. Niech pani sobie przypomni. Czy telefon dzwonił?

Powolny, przeczący ruch głową.

- Całe popołudnie było spokojnie.

- Czy ktoś do niej przychodził? Jakiś student? A może profesor?

Kolejny ruch głową.

- Przyszedł do niej student, ale to było jakieś dwie godziny temu.

- Latisho, proszę cię. Spróbuj mi pomóc. Czy coś może pamiętasz?

- Wpatrywała się w tę wizytówkę. Jakby coś na niej bazgrała.

Bruce przyjrzał się ponownie wizytówce. Julia zakreśliła koła wokół poszczególnych liter. Kilka kół. Nic mu się nie kojarzyło.

- I nikt do niej nie przychodził?

- Nikt.

- W porządku. Znasz hasło do jej poczty elektronicznej?

Oczy ponownie otworzyły się szeroko.

- Wszystko jest w porządku. Jestem kierownikiem ochrony uniwersytetu.

- Ale my nie powinniśmy...

- Proszę cię, Latisho. Pani dziekan Carlyle... Julia... jest w tarapatkach. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Jesteś inteligentną młodą kobietą. Musiałaś zauważyć, że coś się dzieje. - Uzmysłowiwszy sobie, że ta kobieta może czuć się przerażona jego ogromną posturą, starał się mówić jak najdelikatniej. - Proszę. Ja staram się jej pomóc. A ty musisz pomóc mi, żebym mógł jej pomóc, bo czasu mamy bardzo mało.

Zajął to niecałą minutę.

Ostatnią elektroniczną wiadomością, jaką Julia otworzyła przed pospiesznym opuszczeniem gabinetu, był e-mail od Vanessy.

Cały tekst zawierał się w słowach „to znak minus”.

Bruce zastanowił się, a po chwili ponownie wziął wizytówkę i się jej przyjrzał.

W końcu się domyślił.

Znak minus. Kolejna gierka słowna.

Sekretarz nazywał się Trevor Land. Wystarczy usunąć jego nazwisko z nazwy i zostało po prostu A. W. Acme, Surveyors. Ale co z tego?

- Czy wiesz, co jeszcze robiła? - zapytał.

Latisha skubała wargę, jakby obawiając się, że może narobić szefowej kłopotów. Ale skoro zaszła już tak daleko, odwróciła się teraz do komputera, na którego ekranie widać było pozostawione przez Julię otwarte okno przeglądarki Firefox. Kliknęła kilka razy.

- To robiła.

Bruce spojrział. Zobaczył witrynę z anagramami.

Julia wpisała tekst pozostały na wizytówce po usunięciu słowa „Land.” Bruce skinął głową Latishy, a ona nacisnęła przycisk „Drukuj”. Urządzenie zaczęło wyrzucać z siebie kolejne strony możliwych rozwiązań. Zaczął je przeglądać, jedną po drugiej, ale to Latisha, która zaczęła z drugiego końca, nagle westchnęła.

Podala mu kartkę, wskazując na jedną linijkę. Słowa były nie po kolei, ale szybko przestawił je w głowie.

Napis brzmiał „VERA WAS MY SOURCE”. „Moim źródłem była Vera”.

- Kto to jest Vera? - zapytał, jednocześnie zastanawiając się, dlaczego miałyby być czymś źródłem informacji.

- Nie wiem. - Ale nagle sobie przypomniała. - Ach, krówki! - pobiegła do swojego biurka, i chwilę później powróciła z prawie pustym pudełkiem, stanowiącym wytłumaczenie jej masywnej figury. - Widzi pan? Etykieta.

Bruce spojrział na zegarek.

Zatelefonował do sklepu, ale okazało się, że jest zamknięty. Zadzwoił na informację, ale numer telefonu Very Brightwood był zastrzeżony, a Bruce nie dysponował oficjalnym upoważnieniem. Zadzwoił na telefon komórkowy Julii, jednak musiała znajdować się poza zasięgiem. Zatelefonował jeszcze do Hunter's Heights, ale tam nikt nie odpowiedział.

- Chyba zaraz zrobi mi się bardzo głupio - powiedział.

Latisha uniosła zatroskane brwi.

Zadzwoił do Ricka Chrebeta.

Jego dawny partner, który właśnie wrócił z urlopu, przywitał go słowami:

- To musi być ten wyrzutek!

Wysłuchał go jednak, a potem kazał mu poczekać. Pięć minut później odezwał się znowu, ale tylko po to, żeby polecić Bruce'owi zadzwonić za dziesięć minut.

Po następnych dwudziestu minutach, jadąc już samochodem do Landing, Bruce'owi w końcu udało się ponownie dodzwonić do Ricka.

- Nie wiem, co się dzieje. Jednostki policyjne są już w drodze i ja też tam jadę. Otrzymaliśmy informację, że pod tym adresem strzelano z broni palnej.

Bruce nacisnął pedał gazu.

III

Na podjeździe domu Very dostrzegła większość tych samych samochodów i od razu wiedziała, że przybyła tu nie w porę, a zarazem w samą porę. Gong u drzwi rozbrzmiał pierwszymi dźwiękami *Gwiazdzistego sztandaru*. Kiedy Vera otworzyła drzwi, Julia po prostu stała i wpatrywała się w nią, na chwilę nawet nie odrywając od niej wzroku.

- Nie powinnaś tu przychodzić - w końcu odezwała się Vera.

- Ależ tak, powinienam.

- Odejdź stąd.

- Chcę wziąć udział w zebraniu.

Wewnątrz domu, po korytarzach i schodach czołgało się mrowie kotów. Zebranie odbywało się w salonie. Umeblowanie było stare i solidne. Podano kanapki i napoje bezalkoholowe. Lurleen Maddox, ze sklepu Luma's Gifts, siedziała sztywno na małej dwuosobowej sofie. Danny Weiss z księgarni przycupnął na skraju fotela. Obok kominka stał Trevor Land, stateczny i nieruchomy jak dąb z Nowej Anglii. A na fotelu bujanym przed kominkiem, patrząc na pozostałych jak król na swoich poddanych, siedział biały mężczyzna po czterdziestce, którego Julia gdzieś już widziała, choć nie mogła sobie od razu przypomnieć gdzie.

- Chyba mamy tu małą niespodziankę - odezwał się Trevor Land.

- Nie mogłam jej powstrzymać - powiedziała Vera.

- Sprawa się wydała - zarechotała Lurleen, która, jak należy zauważyć, była trochę wariatką.

Julia rozejrzała się po przytulnym pomieszczeniu. Nikt nie zaproponował jej, żeby usiadła. Na ile zdążyła zauważyć, przerwała jakieś spotkanie towarzyskie. Sami starzy znajomi. Przypomniała sobie słowa Mitcha Huebnera, który ostrzegał ją, że ludzie z zewnątrz nigdy nie zostaną dopuszczeni do sekretów miasteczka. I Franka Carringtona, który powiedział, że może napytać sobie kłopotów, jeśli będzie rozmawiał o tym, co się stało z Giną.

Pięć białych twarzy spojrzało po sobie, czekając na wyłonienie się przywódcy. W końcu ten nieznamy ze znajomą twarzą odezwał się chłodnym tonem:

- Powinna pani stąd wyjść, pani Carlyle, i powinna pani zapomnieć, że w ogóle tu przychodziła.

Słyszając ten głos, przypomniała sobie.

- Pamiętam pana. To było w Hunter's Heights. Podczas kolacji na cześć senatora Whisteda. Pan tam był. To pan zajął miejsce Astrid. - Wskazała na pozostałe osoby w pokoju.

- A co my tu mamy? Mała grupka wsparcia, pomagająca panu ukryć przed opinią publiczną to, co pański szef zrobił trzydzieści lat temu?

- Naprawdę, powinna pani stąd wyjść - powiedział współpracownik senatora. - Dla własnego dobra.

- Nie wyjdę, dopóki ktoś nie wytłumaczy mi, co tu się dzieje.

I znów zapadła bolesna cisza. W końcu odezwał się Danny Weiss:

- Julio, proszę cię. Nie jest tak, jak ty myślisz.

Lurleen ponownie zarechotała.

- Tak też jest!

- Można by powiedzieć, że ktoś tu rzuca oskarżenia niepoparte żadnymi dowodami - rzekł Trevor Land.

- Nikogo nie oskarżam - odparła Julia. - Ja tylko staram się zrozumieć. Chcę się dowiedzieć, co się stało z Giną Joule.

- My również - odparł Danny Weiss, wzrokiem szukając wsparcia u pozostałych.

Julia odwróciła się do Very.

- Nie wiem jak inni, ale ty pomagałaś Kellenowi, prawda? Pomagałaś mu zbierać informacje o Landing. Może lubiałaś Ginę, bo... sama nie wiem... bo była w twoim sklepie tego wieczoru, kiedy zginęła. Sądzę, że to ciebie nazwał Czarną Damą. - Dostrzegła coś w twarzy Very. - To był jeden z jego dowcipów.

- Trzeba przyznać, że nie wiadomo, co powiedzieć... - zaczął Trevor Land.

- Po prostu powiedzcie mi prawdę. Proszę. Ja tylko chcę się dowiedzieć tego, co wy wiecie.

- To mogłoby zaszkodzić pewnym ludziom - odezwał się Danny.

- Jeśli macie na myśli rodzinę Joule, już teraz wiem, że zgodzili się na zatuszowanie faktów. Ale do dzisiejszego wieczoru nie wiedziałam, kogo miasteczko starało się chronić.

Trevor Land pokręcił głową.

- Doskonale znałem młodego Malcolma. On uwielbiał to dziecko. Organizował grupy poszukiwawcze i tego typu rzeczy.

- Ale linia między uwielbieniem a pragnieniem jest... - powiedziała Julia.

Nie musiała nic więcej mówić. Współpracownik Whisteda już się podniósł.

- Może wydaje ci się, że jesteś taka mądra, ale wcale tak nie jest - rzekł, zbliżając się

do niej.

- Ludzie wiedzą, gdzie ja jestem - wykrztusiła.

- To miło z ich strony - odparł i minąwszy ją, skierował się ze złością w stronę drzwi.

Wszyscy patrzyli za nim.

- A druga sprawa to... - zaczęła Julia.

Ale w tym momencie usłyszeli krzyk tego mężczyzny po czterdziestce.

- Zaraz, co tu się dzieje? Nie możesz...

Najwyraźniej jednak ten ktoś mógł. Najbliższy współpracownik senatora wkroczył z powrotem do salonu, poszturchiwany przez najwyraźniej pijanego Anthony'ego Tice'a, który trzymał pistolet w dłoni.

- Wygląda na to, że cała banda jest na miejscu - stwierdził prawnik.

IV

Cwany Tony chciał, żeby go zrozumieli. On nie jest złym człowiekiem, powiedział, wymachując pistoletem trzymany w drżącej dłoni. On chciał tylko mieć pewność, że rząd sprawdzi wszystkie kropki nad i - co nieco mu się myliło - zanim zdecyduje się pozbawić kogoś wolności. Ale jego klienci, jak powiedział, byli ludźmi cierpliwymi. Bardzo cierpliwymi. A ta ich cierpliwość doprowadzała go do rozpacz. To nie była jego wina, jak zapewniał przerażoną grupkę, której siedząca wśród nich Julia stała się pełnoprawnym członkiem. Ale on potrzebował tego dziennika, i to bardzo, właśnie teraz, dzisiejszego wieczoru. Klienci dali mu do zrozumienia, że jego czas zaczyna się kończyć.

- Z największą chęcią ci pomogę - zapewnił go Trevor Land, wysoko trzymając swoje delikatne różowe rączki, podobnie zresztą jak i wszyscy pozostali. - Trzeba pomagać bliźnim. Można by powiedzieć, że to moja dewiza. Ale problem polega na tym, że nie wiadomo, o jaki dziennik może ci chodzić.

- Tak, jasne, że tak - odezwała się Lurleen.

Po raz pierwszy przyszło Julii na myśl, że te wszystkie butelki zostały opróżnione przez nią.

- Nikt z nas nie ma pojęcia, gdzie znajduje się ten dziennik - powiedział współpracownik Whisteda. - Zależy nam na nim równie mocno jak tobie.

- Kłamiecie - z radością w głosie zapewnił ich prawnik. - Nie byłoby jej tutaj, gdybyście nie mieli tego dziennika. - Machnął od niechcenia pistoletem w stronę Julii. - Ona odnalazła wszystkie tropy, prawda, Julio? I nie chce, żeby ktoś pozwał ją do sądu. I dlatego

ona...

Kamień rozbił szybę za plecami Anthony'ego Tice'a, który odwrócił się na pięcie i opadł w przysiadzie, jak człowiek doskonale obeznany z bronią.

- Myślisz, że się ciebie boję, Bruce? - krzyknął ponad parapetem. - Moi klienci zjedzą cię na śniadanie.

Z zewnątrz odpowiedziała mu cisza. Tice wyciągnął telefon komórkowy, nacisnął przycisk szybkiego wybierania i czekał, ale nic się nie wydarzyło. Zerknął na zebranych ludzi, wyjrzał za okno, ponownie nacisnął ten sam przycisk. Bez rezultatu. Również skorzystanie z przycisku szybkiego wybierania nie przyniosło żadnych efektów.

Uniósł pistolet i bardzo szybko, jeden po drugim, oddał przez okno trzy strzały, które rozległy się głośnym hukiem po wąskim korytarzu.

- Sukinsyny - mruknął pod nosem i jeszcze raz spróbował zatelefonować. Właśnie w tym momencie współpracownik senatora postanowił wstać, ale prawnik, choć pijany, był dużo szybszy i natychmiast wymierzył w środek jego piersi. - Nawet nie próbuj - powiedział.

Nagle Julia coś dostrzegła i zerwała się na nogi.

Pistolet błyskawicznie powędrował w jej stronę.

- Sia... - zaczął Tice. Ale zanim dokończył, drobna, giętka postać zręcznie przeskoczyła przez okno. Tice już leżał płasko na podłodze, a jego pistolet znalazł się w ręku Jeremy'ego Flew.

Rozdział 61

Pożegnania

I

- To naprawdę było ciekawe - odezwała się Julia. - Żeby mieć własnego ochroniarza. Nigdy wcześniej nikogo takiego nie miałam.

- Pewnie nigdy nie był ci potrzebny.

- Tak mi przykro, że trysnęłam w ciebie tym gazem.

Idąca obok niej przez wielki hol dworca kolejowego Mary Mallard zdobyła się na gorzki śmiech.

- Mnie jest bardziej przykro. - Dźwignęła swoją torbę podróżną. - Julio, jesteś tego pewna? On był tylko ochroniarzem? Nikim więcej?

Julia spojrzała na nią. Obie kobiety zwolniły kroku. Obok nich przeciskali się niecierplivi pasażerowie. Naniesiona przez kozaczki i buty woda powodowała, że posadzka była niebezpiecznie śliska.

- A co innego masz na myśli?

- Ten twój chłopak, Bruce Vallely...

- Mój kto?

- Wybacz. Bruce. Twój świetny kumpel Bruce. To on mówił, że być może Jeremy Flew coś kombinuje. A poza tym, dlaczego Lemaster miałby ściągać do domu ochroniarza? - Uniosła dłoń. - Poczekaj. Rozumiem. Nie możesz mi powiedzieć, tak?

- Tak.

- A mnie nie wolno o nim napisać.

- Tak.

- Mam wrażenie, że ten nasz układ daje ci zbyt wielką władzę.

- Mam wrażenie, że zapowiadają twój pociąg.

Stojąc już na peronie, Mary znowu się do niej zwróciła.

- Julio, posłuchaj mnie. Nie, tylko posłuchaj. Ja uważam, że ten Tice to wariat. Po prostu wariat. Ma swoich klientów, to jasne. Oni naciskają na niego, każdy by się załamał.

Ale czy tobie naprawdę wydaje się możliwe, że to on zabił Kellena? Zastanów się nad tym. Jego klienci mieli kupić to, co oferował Kellen. Dlaczego Tice miałby go zabijać?

Julia tylko wzruszyła ramionami.

- Niech będzie - ciągnęła Mary. - On mógł przejechać Brady'ego albo też tak to załatwić, że ktoś go przejedzie. Potrzebował kartotek Brady'ego, żeby zadowolić swoich klientów. Zakładam, że to możliwe. I być może też on stoi za zainstalowaniem oprogramowania szpiegowskiego w twoim komputerze. Mógł przekupić jedną z twoich asystentek - Julia bez trudu odgadła którą - a może nawet włamał się i zrobił to własnoręcznie. Już za samą próbę zabójstwa Brady'ego grozi mu wieloletni wyrok. Ale musisz pamiętać, Julio, że jeśli nawet dopuścił się jednego czynu, to wcale nie znaczy, że zrobił też coś innego, zgodzisz się ze mną?

Cisza. W ich twarze sypał ostry, marznący zimowy deszcz.

- Policja uważa, że złapała mordercę. Tony milczy jak grób. Ale ty sama chyba nawet przez chwilę w to nie uwierzyłaś, prawda? Ty sądzisz, że morderca wciąż jest na wolności. To ktoś, kogo jeszcze nie poznałyśmy.

Ale w jej oczach czały się pikantniejsze możliwości. To twój mąż, mówiło to ciemne, kacze oblicze. Twój tajemniczy pan Flew. A może nawet ty sama! Julia, wytrzymując jej spojrzenie, sama biła się z myślami. Zapytała Flew, dlaczego nie zatrzymał Mary Mallard tej nocy, kiedy była w archiwum. Wymówił się innymi obowiązkami, których jednak nie wolno mu było ujawnić. Cóż, może i tak. Ale istniała też inna możliwość, że ten świat, który zrodził Flew, jakkolwiek jest, jest światem, w którym Mary, dysponująca swoją siecią informatorów, poruszała się swobodnie. Może już kiedyś się spotkali i mieli wobec siebie jakieś zobowiązania.

A może paranoja była zaraźliwa.

- Rozmawiałam z twoją koleżanką z pracy - powiedziała Mary - z Suzanne de Broglie. Jej rodzice i rodzice Giny żyli w bliskiej przyjaźni. Suzanne twierdzi, że słyszała od swojego ojca, jakoby Merrill Joule zawarł pakt z diabłem. Sądzę, że wiesz, co on miał na myśli. Ale nie powiesz mi tego, prawda?

- Spóźnisz się na pociąg.

- Julio, ja nie zaprzestaną poszukiwań. Nasz układ nie obejmuje faktów, które sama wygrzebię. Z tego zrobiła się już zbyt ciekawa historia.

- Uścisnęła ją jednak na pożegnanie. - Z twoją pomocą czy też bez niej, dowiem się, kto go zabił.

- I napiszesz zgrabną książkę, co?

- Tak właśnie zrobię. - Pisarka zawahała się. - Rozmawiałam też z Tessą. Trochę mi opowiedziała o tobie i Kellenie. Waszą historię. I tak przy okazji, przykro mi... nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jakie to musiało być trudne...

- Dziękuję, Mary, mam się dobrze. Naprawdę. - Ale zastanawiała się, komu jeszcze zwierzyła się jej dawna współlokatorka, nie mogąc jednocześnie wyjść ze zdumienia, jak czas potrafi wzmocnić niektóre przyjaźnie, natomiast popsuć najlepsze z nich. - Przekaż Tessie moje pozdrowienia.

Mary wsiadła do pociągu. Julia cofnęła się.

- Miłej podróży - powiedziała.

- Julio, kochanie?

- Hmmmm?

- Jeśli naprawdę sądzisz, że morderca jest jeszcze na wolności i jeśli dalej będziesz szukać - uniosła ręce i zaczęła wymachiwać wyimaginowanymi pomponami - to hurra-hurra!

II

Vanessa czekała na nią w escalade. We dwie wybrały się na lunch do swej ulubionej knajpki, zwanej przez Lemastera barem szybkiej obsługi typu „quiche i trawka”.

- Dziękuję, kochanie - odezwała się Julia.

Brwi powędrowały w górę, jak u jej ojca.

- Za co?

- Po pierwsze, za to, że jesteś taką wspaniałą i wyjątkową osobą. Po drugie, za pomoc udzieloną mi w gierkach słownych Kellena. Uważam, że jesteś już w tym od niego lepsza. I po trzecie, za pożyczanie od Smith tego urządzenia.

Uśmiechnęły się do siebie nawzajem. Julia przez cały czas zdawała sobie sprawę, że Tice nie jest w stanie wszystkiego robić samodzielnie. Już samo sprawdzanie jej, czym raz na jakiś czas się zajmował, jednocześnie martwiąc się o własne procesy sądowe, wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Musiał mieć przynajmniej jednego pomocnika. Kiedy Julia udała się do domu Very, żeby pochwalić ją za pomoc udzieloną Kellenowi przy jego staraniach, żeby naprawić niesprawiedliwość wyrządzoną DeShaunowi, a Tony ich zaatakował, sądząc, że znajdzie rozwiązanie tej tajemnicy, Jeremy Flew znalazł się tam nieomal natychmiast. Tony skorzystał ze swojego telefonu komórkowego, żeby wezwać pomoc, a raczej próbował to zrobić. Ku jego przerażeniu, nie było sygnału.

Smith skonstruowała tłumik, elektroniczne urządzenie zakłócające możliwości

telefonu komórkowego do zsynchronizowania się z sygnałem pochodzącym z najbliższej stacji wzmacniaczowej. Jak zauważyła Vanessa, tłumiki działające na zasadzie zagłuszania są niedozwolone na terenie Stanów Zjednoczonych, ale inne ich rodzaje nie są tak skuteczne. Żeby być pewnym, trzeba było skorzystać z urządzenia zagłuszającego sygnał.

Była pewna, że Jeremy, działając samotnie, bez problemów poradzi sobie z jednym przeciwnikiem - i rzeczywiście, o mało co nie zatłukł biednego Tony'ego Tice'a na śmierć, choć sam nawet się nie spocił.

„Nie będę cię nawet pytać, skąd go wytrzasnąłeś” - powiedziała Julia mężowi.

„Nie powiedziałbym ci tego”.

Ale Lemaster stanowczo zaprzeczył, jakoby Jeremy był ochroniarzem. Był po prostu kolejnym asystentem, a że miał do tego jeszcze inne talenty, to tym lepiej. Po zaarrestowaniu Tice'a, Flew złożył rezygnację ze skutkiem natychmiastowym. Jeannie była załamana i od tej chwili, chyba na jego cześć, uparła się, żeby zwracano się do niej wyłącznie per „Jeans”.

Siedząc teraz przy stole naprzeciw swojej starszej córki, Julia zapytała ją, jak podoba się jej Sara Jacobstein, nowa pani psychiatra związana z wydziałem medycyny i będąca przyjaciółką ich rodziny jeszcze z czasów, kiedy mieszkali w mieście. Jej mąż był na wydziale prawa wraz z Lemasterem.

- Uwielbiam ją! - wybuchnęła Vanessa radośnie, a Julia nie miała wątpliwości, że jej córka mówi prawdę. Zaczęły rozmawiać o szkole, o Casseyu, który znowu zaczął się koło niej kręcić, i o tym, co córka myślała w sprawie wyboru college'u - tyle że Vanessa powiedziała, że lepiej nie rozbudzać zbyt wielkich nadziei, tylko poczekać i zobaczyć, gdzie będą chcieli ją przyjąć.

Sara Jacobstein miała ogromną cierpliwość, powiedziała Vanessa.

A potem, co było nieuniknione, zaczęły się kłócić, jak matka z córką.

- Chyba nadszedł już czas, żebyś mi powiedziała, jak Kellen dostał się do naszego domu - powiedziała łagodnie Julia.

- Do domu? - zapytała, z szeroko otwartymi oczami i zdecydowanie zbyt niewinnie.

- Chciał umieścić tę małą kopertę pod fortepianem, czy gdzie tam ją przyczepił. Byłaś w domu, kiedy on to zrobił? Czy może tylko po prostu pożyczyłaś mu swoje klucze?

- Ani to, ani to.

Julia nachyliła się w jej stronę.

- Posłuchaj, kochanie. Możesz mi to powiedzieć.

Vanessa zagłębiła się w fotelu, kolana podciągnęła do piersi i zaczęła powoli się kołysać.

- Przecież ci mówię. Po co miałabym wpuszczać go do domu albo pożyczać mu klucze? On łąził za mną. To było obrzydliwe. Nie chciałam, żeby przy mnie był. - Wstrząsająca nią odraza wyglądała na zupełnie autentyczną. - Z pewnością nie chciałąbym być z nim w pustym domu.

- W takim razie, jak tu się dostał?

- Myślałam, że ty znasz odpowiedź na to pytanie - odparła Vanessa i ponownie wyrósł między nimi mur chłodu.

III

Dwa dni później spotkała się po południu z Bruce'em Vallelym na kawie, zupełnie otwarcie, w sklepie ze świeżymi bajglami w samym środku kampusu, w tym samym miejscu, gdzie spotykała się z Kellenem. Bez żadnego skrępowania pomachała do Alice Henner, Siostrzanej Damy wykładającej na wydziale historii, ponieważ gdzieś w okresie tych ostatnich trzech miesięcy postanowiła nigdy już nie czuć się zażenowana.

To Bruce wyglądał na skrępowanego.

Po kilkuminutowej wymianie uprzejmości, Julia przypomniała mu, że obiecał jej już nie śledzić. Zapewnił ją, że chodziło mu wyłącznie o ochronienie jej przed małym Flew.

Ani ona jednak, ani on, nie wierzyli w te opowieści.

Przez chwilę siedzieli, obserwując pogodę, co skłoniło Julię do wspomnień, jak to, ucząc ósmą klasę o różnicach między klimatem a pogodą, tłumaczyła uczniom, żeby wyobrazili sobie klimat jako wszystko, co jest dostępne w całym supermarkecie, a pogodę jak to, co danego dnia mieli w wózku z zakupami. Doszła do wniosku, że w jej życiu dominuje aktualnie zła pogoda - ale niekoniecznie zły klimat.

- To było zabawne - rzekł w końcu Bruce.

- Co takiego?

- To, że mogłem cię trochę poznać. - Roześmiał się. - Chociaż potrafisz być irytująca i lubisz dyrygować ludźmi.

- Nie wyglądasz mi na mężczyznę, który daje sobą dyrygować.

Zorientowawszy się, dokąd taka rozmowa może prowadzić, porzucili ten temat. Bruce zapytał ją o to samo, o co pytała Mary Mallard - czy Julia sądzi, że Tice jest winny?

Odpowiedziała mu pytaniem - czy to on zorganizował jej możliwość poproszenia Ricka Chrebeta o potrzebną jej informację?

- Tak, zorganizowałem to - odparł, tonem pełnym powątpiewania. - Ale nie wiem, czy

on powie ci to, czego chcesz się dowiedzieć.

- Powie.

- Skąd taka pewność?

I ten wykrzywiony uśmiech, pełen energii i pewności siebie.

- Może nie wszyscy o tym wiedzą, Bruce, ale jeśli mi na czymś zależy, potrafię być naprawdę czarująca.

Na dworze Bruce odprowadził wzrokiem Julię włączającą się samochodem do ruchu ulicznego i powracającą do Landing. Z witryny sklepowej wyszła Gwen Turian.

- Wszystko załatwione - powiedziała.

Rozdział 62

Pojedynek

I

W czwartą sobotę lutego zadzwonił do niej Frank Carrington z informacją, że dysponuje drugim lustrem w stylu federalnym, z motywem żeglarskim, które chciał jej zaproponować w miejsce tego rozbitego, a Julia powiedziała, że zajrzy do niego jeszcze tego samego popołudnia, ponieważ już pogodzili się po tej kłótni w jego domu. Przyjechała tuż przed zamknięciem, wcześniej musiała przewieźć Jeans z zajęć baletu na przyjęcie urodzinowe, a ponadto wymyśliła, że przed zamknięciem są mniejsze szanse, że ktoś im przeszkodzi. Parkując samochód, rozejrzała się po ulicy, ale Vera wyjechała na wakacje. Nikt nie pamiętał, kiedy ostatnio brała urlop. Lurleen Maddox, która sprzedała Kellenowi to tanie lustro, właśnie zamykała drzwi.

- Cieszę się, że mogłaś przyjść - odezwał się Frank, mówiąc z jakimś nerwowym przejęciem. - Zajmie nam to chwilę.

Stała przy ladzie, czekając, nieco zaintrygowana, choć w zasadzie niezdziwiona tym, że Frank nigdy nie spełnił swojej groźby opuszczenia miasteczka. Przyniósł pakunek z pokoju na zapleczu, rozpakował lustro i położył je na szybie, żeby Julia mogła mu się przyjrzeć.

- Jest pęknięte - powiedziała. - Spójrz tu.

- To łatwo naprawić.

Po chwili negocjacji zgodzili się na sporą obniżkę.

Kiedy Frank ponownie zawijał lustro, Julia odezwała się:

- Mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Rozmawiałam z Rickiem Chrebetem, z tym oficerem śledczym, który pracował nad sprawą zabójstwa Kellena, pamiętasz?

- Oczywiście. Słyszałem, że aresztowali tego prawnika.

- Tak. Ale wiesz, zastanawiałam się nad tym. Podczas dochodzenia Rick pewnego dnia zajrzał do mojego gabinetu i powiedział mi o paczce krówek, którą wysłałam Kellenowi

na urodziny. Powiedział też, że Kellen wysłał potem te krówki mojej córce.

- Uhm. - Odwrócił się i wziął jej kartę kredytową.

- Ale teraz jest najciekawsze. Ja nie wysłałam tych krówek ze sklepu Very, tylko pocztą uniwersytecką. Nikt oprócz mnie i Kellena nie wiedział, że posłałam mu krówki. I nikt nie wiedział, że Kellen posłał krówki mojej córce, tylko... Kellen. Nawet Vanessa nie wiedziała, kto je przysłał.

Podał jej rachunek do podpisu.

- Rzeczywiście tak było?

- W każdym razie zapytałam Ricka Chrebeta, skąd dowiedział się o tych krówkach. I wiesz, co on mi powiedział?

- Nie.

- Powiedział, że dowiedział się o tym od ciebie.

Wynędniała twarz Franka uniosła się, w jego zmrużonych oczach widać było ślady wilgoci.

- Ode mnie? A niby skąd miałbym coś takiego wiedzieć? Tego człowieka spotkałem tylko raz, kiedy przyszedł do sklepu, żeby...

- Żeby kupić lustro stojące, wiem. - Złożyła podpis z zawijaszem. - Tak czy inaczej, wydaje mi się, że w Landing nie tylko Vera Brightwood pomagała Kellenowi. Vera zna się na plotkach. A Kellen z pewnością potrzebował kogoś, kto znał również fakty.

- To logiczne.

- Powiedzmy, były policjant, który pracował nad sprawą zabójstwa Giny Joule?

Kolejne skinienie głową.

- To logiczne - powtórzył, wręczając jej żółtą kopię paragonu.

- To byłby zupełnie niezły zespół. Ty, Vera, Boris Gibbs i Kellen, wszyscy poszukujący tego dziennika. Żeby prawdziwy zabójca stanął przed sądem. Żeby oczyścić pamięć DeShauna.

- Chyba tak.

- Wydaje mi się, że to godne uznania.

Nerwowy uśmiezek.

- Ja lubię mniejszości.

- Wiem o tym, Frank. Ale są tu pewne problemy.

- Problemy?

Ostrożnie, bardzo ostrożnie, zmierzyła odległość do wyjścia. Frank stał po drugiej stronie lady. Nie miał najmniejszych szans złapać jej, gdyby rzuciła się do drzwi.

- Po pierwsze, Four Mile Road nie ma na żadnych mapach ani w systemie GPS. Dlatego też ten, kto zabił Kellena i tam go porzucił, musiał być tutejszy. A to wyklucza Tony'ego Tice'a czy też jakiegoś fikcyjnego płatnego zabójcę. Po drugie, dysponuję już większością dziennika. Przeczytałam go, Frank. Arnie Huebner napisał, że nie mógł ufać swoim ludziom, zważywszy na te wszystkie krążące wokół pieniądze. Sądzę, że Arnie obawiał się, że jeden z jego zastępców może być zamieszany w próbę zatuszowania faktów. Może nawet wziął łapówkę. A to mogło stanowić poważny motyw dla tego zastępcy, jeśli on jeszcze żyje, do zabicia Kellena Zanta, nawet jeśli udawał, że mu pomaga. Ten zastępca mógł poprosić Zanta, żeby zabrał go samochodem w tę piątkową noc, być może pod pretekstem pojechania gdzieś i sprawdzenia kilku dodatkowych tropów. Kellen trochę się obawiał. Być może nawet coś podejrzewał. Spróbował podrzucić część materiałów w pewnym, znanym mu w Landing domu, ale niezupełnie mu się to udało. Sądzę, Frank, że ten zastępca go zabił. Sądzę, że ten zastępca go zabił i zabrał dowody, które Kellen miał przy sobie, a potem, kiedy odkrył, że nie ma wśród nich dziennika, wpadł w panikę i wygadał się przed kimś, komu to nie było obojętne - na przykład przede mną - że ten dziennik istnieje i tylko czeka, żeby go znaleźć.

Frank skinął głową.

- Powiadasz, że masz ten dziennik.

- Uhm.

- W takim razie chodźmy po niego.

Jej plan ucieczki nie uwzględniał broni.

W tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka nad wejściowymi drzwiami. Oboje podnieśli wzrok.

- Chyba nie przeszkadzam? - odezwała się Mary Mallard. W tym momencie zauważyła dłoń Franka. - Ojej!

II

Pojechali escalade, żeby Julia mogła prowadzić, a Frank mógł trzymać ją na muszce. Nadal był podenerwowany, ale po drodze opowiadał dowcipy, żeby trochę rozładować napięcie, choć żaden z nich nie był zabawny. Julia pluła sobie w brodę i to nie tylko dlatego, że obie z Mary mogły być martwe w ciągu pięciu minut. Przecież osobiście zapewniła Bruce'a Valley'ego, że sama potrafi o siebie zadbać. I wiedziała, że on teraz nie jedzie za nią potajemnie. Na tych drogach na zapleczu East Wood ruch był tak niewielki, że z bardzo

daleka widać byłoby jego samochód.

Mary, siedząca na tylnym fotelu ze skrępowanymi za plecami dłońmi, zaczęła głośno protestować, mówiąc „pan nie wie, kim ja jestem” i tego typu rzeczy, ale w końcu dała sobie spokój, kiedy Frank zagroził, że ją zaknebluje. Julia była wściekła na swoją przyjaciółkę, że ta znowu się pojawiła, ale Mary, kiedy już wpadła na trop ciekawej historii, była nie do opanowania.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Frank.

- Powiedziałaś, że chcesz dostać ten dziennik. Zabieram cię więc tam, gdzie on jest.

Na Four Mile Road znajdowało się kilka rozwidleń. Jeśli nie znało się tego terenu, raczej trudno byłoby je wszystkie odnaleźć. Frank teren znał. Bruce nie znał. Telefony komórkowe tu nie działały, a system GPS nigdy nie słyszał o tym miejscu. Och tak, to był wspomniały plan.

- Gdzie to jest? - zapytał.

- Dobrze schowane.

- Lepiej, żebyśmy dotarli tam w ciągu pięciu minut.

- Nie zajmie nam to tyle czasu.

- Nie dawaj mu tego dziennika - odezwała się Mary, chociaż nie miała najmniejszego pojęcia, czy Julia rzeczywiście go ma, czy nie.

- Już ci mówiłem, żebyś siedziała cicho - powiedział Frank. Rozejrzawszy się, zdał sobie sprawę, gdzie się znajdują. - W tych stronach nie mieszka nikt oprócz Mitcha Huebnera.

- Chyba go oświeciło. - Chcesz powiedzieć, że Mitch Huebner przez cały czas miał ten dziennik? - Roześmiał się. - Ten stary pieprzony łgarz.

Julia nie odpowiedziała mu. Skręciła w jedno rozwidlenie, potem w następne, coraz bardziej zagłębiając się w las.

- Julio, co ty wyprawiasz?

Skupiona na prowadzeniu samochodu, nic nie odpowiedziała.

- Daj spokój, Julio - powiedział były policjant. - To nie jest droga do Huebnera. Przegapiłaś zjazd. Julio! Co ty kombinujesz? Zwolnij!

Ale ona tylko dodała gazu, a wytrzymały samochód podskakiwał na śnieżnych zaspach i grzechotał na rowach.

Carrington uniósł pistolet.

- Dość tego, Julio. Przyznaję, zrobiłaś na mnie wrażenie. Ale, naprawdę, to nie ma sensu. Już wystarczy tych gier.

- Ty i tak nas zabijesz!

- Jeśli nie zatrzymasz samochodu - odpowiedział spokojnym głosem - pewnie tak zrobię.

- Zabijanie jest grzechem przeciw boskiemu darowi...

- Julio, zatrzymaj samochód.

- Jak sobie życzysz - odparła Julia i, mocno skręcając kierownicą, wcisnęła w podłogę pedał gazu, a potem z całym impetem uderzyła samochodem w największe drzewo w okolicy.

III

Cały świat sprowadził się do krystalicznej prostoty.

Frank był ogłuszony. Julia była ogłuszona. Na tylnym siedzeniu Mary jęczała. Nie była przypięta pasem, ale najprawdopodobniej uratowała ją boczna poduszka powietrzna. Niemniej jednak kąt, pod jakim zakrzywiona była jej noga, świadczył o tym, że kończyna musiała być paskudnie złamana. W ostatniej chwili Julia wprowadziła samochód w poślizg, celowo uderzając w drzewo bokiem pojazdu, a nie przodem, ale i tak wpadając na nie z pełnym impetem. Bak pękł i w powietrzu unosiła się intensywna woń paliwa. Jęki Mary przybrały na sile. Nic nie mówiąc, Julia i Frank otworzyli swoje drzwi i chwiejąc się, próbowali stanąć na nogach i dojść do siebie.

Co ciekawe, były policjant nie zgubił pistoletu. Ale Julii to nie obchodziło. Nie potrzebowała pistoletu. Potrzebowała torebki Mary Mallard i znalazła ją na podłodze samochodu.

- Dobra, Julio - odezwał się Frank, ciężko dysząc. - To było zabawne. Ale teraz już koniec zabawy.

- A kto się bawi?

- Nie zrobiłaś tego, bo się bałaś. I nie zrobiłaś tego dla zabawy. Zrobiłaś to, bo o czymś wiesz i nie chcesz, żebym ja się o tym dowiedział. Mów, co wiesz?

Julia nic mu nie odpowiedziała. Zgarbiona przy samochodzie grzebała w torebce Mary, a na śniegu tworzyła się kałuża benzyny. Pamiętała lekcje nauk ścisłych w liceum, a także coś, co Vanessa powiedziała jej po wizycie u Franka, coś o łukach, strzałach i zbroi.

- Przestań udawać, Julio. Wstawaj. Nic ci się nie stało. - Wreszcie dostrzegł, co robi jego ofiara. - I zostaw tę torebkę!

Julia podniosła się. W ręce trzymała zapalniczkę Mary Mallard.

- Moja koleżanka za dużo pali - odezwała się Julia.

- Co?

- Masz odłożyć pistolet, odwrócić się, pójść do lasu w tym kierunku - pokazała w stronę przeciwną do drogi - i policzyć do, powiedzmy, tysiąca.

Frank tylko pokręcił głową, nawet nie poruszając bronią. W drugiej ręce trzymał latarkę wyjętą z jakiejś kieszeni - raczej przydatną w zapadającym zimowym zmierzchu. Jego pewność siebie była wręcz przerażająca.

- Rób, co mówię - powiedziała.

- A jak nie, to co się stanie?

Zapaliła zapalniczkę. Handlarz odskoczył do tyłu.

- Widziałeś kiedyś wybuchające paliwo, Frank? Jak wysoko potrafią sięgnąć płomienie? I jak daleko strzelają? Widziałeś kiedyś coś takiego?

- Julio, co ty zamierzasz? Chcesz rzucić we mnie tą zapalniczką?

- Nie. - Uniosła ją wyżej, a potem wskazała na rozlane wszędzie paliwo. - Mam zamiar ją upuścić.

W lesie zapanowała cisza. A przynajmniej między tymi dwiema istotami ludzkimi. Gdzieś przez zarośla przemykały zwierzęta. Gałęzie trzeszczały na wietrze. A paliwo dalej kapalo, kap, kap, kap.

- Nie zrobisz tego. - Ale jego głos nie brzmiał już tak pewnie. - Chcesz się spalić? Chcesz, żeby twoja koleżanka w samochodzie się spaliła?

- A jaki mam wybór?

- Możesz powiedzieć mi, co wymyśliłaś na chwilę przed rozbiciem samochodu, i powiedzieć, gdzie w lesie schowana jest następna wskazówka, a ja zniknę z twojego życia. - Uśmiechnął się. - Chyba że mówiłaś mi prawdę o domu Mitcha Huebnera. Powiem ci coś. Chodźmy tam i sprawdźmy. Jeśli znajdziemy tam dziennik, zadzwonimy na pogotowie, żeby przyjechali do twojej koleżanki, a ja zniknę. Ale jeśli jest inaczej, jeśli mnie okłamałaś, w takim wypadku inaczej porozmawiamy.

Julia pokręciła głową. Dłoń dzierżąca zapalniczkę poruszyła się gwałtownie. W oddali usłyszała dźwięk syren.

- Nie. Ty nie możesz zostawić mnie przy życiu. Za dużo wiem.

- A co ty wiesz, Julio?

- Za dużo - powtórzyła. W samochodzie Mary płakała z niesamowitego bólu, a Julia zdawała sobie sprawę, że jeśli to wszystko szybko się nie skończy, na pewno rozklei się ze współczucia.

- Julio, tracimy tylko czas. Odłóż tę zapalniczkę. Chodźmy po dziennik. Potem możemy wezwać pomoc do twojej koleżanki.

- Nie. - Zrobiła krok do przodu. - Jeśli mnie zastrzelisz, zapalniczka spadnie. Chyba to widzisz, prawda?

Musiał to widzieć. Odsunął się trochę.

- Wciąż jesteś za blisko.

- Julio, proszę. Tylko o tym pomyśl. Przecież ty nie myślisz tak jak twój mąż. Ty nie postrzegasz świata w ten prosty sposób, że jest albo tak, jak ty chcesz, albo jest źle. Świat jest bardziej złożony. Ty dostrzegasz niuanse. Nie jesteś jakąś tam komiksową...

- Frank, liczę do pięciu.

Były policjant opuścił pistolet. Uśmiechnął się.

- Posłuchaj, Julio. Nawet jeśli odkryłaś prawdę, albo tak ci się wydaje, nawet jeśli zaczniesz o tym rozpowiadać, pomyśl, kto ci w to uwierzy? Julio, świat jest zbyt podzielony. Nikogo nie obchodzi „prawdziwa” prawda. Ich wszystkich interesuje tylko to, co może im pomóc, albo zaszkodzić ich przeciwnikom.

I znowu przeczący ruch głową. Julia nie chciała przyjąć do wiadomości, że świat jest aż tak cyniczny. Istnieli jeszcze ludzie, którzy wierzyli w prawdę.

Muszą istnieć.

A zatroskane oczy Franka mówiły, że on też w to wierzy.

- Idź - powiedziała spokojnie. - Po prostu idź. Proszę. Wynos się stąd.

- Julio...

- Liczę do pięciu. A potem rzucam zapalniczkę.

- Nie zrobisz tego.

- Raz. - Jej ręka ani drgnęła. Dźwięk syren świadczył o tym, że za kilka minut dotrą tu przedstawiciele władzy. - Dwa.

- Nie zrobisz tego. Nie zabijesz swojej przyjaciółki. Chcesz wiedzieć, jak dorastają twoje dzieci.

- Nie sądzę, żebyś do tego dopuścił. Trzy.

- Samobójstwo jest grzechem - spróbował podejść ją od drugiej strony.

- Cztery. - Julia wyżej uniosła zapalniczkę, zdumiona mocą pulsująca w jej ramieniu. - Frank, lepiej żebyś się ruszył.

- To grzech przeciw boskiemu darowi życia, podobnie jak zabicie kogoś innego...

- Pięć.

Otworzyła dłoń.

Po Franku Carringtonie został tylko splacheć pustego śniegu i szelest zarośli.

Julia instynktownie sięgnęła po zapalniczkę. Ale wrodzona niezdarność spowodowała,

że nie chwyciła jej.

Zapalniczka wywróciła się, obróciła i wpadła w kałużę płynącej benzyny.

Rozdział 63

Quiz naukowy

I

Dla laika, a także czasami dla specjalisty, wiedza naukowa nieco różni się od wiary. Wiara pojawia się pod nieobecność metod analitycznych i często również dowodów - w takiej sytuacji nie kłopotujemy się własnym badaniem dowodów, lecz zdajemy się na swoich arcykapłanów, którzy mówią nam, co jest, a czego nie ma. I chociaż czasami arcykapłani nie wiedzą wcale więcej niż my sami, to ich płomienne nauki tworzą szablony, przez które my postrzegamy świat. Jeśli oni się mylą, my również się mylimy.

Zapalniczka uderzyła w ziemię.

Płomień, nagły i pomarańczowy.

Rozszerzył się, trzaskał, gorący.

Julia odskoczyła w tył.

Płomień zamigotał, zasyczał i zgasł, zgodnie z tym co Julia, była nauczycielka nauk ścisłych, przewidywała. Arcykapłan Hollywoodu za każdym razem się mylił i choć wiedzieli o tym wszyscy nauczyciele nauk ścisłych w Ameryce, ale nie śmieli o tym uczyć, bojąc się, że jakiś głupiec może tego spróbować. W filmach samochody rozbijają się i wybuchają. Bohaterowie filmów strzelają do samochodów, a te wybuchają. Samochody spadają ze skał lub budynków i zaraz potem wybuchają. W rzeczywistości benzyna bardzo rzadko wybucha, chyba że jest zamknięta, a nawet w tym wypadku jej opary muszą znaleźć się pod odpowiednim ciśnieniem - natomiast nie wybuchnie, jeśli oparów będzie zbyt dużo. Benzynę trudno nawet zapalić, zwłaszcza kiedy jest zimno.

Frank Carrington oglądał za dużo filmów.

II

Ta cała teoria Julii miała jedną wadę, była niekompletna. W związku z tym, że nie doszło do wybuchu, Frank wkrótce powróci. I to w złym humorze.

Julia postanowiła na to nie czekać.

Szybko wróciła do samochodu, ale po wybuchu poduszek powietrznych nie można go było uruchomić. Nachyliła się w stronę Mary i sprawdziła jej tętno, a potem pocałowała ją w policzek. Skóra pisarki była śliska od potu. Mary już nie jęczała. Julia nie miała pojęcia, czy kobieta jest przytomna. Uścisnęła jej dłoń. Wszędzie było strasznie dużo krwi.

- Posłuchaj - odezwała się. - Słuchać syreny. Ktoś tu jedzie. Oni ci pomogą. A jeśli nie, to ja sprowadzę pomoc. Ale nie mogę tu zostać.

Odpowiedział jej uścisk dłoni, oczy otworzyły się na moment.

- Idź - wyszeptała Mary.

- Przepraszam.

- Nie licz, że przez to będę miłsza. - Roześmiała się. Po chwili jęknęła. Oczy zamknęły się, ale po chwili ponownie się otwały. - Idź!

Julia ruszyła.

Frank Carrington uciekł w stronę, z której nadjechali, więc Julia postanowiła bardziej zagłębić się w las, i tak też zrobiła, przekopując się i przeczolągając przez wysokie zaspę i wyższe zarośla. Po dwóch minutach straciła już polanę z oczu. Po trzech zgubiła się. Wspaniale. Po prostu wspaniale. Tylko tego jej było trzeba. Z tego, co wiedziała, Frank właśnie wracał, a ona, próbując uciec, wpadnie wprost na niego. Powinna była zostać na miejscu. Z pewnością te syreny zwiastowały jej ratunek.

Ale nadal biegła, potykała się, znowu się podnosiła i biegła dalej, nie mając pojęcia, dokąd zmierza, wiedząc tylko, że nie ma odwagi stanąć, a śnieg wsypuje się jej do kozaczków i za kołnierz, szybko wychładzając jej skórę. Śmiała się albo płakała, nie miało to żadnej różnicy, udało się jej uniknąć śmierci od kuli i śmierci samobójczej, a teraz prosiła się o śmierć przez zamarznięcie.

Sięgnęła po telefon komórkowy, ale zostawiła go w samochodzie.

Droga. Zobaczyła drogę. To była ta druga droga, w którą nie skręciła na rozwidleniu.

I usłyszała huk wystrzałów. Dwa wystrzały, rozbrzmiewające echem w lesie. Chwilę później zwierzęta i ptaki rzuciły się do szalonej ucieczki. Julia cofnęła się i postanowiła podążyć za fauną, która z pewnością wie, bo przecież ma ten doskonały zmysł orientacji, z której strony jest ta odpowiednia strona.

Odniosła wrażenie, że wystrzały oddano w jej kierunku.

Frank Carrington wiedział, gdzie ona jest.

Biegła. Uciekała przed swoją przeszłością i uciekała ku przyszłości, uciekała od Klanu, uciekała z serca bieli i ze świata oczekiwań, a także świata nadziei. Uciekała od męża i

ku swoim dzieciom, od pracy i ku swoim marzeniom. Biegła, jej stopy ledwo muskały powierzchnię, pędziła przez las, a zimno przenikało ją do szpiku kości od tego całego śniegu, który przedostał się pod jej ubranie, ale wciąż biegła, biegła i biegła.

Aż wpadła do rowu.

Jeszcze starała się z niego wydostać, kiedy usłyszała za sobą chrzęst śniegu.

- No proszę, to była niezła zabawa - odezwał się Frank Carrington, mocno dzierżąc pistolet w dłoni. - Pamiętam, że podobno byłaś niezłą nauczycielką nauk ścisłych.

Rozdział 64

Serce bieli

I

Najgorsze było to, jak z wyraźnym zadowoleniem zauważył Frank, że znajdowali się niecały kilometr od chaty Mitcha Huebnera. Julia prosiła, żeby najpierw sprowadzili pomoc dla Mary, ale Frank powiedział, że sama jest winna, bo rozbiła samochód. Kiedy próbowała mu się sprzeciwić, obiecał, że jeśli nie pójdzie z nim do domu Huebnera, on tu na miejscu strzeli jej w plecy i pozwoli jej wykrwawić się na śmierć, a potem wróci do samochodu i to samo zrobi z Mary.

- To nieludzkie - powiedziała Julia, nie potrafiąc wymyślić nic mądrzejszego.

- Daj spokój, czyżbyś nie czytała książek historycznych? To jest bardzo ludzkie.

Poszli więc przez pokrywające las zasy śnieżne, unikając wszelkich dróg, teraz to Frank prowadził, bo znał trasę. Wędrówka zdawała się ciągnąć bez końca i wkrótce Julia stopy miała tak zmarznięte, że nie czuła palców, ale to nie miało żadnego znaczenia, była zbyt przerażona, żeby tym się martwić.

- Ten Zant to był niezły gość, prawda? - odezwał się zabójca. - Wszystkim kazał rozwiązywać swoje zagadki.

- Niezły był, to prawda - odrzekła Julia, ale Frank nie miał nastroju do ironizowania.

- Miał gość charakter. Prawdziwy showman. Podobał mi się.

- Zauważyłam.

- Nie miałem wyboru, Julio. Do wszystkiego doszedł. - Nagle rozzłościł się, prawdopodobnie wyczuwając jej niewypowiedziany sprzeciw. - Julio, ja wtedy byłem dzieciakiem. Miałem dwadzieścia cztery lata! Nie możesz mnie obwiniać za coś, co zrobiłem, mając dwadzieścia cztery lata!

- Kiedy zastrześliłeś Kellena, byłeś już trochę starszy - odparła cicho.

Szli dalej, mijając ośnieżone drzewa, każde skrywające w nocy ciemną, archiwalną historię. Kellen, w głębi serca chłopak ze wsi, twierdził, że uwielbia śnieg. Mówił, że kocha go za tę jego przypadkowość. Za fakt, że potrzebuje nas, żebyśmy dali mu jakiś sens. W

świecie Kellena wszystko miało tylko taki cel lub znaczenie, jakie nadał mu Kellen. Dla niego całe stworzenie było nowe i świeże, ponieważ on zupełnie nie zważał na to, co myślą inni. Ta niefrasobliwość, to swobodne odrzucenie wszelkich konwencji, kiedyś ją do niego przyciągnęły, ponieważ odbierała to jako buntownicze i ideologicznie pobudzające, zanim przyznała, po latach spędzonych jako jedna z jego towarzyszek, że Kellen jest człowiekiem o narcystycznym charakterze, a później, po wielu kolejnych latach, że w jakiś najbardziej fundamentalny sposób jest człowiekiem złym.

- No to dotarliśmy - oznajmił Frank Carrington, z szaloną radością w głosie.

Doszli do poprzecinanej koleinami ścieżki prowadzącej pod drzwi przechylonej, pustej chaty. Jak przewidywała, Mitcha Huebnera nie było, pojechał odśnieżać.

- Od lat tu nie zaglądałem - rzekł Frank. - Ostatni raz byłem tu, żeby przywieźć czek, bo w przeciwnym razie ten stary sukinsyn przestałby odśnieżać mój podjazd.

- Rozumiem, że czasami płacenie za wyświadczone przysługi może być niewygodne.

- Ty chyba naprawdę nie wiesz, kiedy przestać, co?

- Ostatnio nie.

Frank Carrington położył dłoń na jej ramieniu, zmuszając ją, by zwolniła. Światło jego latarki omiotło podwórze, wydobywając z ciemności rozrzucone sągi drewna, rozbite okna ciemnej chaty, psią budę... psia buda.

- A co to?

- To Goetz - powiedziała Julia, podenerwowanym głosem.

- Pies?

- Tak.

- Na łańcuchu?

- Tak.

- Nie podoba mi się ten pies. Może powinienem go zastrzelić.

Udało się jej odzyskać nieco swojej wyniosłości.

- To jest ona.

Ruszyli przez podwórze. Kiedy dotarli do schodów, pies zawarczał. Frank spojrzał przez ramię, poświecił na łańcuch i zamruczał pod nosem.

- Trzeba było ją zastrzelić.

- Proszę bardzo - powiedziała Julia.

- A co, masz coś przeciw psom?

- Tylko przeciw temu. Ostatnio jak tu byłem, przewróciła mnie na ziemię. W ciemnościach wyczuła jego baczne spojrzenie i zastanowiła się, czy nie powiedziała za dużo.

Ale Frank tylko się roześmiał.

- Wiesz, co ci powiem? Jeśli spróbujesz jakichś sztuczek, rzucę cię jej na pożarcie. Jak ci się to podoba?

Tym razem przebiegł ją autentyczny dreszcz.

Doszli do drzwi.

Julia uważała, żeby nie dotknąć klamki. - Zwykle są otwarte - powiedziała. - Idziesz pierwszy?

- Czy wyglądam na ostatniego idiotę? - zapytał.

- Jesteś pewny?

- Julio, nie marnuj czasu. Otwieraj drzwi.

Skinęła głową, przelknęła ślinę i położyła rękę na klamce. Pod gołą dłonią, bez rękawiczki, klamka sprawiała wrażenie oślizgłej, żywej istoty, wijącej się i kręcącej w ręce jak umierająca ryba. Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Goetz zaatakowała w zupełnej ciszy.

II

Frank był bardzo szybki. Odwrócił się, przykucnął i oparł pistolet na przedramieniu, jednocześnie celując, zrobił to wszystko w niecałą sekundę i mając tak dużo czasu, z pewnością rozwaliby potężnego psa na kawałki, gdyby Julia nie przeszkodziła mu w celowaniu, uderzając go w ucho szuflą, tą samą szuflą, która tak nieskutecznie chroniła ją podczas jej pierwszej wizyty w chacie pana Huebnera.

Były policjant nie był ranny, lecz zamroczony, w związku z czym oba strzały poszły gdzieś w górę, a on chwycił drżącą dłonią Julię za kostkę i wciąż miał na tyle siły, żeby przewrócić ją na ziemię, chociaż Goetz już wylądowała na jego brzuchu. Kolejny strzał, po którym upuścił pistolet, a potem to on sam już krzyczał, później już wył, to było okropne, nigdy nie słyszała takiego strasznego dźwięku, zakryła uszy i odczołgała się na bok, z nogami obolałymi po upadku, pragnąc, żeby Frank Carrington zasłużył sobie na to, co dostał, pragnąc być siłą ziemskiej kary i stanowczości, pragnąc, żeby jego ciało pies rozrywał i kaleczył za to, co ten człowiek zrobił Kellenowi i jej rodzinie, i z całych sił modliła się o nienawiść do bliźniego swego, żeby potrafiła stać z boku, patrząc obojętnie, a nawet z satysfakcją, jak Goetz rozrywa go na śmierć.

Ale nie mogła tego zrobić.

Nie potrafiła pozwolić na to, żeby dziecko innej matki zmarło w taki sposób.

Podniosła się na kolana, wzięła mocny zamach szuflą i z całych sił walnęła nią w

Goetz...

...ale zbyt słabo...

...Frank krzyczał, rozpaczliwie wyciągał ręce i beznadziejnie...

...wszędzie pełno krwi, tryskającej czernią w świetle księżyca...

...nigdy w życiu nie widziała czegoś tak strasznego...

...uderzała psa raz po razie, jak kobieta w malignie, i może czasami się myliła i uderzała Franka, a nie psa, a może czasami celowo uderzała Franka, wymachując i wymachując, i znowu, i znowu...

Julia odwróciła się.

Pies leżał martwy.

Usiadła na werandzie.

Skończone. Załatwione.

Chociaż niezupełnie - pod zmaltretowanym cielskiem psa zaczęło się poruszać coś zakrwawionego i niebezpiecznego.

Frank Carrington wciąż żył, ale kiedy spojrzała w jego oczy, zauważyła, że patrzy na nią coś złowieszczego nieludzkiego. Nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się nędznie, z okropnie poranionej twarzy spływała krew, z wysiłkiem podniósł się na nogi, ciągnąc za sobą stopę wykrzywioną pod niewiarygodnym kątem, a jego ociekająca czerwienią ręka ponownie chwyciła, w co aż trudno było uwierzyć, pistolet.

Kiedy w końcu jego usta się otworzyły, wydobywający się z nich grobowy dźwięk był głosem jej wszystkich sennych koszmarów pojawiających się na jawie.

- Julio - odezwała się stojąca przed nią istota, kaszląc i bulgocząc. - Nieładnie.

Wyciągnął przed siebie obie ręce, w których drżał pistolet, ale to nie miało znaczenia, wystarczyłoby, żeby tylko strzelił, a Julia, z której odwaga i siła wyciekały błyskawicznie, odchyliła się do tyłu, czekając na jego demoniczny uścisk.

„Siostrzyczko, nie bądź głupia”, usłyszała głos swojego brata, Jaya, dobywający się gdzieś z jej głębi.

Wstała i rzuciła się do biegu.

III

Uciekając pieszo przez śnieg, tylko głupiec może myśleć, że zyskuje wolność. Julia uzmysłowiła sobie to już po dziesięciu metrach biegu. W czystym świetle księżyca jej ślady wyróżniały się śmiałym czarnym reliefem na połyskującej białej skorupie pola. Jeśli tylko

Frank Carrington jest w stanie w miarę szybko się poruszać, bez trudności odnajdzie jej ślad. Nie miała czasu na dokonywanie żadnych analiz i zaufała instynktowi, który już tyle razy ją ochronił.

Instynkt ostrzegł ją, żeby zbliżyła się do drzew, gdzie w półmroku trudniej będzie dostrzec ślady spieszącemu się mężczyźnie. Najłatwiej byłoby skorzystać z komórki, ale została podłączona do uchwytu w samochodzie. Drzewa były więc jej jedyną nadzieją.

Za plecami słyszała jego krzyki i chyba dźwięk zwalniającego samochodu, ale nie śmiała się zatrzymać.

Udało się jej dotrzeć do lasu. Jedna noga, potem druga noga. Płyne obok drzew, nasłuchuje odgłosów pogoni, słysząc tylko nocne dźwięki, jak w każdym lesie, drobne zwierzątka umykające do bezpiecznego schronienia, wiatr szemrający wśród zmrożonych gałęzi. Julia biegnie. Pełen grozy las zdaje się ożywać na jej widok, świadomy i zatroskany nie wie, czy ona jest jego przyjacielem, czy wrogiem. Ale chociaż zawsze była przekonana, że duchy są tylko wytworem obsesji dorastających dziewcząt, jest teraz pewna, że one biegną obok niej przez las. Kiedy się odwraca, nikogo ani niczego nie widzi, jedynie mignięcie księżycowego światła, jak przez pryzmat przechodzącego przez wiecznie zielone drzewa... oraz odległy blask latarni ulicznych.

Julia potyka się i zauważywszy, że uderzyła w krawężnik, staje na asfalcie. Nagle drzewa przestają już być lasem, tworzą tylko wąski pas zieleni oddzielający domy wznoszące się nad znajdującą się za nią drogą. Wyszła na jakieś osiedle, którego nie potrafi rozpoznać, nie jest specjalnie wyrafinowane, znajdują się tam typowe domy w stylu neokolonialnym, zbudowane przez białych neokolonialistów na kawałku ziemi będącym kiedyś własnością krajowców.

Przestań, rozkazuje sama sobie, zauważając, że zaczyna majaczyć.

W panującej na ulicy upiornej zimowej ciszy Julia dochodzi do wniosku, że później zajmie się tą rasową ironią chwili, ponieważ jeśli tu są ludzie, to są tu też telefony, a jeśli są telefony, to będzie policja. Biegiem przecina cichą drogę, rzuca się do najbliższych drzwi w jasnoniebieskim domu z pięknymi zasłonami, przed którym do połowy zakopany w trawniku stoi plastikowy dziecięcy rowerek trójkołowy.

Julia wali w drzwi jak szalona, ale po chwili, uzmysłowivszy sobie, że pukanie o tak późnej porze może być opacznie odebrane jako coś przerażającego, nieśmiało sięga do dzwonka.

Czeka, nieufnie oglądając się przez ramię.

Nic.

Ponownie dzwoni, potem znowu zaczyna stukać w drzwi, woła niepewnym głosem:

- Pomocy! - a potem jeszcze raz, już głośniej.

Po chwili zza zasłoniętego okna obok drzwi wygląda zatroskana blada twarz, w okularach i wałkach na włosach. Przerazone oczy są ogromne, a do tego powiększone przez szkła okularów. Do nogi kobiety tuli się jakieś dziecko.

Julia woła do niej:

- Proszę, potrzebuję pomocy - a kiedy twarz się nie rusza, wykonuje ruch ręką naśladujący korzystanie z telefonu i stara się uśmiechnąć tak uroczo, jak tylko potrafi, cały czas pamiętając, że podąża za nią żywy trup, który chce ją zabić.

Oczy jeszcze bardziej rozszerzają się z przestachu, ta kobieta w domu kręci przecząco głową. Dziecko nadal kurczowo trzyma się jej nogi. Kobieta gestem stara się przegonić Julię, a potem, żeby nie było żadnych wątpliwości, jej usta układają się w wyraźne „Wynoś się!”. Puszczą zasłonę, która zakrywa okno, a Julia, wycofując się oszołomiona po wysypanej solą ścieżce, widzi tę kobietę w oknie pomieszczenia, które najprawdopodobniej jest pokojem dziennym, jak z potworną satysfakcją obserwuje ucieczkę mrocznego intruza.

IV

Kiedy już została odpędzona od drzwi kolejnych dwóch domów, przegoniona przez podskakujące psy od kilku następnych, Julia w końcu przestała marzyć, że któryś z właścicieli, jeden z jej współmieszkańców w Landing, zaproponuje jej schronienie - ciepło ognia, gorącą czekoladę, może nawet będzie miał broń w szafie - i razem będą mogli zaczekać na przyjazd jednego z nielicznych miejskich radiowozów. Ale zamiast tego widziała przez okna, jak mieszkańcy odwracali się od niej w przerażeniu, jakby była terrorystką albo trędowatą czy też czarną. Julia pospiesznie zmierzała do wejścia do ślepego zaułka, bardzo już oddaliła się od pasa zieleni. Może powinna rzucić kamieniem w czyjeś okna, licząc na to, że przerażeni właściciele przynajmniej zadzwonią na policję, żeby ich obroniła przed grasującą tu Murzynką; ale ona liczyła na znalezienie schronienia w jednym z tych domów i bałaby się ryzykować oczekiwania tu na przyjazd policji, kiedy gdzieś w pobliżu może już czaić się Carrington. Telefon komórkowy został w samochodzie. Julia zaczyna biec, ale sama nie wie, skąd biegnie ani dokąd. Zaczął padać lekki śnieżek, a do tego, co ważniejsze, zerwał się przenikliwy wiatr. Minęła już dziesiąta i sytuacja staje się komiczna. Przecież niemożliwe, żeby była tak bezradna w środku miasteczka, które już od sześciu lat nazywa domem. Księżyc, tak jasny wieki temu, kiedy wraz z Mary i Frankiem jechali jej samochodem, gdzieś

zniknął. Nie jest w stanie powiedzieć, czy nadal jest ścigana ani też jak blisko może znajdować się jej prześladowca. Wie jedynie, że nie ma odwagi zwolnić.

W tej chwili jest to jej jedyny cel, musi biec, nie iść. Biegnie w wysokich butach przez skrzypiący śnieg, niemal przy każdym kroku przekonana, że zaraz się przewróci. Zostawia za sobą domy ustawione w kształt litery U, ale już po chwili zauważa, że to osiedle jest większe niż początkowo jej się wydawało, identyczne drewniane domy, jakby wycięte z jednej matrycy, ciągną się za kolejnymi przecznicami. To musi być Cromwell Woods, jedyne tej wielkości osiedle w miasteczku, przez jakiegoś niedouczonego historycznie anglofilskiego budowniczego nazwane w ten sposób na cześć lorda protektora, królobójcy, który w imieniu ludu tyranizował Anglię. Julia przypomina sobie, że w Cromwell Woods znajduje się prawie sto domów, w cenach przystępnych dla osób przeciętnie zamożnych, i że miasto walczyło jak szalone, żeby ich tu nie wpuszczać.

Julio, później się nad tym zastanowisz. Skoncentruj się.

Musisz się stąd wydostać!

Osiedle, na którym nie mieszkamy, potrafi być zdumiewające i przerażające, zwłaszcza nocą, a my jesteśmy na piechotę. Nie znamy domów ani drzew, ani ludzi. Nie znamy nazw ulic, które w Ameryce zawsze brzmią tak samo - Belmont prowadzi do Park, a ta do Colony. Żaden budowniczy nie nazwie ulicy Wojtyła, Montanez ani Chen. Jakby cały naród, niezależnie od charakteru etnicznego danej grupy, pragnął mieszkać na obrzeżach miejscowości założonej przez białych potomków pierwszych anglosaskich imigrantów. Również Julia kiedyś tego pragnęła, ale teraz, kiedy rzeczywiście mieszka w takiej miejscowości, zauważyła, że kiedy ona jest w potrzebie, to miasteczko wcale nie jest wielkoduszne, że jest w ogóle beznadziejne.

W końcu przestała biec, była już zbyt zmęczona i nie wiedziała, dokąd ma się udać. Wszystkie uliczki wyglądają tak samo. Gdy tylko ma wrażenie, że udało się jej znaleźć wyjście, zauważa, że zawraca w stronę drzew i Franka. Gdy tylko ma wrażenie, że skręca w inną uliczkę, patrzy na nazwę i zauważa, że już tu była. Nogi zaczynają odmawiać jej posłuszeństwa. Uda odmawiają jej prawa do wydawania poleceń jej ciału. Nieoczekiwanie przychodzi jej do głowy, że śmierć z ręki Franka Carringtona jest lepszym rozwiązaniem niż wiele innych, które mogą na nią czekać, na przykład wykonanie kolejnego kroku w tej okropnej pogodzie. Śnieg pada już dużo intensywniej, a Julia dochodzi do wniosku, że gdyby położyła się tu, na tym małym trawniczku przed tym ostatnim domem, w którym ją zignorowano, wkrótce zamarzlaby na śmierć. To może nie było aż takie złe rozwiązanie.

Usiadła na ziemi.

Zimno, ale da się wytrzymać. Wkrótce to się skończy. Wreszcie.

„Wstawaj, Julio”.

Odejdź. Ciebie nie ma. Jesteś tylko wiadomością z drugiej połówki mojego mózgu. Jakimś reliktem atawistycznych czasów, kiedy lewa półkula za nic nie odpowiadała. Udowodnił to Julian Jaynes, a ja mu wierzę. Może o tym nie wiesz, ale on był psychologiem, a mój brat i ja dostaliśmy imiona właśnie po nim.

„Julian Jaynes był bardzo mądrym psychologiem, ale on się mylił. A teraz wstawaj!”

Podniosła się, choćby po to, żeby uciszyć ten głos. Ale teraz na spodniach ma śnieg, który zaraz zacznie topnieć pod wpływem ciepła jej ciała, i jej nogi będą zupełnie przemoczone.

- Lepiej, żeby to było ważne - zrzędzi, ale ten głos nie odpowiada.

Stawia niepewny krok. Czuje uderzenie zimnego wiatru. Chwiejąc się na nogach, Julia rozgląda się za Frankiem Carringtonem. Ma wrażenie, że jej znużone ciało przemieniło się w zastygły blok lodu. Jakby przemarzała na wskroś. Próbuje przypomnieć sobie, jak nazywa się ten proces, ale nie udaje się jej to. Jej mózg jest wykończony. Julia ma już dość śniegu. I tej nocy. Może jednak najlepiej będzie znowu tu usiąść i poczekać, aż ten głos w jej głowie zamarznie na śmierć.

Ale w tym momencie dostrzega coś niewyobrażalnie gorszego.

Frank wreszcie ją dogonił. Już go widzi, jest na następnej przecznicy, powłócząc nogami idzie ulicą. Julia próbuje zmusić swoje ciało do biegu, ale ono już zasnęło. Frank wlecze się w jej stronę, jego stopa wykrzywia się przy każdym kroku. Nikt nie otwiera drzwi. Nikt nie przychodzi jej z pomocą. Słyszy jakiś krzyk, ale to tylko złowieszczy wiatr.

Julia odwraca się, próbuje biec, udaje się jej zrobić tylko jeden czy dwa kroki, zanim potyka się i wpada w spowijający ją chłód śniegu Nowej Anglii.

Frank Carrington góruje nad nią, w kurtce ciężkiej od krwi, z oczami w obwódce radosnego szaleństwa, i z uzbrojoną w pistolet ręką, która chwieje się, ale mierzy w jej stronę. Julia zmusza się do powstania, zdecydowana nie poddać się bez walki. Robi zamach bezsilną ręką, sama nawet nie wiedząc, czy zamierza uderzyć go otwartą dłonią, czy pięścią. W każdym razie jego głowa z trzaskiem gwałtownie odchyła się do tyłu.

I już Bruce Vallely trzyma ją, płaczącą, odprowadzając ją od ciała leżącego w śniegu ze złamanym karkiem.

Rozdział 65

Aukcja, w której wszyscy płacą

I

W końcu reporterzy dotarli do miasteczka, które musiało jakoś znieść ten najazd watahy dziennikarzy przetaczających się po pełnych zieleni bocznych uliczkach w poszukiwaniu doskonałych wywiadów, zachwyconych możliwością uczenia bohaterskiej przedstawicielki ich zawodu, która bezinteresownie naraziła swoje fizyczne ciało na szwank, aby schwytać złowrogiego, powiązanego z mafią handlarza antyków, przybywszy jego śladem aż do Harbor County. Nie mogli się pogodzić z niesportowym zachowaniem głównej bohaterki, Mary Mallard, która nie zezwoliła na żadne odwiedziny w swojej prywatnej sali w centrum medycznym, gdzie wszystkie dodatkowe koszty pokrywał uniwersytet, z wdzięczności za wyświadczone przez nią przysługi - ponieważ rzeczony handlarz, zmarły Frank Carrington, był odpowiedzialny za zamordowanie profesora Kellena Zanta i za krótkotrwałe porwanie żony rektora Lemastera Carlyle'a, najwyraźniej zatrzymanej przez niego dla okupu.

Biuro prasowe uczelni nie zgodziło się na przeprowadzenie wywiadu ani z rzeczoną żoną, ani z kierownikiem ochrony kampusu, który rozwiązał tę sprawę, chociaż w niektórych relacjach mówiono o nim jako o komendancie bezpieczeństwa kampusu czy w jakiś inny, podobny sposób. W pierwszych relacjach ścisłość informacji nie miała zbyt wielkiego znaczenia; a skoro już o tym mowa, podobnie też było w relacjach późniejszych. Jak podawała prasa, Mary Mallard odniosła wielokrotne złamania i wewnętrzne obrażenia, kiedy pod lufą pistoletu zmuszona kierować czarnym escalate małżonki rektora, inteligentnie i odważnie rozbiła auto o drzewo. Tę jej niechęć do udzielania wywiadów uznano, nie ukrywając jednocześnie zazdrości, za próbę zatrzymania szczegółów dla siebie, dopóki nie nadejdzie czas promocji jej potencjalnej książki. Komendant uniwersyteckiej ochrony - jakkolwiek się tytułował - odegrał dosyć ważną rolę drugoplanową i całe watahy dziennikarzy domagały się jego relacji, ale niestety on akurat w tym momencie postanowił wykorzystać zaległy urlop i wyjechał do Karoliny Południowej, gdzie oglądał domostwa, ponieważ tam planował przenieść się na rychłą emeryturę. A jeśli chodzi o państwo Carlyle'ów, watahy

najeźdźców oblegały ich przez kilka dni. Rektor Carlyle wystąpił przed kamerami z pełnym wdzięczności i czarującym oraz dowcipnym oświadczeniem, ale poza tym najeźdźcy byli trzymani na dystans przez falangę składającą się z kierownika informacji publicznej, pary dziwnych istot, które mieniły się Siostrzanymi Damami, oraz kuzynki rektora, Astrid Venable i jego ponurej nowej asystentki, Katie Chou, która na czas oblężenia praktycznie przeprowadziła się do ich domu.

Kilku nieustraszonych reporterów pojawiło się nawet w Lombard Hall, zakradło się do czworoboku Keplera, by wysledzić Julię Carlyle, ale odkryli tylko, że ona zrezygnowała ze swojego stanowiska. W wydanym przez panią dziekan oświadczeniu można było przeczytać, jak dumny jest wydział, że może zaliczyć Julię Carlyle do grona swoich absolwentów, i jak panią dziekan zachwyca praca pani prodziekan, która odznacza się wyjątkową uczciwością i odwagą. Sądząc z oświadczenia, Julia wróciła z wojny. Wszelkie pytania odsyłano do Iris Feynman.

Chociaż zarówno rodzina Carlyle'ów, jak i Mary Mallard odmówili komentarzy do tragicznych wydarzeń tej zimnej nocy w Nowej Anglii (jak to określił prowadzący wiadomości w jednej z sieci kablowych), watahy wciąż jeszcze miały gdzie grasować. W miejscowości Tyler's Landing, niejaka Vera Brightwood, właścicielka ciastkami Cookie's, a zarazem nieoficjalna historyk i sumienie miasteczka, udzielała jednego wywiadu po drugim. Wielu znajomych Julii Carlyle z miasta chciało wygłosić hymny pochwalne, brylowała wśród nich Tonya Montez, przez kilku dziennikarzy prasowych określona jako jej bliska powiernica, a przez jednego z prowadzących wieczorne wydanie wiadomości jako kuzynka. Bliska, najbliższa przyjaciółka Julii, Tessa Kenner, zapełniła sporo czasu antenowego, i to nie tylko w swoim programie, dając do zrozumienia, że nie dzieli się całą posiadaną na ten temat wiedzą.

Tymczasem na terenie uniwersytetu popularność rektora Carlyle'a rosła w zawrotnym tempie. Nie zmienił się żaden z jego pomysłów, które wywoływały niezadowolenie wśród kadry, ale, trzeba przyznać, zmienił się kontekst. Już nie był tyranem i potworem umieszczonym na tym stanowisku przez prawicowych absolwentów uniwersytetu. No tak, w zasadzie był. Ale uzyskał nowy status, najukochańszej postaci na uniwersytecie, ofiary - prawdziwej ofiary, czarnoskórego Amerykanina, którego rodzinie zagroził rasistowski biały człowiek. Co prawda, rodzina Carlyle'ów, jako ukształtowana zgodnie z zasadami seksistowskimi i heteronormatywnymi, nie stanowiła najlepszego przykładu do wysławiania, ale byli doskonałymi ofiarami (Nawet ci wśród ludzi uciskanych, którzy starają się żyć zgodnie z bezprawnymi normami kulturowymi, są w końcu miażdżeni przez siły reakcji!). I

dlatego też, wbrew protestom kilku twardogłowych, zezwolono mu na połączenie Gender Studies z wydziałem feministycznym. Pozwolono mu zaostrzyć politykę antynarkotykową na uczelni, zamiast ją zliberalizować. Już jednak na wiosnę, kiedy miał zaproponować powołanie komisji, która rozważyłaby potrzebę przywrócenia programu szkolenia oficerów na kampusie, dawne pozycje bojowe zostały ponownie obsadzone - jedna rzecz być ofiarą, a zupełnie inna zezwalać na choćby najmniejsze naruszenie uświęconych gajów akademii przez najniebezpieczniejszą organizację na świecie.

W żadnej z relacji nie pojawiało się nazwisko prezydenta Stanów Zjednoczonych ani senatora z Nowej Anglii, który miał nadzieję go zastąpić, czy też nazwa mało znanego, podupadającego męskiego klubu z Harlemu.

Była jeszcze ta dużo spokojniejsza scena, ukryta głęboko przed badawczymi spojrzeniami prasy, dyskretni wysłannicy osób, które znały pewne osoby, które miały powiązania z innymi osobami, chyłkiem pojawiali się w miasteczku, żeby się naradzać, zawsze bardzo cicho, z państwem Carlyle, upewniając się, że wszystko jest w porządku, pytając, czy czegoś nie potrzebują, obiecując pomoc, gdyby tylko zaszła jakaś potrzeba, i po cichu wypytyjąc, czy, tak przy okazji, w ostatnich tygodniach nie pojawiły się jakieś plotki o domniemaniach, które mogłyby postawić tego albo tamtego kandydata w świetle...

Nie, nie i nie, odpowiadali państwo Carlyle. My nie zajmujemy się polityką. Ale gdyby cokolwiek się pojawiło, z pewnością pierwsi się o tym dowiedzie.

II

Tymczasem nowa terapeutka Vanessy oznajmiła, że nie będzie starać się „wyleczyć” nastolatki z tego, że jest nastolatką. Jestem osobą, z którą ona może porozmawiać, stwierdziła doktor Jacobstein. I na obecnym etapie naszych relacji nie zamierzam udawać, że jest inaczej.

W takim razie, zapytała bardzo zaskoczona Julia, kto ma jej narzucić ograniczenia?

Prawdę mówiąc, to zadanie rodziców, odparła Sara.

A co z urazem leżącym u podstaw jej zachowania?

Już po wszystkim, odparła Sara. Julia była zdumiona. Psychiatra patrzyła łagodnym wzrokiem, ale kiedy się odzywała, mówiła jak Lemaster. Gdybym mogła, powiedziałabym to, odrzekła. Ale przepisy na to nie pozwalają. Mogę tylko powiedzieć, że ten uraz psychiczny wynikał z błędu w percepcji. Vanessa sądziła, że coś jest prawdą. Teraz już wie, że coś prawdą nie jest.

Julia zapytała, czy to ma znaczyć, że jej córka jest zdrowa.

Nie, nie jest zdrowa. Będzie musiała poradzić sobie z wieloma problemami. Ale jest silna. Poradzi sobie z nimi.

A Gina? Czy ona powróci?

Nieobecny uśmiech. Musimy poczekać i zobaczymy, prawda?

Powróciwszy do domu, Julia zaczęła bacznie przyglądać się córce. Vanessa dalej czytała o wojnach i słuchała tych swoich pieśni żałobnych, a przed świtem wciąż tańczyła z matką. Gdy Julia zapytała ją, czy rzeczywiście czuje się lepiej, córka uściśniła ją i powiedziała: „To dzięki tobie”. Julia zapytała, co to ma znaczyć, a Vanessa, z błyskiem w oku zapewniła matkę, że sama do tego dojdzie.

Tymczasem Jeannie, obecnie znana jako Jeans, wciąż poszukiwała doskonałości, ale po kilku dniach nieskrywanego zdumienia i usychania z tęsknoty zapytała najpierw matkę, potem ojca, dlaczego pan Flew już do nich nie zagląda. Wyjechał, przypomnieli jej. Ale dokąd wyjechał? - domagała się odpowiedzi, tupiąc doskonałą nóżką, ponieważ chciała do niego napisać i ponieważ nie mogła pogodzić się z myślą, że mógł odjechać, nie pożegnawszy się. Julia nie знаła odpowiedzi na to pytanie, a Lemaster nie chciał jej udzielić. Jeannie - Jeans - zawsze potrafiła oczarować ojca, który w końcu zgodził się przesłać list do Flew, jeśli ona go napisze. Napisała, on go przekazał dalej, a trzy tygodnie później otrzymała prawdziwą odpowiedź, adresowaną bezpośrednio do niej, wysłaną z jednej z bardziej niespokojnych byłych republik radzieckich.

Jeremy Flew napisał, że tęskni za nimi wszystkimi, ale wezwwały go obowiązki.

Jeśli chodzi o pozostałe dzieci, czyli chłopców, Aaron chciał przyjechać do domu, żeby wesprzeć rodzinę w chwili kryzysu, ale rodzice postanowili, że powinien zostać w szkole, której dyrektor zapewnił ich, że Phillips Exeter Academy jest w stanie ochronić go przed przedstawicielami mediów - taki cud udał się im również z innymi uczniami, których dużo bardziej poszukiwano. Preston nie zdobył się na telefon do rodziny, a kiedy w końcu Julii udało się do niego dodzwonić, wyjaśnił, że właśnie wybiera się do Australii, gdzie ma spędzić większość następnego roku w jednym z największych na świecie obserwatoriów, i, aha, faktycznie, jeden z jego kolegów ze studiów magisterskich powiedział mu coś o tym, że o jego rodzinie mówiono w wiadomościach, ale Preston nie zwrócił na to specjalnej uwagi, ponieważ o nich zawsze mówiono.

Czy zobaczymy cię przed wyjazdem?

Jutro wyjeżdżam, odparł Preston, ale tak było zawsze.

I dopiero w środku marca, kiedy już wszyscy reporterzy wyjechali, a kierownik ochrony kampusu bezpiecznie wrócił z urlopu, Julia doszła do wniosku, że nadszedł czas na

kolejny akt.

Rozdział 66

...Żebracy jeździliby wierzchem

- Co teraz zamierzasz? - zapytała Julia Carlyle. - Czym zajmie się teraz wielki Bruce Vallely?

Zarumienił się, wzruszył ramionami i spuścił wzrok swoich silnych i łagodnych oczu. Pogoda po raz kolejny odmieniła się i zrobiło się słonecznie i pięknie, jak czasami zdarzało się zimą w Nowej Anglii, zanim ponownie zamknęły się grube, szare mury. Siedzieli tam, gdzie to wszystko się zaczęło, w restauracji przy drodze numer 48. Ten sam obojętny tłum, to samo nieciekawe jedzenie, ten sam zniekształcony szmer nic nieznaczących rozmów, ten sam prószący śnieg, jakby pogoda nie mogła się zdecydować.

Kiedy Bruce milczał, pochylony nad swoją kawą, Julia zapytała:

- Naprawdę przechodzisz na emeryturę? Czy właśnie to robią ludzie, kiedy zaczyna im brakować miejsca na półkach z odznaczeniami?

- Nie wydaje mi się, żeby dawali odznaczenia za to... co ja zrobiłem.

- Ale powinni - odrzekła, myśląc dokładnie tak samo.

- Julio, ja skrzyłem kark jednemu gościowi, a drugiego - szukał odpowiednich słów - tego drugiego potraktowałem tak, jak Bóg z pewnością nie chciał, żeby jego stworzenia traktowały się nawzajem.

To ten reporter, pomyślała Julia - albo kimkolwiek był ten człowiek - który zaczepił ją podczas tankowania paliwa w Langford. Obecnie już wiedziała, że Bruce doszedł do jakiegoś porozumienia z klientami Tony'ego Tice'a, a nawet sama dostarczyła kopertę otrzymaną od Mony, wraz z zawartością, żeby mógł ich spłacić. Woląla jednak zbytnio się w to nie zagłębiać.

- Ale jestem ci wdzięczna. - Żartobliwie zmarszczyła brwi. - Chociaż sama prosiłam cię, żebyś mnie nie śledził. Jak mnie znalazłeś?

- W twoim samochodzie był nadajnik. - Nie wspomniał, że to Turian, jego zastępczyni, go założyła, kiedy Julia i Bruce siedzieli w kawiarence z bajglami. Bruce polecił Gwen jako swoją następczynię, ale Lombard Hall jak zawsze pracował z szybkością przemieszczania się lodowca. - Jestem pewien, że złamałem prawo - dodał.

Przez chwilę oboje milczeli, otoczeni brzękiem naczyń i trzaskaniem drzwi, wśród

spokojnego szmeru ludzkich rozmów. Sądząc z tego, co sama widziała i co powiedziała jej Mona, Julia odniosła wrażenie, że Bruce rzadko pozwalał, żeby prawo stawało mu na drodze. Jeszcze kilka miesięcy temu Julia o swoim mężu powiedziałaby coś wprost przeciwnego.

W końcu Bruce się odezwał.

- A jak się ma Vanessa?

- Sara twierdzi, że wszystko będzie w porządku. Trzeba tylko nad tym popracować, ale wyzdrowieje.

- W tym wieku człowiek jest odporny.

- Och, Bruce. Grace nie myliła się co do ciebie. - Trochę się z nim droczyła, ale robiła to w dobrej wierze. Na jej talerzu, zmieniające się wzory porannego światła słonecznego bawiły się w irytującego berka. - Jeśli chodzi o dzieci, to chyba niewiele wiesz, co? Nie, Bruce, przed dwudziestką nie jest się odpornym. To wiek, kiedy jest się podatnym na wpływy, kiedy każda marna ocena czy pryszcz albo nieudany romans oznaczają katastrofę, jakby cały świat zaraz miał się zwalić na głowę. Wiesz, co mówi Lemaster? Powiada, że Zachód wymyślił wiek dorastania, kiedy staliśmy się na tyle bogaci, że dzieci nie były już potrzebne do pracy, ale ten wynalazek nam się nie udał. Obecnie mamy wersję 1.2 tego wynalazku czy coś takiego. Tak mówi Lemmie - powtórzyła Julia, jakoś dziwnie się czując, kiedy wymawiała imię męża. Pospiesznie podjęła wywód. - A tak naprawdę, Bruce, ona przechodzi okropnie ciężki okres w życiu. Vanessa nie płacze, nie ma nocnych koszmarów, z tym nie ma problemów. Ale ona tańczy do pieśni żałobnych. Ciągłe czyta o wojnach. Śmieje się i z pozoru tryska energią. Ale w głębi bardzo cierpi. Widzę to. Nie obwiniam jej za to. Nie wiem, jak ja bym przeżyła to, przez co ona przeszła.

- Rozumiem cię - odpowiedział tym swoim powolnym i zaabsorbowanym tonem. Jego wzrok nie pozwalał jej odwrócić oczu, które ignorowały jej szaleńcze rozkazy patrzenia w dół. Czowała się niepewnie, jakby coś ją swędziało. - Może przydałaby się jej zmiana środowiska.

- Pomyślałam, żeby po skończeniu szkoły zabrać ją na jakiś czas do Francji - trajkotała rozpaczliwie. - Bardzo dobrze się rozumieją z Moną, więc...

- Nie o tym myślałem.

- Wiem, że nie o tym, Bruce. - Pierwsza smużka paniki, przenikająca przez jej pewność siebie. - Ale ja o tym pomyślałam. Na dzień dzisiejszy tylko taką zmianę mogę jej zaproponować.

Przypomniała sobie kolejne powiedzenie Lemastera.

- Świat jest taki, jaki jest. Nie jest inny, tylko właśnie taki. Wiesz, co mawiała moja

babcia Vee? Gdyby chęci były końmi, to żebracy jeździliby wierzchem. Ale nie jeżdżą. Chęci to nie rzeczywistość. One nie mają żadnego związku z... z... - zawahała się i pogubiła, widząc wyraz dzielnego bólu w jego oczach, zaczęła tracić wątek, który jeszcze kilka sekund temu zdawał się gładko rozwijać w odpowiednim kierunku. - Bruce, my jesteśmy prawdziwymi ludźmi. Są ludzie, którzy żyją po drugiej stronie lustra, robią, co chcą, jakby ich życie było zaledwie jakimś odbiciem, jakby wcale nie było prawdziwe. Ale są też inni ludzie, ci żyjący po tej stronie lustra, którzy muszą ignorować te odbicia, choćby najpiękniej błyszczały. I to właśnie oznacza być osobą dorosłą, Bruce.

Julia czekała. Teraz była kolej Bruce'a. Chciała, żeby przedstawił, co czuje, a ona wtedy mogłaby powiedzieć mu, że doszła już do tego, że zgadza się z Lemasterem, który uważa, że obowiązek jest najważniejszy. Chciała, żeby zaczął mówić, jak piękne może być życie, wtedy ona mogłaby powiedzieć, jak to już żyła na sposób osoby niesolidnej i o mało co wówczas nie zginęła. Chciała, żeby mówił o przyszłości, żeby ona mogła powiedzieć o swoich planach na przyszłość z mężem, który ją uratował, kiedy go potrzebowała, i który teraz jej potrzebował.

Bruce odezwał się łagodnym głosem.

- Ja tylko pomyślałem, że może przeprowadzka do Elm Harbor wysłaby jej na dobre.
- Julia patrzyła na niego w osłupieniu. On nadal kochał Grace. Poczuli się głupio, jak jakaś młoda romantyczka.

Bruce najwyraźniej czuł się inaczej.

- W zasadzie - rzekł - chciałem porozmawiać z tobą o czymś innym.

- O czym?

- O tej nocy, kiedy zginął Kellen Zant.

Julia przygotowała się na kolejne rewelacje.

- To Frank go zabił. Frank Carrington. Nie chciał, żeby dziennik ujrział światło dzienne. A potem Frank doszedł do wniosku, że ten dziennik jest mu potrzebny, żeby go chronił...

Zamilkła.

Bruce skinął głową.

- Tak, ja też uważam, że Frank go zabił. I sędzę, że poprawnie przedstawiłaś kierujące nim motywy. Ale jest pewien dowód, który nie pasuje do tej układanki, i wydaje mi się, że powinnaś mi powiedzieć, co mam z tym zrobić. - Wyjął kopertę, wcześniej wręczoną mu przez Trevora Landa. - Billingi rozmów z uniwersyteckich telefonów - wyjaśnił, wyjmując ze środka jedną kartkę. - Telefony na jeden numer komórki, z tamtej nocy, kiedy zginął Zant.

- Nie chcę tego oglądać.

- A ja nie chcę ci tego pokazywać.

Ale pokazał to jej. Numer telefonu należał do Lemastera. Kółkiem zaznaczona była rozmowa odbyta tamtego wieczoru, mniej więcej godzinę przed ich wyjściem z kolacji w Lombard Hall.

Do jej męża dzwonił Anthony Tice.

Po wyjściu na ulicę, uścisnęli się niezgrabnie. Oboje wiedzieli, że już więcej się nie spotkają.

- Mogę cię o coś zapytać? - odezwała się Julia.

- Oczywiście.

Uniosła kopertę.

- Dlaczego nie dałeś tego policji?

Na jego twarzy znowu pojawił się ten zmęczony uśmiech.

- Dochodzenie - powiedział - zostało zamknięte.

Tak, to rzeczywiście była prawda. Julia czuła, jak zima Nowej Anglii unosi się z ziemi i spływa z nieba, chwytając jej kończyny tymi dobrze znanymi zimnymi mackami, zdecydowana powstrzymać ją przed wszelką głupotą. I uświadomiła sobie, początkowo niezbyt wyraźnie, ale później coraz mocniej i pewniej, że już nigdy nie zamieszka w innym miejscu, że jest równie mocno poślubiona Nowej Anglii jak Lemasterowi, że jej korzenie zbyt głęboko sięgają w głąb gleby, przechodząc przez lodowatą powierzchnię i w dół, w to miękkie, brunatne ciepło, wywracane na drugą stronę podczas wiosennych siewów.

Powiedziała jeszcze, choć może tylko jej się wyrwało:

- Będzie mi ciebie brakowało.

W kącikach jego ust pojawiła się iskierka tego serdecznego uśmiechu, skłonił swoją ciężką głowę, a potem, jak dobry żołnierz, którym zawsze starał się być, już bez słowa sprzeciwu czy pożegnania, wykonał rozkaz i odmaszerował na spóźnioną emeryturę.

Rozdział 67

Złudny spokój

I

Czerwiec. Wszystko już się uspokoiło, wszystko z wyjątkiem Julii, w której wnętrzu gotowało się i wrzało przez te trzy miesiące udawania, że życie powróciło do idealnego stanu. Remont starej posiadłości przy Town Street, tam gdzie zaczyna się Hobby Road, został ukończony, a końcowy efekt, jak zgodnie uznali krytycy architektury, był oszałamiający: najwspanialsze dzieło Norma Wyatta, wysublimowane połączenie rozwiązań tradycyjnych i współczesnych, ukryte cuda techniki, troska o najmniejszy zakrętas gotyckiej stolarki na odnowionej na tyłach domostwa werandy oraz te śmiałe linie powodujące, że dom zdawał się wprost wznosić z otaczającego go krajobrazu, podkreślając swoje znaczenie, nawet jeśli w rzeczywistości wcale nie był większy od innych starych, wielkich domów stojących wzdłuż tej części kampusu. Lemaster w kwietniu przeprowadził się już prawie zupełnie do tego domu, tylko w weekendy i sporadyczne noce w tygodniu tu nie mieszkał, a wśród Siostrzanych Dam zaczął krążyć dowcip, że doskonale małżeństwo Carlyle'ów sprawdza, jak wyglądałoby życie, gdyby się rozeszli, chociaż ten cały dowcip był tylko trochę zabawny, bo tylko trochę mijał się z prawdą.

Tymczasem Mary Mallard wyjechała do ośrodka rehabilitacyjnego w Maine, gdzie była bliżej swojej matki, ale Julia przez całą wiosnę jeździła do niej przynajmniej raz w tygodniu, bo obie starały się małymi kroczkami zbliżyć do odkrycia prawdy. Podczas jednej z takich wizyt Mary zauważyła, że Kellen musiał mieć jakieś źródło informacji wśród spiskowców, które zainspirowało go do podjęcia poszukiwań, a Julia, chociaż starannie starała się ukryć przed współniczką informację, że ten „spisek” został zorganizowany przez zbankrutowany męski klub z Harlemu, podejrzewała, że Mary i tak o tym wie. Aż w końcu, pewnego słonecznego wiosennego popołudnia, kiedy wyszły pospacerować na świeżym powietrzu, Mary pokazała Julii wydruk ze strony internetowego serwera anagramów. Jedna z pozycji była zaznaczona. Julia zatrzymała się i poszarzała na twarzy.

- Przykro mi - powiedziała Mary.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Obawiam się, że to akurat nie ma tu znaczenia.

W tym momencie Mary nie myliła się, ale ta jej nieomyślność spowodowała, że stosunki między nimi zrobiły się napięte i okazało się, że te pierwsze napięcia były zbyt wielkie, jak na możliwości ich współpracy.

I zamiast zostać bliskimi przyjaciółkami, na co prawdopodobnie obie liczyły, ostatecznie tylko z sobą z rzadka korespondowały.

Zaraz po zakończeniu roku szkolnego Julia z dziećmi spakowali wszystko ze wspianego domu na Hunter's Meadow i opuściwszy serce bieli, powrócili do miasta. Beth Stonington zapewniła ich, jak i wszystkich, którzy chcieli jej wysłuchać, ale przede wszystkim swoją konkurencję, że cena sprzedaży znacznie przekroczy dwa miliony, może nawet będzie bliska trzem, zważywszy na to, co obecnie działo się na rynku nieruchomości w Landing. Dlaczego ktoś miałby rezygnować z sielankowego życia, żeby wychowywać dzieci w takim umierającym mieście jak Elm Harbor, tego nie mogli pojąć ani Beth, ani jej znajomi i kumple.

- Kochana, przecież to praca Lemastera, nie twoja - tłumaczyła Beth Julii, ale dopiero kiedy była już przekonana, że jej klientka absolutnie nie zmieni zdania - przecież nie byłoby sensu ryzykować możliwość dokonania transakcji dla zaspokojenia czystej ciekawości.

- To również moja praca - zapewniła ją poważnie Julia, ale później Beth mówiła wszystkim, że szare oczy czarnoskórej kobiety były zaczerwienione i podpuchnięte, jakby całą noc płakała. - Może to tylko jakaś alergia - odezwał się najbardziej buńczuczny z jej znajomych, co miało być dowcipem, ale, w rzeczywistości, było akurat prawdą.

Rodzina zaaklimatyzowała się w nowych warunkach. Jesienią Aaron miał wracać do Exeter, gdzie czuł się wspaniale. Doskonała Jeans została przyjęta do czwartej klasy w szkole Ogden, z której większość uczniów następnie wstępowała do Hilltop, najbardziej ekskluzywnego prywatnego liceum w mieście, a to oznaczało, zważywszy na to, jak w dzisiejszych czasach o takich sprawach się decyduje, że jej świetlana przyszłość została zapewniona.

Jeśli chodzi o Vanesę, jej kandydatura została przyjęta do kilku college'ów, odrzucona przez kilka innych i ostatecznie, ku wielkiej uldze rodziców, dziewczyna zapisała się do jednego z sieci college'ów Seven Sisters. Później jednak, nawet nie pytając o zezwolenie i informując ojca i matkę dopiero po zamknięciu sprawy, załatwiła odroczenie przyjęcia i oświadczyła, że po osiemnastych urodzinach w październiku wybiera się wraz ze Smith w podróż po kraju, samochodem.

- Nie wolno ci prowadzić samochodu - powiedział Lemaster.

- Wybacz, tatusiu, ale to już nie będzie twoja sprawa - odparła z uprzejmą stanowczością, której nauczyła się od własnego ojca, i zaczęła cytować obszernie fragmenty z pism George'a Orwella o hiszpańskiej wojnie domowej, starając się udowodnić, że każde ze znaczeń ma charakter dynamiczny, a kategorie zmieniają się wraz z codziennym tańcem faktów. - Uciekający żołnierz nie był faszystą, więc Orwell nie mógł go zabić. A osiemnastoletnia dziewczyna nie jest dzieckiem, a zatem nie możesz jej mówić, co ma robić.

- Ja nie mówię tu o prawie - odezwał się cierpko.

- Ale ja mówię. Po skończeniu osiemnastu lat osiągam pełnoletność. Nie stanowią zagrożenia ani dla siebie, ani dla innych. Mogę iść, gdzie chcę, i robić, co chcę, zgadza się? To wy mnie wychowaliście. Teraz pozostaje wam mieć nadzieję, że się to wam udało.

- Nadal jesteś moim dzieckiem... - zaczął Lemaster.

- Ale nie w sensie hierarchicznym. Muszę cię czcić, jak mówi Pismo Świète. Ale nie muszę być ci posłuszna. Od osiągnięcia dorosłości już nie.

- Uniosła ręce, zwracając dłonie na zewnątrz. - Tatusiu, ja nie staram się tobie przeciwstawić. Ja robię to, co muszę zrobić. Tak samo ty zrobiłeś, kiedy postanowiłeś iść do szkoły teologicznej, a nie do szkoły handlowej, jak chcieli twoi rodzice.

- A co mówi doktor Jacobstein?

- Żeby nie traciła pewności siebie i zabrała komórkę.

Ku zaskoczeniu żony, Lemaster wycofał się z abstrakcyjnych przepisów i przeszedł do kwestii praktycznych:

- Nawet jeśli pozwolimy ci jechać, ja nie uważam Smith za osobę, na której można by polegać.

- W takim razie świetnie się dopasowałyśmy, bo ja raczej też nie należę do osób, na których można polegać.

Dodała jeszcze, że jeśli spodoba im się w Los Angeles, mogą tam się zatrzymać i poszukać pracy, a w takim wypadku odroczenie studiów mogłoby zostać... nieco wydłużone.

- Nie będą czekać w nieskończoność - rzekł ojciec, równie zirytowany co bezbronny.

- Na odpowiednią osobę zawsze czekają. Sam mi to zawsze mówiłeś.

- Vanesso...

- Już czas dorosnąć - powiedziała i wyszła, nie precyzując, kto z nich powinien dorosnąć.

Później Julia przysiadła na łóżku Vanessy, która, leżąc na brzuchu, programowała swój przenośny odtwarzacz DVD. Na parapecie wygodnie ulokował się Rainbow Coalition i

lizął łapy.

- Już nie tańczysz.

- Znudziły mnie te pieśni żałobne. - Pokazała na książki. - Ale nadal mam książki o wojnie. Jadą w podróż. Nie musisz się więc martwić, mam. Obiecuję, że zanim zupełnie wyzdrowieję, najpierw cię zapytam. - Zanim Julia zdążyła wymyślić jakąś błyskotliwą odpowiedź, Vanessa pocałowała ją. - Żartuję. Ale, poważnie mówiąc, niektóre książki też wyjadą. - Spojrzała na kota. - Szkoda, że nie mogę zabrać go ze sobą.

- A Gina też jedzie? - zapytała nieśmiało Julia. Widząc, że córka nie kwapi się do udzielenia odpowiedzi, spróbowała jeszcze raz: - A może ten cały wyjazd to jej pomysł?

Córka odwróciła się i spojrzała na matkę, a choć jej twarz przesłaniały kołyszące się warkoczyki, Julia była prawie pewna, że dostrzegła uśmiech. Po chwili Vanessa powróciła do swoich zajęć.

II

Po południu, kilka dni później, kiedy już nie wypadało jej dłużej odkładać tej wizyty, Julia pojechała samochodem do Landing. Rzuciła okiem na ich dom, chcąc się upewnić, że trawa jest podlana i przycięta, a włączący się po całym terenie pracownicy agencji handlu nieruchomościami i ich klienci czegoś nie zniszczyli, a potem ruszyła na Main Street. Zaparkowawszy swój nowy samochód, również escalade, w pobliżu Town Green, gdzie Vanessa spaliła ojcowskie auto, pomachała grupce zaskoczonych znajomych i przeszła na drugą stronę ulicy. Kiedy weszła do ciastkarni Cookie's, Vera Brightwood przywitała ją uśmiechem, który miał świadczyć, że jest zachwycona jej widokiem i nie czekając, aż Julia powie, czego sobie życzy, zaczęła przygotowywać trufle cappuccino, a Julia spokojnie czekała, aż ona odmierzy, zapakuje i oszuka na wadze, jednocześnie nieprzerwanie opowiadając, co ludzie z uniwersytetu, z wyjątkiem tu obecnych, zrobili z tego miasta.

W końcu Julia się odezwała:

- Chciałabym porozmawiać o tym, co się wydarzyło tego wieczoru w twoim domu.

- Jakiego wieczoru?

- Tego wieczoru, kiedy aresztowano Tony'ego Tice'a. Tego prawnika.

Na twarzy Very pojawił się ten jej chciwy porcelanowy uśmiech. Tamtego wieczoru rozzłościła się po tym, jak Julia oskarżyła ją, że Vera była Czarną Damą Kellena, jego tajnym źródłem informacji, i że kierowała jego poszukiwaniami dziennika. Ale trudno było sobie nawet wyobrazić jakiegoś lepszego informatora. Vera lepiej niż ktokolwiek inny знаła

wszystkie zakamarki historii miasteczka.

- Złożyłam przeciw niemu pozew - powiedziała Vera. - Słyszałaś o tym? O to, co zrobił tamtego wieczoru. Puszczę go z torbami.

- Sądzę, że on najpierw posiedzi trochę w więzieniu.

- Być może - zgodziła się Vera.

- Chciałam zadać ci jedno pytanie.

- Mmmm-hmmm. - Choć Julia jej nie prosiła, dodała jeszcze trochę żelków, do słoika na biurko Lemastera w Lombard Hall.

- Skąd Tony Tice wiedział, że tego wieczoru będę u ciebie? Jestem pewna, że mnie nie śledził, bo w przeciwnym razie zajęłby się nim ten człowiek, który mnie, jak by to powiedzieć, osłaniał. A Tice przecież nie mieszkał w Landing. Jak to się więc stało, że tam się pojawił?

- Nie mam pojęcia, moja droga.

- Wydawało mi się, że możesz to wiedzieć. Myślałam, że może cała wasza grupa postanowiła pomścić Ginę. Ludzie, których wszyscy uważają za - wybac mi - bezwstydnym prawników, a którym jednak nie podobało się, że niewinny czarny chłopak musiał cierpieć za coś, co zrobił jakiś bogaty biały studenciak. Podejrzewam, że cała wasza grupa zachęcała Kellena Zanta, kiedy już się dowiedzieliście, nad czym on pracuje. Może niektórzy z was pomagali mu tylko pośrednio, ale pomagali wszyscy. Wydaje mi się jednak, że on potem was wszystkich wystawił do wiatru. Zamiast szukać sprawiedliwości, zaczął szukać pieniędzy.

- Mam wspaniałe krówki żurawinowo-czekoladowe.

- Nie sądzę, żebyście byli skłonni do używania przemocy. Podejrzewam też, że byliście wstrząśnięci, kiedy zastrzelono Kellena. Wstrząśnięci i przerażeni. Myślę, że Frank Carrington był członkiem waszej grupy, i mogę się założyć, że udawał równie zszokowanego.

- Julia wyjęła pieniądze, by zapłacić za zakupy, ale Vera powiedziała, że to prezent od firmy.

- Frank musiał wiedzieć, że Kellen miał zawrzeć transakcję w sprawie sprzedaży dziennika właśnie tej nocy, kiedy go zabito. Ale skąd mógłby się o tym dowiedzieć, jak nie od kogoś z waszej grupy? To ten współpracownik senatora Whisteda, prawda? Dorastał w Landing, równie mocno jak wy pragnął zemsty za śmierć Giny i może usłyszał od Astrid, co się dzieje, a potem podzielił się tą informacją z wami wszystkimi, łącznie z Frankiem.

- My nikogo nie chcieliśmy skrzywdzić - odezwała się Vera po długim namyśle. - Gina była porządną dziewczyną, Julio. Nie taką, jakie teraz wszędzie można spotkać. Była bardzo porządną dziewczyną. Ktokolwiek to zrobił, zasługuje na karę. - Zmierzyła wzrokiem swoją najlepszą klientkę, która najprawdopodobniej po raz ostatni odwiedzała jej sklep. Jej

niespokojny półuśmiech przypomniał Julii o Latiszy, dawnej asystentce, która w końcu uzyskała status pracownika chronionego w ramach umowy zbiorowej po tym, jak Minnie Foxon, bez słowa wyjaśnienia, poprosiła o przeniesienie na inny wydział. - Na to, co Kellen chciał mu zrobić. Co ty zamierzasz mu zrobić. A może co twój mąż zamierza mu zrobić. - Odwróciła się i zaczęła odmierzać cukierki z orzeszkami ziemnymi. - Ale mylisz się, Julio. Nic nie wiedzieliśmy o tym dzienniku. Kto niby miał nam o tym powiedzieć? Tak, być może masz rację. Człowiek Mała Whisteda mógł to wiedzieć. Może powiedział Frankowi. Ale na pewno nie powiedział nikomu innemu.

Julia wrzuciła do ust kilka żelków. W lustrze za ladą dostrzegła drugą różową Julię, która zastanawiała się wraz z nią. Jaki właściwie był związek senatora Whisteda z tą grupą? Czy on im pomagał, czy tylko kontrolował ich postępy? Wydawało się jej, że już poprawnie ułożyła następstwa zdarzeń: Frank zabija Kellena, żeby dziennik nie został ujawniony, potem zabija Borisa Gibbsa, kiedy Boris wykrada kartotekę Vanessy i zbytnio się zbliża do odkryć Kellena. Ta cała historia była doskonale spójna. Ale czy była prawdziwa? - zapytała swoje odbicie, podczas gdy Vera zajęta była krojeniem i zawijaniem. Dlaczego Frank postanowił zachęcać Kellena - albo, jeśli nie Kellena, to przynajmniej Borisa - żeby potem, kiedy dziennik wyszedł z ukrycia, przechwycić ten dokument i zniszczyć?

To musiał być ten współpracownik, stwierdziła Julia. Tylko współpracownik Whisteda mógł wiedzieć, że Kellen ma ten dziennik. Jeśli on powiedział o tym Frankowi, to tylko w nadziei, że były policjant przystąpi do działania - ale skąd ten człowiek wiedział, że Frank był wplątany w tę sprawę? Czy możliwe jest, że ta rozmowa telefoniczna, częściowo podsłuchana w noc śmierci Kellena przez Tony'ego Tice'a nie została przeprowadzona z Frankiem Carringtonem, lecz ze współpracownikiem senatora Stanów Zjednoczonych, który groził jakimś podstępem, a to spowodowało, że Kellen pospieszył na spotkanie z nim...

Ale za powierzchnią lustra znajdowało się tylko srebrzyste odbicie, a dalej już nikt nie potrafił sięgnąć wzrokiem.

Tymczasem, stojąca za błyszczącą ladą Vera Brightwood nieco się ożywiła.

- Wiesz Julio, że ja cieszyłam się, kiedy budowaliście ten dom przy drodze Hunter's Meadow, i bardzo mnie denerwowało, gdy ludzie próbowali was powstrzymać, ponieważ ja zawsze popierałam wolny obrót nieruchomościami, bez żadnej dyskryminacji...

Julia odparła, że musi iść do pracy.

- W gazetach pisali, że zrezygnowałaś z pracy.

- Mam teraz inną.

- A czym się zajmujesz? - zapytała Vera, spragniona nowych plotek, które mogłaby

przekazać dalej.

- Uczę przedmiotów ścisłych - odparła Julia.

Powróciwszy do samochodu, włączyła głośno ulubioną muzykę z broadwayowskich przedstawień i pojechała w stronę miasta, do Gniazda i do szkoły panny Terry.

Rozdział 68

Kłątwa zwycięzcy

I

W sobotę padał deszcz. Julia wróciła do czworoboku Keplera, ale nie przyszła się pożegnać. Już wcześniej jakoś przetrzymała pożegnalne przyjęcie i celowo wybrała na ten wypad właśnie ten weekend, ponieważ miała mniejsze szanse spotkać byłych kolegów. To nie byli źli ludzie, ale nie byli już jej ludźmi. To byli ludzie Lemastera. Stanowili część jego kampusu. Jego miasta. I jego świata. Znalazła schronienie na wydziale teologicznym po upokarzającym zakończeniu pracy w szkolnictwie publicznym, ale schronienia, takie osobiste sanktuaria, mają to do siebie, że potrafią przekształcić się w więzienia, więc ponownie uciekła.

Miała jednak pewien powód, żeby tu wrócić.

Nie musiała korzystać z parkingu, ponieważ wydział teologiczny znajdował się o jedną przecznicę dalej niż posiadłość rektora, i nie potrzebowała kluczy, bo jakiś student przytrzymał jej drzwi. W ostatni wieczór swojego życia, kiedy wymknął się Tony'emu Tice'owi i pognął do Keplera, Kellen Zant najprawdopodobniej dostał się do wnętrza w podobny sposób. Zniknął na prawie dwie godziny, a potem ponownie się wyłonił. Ale co on mógł o tej porze robić na wydziale teologicznym? Archiwum było zamknięte. Sale, gabinety, nigdzie nie mógłby się dostać.

Nigdzie, oprócz kaplicy, która była całą noc otwarta.

BCP 83.

Okazało się, że źle zrozumiała napis wyryty przez Kellena na Sugar Hill, przyjmując, że chciał podać jej nazwę książki, w której ukrył trzecią wskazówkę. Ale Book of Common Prayer, Modlitewnik Powszechny, bez dalszych informacji, nie przyciągnąłby jej na powrót do jej Boga, jak to obiecywał Kellen. Te strony nie zawierały odpowiedzi. Ale te strony zawierały informację, gdzie odpowiedź jest.

Julia wkroczyła do kaplicy przez ciężkie podwójne drzwi, prowadzące do głównego holu w Keplerze, i stanęła w nawie głównej, czekając, aż jej oczy przyzwyczają się do mroku, ponieważ burza zaciemniła okna, zarówno przezrocze, jak i witraże. W kącie jakaś młoda

kobieta modliła się i co jakiś czas szlochała, ale była prozaikiem do spraw studenckich nie pospieszyła jej z pomocą, ponieważ przeszkadzanie w modlitwie jest nietaktem. Poza nimi dwiema w kaplicy nie było nikogo.

Julia podeszła do ołtarza. Na stronie 83 Modlitewnika Powszechnego w wersji z roku 1928 - jedynej dopuszczonej przez Lemastera do domowego użytku - ksiądz kończy konsekrowanie chleba oraz wina i przechodzi do podawania ich wiernym. W noc swojej śmierci Kellen musiał tędy właśnie iść. Już wcześniej dobrze wybrał miejsce, na wszelki wypadek. Być może nie wszystkie wizyty w kaplicy miały na celu rozdrażnienie Julii.

Albo może przynajmniej nie był to jedyny cel.

Julia podeszła po schodkach do prezbiterium. Główny ołtarz, zbudowany z mocnej sosny z Nowej Anglii, stał na wprost niej, ale ona tylko pobieżnie mu się przyjrzała. Kellen, do ostatniej chwili, chciał coś powiedzieć. Stary, wysoki ołtarz z cegieł i ciemniejszego drewna, z wyrzeźbionymi w nim słowami Ewangelii świętego Jana, zabudowany był na ścianie naprzeciwko i w zasadzie w ogóle go nie używano, z wyjątkiem zajęć z liturgii, kiedy pokazywano przyszłym pastorom, czego nie powinni robić. Stanowił relikwiarz czasów, kiedy kapłani we wszystkich tradycjonalistycznych obrządkach odwracali się plecami do wiernych, kiedy mówili do Boga, a twarzą do zgromadzonych stali, gdy głosili słowo Boże.

Dla Kellena ta symbolika z pewnością była nie do zniesienia. On nie był człowiekiem nabożnym, ale jego konkurent jak najbardziej.

Rozmowa z Bogiem.

Odwróciwszy się tyłem do miejsca zajmowanego przez wiernych, Julia stanęła pośrodku ołtarza, przed świecą złotą szafką, w której od czasu do czasu zostawiano na później poświęconą hostię. Szafka była zamknięta.

Przesunęła dłonią po leżącym na górze materiale - nie pamiętała już, jak to się nazywało - ale nic tam nie znalazła. Przed wykonaniem tak głupiego gestu spojrzała za siebie. Zapłakana studentka już wyszła i Julia była w sanktuarium - znowu to słowo! - zupełnie sama. Cofnęła się o krok, na oko zmierzyła, gdzie dokładnie znajdował się kapłan, przechodząc od chleba do wina, przypominając sobie całe lata wizyt w kościele Świętego Macieja, gdzie ksiądz Freed korzystał tylko z głównego ołtarza. Stanęła nieco po prawej, przyklękła i sięgnęła pod ołtarz.

I wyjęła grubą kopertę.

Otworzyła ją i zbladła.

Niemożliwe. To jakiś absurd. To, na co teraz patrzyła, nie mogło leżeć schowane za ołtarzem, ponieważ Kellen miał to przy sobie w chwili śmierci. Przecież czas się nie

odwrócił. Martwi nie zaczęli chodzić. Taka cudowna magia po prostu nie istniała. Nawet tutaj, w kaplicy wydziału teologicznego, gdzie całe pokolenia studentów i wykładowców klękały, modląc się do Niemożliwego, Julia Carlyle nie potrafiła pogodzić się z nadprzyrodzonym wyjaśnieniem.

W ręce trzymała zaginiony telefon komórkowy Kellena Zanta.

II

Julia usiadła w samochodzie, słuchając melodii z musicali i obserwując deszcz spływający po przedniej szybie. Nie mogła złapać tchu, wydawało się jej, że musiała przebiec tę drogę oszołomiona i przerażona, ale w tym momencie nie miała pewności co do szczegółów. Pospiesznie wróciła do posiadłości rektora i wsiadłszy do swojego samochodu, zmierzała do położonego w centrum miasta wieżowca biurowego, gdzie jej mąż miał wystąpienie przed koalicją miejscowych organizacji obywatelskich. Zaparkowała samochód, przeszła w dzinsach przez hol, nie dając się zatrzymać portierowi, ponieważ już nie miała zamiaru się zatrzymywać. Po wejściu na górne piętro, mimo usilnych próśb kierownika sali, przecięła restaurację, zmierzając do wielkiej, prywatnej sali jadalnej w rogu. Poważna asystentka Lemastera, Katie Chou, zapewniła ją, że rektor właśnie kończy swoje wystąpienie, ale Julia prześlizgnęła się obok niej. Ustawiała się z tyłu sali, sama również zachowując powagę. Kilka głów odwróciło się w jej stronę. Stała, ociekając wodą na podłogę z twardego drewna, z rozczochranymi włosami, zupełnie nie zważając na to, czy goście szepczą, że pierwsza dama uniwersytetu jest równie szalona jak jej córka. Lemaster stał przy mównicy. Jego wzrok przesunął się po jej postaci, ale się na niej nie zatrzymał. Rektor rzucił kilka dowcipów, sala wybuchnęła śmiechem, a potem, krocząc między stolikami, ścisnął wszystkim ręce. Ucałował chłodne usta żony, nieproszoną ręką objął ją w talii i wyprowadził z pokoju, a Katie Chou została z tyłu, żeby go przed wszystkimi wytłumaczyć.

Szli po schodach w ciszy, aż w końcu Julia, zdając sobie sprawę, że nigdy nie pokona męża w cierpliwości, zmęczyła się własnym gniewem. Przycisnęła głowę do jego ramienia, a on pogłaskał jej przemoczone włosy.

- Znalazłam telefon - powiedziała.
- Podejrzewałem, że ci się to uda.
- Wiedziałeś o tym? O tym napisie BCP 83?
- Cameron mi powiedział.
- Czy on nadal myśli, że może szantażować... kogo tam chce?

Lemaster wsunął palec pod jej podbródek i odchylił jej twarz w swoją stronę.

- Sądzę, że teraz już zrozumiał.

- Bo tylko Empireum może to robić - podsunęła, ale właśnie doszli do holu, gdzie spotkali kilka spóźnionych osób, które nie zdążyły na wykład, ale i tak pragnęły uścisnąć dłoń malutkiego czarnoskórego uczonego, będącego najpotężniejszą personą w hrabstwie. Jej mąż po królewsku przyjmował składane mu przez plebejuszy hołdy jako należne. Julia zastanawiała się, czy on jest też najpotężniejszym człowiekiem w całym kraju. Albo jednym z nich. Przez jakąś szaloną chwilę wręcz pękała z dumy, może mniej z powodu swojego męża, co z powodu swojej nacji, a zwłaszcza z powodu nieznanego towarzyskiego klubu z Harlemu - bo, jak mawiała babcia Vee, biali nie mają najmniejszego pojęcia, do czego my jesteśmy zdolni.

Razem wyszli w szalejącą burzę. Lemaster przyjechał tu z Katie Chou, więc wspólnie z żoną wrócili samochodem Julii.

- Co tak naprawdę ukrył Kellen? - zapytała Julia, zamknawszy oczy i rozsiadłszy się wygodnie, przy akompaniamencie głośno huczącej z głośników ulubionej muzyki męża. - Tam w kaplicy. Zanim to zabrałeś. Co tam było?

- Nic ważnego - odparł po krótkiej konsultacji z tym, siedzącym w jego głowie, małym sędzią. - Kellen sądził, że dysponuje ostatecznym dowodem, ale mylił się.

- Lemmie, co to było?

- Co było?

- Ten dowód. Ta nadwyżka. Co ukrył w kaplicy?

Tym razem trzeba było dłużej czekać. Julia usiadła prosto. Podejrzewała, że jej mąż nic nie odpowie. Deszcz na zewnątrz przybrał na sile, a wiatr przewracał kosze na śmieci i rzeźby na trawnikach - letnia wersja tamtej zimowej burzy, która wprowadziła ich na tę straszliwą ścieżkę. Zastanawiała się, od jak dawna Lemaster przewidywał jej zamiary i jakim cudem udało mu się w tak naturalny i autentyczny sposób stosować te swoje uniki.

- Bilet kolejowy - powiedział.

- Proszę?

- Właśnie to Kellen ukrył pod ołtarzem. Bilet kolejowy, w jedną stronę. Z Elm Harbor do Bostonu, z osiemnastego lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku.

Julia zagryzła wargę.

- Miało to udowodnić, który ze studentów pojechał po radę do Dennisona. Ten, który zabił Ginę.

- Podejrzewam, że Kellen tak właśnie myślał.

Zadając następne pytanie, starała się zrobić to w sposób jak najbardziej swobodny.

- Jakie tam jest nazwisko?

Dotarli do domu. Elegancko wprowadził esalade do garażu na dwa samochody, nieco mniejszego niż mieli w Landing, ale swoje volvo oddali już na złom.

- A co to za różnica? - odezwał się w końcu.

- Pomyślałam tylko, że może chciałbyś mieć pewność, że szantażujesz odpowiedniego człowieka.

- Oni wszyscy byli odpowiedni - odparł Lemaster i wysiadł z samochodu. Dopiero po kilku minutach udało się Julii dojść do siebie i wtedy, już nie potulnie, ruszyła za nim.

III

Usiedli na górze, w nowym gabinecie Lemastera, zajmującym prawie całe drugie piętro, a na biurku między nimi leżał telefon Zanta. Julia nie zapytała, jak jej mąż wszedł w jego posiadanie. Nie chciała wiedzieć, jak głęboko macki jego nieznanego klubu towarzyskiego z Harlemu sięgały w życie Harbor County czy też jeszcze dalej. Czekala, aż on opowie jej tę historię. Była pewna, że to zrobi, w przeciwnym razie nie zostawiałby telefonu komórkowego w kaplicy, żeby ona go tam znalazła.

- Popeliłem błąd - odezwał się Lemaster. Sącył wino przyniesione przez nią na górę.

- Dostyc naturalny, jak sądzę, zważywszy na okoliczności, ale błąd. A jeden błąd pociągnął za sobą następny, i tak dotarliśmy tu, gdzie jesteśmy.

Julia nic nie odpowiedziała. Za oknami, w ustępującej burzy, widziała gotyckie wieże wznoszące się na wzgórzu uniwersytetu. Kampus jej męża.

- Ten Casey to cienias - ciągnął dalej, bawiąc się foremnym srebrzystym telefonem i kręcąc nim to w jedną, to w drugą stronę. - Ma kręgosłup jak węgorz. To było wiadome od samego początku. Mógł, oczywiście, grać przed naszą córką zbuntowanego poetę, żeby zrobić na niej wrażenie, mógł udawać nonkonformistę, ale on nie jest taki jak ta Smith. I nie jest taki jak Vanessa. On nigdy nie złamałby zasad, z pewnością nie w środku okresu przyjęć do college'ów. Jest na to zbyt ambitny, Jules. Jego matka jest dziekanem wydziału prawa, zgadza się, ale ja jestem rektorem całego uniwersytetu. On z pewnością nie chciałby mi się narazić. Doskonale wiedział, że Vanessie nie wolno wsiadać do jego samochodu. I nie miałyby znaczenia, jak bardzo by go prosiła i co by mu obiecywała. Odmówiłby jej... Po prostu niemożliwe jest, że Ten Casey odwiózł ją do domu z kina tego wieczoru, gdy zginął Kellen.

Julia oderwała wzrok od okna.

Lemaster skinął głową.

- Pamiętasz, jak Casey mówił, że Vanessa zawsze ucieka, kiedy oni gdzieś we dwójkę wychodzą? Podejrzewam, że on w ten sposób chciał przekazać nam informację. Zgadzasz się ze mną, co, Jules? - Nie czekał na jej zgodę. - Powiedział ci, że uciekła od niego w noc śmierci Kellena. Nie chciał posunąć się dalej i mówić, co z tego może wynikać, on tylko podrzucił ci tę informację, a ty sama postanowiłaś, bardzo mądrze, już tym się nie zajmować. Ale oboje wiemy, że tak było. I oboje wiemy, jak ona tamtego wieczoru dostała się do domu, prawda?

Opuściła wzrok na kolana. Ręce jej drżały, dokładnie tak samo jak jej córce. Położyła jedną dłoń na drugiej, ale nie potrafiła powstrzymać tego drżenia. Rozlegające się gdzieś głęboko w jej głowie brzęczenie przeszło już w dzwonienie ogarniające całe jej ciało.

Tymczasem Lemaster otworzył kłapkę telefonu. Włączył go, zaczekał na uruchomienie się oprogramowania, a potem dwukrotnie nacisnął jeden z przycisków, w celu pokazania listy ostatnich połączeń. Podsunął aparat w jej stronę, a ona pochyliła się, nie chce dotykać urządzenia drżącymi palcami. Zmrużyła oczy, próbując pobudzić swój mózg do działania. Ostatnie połączenie, odebrane przez Kellena, pochodziło ze znanego jej numeru - Franka Carringtona. Natomiast poprzednie z numeru, który знаła jeszcze lepiej - Vanessy.

- Spójrz na godzinę - powiedział Lemaster.

Julia popatrzyła. Dwudziesta siedemnaście.

- Właśnie ten telefon Kellen odebrał, będąc z Tonym Tice'em na Main Street - stwierdził Lemaster. - To ten telefon, po którym kazał Tony'emu wysiąść z samochodu. Po tej rozmowie musiał pospiesznie czymś się zająć.

Julia w końcu była w stanie się odezwać.

- Ale z tego, co mówił Tony, wynikało, że dzwoniąca do Kellena osoba groziła mu, on był zdenerwowany, a przecież Vanessa nie miała czym go straszyć...

- Oczywiście, że miała.

Oczywiście, że miała. To takie proste. Tak jasne.

Tego wieczoru Vanessa czegoś chciała od Kellena, a gdyby tego nie dostała, zamierzała opowiedzieć swojemu ojcu o zainteresowaniu Zanta jej osobą.

Julia nadal jednak nie potrafiła tego wszystkiego ogarnąć.

- Ale co ona... czego ona mogła od niego chcieć...

Urwała. Czas popłynął wstecz. Mary Mallard pokazująca jej ten anagram. Dalej. Jeszcze wstecz. Vanessa, w kuchni domu Hunter's Heights, twardo upierająca się, że to DeShaun, nikt inny tylko DeShaun, był zabójcą. Jeszcze wstecz. Dalej. Vanessa upierająca

się, że chce napisać wprost okropną pracę semestralną, która ma udowodnić dokładnie to samo. Wstecz. Wstecz. Spalenie mercedesa w rocznicę śmierci Giny Joule, kulminacja szaleństwa, które ją opadło prawie natychmiast po tym, jak zaczęła zajmować się wydarzeniami tamtego wieczoru w dniu świętego Walentego trzydzieści lat wcześniej. A teraz scena z przyszłości, Julia i Lemaster w łóżku tej nocy, kiedy u nich spała Janine Goldsmith, Lemaster opowiada żonie, że zabójca Kellena niekoniecznie musiał go nienawidzić.

„A co innego to mogło być?” - zapytała wtedy Julia.

Odpowiedź Lemastera rozbrzmiała jak grzmot: racjonalna maksymalizacja własnej korzyści.

I jeszcze inny, bardziej bolesny obraz: Vanessa pod kościołem Świętego Macieja w tę straszną niedzielę wyciąga z kapelusza nazwisko Malcolma Whisteda, zdecydowana sprzeciwić się swojej matce, która coraz bardziej zbliżała się do odkrycia prawdy. W końcu Julia odezwała się:

- Ten blog Vanessy. GAINFUL NONSENSES. To anagram.

- Tak. To ma znaczyć SINFUL SANE N. E. SONG.

- To nie wszystko. - Nabazgrała słowa wskazane jej przez Mary Mallard: GINA FLEES NUN'S SON. Brwi Lemastera zbiegły się w tym jego krzaczastym zmarszczeniu, choć on już wiedział, co oznaczają słowa mówiące, że Gina ucieka przed synem zakonnicy. - Lemmie, ty chodziłeś do szkoły katolickiej. I nie miałeś matki. Rozumiesz? Syn siostry zakonnej.

- Rozumiem - odparł cicho.

- To jest właśnie przyczyna. Stąd się wziął ten uraz Vanessy. Właśnie to doprowadziło ją do ostateczności półtora roku temu. - Julia postukała w papier. - Ona myślała, że to ty zabiłeś Ginę Joule. - Wzięła do ręki tę kartkę i podarła ją na kawałki, a potem wstała i przeszła na drugą stronę pokoju, żeby wrzucić je do niszcarki, którą Lemaster trzymał na podorędziu. - Na tym polegał ten jej uraz psychiczny. To była ta wielka tajemnica. Lemmie, ona cię ochraniała. Ta jej praca. Odrzucanie wszelkiej możliwości, że mógł to być ktoś inny niż DeShaun. Dowody są wszędzie. Ona myślała, że to ty zabiłeś.

- To Preston podsunął jej ten pomysł - rzekł Lemaster bezbarwnym tonem. - I ona trzymała się tego pomysłu aż do... aż do ostatnich wypadków.

Julia wzięła do ręki telefon komórkowy i nacisnęła przycisk, żeby ponownie włączyć ekran. Trzymała aparat blisko twarzy, wpatrując się w niego, dopóki Lemaster nie wyjął go delikatnie z jej dłoni. Zamknął telefon, odwrócił go i wyjął baterię. Sięgnął do szuflady i

wyciągnął z niej młotek. Rozbił obudowę, wyjął układ pamięci i też go rozbił. Zgarnął resztki skrętnie na bok. Być może zauważając cierpienie żony, położył ręce na jej dłoniach, i czekał.

- I o to chodziło. Sądziłam, że chronisz prezydenta albo Mala Whisteda czy też Empireum i ich głupiego planu. Ale chodziło o Vanessę. - Obraz przed jej oczami rozmazał się. - Nie chciałeś, żeby ktoś się dowiedział, że tamtego wieczoru była w samochodzie Kellena. Chciała go zastraszyć. Chciała, żeby wiedział, że jeśli on powie komuś, że zrobił to jej ojciec, ona wszystkim rozpowie, jak on, on... on... - nie potrafiła wymówić słów - okazywał niestosowne zainteresowanie jej osobą. Gdyby ktoś o tym wiedział, oni pomyśleliby, że ona... och, Lemmie. - Julia wytarła oczy. - Załatwiłeś, że ktoś zwinął ten telefon, może też pozbyłeś się samych rejestrów, obojętnie w jakim bunkrze trzymają je operatorzy sieci komórkowych. Możesz coś takiego zrobić, Lemmie? Dysponujesz tego typu... - szukała odpowiedniego słowa - władzą? - Julia podniosła się. Nie pamiętała, kiedy się podniosła, ale teraz fizycznie cofnęła się przed swoim mężem i stanęła obok okna, obserwując Lemastera, z mieszanymi uczuciami przerażenia i podziwu, bojąc się jego konkluzji, kochając go za to instynktowne wykorzystanie władzy, jaką Empireum dało mu do rąk - wykorzystanie jej do ochrony bliskich. - Będziesz miał kłopoty? Za... za nadużycie władzy, jaką ci powierzono? Empireum?

- Jeśli się dowiedzą, to będę miał. - W końcu się uśmiechnął. - Usiądź, Jules. Usiądź i nalej nam jeszcze wina.

IV

- Jules, nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. Nawet teraz. Ale to prawda, mam przygotowane małe tajne archiwum dowodów. Nie są to dowody, z jakich korzysta Empireum, takich jak oryginał zeznania Jocka. - Postukał w kartki. - Kilka małych pozycji na własny użytek. Żeby utrzymać w karchach moich znajomych. Moich starych kumpli z uniwersytetu. Bo w końcu, kiedy się nad tym zastanowić, oni pewnego dnia mogą znarowić się i spróbować się mnie pozbyć. A Empireum nigdy by mnie nie pomściło, rozumiesz. Ich interesuje dużo dłuższa perspektywa. Skupiają się na przyszłości ciemnej rasy, a nie na ochronie Lemastera Carlyle'a. I dlatego też trzymam to swoje archiwum. Co roku składam u naszego prawnika nowy list, w którym piszę, gdzie je ukryłem. Łach o tym wie i Mal o tym wie. Oni są ludźmi potężnymi, ale starają się trzymać ode mnie z daleka. I od mojej rodziny.

- Ale Jeremy był tu na wypadek, gdyby jednak postąpili inaczej.

- Prawdę mówiąc, tak. Rzeczywiście. Albo na wypadek, gdyby niektórzy z ich ludzi,

nieobeznani z regułami, zrobili się zbyt brutalni. Początkowo chciałem tylko, żeby był w pobliżu. Ale kiedy zorientowałem się, ilu ludzi tu myszkuje, to wówczas już tak. Wtedy przede wszystkim chciałem, żeby był w naszym domu albo żeby ochraniał osoby z niego wychodzące, jeśli tylko mógł. Podjąłem też inne kroki. Mniejsza o to jakie.

Inne kroki. Od razu to zauważyła. Trevor Land. Ojciec chrzestny Giny. Trevor od samego początku był człowiekiem Lemastera. To korzystając z usług Trevora, Lemaster wciągnął Bruce'a w to śledztwo, wiedząc, że Bruce jest wytrwały i że będzie często kręcił się wokół Julii, a nawet Vanessy, dopóki nie uzyska odpowiedzi na swoje pytania, a jego potężna postać będzie dobrą osłoną przed wszelkimi zagrożeniami. I to wszystko bez wzbudzania uwagi przez publiczne wynajmowanie ochroniarza.

- Skoro tak to skrywałeś - odezwała się Julia - w jaki sposób Vanessa się o tym dowiedziała?

- W tym czasie to tajne archiwum trzymałem w gabinecie. Znajdowało się w zamkniętej szafce. Mniej więcej miesiąc po powrocie Vanessy z Francji przyjechałem do domu wieczorem i zauważyłem, że zamek w szafce został wyłamany. Możesz mi wierzyć, wpadłem w panikę. Pomyślałem, że to ludzie Łacha dorwali się do tego. Albo Mała Whisteda. Ale nie. Ktoś przeglądał dokumenty, ale zginął tylko bilet lotniczy. To musiała być Vanessa.

- Ona wszystko znajdzie - zgodziła się Julia. Gdzieś w głębi poczuła jednak, że jest przynajmniej o krok przed mężem. Ten fortepian. Kellen niczego nie przymocował do fortepianu. On nie wszedł do ich domu. To Vanessa skradła wskazówkę Kellenowi i ukryła ją tam, żeby dało się wyjaśnić, dlaczego jego audi przewróciło latarnie tego wieczoru, kiedy on odwiózł ją do domu. - I co teraz będzie, Lemmie? Masz haka na obu facetów.

- Zgadza się.

- Ale oni obaj nie mogli tego zrobić. Jock prowadził samochód. Mał Whisted był pijany i pewnie nic nie pamięta, ale jego rodzina nie miała tyle pieniędzy, żeby pokryć koszty takiego spisku. A Łach - jego tam nie było, prawda? Ale może pomagał zatuszować całą sprawę. I dzięki temu na niego też masz haka. Albo może Empireum każdemu z nich pokazało jakieś sfabrykowane dowody. I może do dziś każdy z nich myśli, że to on ją zabił. - Po kolei odliczała punkty na palcach, podziwiając pomysłowość, chociaż gardząc samym czynem. - Pomysł Baya od samego początku na tym polegał. Niech oni wszyscy podstawiają sobie nawzajem nogi. Wystarczyło każdemu z nich powiedzieć: „Ty to zrobiłeś, ale my tak to zorganizujemy, że im będzie się wydawać, że to oni zrobili”. Dlaczego nie? W końcu Empireum nie wiedziało, który z nich zajdzie najwyżej, ale gra warta była świeczki.

- Naprawdę była warta. - Jakby posmutniał. - Przez te wszystkie lata, te dziesięciolecia

biali sądzili, że to oni rozdają karty. A ideologia Empireum polega na tym, że wcale tak nie musi być. Ciemniejsza nacja może dzierżyć ogromną władzę, dopóki skrywamy swoje zaangażowanie. Biali nigdy nie wspieraliby publicznych wpływów. Ale z ukrytymi nic nie mogą zrobić.

- Ale jeśli wpływy są... ukryte... dlaczego Jock i Mal w ogóle uwierzyli, że Empireum dysponuje tak wielką władzą?

- Kiedy policja zainteresowała się DeShaunem, ci trzej mężczyźni przypuszczalnie przekonali się, że Empireum może dotrzymać obietnicy. A także grózb.

- I o to chodziło. Podpisali przyznanie się do winy, rodzina Hillimanów dostarczyła pieniądze, które trzeba było rozdzielić, i przez te wszystkie lata Mal Whisted wierzył, że go kryjesz. I przez te wszystkie lata Łach wierzył, że kryjesz jego. Żaden z nich nie miał pojęcia, że ten drugi może w ogóle być podejrzany. I oczywiście zwolnili swoich asystentów, kiedy ci zaczęli interesować się tą sprawą. To ty im kazałeś, a oni nie mieli wyboru. Cóż za idiotka ze mnie, że tego nie dostrzegłam. Och, Lemmie! To oczywiste, że stać cię na to, żeby z obojętnością podchodzić do kwestii wyborów! Tak czy owak Empireum wygra!

- Ale pamiętaj Julio, że ja od niedawna uczestniczę w tej grze. Sytuacja jest, jaka jest.

- Przerwał na chwilę, żeby wstać i podejść do okna. Oślepiające światło chyba mu nie przeszkadzało. - Powiedz mi, Jules. Co ty byś zrobiła? Gdybyś mogła wybierać. Co powinniśmy teraz zrobić?

- Zlikwidować te haki. Powiedzieć obu, że są wolni.

- Nie sądzę, żeby do tego doszło. Po pierwsze, decyzja nie należy do mnie. Jestem względnie mało ważną postacią w Empireum, niezależnie od noszonego tytułu. Po drugie, utopiono w tym spore pieniądze, Jules. Za daleko zaszliśmy, żeby teraz się wycofać.

- Lemmie, daj spokój! Prezydent, Łach, on jest niewinny! I podobnie senator Whisted! Byli pijani, ale nikogo nie zabili! Jak możesz w ogóle mówić, że jest za późno, żeby się wycofać? Szantażujecie niewłaściwego człowieka!

- Prawdopodobnie masz rację - rzekł, w końcu odwracając się do komputera. Stuk-stuk-stuk.

Chciała zadusić go na śmierć. Chciała objąć go i trzymać w nieskończoność. Chciała zabrać rodzinę i uciec gdzieś na koniec świata. Stał przed nią człowiek, który ją uratował, człowiek, który bardziej wierzył w obowiązek niż w pożądanie, obecnie tak zagubiony w tyłu sprzecznych zobowiązaniach, że sam już nie rozumiał, co to jest wolna wola, a zwłaszcza jego własna.

- Lemmie, to jest złe. Czy ty nie widzisz, że to jest złe?

- Nie, Jules. Nie rozumiem, dlaczego to ma być złe. - W końcu spojrział na nią zmęczonymi oczami. Zaszokowana tą oznaką autentycznej fizycznej słabości swojego męża, Julia aż się cofnęła. - Kilka miesięcy temu, kiedy sądziłaś, że to prezydent jest winny, wyglądałaś na zadowoloną, może mimo woli, ale byłaś zadowolona, że wybrana przez nas droga przyniesie korzyści naszym ludziom. Ciemniejszej nacji. Czyżbyś zmieniła zdanie? Nie widzisz, że możliwość niesienia pomocy naszym ludziom jest taka sama, niezależnie od tego, kto w rzeczywistości to zrobił?

Opadła na fotel.

Jej mąż spojrział na nią ze współczuciem.

- Zaskakujesz mnie, Jules. Naprawdę zaskakujesz. Stojąca przed nami możliwość oddania sprawiedliwości naszym ludziom żadną miarą nie jest uzależniona od rzeczywistej tożsamości sprawcy tej dawno przez świat zapomnianej zbrodni. My mścimy się za dużo większą zbrodnię, Jules. Nie zapominaj o tym.

Teraz już wiedziała, co ją przeraża. Ta pewność siebie, którą w nim podziwiała, nawet kiedy nabrzmiewała dumą, w rzeczywistości była tylko ideologicznym zapalem. Przez te wszystkie lata, kiedy Lemaster potrafił, siedząc przy stole, w równym stopniu szydzić z lewicy, jak i z prawicy, Julia nabrała przekonania, że jej męża polityka w ogóle nie interesuje, jedynie podziw dla jego błyskotliwości. Dopiero teraz zobaczyła, jak bardzo się myliła. Jego polityka była polityką czystej i doskonałej słuszności, a jak to już kiedyś zauważył jego ulubiony filozof, Isaiah Berlin, żadna sprawa nie pociągnęła za sobą większej liczby ofiar.

- Ale chyba nie wierzysz, że to na zawsze pozostanie tajemnicą. Prędzej czy później to wypłynie. Ze wszystkim tak się dzieje.

- Nie, Jules, nie ze wszystkim. Świat pełen jest tajemnic, których ludzie potrafią dochować. - Stuk-stuk-stuk. - A ta nie wypłynęłaby, gdyby Byron Dennison nie był tak arogancki. Nie potrafił oprzeć się pokusie. Musiał osobiście spotkać się z tym studenciakiem, zamiast skorzystać z pośrednika. Musiał udać się do Landing, bo chciał zobaczyć białego, który będzie tańczył tak, jak on sam mu zagra. Zapomniał o tym, że powinniśmy działać z ukrycia. - Spojrział na Julię. - W każdym razie teraz znowu tak działamy.

- A co z DeShaunem? - zapytała. - Nie zamierzasz nic zrobić z tym kłamstwem?

Nie odpowiedział.

- Przecież nic byś nie stracił, gdybyś w jakiś sposób pozwolił upublicznić informację - może jakiś przeciek - że zabójcą był Jock Hilliman. Nadal miałbyś haka na Łacha i Mala. Obaj sądzą, że to oni ją zabili. Sądzą, że dowody winy Jocka zostały sfabrykowane. Myślą, że te przyznania się do winy, które kazałeś im podpisać...

- To Empireum kazało im podpisać.

- ...które kazałeś im podpisać - powtórzyła - są dostatecznym dowodem. Być może nieco się zdenerwują, widząc, że stara sprawa ponownie została otwarta. Ale i tak będziesz miał ich w ręku.

Wzruszył ramionami.

- Co z ciebie za człowiek? - powiedziała w końcu, z płucami tak obolałymi, jakby odbyła bardzo długą górską wyprawę. Nie wiedziała tylko, czy szła w górę, czy w dół. - Lemmie, daj spokój. Czy dla ciebie prawda nie ma żadnego znaczenia?

- Jedyłą prawdą, która ma znaczenie - odparł Lemaster, z poważną uprzejmością - jest ta prawda, która mówi, ile możemy zyskać dla naszych ludzi. - Jeszcze raz na nią popatrzył. - Kocham cię, Jules. Kocham cię, od kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cię na wydziale teologicznym. Ale ja jestem odpowiedzialny za ten plan. Nie mogę się z niego wycofać teraz, kiedy stoję na progu.

Julia nagle zachwiała się, w tym długim jasnym pomieszczeniu, do głębi poruszona, zupełnie nie wiedząc, kim jest ten stojący przed nią człowiek. Czy chwilę temu kłamał, mówiąc, że jest tylko mało ważną postacią? Odniosła wrażenie, że jego wątpliwości rozwiały się w olśniewającym blasku pragnienia wiary. Zawsze potrafił nakłonić każdego, by uwierzył we wszystko, i tak samo nakłonił siebie do uwierzenia, że Empireum miało rację.

Najprawdopodobniej w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

A obłądne było to, że ona rozumiała, o co mu chodzi. Ale Julia nie rozumiała. Lemaster miał rację. I nie miał. Świat nie był obojętny. Ale był.

- Jules, czy chcesz mnie teraz zostawić? Zabrać dzieci, wyjechać do Francji, zadzwonić do gazet i poprosić, żeby uratowali biednego Łacha i Mała ze szponów bandy staruchów z ciemniejszej nacji, jakiegoś pomniejszego nieznanego bractwa z Harlemu, które potajemnie steruje losami narodu? Czy ty naprawdę wierzysz, że ktokolwiek, poza skrajnie pravicową skrajną prawicą mógłby wziąć pod uwagę możliwość, że to jest prawda?

- Mogę spróbować.

- Tak, możesz. A ja zawsze będę cię kochał, cokolwiek zrobisz. - Mówił łagodnym tonem, jakim się mówi do osób bardzo chorych. - Chcę, żebyś została. Chcę, żebyś była ze mną. Jeśli nie możesz tego znieść, zrozumiem. Ale proszę cię, Jules, spróbuj zrozumieć moją sytuację. Ja muszę wykonać tę pracę. Jeśli będziesz przy mnie, zrobię to lepiej.

- A Tony Tice? Dlaczego z nim się kontaktowałeś? - Ale już sama się domyśliła. - On grał na dwie strony, prawda? To był już twój projekt. Musiałeś go chronić. Ty i... i Jeremy Flew. To Empireum go przysłało, prawda? Żeby zajął się nami, ale też żeby miał wszystko na

oku. Wiedziałaś, czym Kellen się zajmuje. A Tony miał cię informować, jak daleko Kellen zaszedł w swoich poszukiwaniach, tylko że on nie chciał przepuścić okazji dorobienia paru dolców. Oszukał cię. - Kolejna myśl. - A te sto tysięcy, które on co roku ofiarowywał na wydział teologiczny? To też Empireum? Och, Lemmie! Czy to za ich pieniądze dostałam pracę? - Zachwiała się. Ale również wzmocniła. - Nie sądzę, żeby Tony Tice dostał duży wyrok, prawda, Lemmie? Ty do kogoś zadzwonisz i załatwi mu się jakąś zgrabną ugodę. - Zawahała się. - Bruce mi powiedział, podobnie też Vanessa, że Kellen zaczął pracę nad tym projektem półtora roku temu. Wówczas byłeś jeszcze w Białym Domu. Ale Empireum potrzebowało kogoś, kto mógłby tu na miejscu wszystkiego dopilnować. Może nawet poprowadzić cały projekt. A najłatwiej byłoby tego dokonać, gdybyś był, na przykład, rektorem uniwersytetu. Najpotężniejszy człowiek w hrabstwie. Jak to zrobili? Czy nakłonili Hillimanów, żeby zadzwonili do Camerona? Jak to było?

Kiedy w końcu się odezwał, usłyszała w jego głosie ton ostrzeżenia.

- Dążyliśmy do sprawiedliwości. To wszystko.

Pytania się kłębiły. Czy Frank Carrington sam tyle nabroił? Czy Jeremy Flew był tylko ochroniarzem, a może odgrywał bardziej aktywną rolę w tym wszystkim? A Kellen - jak to się stało, że tyle się dowiedział, i to tak szybko? Czy miał swoje źródło informacji w Empireum? Wiedziała jednak, że jej mąż nie odpowie na żadne pytania. Zadała mu więc jedno, to najważniejsze:

- Ale kto pociąga za sznurki, Lemmie? Kto decyduje, kiedy należy użyć tych... tych wpływów? Kto jest na tyle mądry?

Lemaster patrzył na żonę przez długą chwilę, po czym zerwał się na nogi i obszedł biurko. Julia instynktownie skuliła się, nagle ogarnięta wszystkimi swoimi podejrzeniami. Chwycił ją za ramiona i siłą zaprowadził do toalety przylegającej do gabinetu.

- Lemmie, o co chodzi? Puść mnie!

- Patrz - powiedział.

- Co?

- Ty przecież uwielbiasz lustra! Patrz więc!

Odwróciła się. Ujrzała odpowiedź na swoje pytanie, patrzącą na nią z lustra, i już teraz wspólnie mieli dźwigać to tajemne brzemie.

Epilog

Domostwo wszelkich nastrojów

I

Lato. Julia stała w oknie wykuszowym na tyłach posiadłości Mallardów, leżącej na południe od Portland, w stanie Maine, przez firanki patrząc na Ocean Atlantycki. Napływające fale, ciemne i majestatyczne, cierpliwie uderzały o głazy, dziś jeszcze dumnie przeciwstawiające się atakom, ale w końcu, podobnie jak wszystko z pozoru solidne i niezmiennie, skazane na obrócenie się w proch.

- W takim razie, powiedz mi, co ja mam teraz robić? - zapytała Mary Mallard zza jej pleców. Siedziała na sofie z kontuzjowaną nogą wyciągniętą na poduszce. - Mam opublikować prawdę? Powiedz, Julio. Co mam robić?

- Ty nie znasz prawdy - odparła po chwili Julia. - Ja też nie.

- Ale znamy kłamstwa.

Julia tylko skinęła głową, nic nie mówiąc. Dom należał do matki Mary i był umeblowany ze wspianiałym bezguściem mieszkańców Nowej Anglii. Trawnik na tyłach opadał do wału nadmorskiego, gdzie Evelyn Mallard, spokrewniona z tyłoma prezydentami, że nikt by ich nie zliczył, spacerowała z Jeannie. Na ich schludnych białych strojach skrzył się blask letniego słońca Maine. Jeannie - a raczej Jeans, teraz już tylko Jeans - Jeans śmiała się, odkrywszy w tej położonej na południe od Portland nadmorskiej kolonii zupełnie nowy świat, wart oczarowania jej doskonałością. W zeszły weekend odwiedził je Aaron, uczestniczący w odbywającym się w Babson letnim kursie dla przyszłych liderów biznesu. Preston obiecał przyjechać z Megan albo z jej następczynią, jeśli tylko nie będzie Lemastera, i Julia miała nadzieję, że dotrzyma obietnicy. Smith i Vanessa wcześniej wyruszyły w swoją podróż po kraju, bo ich rodzicom zabrakło siły woli, żeby je zatrzymać. Raz na jakiś czas ta dwójka (a może trójka) dzwoniła, żeby uspokoić rodziny i powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

Lemaster wciąż dzwonił, mówiąc, że za kilka dni przyjedzie, a jego nowa asystentka ciągle dzwoniła, mówiąc, że on jednak nie przyjedzie.

- Julio, udało mi się już domyślić większości z tego wszystkiego. Jock zabił Ginę, tego

wieczoru towarzyszył mu Whisted, a biedny Łach był w tym czasie na jakiejś studenckiej imprezie, pijany w sztok. Nawet nie zbliżył się do plaży.

- Może masz rację.

- To naprawdę wielka historia, Julio. Morderstwo sprzed trzydziestu lat, czarnoskóry chłopak oskarżony o jej popełnienie i praktycznie zlinczowany, a teraz okazuje się, że senator Whisted był przy tym obecny. Ogromna historia. Ale nie mogę tego opublikować, prawda? Brakuje mi niepodważalnych dowodów. Nie mogę napisać, że ktoś gdzieś podejrzewa, że być może coś mogło się wydarzyć i tak dalej. I ty o tym wiesz, i ja, ale niczego nie możemy udowodnić. - Na chwilę przerwała, żeby Julia mogła coś dorzucić, ale Julia nie chciała nic dorzucać. Firanki zatrzepotały, poruszone nagłą morską bryzą. Na biurku w pokoju gościnnym na piętrze leżał niedokończony list do matki Julii. Próbowwała też napisać do Lemastera, ale nie potrafiła wymyślić, co miałyby mu powiedzieć.

Mary za jej plecami wciąż mówiła, może nawet do samej siebie.

- A poza tym wiemy, że za takie rzeczy zabijają ludzi, prawda? Ja nie żartuję, ludzie giną za coś takiego. Gdybym to opublikowała, pewnie przysłałiby kogoś, żeby mnie zabił, nie sądzisz?

- Być może.

- I nie martwi cię to?

Julia przypomniała sobie rozmowę z Vanessą, kiedy wyszły z domu Franka Carringtona, chyba już z tysiąc lat temu.

- Oczywiście, że mnie to martwi. Uważam, że każde życie jest cenne.

- Zagryzła wargę. - Ale, Mary, chodzi o to...

- Nie to miałam na myśli - przerwała jej niecierpliwie dziennikarka.

- Chciałam zapytać, czy nie martwi cię, że Whisted nigdy nie stanie przed sądem? Że może mu się uda nawet zamieszkać w Białym Domu?

- On tego nie zrobił. Spanie na tylnym siedzeniu samochodu to nie zbrodnia.

- On tam był, Julio. I wyborcy powinni o tym wiedzieć.

Odpowiedź Julii samą ją zaskoczyła. Spędziła w Maine prawie cały miesiąc. Potrzebując powiernika i widząc, ile Mary się domyśliła, Julia podzieliła się z nią prawie całą historią, pomijając tylko rolę Empireum - a także własnego męża. Już od tygodni nie widziała się z Lemasterem. Ale i tak teraz, kiedy przyszło co do czego, powtarzała jego argumentację. Jeszcze pamiętała jego rękę trzymającą ją za ramię i odwracającą do lustra, kiedy kazał jej zobaczyć, kto podejmuje decyzje.

- Pozwól, że coś ci powiem o sprawiedliwości - odezwała się. - Nawet gdybyś mogła

napisać o Malu Whistedzie, założmy, że on nawet to zrobił, a ty mogłabyś to udowodnić, co by się zdarzyło? On trafiłby do więzienia, tak? Dostałby to, na co zasłużył. Ale w czym przysłużyłoby się to ciemniejszej nacji? Dlaczego ciemniejsza nacja nie ma prawa dostać tego, na co zasługuje? Jeśli wsadzisz Whisteda do więzienia, zyskasz satysfakcję, że gość, który trzydzieści lat temu zrobił coś strasznego, trafił teraz za kratki. I to wszystko. Ale jeśli pozostawisz go na wolności i pozwolisz mu robić karierę, być może nawet zostać prezydentem, będziesz miała tego potężnego sprzymierzeńca, który może pchnąć swoją partię w pożądanym kierunku. Masz wybór, albo sprawiedliwość dla Whisteda, albo dla czarnej Ameryki. To bardzo proste.

- Julio, to nie jest wcale proste. To jest... niemoralne.

Julia zacytowała Astrid:

- Jedną ręką nie wygrasz wojny ze złem.

- Czy ty naprawdę uważasz, że Ameryka jest złem?

- Nie. Uważam, że Ameryka nie potrafi się zbyt długo koncentrować na jednej sprawie.

II

Malcolm Whisted wygrał prawybory. Prasa wciąż zachwycała się historią dwóch współlokatorów z college'u, którzy rywalizowali o urząd prezydenta, i w swoim podnieceniu nie zważała na różne pomniejsze przypadki rezygnacji w sztabach obu kandydatów. Wszyscy wciąż szukali jakichś brudów, które można by wywlec, starając się zdyskredytować drugą stronę zgodnie z polityczną dewizą: „Przebieg służby wojskowej waszego faceta jest niezwykle ważny! Sprawdzanie przebiegu służby wojskowej naszego faceta to polityka rynsztokowa!”. Co dziwne, nikt nie uznał lat spędzonych wspólnie przez tych dwóch mężczyzn na uniwersytecie za interesujący temat do dociekań - może dlatego, że i reporterzy, i redaktorzy, i aktywiści też kiedyś byli na uniwersytecie i woleli traktować ten czas jako temat tabu. Nikt nawet nie wspominał o idealnej równowadze strachu, o możliwości, że jakiś nikomu nieznanemu męski klub z Harlemu, gdzie członkostwo ograniczone było do „czterystu kolorowych dżentelmenów najwyższej klasy”, dzierży w rękach przyszłość obu kandydatów, ponieważ posiada dowody, że każdy z nich popełnił zbrodnię, a każdy z nich absolutnie wierzył w te dowody, chociaż w rzeczywistości żaden z nich tego nie zrobił.

Cierpliwość sama w sobie może stanowić strategię, jak lubił powtarzać Lemaster - a w tym przypadku cierpliwość Empireum wygrywała.

Po tej ich ostatniej konfrontacji Julia zastanawiała się, czy nie odejść od męża, po prostu zabrać dzieci i sobie pójść - gdziekolwiek. Lemaster był człowiekiem obcym, ale w końcu to on ją uratował, nigdy też jej nie zdradził ani nie skrzywdził. Te jego surowe, niewzruszone przekonania, którymi skrępował swoje życie, wcale nie muszą, jak stwierdziła, również jej krępować. Żył po swojemu, a ona po swojemu. Mogli to robić pod jednym dachem. Mogą wspólnie iść w ten sposób przez życie. Już od dwudziestu jeden lat to robili, pomimo tych jej pogmatwanych i ciągnących się za nią uczuć do Kellena, które rozdzielały ich oboje jak jakiś miecz. Mogli ciągnąć to dalej, i to nie tylko dlatego, że Lemaster i jego Empireum ściągnęli cugle, pełni tej tak przerażającej i przytłaczającej dobrej woli. Kellen ją wyzwolił. Niezależnie od motywów, które nim kierowały - czy to była sprawiedliwość, czy też zazdrość - jego poszukiwania zabójcy Giny i szalony plan wciągnięcia Julii w swoje knowania niespodziewanie uwolniły ją z więzienia oczekiwania innych ludzi.

Spodobała się jej ta nowa praca, a oddalenie od kampusu Lemastera nie było jedynym powodem. Pomagała młodym ludziom, którzy aż za często służyli politykom wyłącznie za rekwizyty, a aktywistom za klakierów. Wszyscy współczuli im biedy i wszyscy unikali wszelkich bliższych z nimi kontaktów - a przynajmniej wszyscy, których było na to stać. Julia Carlyle, wychowana w New Hampshire, stała przed malutką klasą szkoły panny Terry w samym środku najniebezpieczniejszej dzielnicy Elm Harbor i prawie za darmo dzieliła się swoją wiedzą, a to sprawiało jej ogromną przyjemność. Uczestniczyła nawet sporadycznie w nabożeństwie w Domu Wiernej Świętości i powracała z tych swoich spotkań, jeśli nie przepełniona, to przynajmniej z podwyższoną świadomością rozpaczliwych potrzeb ciemniejszej nacji oraz nikłego prawdopodobieństwa, że którakolwiek z partii politycznych z własnej woli zrobi cokolwiek prócz złożenia gołosłownych deklaracji, które miałyby stanowić odpowiedź na moralny imperatyw sprostania tym potrzebom. W toczącej się wokół niej zaciętej kampanii prezydenckiej nikt, oczywiście, poważnie nie zastanawiał się nad tym, co należałoby zrobić z problemem rasy i biedy - teraz trzeba było zajmować się poważnymi sprawami. Zawsze istniały jakieś poważne sprawy, którymi trzeba było się zajmować. A problemem rasy i biedy później się zajmiemy. Może dlatego Jezus powiedział, że zawsze ubogich mamy u siebie - doskonale wiedział, gdzie będzie ich miejsce, nawet po dwóch tysiącach lat, na liście politycznych priorytetów. W miarę jak upływały kolejne tygodnie, Julia coraz silniej odczuwała wypowiedziane dawno temu słowa Mony, cytującej jakiegoś pisarza: białych dużo bardziej interesowało równouprawnienie ich żon i dzieci niż równouprawnienie ich sług.

I to był ten drugi powód, dla którego nie odeszła od Lemastera.

Została z nim, ponieważ uważała, że on może mieć rację.

III

Później Julia, w słomkowym kapeluszu i okularach słonecznych osłaniających oczy, wyszła na plażę i rozłożywszy się na ręczniku, obserwowała bawiącą się Jeans, oczko w głowie Klanu, jednocześnie kończąc list do Babci Mo.

Kochana Mono,

zawsze mnie zastanawiało dlaczego, mogąc wybrać dowolne miejsce na ziemi, postanowiłaś wychowywać nas w New Hampshire. Ja doskonale się bawiłam w Hanoverze, ale Ty, tak naprawdę, nigdy nie znalazłaś tam szczęścia. Tam w okolicy niczego nie było - a przynajmniej niczego, co stanowiłoby choćby cząstkę tego świata, który uformował i Ciebie, i całe Twoje pokolenie naszych ludzi, świata, z którym więzi, jakkolwiek odległej, pragnęłaś dla swoich dzieci. Tamtejsze lata były piękne, ale zimy wręcz absurdalne. Samo miasto było wspaniałe, ale, podobnie jak cała Nowa Anglia, białe.

Teraz jednak wydaje mi się, że w końcu Cię zrozumiałam. Wielki naród to jednocześnie stary naród, a chcąc być starym narodem, trzeba być narodem z przeszłością. Na przeszłość składają się wielkie triumfy, ale również wielkie tragedie. Mądrość polega na umiejętności odróżnienia jednego od drugiego, a także dochowania tajemnicy. Sądzę, że to ze względu na te zimy przeprowadziłaś się z nami do Hanoveru. Czas przykrywa prawdę jak warstwa śniegu. Najwspanialsze w życiu w Nowej Anglii jest to, że śnieg leży tu bardzo długo.

Zawsze kochająca Cię

Julia

Wysłała ten list poranną pocztą.

Od autora

Czytelnicy *Władcy Ocean Park*, powieści, w której Lemaster i Julia Carlyle pojawiają się po raz pierwszy, być może pamiętają, że rodzina ta mieszkała na przedmieściu zwanym Canner's Point, a nie Tyler's Landing. Dokonałem tej przeprowadzki ze względu na szereg szczegółów związanych z fabułą. Jak już wspominałem w uwagach do pierwszej książki, Elm Harbor nie jest lekko zakamuflowanym New Haven, choć jeszcze raz powtórzę to, co już wcześniej tam napisałem, że oba te miejsca mają z sobą wiele wspólnego. Podobne zastrzeżenie dotyczy wszelkich porównań między Keplerem a wydziałem teologicznym w Yale. I chyba nie ma potrzeby dodawać, choć może warto, że niezależnie od wszelkich wydarzeń, które mogły posłużyć za inspirację tej opowieści, jest to tylko fikcja - takie sobie „gdybanie” - i nie rości sobie praw do bycia czymkolwiek innym.

I Biedronki, i Empireum to organizacje fikcyjne, i żadnej z nich nie stworzyłem na podstawie rzeczywistych stowarzyszeń. Podobnie też ich członkowie nie są odzwierciedleniem znanych mi członków klubów towarzyskich. Bardzo wysoko cenię zdolności tradycyjnych klubów ciemniejszej nacji do podtrzymania tradycji w epoce, w której tradycje straciły na znaczeniu. Historia Czarnej Damy do dzisiejszego dnia jest opowiadana w okolicach Arkadelfi w stanie Arkansas, chociaż w dużo bardziej rozbudowanej formie niż ta skrócowa wersja przedstawiona w powieści przez Vanessę Carlyle. Stronę internetowego serwera anagramów można znaleźć pod adresem www.wordsmith.org, ale chciałbym lojalnie uprzedzić, że potrafi bardzo wciągać. Witryna internetowa Gainful Nonsense nie istnieje.

W momencie pisania tej książki, w college'u Dartmouth nie można było uzyskać doktoratu z ekonomii, w związku z czym Kellen Zant nie mógł tam złożyć swojej pracy doktorskiej. I chociaż mogłem przenieść jego romans z Julią do jednego z innych prestiżowych uniwersytetów w Nowej Anglii, pokusa widoku Julii przedzierającej się przez ten niesamowity śnieg na kampusie była zbyt wielka, żebym się jej oparł. W 2004 roku prawybory w stanie Iowa odbywały się w połowie stycznia, ale ponieważ było to zbyt wcześnie dla mojej fabuły, postanowiłem brutalnie przenieść je nieco później. Pozmieniałem również, mam nadzieję, że nieznacznie, pewne inne aspekty współczesnej kampanii prezydenckiej.

Wywód Lemastera Carlyle'a na temat tego, że człowiek pragnie stworzyć sobie Boga,

który potrzebowałby ludzkiej rady, został częściowo zainspirowany omówieniem Dostojewskiego w olśniewająco wspaniałej książce Davida Bentleya Harta z 2005 roku, *The Doors of the Sea: Where Was God in Tsunami?* - chociaż, oczywiście, Hart nie ponosi najmniejszej odpowiedzialności za wszelkie niedoskonałości w wystąpieniu Lemastera.

Jak zawsze chciałbym wyrazić wdzięczność swojej niesamowicie cierpliwej agentce literackiej, Lynn Nesbit. Ogromnie skorzystałem również z rad i zachęt moich redaktorek, Robin Desser i Phyllis Grann, które potrafiły przetrzymać frustrację wynikającą z tempa, w jakim dostarczałem im rękopis, a także uchroniły tę opowieść przed wieloma niedociągnięciami. Chciałbym także podziękować entuzjastom mojej pierwszej, z pewnym wahaniem opublikowanej powieści, których niezłomne domaganie się kolejnej stale zachęcały mnie do pracy nad tą książką. Korzystałem również z bardzo pożytecznych rad niewielkiego grona moich bliskich, którzy czytali w całości lub części rękopis w trakcie jego powstawania, zwłaszcza moich drogich przyjaciół George'a Jonesa i Loretty Pleasant-Jones.

Na koniec pragnę podkreślić, że żadne słowa nie wyrażą mojej wdzięczności dla mojej żony, Enoli, najbardziej skrupulatnej i krytycznej czytelniczki, oraz naszych wspaniałych dzieci, Leah i Andrew, bo ta trójka jest dla mnie prawdziwym darem niebios.